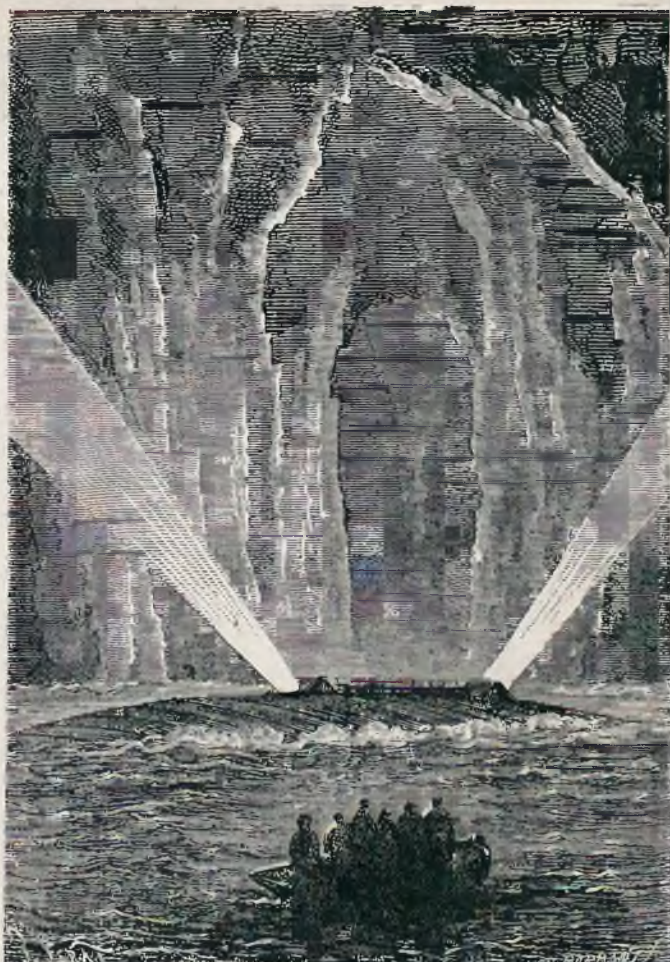


JULJUSZ VERNE

WYSPA TAJEMNICZA

JULJUSZ VERNE

WYSPA TAJEMNICZA

Z 19 ILUSTRACJAMI I OKŁADKĄ
J. FERAT'A

WYDANIE CZWARTE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 15.
1929

WYSPA TAJEMNICZA

ROZDZIAŁ I.

Huragan w r. 1865. — Krzyk w powietrzu. — Balon uniesiony trąbą. — Naokoło tylko morze. — Pięciu podróżnych. — Co się działo w łódce. — Wybrzeże jakieś okazuje się woddali. — Rozwiązanie dramatu.

— Czy wznosimy się wyżej?
— Przeciwnie, balon się obniża.
— Nietylko obniża, lecz grozi upadkiem, panie Cyrusie.
— Wyrzućcie jak najprędzej balast.
— Wypróżniliśmy już ostatni worek.
— I czy balon wzniósł się wyżej?
— Nie.
— Słyszę jakby pluskanie fali.
— Balon unosi się nad morzem.
— Które niewięcej jak pięćset stóp odległe jest od nas.

Silny głos rozległ się w powietrzu i usłyszano te słowa:

— Wyrzucić wszystko, co tylko ma jakąkolwiek wagę!.. wszystko bez wyjątku, i... niech się dzieje wola Boża!

Rozkaz ten zabrzmiał w powietrzu ponad niezmiernym obszarem spienionych fal oceanu Spokojnego dnia 23 marca 1865 roku, około czwartej godziny wieczorem.

W owym roku, około porównania dnia z nocą, zerwał się straszny huragan, trwający bez przerwy od 18 do 26 marca. Pamiętne są okropne spustoszenia, jakich dokonał on wtedy w Ameryce, Azji i Europie. Miasta całe obrócone w perzynę, poniszczone lasy, których drzewa powyrywał z korzeniami, ogromne przestrzenie zalane wodą, okręty rozbite, których przeszło sto naliczono, rzucone na wybrzeża, tysiące osób zabitych na miejscu lub porwanych przez trąbę i rzuconych w morze — oto jakie były skutki przejścia rozszalałego huraganu. Przewyższył srogością straszne trąby i huragany, które tak niezmiernie spustoszyły Hawannę i Gwadelupę, pierwszą dnia 25 października 1810 r., drugą 26 lipca 1825 r.

Otóż, jednocześnie z tak przerażającemi katastrofami na lądzie i na morzu, równie okropny dramat rozgrywał się w powietrzu, wstrząsanem straszną burzą.



Pomagając sobie wzajemnie, podróżni zdołali nareszcie wyplątać się z siatki (str. 11).

Balon, uniesiony jak kula na sam wierzchołek trąby i pochwycony kołowym wirem słupa powietrza, leciał w przestrzeni z prędkością 166 kilometrów na godzinę, jakby nadprzyrodzoną unoszony siłą. Pod tym balonem zawieszona była łódka, zawierająca pięciu podróżnych, których zaledwie można było dostrzec z powodu gęstej mgły, opuszczającej się aż do powierzchni oceanu.

Z jakichże stron świata przybywał ten balon, będący teraz tak strasznej burzy igrzyskiem? Boć przecie niepodobna, aby go pu-

szczono podczas rozszalałego huraganu. A jednak huragan ten trwał już od pięciu dni, a pierwsze jego objawy już od dnia 18 marca pokozywać się poczęły. Trzeba więc było wnosić, że przybywał ze stron bardzo odległych, gdyż musiał przynajmniej po dwa tysiące kilometrów przebywać w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Sami podróżni nie wiedzieli, jak daleką przebyli drogę, gdyż pozbawieni byli wszelkiego sposobu jej oznaczenia. Co więcej, porwani burzą, nie czuli przecież jej gwałtowności; obracali się wkoło, nie wiedząc o tem; oczy ich nie mogły przebić gęstej mgły, otaczającej łódkę i tak zasłaniającej wszystko dokoła, iż nie wiedzieli nawet, czy jest dzień, czy noc zapadła. Ani promyk światła, ani jakikolwiek odgłos z ziem zamieszkałych, ani nawet ryk oceanu nie mógł dosięgnąć do nich podczas gdy w tak wysokich unosili się sferach, i dopiero, gdy balon nagle opadać zaczął, mogli poznać grożące im niebezpieczeństwo, dostrzegając, że znajdują się ponad falami morskiemi.

Uwolniony z ciężkich przedmiotów, to jest broni, nabojów i innych zapasów, balon wzniósł się w wyższe sfery powietrza, na wysokość 4500 stóp. Podróżni, widząc, że pod łódką pienią się morskie bałwany, zrozumieli, że w górze mniejsze grozi im niebezpieczeństwo, i bez wahania pozbywali się najpotrzebniejszych przedmiotów, byle ocalić łódkę, będącą dla nich arką zbawienia.

Noc przebyli wśród strasznego niepokoju, który mógłby stać się zabójczym dla mniej odważnych i wytrwałych; nadedniem huragan zaczął nieco słabnąć, nareszcie ustał zupełnie. Około jedenastej niższe warstwy powietrza znacznie się oczyściły; mgła podniosła się wgórę, lecz jednocześnie można było poznać, że balon zwolna opuszczał się ku dołowi, że skutkiem ubytku gazu tracił kształt kulisty a, rozciągając się wzdłuż, przybierał jajowaty. Około południa wznosił się już tylko o 2000 stóp ponad morzem. W tej chwili podróżni zaczęli wyrzucać zapasy żywności i nawet drobne przedmioty, jakie mieli w kieszeniach: widocznie coraz więcej brakowało gazu; niebezpieczeństwo zwiększało się z każdą chwilą.

A u stóp ich szalało rozhukane morze. Jak wzrokiem zasięgnąć, nigdzie miejsca, gdzieby się spuścić można, chociaż z takiej wysokości nadzwyczaj rozległy roztaczał się widok. Trzeba więc było nie dopuścić do opadania balonu; lecz wszelkie usiłowania biednych powietrznych żeglarzy stawały się daremne, balon spadał nadzwyczaj szybko w kierunku wiatru, to jest z północo-wschodu na południo-zachód.

Straszne było położenie podróżników! Gaz uchodził raptownie, balon rozdarł się nieco i opadał, a o godzinie pierwszej łódka była co najwyżej o 600 stóp nad powierzchnią morza. Można było cokolwiek opóźnić straszną katastrofę, ale niepodobna było jej uniknąć i, jeżeli przed nadejściem nocy nie dojrzą gdzie ziemi, zguba ich jest nieuchronną.

Ale podróżni, znajdujący się w łódce balonowej, byli to ludzie energiczni, nie lękający się śmierci; ani jedna skarga z ust ich nie wyszła, postanowili jednak ratować się do ostatka. Łódka, był to prosty kosz, upleciony z łoziny, nie mogłaby więc w żaden sposób utrzymać się na powierzchni wody; gdy już obniżyła się o 400 zaledwie stóp nad morzem, dał się słyszeć silny głos męski:

— Czy już wszystko wyrzucone?

— Nie, pozostało jeszcze 10.000 fr. w złocie.

— Wrzucić je w morze.

I ciężki worek spadł w otchłanie wód oceanu.

— Czy teraz balon idzie wgórę?

— Cokolwiek, ale niebawem opadnie.

— Uchwyćmy się siatki, a łódkę rzucić w morze.

Rozkaz spełniono, był to ostatni środek ratunku. Teraz już tylko w miłosierdziu Bożem mogli pokładać nadzieję.

Wiadomo, że najmniejsze ulżenie ciężaru wywołuje zmianę w położeniu balonu, a więc po usunięciu ciężaru względnie dość ciężkiego musiała zajść zmiana nagła i ważna. Chwilowo balon wzbił się dość wysoko, lecz, że niepodobna było naprawić rozdarcia, nagle zaczął opadać. Wtem dało się słyszeć głośne szczekanie Topa. Był to ulubiony pies jednego z podróżujących statkiem powietrznym, który uczepił się sieci, tuż obok swego pana.

— Top coś zobaczył! — zawołał jeden z podróżników.

Wtem zagrzmiał głos silny:

— Ziemia! ziemia!

Wicher nieustannie popychał balon na południo-wschód; tym sposobem od świtu przebyto setki mil. Wreszcie ukazał się w tym kierunku ląd dość wyniosły, odległy jednak jeszcze z jakie trzydzieści mil. A czy przed upływem tego czasu balon nie postrada reszty gazu? Oto pytanie, jakie z przerażeniem stawiali sobie towarzysze niedoli.

Widzieli zoddali grunt, do którego koniecznie dostać się było trzeba; nie wiedzieli jednak, czy to ląd, czy wyspa, czy ziemia zamieszkała, czy bezludna — ale nie było wyboru.

Nie mogąc się utrzymać, balon dotykał już prawie powierzchni morza, unosząc się ciężko jak ptak, któremu ołów przyczepiono do skrzydeł. Nareszcie, gdy już ziemia zaledwie o milę była odległa, balon, spłaszczony niemal zupełnie, zaledwie w samej górze zachował nieco gazu. Przyczepieni do siatki podróżni zbyt wielki dla niego stanowili ciężar i już dotykali powierzchni morza, i czuli uderzenie spienionych bałwanów; wtem wiatr dostał się do wnętrza balonu i, pędząc go, jakby okręt płynący wiatrem, popchnął ku wybrzeżu, które już teraz zaledwie o paręset sążni było odległe.

Nagle straszny krzyk wydarł się z piersi czterech aeronautów. i balon, który, jak się zdawało, nie mógł się już unieść, podskoczył do góry, jakby wyrzucony siłą bałwanów i oswobodzony od znacznej

części swego ciężaru. Podniósł się znów na 1500 stóp w przeciwnym od ziemi kierunku; lecz na tej wysokości wiatr popchnął go ukośnie, i statek, raptownie wstrząśnięty, opadł nareszcie na wybrzeże, gdzie nie dosięgały rozhukane fale.

Pomagając sobie wzajemnie, podróżni zdołali nareszcie wyplątać się z siatki. Oswobodzony od wszelkiego ciężaru, balon poleciał, uniesiony wiatrem, i znikł w przestrzeni.

W łódce znajdowało się pięciu podróżnych i pies, a czterej tylko spadli na wybrzeże; widać brakujący wraz z wiernym psem swoim został uniesiony przez wzburzone fale, które, uderzając gwałtownie w siatkę, oderwały go od niej, a uwolniony od znacznej części ciężaru balon wzniósł się po raz ostatni i w chwilę potem spadł na nieznane brzegi.

Zaledwie stanąwszy na lądzie, rozbitki spostrzegli nieobecność współtowarzysza i wykrzyknęli jednocześnie:

— Pewnie próbuje ocalić się i wpław przepłynąć morze. Ratujmy go! ratujmy! — i rzucili się na pomoc nieszczęśliwemu.

ROZDZIAŁ II.

Ustęp z ostatniej wojny amerykańskiej. — Inżynier Cyrus Smith. — Gedeon Spilett. — Murzyn Nab. — Marynarz Penkroff. — Młody Harbert. — Nadspodziewana propozycja. — Schadzka o dziesiątej wieczór. — Wzniesienie się podczas burzy.

Podróżni, których huragan rzucił na wybrzeże, nie byli to ani żeglarze powietrzni z powołania, ani zwolennicy powietrznych wycieczek, lecz więźniowie wojenni, którzy, niezachwianą ożywieni odwagą, postanowili i zdołali uciec tym niezwykłym sposobem. Z jakie sto razy śmierć im zagrażała, a rozdarty balon powinien był spaść z nimi w morskie otchłanie, ale widać Bóg niezwykły los im przeznaczył. Uciekli z Richmondu dnia 20 marca pomimo, że miasto to oblężone było przez wojsko jenerała Ulissesa Granta, i po pięciodniowej powietrznej żegludze znajdowali się o 7000 mil od tej stolicy Wirginji, głównej warowni separatystów. Oto w jakich okolicznościach więźniowie dokonali zamierzonej ucieczki, której smutny koniec widzieliśmy w przeszłym rozdziale.

W miesiącu lutym 1865 r., w jednej z tych śmiałych wycieczek, jakie tylekroć bezużytecznie przedsiębrał jenerał Grant w celu zdobycia Richmondu, wielu z jego oficerów dostało się do niewoli; zostali oni internowani w mieście. Najznakomitszym z nich był Cyrus Smith, oficer głównego sztabu federalistów.

Cyrus Smith urodził się w Stanie Massachussets. Był to bardzo

uczony inżynier, któremu rząd Stanów Zjednoczonych powierzył podczas wojny kierunek i zarząd nad kolejami żelaznemi, odgrywającemi tak ważną rolę strategiczną. Prawdziwy to Amerykanin północny, suchy, chudy, blady; miał około czterdziestu pięciu lat, krótko ostrzyżone włosy; broda jego zaczynała już siwieć, i tylko wąsy były gęste i zamaszyste. Rysy twarzy miał bardzo regularne, warte dłuta artysty; oczy pełne ognia i wyrazu, czoło wysokie i otwarte — słowem, cała postać zdradzała uczonego wojskowego. Jak jenerałowie, dosługujący się od stopnia prostego żołnierza, tak uczony ten inżynier pracował jako prosty robotnik. To też wyrobił w sobie wielką siłę, wprawę i zręczność, które, obok wytrwałości, nie zrażającej się żadnemi przeszkodami wielkiej nauki i twórczości umysłu, czyniły zeń prawdziwie niepospolitego człowieka. Jego wytrwałość, czynność i żelazna wola dozwalały mu wziąć sobie za godło dewizę Wilhelma, księcia Oranji: „Gdy coś przedsiębiorę, nie potrzebuję spodziewać się powodzenia, lecz potrafię wytrwać, choćby mi się nie wiodło".

Obok tylu przymiotów, Cyrus Smith odznaczał się jeszcze niezachwianą odwagą i brał udział we wszystkich niemal potyczkach wojny separatystycznej. Wielokrotnie cudem prawie uniknął śmierci i, choć narażał się więcej od innych, nie poniósł nawet rany, aż dopiero pod murami Richmondu, gdzie też dostał się do niewoli.

Jednocześnie z Cyrusem Smithem dostała się w moc południowców druga bardzo ważna osobistość, szanowny Gedeon Spilett, reporter gazety *New York Herald*, wysłany przez redaktora do armji północnej dla donoszenia o wszystkiem, co się działo w obozie i na polu bitwy.

Gedeon Spilett należał do rzędu tych godnych podziwu dziennikarzy angielskich i amerykańskich, którzy, jak Stanley i tylu innych, nie cofną się przed niczem, byle zdobyć dla swoich gazet dokładne i szczegółowe wiadomości i to jak można najwcześniej. Gazety Stanów Zjednoczonych, takie jak np. *New York Herald*, są to prawdziwe potęgi, z których przedstawicielami liczyć się trzeba, a Gedeon Spilett najpierwsze wśród nich zajmował miejsce.

Objechał świat cały, wiele się nauczył, był żołnierzem i artystą, gorący na radzie, stanowczy w działaniu, nie liczył się z trudami, ani z niebezpieczeństwem, ilekroć chodziło o nauczenie się czegoś lub zasięgnięcie pewnych wiadomości dla swojej gazety; był jednym z tych korespondentów, którzy układają sprawozdania wśród gradu kul i grzmotu dział. Był obecny przy wszystkich potyczkach; wysunięty naprzód, w jednej ręce trzymał rewolwer a w drugiej notesik, i nie zadrżały mu one wśród największego ognia. Nie trudził co chwila drutów telegraficznych nic nie znaczącemi wiadomostkami, pisał krótko i zwięźle, ale co tylko doniósł, było ważne i niezaprzeczenie prawdziwe.

Był wysokiego wzrostu, miał około czterdziestu lat i nosił duże,

rudawe faworyty. Oko żywe i spokojne zarazem bystre rzucało spojrzenia; widać było, że nawykł jednym rzutem chwytać wszelkie najdrobniejsze nawet szczegóły. Zdrów i silnie zbudowany, zahartował się w różnych klimatach, jak kawał stali w zimnej wodzie.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przed dostaniem się do niewoli znali się tylko ze słyszenia; zbliżeni jednaką niedolą, poznawszy się, pokochali się bardzo i jedną tylko żyli myślą, do jednego zmierzali celu — uciec z Richmondu i, wróciwszy do armji Granta, znów walczyć o nierozdzielność Unji. Postanowili sobie zatem nie pomijać żadnej przyjaznej sposobności. Ale choć w mieście byli zupełnie swobodni, Richmond jednak był tak ściśle strzeżony, że ucieczka była prawie niemożliwa.

Gdy tak rozmyślali, przybył do Richmondu wierny i pełen nieograniczonego poświęcenia służący Cyrusa Smitha. Był to murzyn, urodzony w posiadłości inżyniera, z rodziców niewolników, którego Cyrus Smith wyzwolił oddawna. Choć wyzwolony, murzyn nie chciał opuścić pana, którego kochał nad życie. Był to człowiek trzydziestoletni, silny, zręczny, rzutny, pojętny, rozumny, łagodny, spokojny, niekiedy nawet naiwny, dobry, usłużny i zawsze uśmiechnięty. Nazywał się Nabuchodonozor, ale przez skrócenie wołano go: Nab.

Dowiedziawszy się, że ukochany pan jego dostał się do niewoli, niezwłocznie opuścił rodzinne strony, udał się do Richmondu i, dzięki odwadze, zręczności i przebiegłości, nareszcie z narażeniem życia dostał się do oblężonego miasta. Niepodobna wyrazić słowami radości Cyrusa Smitha i poczciwego Naba, gdy się znów połączyli.

Jednakże łatwiej było dostać się do Richmondu, niżli wyjść z niego, gdyż więźniowie federalni nader surowo byli strzeżeni — tylko jakaś nadzwyczajna okoliczność mogła ucieczkę uczynić możliwą, a taka nie nastręczała się wcale, i nie można jej było wymyśleć.

Oblężenie nie ustawało, a jeżeli więźniowie gorąco pragnęli uciec i wrócić do armji Granta, niektórzy z oblężonych również gorąco życzyli sobie wydostać się z miasta i połączyć się z wojskami separatystów. Do takich należał Jonatan Forster, zapalony separatysta. Ale ani więźniowie, ani federaliści nie mogli przedrzeć się przez szeregi wojsk północnych. Gubernator Richmondu już oddawna nie mógł się porozumiewać z jenerałem Lee, zawiadomić go o smutnem położeniu miasta i zewezwać posiłków. Wtedy to Jonatan Forster umyślił puścić się balonem i tym sposobem dostać się do obozu separatystów. Gubernator dał mu żądane upoważnienie. Urządzono balon i oddano go do rozporządzenia Jonatana Forstera, który zamierzał wziąć z sobą pięciu towarzyszów na tę powietrzną wędrówkę. Mieli zabrać z sobą broń dla obrony w razie napadu ze strony federalistów po opuszczeniu się balonu i zapas żywności na wypadek, gdyby podróż ich powietrzna miała się przedłużyć.

Wzniesienie się balonu oznaczono na 18 marca w nocy, a For-

ster i jego towarzysze obiecywali sobie, że za kilka godzin przybędą do głównej kwatery jenerała Lee. Ale już 18 marca rano zerwał się wicher gwałtowny, który niebawem zamienił się w huragan i ten srożył się aż do 20 marca rano z taką siłą, że niepodobna było myśleć o wzniesieniu się i narażeniu balonu i śmiałych aeronautów.

Tegoż dnia na jednej z ulic Richmondu jakiś nieznajomy przystąpił do inżyniera Cyrusa Smitha; był to marynarz, nazwiskiem Penkroff, mający trzydzieści kilka lat, cerę nadzwyczaj ogorzałą, poczciwą fizjognomję i oczy żywe, któremi mrugał nieustannie. Marynarz ten był rodem z Ameryki północnej, żeglował już po wszystkich morzach i doznał wszelkich najdziwniejszych przygód, jakie tylko człowieka spotkać mogą. Nadzwyczaj przedsiębiorczy, gotów odważyć się na wszystko, niczego się nie lękał i niczemu nie dziwił.

Penkroff na początku roku przybył do Richmondu w interesie, w towarzystwie piętnastoletniego chłopca, Harberta Browna z New Jersey; był to sierota, syn dawnego jego kapitana, i marynarz kochał go jak własnego syna. Oblężenie zastało ich w Richmondzie, i Penkroff nie posiadał się ze złości, że nie może opuścić miasta. Odtąd jedną tylko żył myślą: uciec przy pierwszej sposobności. Znał z opinji inżyniera Cyrusa Smitha i wiedział, że znakomity ten mąż pragnie wszelkiemi sposobami wyzwolić się z niewoli; dlatego też bez ceremonji zaczepił go na ulicy:

— Panie Smith, wszak Richmond już ci się sprzykrzył?

Inżynier spojrzał badawczo na pytającego, który dodał, zniżając głos:

— Panie Smith, czy chcesz pan stąd uciec?

— Jak i kiedy — odrzekł żywo zapytany, zupełnie mimowolnie, gdyż nie miał jeszcze czasu przypatrzeć się nieznajomemu. Teraz wlepił w niego oczy i po chwili, rozpatrzywszy się w jego twarzy, nie wątpił już, że ma do czynienia z poczciwym człowiekiem.

— Kto jesteś? — zapytał.

Penkroff oznajmił swoje nazwisko i stan.

— Dobrze — odrzekł Cyrus — lecz jakimże sposobem zamierzasz uciec i mnie zabrać z sobą.

— Z pomocą tego próżniaka, balonu, który leży tu bezczynnie, jakby czekał na nas...

Nie potrzebował mówić więcej: inżynier zrozumiał go odrazu, wziął Penkroffa pod rękę i zaprowadził do siebie. Tam marynarz wypowiedział swój projekt, bardzo prosty według niego, gdyż nie narażali nic — prócz życia. Wprawdzie huragan szalał z całą gwałtownością, ale tak śmiały i rozumny inżynier, jak Cyrus Smith, potrafi przecież obejść się z balonem; gdyby on, Penkroff, wiedział tylko, jak z nim się obchodzić, jużby go wraz z Harbertem nie było w Richmondzie. Nie takie on przebył niebezpieczeństwa, a burza wcale go nie przestraszała.

Cyrus Smith słuchał, milcząc; oczy jego jednak pałały. Nadarzała się sposobność, a taki człowiek, jak on, pewnie jej nie opuści. Wprawdzie był to sposób nader niebezpieczny — lecz to nie mogło go odstręczyć. Pomimo nadzoru można było wśród nocy zbliżyć się do balonu, wskoczyć w łódkę i odciąć przytrzymujące go sznury. Wiedzieli, że narażają się na utratę życia, lecz zato, jeśli się powiedzie — i gdyby nie ta szalona burza... Ba! gdyby nie ta burza, balon już dawno byłby uleciał, i terazby się wznieść nim nie mogli...

— Lecz ja nie sam tylko jestem — rzekł Cyrus Smith.

— A ileż osób chcesz pan zabrać? — zapytał marynarz.

— Dwie: przyjaciela mego, Spiletta, i służącego mego, Naba.

— To więc razem ze mną i z Harbertem będzie pięć osób — odrzekł Penkroff — a balon przygotowany był dla sześciu.

— Więc zgoda, puszczamy się! — zawołał inżynier.

I niezwłocznie zawiadomił reportera Spiletta o zamierzonej ucieczce; ten zgodził się odrazu i dziwił się tylko, że mu to prędzej nie przyszło do głowy. Co do Naba, ten byłby w piekło poszedł za panem.

— A więc do widzenia o dziesiątej wieczór — rzekł Penkroff — zejdziemy się tam wszyscy niby przypadkiem.

— Do widzenia — odpowiedział inżynier — daj tylko Boże, aby burza nie ustała, zanim się wzniesiemy.

Pożegnali się i Penkroff wrócił do domu, gdzie go oczekiwał Harbert Brown. Odważny ten młodzieniec wiedział, jaki plan ułożył sobie marynarz, i oczekiwał niecierpliwie, co na to powie inżynier; ucieszył się więc niewymownie, dowiadując się o zawartej umowie.

Huragan nie ustawał, to też Jonatan Forster i jego towarzysze ani myśleli puszczać się w tak wątłej łódce. Inżynier i marynarz ciągle kręcili się wpobliżu balonu, zdjęci obawą, aby go wiatr silny nie podarł, lub, zrywając sznury, nie porwał w powietrze.

Nadszedł nareszcie wieczór, a za nim noc czarna. Gęste mgły, niby chmury, dotykały prawie ziemi; zimno było dokuczliwe, padał deszcz ze śniegiem. Zdawało się, że gwałtowna burza zmusiła oblegających i oblężonych do zawarcia rozejmu, i grzmot dział ucichł wobec przerażającego huku huraganu. Ulice były zupełnie puste, a zwierzchność miasta uważała, że wśród tak rozszalałej burzy niema zupełnie potrzeby strzec placu, na którym przytwierdzony był balon. Tak więc wszystko sprzyjało ucieczce więźniów, lecz jak dokonać jej wśród tak gwałtownej burzy!?...

W umówionym czasie zeszli się więźniowie. Obok łódki tak było ciemno, że się dostrzec nie mogli. Niebawem Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Nab, Harbert zajęli miejsca w łódce, a Penkroff, zgodnie z rozkazem inżyniera, odwiązywał zkolei worki balastu, poczem wsiadł także do łódki. Już mieli oderżnąć sznury i unieść się wgórę, gdy wtem pies jakiś jednym susem wskoczył do łódki. Był to Top, wierny pies

inżyniera, który, urwawszy się z łańcucha, pobiegł za panem. Cyrus Smith, bojąc się nadmiaru ciężaru, chciał oddalić biedne zwierzę.

— Ba! jednym mniej, jednym więcej! — zawołał Penkroff, wyrzucając z łódki dwa worki piasku.

Poczem zaraz puścił sznury: balon wzniósł się i, znikając w przestrzeni, uderzył łódką o dwa kominy, które rozwalił.

Huragan srożył się ciągle; w nocy ani podobna było spuścić się na ziemię, a gdy dzień nastał, gęsta mgła zasłaniała wszystko tak, że nie wiedzieli, czy grunt stały, czy woda roztacza się pod ich stopami. Dopiero w pięć dni później rozjaśniło się nareszcie o tyle, iż mogli dojrzeć, że pod balonem, unoszonym przez gwałtowny wicher niesłychanie prędko, niezmierzone płynie morze.

Pięciu ludzi i pies wznieśli się balonem dnia 20 marca, a widzieliśmy, że 24 marca czterech tylko rzuconych zostało na bezludne wybrzeże, przeszło o 6000 mil od ich kraju.

Tym sposobem nieszczęśliwi rozbitkowie utracili naturalnego przywódcę, inżyniera Cyrusa Smitha i, jak to powiedzieliśmy w pierwszym rozdziale, bez namysłu wszyscy rzucili się na jego ratunek.

Dnia 5 kwietnia jenerał Grant zajął Richmond, bunt separatystów uśmierzono. Lee cofnął się na zachód, sprawa jedności odniosła triumf.

ROZDZIAŁ III.

Piąta godzina wieczór. — Ten, którego brakuje. — Rozpacz Naba. — Poszukiwania na północ. — Wysepka. — Noc niespokojna. — Mgła poranna. — Nab rzuca się wpław w morze. — Widok ziemi. — Przepłynięcie kanału

Siatka rozerwała się, i pęd morski porwał inżyniera; pies jego znikł także. Wierne zwierzę rzuciło się na pomoc panu.

— Naprzód! — zawołał reporter.

I wszyscy czterej, zapominając o własnem utrudzeniu i wyczerpaniu sił, rozpoczęli poszukiwania. Biedny Nab płakał i rozpaczał na samą myśl, że może utracił wszystko, co kochał. Może we dwie minuty po spadnięciu na ziemię i zniknięciu Smitha towarzysze rozpoczęli poszukiwania, mogli więc mieć nadzieję, że ratunek nie będzie spóźniony.

— Szukajmy! szukajmy! — krzyczał rozpaczliwie Nab.

— Tak, poczciwy Nabie, będziemy szukali i znajdziemy.

— Żywego?

— Żywego!

— Czy umie pływać? — zapytał Penkroff.

— Umie — odrzekł Nab — a zresztą Top jest przy nim!..

Marynarz popatrzył na rozhukane bałwany i potrząsnął głową. Inżynier znikł na północ od wybrzeża, prawie o pół mili od miejsca, w którem rozbitki spadli na ziemię, jeśli więc zdołał wypłynąć na wybrzeże, to pewnie nie dalej jak o jakie pół mili.

Było około godziny szóstej, mgła się podniosła i bardzo zaciemniła horyzont. Rozbitki posuwali się w kierunku północnym, stąpając po tej nieznanej sobie ziemi, na którą los ich rzucił, a której położenia geograficznego wcale nie znali. Grunt był piaszczysty, pomieszany z kamieniami, o ile się zdawało, pozbawiony wszelkiej roślinności, a przytem nader nierówny, pełen rozpadlin, co bardzo utrudniało pochód. Z nor i rozpadlin wylatywały co chwila o ciężkim locie ptaki, uciekając w różnych kierunkach. Inne, szybsze, zrywały się stadami, rozlatując się jak chmury. Marynarzowi zdawało się, że są to mewy i mewki, których świst jakby przedrzeźniał szum morskich bałwanów; ale ciemność nie dozwalała mu przyjrzeć się dobrze.

Od czasu do czasu rozbitki zatrzymywali się, wydawali głośny okrzyk i słuchali, czy głos jaki nie odezwie się od strony oceanu, sądzili bowiem, że gdyby znajdowali się wpobliżu miejsca, w którem inżynier zdołałby dostać się na grunt, wtedy, choćby on nawet nie był w stanie dać znaku życia, szczekanie Topa dałoby im poznać, gdzie się znajdują. Lecz żaden odgłos nie wyróżniał się wśród szumu fal i ryku bałwanów; więc znów szli naprzód, przeszukując najmniejsze zakręty wybrzeża.

Tak szli ze dwadzieścia minut, gdy nagle zaskoczył im drogę przesmyk, na którym piętrzyły się bałwany; brakło im stałego gruntu, fale morskie szalały tuż przed nimi.

— To przylądek — rzekł marynarz — zawróćmy się i idźmy na prawo, a dojdziemy do lądu.

— A jeśli pan mój tu właśnie się znajduje? — zawołał Nab.

— Więc wołajmy!

I wszyscy razem wołać zaczęli, krzycząc, jak mogli najgłośniej; daremnie, tylko huk morskich fal rozlegał się w przestrzeni. Po chwili kilka razy jeszcze powtórzyli wołanie, ale również bezskutecznie.

Zawrócili się w przeciwną stronę przylądka; i tu grunt był piaszczysty i kamienisty, tylko nieznacznie wznosił się wgórę. Nie napotykali tak licznych stad ptaków, i nawet szum morski zaledwie słyszeć się dawał. Widać z tej strony przylądek tworzył małą przystań półkolistą, którą wysoki, ostry wierzchołek osłaniał nieco od bałwanów. Lecz, idąc w tym kierunku, szli ku południowi, to jest w stronę przeciwną tej, w której mógłby znajdować się Cyrus Smith. Szli dalej, mimo ogromnego znużenia, spodziewając się, że nareszcie uda im się gdzieś zawrócić ku północy. Uszedłszy tak z milę drogi, spostrzegli z rozpaczą, że znów morze zagradza im drogę. Stanęli właśnie na wzgórzu dość wysokiem, utworzonem ze śliskich skał.

— Jest to mała wysepka — zawołał Penkroff — i obeszliśmy ją dokoła.

I miał słuszność; biedni rozbitkowie znaleźli się nie na lądzie stałym, lecz na małej wysepce, zaledwie dwie mile długiej i zapewne dość wąskiej. Z powodu ciemności nie mogli rozejrzeć się w miejscowości, trzeba więc było odłożyć do następnego dnia poszukiwanie inżyniera, który żadnym głosem nie zdradzał swej obecności.

— Milczenie Cyrusa niczego nie dowodzi — rzekł reporter — może zemdlał lub raniony i chwilowo bezprzytomny, ale nie rozpaczajmy jeszcze.

Przyszła mu myśl zapalić wielki ogień, aby służył na znak inżynierowi, ale daremnie szukali drzewa lub gałęzi — na wysepce nie było nic, prócz kamieni i piasku. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz Naba i boleść współtowarzyszów, którzy szczerze przywiązali się do śmiałego i energicznego inżyniera; ale mimo najlepszych chęci z powodu ciemności obecnie nic dla ratowania go przedsięwziąć nie mogli. Musieli czekać jutra, a do tego czasu Cyrus Smith sam zdoła się uratować lub... zginie.

Straszne i ciężkie były do przebycia te długie godziny oczekiwania. Zimno dokuczało rozbitkom, ale nie czuli tego prawie; zapominając o sobie, myśleli tylko o ukochanym towarzyszu; nie chcieli tracić nadziei, przebiegali na wszystkie strony stromą, jałową wysepkę, powracając zawsze na jej kraniec północny, gdzie, jak mniemali, znajdowali się najbliżej miejsca smutnej katastrofy. Wołali, przysłuchiwali się, czy nie usłyszą wołania o ratunek, a krzyki ich musiały rozlegać się daleko, gdyż atmosfera uspokoiła się, i nawet szum fal morskich zaledwie słyszeć się dawał.

Raz nawet zdawało im się, że na krzyk Naba jakieś odpowiedziało echo.

— To dowodzi, że na zachód musi gdzieś niedaleko znajdować się wybrzeże — odezwał się Penkroff.

Lecz słabe to echo było jedyną na wołanie ich odpowiedzią; poczem wkoło głuche zaległo milczenie. Nareszcie noc minęła. Około piątej z rana mgła nie dozwalała jeszcze widzieć przed sobą dalej niż na dwadzieścia kroków. Nab i reporter wytężali wzrok na ocean, a marynarz i Harbert zwracali oczy ku wschodowi, chcąc dojrzeć tam wybrzeża.

— Nic można nic dojrzeć — rzekł marynarz — ale mniejsza o to, choć nie widzę, czuję, że tam jest ziemia, i jestem tego równie pewny, jak tego, żeśmy uciekli z Richmondu.

Nareszcie około wpół do siódmej, w trzy kwadranse po wschodzie słońca, mgła zaczęła stawać się coraz przezroczystszą, zgęszczała się w górze a opadała dołem, i wkrótce cała wysepka ukazała się, jakby zstąpiła z obłoków; zkolei powoli ukazało się wyraźnie morze,

okiem niezmierzone ku wschodowi, lecz od zachodu otoczone wyniosłem, jałowem wybrzeżem.

Tam, tam jest ziemia, tam przynajmniej czasowe zbawienie. Między ich wysepką a tem wybrzeżem znajdował się kanał pół mili szeroki, w którym toczył się prąd nadzwyczaj bystry. Mimo to jeden z rozbitków, idąc jedynie za popędem serca, nie pytając o radę, nie uprzedziwszy nawet towarzyszów, odważnie rzucił się w kanał. Był to Nab, który pragnął przepłynąć ku północnej stronie wybrzeża. Daremnie Penkroff wołał, aby się zatrzymał, murzyn nie odpowiedział nawet; reporter chciał się rzucić za nim, Penkroff go powstrzymał, pytając:

— Czy chcesz przepłynąć kanał?

— Tak jest — odrzekł Gedeon Spilett.

— Zatrzymaj się więc. Rzucając się wpław do kanału, w którym prąd jest tak bystry, wszyscy możemy potonąć. O ile mi się zdaje, zbliża się odpływ morza, poczekajcie trochę, a wtedy łatwo będzie przepłynąć.

— Masz słuszność — odparł reporter — dość już, że poczciwy Nab nas opuścił. O ile można, nie rozłączajmy się z sobą.

Nab walczył dzielnie z bystrym prądem kanału, który często odrzucał go w przeciwną stronę, mimo to dzięki wytrwałym usiłowaniom powoli zbliżał się do wybrzeża. Upłynęło przeszło pół godziny, nim zdołał przepłynąć półmilową przestrzeń, dzielącą wysepkę od przeciwległej ziemi; nareszcie dostał się na wybrzeże i znikł poza wysoką skałą. Towarzysze z niewypowiedzianym niepokojem śledzili rozpaczliwe jego usiłowania, a gdy już znikł im z oczu, wlepili wzrok w tę ziemię, na której mieli szukać przytułku. Posilili się małżami, rozrzuconemi na piasku; nieszczególne to było śniadanie, ale lepszy rydz, niż nic.

Przeciwległe wybrzeże tworzyło rozległą, ostro zakończoną zatokę, przedstawiającą się dziko i od strony południowej zupełnie pozbawioną roślinności. Jednym końcem dotykała wysokich skał granitowych. Ku północy tworzyła zaokrąglone wybrzeże; od strony, gdzie grunt wznosił się wyżej, żadnego nie było drzewa, ale na prawo, z przeciwnej strony, nie brakło zieloności. Z wysepki widać było ogromne masy wielkich drzew, których końca dojrzeć nie było można. Piękna zieloność mile nęciła oko, zasmucone nagromadzeniem skał granitowych. Na drugim planie, poza wysoką płaszczyzną, w kierunku północno-wschodnim, błyszczał wierzchołek biały, na który padały jasne promienie słoneczne. Był to jakby kapelusz śnieżny, włożony na szczyt oddalonej, wysokiej góry.

Niepodobna było rozeznać, czy ziemia ta stanowiła wyspę, czy też należała do stałego lądu, lecz na sam widok tych skał, piętrzących się na lewo, geolog poznałby ich pochodzenie wulkaniczne. Gedeon Spilett, Penkroff i Harbert nie spuszczali oka z tej ziemi, na której

może wypadnie im długie przeżyć lata, a może i umierać, jeśli okręty nie przepływają w tej okolicy.

— Cóż myślisz o tem wszystkiem, Penkroffie? — zapytał Harbert.

— Ha! zobaczymy. Jak we wszystkiem, tak i tu jest pewnie i złe, i dobre. Ale otóż czuję, że zbliża się odpływ morza; za trzy godziny spróbujemy przejść kanał, a raz dostawszy się na drugą stronę, postaramy się jakoś poradzić sobie i odszukamy pana Smitha.

Penkroff miał słuszność; podczas odpływu morza odkryło się prawie zupełnie piaszczyste dno kanału, a choć miejscami pozostała woda, można było przejść z wysepki na wybrzeże bez niebezpieczeństwa, gdyż największa głębokość nie przechodziła czterech stóp. To też Gedeon Spilett i towarzysze jego rozebrali się, związali rzeczy w węzełek i, trzymając je ponad głową, dostali się na nieznane wybrzeże, gdzie przedewszystkiem radzić zaczęli, co czynić dalej.

ROZDZIAŁ IV.

Litodomy. — Rzeka przy ujściu. — „Kominy” — Dalsze poszukiwania. — Las drzew zielonych. — Zapas opału. — Czekają na odpływ morza. — Z wierzchołka wzgórza. — Tratwy z drzewem. — Powrót na brzeg.

Umówiono się, że reporter uda się na poszukiwanie Cyrusa Smitha, a towarzysze czekać nań będą i zaraz postarają się o wygodniejsze miejsce spoczynku i o wyszukanie pożywienia, aby wzmocnić zwątlone siły.

Tak więc reporter zwrócił się w stronę, w którą pierwej już udał się Nab, a Harbert rzekł do Penkroffa:

— Cóż więc będziemy robili?

— Zaraz, zaraz, młody przyjacielu, trzeba postępować systematycznie, a jakoś to będzie. Tak tedy jesteśmy znużeni, poziębnięci i głodni; trzeba więc znaleźć miejsce spoczynku, drzewo i pożywienie. Drzewo znajdzie się w lesie, gniazda ptasie dostarczą jaj bardzo pożywnych — ale najtrudniejsza sprawa, gdzie i jak znaleźć schronienie.

— Pójdę szukać między skałami, a może znajdę grotę lub przynajmniej norę, w której pomieścićbyśmy się mogli.

— Dobrze, ruszajmy więc, mój chłopcze, ja także nie będę próżnował i szczerze ci dopomogę.

Zwrócili się na południe, gdyż Penkroff spostrzegł, że o jakie sto kroków od miejsca, w którem dostali się na wybrzeże, znajdował się wąski przesmyk, który według niego musiał być ujściem rzeki lub strumienia; a wiele im zależało, aby osiedlić się wpobliżu

wody bieżącej, zdatnej do picia, również zdarzyć się mogło, że prąd w tę właśnie stronę uniósł inżyniera.

Ściana skały granitowej, wznosząca się od morza na jakie trzysta stóp wysokości, była nadzwyczaj twarda, bałwany morskie zaledwie stopy jej obmywały i nigdzie nie utworzyły grot ani nawet rozpadlin, mogących ludziom służyć za schronienie. Ponad skałą unosiły się niezliczone stada ptaków wodnych, szczególniej z rodzaju pływających, z dużym, ostrym dziobem; ptactwo to nie lękało się bynajmniej obecności ludzi, zapewne po raz pierwszy widzianych, i możnaby upolować ich nadzwyczaj wiele — gdyby mieli broń. Penkroff pocieszał towarzysza, że w tym razie niewiele tracą, gdyż mięso tych ptaków a nawet i jaja są bardzo niesmaczne.

Zwróciwszy się nieco na lewo, Harbert ujrzał skały, pokryte porostami wodnemi, które odpływ morza odsłonił; wśród nich leżało mnóstwo małży o podwójnych skorupach, na które człowiek zgłodniały nie mógł patrzeć obojętnie. Chłopiec przywołał zaraz Penkroffa.

— Aha! to czarne ślimaki morskie — zawołał marynarz — wiwat! zastąpią nam jaja.

— Nie - - odrzekł Harbert, przypatrując się mięczakom, rozłożonym na skale — to nie ślimaki, tylko małże, zwane litodomami (Lithodomes).

— I to się da zjeść? — zapytał Penkroff.

— Z wielkim smakiem — odrzekł Harbert.

Penkroff mógł polegać na zdaniu młodzieńca, gdyż wiedział, że Harbert od najmłodszych lat z wielkiem zamiłowaniem uczył się nauk przyrodniczych. Ojciec jeszcze dał mu za nauczycieli najpierwszych profesorów Bostonu, którzy bardzo polubili pilnego, pracowitego i zdolnego chłopca. Zobaczymy, że jego wiadomości przyrodnicze jak obecnie tak i w dalszych przygodach bardzo się przydały.

Owe litodomy były to małże podłużne, bardzo mocno trzymające się skały; należały do rodzaju mięczaków, przedziurawiających najtwardsze kamienie, a nazwane są dwuskorupnemi z powodu, że ich konchy składają się z dwóch połówek; prócz tego, skorupy są zaokrąglone na obu końcach, co nie zdarza się u zwyczajnych ślimaków. Pootwierały się na słońcu; Harbert i Penkroff jedli je jak ostrygi; miały smak ostrawy, więc nie ubolewali, że nie mają korzeni.

Po tak pieprznem pożywieniu pragnienie gorzej jeszcze dokuczać im zaczęło, trzeba więc było wyszukać wody słodkiej, która musiała pewnie znajdować się niedaleko. Zabrawszy znaczny zapas muszli, przeszli ku dołowi wybrzeża. O jakie dwieście kroków doszli do miejsca, w którem, zgodnie z przypuszczeniem Penkroffa,

płynęła rzeka. Tu skała zdawała się rozdzielona skutkiem gwałtownego działania plutonicznego. Woda rzeki była czysta i przezroczysta i płynęła wśród rozpadniętej skały. Penkroff przekonał się, że podczas przypływu morza woda nie mieszała się z morskiemi falami, była więc dobra i zdatna do picia; ugasiwszy pragnienie, Harbert zawołał:

— Wybornie! mamy już wodę i las; brak nam tylko domu mieszkalnego.

Długo szukali daremnie, nareszcie przy samem ujściu rzeki, w położeniu wyższem, jak się zdawało, niż mogą dosięgnąć bałwany morskie podczas przypływu, odłamy skał utworzyły otwór, jaki często zdarza się napotykać w miejscowościach granitowych, a który nazywają „kominami". Obaj zapuścili się w to przejście piaszczyste. Światło dochodziło do niego przez szczeliny między odłamami granitu, z których niejeden tylko skutkiem równowagi utrzymywał się w swem położeniu. Lecz za światłem wicher i ostre zimno wdzierały się także do wnętrza; marynarz osądził jednak, że szczeliny te można będzie pozatykać mieszaniną kamieni i piasku i tym sposobem Kominy uczynić mieszkalnemi.

— No! dzięki niebu, mamy i mieszkanie; żeby tylko wynaleźć pana inżyniera, jestem pewny, że zrobi z tego wygodny apartament.

— O! bądź spokojny, jestem pewny, że go odszukamy, ale trzebaby urządzić dom na jego przyjęcie; a chcąc tego dokonać, musimy w lewym korytarzu urządzić ognisko i otwór, którymby dym mógł wychodzić.

— Da się to zrobić, mój chłopcze, tylko najpierw postarajmy się o materjał opałowy, a jak tylko pozatykamy otwory, przez które szatan wygrywa na swojej trąbie, Kominy staną się bardzo przyzwoitem mieszkaniem.

Szli teraz lewym brzegiem rzeki, której prąd był dość bystry i niósł kilka pni suchego drzewa. Zauważywszy to, pomyślał sobie Penkroff, że prąd ten można będzie spożytkować do transportowania ciężarów.

Po kwadransie doszli do miejsca, w którem rzeka nagle zwracała się na lewo i płynęła środkiem wspaniałego lasu drzew iglastych, właściwych wszystkim sferom i klimatom, tak polarnym jak zwrotnikowym. Szczególniej odznaczały się pięknym zapachem i zielenią wspaniałe deodary, bardzo pospolite w okolicach himalajskich. Grunt zaścielała wysoka trawa, po której stąpając, Penkroff uczuł suche gałęzie, trzeszczące mu pod nogami. Widząc, że Harbert bacznie przypatruje się drzewom, zawołał:

— Nie pora teraz na uczone badania, młody mój przyjacielu, ważniejsze mamy sprawy do załatwienia. Ja nic się na tem nie znam,

do jakiego gatunku należą te suche gałęzie, ale wiem o tem doskonale, że mogą stanowić dobry materjał opałowy — a to grunt dla nas.

— To go nazbierajmy — odrzekł Harbert, żwawo zabierając się do pracy.

Nie potrzebowali trudzić się odłamywaniem gałęzi, gdyż wiele ich bardzo leżało na ziemi; ułożyli już stos ogromny, gdy Harbert zwrócił uwagę towarzyszowi, że go przenieść nie zdołają.

— Na wszystko jest sposób, młodzieńcze, tylko trzeba go umieć wymyśleć; najłatwiej zaradziłby temu wóz albo statek, ale ich nie mamy.

— Ale zato mamy rzekę — odparł Harbert.

— Mądrze mówisz, mój chłopcze, niedarmo ludzie wymyślili tratwy; rzeka stanie się wygodnym traktem.

— Tak, tylko że morze zaczyna przypływać, więc trakt nasz pójdzie w przeciwnym kierunku — rzekł Harbert.

— Przypływa, to i odpłynie, musimy tylko poczekać, a odstawi nam drzewo do Kominów; tymczasem przygotujemy trochę.

Powiązawszy drzewo w wiązki łodygami suchych lian, każdy zabrał, ile mógł udźwignąć, i poniósł nad rzekę; tam także zebrali jeszcze mnóstwo leżących gałęzi i, ułożywszy stos ogromny, zaczęli pracować nad urządzeniem tratwy. Powybierali grube pniaki i te ułożywszy, powiązali lianami; tym sposobem sporządzili tratwę i zostawili ją nad wodą, a sami poszli jeszcze rozejrzeć się w miejscowości, korzystając z kilku godzin, które miały upłynąć do czasu odpływu morza.

Wszedłszy na wierzchołek skały, lekko pochylającej się ku skrajowi lasu, ujrzeli niezmierzony ocean i miejsce, w którem zniknął Cyrus Smith; zaczęli rozpatrywać się, czy nie dojrzą gdzie jakiego szczątka balonu, na którym człowiek mógłby się utrzymać, ale, jak okiem dojrzeć, widzieli tylko pustynię i morze. Nawet Naba i reportera nigdzie zobaczyć nie mogli. Nie trwożyli się tem jednak, wnosząc, że zaszli dalej, niż wzrokiem zasięgnąć można.

— Przeczucie mówi mi — rzekł Harbert — że człowiek tak mądry i energiczny, jak pan Cyrus Smith, nie mógł utonąć jak pierwszy lepszy śmiertelnik; on pewnie umiał sobie radzić i dostał się na wybrzeże.

Marynarz smutnie potrząsł głową; nie spodziewał się już zobaczyć inżyniera; lecz nie chcąc odbierać nadziei Harbertowi odpowiedział:

— Zapewne, zapewne, potrafi on dać sobie radę.

— Może już niezadługo wszyscy trzej powrócą.

Marynarz zamyślił się i po chwili rzekł, jakby do siebie:

— Czy to wyspa?

— W każdym razie, widać, jest bardzo rozległa — odrzekł Harbert.

— I cóż mi z tego? Największa wyspa zawsze jest tylko wyspą.

W każdym razie tej kwestji teraz jeszcze nie można było rozstrzygnąć; ale czy to była wyspa, czy ląd stały, położenie było dość ładne, grunt zdawał się urodzajny i mogący różne wydawać produkty.

— Wielkie to jeszcze szczęście, żeśmy się tu dostali, i powinniśmy kornie dziękować Bogu, że nas nie opuścił w nieszczęściu.

I, zamyśliwszy się nad tem, jaka przyszość czekała ich w tej nieznanej krainie, zwrócili się znów ku południowej stronie. Tu znaleźli gromady ptaków, gnieżdżących się w szczelinach skał; przypatrzywszy się im, Harbert zawołał:

— Ach! to są dzikie, tak zwane, skalne gołębie; poznaję je po podwójnych czarnych obwódkach na skrzydłach, po białym ogonie i niebiesko-popielatem upierzeniu. Mięso ich bardzo dobre; sądzę więc, że i jaja muszą być smaczne i, jeśli tylko znajdziemy je w gniazdach...

— Nie pozwolimy im się wylęgnąć, chyba pod postacią jajecznicy — odrzekł wesoło Penkroff.

— Tak, ciekawy jestem, w czembyś ją usmażył: może w kapeluszu?

— Tej sztuki nie potrafię, musimy więc zjeść je na miękko, jeśli się tylko znajdą — rzekł marynarz.

Zaczęli szukać pilnie w załomach i szczelinach granitu i rzeczywiście znaleźli i zabrali kilka tuzinów jaj, które pochowali w kieszenie i chustki, a ponieważ nadchodził czas odpływu morza, zwrócili się ku rzece. Była pierwsza godzina, gdy doszli do miejsca, gdzie złożyli drzewo na tratwie. Właśnie prąd wody się odwrócił, trzeba więc było korzystać z niego. Penkroff nie chciał ani sam wsiąść na tratwę, ani puścić jej na los szczęścia; w tym celu upłótł z suchych lian kilkosążniowej długości linę, sznur ten roślinny przytwierdził do tratwy jednym końcem, a drugi trzymał w ręce; Harbert zepchnął tratwę i podtrzymywał ją długą żerdzią.

Pomysł ten powiódł im się doskonale; tratwa posuwała się prądem wody i przed godziną drugą zatrzymała się u ujścia rzeki, o kilka kroków od Kominów.

ROZDZIAŁ V.

Urządzenie mieszkania w Kominach. — Ważna kwestja ognia. — Pudełko zapałek. — Poszukiwanie na wybrzeżu. — Powrót reportera i Naba. — Jedyna zapałka. — Suty ogień. — Pierwsza wieczerza. — Pierwsza noc na lądzie.

Gdy już tratwę drzewa wyładowano, Penkroff zajął się zaraz opatrzeniem przejść, przez które przechodził wielki ciąg powietrza, aby tym sposobem Kominy uczynić mieszkalnemi. Pozatykał szczeliny piaskiem, gałęziami, kamieniami i mokrą ziemią, zostawiając jeden tylko otwór, niby rurę do odprowadzania dymu. Kominy składały się z trzech czy czterech pokoików, jeśli można tak nazwać ciemne nory, które zaledwie dzikie zwierzę mogłyby zadowolić. Ale zawsze było to przynajmniej suche schronienie i szczególniej w środkowym pokoju można było stać prosto. Cienki piasek pokrywał grunt, w każdym więc razie można było poprzestać na tem, zanim będą mogli obmyśleć lub wynaleźć coś lepszego.

Pracując nad urządzeniem, rozmawiali z sobą.

— Może towarzysze nasi wynaleźli gdzie lepsze schronienie — rzekł Harbert.

— Być może, ale nie oglądajmy się na nich; pracujmy nad urządzeniem tego, jakie mamy — a jeśli będzie drugie, to od przybytku głowa nie boli.

— Ach! — zawołał Harbert — niech tylko odszukają pana Smitha, a nasze Kominy wydadzą mi się pałacem.

— Wierzę, bo też to był człowiek nielada.

— Był?... czy sądzisz, że już nie żyje?

— Broń Boże!... tak mi się jakoś wymówiło.

Po parogodzinnej pracy urządzili jako tako i zajęli w posiadanie Kominy, gdyż zachowali tę nazwę.

— No, teraz — rzekł Penkroff — towarzysze nasi mogą już wrócić, znajdą gotowe schronienie, trzeba tylko urządzić ognisko i przygotować wieczerzę.

Nie było to zbyt trudne zadanie. W głębi lewego korytarza ułożyli szerokie, płaskie kamienie, tuż przy pozostawionym ciasnym otworze, który miał stanowić komin; pomimo że z dymem uchodzić będzie wiele ciepła, pozostanie zawsze tyle, że w mieszkaniu swojem mieć będą dostateczną temperaturę. W jednym z „pokojów" złożyli sprowadzone wodą drzewo, a marynarz wziął kilka większych polan i ułożył na kamieniach, mających stanowić ognisko, poprzekładawszy je starannie drobnemi drewkami, aby się łatwiej zajęły. Widząc to, Harbert zapytał go, czy ma zapałki.

— A jakże! — odrzekł — i wielkie to szczęście dla nas, bo jakżebyśmy zapalili ogień bez zapałek, lub bez hubki.

— Moglibyśmy uciec się do środka, używanego przez dzikich, to jest trzeć jeden o drugi dwa suche kawały drzewa.

— Spróbuj tego sposobu, mój chłopcze, a jestem przekonany, iż jedynem jego następstwem będzie to, że się kaducznie zmęczysz.

— Jednakże jest to sposób bardzo prosty, używany często na wyspach oceanu Spokojnego.

— Nie będę ci przeczył, ale w takim razie dzicy muszą mieć sobie tylko znany sposób dokonania tego, lub też używają szczególniejszego drzewa, bo co do mnie, nieraz już próbowałem rozniecić ogień podobnym sposobem, ale nigdy mi się nie udało — to też stokroć wolę zapałki. Ale gdzież u licha podziałem swoje?

I zaczął szukać w kieszeni pudełka zapałek, które zawsze nosił przy sobie, gdyż był namiętnym palaczem. Daremnie jednak przeszukał wszystkie kieszenie, zapałek nie było w żadnej.

— A to straszna rzecz! — zawołał, patrząc z osłupieniem na Harberta — widać pudełko wypadło mi z kieszeni i zgubiłem zapałki. Ależ ty, Harbercie, musisz przecie mieć choćby krzesiwko, lub cokolwiek do zapalenia ognia?

— Nie mam nic.

Pudełko było mosiężne, więc łatwo możnaby je dostrzec; wyszli też obaj, ale, pomimo najstaranniejszych poszukiwań na piasku, nad wybrzeżem i między skałami, nigdzie go nie znaleźli.

— Może wyrzuciłeś je z łódki razem z innemi przedmiotami? — zapytał Harbert.

— Jakże też mógłbym popełnić podobną niedorzeczność! Ale przy takich wstrząśnieniach, jakim podlegaliśmy w balonie, tak mały przedmiot łatwo mógł się wysunąć, wszak mi i ulubiona fajka wypadła. Ach! gdzież ty jesteś, przeklęte pudełko?

— Morze odpływa — rzekł Harbert — pójdziemy jeszcze szukać w miejscu, gdzieśmy wczoraj spadli z balonem.

Było to o jakie dwieście kroków od Kominów, lecz i tu nie znaleźli pudełka; jeśli nawet tam upadło, fale morskie uniosły je podczas przypływu — a w obecnych okolicznościach była to strata nie do powetowania.

Penkroff zmarszczył czoło i milczał; chcąc go pocieszyć, Harbert zrobił uwagę, iż niema się czego smucić, gdyż zapałki musiały zapewne zwilgotnieć, więc i tak nie zapaliłyby się niezawodnie.

— Gdzież tam — odrzekł marynarz — były schowane w szczelnie zamykającem się, miedzianem pudełku. A teraz cóż poczniemy?

— Niezawodnie znajdzie się sposób roznieceenia ognia; pan Smith albo pan Spilett potrafią coś obmyśleć — rzekł Harbert.

— Być może, lecz nim to nastąpi, nie możemy rozpalić ognia i smutne przyjęcie gotujemy towarzyszom.

— Ależ to niepodobna, żeby który z nich nie miał hubki lub zapałek.

— Lękam się tego — odpowiedział marynarz, potrząsając gło-

wą. Pan Smith i Nab wcale nie palą, a co do pana Spiletta, ten pewnie więcej pilnuje notesika, niż pudełka z zapałkami.

Harbert mocno się zamyślił. — Bez zaprzeczenia—mówił sobie— bardzo przykry to wypadek, aleć przecie zaradzi się mu tym lub owym sposobem. — Penkroff przeciwnie, choć zazwyczaj nie lękał się byle czego, ale nauczony doświadczeniem znał trudność położenia. Po głębszem zastanowieniu doszedł do przekonania, że niema innej rady, jak czekać powrotu Naba i reportera. Trzeba się jednak było wyrzec jaj, które na wieczerzę przyrządzić zamierzał, a potem przerażała go smutna perspektywa żywienia się surowem mięsem.

W przewidywaniu, że może wypadnie im obyć się bez ognia, poszli zrobić zapas litodomów i, milcząc, wrócili do Kominów o godzinie piątej wieczorem.

Około szóstej, gdy słońce znikać już zaczynało, Harbert, który nieustannie wybiegał na wybrzeże, zwiastował nareszcie towarzyszowi powrót Gedeona Spiletta i Naba. Niestety! wracali sami. Smutne przeczucie marynarza spełniło się — nie mogli nigdzie odszukać inżyniera.

Gedeon Spilett, milcząc, usiadł na odłamie skały; znużony, zgłodniały, smutkiem znękany, słowa wymówić nie mógł.

Biedny Nab miał oczy zaczerwienione od płaczu, a gorące łzy, spływające ciągle po czarnej jego twarzy, mówiły jasno, że wszelką stracił nadzieję.

Posiliwszy się nieco, reporter opowiedział, jak obaj robili poszukiwania na kilkomilowej przestrzeni, a zatem znacznie jeszcze dalej, niż miejscowość, w której inżynier Cyrus Smith i pies jego Top zniknęli im z oczu, ale wybrzeże całe było zupełnie puste, nigdzie ani śladu kroków, nigdzie nie dostrzegli ani jednego świeżo poruszonego kamyka. Przekonali się, że cała ta przestrzeń była zupełnie bezludna, że nigdy może noga ludzka nie postała na tem wybrzeżu. Morze było równie puste jak wybrzeże i widać inżynier znalazł grób o kilkaset stóp od brzegu.

Usłyszawszy to, Nab zerwał się nagle i krzyknął głosem, zdradzającym głęboką nadzieję:

— Nie! nie! nie! Mój pan nie w grobie! on nie umarł! Nie! nie! to być nie może... On! on! miałby umrzeć?! niepodobna! Każdy inny mógłby zginąć — ale on nigdy! Ten człowiek zawsze i wszędzie radzić sobie umie...

Nagle siły go opuściły i upadł na skałę. Harbert pobiegł do niego.

— Nabie! — wołał — uspokój się, znajdziemy twego pana... Bóg nam go powróci... Jesteś nadzwyczaj znużony i zgłodniały... posil się trochę.

I podał biednemu murzynowi garść małży —- ale i tego nędznego

posiłku biedak przyjąć nie chciał. Utraciwszy pana, wierny sługa także chciał umierać.

Posiliwszy się nieco, Gedeon Spilett rzucił się na piasek u stóp skały; był nadzwyczaj znękany, lecz spokojny.

Harbert zbliżył się i rzekł, biorąc go za rękę:

— Chodź pan, noc zapada, znaleźliśmy tu nieco wygodniejsze schronienie, tam będziesz mógł odpocząć lepiej. Jutro zobaczymy, co czynić dalej...

Spilett powstał i poszedł z nim do Kominów. Wtem Penkroff przysunął się i najnaturalniejszym w świecie głosem zapytał, czy przypadkiem nie ma zapałek.

Spilett zatrzymał się, poszukał w kieszeniach, lecz nic nie znalazł, odpowiedział więc:

— Miałem w kieszeni, ale musiałem wyrzucić.

Marynarz poszedł do Naba, to samo zadał mu pytanie i tę samą otrzymał odpowiedź.

— Do kroćset!... — zaklął marynarz mimowolnie, ani jednej zapałki, więc ani myśleć o ogniu.

— Gdyby tu był mój pan, zarazby wam zrobił zapałki — zawołał Nab.

Wszyscy spoglądali na siebie z niewymownym niepokojem. Harbert pierwszy przerwał milczenie.

— Panie Spilett — rzekł — jesteś zapalonym palaczem, nosisz zawsze przy sobie zapałki, poszukaj jeszcze, może znajdziesz choćby jedną.

Reporter zaczął znów najuważniej przeglądać wszystkie kieszenie i nareszcie uczuł kawałek drzewa między kieszonką a podszewką kamizelki. Czuł go pod palcem, lecz nie mógł wyjąć: zapewne była to zapałka, ale jedna i jedyna, należało więc postępować bardzo ostrożnie, aby nie obetrzeć fosforu.

— Spuśćcie się na mnie— rzekł Harbert i, upatrzywszy mały otwór, potrafił nadzwyczaj zręcznie wydobyć nieuszkodzoną zapałkę, która dla nich była tak szacownym, nieocenionym skarbem.

— Zapałka! zapałka! — wołał radośnie Penkroff — dajże mi ten drogocenny klejnot.

Wszyscy poszli do Kominów.

Jakże ważnym stała się dla nich nabytkiem jedyna ta zapałka, jakich setki marnuje się w każdym domu. Marynarz trzymał ją bardzo ostrożnie, obejrzał, czy nie zwilgotniała, a widząc, że sucha, rzekł:

— Teraz potrzeba mi jeszcze kawałka papieru.

— Oto jest — odrzekł reporter, wydzierając kartkę z notesika.

Wziąwszy papierek, Penkroff przykucnął przed przygotowanem ogniskiem. Na trawie, liściach i suchym mchu ułożył wiązki chrustu

w ten sposób, aby powietrze mogło swobodnie przechodzić i suche drzewo prędko się zająć; następnie zwinął w trąbkę otrzymany kawałek papieru, jak to czynią zapalający fajkę na wielkim wietrze, i ustawił go wśród mchu. Teraz wziął mały ostry kamyk, obtarł go starannie i z mocnem biciem serca, zatrzymując oddech, lekko potarł zapałkę.

Pierwsze potarcie było bezskuteczne, gdyż potarł za słabo, bojąc się ułamać łebka z fosforem.

— Nie! nie potrafię... ręka mi drży... zapałka mogłaby się zepsuć... nie chcę... nie mogę... — wyjąkał — niech mnie Harbert zastąpi.

Biedny chłopiec może jeszcze nigdy w życiu nie był tak wzruszony! Serce biło mu gwałtownie — zdobył się jednak na odwagę i prędko potarł zapałkę o kamyk. Usłyszeli jakby syknięcie, i ukazał się mały, błękitny płomyk. Harbert wolno obrócił zapałkę, aby się lepiej rozpaliła, potem wsunął ją w trąbkę papierową; w parę sekund papier się zapalił, i zaraz mech zajął się od niego.

Niezadługo suche gałęzie zaczęły trzeszczeć, i jasny płomień, podsycany silnem dmuchaniem Penkroffa, zajaśniał w ciemności. Dym wychodził przygotowanym kanałem, i miłe ciepło rozeszło się dokoła.

Teraz należało już tylko czuwać, aby ogień nigdy im nie zagasł, a przynajmniej, aby iskry tliły w popiele — ale było to już łatwe zadanie, wymagające tylko uwagi, bo drzewa zbraknąć nie mogło.

Penkroff radośnie zacierał ręce i zaczął się krzątać około przyrządzenia nieco posilniejszej wieczerzy. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj i zaczął mu pomagać, a reporter usiadł w kącie i przypatrywał się w milczeniu. On myślał tylko o tem, czy Cyrus Smith żyje jeszcze — a jeżeli żyje, gdzie może się znajdować i jak to się stało, iż dotąd nie zjawił się jeszcze? Co do biednego Naba, ten błąkał się po wybrzeżu jak zaklęta dusza.

Penkroff uskarżał się, że nie może popisywać się swoją umiejętnością przyrządzania jaj, które na pięćdziesiąt sposobów przyprawiać umiał, i musi poprzestać na prostem włożeniu ich w ciepły popiół, aby się upiekły.

W kilka minut wieczerza była gotowa, i marynarz zaprosił reportera, aby w niej wziął udział. Wiadomo, że jaja zawierają części nader pożywne — tak więc pierwsza wieczerza na tych nieznanych brzegach, choć nader skromna, pokrzepiła siły biednych rozbitków.

Ach! gdybyż tylko jednego z nich nie brakowało na tej uczcie, gdyby wszyscy pięciu siedzieli przed tem ogniskiem, płonącem we wnętrzu skały, jakżeby gorąco dziękowali Bogu za cudowne ocalenie. Ale niestety! utracili najrozumniejszego, najuczeńszego towarzysza i nie mogli nawet wynaleźć i pogrzebać jego ciała.

Tak upłynął im dzień 25 marca; nareszcie noc zapadła. Słychać było, jak wiatr dął woddali i bałwany rozbijały się o morskie wybrze-

ża. Drobne kamienie, popychane falami w tę i ową stronę, spadały z ogłuszającym hałasem.

Reporter zanotował szczegółowo wszystkie wypadki i wrażenia w tym dniu doznane, poczem oddalił się w najciemniejszy kąt, rzucił się na piasek i znużony zasnął snem twardym. Harbert poszedł za jego przykładem; Penkroff położył się przy ognisku, lecz nie spał, drzemał tylko, zrywając się co chwila i dokładając drzewa, aby ogień nie zagasł. Sam tylko Nab nie chciał położyć się ani na chwilę; przez noc całą błąkał się po wybrzeżu, rozpaczliwym głosem przywołując swego pana.

ROZDZIAŁ VI.

Inwentarz rozbitków. — Nic. — Spalona bielizna. — Wycieczka do lasu. — Flora. — Ślad dzikich zwierząt. — Kuruku. — Cietrzewie. — Szczególniejsze rybołóstwo.

Łatwo i prędko da się sporządzić inwentarz ruchomości, posiadanych przez naszych rozbitków, których balon rzucił na te, o ile się zdaje, bezludne brzegi.

Słowem, nie posiadali nic prócz sukien, jakie mieli na sobie w chwili smutnego wypadku, prócz zegarka i notesika, które utrzymały się w kieszeni reportera — zresztą ani broni, ani żadnych niezbędnych narzędzi, ani nawet noża kieszonkowego. Wszystko wyrzucili z łódki, aby ulżyć balonowi.

Ani Robinson, ani Selkirk i Raynal nie byli tak zupełnie ze wszystkiego ogołoceni, albowiem mogli zużytkować szczątki rozbitego okrętu, zabierać z niego narzędzia, broń, zboże, bydło i różne zapasy, które starczyły choćby na niezbędne życia potrzeby. Nie byli więc zupełnie bezbronni wobec dzikiej przyrody, gdy tymczasem nasi rozbitkowie z balonu, pozbawieni najpierwszych potrzeb, musieli wszystko tworzyć z niczego.

Gdyby jeszcze choć Cyrus Smith był z nimi, gdyby uczony ten inżynier mógł przyjść z pomocą swoją praktyczną nauką, twórczym umysłem i zaradnością, wtedy położenie ich nie byłoby jeszcze tak rozpaczliwe. Niestety! biedni stracili już nawet nadzieję zobaczenia go jeszcze, a nie mogli liczyć na nic, jak tylko na własne usiłowania i na miłosierdzie Opatrzności, która ufających w nią nigdy nie opuszcza.

Przedewszystkiem należało osiedlić się w tej części wzgórza, a następnie starać się zbadać, czy należało do jakiego lądu, czy było zamieszkane, wreszcie, czy stanowiło tylko wybrzeża bezludnej wyspy; od tego bowiem zależały dalsze ich postanowienia. Jednakże Pen-

kroff radził, aby badania te odłożyć na kilka dni i najpierw zająć się wyszukaniem żywności, posilniejszej, niż jaja i mięczaki, urządzając długie wycieczki, które zapewne na ciężkie narażą ich trudy. Zapewne też podczas ich trwania nie znajdą schronienia, gdzieby spokojnie złożyć można głowę. Koniecznie zatem należało wypocząć i wzmocnić nadwątlone siły.

Jak na teraz, Kominy stanowiły dostateczne schronienie: ogień płonął, i łatwo było go utrzymać. Mięczaków i jaj na jakie takie pożywienie nie zabraknie w szczelinach skał i na wybrzeżu; setki stad gołębi unoszą się ponad wybrzeżem, toć przecież obmyślą sposób zabijania ich, choćby kijami lub kamieniami. Może w pobliskich lasach znajduje się drzewo, rodzące owoce, zdatne do jedzenia: woda słodka była niedaleko. Po namyśle uradzono tedy, że przez kilka dni jeszcze pozostaną w Kominach i zajmą się przygotowaniami do zamierzonej wycieczki na wybrzeża i w głąb kraju.

Postanowienie to wielce ucieszyło Naba, który wcale nie pragnął opuszczać miejsca, będącego widownią strasznego wypadku. Wszyscy byli przekonani, że Cyrus Smith zginął w nurtach oceanu — on jeden nie mógł w to uwierzyć. — Nie! to niepodobna — myślał sobie — aby taki człowiek zginął tak marnie, aby miał utonąć o kilkaset kroków od brzegu!... — Dopóki fale nie wyrzucą zwłok, dopóki ich się nie dotknie, nie uwierzy w śmierć swego pana; gdy raz przekona się o tem, wtedy pewno go nie przeżyje.

Dnia 26 marca, zaledwie ranek zaświtał, Nab pobiegł znów szukać pana. Harbert wynalazł sól, która po wyparowaniu wody pozostała w szczelinie skały, co bardzo ucieszyło rozbitków. Po śniadaniu, złożonem z litodomów i jaj gołębich, Penkroff zapytał reportera, czy pójdzie do lasu, gdzie on z Harbertem zamierzają próbować polowania. Stanęło jednak na tem, że Gedeon Spilett pozostanie, aby pilnować ognia i udzielać pomocy Nabowi, jeśliby tego zaszła potrzeba.

— Więc ruszajmy na polowanie, mój chłopcze — zawołał marynarz. — W drodze zaopatrzymy się w amunicję, a broń znajdziemy w lesie.

Już mieli odejść, gdy Harbert zrobił uwagę, że skoro nie mają hubki, dobrze byłoby zastąpić ją czemś innem.

— Czemże, naprzykład? — zapytał marynarz.

— Spaloną bielizną; próchno łatwo zastąpi hubkę.

Rada była dobra, ale chcąc ją wykonać, trzeba było poświęcić choć kawałek chustki od nosa. Ciężka to była ofiara, jednak ze względu na ważne okoliczności, marynarz spalił kawał swej kraciastej chustki. Zapalny ten materjał schowano starannie w „środkowym pokoju", w głębi szpary, znajdującej się w skale, aby wiatr ani wilgoć dostać się do niego nie mogły.

Około godziny dziewiątej Harbert i Penkroff weszli do lasu.

Tam marynarz odłamał dwie ogromne gałęzie i porobił z nich wielkie kije, a Harbert zaostrzył je na skalę, poczem zapuścili się w wysoką trawę i szli wybrzeżem ponad rzeką. Ku południo-zachodowi koryto rzeki znacznie się zwężało, a brzegi pokryte były drzewami; obawiając się zabłądzenia, postanowili iść z biegiem rzeki, ale była to dość trudna przeprawa. Zagradzały im drogę wątłe i giętkie gałęzie, spuszczające się aż ponad wodę, to znów liany i ciernie, które kijami rozrywać musieli. Harbert zwinny i lekki wybiegał często naprzód i znikał w zaroślach, ale marynarz przywoływał go natychmiast, zalecając, aby się nie oddalał.

Tak w lesie, jak i na całem wybrzeżu, nigdzie nie znaleźli śladu stopy ludzkiej, ale zato liczne dawniejsze i świeże ślady najrozmaitszych zwierząt czworonożnych; z tych niektóre należały widocznie do wielkich i dzikich. Marynarz uważnie rozglądał się wokoło, ale nigdzie nie dostrzegł ani znaku cięcia siekierą na drzewach, ani resztek wygasłego ognia. Słowem, nic nie zdradzało obecności człowieka, co raczej go pocieszało, niż zasmucało, gdyż wiedział, że na tym kawałku ziemi, zabłąkanym wśród oceanu Spokojnego, spotkanie się z dzikimi wcale nie było pożądane dla kilku bezbronnych rozbitków.

Szli milcząc i bardzo powoli, gdyż coraz większe trudności napotykali na drodze. Godzina upłynęła, uszli zaledwie milę i dotąd nic upolować nie mogli. Wprawdzie tu i ówdzie ptaki świergotały, ale latały tak wysoko ponad drzewami, jakby tajemny instynkt kazał im stronić od ludzi. W błotnistej części lasu Harbert spostrzegł ptaka z ostrym i długim dziobem, podobnego do zimorodka; różnił się jednak upierzeniem; pióra jego błyszczały metalicznym blaskiem.

— Zdaje mi się, że to żakamar (jacamar) — rzekł Harbert, próbując zbliżyć się do ptaka i stając w pewnej odległości.

— Dobrze byłoby przekonać się, jak on smakuje — rzekł marynarz — tylko nie wiem, czy zezwoli nam zabić się i upiec.

W tejże chwili kamień, zręcznie i trafnie rzucony przez Harberta, ugodził ptaka w skrzydło, ale widać uderzenie było za słabe, gdyż żakamar zerwał się i odleciał.

— Ach! jakżem niezgrabny! — zawołał młodzieniec.

— Eh! niekoniecznie, mój chłopcze, i najlepszy strzelec chybia czasem. Ale nie smuć się: co się odwlecze — to nie uciecze.

Im dalej zapuszczali się w głąb lasu, tem wspanialsze i rozłożystsze napotykali drzewa. Niestety, żadne nie rodziło zdatnych do jedzenia owoców. Penkroff upatrywał daremnie tych pięknych palm, które doskonale zużytkować można w potrzebach domowych, ale las ten składał się wyłącznie z drzew iglastych, a głównie z deodarów, tak zwanych „douglasów", podobnych do rosnących na brze-

gach północno-zachodniej Ameryki, i przepysznych sosen, mających po sto pięćdziesiąt stóp wysokości.

W tej chwili stado ptaszków, ślicznie ubarwionych, z długiemi, puszystemi ogonami, zerwało się z pomiędzy gałęzi, gubiąc swe słabo osadzone piórka, które puchem grunt zasłały. Harbert podniósł kilka piórek i, przypatrzywszy się im, rzekł:

— Są to ptaki, zwane „kuruku".

— Wolałbym, żeby to był cietrzew albo kura afrykańska, ale zresztą mniejsza o to, jeśli i te jakieś kukuryku dobre są do jedzenia — odrzekł Penkroff.

— Są bardzo smaczne, a mięso ich jest bardzo delikatne. O ile mi się zdaje, łatwo nam się uda zbliżyć do nich i zabić kilka przy pomocy kija.

Obaj ostrożnie posuwali się pochyleni aż do drzewa, na którego niższych gałęziach rozsiadły się małe ptaszęta, oczekując na przelatujące owady, któremi się żywiły.

Wtem nasi myśliwi wyprostowali się szybko i, zręcznie wywijając kijami, zmiatali całe szeregi biednych ptasząt, które, znienacka napadnięte, nie myślały o ucieczce i pozwalały się zabijać. Już kilkadziesiąt leżało na ziemi, zanim reszta zdobyła się na ucieczkę.

— To mi się podoba! — zawołał Penkroff — to właśnie zwierzyna jakby dla nas stworzona; możnaby je chwytać ręką.

Ponawlekali zabite ptaszki na giętką gałązkę, niby skowronki na sznurek, i w dalszą udali się drogę. Spostrzegli, że koryto rzeki zaczynało się wyginać i zwracać ku południowi, lecz zakręt musiał być nieznaczny, gdyż zapewne źródło rzeki znajdowało się w górach i tam zasilało się topniejącym śniegiem, pokrywającym szczyt środkowy.

Głównym celem tej wycieczki było zaopatrzenie się w zwierzynę, to też nie ustawali w poszukiwaniach. Marynarz mruczał i, prawdę mówiąc, zaklął niekiedy, ilekroć zwierzę, którego nawet rozpoznać nie miał czasu, uciekało i kryło się w wielkich trawach.

— Ach! żebym choć nóż albo Topa miał z sobą!... ale wierny pies zapewne zginął razem z panem.

Około trzeciej po południu nowe stada ptactwa zaczęły zjawiać się na niektórych drzewach i, siadając na najwyższych gałęziach, ogryzały ich aromatyczne owoce. Nagle odgłos trąb rozległ się po lesie; dźwięki te wydawało ptactwo z rodzaju kur, które w Stanach Zjednoczonych nazywają tetrasami (cietrzewie). Wkrótce ukazało się kilka par z upierzeniem płowo-brunatnem, z ciemno-brunatnemi ogonami. Penkroff pragnął koniecznie schwytać choćby jednego z tych ptaków, tak dużych jak kura, których mięso jest bardzo smaczne; trudne to było jednak zadanie, gdyż nie dały się podejść. Po wielu bezowocnych usiłowaniach, które daremnie płoszyły cietrzewie, marynarz rzekł do towarzysza:

— Skoro nie możemy ich zabić, spróbujmy złowić na wędkę.
— Jak ryby? — zapytał zdziwiony Harbert.
— A tak — odrzekł poważnie Penkroff.

Penkroff wynalazł w trawie z pół tuzina gniazd cietrzewi, a w każdem było po dwa lub trzy jaja; nie poruszał ich, gdyż był pewny, że właściciele niezawodnie do nich powrócą. Umyślił więc założyć na nich prawdziwe wędki z haczykami i, stanąwszy w pewnej odległości od gniazd, zabrał się do przygotowań. Harbert przypatrywał się z zajęciem, ale nie dowierzał, aby się to na co zdało. Wędki urządzał marynarz z cienkich lian, piętnaście do dwudziestu stóp długich, powiązanych z sobą; zamiast haczyków przymocował do końców grube, zakrzywione ciernie, które odłamał z krzaka karłowatej akacji. Za przynętę posłużyć miały wielkie, czerwone robaki, pełzające po ziemi.

Tak urządziwszy wędki, Penkroff podchodził ukryty w wysokiej trawie i końce wędek z haczykami zarzucał wpobliżu gniazd; drugie końce razem z Harbertem trzymali w rękach i ukryli się poza drzewami.

Po upływie pół godziny, zgodnie z przewidywaniem marynarza, kilka par cietrzewi przyleciało do gniazd swoich. Nie domyślając się zasadzki, skakały wesoło, uderzając dziobami o ziemię.

Młody Harbert patrzył z natężoną uwagą i mocno zaciekawiony zatrzyma oddech. Penkroff zaś wytrzeszczył oczy i otworzył usta, wystawiając wargi, jakby już miał skosztować kawałka cietrzewia. Ptaki tymczasem chodziły sobie spokojnie, nie zważając na sidła; wtedy marynarz lekko potrząsnął wędką, skutkiem czego robaki poruszyły się jakby żywe.

Te poruszenia zwróciły nareszcie uwagę cietrzewi. Ptaki więc rzuciły się na przynętę i niebawem trzy najżarłoczniejsze połknęły razem z przynętą i haczyki. Wtedy Penkroff szybko pociągnął wędkę, a trzepotanie skrzydeł zwiastowało, że ptaki się złapały.

— Wiwat! — krzyknął wesoło — i pobiegł po zdobycz.

Harbert radośnie klaskał w dłonie. Pierwszy raz w życiu widział łapanie ptactwa na wędkę, lecz marynarz powiedział mu, że to sposób wypróbowany i że nie może poszczycić się, aby był jego wynalazcą.

— Mój chłopcze — dodał — w naszem położeniu wypadnie nam pewnie nieraz do daleko dziwniejszych uciekać się sposobów.

Powiązali cietrzewie za nogi, i Penkroff, zadowolony z tego pierwszego polowania, widząc, że zaczyna się ściemniać, uznał za stosowne zawrócić ku Kominom. Nie mogli zabłądzić, gdyż i teraz trzymali się brzegów rzeki, i około godziny szóstej, mocno znużeni, wrócili do swego „mieszkania".

ROZDZIAŁ VII.

Nab nie wrócił. — Uwagi reportera. — Wieczerza. — Zapowiedź trudnej do przebycia nocy. — Straszna burza. — Wychodzą w nocy. — Walka z deszczem i wichrem. — O osiem mil od pierwszego obozowiska.

Gedeon Spilett stał nieruchomy z założonemi rękoma, wlepiając wzrok ku wschodowi, gdzie ponad morzem wielka czarna chmura szybko wznosiła się wgórę. Wiatr był silny przez cały dzień, a ku wieczorowi znacznie się jeszcze oziębiło; wszystko wokoło groźną zapowiadało burzę.

Harbert poszedł do Kominów, a Penkroff zbliżył się do stojącego na wybrzeżu reportera, mówiąc:

— Panie Spilett, ciężka noc nas czeka: wicher i ulewa, dopieroż to petrele radować się będą *).

Obudzony z zamyślenia reporter zwrócił się do marynarza:

— Jak ci się zdaje, w którem też miejscu łódkę odcięliśmy i pęd wiatru uniósł naszego towarzysza?

— Najdalej o paręset sążni stąd — odrzekł marynarz po chwili namysłu.

— Przypuszczając, że towarzysz nasz utonął, dziwna to jednak, że i pies jego Top także śmierć znalazł, i że morze nie wyrzuciło na brzeg zwłok Cyrusa Smitha, ani też psa jego.

— Nic dziwnego, skoro morze tak było wzburzone; a zresztą może prąd uniósł i rzucił je gdzie dalej.

— Więc jesteś przekonany, że towarzysz nasz utonął?

— Tak.

— A wiesz, iż niepodobnem wydaje mi się, aby Cyrus i Top zginęli tak bez śladu; może jeszcze żyją?

— Chciałbym temu wierzyć — odrzekł marynarz — ale doświadczenie moje nie dozwala mi się łudzić.

To powiedziawszy, Penkroff poszedł do Kominów, gdzie już Harbert rozniecił ogień, dorzucając suchych gałęzi; wielki płomień, strzelający dogóry, oświetlił najciemniejsze nawet zakątki...

Penkroff zabrał się zaraz do przyrządzenia obiadu, który chciał zrobić nieco posilniejszy, ze względu, że wszyscy byli wyczerpani z sił i potrzebowali pożywniejszego pokarmu. Kuruki zachował na jutro, a oskubał dwa cietrzewie i, wsadziwszy na kij niby na rożen, piekł przy mocnym ogniu.

Była już siódma wieczorem, a Nab jeszcze nie wrócił; tak długa nieobecność jego mocno zaniepokoiła pozostałych towarzyszów. Obawiali się, czy nie uległ wypadkowi, lub obłąkany rozpaczą nie odebrał sobie życia. Harbert tylko zupełnie przeciwne wyprowadzał wnioski. On mniemał, że skoro Nab nie wraca, to widać

---

*) Są to ptaki morskie, lubujące się w burzach.

nastręczyła mu się sposobność, skłaniająca go do przedsięwzięcia nowych poszukiwań, bo inaczej, cóż mogłoby go zatrzymywać? Może znalazł jakie wskazówki, jaki ślad kroków lub część ubrania inżyniera, i może właśnie w tej chwili wpadł już na trop, lub nawet odszukał pana...

Tak mówił młody Harbert, ale jeden tylko Gedeon Spilett podzielał jego nadzieję. Penkroff utrzymywał, że najpewniej Nab zapuścił się dalej, niż wczoraj, i dlatego dotąd nie wrócił.

Harbert chciał koniecznie biec szukać murzyna, lecz towarzysze przekładali, że w nocy i w czas tak szkaradny wycieczka jego na niccby się nie zdała, a nadto w żadnym razie nie powinni się już rozłączać. Jeżeli więc Nab nie wróci do jutra, wszyscy trzej pójdą go szukać. Harbert był posłuszny, ale dwie duże łzy spłynęły mu z oczu, tak żal mu było biednego murzyna. Widząc to, Gedeon Spilett serdecznie uściskał szlachetnego chłopca, który nie wahał się narazić na trudy i niebezpieczeństwo przez współczucie dla towarzysza niedoli.

Burza na dobre zaczynała szaleć; dął gwałtownie wiatr południowo-wschodni; morze z rykiem rozbijało się o nadbrzeżne skały. Deszcz, rozpylony huraganem, unosił się jakby mgła płynna; zdawało się, że szmaty pary uwijają się nad wybrzeżem, a leżące na niem drobne głazy, rzucane wichrem, taki wydawały odgłos, jakgdyby kto przewracał kupy kamieni. Wicher unosił tumany piasku, które mieszały się z ulewą; dym nie mógł wychodzić wąskim otworem, gdyż wiatr pędził go napowrót do wnętrza, skutkiem czego tak rozchodził się po wszystkich korytarzach, że wytrzymać w nich było niepodobna. I dlatego też zaraz po upieczeniu cietrzewi Penkroff zgasił ogień, starannie tylko podtrzymując zarzewie.

Już było po ósmej, a Nab nie wracał, wszelako teraz można było przypuścić, że powodem tego była burza, i że może schronił się w jaką rozpadlinę skały, aby w niej przeczekać wiatr lub przynajmniej dnia doczekać. Niepodobieństwem też było iść szukać go w nocy i podczas takiej zawieruchy.

Zasiedli do wieczerzy, na którą także nie mieli nic, prócz pieczonych ptaków, ale że mięso ich było wyborne, zajadali je więc z wielkim smakiem, a szczególniej Penkroff i Harbert, którym długa wycieczka dodała apetytu. Po wieczerzy udali się na spoczynek.

Im więcej noc zapadała, tem straszniej srożyła się burza.

Dął wicher, podobny do tego, który jeńców, uciekających z Richmondu, zapędził aż na te nieznane wybrzeża oceanu Spokojnego. Takie burze często zdarzają się tu podczas porównania dnia z nocą i szaleją tem gwałtowniej, iż wściekłość ich żadnej nie spotyka zapory na tej pustej i bezludnej części oceanu.

Szczęściem, skały olbrzymie, wśród których znajdowały się Kominy, były granitowe, nader mocno osadzone, a jednak mimo to zda-



...odłamy skał utworzyły otwór, który nazywają kominami (str. 22).

wało się nieraz, że zadrżały w podstawach. Penkroff położył rękę na ścianie skały i czuł pod nią drżenie, lecz nie przeraził się zbytecznie, gdyż zdawało mu się, iż mimo to improwizowane ich schronienie nie zapadnie się przecie. Słyszał jednak łoskot, jaki wydawały głazy, odrywane od szczytu i spadające na wybrzeże; niektóre nawet staczały się ponad Kominami i tam rozpryskiwały się w kawały. Dwa razy marynarz, czołgając się, dochodził do otworu ko-

rytarza, aby stamtąd wyjrzeć nazewnątrz, czy nie grozi im niebezpieczeństwo. Tym samym sposobem powracał na swoje miejsce przy ognisku i pilnował, aby zarzewie nie zagasło.

Harbert spał spokojnie mimo wściekłości huraganu, ryku burzy i huku grzmotów; Penkroff, który w długim swoim zawodzie oswoił się z niebezpieczeństwami, wkrótce poszedł za jego przykładem. Sam tylko Gedeon Spilett czuwał ciągle — niepokój sen spędzał mu z powiek. Wyrzucał sobie, że nie towarzyszył Nabowi; on, równie jak Harbert, nie mógł wyrzec się nadziei, iż Smith żyje, i że go odszukają.

— Czemu Nab nie wraca?... czy odkrył jakie poszlaki?... — I tak myślał, myślał, przewracając się na piaszczystem łożu, nie troszcząc się o walkę żywiołów... Niekiedy zamykał na chwilę oczy, pokonany znużeniem, lecz niebawem budziła go nagle jakaś myśl, i zrywał się na nogi.

Oddawna już ponure cienie nocy pokryły wybrzeże i była pewnie druga po północy, gdy nagłe szarpnięcie zbudziło Penkroffa, śpiącego snem twardym.

— Co się stało? — zawołał, zrywając się zupełnie przytomny, gdyż długa służba morska oswoiła go z wszelkiemi niespodziankami.

Gedeon Spilett stał nad nim pochylony, mówiąc:

— Czy słyszysz, Penkroffie?... Słuchaj! słuchaj!

Marynarz nadstawił ucha, ale nie słyszał nic, prócz huku fal morskich.

— To wicher i szum bałwanów.

— Ale nie! — odrzekł reporter, przysłuchując się. — Mnie się zdaje, że słyszę...

— Co takiego?

— Szczekanie psa.

— Szczekanie psa! — krzyknął Penkroff, odrazu stając na nogi.

— Tak... wyraźnie...

— Ależ to niepodobna!... — odrzekł marynarz — skądby się wzięło, zresztą wśród tego ryku burzy...

— Ach! słuchaj teraz! — zawołał Gedeon.

Penkroff natężył słuch, i rzeczywiście zdało mu się, że w chwili przelotnego uciszenia się burzy, doleciało go oddalone szczekanie.

— A co?... — rzekł reporter, ściskając dłoń marynarza.

— Tak... tak... masz pan słuszność.

— Ach! Top!... Top! — krzyknął, zbudzony nagle ze snu, Harbert, i wszyscy trzej rzucili się ku wyjściu.

Wiatr dął tak gwałtownie, iż z trudnością wyjść mogli, gdyż odpychał ich ciągle do wnętrza, i dopiero, opierając się o skały, zdołali utrzymać się na nogach.

Ciemność zalegała dokoła; morze, niebo, ziemia w jedną czarną stopiły się całość, w całej atmosferze nie widać było najmniejszego atomu rozprószonego światła. Przez kilka minut stali, miotani gwałtownym wichrem, deszcz lał na nich strumieniem, piasek zasypywał oczy.

Tak, było to szczekanie Topa; ale czy z kim, czy sam tylko wracał? Zdaje się, że gdyby szedł za Nabem, już dawno byliby wpadli do Kominów.

Nie mogli się słyszeć, to też marynarz ścisnął tylko dłonie towarzyszów, jakby im mówił: czekajcie! Powrócił do Kominów, skąd wyszedł za chwilę, trzymając w ręku pęk zapalonego łuczywa. Bujał niem w powietrzu i świstał, jak mógł, najgłośniej. W tejże chwili dało się słyszeć bliższe i głośniejsze szczekanie, i, jakby tylko oczekując tego znaku, pies wpadł gwałtownie do korytarza. Penkroff, Harbert i Gedeon Spilett pobiegli za nim, jak mogli najprędzej. Marynarz dorzucił na ogień garść łuczywa, jasny płomień wystrzelił wgórę i oświetlił korytarz.

— Top! Top! — krzyknął Harbert.

Rzeczywiście był to Top, ulubiony pies inżyniera Cyrusa Smitha; ale był tylko sam, nie towarzyszył mu ani pan jego, ani Nab.

Jakimże sposobem instynkt jego doprowadził go do Kominów, których nie znał wcale, i to jeszcze wśród nocy i takiej burzy?! Drugi fakt dziwniejszy jeszcze — Top nie był ani zbiedzony, ani nawet zabłocony.

Harbert przyciągnął go i łeb jego położył na swoich kolanach, głaszcząc i pieszcząc; pies radośnie ocierał się o niego.

— Skoro pies powrócił, znajdziemy i jego pana — rzekł uradowany reporter.

— Daj to Boże! — odrzekł Harbert. — Chodźmy szukać pana inżyniera, pies nas zaprowadzi.

— Chodźmy! — odrzekł marynarz i reporter.

Penkroff zgarnął starannie węgle w ognisku i ułożył pod popiołem kilka nowych kawałków drzewa, aby zastali ogień za powrotem. Następnie zabrał resztki wieczerzy, i wszyscy wyszli z Kominów, idąc za Topem, który wyraźnie dawał im do zrozumienia, że ich poprowadzi.

Burza szalała wściekle; zdawało się, że dochodzi największej gwałtowności. Był to nów księżyca; blade promienie jego nie przebijały z poza chmur, zatem bardzo było trudno pociemku iść w prostej linji. Postanowili spuścić się na instynkt Topa.

Najpierw tedy szedł pies, potem Harbert i Gedeon Spilett a Penkroff zamykał pochód. Mówić było niepodobna; deszcz nie był ulewny, gdyż wir huraganu rozpylał go prawie, ale burza ryczała zawzięcie. Szczęściem jedna okoliczność sprzyjała pochodowi rozbitków; wiatr dął od południo-wschodu, a więc popychał ich naprzód;

tumany piasku uderzały ich w plecy, tak więc, byle się nie odwracali, nie potrzebowali lękać się o oczy. Wprawdzie nieraz musieli iść prędzej, niżby chcieli, ale nadzieja, że tym razem nie trudzą się naderemnie, podtrzymywała ich siły. Byli niemal pewni, że Nab odszukał pana i wyprawił do nich poczciwe psisko. Ale czy Cyrus Smith żył jeszcze? A może Nab wzywał tylko jego towarzyszów, aby mu ostatnią oddali posługę?

Po upływie kwadransa zatrzymali się w załomie skały, osłaniającym ich od wichru, aby odetchnąć swobodniej i wypocząć nieco po tak szybkim biegu.

Tu mogli słyszeć się i rozmawiać. Gdy Harbert wymienił nazwisko Cyrusa Smitha, Top zaczął szczekać, jakby chcąc dać do zrozumienia, że pan jego ocalony.

— Pan twój żyje, wszak prawda, Top? — zapytał Harbert.

A Top szczekał na odpowiedź.

Było około wpół do trzeciej, gdy znów puścili się w drogę. Morze zaczynało przybierać, a przypływ, pędzony wiatrem, zapowiadał się groźnie. Gdy tylko wyszli ze swego ukrycia wśród skał, wiatr znów gwałtownie miotać nimi zaczął; mocno pochyleni, szli bardzo prędko, nadstawiając mu plecy, a Top biegł tak śmiało, iż widać było, że wie, dokąd ich prowadzi. Zdążali ku północy; po prawej stronie roztaczało się nadzwyczaj wzburzone morze, po lewej okolica, której ciemność nie dozwalała widzieć. O czwartej zdawało się, że uszli z pięć mil drogi. Chmury podniosły się nieco i już nie dotykały ziemi; wiatr od morza nie był już tak mroźny, ale zato bardzo wilgotny. Ubranie nie zabezpieczało ich od zimna, to też przeziębli bardzo, jednak najlżejsza skarga z ust ich nie wyszła; postanowili sobie iść jak najdalej za rozumnem zwierzęciem.

O piątej dnieć zaczęło. Na wierzchołkach bałwanów ukazały się płowe odbłyski; piana pobielała. Na lewo wydatniejsze części wybrzeża zaczęły rysować się nieznacznie. Był to tylko jakby szary odcień na tle czarnem.

O szóstej dzień zajaśniał zupełny; chmury wzniosły się do góry. Marynarz i jego towarzysze znajdowali się wtedy blisko o sześć mil od Kominów.

Szli po płaszczyźnie, otoczonej skałami, których szczyty tylko widać było, gdyż morze przybrało. Na lewo rozciągało się wybrzeże, przedstawiające widok dzikiej, piaszczystej pustyni. Całe to wybrzeże nie przedstawiało oceanowi innej zapory, nad dość nieregularny łańcuch małych wzgórz; tu i ówdzie parę drzew pochylało się ku zachodowi. Daleko na południo-zachód ukazywał się skraj lasu.

W tej chwili Top zaczął okazywać żywy niepokój: to biegł naprzód, to wracał do marynarza, jakby nalegając, aby szedł prędzej. Nagle pies opuścił płaszczyznę i, jakby cudownym wiedziony instynk-

tem, bez wahania wbiegł między piaszczyste wzgórza, ciągnące się wzdłuż morza.

Trzej towarzysze poszli za nim. Zdawało się, że to okolica zupełnie bezludna, żadne żyjące stworzenie jej nie ożywiało. Wzgórza rozrzucone były tak fantastycznie, iż trzeba było nadzwyczajnej baczności, aby nie zbłądzić.

W pięć minut po zejściu z płaszczyzny marynarz i dwaj jego towarzysze stanęli przed otworem, wydrążonym w dość wysokiem wzgórzu; tutaj Top się zatrzymał i zaszczekał głośno, Spilett, Harbert i Penkroff weszli do groty.

Tu Nab klęczał przed martwem ciałem, leżącem na łożu z mchu i trawy...

Był to inżynier Cyrus Smith!...

ROZDZIAŁ VIII.

Cyrus Smith żyje. — Opowiadanie Naba. — Ślady nóg. — Sprawa nierozwiązana. — Pierwsze wyrazy Cyrusa Smitha. — Stwierdzenie śladów. — Powrót do Kominów. — Rozpacz Penkroffa.

Nab ani się poruszył.

— Czy żyje jeszcze? — zapytał go marynarz.

— Nie! nie! — odpowiedział.

Gedeon Spilett i Penkroff zadrżeli z przerażenia, twarze ich pobladły; Harbert załamał ręce i stał nieruchomy. Co do biednego murzyna, ten pogrążony w rozpaczy nie wiedział nic, nie słyszał słów swych towarzyszów.

Reporter ukląkł przy nieruchomem ciele, rozpiął ubranie i przyłożył ucho do serca. Upłynęła minuta, która oczekującym wydawała się wiekiem — a on słuchał, chcąc dobadać się uderzeń serca.

Nab podniósł nieco głowę i patrzył, nie widząc. Rozpacz zmieniła go do niepoznania; serce pękało mu z boleści, gdyż pewny był, że pan jego nie żyje.

Nareszcie po długiem badaniu Gedeon Spilett powstał, mówiąc:

— Żyje!

Teraz zkolei Penkroff ukląkł obok inżyniera; i on także pochwycił słabe uderzenia serca i słaby oddech, wydobywający się z rozwartych ust nieruchomego Cyrusa Smitha.

Harbert pobiegł co prędzej szukać wody. O jakie sto kroków znalazł czysty strumyk, zwiększony widać wczorajszym deszczem, ale nigdzie nie było ani śladu muszli lub skorupy, w którąby jej nabrać można. Widząc, że niema innego środka, poradził sobie w ten sposób, iż zmaczał mocno chustkę w strumieniu i pobiegł z nią co prędzej do groty.

Gedeon Spilett pragnął tylko zwilżyć usta inżyniera, mógł więc poprzestać na mokrej chustce. To dotknięcie zimnej wody podziałało natychmiastowo: pierś Cyrusa Smitha podniosła się westchnieniem, a po chwili zdawało się nawet, że pragnąłby przemówić.

— Uratujemy go! — zawołał reporter.

Nab oprzytomniał, usłyszawszy te słowa; z polecenia reportera rozebrał pana, aby można było przekonać się, czy nie poniósł jakiej rany. I dziwna rzecz; zdaje się, że wyrzucone z łódki ciało musiało tu i ówdzie obijać się o skały, a jednak nigdzie nie było ani ran, ani śladów stłuczenia; na rękach nawet najlżejszego zadraśnięcia. Zaszło więc coś nadzwyczajnego, ale wytłumaczyć sobie tego nie mogli. Sam tylko Cyrus Smith będzie mógł objaśnić im tę nadzwyczajną okoliczność. Lecz teraz inżynier leżał bezprzytomny, i należało przedewszystkiem wrócić go do życia. Zdawało im się, że rozcieranie najprędzej doprowadzi do tego celu, a więc zaczęli nacierać go wełnianym kaftanem marynarza. Rozgrzany mocno, inżynier zaczął dawać znaki życia; naprzód lekko poruszył ręką, a następnie słychać było regularniejszy oddech. Długie zemdlenie wynikało z głodu i znużenia i, gdyby towarzysze nie przyszli mu z pomocą, Cyrus Smith jużby się nie obudził.

— Byłeś przekonany, że pan twój nie żyje? — zapytał Naba marynarz.

— Ach! tak — odrzekł murzyn — i gdyby Top nie był was sprowadził, byłbym pogrzebał ukochanego mego pana i sam spoczął obok niego snem wiecznym.

Widzicie, młodzi czytelnicy, że o mało co inżyniera nie pogrzebano żywcem.

Teraz Nab opowiedział towarzyszom, że, gdy w przeddzień przed świtem wyszedł z Kominów, przeszedł wybrzeże w kierunku północnym i doszedł do raz już zwiedzanej części wyspy. Przeszukał najuważniej całą tę przestrzeń, obszedł wszelkie zagłębienia i przejścia między skałami, przypatrywał się bacznie, czy na piasku nie dojrzy śladów, według których mógłby się kierować. Nie miał już nadziei, że dobrego pana swego znajdzie jeszcze żyjącym, szukał więc tylko zwłok jego, chcąc go własnemi pogrzebać rękami.

Szukał, szukał długo, lecz daremnie; zdawało się, że nigdy dotąd noga ludzka nie stąpała po tem wybrzeżu. W miejscach, gdzie przypływ morza nie dosięgał, napotykał miljony muszli; wszystkie były nienaruszone. Na przestrzeni dwustu do trzystu jardów, nie było ani śladu dawnego lub świeżego wylądowania. Wtedy Nab poszedł o kilka mil dalej, sądząc, że może prąd morski lub wicher poniósł ciało gdzieś daleko, gdyż najczęściej tak bywa, że jeśli zwłoki unoszą się w niewielkiej odległości od piaszczystego wybrzeża, prędzej czy później morze je na ląd wyrzuca. Wiedząc o tem, Nab pragnął koniecznie odszukać nieodżałowanego pana, aby go raz jeszcze zobaczyć.

Zaszedłem jeszcze kilka mil dalej — mówił — lecz wszędzie szukałem daremnie, i już rozpacz ogarniać mnie zaczęła, gdy wtem wczoraj wieczór około godziny piątej dostrzegłem na piasku ślady stóp.

— Ślady stóp — krzyknął Penkroff.

— Tak — odrzekł Nab.

— I ślady zaczynały się zaraz przy skałach? — zapytał reporter.

— Nie — odrzekł Nab — tam dopiero, gdzie nie dosięgają wody morskie podczas przypływu; bliższe woda zatrzeć musiała.

— Cóż dalej? — zapytał reporter.

— Ujrzawszy ślady stóp, myślałem, że oszaleję z radości. Ślady te były zupełnie wyraźne i kierowane ku wybrzeżu. Śledziłem je, biegnąc jak szalony, uważałem wszelako, aby ich nie zatrzeć. Noc zaczynała zapadać, gdy usłyszałem szczekanie psa; był to wierny Top, który przybiegł i doprowadził mnie do tej groty.

Tu opowiadał, jak bezmierna przygniotła go boleść, gdy ujrzał pana swego bez życia; próbował wszelkiemi sposobami, czy nie uda mu się go otrzeźwić — wszelkie jednak usiłowania były bezskuteczne.

Biedny Nab pomyślał wtedy o współtowarzyszach, którzy pewnie pragnęliby zobaczyć inżyniera raz jeszcze. Spojrzał na Topa. Czyż nie może się spuścić na zmysł wiernego zwierzęcia?... Wtedy to wymówił kilkakrotnie nazwisko reportera, gdyż jego Top znał najlepiej, a następnie wskazał mu stronę południową; pies pobiegł natychmiast we wskazanym kierunku. I widzieliśmy, jak, wiedziony nadprzyrodzonym prawie instynktem, trafił do Kominów, choć nigdy przedtem w nich nie był.

Zgromadzeni z wielką uwagą słuchali opowiadania Naba. W żaden sposób pojąć nie mogli, jak się to stało, że Cyrus Smith, który zapewne musiał długo walczyć z rozhukanemi wśród skał falami, nigdzie nawet zadraśnięty nie został. Niepodobna także było wytłumaczyć, jakim sposobem inżynier mógł dostać się do groty, ukrytej wśród wzgórz, przeszło o milę od wybrzeża odległej.

— Więc to nie ty, Nabie, przeniosłeś tu swego pana? — zapytał reporter.

— Nie ja — odrzekł.

— Widoczna rzecz, że pan Smith sam tu przyszedł — rzekł marynarz.

— Widoczna, lecz prawie niepodobna do wiary — odrzekł Gedeon Spilett.

Tylko od samego inżyniera można się było spodziewać rozwiązania tej zagadki, trzeba jednak było czekać, aż odzyska przytomność i mowę. Szczęściem, widocznie przychodził do siebie; rozcieranie przywróciło obieg krwi. Teraz Cyrus Smith znowu poruszył ręką, potem powoli obrócił głowę, z ust uleciało kilka słów niezrozumiałych.

Nab, pochylony nad nim, wypowiadał swoją radość, lecz zdawało się, że pan jego nic nie słyszy: oczy wciąż miał zamknięte, i tylko lekkie ruchy zdradzały życie. Dotąd jednak nie odzyskiwał przytomności.

Penkroff żałował bardzo, że zapomniał przynieść próchna, z którego pomocą możnaby może rozniecić ogień, krzesząc iskry krzemieniem. W kieszeniach inżyniera nie znaleźli nic, prócz zegarka. Nie było rady, należało jak najśpieszniej przenieść osłabionego do Kominów. Na tem też stanęło.

Starania jednak, jakiemi nieustannie otaczano Cyrusa Smitha, prędzej, niż można się było spodziewać, przywróciły mu przytomność. Ożywiała go woda, którą ciągle zwilżano mu usta, Penkroffowi przyszła myśl wycisnąć sok z przyniesionych z sobą tetrasów, więc, pomieszawszy go z wodą, wpuszczał po kropelce w usta zemdlonego. Widząc to, Harbert pobiegł na wybrzeże, przyniósł kilka złożonych muszli; marynarz wycisnął je do pierwotnie przyrządzonego soku i wlewał w usta inżyniera, który zdawał się połykać sok z chciwością.

Po chwili otworzył oczy. Nab i reporter pochyleni byli nad nim.

— Mój pan, mój ukochany pan! — krzyczał radośnie murzyn.

Cyrus Smith usłyszał te słowa a nadto poznał wszystkich zkolei towarzyszów i uścisnął ich dłonie.

I znów z ust jego wyszło kilka słów, zapewne tych samych, które już pierwej próbował wymówić. Dawały one poznać, co nawet w owej chwili głównie zajmowało myśl jego. Teraz zrozumieli je wszyscy.

— Czy to ląd, czy wyspa? — wyszeptał.

— A pal licho! — zawołał marynarz, nie mogąc powstrzymać tego marynarskiego wykrzyku. — Co nas to obchodzi, byleś ty nam żył, panie Cyrusie. Będzie dość czasu myśleć o tem!

Cyrus Smith skinął lekko głową; zdawało się, że zasnął.

Nie przerywali snu jego, i zaraz reporter zajął się obmyśleniem jak najwygodniejszego sposobu przeniesienia inżyniera do Kominów. Nab, Harbert i Penkroff wyszli z groty i skierowali kroki ku niezbyt odległemu wzgórzu, na którego wierzchołku rosło kilka nędznych drzew; idąc, Penkroff powtarzał:

— To mi dopiero; tchu w nim prawie jeszcze niema, a on już łamie sobie głowę, czy to ląd, czy wyspa. Szczególny człowiek!

Wyszedłszy na szczyt wzgórza, zaczęli obłamywać największe gałęzie dość nędznej sosny karłowatej, z której urządzili rodzaj noszów, aby, nakrywszy je następnie mchem i trawą, przenieść inżyniera do Kominów.

Robota ta zajęła im przeszło pół godziny. Była już dziesiąta, gdy powrócili do groty, w której Gedeon Spilett czuwał nad towarzyszem. Cyrus Smith wtedy właśnie zaczynał budzić się ze snu, czyli raczej z senności, w jakiej był pogrążony; twarz dotąd martwo blada

zaczęła zwykłą odzyskiwać cerę. Uniósł nieco głowę, rozejrzał się wokoło, jakby pytając się, gdzie się znajduje.

— Czy możesz słuchać mnie bez znużenia? — zapytał reporter.

— Mogę — odpowiedział cicho.

— Mojem zdaniem — rzekł marynarz — pan Smith daleko lepiej pana słuchać będzie, jeśli pierwej posili się moją przyprawką z tetrasów, do której teraz dołożę okruszynę mięsa.

Cyrus Smith przeżuł i wyssał sok z odrobinek mięsa tetrasów, a resztę zabranego posiłku spożyli jego towarzysze, którym także głód uczuwać się dawał. Tym razem bardzo nędzne mieli śniadanie.

— Ha! trudna rada — rzekł marynarz. — W Kominach czeka nas lepszy posiłek, bo trzeba ci wiedzieć, panie inżynierze, że tam na południu mamy dom, złożony z kilku pokojów, mamy łóżko i ogień, a w śpiżarni kilka tuzinów ptaków, które młody nasz Harbert nazywa kuruku. Nosze już gotowe, jeżeli więc czujesz się pan na siłach, przeniesiemy cię do naszego mieszkania.

— Bóg wam zapłać, moi drodzy. Sądzę, że za parę godzin przyjdę o tyle do siebie, iż będziemy mogli opuścić grotę... A teraz, co chciałeś mówić, Gedeonie?

Reporter opowiedział mu wszystko, co zaszło od ostatecznego rozbicia się balonu, o którem Cyrus Smith nic już nie wiedział: ich dostanie się na tę pustą i nieznaną ziemię, o której nie umieli powiedzieć, czy była wyspą, czy lądem, odkrycie Kominów, poszukiwania, przedsiębrane dla wynalezienia go, nieograniczone przywiązanie poczciwego Naba i jak wiele zawdzięczają zmyślności Topa.

— Więc — zapytał inżynier osłabionym głosem — więc to nie wy przynieśliście mnie tu z wybrzeża?

— Nie — odrzekł reporter.

— Jak daleko leży ta grota od skał nadbrzeżnych? — zapytał znowu.

— Blisko o pół mili — odrzekł Penkroff — i wierzaj mi, że niemniej od ciebie jesteśmy zaciekawieni i zdziwieni, jakim sposobem mogłeś się tu dostać?

.. — Rzeczywiście, to rzecz szczególna — rzekł inżynier, który coraz był rzeźwiejszy. — Nie mogę tego pojąć.

— Lecz czy nie mógłbyś powiedzieć nam, co się z tobą działo od chwili, gdy pęd wichru uniósł cię z łódki?

Cyrus Smith zamyślił się, ale mało co sobie przypominał. Wir wichru rozerwał siatkę i porwał go z łódki balonowej, a następnie zanurzył w głębokich falach morskich. Gdy wypłynął na powierzchnię, było prawie ciemno, nie widział więc, lecz czuł, że jakaś żyjąca istota porusza się koło niego; był to wierny Top, który pośpieszył mu z pomocą. Podniósł oczy wgórę, nie dostrzegł już jednak balonu, który, uwolniony od podwójnego ciężaru, poleciał jak strzała. I znajdował się wśród rozhukanych bałwanów, pewnie w odległości pół mili od

brzegu; płynął, walcząc całą siłą ze wzburzonemi falami. Top trzymał go za suknie. Wtem zerwał się huragan, prąc go ku północy; jeszcze z jakie pół godziny walczył z rozszalałemi żywiołami, nareszcie poszedł na dno, pociągając psa za sobą. Od owego czasu aż do chwili, gdy ujrzał się wśród ukochanych towarzyszów, nic nie wie, co się z nim działo.

— Zdaje się, że bałwany musiały rzucić cię na wybrzeże, i miałeś jeszcze dość siły, aby dowlec się do tej groty, skoro Nab znalazł na piasku ślady twoich kroków — rzekł marynarz.

— Tak... zdaje się... zapewne — odrzekł, namyślając się inżynier. — Lecz, czy nie spotkaliście tu nigdzie żyjącej istoty, śladu pobytu człowieka?

— Nawet najmniejszego — odrzekł reporter. — A zresztą, gdyby był zjawił się niespodziewany zbawca, czemużby cię tu porzucił, ocaliwszy od śmierci?

— Masz słuszność, przyjacielu. — A odwracając się do Naba, dodał: — Nabie, powiedz mi, proszę, czy to czasem nie ty... może potem straciłeś przytomność... może, ale nie! to niedorzeczność... niepodobna... Czyż owe ślady stóp pozostały gdzie dotąd? — zapytał.

— Tak, panie mój — odrzekł Nab. — Niedaleko wejścia do groty, w miejscu, które osłania przyległe wzgórze; inne wiatr i deszcz zatarły.

— Proszę cię, Penkroffie, weź moje obuwie i zmierz, czy całkiem przypada do pozostałych śladów.

Marynarz spełnił polecenie, Harbert poszedł z nim, Nab ich zaprowadził. Gdy odeszli, Cyrus Smith rzekł do reportera:

— W tem wszystkiem jest coś dziwnie niepojętego.

— Rzeczywiście, lecz nie myślmy teraz o tem; wszystko zapewne wyjaśni się później.

Niezadługo powrócił marynarz z towarzyszami. Nie było wątpliwości, buty inżyniera doskonale pasowały do pozostałych jeszcze śladów. Tak więc Cyrus Smith musiał przechodzić tamtędy.

— Hå! — widać, że byłem pod wpływem halucynacji... i szedłem jak lunatyk, sam nie wiedząc, co robię... a Top, szczególniejszym wiedziony instynktem, wyratował mnie z toni i tu przyprowadził. Chodź Top, chodź moje wierne psisko!

Szlachetne zwierzę poskoczyło ku panu, szczekając, i radowało się szczerze z otrzymanych pieszczot.

Każdy przyzna, że niepodobna było w inny sposób wytłumaczyć uratowania Cyrusa Smitha, musiano więc zasługę przyznać Topowi.

Około południa inżynier siłą woli zdołał podnieść się z mchowego łoża, ale był tak osłabiony, że sam nie mógł utrzymać się na nogach. Penkroff poprowadził go, wołając:

— Lektyka dla inżyniera!

Wyżej wspomniane nosze stanęły przed grotą: były one miękko

usłane mchem i długą trawą. Ułożono na nich jak najwygodniej Cyrusa Smitha i zwrócono się ku Kominom.

Wiatr dął jeszcze gwałtowny, ale deszcz przestał padać. Inżynier, leżąc, wsparł się na łokciu, rozglądając się po wybrzeżu, szczególniej zaś stronie przeciwległej morza. Milczał, lecz wpatrywał się bacznie i najniezawodniej plan całej okolicy, wszelkie zmiany gruntu i lasy doskonale odrysowały się w jego pamięci. Po upływie dwóch godzin znużenie przemogło: opuścił głowę i zasnął.

Mieli osiem mil do przebycia, a że musieli iść wolno i nieraz zatrzymywać się dla odpoczynku, więc ledwie za sześć godzin mogli dojść do Kominów. Nareszcie o wpół do szóstej stanęli na miejscu. Cyrus Smith spał mocno; zwolna postawili nosze — nie obudził się.

Penkroff zadziwił się niewymownie, zobaczywszy dzieło zniszczenia, dokonane przez wczorajszą burzę. Tu i ówdzie leżały na wybrzeżu ogromne odłamy skał, grunt zasłany był grubym kobiercem z traw morskich, porostów i roślin wodnych. Widać morze, podniósłszy się ponad wybrzeże, dosięgało aż do stóp granitowego przedmurza.

Przed wejściem do Kominów grunt był głęboko poorany przez bałwany; tu i ówdzie potworzyły się wielkie wyrwy.

Penkroff zadrżał przerażony, straszne przeczucie ścisnęło mu serce — jednym tchem wpadł do korytarza, chwilkę zaledwie tam zabawił, wybiegł i, stojąc nieruchomy, wlepił wzrok w towarzyszów...

Ani śladu ognia nie zostało. Zalany popiół zamienił się w błoto; próchno z bielizny, które miało służyć za hubkę, znikło bez śladu. Morze wdarło się do korytarzów i zniszczyło wszystko wewnątrz Kominów.

ROZDZIAŁ IX.

Cyrus da radę. — Próby Penkroffa. — Tarcie drzewa. — Wyspa, czy ląd stały. — Projekt inżyniera. — Gdzie się znajdują na oceanie Spokojnym. W lesie. — Sosny. — Polowanie na kabie. — Dym.

Marynarz w kilku słowach opowiedział towarzyszom, co się stało. Wypadek ten mógł mieć nadzwyczaj ważne następstwa, to też przykre w pierwszej chwili wywarł wrażenie na wszystkich.

Nab tylko jeden, całkiem oddany radości, że nareszcie odzyskał ukochanego pana, nie zważał wcale na to, co mówił Penkroff.

Harbert podzielał w pewnej mierze niepokój marynarza, reporter zaś po chwili rzekł spokojnie:

— Doprawdy, Penkroffie, wszystko mi jedno.

— Jakto! czyż nie słyszałeś, że nie mamy ognia!

— Ba!

— Nie mamy żadnego sposobu rozpalenia go.

— Co znowu?

— Ależ panie Spilett...

— Alboż to nie mamy teraz naszego inżyniera? — odrzekł reporter. — Wszakże on żyje, a więc niezawodnie znajdzie sposób rozniecenia ognia.

— Ale jakim sposobem?

— To już jego rzecz.

Penkroff nic nie odpowiedział, gdyż w gruncie i on także pokładał nieograniczone zaufanie w inżynierze. Cyrus Smith był dla nich ideałem doskonałości, uosobieniem wszelkich nauk i umiejętności. Być razem z Cyrusem na bezludnej wyspie, lub bez niego w najznakomitszem, najwięcej przemysłowem mieście Stanów Zjednoczonych — to na jedno wychodziło. Z nim niczego nie trzeba było się lękać, nie było czego rozpaczać. Gdyby ktoś przyszedł i powiedział tym poczciwym ludziskom, że nastąpi trzęsienie ziemi lub wybuch wulkanu, że cały ten ląd zapadnie się w morze, bardzo być może, iż odpowiedzieliby spokojnie: Cyrus Smith jest z nami! Idź pogadaj z nim o tem!

Teraz jednak inżynier znowu bardzo osłabł, gdyż przeniesienie nadzwyczajnie go zmęczyło; ani podobna było uciekać się do jego pomysłowości. Nadomiar złego tetrasy były zjedzone, upolowane kuruku porwała woda i żadnych już nie mieli zasobów, ani też ognia, by cokolwiek ugotować. Trzeba było coś obmyśleć.

Najpierw przeniesiono Cyrusa Smitha do głównego korytarza i tam usłano mu łoże z mchu i trawy morskiej. Towarzysze niedoli ułożyli go ostrożnie, gdyż wiedzieli, że mocny i spokojny sen lepiej go pokrzepi niż jedzenie.

Noc zapadła; z nią temperatura, oziębiona wiatrem północnowschodnim, bardzo się obniżyła, a że fale morskie poznosiły przegrody, które marynarz pourządzał tu i ówdzie, powstały tak wielkie przeciągi, że dalszy pobyt w Kominach stawał się nader niewygodny. Cyrus Smith byłby się znalazł w bardzo złych warunkach, gdyby towarzysze nie ogołocili się z części ubrania i nie pookrywali go, aby się nie przeziębił.

W dniu tym wieczerzali bardzo skromnie, gdyż cały posiłek składał się tylko z litodomów, których Harbert i Nab nazbierali na wybrzeżu. Jako dodatek do tych mięczaków, młody Harbert przyniósł nieco porostów wodnych, zdatnych do jedzenia, a uzbieranych na wysokich skałach, które morze tylko podczas wielkich przypływów zalewało. Porosty te wodne był to rodzaj sargasów, które, wysuszone, dostarczają materji kleistej, dość bogatej w pożywne pierwiastki. Reporter i jego towarzysze spożyli znaczną liczbę litodomów, a następnie wysysali sargasy, które im dosyć smakowały. Trzeba wiedzieć,

że na wybrzeżach azjatyckich trawy te stanowią jeden z ważniejszych artykułów żywności miejscowej ludności.

Ale zimno stawało się coraz dotkliwsze, i na nieszczęście nie było na to rady. Marynarz próbował najrozmaitszych sposobów rozniecania ognia; Nab pomagał mu, jak mógł. Nazbierał suchego mchu i uderzał nad nim dwoma kamykami jeden o drugi; wprawdzie zaczęły powstawać iskry, ale mech, jako niełatwo zapalny, nie zajął się, tem bardziej, że iskry te, które w rzeczywistości były tylko rozpalonym do białości krzemieniem, nie miały takiej siły, jak wytwarzające się ze stali w zwyczajnych krzesiwkach. Tak więc praca jego była daremna.

Penkroff, jakkolwiek nie wierzył w powodzenie tego środka, zaczął jednak trzeć bardzo mocno jeden o drugi dwa kawały suchego drzewa, jak to mają robić dzicy, chcący wzniecić ogień. Gdyby ruch, w jaki tym sposobem obaj z Nabem się wprawiali, zamienił się w ciepło, mogliby nim zapewne ogrzać kocioł maszyny parowej. Ale próba ta nie doprowadziła do niczego więcej, jak tylko do tego, że sami rozgrzali się daleko mocniej niż drzewo, które tak zawzięcie tarli.

Po godzinnej pracy, Penkroff, cały oblany potem, rzucił z gniewem drzewo, mówiąc:

— Do kroćset tysięcy! Kto potrafi teraz wmówić we mnie, że dzicy tym sposobem rozniecają ogień, potrafi także dokazać tego, że będzie gorąco wśród najtęższej zimy. Prędzej uwierzę, że ręce moje zapaliłyby się, gdybym je tak długo tarł jedna o drugą.

Ale marynarz się mylił; nie ulega wątpliwości, że dzicy zapalają drzewo, trąc silnie dwa kawałki jeden o drugi. Niekażdy jednak rodzaj drzewa nadaje się do tej operacji, a potem może nie umiał wziąć się do rzeczy.

Zły humor Penkroffa nie trwał jednak długo, a nawet, gdy marynarz spostrzegł, że Harbert wziął dwa rzucone przez niego kawałki drzewa i zaczął trzeć w najlepsze — nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu, widząc, że taki młodzieniaszek chce dokazać tego, czego on nie mógł dokonać mimo swej olbrzymiej siły.

— Trzyj, mój chłopcze, trzyj choćby do jutra — wołał, śmiejąc się dorozpuku.

— Będę tarł przez pewien czas, lecz tego tylko pragnę, abym się rozgrzał tak jak ty; przestanę, gdy nie będę drżał z zimna.

— W takim razie masz słuszność.

Na skutek tego tym razem trzeba się było wyrzec nadziei rozniecenia ognia. Gedeon Spilett powtórzył towarzyszom ze dwadzieścia razy, iż dla Cyrusa Smitha byłoby to igraszką — ale Cyrus Smith spał snem twardym. Nie było rady, udali się na spoczynek; Top rozciągnął się przy nogach pana.

Nazajutrz rano inżynier, obudziwszy się około godziny ósmej,

ujrzał swoich towarzyszów, zgromadzonych około siebie; uśmiechnął się tedy do nich i znów zapytał:

— Wyspa czy ląd?

Wyraźnie myśl ta owładnęła całą jego istotą.

— Masz tobie! — zawołał wesoło Penkroff. — Alboż my możemy wiedzieć? Dowiemy się, gdy pan zostaniesz naszym sternikiem.

— Zdaje mi się, że mogę już spróbować sił swoich — rzekł i bez wielkiego trudu wstał.

— Wyśmienicie! — zawołał marynarz.

— Głód był główną przyczyną mego osłabienia, dajcie mi się czem posilić, a przyjdę do siebie. — Wszak macie ogień?

Wszyscy milczeli. Po kilku dopiero chwilach Penkroff odpowiedział:

— Niestety! panie inżynierze, nie mamy ognia; czyli raczej mieliśmy, lecz już go niema.

I opowiedział wczorajsze wydarzenie. Zabawił bardzo inżyniera opowieścią o owej jednej, jedynej zapałce i o wczorajszych pokuszeniach wzniecenia ognia sposobem, praktykowanym u dzikich ludów.

— Pomyślimy o tem — odrzekł inżynier — a jeżeli nie wyszukamy czegoś, coby nam zastąpiło hubkę...

— Więc co? — zapytał marynarz.

— Więc narobimy sobie zapałek.

— Chemicznych?

— Tak, chemicznych!

— I tak sobie wywiniemy je jak z płatka! — zawołał reporter, uderzając marynarza po ramieniu.

Penkroff sądził, że chyba nie przyjdzie to tak łatwo, lecz nic nie odpowiedział.

Działo się to dnia 28 marca. Jasne słońce weszło ponad widnokręgiem morza, roztaczając złote blaski na ściany otaczających skał. Rozbitki wyszli z Kominów.

Inżynier usiadł na skale i powiódł wzrokiem dokoła. Harbert podał mu parę garści czarnych ślimaków morskich, zdatnych do jedzenia, i trochę saragasów, mówiąc:

— Oto wszystko, czem panu służyć możemy.

— Dziękuję ci, młodzieńcze, to dostateczne — przynajmniej na dziś rano.

I spożył z apetytem ten skromny posiłek, poczem napił się świeżej wody, której Nab zaczerpnął z rzeki dużą muszlą. Po śniadaniu rzekł do towarzyszów:

— Więc tedy, moi kochani, nie wiecie dotąd, czy los rzucił was na ląd, czy na wyspę?

Nie wiemy, panie Cyrusie — odrzekł Harbert.

— Dowiemy się jutro — rzekł inżynier — teraz niema o czem myśleć.

— Przeciwnie — odparł Penkroff.

— Jakto?

— Trzeba myśleć o rozniecenitu ognia — odrzekł marynarz, który nieustannie myślał o tem.

— Będzie i ogień — odpowiedział Cyrus Smith, a po chwili dodał. — Czy mi się zdaje, że wczoraj, gdyście mnie nieśli na noszach, widziałem ku wschodowi górę, panującą nad całą tą okolicą?

— Tak, i góra ta musi być dość wysoka...

— Dobrze, jutro wejdziemy na jej szczyt, aby się przekonać, czy ziemia ta jest lądem, czy wyspą; nie wiedząc o tem, nic przedsięwziąć nie można.

— Ależ można przynajmniej myśleć o rozniecenitu ognia — zawołał marynarz.

— Bądź spokojny, Penkroffie, trochę cierpliwości, a będzie i ogień — rzekł Gedeon Spilett.

Marynarz spojrzał na reportera z miną, zdającą się mówić: — No! jeżeli będziemy czekali, aż ty go zrobisz, to pewnie długo nie pokosztujemy pieczeni — ale nic nie odpowiedział.

Cyrus Smith zamilkł i zamyślił się — widać kwestja ognia utkwiła mu w głowie. Po niejakim czasie rzekł:

— Moi przyjaciele, położenie nasze jest zapewne nader opłakane, ale niema tu znów nic nadzwyczajnego. Jedno z dwojga, albo znajdujemy się na lądzie stałym, a wtedy z mniejszemi, czy z większemi trudnościami dostaniemy się do zamieszkałego kraju — albo jesteśmy na wyspie. Jeżeli jest zamieszkana, postaramy się porozumieć z mieszkańcami, jeżeli jest bezludna, musimy sami sobie radzić.

— Rzecz prosta — rzekł marynarz.

— Ale jak myślisz, Cyrusie, czy to ląd, czy wyspa?

— Z pewnością nic jeszcze powiedzieć nie mogę; zdaje się jednak, że jest to ziemia, leżąca wpośród oceanu Spokojnego. Gdyśmy opuszczali Richmond, wiatr dął od północo-wschodu, i sama gwałtowność jego dowodzi, że zapewne nie zmienił kierunku. Jeżeli kierunek ten utrzymał się z północo-wschodu na południo-zachód, przebyliśmy Stany Karoliny Północnej i Karoliny Południowej, Georgję, zatokę Meksykańską i część oceanu Spokojnego. Odległość przebytą balonem obliczam na sześć do siedmiu tysięcy mil. A jeżeli wiatr zmienił się nieco, mógł ponieść nas ponad archipelag Mendana; a nawet gdyby siła jego była większa, przypuszczam, że może zapędził nas aż na ziemie Nowej Zelandji. W tym ostatnim razie nasz powrót do ojczyzny nie byłby trudny, gdyż spotkalibyśmy się albo z Anglikami albo z Maorysami, z którymi równie łatwo możemy

się porozumieć. Jeśli, przeciwnie, wybrzeże to stanowi część bezludnej wyspy archipelagu, lub czego podobnego, co zapewne będzie można rozpoznać ze szczytu tej góry, panującej nad okolicą, wtedy trzeba nam będzie pomyśleć o urządzeniu się tak, jakgdybyśmy mieli pozostać tu na zawsze.

— Na zawsze!... powiedziałeś, na zawsze, Cyrusie! — zawołał reporter.

— Lepiej odrazu przygotować się na gorsze, wtedy lepsze stanie się miłą niespodzianką — odrzekł inżynier.

— Dobrze pan mówisz — zawołał Penkroff. — Możemy jednak pocieszać się nadzieją, że wyspa ta niekoniecznie ma być tak nadzwyczaj odległa od drogi, uczęszczanej przez okręty.

— Przedewszystkiem musimy wejść na górę, bo wtedy dopiero będziemy mogli dowiedzieć się, czego należy się trzymać — odrzekł inżynier.

— Ale czy osłabiony, jak jesteś, będziesz pan w stanie przedsięwziąć zaraz jutro tak utrudniającą wycieczkę? — zapytał Harbert.

— Tak sądzę: lecz pod warunkiem, że ty i Penkroff popiszecie się wielkiemi myśliwskiemi zdolnościami — odparł inżynier.

— Mówisz pan o zwierzynie? — rzekł marynarz. — O! gdybym tylko mógł być pewny, że upolowawszy, będę ją miał przy czem upiec...

— Upoluj tylko, Penkroffie, o reszcie pomyślimy — rzekł inżynier.

Stanęło na tem, że Cyrus Smith i Gedeon Spilett pozostaną w Kominach, aby zbadać miejscowość, zaś Nab, Harbert i marynarz udadzą się do lasu, który raz już zwiedzali, aby nagromadzić jak największy zapas ptactwa i zwierzyny, jako też drzewa na opał.

Wszyscy trzej tedy wyszli około dziesiątej rano, ale każdy w innem usposobieniu: Harbert pełen nadziei, Nab uradowany, a Penkroff markotny mruczał sobie pod nosem:

— Jeśli za powrotem znajdę ogień w Kominach, to chyba piorun sam w swej osobie przyjdzie go zapalić...

Przeszli urwiste wybrzeże; stanąwszy przy skręcie rzeki, marynarz rzekł do towarzyszów:

— Czemże będziemy pierwej, drwalami czy myśliwymi?

— Myśliwymi — odrzekł Harbert — bo oto Top już nadstawia uszu.

— Polujmy więc, a następnie pomyślimy o drzewie. Teraz pójdźmy za Topem, który już coś goni w wysokich trawach.

Szli w prostym kierunku w głąb lasu i tu, tak jak za pierwszym razem w przeciwnej stronie, napotykali najwięcej drzew, należących do rodziny sosen. W niektórych miejscach drzewa były bardzo wielkie i pięknie rozwinięte, co zdawało się wskazywać, że okolica ta znajdowała się pod wyższym stopniem szerokości geogra-

ficznej, niż to mniemał inżynier. W innych leżało mnóstwo suchych drzew, mogących stanowić niewyczerpany zapas opału. Dalej las był tak gęsty, iż prawie niepodobna było go przebyć.

Dla zabezpieczenia się od zabłąkania, marynarz gałęziami wytykał przebywaną drogę. Ale może źle zrobili, nie idąc jak pierwszym razem z biegiem rzeki, gdyż tu nie spotkali żadnych zwierząt, a jeżeli zjawił się ptak jaki, to tak daleko i wysoko, że ani on, ani Top dotrzeć do niego nie mogli. Nawet kurukusy się nie pokazywały, sądzili więc, że pewnie wypadnie im wrócić do owej błotnistej części lasu, w której przedtem upolowali kilka cietrzewi.

— Ej! Penkroffie — rzekł Nab z odcieniem szyderstwa w głosie — coś do upieczenia zwierzyny, jaką dotąd upolowałeś, pan mój nie będzie potrzebował rozpalać wielkiego ognia.

— Cierpliwości, Nabie — odparł marynarz — zobaczysz, że za powrotem na zwierzynie zbywać nam nie będzie.

— Więc nie ufasz mojemu panu?

— Co znowu!

— Ale nie wierzysz, że rozpali ogień?

— Uwierzę, jak go zobaczę na ognisku.

— Zobaczysz, skoro mój pan tak powiedział.

— Będziemy to widzieli.

Tymczasem słońce coraz wyżej wzbijało się na niebie, a rozbitki coraz głębiej zapuszczali się w las. Harbert zrobił tu bardzo pożyteczne odkrycie, wynalazł bowiem drzewo, którego owoce zdatne były do jedzenia. Był to rodzaj sosny, rodzącej doskonałe owoce, bardzo poszukiwane w sferach umiarkowanych Ameryki i Europy. Orzeszki były zupełnie dojrzałe, to też na polecenie Harberta uraczyli się niemi dowoli.

— No! — rzekł Penkroff — mamy porosty wodne zamiast chleba, ślimaki surowe zamiast pieczeni, a nawet orzechy na wety... Właśnie to obiad dla ludzi, nie mających ani jednej zapałki.

— Nie narzekajmy — rzekł Harbert.

— Ależ ja nie narzekam, mój chłopcze, mówię tylko, że pieczone mięso byłoby pożywniejsze i smaczniejsze.

— Co tam Top robi? — zawołał Nab, zdążając w stronę, w której pies, szczekając, znikł w gęstwinie, gdzie także kwik słyszeć się dawał.

Marynarz i Harbert poszli za nim. Jeżeli pies wytropił zwierzynę, należało teraz myśleć nie o tem, jak ją upiec, ale o tem, żeby ją upolować. Wszedłszy w gąszcz, zobaczyli, jak Top szamotał się z jakiemś czworonożnem stworzeniem. Był to rodzaj świni, dwie i pół stopy długi, maści czarno-brunatnej, pokryty ostrą, rzadką szczecią. Harbertowi zdawało się, że jest to kabja, jeden z największych przedstawicieli gryzoniów.

Kabja nie broni się nawet psu; wytrzeszczył głupowate wielkie oczy, osadzone w grubej warstwie tłuszczu, i nie ruszał się z miejsca. Może i psa, i ludzi widział po raz pierwszy.

Nab podniósł duży kij, który trzymał w ręku, aby nim uderzyć i zabić gryzonia, gdy ten wydarł się z zębów Topa, zostawiając mu tylko kawałek ucha, zakwiczał głośno, obalił Harberta, przeskoczył przez niego i uciekł w głąb lasu.

— A to łotr jakiś! — krzyknął Penkroff.

Wszyscy w ślad Topa pobiegli za zwierzem i już go doganiali, lecz zdążył wpaść do głębokiego bagniska, okolonego wiekowemi sosnami.

Nab, Harbert i Penkroff stanęli nieruchomi, Top rzucił się do wody, ale kabja ukrył się w głębi bagna, tak że go widać nie było.

— Poczekajmy, niezadługo pokaże się na powierzchni, aby odetchnąć.

— Może utonie w tem bagnie? — rzekł Nab.

— Nie — odpowiedział Harbert — ponieważ ma nogi z pletwami i jest to zwierzę prawie ziemnowodne.

Top nie przestawał pływać; Penkroff, Nab i Harbert rozstawili się tak, aby zwierzęciu przeciąć odwrót, a pies szukał go w wodzie.

Harbert miał słuszność — po kilku minutach zwierz ukazał się na powierzchni: Top natychmiast rzucił się na niego, nie pozwolił mu dać nura, i niezadługo kabja, wyciągnięty na wybrzeże, został ugodzony przez Naba śmiertelnym ciosem.

— Wiwat! — krzyczał Penkroff — dajcie mi rozżarzonych węgli, a zobaczycie, jak smacznie go przyprawię.

Nab wziął na plecy upolowaną zwierzynę, a marynarz, miarkując po słońcu, że musi być już druga godzina, zakomenderował odwrót.

Instynkt Topa ułatwił myśliwym powrót do Kominów: w pół godziny doszli do miejsca, w którem rzeka zwracała się w inną stronę. Teraz urządzili tratwę i, zapełniwszy ją drzewem, równie jak pierwszym razem spuścili na rzekę, chociaż Penkroff powtarzał ciągle, iż drzewo nanic się nie przyda, kiedy niema ognia.

Kiedy dochodzili do Kominów, nagle Penkroff krzyknął z całych sił i zaczął klaskać w dłonie.

— Patrzcie! patrzcie! — wołał.

Ponad skałami, górującemi nad Kominami, wznosiły się kłęby dymu, różne w powietrzu kreśląc zygzaki.

Wynalazek inżyniera. — Pytanie, zajmujące wciąż Cyrusa Smitha. — Wycieczka na górę. — Las. — Grunt wulkaniczny. — Muflony. — Pierwsza płaszczyzna. — Noc. — Wierzchołek stożka.

W kilka chwil później trzej myśliwi stanęli przy jasno płonącem ognisku, przy którem zastali Cyrusa Smitha i reportera. Zdumiony Penkroff spoglądał na nich w milczeniu, trzymając kabję w ręku.

— Tak, tak, mój przyjacielu, to ogień, prawdziwy ogień; upieczemy przy nim tę wyśmienitą zwierzynę i spożyjemy ją ze smakiem.

— Ale któż go zapalił? — zapytał Penkroff.

— Słońce!!

Gedeon Spilett mówił prawdę, słońce zapaliło ten ogień, na który z takiem zdumieniem Penkroff spoglądał, że nie dowierzał własnym oczom i, stojąc jak osłupiały, nie zapytał jakim sposobem.

— Więc pan miałeś przy sobie szkło palące? — zapytał Harbert Cyrusa Smitha.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział inżynier — ale urządziłem je sobie.

Mówiąc to, pokazał przyrząd, którym zastąpił szkło palące: były to poprostu dwa szkiełka od zegarków, które napełnił wodą i, przyłożywszy do siebie, skleił ich brzegi gliną: tym sposobem urządził wyborne szkło palące i za jego pomocą zapalił wysuszony mech,ześrodkowawszy na niego promienie słońca.

Marynarz obejrzał przyrząd, potem spojrzał na inżyniera, nie wymówiwszy ani słowa. Jakże wymowne było to spojrzenie! Znać było, że dla niego Cyrus Smith jest czemś więcej, niż człowiekiem. Nakoniec, ochłonąwszy trochę ze zdumienia, zawołał:

— Zapisz to pan, panie Spilett, zapisz to pan na papierze.

— Już zapisałem — odpowiedział reporter.

Następnie Nab i Penkroff wypatroszyli kabję i, wsadziwszy go na rożen, upiekli jak zwyczajne prosię.

Kominy mogły znów służyć za mieszkanie, gdyż suty ogień ogrzewał przerzynające je korytarze, a nadto porobiono w nich przepierzenia z piasku i kamieni, co dowodziło, że inżynier i reporter nie marnowali także dnia napróżno.

Cyrus Smith już prawie zupełnie odzyskał siły i wypróbował to zaraz, wchodząc na pochyłą płaszczyznę na znaczną wysokość. Gdy tam stanął, oko jego, przywykłe do oceniania wysokości i odległości, zatrzymało się długo na stożkowatym wierzchołku góry, na który chciał wejść nazajutrz. Góra, stercząca o sześć mil mniej więcej na północo-zachód, zdawała się wznosić na trzy tysiące pięćset stóp nad powierzchnię morza; tym sposobem, stojąc na jej wierzchołku, można było objąć okiem przestrzeń w obrębie pięćdziesięciu

mil naokoło. Prawdopodobnie więc Cyrus Smith będzie mógł przekonać się z łatwością, czy znajdują się na stałym lądzie, czy też na wyspie, co słusznie bardzo uważał jak na teraz za najważniejszą kwestję.

Wieczerza była wyśmienita. Uznano, że mięso kabji jest wyborne, a sargasy i orzeszki sosny, zwanej pinją, smakowały także wszystkim; głośno wyrażali swe zadowolenie, z wyjątkiem inżyniera, układającego plany na dzień następny.

Kilka razy Penkroff wypowiedział zdanie odnośnie do tego, coby nadal czynić wypadało, lecz Cyrus Smith potrząsnął tylko głową, powtarzając:

— Jutro będziemy już wiedzieli, czego się mamy trzymać, i stosownie do tego postępować musimy.

Po wieczerzy dołożono drzewa na ognisko, i mieszkańcy Kominów, nie wyłączając wiernego Topa, zasnęli głęboko. Żaden wypadek nie zamącił spokoju tej nocy i nazajutrz — 29 marca obudzili się rzeźwi i gotowi przedsięwziąć wycieczkę w celu przekonania się, jakie mogą mieć nadal nadzieje.

Przygotowano wszystko na drogę: resztki kabji mogły wystarczyć im jeszcze na dwadzieścia cztery godziny, a zresztą spodziewali się, że w drodze uda im się zaopatrzyć w żywność. Szkiełka wstawiono napowrót w zegarki inżyniera i reportera, Penkroff spalił trochę bielizny na próchno, mające zastąpić hubkę, krzemień zaś łatwo będzie można znaleźć na gruncie pochodzenia wulkanicznego.

O wpół do ósmej rano wyruszyli z Kominów z grubemi kijami w ręku. Stosownie do rady Penkroffa udano się znaną już drogą przez las, jako prosto prowadzącą do podnóża góry. Zwrócono się więc ku południowi, idąc lewym brzegiem rzeki aż do miejsca, w którem koryto jej odwracało się na południo-zachód. Odnaleziono wkrótce ścieżkę wśród gęstwiny i o godzinie dziewiątej dostali się na zachodni kraniec lasu.

Grunt dość równy, z początku bagnisty, następnie suchy i piaszczysty, podnosił się teraz lekko, począwszy od wybrzeża w głąb lądu. Gdzie niegdzie dostrzegali wśród gęstwiny uciekające przed nimi zwierzęta. Top biegł za niemi, lecz pan odwoływał go natychmiast, uważając, że mają teraz ważniejsze zajęcie nad polowanie. Inżynier według swego zwyczaju dążył prosto do celu, i można było zapewnić, że obecnie nie zwracał uwagi ani na położenie okolicy, ani na płody. Głównym przedmiotem jego uwagi była góra, na której szczyt wejść zamierzał, i szedł do niej, na nic nie zważając.

O godzinie dziesiątej zatrzymano się trochę dla wypoczynku. Za lasem można już było poznać system orograficzny tej okolicy *). Góra składała się z dwóch stożków, z których pierwszy, wznoszący

*) Orografja, opis zewnętrznych kształtów gór i dolin.

się na dwa tysiące pięćset stóp, z wierzchołkiem płasko ściętym, opierał się na poprzecznie idących pasmach niższych gór, rozgałęzionych fantastycznie. Wśród tych gór ciągnęły się wąskie doliny, zarosłe gęsto drzewami, rosnącemi także na pochyłości pierwszego stożka aż do jego wierzchołka. Jednak od strony północno-wschodniej roślinność była nie tak silna, a głębokie wklęśnięcia w boku góry pozwoliły się domyślać, że tam kiedyś lawa spływała potokami.

Na tym pierwszym stożku opierał się drugi, z lekko zaokrąglonym i trochę skrzywionym szczytem, przypominającym okrągły kapelusz, włożony nieco nabakier. Cyrus Smith chciał dostać się na szczyt drugiego stożka.

— Jesteśmy na gruncie wulkanicznym — powiedział inżynier i wraz z towarzyszami zaczął wstępować na pochyły grzbiet góry, dosięgającej pierwszej płaszczyzny.

Wszędzie na drodze spotykali ślady działania sił plutonicznych, liczne wypukłości gruntu, odłamy skał, bazaltu, pumeksu. Też same drzewa iglaste, które w wąwozach tworzyły gąszcz nieprzejrzany, tu wyrastały miejscami tylko.

Zaledwie uszli kilkaset kroków, Harbert pokazał swym towarzyszom świeże ślady jakichś wielkich zwierząt; nie mogli jednak z nich poznać, do jakiego należały rodzaju.

— Zdaje mi się — rzekł Penkroff — że te zwierzęta niełatwo ustąpią nam swego państwa.

— Bardzo to być może — odpowiedział reporter, który już w Indjach polował na tygrysy a w Afryce na lwy — ale w takim razie postaramy się o to, aby się pozbyć tak niemiłego sąsiedztwa; teraz zaś miejmy się na baczności.

Wycieczka to była ciężka, nużąca: musieli często nakładać drogi, aby wyminąć niepodobne do przebycia miejsca. W południe zatrzymali się dla spożycia posiłku pod cieniem sosen, rosnących nad strumieniem, który z szumem toczył się w dolinę. Przebyli zaledwie pół drogi do pierwszej płaszczyzny, nie mogli więc mieć nadziei, że staną na niej przed zmrokiem.

Z wysokości, na której znajdowali się teraz, oczy ich mogły objąć ogromny przestwór morza, lecz ze wszystkich zresztą stron szczyty przyległych gór zasłaniały widok: nie można przeto było rozwinąć jeszcze tak ważnego dla nich pytania, czy się znajdują na wyspie, czy na lądzie stałym.

O pierwszej godzinie wyruszyli dalej. Teraz musieli iść ukośnie na południo-zachód i wkrótce znaleźli się w dość gęstym lasku, gdzie na gałęziach drzew spostrzegli dość duże stado ptaków, podobnych do kur. Były to *tragopansy*, ptaki z rodziny bażantów, z mięsistem podgardlem u szyi, z walcowatemi różkami, obsadzonemi nad oczyma; samice miały jednostajne brunatne upierzenie, samce jaśniały pyszną barwą czerwoną, nakrapianą biało. Gedeon Spilett tak zręcznie cisnął

kamień, że zabił jednego z tych ptaków, co ucieszyło bardzo Penkroffa, którego apetyt zaostrzyło świeże powietrze.

Wyszedłszy z lasku, musieli iść pod górę przynajmniej sto stóp po nadzwyczaj stromej pochyłości, podsadzając się wzajemnie, i tym sposobem dostali się na wyższą kondygnację, gdzie znów zwrócili się na wschód. Nakładając nieraz znacznie drogi, aby znaleźć mniej niebezpieczne miejsca, pięli się wciąż wgórę po nader przykrej pochyłości. Nab i Harbert szli naprzód, za nimi Cyrus i reporter, a Penkroff na końcu. Zwierzęta, przebywające na tych wyżynach — a ślady ich spotykano wszędzie — mogły być tylko jakimś gatunkiem dzikich kóz, żyjących zawsze w górach. Zobaczono ich kilka skaczących po górach, i Penkroff zawołał:

— Barany!

Wszyscy zatrzymali się o pięćdziesiąt mniej więcej kroków od małego stada dość dużych zwierząt o silnych, wtył zagiętych rogach, spłaszczonych w końcu, z długą i miękką wełną płowego koloru.

Nie były to jednak zwyczajne barany, lecz zwierzęta, żyjące w górach sfer umiarkowanych, które Harbert nazwał muflonami.

— Czy można z nich robić kotlety i pieczenie? — zapytał marynarz.

— Oczywiście — odpowiedział Harbert.

— No, to są poprostu baranami — rzekł Penkroff.

Muflony stały nieruchomo wśród odłamów bazaltu, przyglądając się tak ciekawie podróżnym, że znać było, iż po raz pierwszy widzą ludzi; potem, jakby nagła wzbudziła się w nich obawa, uciekły szybko, skacząc po skałach.

— Do widzenia! — zawołał Penkroff, tak komicznym tonem, że Cyrus, Gedeon, Harbert i Nab nie mogli wstrzymać się od śmiechu.

Poszli dalej. Na niektórych pochyłościach dostrzegli ślady lawy, dziwacznie porysowanej. Małe, wygasłe wulkany zagradzały im niekiedy drogę, i musieli obchodzić naokoło.

W miarę, jak zbliżali się do płaszczyzny, stanowiącej szczyt niższego stożka, coraz to większe musieli przezwyciężać trudności. Około czwartej minęli już pas, na którym rosły jeszcze drzewa; obecnie spotykali już tylko czasami karłowate i pokrzywione sosny, które jednak musiały być bardzo odporne, skoro mogły oprzeć się wiatrom, wiejącym na tak znacznej wysokości. Szczęściem dla naszych podróżnych czas był piękny i spokojny, gdyż wiatr, wiejący na wysokości trzech tysięcy stóp nad powierzchnią morza, byłby dla nich bardzo dokuczliwy. Niebo było pogodne i powietrze przejrzyste; słońca juz nie widzieli, gdyż skryło się za wyższym stożkiem, który zasłaniał widnokrąg od zachodu, a cień jego olbrzymi dosięgał aż do wybrzeża, przedłużając się jeszcze w miarę, jak słońce pochylało się do zachodu. Leciuchne jak mgła chmurki zaczęły pokazywać się na wschodzie, za-



Ponad skałami, górującemi nad Kominami, wznosiły się kłęby dymu, różne w powietrzu kreśląc zygzaki (str. 54).

barwiając się pod działaniem promieni znikającej gwiazdy dziennej wszystkiemi kolorami widma słonecznego.

Już tylko pięćset stóp oddzielało podróżnych od płaszczyzny, na której chcieli noc przepędzić, lecz te pięćset stóp zamieniło się w dwa tysiące z powodu konieczności ciągłego zbaczania to w tę to w ową

stronę. Miejscami pochyłość góry była tak stroma, że ześlizgiwali się z niej, jeśli który postawił nogę na skruszałej już pod wpływem powietrza lawie. Noc prawie zapadła, gdy Cyrus Smith wraz ze swymi towarzyszami stanął wreszcie na płaszczyźnie, stanowiącej szczyt pierwszego stożka.

Zajęto się zaraz wyszukaniem miejsca, odpowiedniego na spoczynek. Wyższy stożek wznosił się na podstawie ze skał, wśród których łatwo znaleźli schronienie. Trudno im było o drzewo; można jednak było rozniecić ogień z mchu i suchych gałęzi krzaków, rosnących tu miejscami. Kiedy marynarz układał kamienie, aby na nich rozłożyć ognisko, Nab i Harbert poszli po mech i gałęzie i wkrótce przynieśli dostateczny ich zapas na całą noc. Skrzesali ognia, próchno się zatliło, Nab dmuchał na nie, i jasny płomień objął mech i gałęzie.

Ogień potrzebny im był tylko dla zabezpieczenia się od chłodu nocnego, gdyż resztki kabji i orzeszki pinji stanowiły ich wieczerzę. Bażanta zostawiono na dzień następny.

Po wieczerzy Cyrus Smith postanowił, pomimo zmroku, przekonać się, czy wyższy stożek będzie można obejść około jego podstawy na wypadek, gdyby wstęp na szczyt okazał się niepodobnym. Była to nader ważna dla niego sprawa, bo jeżeli nie będą mogli wejść na wierzchołek góry, ani jej okrążyć u podstawy, w takim razie cała zachodnia część okolicy pozostanie dla nich, przynajmniej do czasu, nieznaną i pomimo tylu poniesionych trudów w części tylko osiągną cel zamierzony.

Gdy Penkroff i Nab urządzali posłanie, a Spilett spisywał wypadki dnia ubiegłego, inżynier poszedł zwiedzić płaszczyznę wraz z Harbertem, który pomimo zmęczenia towarzyszył mu chętnie.

Noc była cicha i jasna, łatwo więc mogli rozróżnić otaczające ich przedmioty. Miejscami płaszczyzna była tak szeroka i równa, że z łatwością posuwali się naprzód, idąc obok siebie; gdzie indziej znów odłamy skał tak ją zacieśniały, że z trudnością przejść było można. Nakoniec, po dwudziestu minutach drogi, Cyrus Smith i Harbert musieli się zatrzymać, gdyż boki stożków połączyły się z sobą, i znikła płaszczyzna, oddzielająca je od siebie, a pochyłość góry była tak stroma, że nie można było się na niej utrzymać.

Już mieli zawrócić, gdy spostrzegli, że będą mogli wejść na wierzchołek wyższego stożka, łatwiej nawet niż na pierwszy. Przed nimi na boku góry znajdowała się głęboka rozpadlina, rodzaj czeluści, przez który wylewały się produkty wulkaniczne w stanie płynnym w czasie, gdy wulkan był jeszcze czynny. Stwardniała lawa i zeskorupiała piana utworzyły rodzaj dość wygodnych schodów, ułatwiających wejście na sam wierzchołek.

Cyrus Smith poznał to za pierwszym rzutem oka i pomimo

wzrastającej ciemności, bez wahania zapuścili się z Harbertem w tę rozpadlinę. Szczyt stożka wznosił się na tysiąc stóp nad ich głowami.

Co do głównego wulkanu, nie można było wątpić, że już wygasł zupełnie: najlżejszy nawet dymek nie wydobywał się z niego, żaden huk, żaden szmer nie wychodził z głębi tej bezdennej studni, dosięgającej być może aż do wnętrza ziemi. W powietrzu nie dawał się uczuwać najlżejszy zapach siarki. Był to wulkan nie uśpiony tylko, ale zupełnie zamarły.

W miarę, jak Cyrus i Harbert postępowali wgórę, otwór krateru zdawał rozszerzać się nad ich głowami, i można powiedzieć, że za każdym krokiem nowe gwiazdy ukazywały się ich oczom.

O godzinie szóstej inżynier i Harbert stanęli wreszcie na szczycie stożka. Było już tak ciemno, że nie można było objąć okiem dwumilowej przestrzeni i niepodobna było przekonać się, czy morze otaczało dokoła tę nieznaną ziemię, czy też od zachodu łączyła się ona z jakimś lądem oceanu Spokojnego. Ku zachodowi ciemna smuga, wyraźnie zarysowana na widnokręgu, powiększała jeszcze ciemności, i najbystrzejsze oko nie zdołałoby dostrzec niczego w tym kierunku.

Wkrótce atoli w jednym punkcie widnokręgu ukazało się nagle mdłe światełko, zsuwające się powoli, w miarę jak ciemna chmura podnosiła się ku zenitowi.

Był to sierp księżyca na nowiu, już zachodzącego, lecz światło jego oświetliło o tyle widnokrąg w tej stronie, że inżynier widział przez chwilę księżyc, odbijający się w przezroczu wody. Pochwycił rękę Harberta i rzekł poważnym głosem:

— Wyspa!

W tej samej chwili księżyc ukrył się zupełnie.

ROZDZIAŁ XI.

Na szczycie stożka. — Wnętrze krateru. — Naokoło morze. — Zarysy wyspy z lotu ptaka. — Czy jest zamieszkała? — Chrzest zatok, przylądków, rzek i t. d. — Wyspa Lincolna.

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert wrócili do towarzyszów. Inżynier uwiadomił ich, że znajdują się na wyspie i że nazajutrz obmyślą, co dalej czynić wypada. Każdy ułożył się do spoczynku, jak mógł najwygodniej, i „wyspiarze" zasnęli głęboko, otoczeni bazaltowemi skałami, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset stóp nad powierzchnią morza.

Nazajutrz, dnia 30 marca, po śniadaniu, złożonem jedynie z pieczonego bażanta, wyspiarze, za radą inżyniera, postanowili wejść na szczyt wulkanu, aby stamtąd uważnie zbadać położenie wyspy, na której może wypadnie im pozostać na całe życie, jeżeli była zbyt oddalona od jakiej bądź zamieszkałej ziemi, lub nie leżała na drodze, uczęszczanej przez statki, zwiedzające archipelagi oceanu Spokojnego.

Około siódmej z rana opuścili obozowisko, nie troszcząc się zbytnio o oczekującą ich przyszłość. Cyrus Smith wiedział, że potrafi wydrzeć tej dzikiej naturze to, co może być potrzebne do utrzymania życia tak jemu, jak jego towarzyszom; oni zaś ze swej strony nie obawiali się niczego dlatego właśnie, że Cyrus Smith był z nimi. Co do Penkroffa, ten, odkąd zobaczył ogień, rozpalony przez inżyniera, nie lękałby się pozostać z nim na nagiej zupełnie skale.

— Co tam — powtarzał — wydobyliśmy się z Richmondu bez pozwolenia zwierzchności, czemuż nie mielibyśmy prędzej lub później opuścić miejsca, w którem z pewnością nikt nas zatrzymywać nie będzie w stanie.

Cyrus Smith udał się tąż samą drogą, którą szedł poprzednio. Czas był prześliczny, słońce wschodziło na wypogodzone niebo, ozłacając swemi promieniami wschodni stok góry.

Wnętrze krateru, jak mówilismy wyżej, nie było zbyt spadziste, jące się stopniowo ku górze aż do wierzchołka, wyniesionego na tysiąc stóp ponad płaszczyznę, tworzącą szczyt pierwszego stożka. U dołu rozpadliny rozpościerały się szerokie strumienie zastygłej lawy i, wijąc się wężykowato po bokach góry, sięgały aż do dolin, ciągnących się w północnej części wyspy.

Wnętrze krateru, jak mówiliśmy wyżej, nie było zbyt spadziste, i podróżni nasi dość łatwo postępowali wgórę. Widać tam było ślady bardzo dawno już zastygłej lawy, która prawdopodobnie wypływała przez wierzchołek stożka, dopóki nie utorowała sobie drogi przez rozpadlinę, otwartą w jego boku.

Co do komina wulkanicznego, stanowiącego związek między wnętrzem ziemi i kraterem, niepodobna było zbadać jego głębokości, gdyż oko gubiło się w ciemnościach. To jednak było niewątpliwe, że wulkan wygasł już zupełnie.

Przed ósmą wyspiarze stanęli na wierzchołku krateru i weszli na stożkowaty pagórek, sterczący na jego brzegu.

— Morze! wszędzie morze! — zawołali razem, jakby nie mogąc powstrzymać okrzyku, stwierdzającego ich odosobnienie od reszty świata.

Rzeczywiście, nieprzejrzany wzrokiem przestwór morza rozciągał się dokoła. Być może, że nawet Cyrus Smith, wchodząc powtórnie na szczyt krateru, pocieszał się jeszcze nadzieją, iż dostrzeże jakiś ląd lub wyspę, której nie mógł dostrzec wśród ciemności. Teraz jednak

przekonać się, że w promieniu pięćdziesięciu mil nie było nigdzie ziemi i ani jeden żagiel nie zjawił się na tej rozległej wód przestrzeni.

Tak inżynier jak i towarzysze jego, milczący i nieruchomi, długo śledzili wzrokiem ocean aż do krańców widnokręgu, lecz nawet Penkroff nic dostrzec nie zdołał, choć posiadał wzrok tak doskonały, że możnaby sądzić, iż w miejsce oczu miał osadzone dwa wyborne teleskopy.

Z oceanu przenieśli wzrok swój na wyspę, którą dokładnie widzieć mogli, stojąc na tak znacznej wyniosłości. Po niejakim czasie Gedeon Spilett przerwał milczenie zapytaniem:

— Jaka też może być rozległość tej wyspy?

Cyrus Smith przyjrzał się bacznie jej brzegom i obliczył w myśli jej obwód, mając na względzie wysokość, na której się znajdowali.

— O ile się zdaje, nasza wyspa musi mieć więcej niż sto osiemdziesiąt kilometrów obwodu.

— A więc jej powierzchnia?...

— Trudno to oznaczyć z tego powodu, że brzegi wyspy są dziwacznie zarysowane.

Jeżeli Cyrus Smith obliczył dobrze, to wyspa musiała mieć mniej więcej tęż samą rozległość, co Malta lub Zante na morzu Śródziemnem, tylko że brzegi jej nie były tak symetryczne. Kształt wyspy był tak dziwaczny, że kiedy Gedeon Spilett odrysował jej kontury, uznano jednozgodnie, iż była podobna do jakiegoś chyba zwierzęcia przedpotopowego, drzemiącego pod powierzchnią wód.

Potrzeba nam koniecznie poznać dokładnie kształt wyspy, opiszemy go więc podług mapy, narysowanej przez reportera.

Wschodnia część wybrzeża, ta, na którą podróżni wypadli z balonu, była szeroko wyszczerbiona i obejmowała swemi ramionami obszerną zatokę, zakończoną w południowo-wschodniej stronie przylądkiem, wpadającym w nią i śpiczasto zakończonym. W północno-wschodniej dwa inne przylądki zamykały zatokę, a między niemi ciągnęła się wąska odnoga, co, razem wzięte, przypominało otwartą paszczę jakiejś żarłocznej ryby.

Od północno-wschodniej aż do północno-zachodniej strony wybrzeże zaokrąglało się jakby spłaszczona czaszka dzikiego zwierzęcia. Od tego punktu wybrzeże ciągnęło się dość symetrycznie od północy i południa i było przecięte wąską przystanią, od której zwężało się w długi język ziemi, podobny do ogona olbrzymiego aligatora.

Język ten tworzył półwysep, na przeszło trzydzieści mil wpadający w morze i, zaokrąglając się, formował szeroką i otwartą przystań.

Wyspa w najwięcej zwężonem miejscu, to jest począwszy od Kominów aż do leżącej równolegle z niemi zatoki na zachodniem wybrzeżu, miała tylko dziesięć mil szerokości, lecz w najszerszem, to jest od wspomnianej paszczy rybiej w północno-wschodniej stronie, aż do

końca ogona aligatora w południowo-zachodniej, liczyła najmniej trzydzieści mil.

Co do powierzchni wyspy, ta w swej części południowej, od stóp aż do wybrzeża, była pokryta gęstym lasem, od północy zaś piaszczysta i jałowa. Pomiędzy wulkanem a wschodnią częścią wybrzeża wyspiarze z zadziwieniem spostrzegli duże jezioro, otoczone drzewami. Patrzącym na jezioro z tej wysokości zdawało się, że leży na tymże poziomie, co morze, lecz inżynier, przypatrzywszy mu się lepiej, oznajmił, że jest wyniesione o jakie trzysta stóp nad poziom morza, gdyż leży na wysokiej płaszczyźnie, ciągnącej się od wybrzeża.

— Więc to jezioro zawiera wodę słodką? — zapytał Penkroff.

— Bez wątpienia — odpowiedział inżynier — gdyż, jak się zdaje, zasyca je woda, spływająca z gór.

— Widzę nawet rzeczkę, wpadającą do niego — odezwał się Harbert, wskazując strumień, wypływający ze wzgórzy, ciągnących się na zachodzie.

— Masz słuszność — odpowiedział Cyrus Smith. — Skoro zaś strumień ten zasiła ciągle jezioro, to prawdopodobnie od strony morza musi być jakiś naturalny upust, chroniący jezioro od przepełnienia. Zobaczymy to, wracając.

Prócz jeziora, dawniej już odkrytej rzeki i strumienia, mieszkańcy wyspy nie widzieli już nigdzie większego zbiornika wody; być jednak może, iż były jeszcze inne rzeki, kryjące się wśród ogromnego lasu, pokrywającego dwie trzecie wyspy. Co do jej północnej części, nigdzie nie było nawet śladu wody bieżącej; może gdzie wśród bagien w północno-wschodniej stronie były jakie zbiorniki wody stojącej, których dojrzeć nie mogli, ale obecnie widzieli tylko piaszczyste wzgórza i płaszczyzny, pozbawione prawie roślinności; tylko szeroki potok zastygłej lawy dochodził aż do zatoki morskiej na północno-wschodniej stronie.

Cyrus Smith wraz z towarzyszami więcej niż godzinę pozostał na wierzchołku góry, skąd dokładnie mogli objąć okiem plan całej wyspy. Teraz pozostawało do rozwiązania jedno tylko pytanie, od którego poczęści zależała ich przyszłość, to jest: czy wyspa jest zamieszkana? Lecz z tego, co dotąd już widzieli, zdawało się, że można było na nie odpowiedzieć przecząco.

Nigdzie nie mogli dostrzec ani chaty, ani żadnego dzieła rąk ludzkich; nigdzie w powietrzu nie było widać dymu, zdradzającego obecność człowieka. Wprawdzie nawet bystry wzrok Penkroffa nie byłby zdolny dostrzec chaty, stojącej na najodleglejszym punkcie wybrzeża; nie można także było wiedzieć, czy wśród lasu nie kryją się mieszkania ludzkie, ale wogóle mieszkańcy wysp oceanu Spokojnego zakładają swe siedziby nad brzegami morza, a tu wybrzeża wydawały się całkiem puste.

Zgodzono się, że prawdopodobnie wyspa była bezludna; ale czy

do niej nie przypływali czasami mieszkańcy wysp sąsiednich? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. Wprawdzie na pięćdziesiąt mil wkoło nie widać było ziemi, ale pięćdziesiąt mil łatwo można przebyć w wielkich łodziach malajskich lub w polinezyjskich pirogach. Wszystko więc zależało od położenia wyspy, od jej osamotnienia wśród oceanu, lub sąsiedztwa z jakim archipelagiem. Podobna wątpliwość nakazywała im przedsięwziąć pewne środki ostrożności dla zabezpieczenia się na wypadek, gdyby dzicy wylądowali na wyspę.

Poznali już położenie wyspy, posiadali jej plan, skreślony przez reportera. postanowili jeszcze zbadać, jakiemi natura obdarzyła ją minerałami, roślinnością i zwierzętami.

Przed popwrotem do doliny Cyrus Smith odezwał się do towarzyszów poważnym i spokojnym głosem:

— Oto, przyjaciele moi, roztacza się u stóp naszych mały zakątek ziemi, na który rzuciła nas ręka Wszechmocnego. Tu długo a może i na zawsze pozostaniemy, jeżeli nie przyjdzie nam z pomocą statek, przypadkiem zabłąkany na tych wodach... Mówię zabłąkany, gdyż nasza wyspa nie posiada nawet portu, mogącego służyć za przystań dla okrętów, i lękam się bardzo, czy nie leży zdala od dróg, uczęszczanych przez żeglarzy, bo jest zanadto wysunięta na południe dla statków, zwiedzających archipelagi oceanu Spokojnego, zanadto zaś na północ dla udających się do Australji około przylądka Horn. Nie chcę taić przed wami przykrości naszego położenia.

— I masz słuszność, kochany Cyrusie — przerwał mu żywo reporter — wszakże nie jesteśmy dziećmi. My pokładamy w tobie ufność, a ty w każdym razie możesz liczyć na nas. Wszak prawda, towarzysze?

— Chętnie będę spełniał rozkazy pana — odezwał się Harbert, ściskając rękę inżyniera.

— Przez całe życie będę posłusznym i wiernym sługą mego ukochanego pana — zawołał Nab.

— Co do mnie — rzekł marynarz — niech zapomnę swego nazwiska, jeżeli nie będę pracował zawsze ochoczo. Gdybyś pan tylko chciał, panie Smith, zrobilibyśmy z tej wyspy malutką Amerykę. Pobudujemy miasta, porobimy drogi żelazne, pozakładamy telegrafy, a gdy już będzie zupełnie przeistoczona, zagospodarowana, ucywilizowana, podarujemy ją rządowi Unji! Czynię tylko jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — zapytał reporter.

— Abyśmy się już nie uważali za rozbitków, lecz za kolonistów, którzy przybyli tu założyć kolonję.

Cyrus Smith uśmiechnął się, i wniosek marynarza przyjęto jednogłośnie. Następnie inżynier podziękował towarzyszom, dodając, że liczy na ich wytrwałość i pomoc Opatrzności.

— A więc w drogę do Kominów! — zawołał Penkroff.

Jeszcze chwilkę, przyjaciele — odpowiedział Cyrus. — Zdaje mi się, że wypada obmyśleć nazwisko dla naszej wyspy, jako też dla przylądków, zatok, rzek i wszystkich główniejszych części tej ziemi.

— Masz słuszność — odpowiedział reporter — tym sposobem łatwiej nam będzie wydawać i wykonywać różne polecenia.

— Rzeczywiście — odpowiedział marynarz — już i to wiele znaczy, gdy można powiedzieć, dokąd idziemy lub skąd wracamy.

— Teraz naprzykład możemy powiedzieć: idziemy do Kominów — rzekł Harbert.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Penkroff — wszakże z tem dogodniej i nazwa bardzo stosowna. Panie Cyrusie, czy miejsce, gdzie założyliśmy nasze obozowisko, i nadal zatrzyma nazwę „Kominy"?

— Bez wątpienia, Penkroffie, skoro je tak nazwałeś.

— Wybornie! Inne miejscowości z łatwością nazwiemy — mówił dalej marynarz — ochrzcijmy je tak, jak Robinson, o którym Harbert czytał mi nieraz. Możemy mieć zatokę Opatrzności, cypel Potfisza, przylądek Omylonej Nadziei...

— Lepiej będzie nadać im nazwiska pana Smitha, pana Spiletta, Naba — powiedział Harbert.

— Jakto? moje nazwisko? — zawołał Nab, pokazując białe swe zęby.

— Czemu nie — odpowiedział Penkroff. — Dajmy na to: port Naba, wszakże to brzmi bardzo pięknie! Albo też przylądek Gedeona.

— Co do mnie — rzekł reporter — wolałbym wziąć nazwiska miejscowości, znanych w naszym kraju, któreby nam przypominały Amerykę.

— Zgadzam się na to co do miejsc znaczniejszych — rzekł Cyrus Smith. — Możemy, naprzykład, tę wschodnią zatokę nazwać zatoką Unji, tę drugą, na południu, zatoką Washingtona; górę, na której stoimy, górą Franklina; błyszczące tam jezioro, jeziorem Granta — gdyż te nazwy przypominać nam będą nasz kraj rodzinny i wielkich jego obywateli. Ale co do rzek, mniejszych zatok i przylądków, wybierzmy im nazwiska, przypominające ich kształty. Będą praktyczniejsze i prędzej wbiją się nam w pamięć, a dziwaczny kształt wyspy ułatwi ich wyszukanie. Różne nieznane nam części lasu, rzeki lub przystanie nazywać będziemy w miarę, jak je poznamy. Czy zgadzacie się na to?...

Towarzysze inżyniera chętnie poszli za jego radą. Cała wyspa roztaczała się przed ich oczyma, pozostawało więc tylko nadawać kolejno nazwy wszystkim znaczniejszym jej częściom. Gedeon Spilett spisywał jedne po drugich, i geograficzna nomenklatura wyspy została stanowczo ułożona.

Naprzód stosownie do życzenia inżyniera zapisywano nazwy zatoki Unji, zatoki Washingtona i góry Franklina, oznaczając niemi wskazane już przez niego miejscowości.

— Teraz — rzekł reporter — według mego zdania, wartoby nazwać półwysep, wybiegający w morze od południowo-zachodniej strony, półwyspem Wężowatym, a zakończający go przylądek w kształcie zakręconego ogona gadu, przylądkiem Gadu (Reptile-End).

— Zgoda — rzekł inżynier.

— Ten zaś drugi kraniec wyspy — rzekł Harbert — tak podobny do otwartej paszczy, nazwijmy zatoką Rekina (Shark-gulf).

— Dobrze pomyślane — zawołał Penkroff. — A dla uzupełnienia obrazu, niech dwie części paszczy noszą nazwę przylądka Szczęki (Mandible cap).

— Wszakże są tam dwa przylądki — rzekł reporter.

— Nic to nie szkodzi — odrzekł Penkroff — będziemy mieli dwa przylądki Szczęki, północny i południowy.

— Już zapisane — powiedział Gedeon Spilett.

— Trzeba teraz ochrzcić cypel na południowo-wschodniej stronie wyspy — rzekł Penkroff.

— Czyli kraniec zatoki Unji — poprawił go Harbert.

— Niech się nazywa Szpony — zawołał Nab, chcąc być także chrzestnym ojcem jakiejś części wyspy.

Trzeba przyznać, że Nab wyborną znalazł nazwę, gdyż rzeczywiście ten przylądek podobny był bardzo do potężnych szponów fantastycznego zwierza, którego całe ciało wyobraża wyspa swem dziwacznem ukształtowaniem.

Rzeka, dostarczająca kolonistom wody słodkiej, przy której zostali wyrzuceni z balonu, została nazwana rzeką Miłosierdzia (Mercy). Tym sposobem składali podziękowanie Opatrzności.

Nadbrzeżna wysepka otrzymała nazwę wysepki Wybawienia (Safety—Island).

Płaszczyznę, wieńczącą wysokie granitowe mury ponad Kominami, z której można było objąć wzrokiem całą wielką zatokę, nazwano płaszczyzną „Pięknego widoku".

Nakoniec nieprzejrzany las, pokrywający półwysep Wężowaty, otrzymał nazwę lasu (Far—West) Dalekiego Zachodu.

Wszystko więc było skończone, i koloniści mieli już schodzić z góry Franklina, aby powrócić do Kominów, gdy Penkroff zawołał:

— Jacy też z nas roztrzepańcy.

— Dlaczego? — zapytał Gedeon Spilett, zamykając notatnik.

— A nasza wyspa! Zapomnieliśmy ją ochrzcić.

Harbert miał już doradzić, aby jej nadano imię inżyniera, na co jego towarzysze zgodziliby się chętnie, gdy Cyrus Smith powiedział:

— Niech wyspa nasza nosi nazwisko wielkiego naszego obywatela, który obecnie walczy w obronie jedności rzeczypospolitej amerykańskiej! Nazwijmy ją wyspą Lincolna!

Potrójne wiwat było odpowiedzią na propozycję inżyniera.

Tegoż wieczora, po powrocie do Kominów, koloniści rozmawiali długo o rodzinnej ziemi, o strasznej, niszczącej ją wojnie; nie powątpiewali ani na chwilę, że Południowcy zostaną wkrótce pokonani, że Północ, że sprawiedliwość triumfować będzie, dzięki Grantowi, dzięki Lincolnowi!

Działo się to 30 marca, i żaden z nich nie mógł się domyśleć, że w szesnaście dni później straszna zbrodnia zostanie popełniona w Washingtonie, że w wielki piątek Abraham Lincoln żyć przestanie, ugodzony kulą mordercy fanatyka *).

ROZDZIAŁ XII.

Regulowanie zegarka. — Penkroff zadowolony. — Podejrzany dym. — Wycieczka. — Flora wyspy. — Fauna. — Bażanty. — Ściganie kangurów. — Aguty. — Jezioro Granta. — Powrót do Kominów.

Koloniści wyspy Lincolna raz jeszcze dokoła rzucili oczyma, obeszli krater, a w pół godziny później stanęli już na niższej płaszczyźnie, gdzie przepędzili noc ubiegłą.

Penkroff był zdania, że czas już było pomyśleć o śniadaniu; spojrzano na zegarki i z tego powodu pomyślano o ich uregulowaniu.

Jak wiadomo, zegarek Gedeona Spiletta nie był uszkodzony przez wodę morską, gdyż reporter upadł na suchy piasek. Był to wyborny chronometr kieszonkowy, który Gedeon nakręcał codziennie najregularniej o tej samej godzinie.

Zegarek inżyniera stanął wtenczas, gdy właściciel jego leżał na wydmach piaszczystych. Inżynier nakręcił go teraz, a wnosząc z wysokości słońca, że musi być około dziewiątej, nastawił wskazówki na tę godzinę.

Gedeon Spilett chciał pójść za jego przykładem, lecz inżynier zatrzymał jego rękę, mówiąc:

— Nie trzeba, kochany Gedeonie, wstrzymaj się jeszcze. Wszakże zegarek twój wskazuje godzinę, jaka obecnie jest w Richmond?

— Tak, Cyrusie.

— A więc jest naregulowany podług południka tego miasta, różniącego się mało od południka Washingtonu?

— Bez wątpienia.

---

*) Lincolna zamordował w teatrze w Washingtonie aktor J. Booth, sprzyjający Południowcom.

— W takim razie pozostaw go tak, jak jest, tylko nakręcaj regularnie; może nam się to przydać.

— Nie pojmuję naco — pomyślał Penkroff.

Śniadanie spożyto z takim apetytem, że nie pozostało już nic ze zwierzyny, ani też orzechów, lecz Penkroff nie troszczył się o to wiele, gdyż sądził, że w drodze uda im się coś upolować przy pomocy Topa, który teraz bardzo małą otrzymał porcję i podniecony głodem potrafi wyszukać jakiego zwierza w zaroślach u stóp góry. Prócz tego marynarz zamierzał prosić inżyniera, aby dostarczył prochu i parę dubeltówek, i był przekonany, że otrzyma to z największą łatwością, bo wszakże już pan Smith potrafił promieniem słońca zapalić ognisko.

Po śniadaniu Cyrus Smith zaproponował, aby inną drogą wracać do Kominów. Pragnął poznać jezioro Granta, przedstawiające się tak pięknie wśród pysznych drzew, otaczających go wkoło; zeszli więc na pasmo niższych, poprzecznie ciągnących się gór, służących stożkom za podstawę, wśród których prawdopodobnie brał początek strumień, zasilający jezioro. Koloniści uradzili, rozmawiając, że choć niema konieczności, aby wszyscy szli razem, jednak lepiej, gdy jedni od drugich nie będą oddalali się zbytecznie. Prawdopodobnie w tych gęstych lasach musiały znajdować się dzikie zwierzęta; sama roztropność nakazywała zachować ostrożność. Najczęściej Penkroff, Harbert i Nab szli naprzód, a przed nimi biegł Top, zaglądając w każdy zakątek. Inżynier i reporter szli obok siebie. Gedeon Spilett trzymał w ręku notatnik, aby zapisać natychmiast każde ważniejsze odkrycie lub zdarzenie. Cyrus Smith, milcząc, spoglądał wkoło i niekiedy zbaczał trochę z drogi, aby drobny przedmiot podnieść z ziemi, przyjrzeć mu się i, nie mówiąc ani słowa, schować do kieszeni.

— Co on u licha zbiera tak starannie? — powtarzał Penkroff. — Patrzę i patrzę, a nie widzę nic takiego, po co wartoby się schylić.

Około godziny dziesiątej koloniści dochodzili już do podnóża góry Franklina, gdzie spotykali tylko krzaki i zaledwie gdzie niegdzie drzewa.

Cyrus Smith sądził, że bez żadnego wypadku dojdą do strumienia, który, jak mniemał, musiał płynąć pod drzewami przy końcu doliny. Wtem zobaczył Harberta, powracającego śpiesznie, a jednocześnie Nab i marynarz skryli się za skałami.

— Cóż się to stało, Harbercie? — zapytał reporter.

— Dym — odpowiedział Harbert — zobaczyliśmy dym, wychodzący z pomiędzy skał o jakie sto kroków przed nami.

— Co! mielibyśmy znaleźć tu ludzi?! — zawołał reporter.

— Nie pokazujmy się, dopóki nie będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia — odpowiedział Cyrus. — Więcej obawiam się,

niż pragnę spotkać się z mieszkańcami tej wyspy, jeżeli tylko są tu rzeczywiście. Gdzie jest Top?

— Top pobiegł naprzód.

— I nie szczeka?

— Nie.

— Dziwna rzecz. Spróbujmy go przywołać.

Niebawem inżynier, reporter i Harbert połączyli się z towarzyszami i równie jak oni skryli się za odłamami bazaltu.

Stojąc tam, widzieli wyraźnie słupy żółtawego dymu, wzbijające się w powietrze.

Inżynier lekkiem świśnięciem przywołał Topa i, dawszy znak towarzyszom, aby na niego zaczekali, wsunął się między skały.

Koloniści z pewnym niepokojem oczekiwali skutków tego badania. Cyrus Smith zawołał na nich. Pobiegli i zatrzymali się nagle, poczuwszy niemiłą woń, roztaczającą się w powietrzu, po której inżynier poznał odrazu, że nie mają się czego obawiać.

— Ten ogień, czyli raczej dym — rzekł do przybyłych — nie zwiastuje nam obecności człowieka, lecz źródło siarczane, którem będziemy mogli leczyć wszelkie przypadłości kataralne.

— Wybornie — zawołał Penkroff — żałuję doprawdy, że nie mam kataru!

Zbliżyli się do miejsca, z którego dym wychodził, i spostrzegli między skałami źródło, które wydawało silną woń siarkowodoru.

Cyrus Smith skosztował tej wody i stwierdził, że miała smak słodkawy. Co do temperatury, oznaczył ją na dziewięćdziesiąt stopni Fahrenheit'a (35° Celsjusza ponad zero). Gdy Harbert zapytał go, jakim sposobem mógł to obliczyć, odpowiedział:

— Bardzo łatwym, mój chłopcze. Gdy zanurzyłem rękę w tej wodzie, nie czułem ani zimna, ani ciepła, co dowodzi, że temperatura jej jest równa temperaturze ciała ludzkiego, oznaczonej mniej więcej na dziewięćdziesiąt pięć stopni.

Opuścili wkrótce źródło siarczane, które obecnie było dla nich całkiem bezużyteczne, i zwrócili kroki do lasu, rozpoczynającego się o kilkaset kroków dalej.

Tam, jak się tego domyślano, strumień toczył swe bystre i przejrzyste wody wśród wysokich brzegów z czerwonej ziemi, której kolor zdradzał obecność tlenku żelaza. Kolor ten tak uderzał w oczy, że strumień otrzymał nazwę Czerwonego strumienia.

Był to strumień szeroki, głęboki i przezroczysty, utworzony z wód, spływających z gór, który miejscami płynął wartko, miejscami toczył się wolno po piasku, to z hukiem uderzał o skały, gdzieniegdzie tworzył szumiące kaskady. Dążył on do jeziora, odległego o półtorej mili. Woda w nim była słodka, to jest zdatna do picia, trzeba więc było wnosić, że taka sama napełniała jezioro. Byłoby

to nader ważne odkrycie, w razie gdyby w tej stronie znaleziono mieszkanie, dogodniejsze niż Kominy.

Kilkaset sztuk drzew, rosnących w dole strumienia i ocieniających jego brzegi, należało po większej części do gatunków, rosnących w umiarkowanych strefach Australji i Tasmanji, a nie do drzew, pokrywających poznaną już pierwej część wyspy, o kilka mil od płaszczyzny „Pięknego widoku”. W kwietniu, który na tej półkuli jest tem, czem u nas październik, to jest początkiem jesieni, jeszcze gęsto pokrywały je liście. Były tam kazuaryny, eukaliptusy, a z tych niektóre miały na wiosnę dostarczyć kolonistom słodkiej manny, zupełnie podobnej do manny wschodniej. Kępy cedrów australijskich rosły na małych łączkach, pokrytych wysoką trawą, zwaną w Nowej Holandji „tussak”; zdawało się jednak, że na wyspie nie było wcale kokosów, tak obficie rosnących na archipelagach oceanu Spokojnego. Może klimat był tu dla nich za chłodny.

— Co za szkoda — rzekł Harbert. — Brak nam drzewa, tak użytecznego i tak piękne wydającego orzechy.

Co do ptaków, tych mnóstwo uwijało się na niezbyt suto pokrytych liśćmi gałęziach kazuarynów i eukaliptusów, gdzie swobodnie mogły rozwijać skrzydła. Kakatoe, czarne, białe i szare, papugi zwyczajne i z klinowatym ogonem, z upierzeniem o najpiękniejszych barwach, oraz błękitne lory przeskakiwały z gałęzi na gałąź, wśród ogłuszającego szczebiotania.

Nagle dziwny koncert rozległ się w gęstwinie. Koloniści słyszeli kolejno śpiew ptaków, głosy zwierząt, klaskania, niby wychodzące z ust ludzkich. Nab i Harbert pobiegli w tę stronę, zapominając o wszelkich przepisach ostrożności. Szczęściem, nie znaleźli tam ani dzikich zwierząt, ani dzikich ludzi, lecz pół tuzina krzykliwych i przedrzeźniających ptaków, w których poznali „górskie bażanty”. Kilka zręcznych uderzeń kijem zakończyło scenę naśladownictwa, a kolonistów zaopatrzyło w wyborne pieczyste.

Harbert pokazał także towarzyszowi pyszne gołębie z połyskującemi, miedzianego koloru skrzydłami; jedne ozdobione pięknemi czubami, inne upierzone zielono, jak pokrewne ich z Port-Macquarie. Niepodobna jednak było zabić żadnego, równie jak napotykanych tam kruków i srok, gdyż ulatywały zbyt prędko. Jeden nabój śrutu byłby pozbawił życia mnóstwo tych ptaków, lecz myśliwi nasi posiadali tylko kamienie i kije, a ta broń pierwotna pozostawiała wiele do życzenia.

Brak lepszej broni jeszcze więcej dał im się we znaki, gdy całe stado zwierząt, podskakując na kilkanaście stóp wgórę, uciekło, przesadzając zarośla tak prędko i tak wysoko, że można było sądzić, iż jak wiewiórki skaczą z drzewa na drzewo.

— Kangury! — krzyknął Harbert.

— Czy to zdatne do jedzenia? — zapytał Penkroff.

— Duszone w rondlu — rzekł reporter — są nawet wyśmienitą potrawą!...

Nie dokończył jeszcze, gdy marynarz, Nab i Harbert pobiegli za kangurami. Daremnie Cyrus wołał, aby się wrócili. Oni zaś napróżno ścigali zwierzynę, uciekającą tak szybko i odskakującą od ziemi, jak piłka elastyczna. Po pięciu minutach stanęli zadyszani, kangury zaś znikły w lesie. Nawet Top nie był od nich szczęśliwszy.

— Panie Smith — rzekł Penkroff, gdy inżynier wraz z reporterem zbliżyli się do nich — panie Smith, sam widzisz, że strzelba koniecznie nam potrzebna. Czy ją nam pan zrobisz?

— Być może, ale zaczniemy od wyrobienia strzał z łuków, i pewny jestem, że wkrótce nauczysz się z nich strzelać równie dobrze, jak australijscy myśliwi,

— Łuki, strzały! — rzekł pogardliwie. — To dobre dla dzieci.

— Nie bądź tak wybredny, przyjacielu — rzekł reporter. — Przez wiele wieków toczono krwawe wojny, nie mając innej broni nad łuki i strzały. Proch wynaleziono niebardzo dawno, a na nieszczęście początek wojen jest współczesny z początkiem rodu ludzkiego.

— Masz pan słuszność, panie Spilett, nie zastanowiłem się nad tem, co mówię.

— Zresztą — dodał Harbert, zawsze z upodobaniem mówiący o wszystkiem, co należało do historji naturalnej — mieliśmy do czynienia z gatunkiem, najtrudniejszym do upolowania. Był to największy gatunek kangurów, odziany długiem, popielatem futrem; ale są jeszcze kangury czarne i czerwone, kangury skalne, kanguroszczury, które łatwiej schwytać można. Jeżeli się nie mylę, obliczono dotąd dwanaście gatunków, a...

— Harbercie — rzekł poważnie marynarz — dla mnie istnieje tylko jeden gatunek kangura: kangur na rożnie. A tego właśnie nie zobaczymy już dzisiaj!

Wszyscy roześmieli się, słysząc podobną klasyfikację i żartowali z marynarza, gdy ubolewał, że nie będą mieli na obiad nic więcej prócz bażanta śpiewającego. Ale i teraz jeszcze fortuna okazała się dla niego łaskawą.

Top, mając może własny interes na względzie, biegał i wietrzył to w tej, to w owej stronie i prawdopodobnie, gdyby udało mu się upolować jaką zwierzynę, nie zostawiłby ani kawałka dla swych panów; szczęściem Nab, domyślając się tego, nie spuszczał go z oczu.

Około godziny trzeciej Top zniknął w krzakach, a wkrótce potem dało się słyszeć przytłumione kwiczenie, dowodzące, że stacza walkę z jakiemś zwierzęciem.

Nab podskoczył za nim i rzeczywiście spotkał Topa, pożerającego zwierzę, które w dziesięć sekund później byłoby już całkiem

znikło w jego żołądku. Szczęściem Top spotkał całe gniazdo i za jednym zamachem udusił trzy zwierzątka, z których dwa leżały jeszcze rozciągnięte na ziemi.

Nab zabrał je i powrócił do towarzyszów, trzymając w każdej ręce zwierzątko, należące do rzędu gryzoniów i cokolwiek większe od zająca. Żółte ich futra były ozdobione zielonawemi plamami, ogona prawie nie miały.

Obywatele Unji musieli poznać je odrazu: były to *marasy*, rodzaj zwierząt z okolic podzwrotnikowych, prawdziwe amerykańskie króliki, z długiemi uszami, ze szczękami, opatrzonemi z każdej strony pięciu trzonowemi zębami, czem głównie odróżniają się od agutów.

— Wiwat! — zawołał Penkroff — znalazła się pieczeń! Teraz możemy spokojnie wrócić do domu.

Poszli dalej. Czerwony strumień płynął ciągle pod sklepieniem kazuarynów, baksyj i olbrzymich drzew gumowych. Pyszne gatunki roślin liljowatych wyrastały do dwudziestu stóp wysokości. Inne gatunki, nieznane młodemu naturaliście, kąpały swe gałązki w nurtach strumienia, którego łożysko rozszerzało się tak widocznie, że Cyrus oznajmił towarzyszom, iż zbliżają się do jego ujścia. I rzeczywiście niedługo tam stanęli.

Koloniści znajdowali się teraz na zachodnim brzegu jeziora Granta, a oczom ich przedstawił się prawdziwie ujmujący widok. Jezioro miało blisko siedem mil obwodu, a powierzchnia jego zajmowała około dwustu pięćdziesięciu akrów. Ku wschodowi, przez zieloną firankę pysznych drzew, przebijały błyszczące fale morza. O kilkaset kroków od południowego brzegu, ponad wodami jeziora, sterczała duża skała; na niej żyło zgodnie kilkanaście par zimorodków: stały poważne, nieruchome, czatując na ryby, potem nagle, z ostrym krzykiem zanurzały się w wodzie i wracały znów na dawne miejsce, trzymając zdobycz w dziobie. Na brzegach przechadzały się dzikie kaczki, pelikany, kurki wodne i wiele innych gatunków wodnego ptactwa, oraz parę tych świetnych liroogonów, których rozwinięty ogon przedstawia kształt liry.

Woda jeziora była słodka, przezroczysta, a ukazujące się często na jej powierzchni koła oznajmiały, że musiały być ryby.

— Śliczne jest to jezioro! — rzekł Gedeon Spilett — chciałbym mieszkać nad jego brzegami.

— I będziesz mieszkał — odpowiedział Cyrus Smith.

Koloniści, chcąc wrócić krótszą drogą do Kominów, zwrócili się ku południowi i zaczęli przedzierać się przez zarośla, wśród których dotąd nie postała noga ludzka; przeszedłszy je, skierowali się ku płaszczyźnie Pięknego widoku.

Chcąc z tej płaszczyzny dostać się do Kominów, dość było przejść ją i zejść nadół przy pierwszem zakręcie rzeki Mercy; lecz że inżynier chciał koniecznie zobaczyć, gdzie i jak odpływa woda

z jeziora, aby się przekonać czy nie będą mogli jakim sposobem zużytkować siły, więc szli jeszcze przez pewien czas pod drzewami. Tym sposobem, dążąc nad brzegiem jeziora, zbliżali się zarazem do płaszczyzny.

Uszli jeszcze milę w tym kierunku, lecz nie znalezli upustu, który jednak musiał istniec koniecznie, skoro dotąd woda nie przepełniła brzegów jeziora; a że było już po czwartej i trzeba było pomyśleć o obiedzie, koloniści zawrócili i lewym brzegiem Mercy doszli do Kominów.

Rozpalono ogień. Nab i Penkroff, którzy wspólnie sprawowali obowiązki kucharzy, podali wkrótce pieczeń z aguta, z której nic prawie nie pozostało.

Po obiedzie, gdy już wszyscy mieli udać się na spoczynek, Cyrus Smith rzekł do towarzyszów, wyjmując z kieszeni próbki różnych minerałów:

— Przyjaciele, to jest ruda żelazna, to piryt, to glina, to wapno, a to węgiel. Oto czem obdarzyła nas natura, to są dzieła jej pracy! Jutro na nas przyjdzie kolej!

ROZDZIAŁ XIII.

Co znaleziono na Topie. — Sporządzenie łuków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Naczynia kuchenne. — Bylica. — Krzyż Południa. — Ważne spostrzeżenie astronomiczne.

— Od czego dziś zaczniemy, panie Cyrusie? — zapytał Penkroff nazajutrz z rana.

— Od początku — odpowiedział Smith.

Rzeczywiście musieli zaczynać od początku, gdyż nie posiadali nawet narzędzi, potrzebnych do niezbędnej pracy, a nie znajdowali się w tak korzystnych warunkach jak przyroda, która, mając czas przed sobą, śpieszyć się i wysilać nie potrzebuje! Ich żelazo i stal jeszcze pod postacią rudy leżały w ziemi, garnki były dotąd tylko niewyrobioną gliną, suknie i bielizna pozostawały do tej chwili w pierwotnym swym stanie, t. j. na grzbietach muflonów lub w łodygach roślin włóknistych.

— Zaczniemy od początku — powiedział Cyrus Smith.

Otóż tym początkiem miało być zbudowanie przyrządu, w którymby można przetwarzać materjały surowe. Wiemy już, jak ważną rolę gra ogień we wszystkich podobnych przemianach. Otóż materjały opałowe, jak drzewo lub węgiel, były już gotowe, ale, chcąc je zużytkować, trzeba było zbudować piec odpowiedni.

— Naco nam się przyda piec taki? — zapytał Penkroff.

— Do wyrabiania garnków i misek — odpowiedział inżynier.

— A z czegóż ten piec zbudujemy?

— Z cegieł.

— A cegły?

— Z gliny. Ale czas nam w drogę, towarzysze. Aby uniknąć trudów przenoszenia materjałów surowych, założymy nasz warsztat tam, gdzie będziemy je mieli pod ręką. Nab zabierze zapasy śpiżarniane, a do upieczenia ich nie zabraknie nam ognia.

— Tak — odpowiedział reporter — ale kto wie, czy z powodu braku myśliwskiej broni nie zabraknie nam żywności.

— Ach! gdybyśmy mieli choć jeden nóż! — zawołał marynarz.

— Cóżbyś z nim zrobił? — zapytał Cyrus.

— W mgnieniu oka zrobiłbym łuk i strzały, a w takim razie z pewnością nie zabrakłoby nam zwierzyny.

— Tak; nóż... — rzekł jakby do siebie inżynier i przypadkiem spojrzał na Topa, biegnącego nad brzegiem, a w oczach jego zabłysła radość.

— Top, do nogi! — zawołał.

Posłuszne zwierzę przybiegło do pana. Cyrus pogłaskał je, zdjął z szyji obrożę i rozłamał ją, mówiąc:

— Oto są dwa noże, Penkroffie!

Marynarz odpowiedział mu podwójnym okrzykiem radości. Obroża Topa była płaska jak klinga noża i wyrobiona z hartowanej stali: trzeba więc było tylko każdy kawałek zaostrzyć z jednej strony na piaskowcu, a że wpobliżu znajdowały się takie skały, więc w dwie godziny później koloniści posiadali już dwa ostre noże w mocnej, drewnianej obsadzie.

Wyrobienie tego pierwszego narzędzia uważano sobie za triumf prawdziwy, ale też rzeczywiście dla naszych kolonistów była to zdobycz nader szacowna i przybywająca wporę.

Koloniści stanęli wreszcie na miejscu, obfitującem w glinę tłustą, używaną na cegły i dachówki, a więc taką właśnie, jakiej potrzebowali obecnie.

Nie mając odpowiednich narzędzi, inżynier postanowił wyrabiać cegłę ręcznie. Całe dwa dni poświęcono tej pracy: glina, zmoczona wodą, zmieszana z piaskiem i starannie przerobiona nogami, została podzielona na graniastosłupy równej wielkości. Wprawny robotnik może wyrobić w przeciągu dwunastu godzin do dziesięciu tysięcy cegieł, lecz ceglarze z wyspy Lincolna w przeciągu dwóch dni wyrobili ich zaledwie trzy tysiące. Poukładano je rzędami i pozostawiono tak, dopóki nie wyschną dostatecznie, na co potrzeba było trzech do czterech dni, gdyż bez tego nie możnaby ich wypalać.

Zanim przystąpiono do wypalania cegły, trzeba było przygotować dostateczną ilość drzewa, a praca ta zajęła kolonistom aż dwa dni. Obłamywano gałęzie drzew, rosnących wpobliżu, i zbierano su-

che, leżące na ziemi. Przy tej sposobności upolowano kilka sztuk zwierzyny, gdyż Penkroff posiadał teraz kilka tuzinów strzał, zakończonych doskonałemi ostrzami. Dostarczył ich Top, zadusiwszy jeżozwierza, którego wartość umieli ocenić koloniści, nie dla mięsa, lecz dla pokrywających go kolców. Powyrywano je natychmiast i poobsadzano je na jednym końcu strzał, na drugim zaś, aby nie zmieniały kierunku w locie, przymocowano po kilka piórek kakatoesów. Reporter i Harbert zostali wkrótce wybornymi łucznikami. Odtąd też śpiżarnia w Kominach obficie była zaopatrzona w czworonożną i skrzydlatą zwierzynę, jak kabje, aguty, gołębie, głuszce i wiele innych.

W czasie wycieczek dokoła polanki, na której założyli cegielnię, myśliwi spotkali raz świeże ślady zwierząt, uzbrojonych silnemi pazurami. Cyrus Smith zalecił wszystkim ostrożność, gdyż prawdopodobnie w lesie znajdowały się drapieżne zwierzęta.

W parę dni potem Gedeon Spilett i Harbert spostrzegli rzeczywiście zwierzę, podobne do jaguara. Szczęście, że nie napadło na nich, gdyż prawdopodobnie nie wyszliby z tej walki co najmniej bez ciężkich ran. Dziś musieli kryć się i ustępować, lecz zato, gdy będą już mieli strzelby, o które Penkroff tak się dopominał, wydadzą dzikim zwierzętom zaciętą wojnę i oczyszczą z nich swą wyspę.

Dotąd nie zaprowadzono żadnych ulepszeń w Kominach, gdyż inżynier postanowił wyszukać, a w najgorszym razie zbudować dogodniejsze mieszkanie. Porobiono tam tylko miękkie posłania z mchu i suchych liści, a koloniści, utrudzeni całodzienną pracą, spali wybornie na tych skromnych łożach.

Obliczyli także, ile dni przebywają już na wyspie, i postanowili zapisywać odtąd każdy dzień ubiegły. We środę, dnia piątego kwietnia, upłynęło dni dwanaście, jak wiatr wyrzucił ich na te brzegi.

Jako skutek prac dokonanych, inżynier w dniu 9 kwietnia posiadał już dość znaczną ilość wapna i kilka tysięcy cegieł.

Przystąpiono natychmiast do budowy garncarskiego pieca, gdyż brak garnków i misek ciężko im się czuć dawał.

Na teraz jednak koloniści poprzestali na najprostszych wyrobach garncarskich, w którychby można przyrządzać i spożywać potrawy. Wyrobiono je z gliny, do której Cyrus Smith dodał stosowną ilość piasku i tym sposobem otrzymał wyborną glinę garncarską. Tak więc kuchnia i kredens kolonistów zostały zaopatrzone w garnki, miski, talerze, filiżanki, dzbanki mniejsze i większe i tym podobne rzeczy. Wprawdzie wszystko to było trochę niezgrabne, nieco krzywe, ale pomimo to dla kolonistów tak drogocenne, jakgdyby było wyrobione z najprzedniejszej kaoliny.

Przy tej sposobności Penkroff wyrobił sobie kilka niezgrabnych fajek, które wydały mu się nader pięknemi, i ciężko ubolewał nad tem, że nie ma do nich tytoniu.

— Ba! — powtarzał, pocieszając się, gdy zatęsknił za fajeczką — skoro już mamy tyle rzeczy, to i tytoń mieć będziemy.

Roboty garncarskie trwały do piętnastego kwietnia. Koloniści, zamianowani przez Cyrusa garncarzami, zajmowali się gorliwie garncarstwem, a gdy inżynier zamieni ich na kowali, staną się równie ochoczymi kowalami. Ponieważ jednak nazajutrz wypadała niedziela, a do tego niedziela ta była pierwszym dniem Wielkiejnocy, wszyscy jednozgodnie postanowili dzień ten święcić, powstrzymując się od wszelkiej pracy. Amerykanie nasi byli ludźmi religijnymi, trzymali się ściśle przepisów Biblji, a teraźniejsze ich położenie musiało jeszcze silniej rozwinąć ich miłość dla Stwórcy i ufność w Jego nieograniczone miłosierdzie.

Wieczorem d. 15 kwietnia powrócono do Kominów, by zabrać resztę wyrobów garncarskich. W czasie powrotu zrobiono nader pożyteczne odkrycie: inżynier znalazł roślinę, zastępującą wybornie hubkę. Wiadomo, że to gąbczaste ciało wydaje pewien gatunek grzyba; jest ono nader palne, skoro zostanie stosownie przyrządzone, to jest nasycone prochem, albo też zanurzone w roztworze azotanu lub chlorku potasu. Dotąd nie dostrzeżono na wyspie tego rodzaju grzybów, ani nic ich zastąpić nie mogło. Teraz dopiero Cyrus Smith spotkał rodzaj bylicy, której pokrewnemi są: piołun i estragon. Wyrwał kilka kępek tej rośliny i rzekł, pokazując je marynarzowi.

— Patrz, Penkroffie, to odkrycie zrobi ci zapewne przyjemność.

Penkroff zaczął uważnie przyglądać się roślinie, której liście przykryte były puszkiem.

— Co to takiego, panie Cyrusie? Czyżby Opatrzność obdarzyła nas jakim gatunkiem tytoniu?

— Nie — odpowiedział inżynier — dla uczonych jest to bylica chińska, a dla nas będzie hubką.

Rzeczywiście bylica po wysuszeniu okazała się łatwo zapalną, zwłaszcza, gdy później inżynier nasycił ja azotanem potasu, którego pokłady znajdowały się na wyspie.

Tego wieczora koloniści sutą uraczyli się wieczerzą. Nab ugotował rosół z aguty, szynkę z kabji, przesiąkniętą aromatycznemi ziołami, miazgę rośliny trawiastej „*Caladium macrorhizum*”, która w strefie podzwrotnikowej przybiera postać drzewa. Ma ona smak doskonały, jest bardzo pożywna i bardzo podobna do sprzedawanego w Anglji tak zwanego portlandzkiego sago. Poniekąd mogła ona zastąpić chleb, na którym zbywało kolonistom wyspy Lincolna.

Po wieczerzy, około godziny ósmej, Cyrus i towarzysze jego wyszli odetchnąć świeżem powietrzem. Wieczór był prześliczny. Było to pięć dni po pełni. Chociaż księżyc nie wszedł jeszcze, niebo srebrzyło się już tem bledziuchnem i słabem światłem, któreby można nazwać brzaskiem księżyca. Na zenicie południowym błyszczały

gwiazdozbiory podbiegunowe, a mocniej nad wszystkie jaśniał Krzyż Południa, który już kilka dni temu powitał inżynier, stojąc na szczycie góry Franklina.

Cyrus Smith wpatrywał się przez kilka minut w tę pyszną konstelację, mającą na szczycie i u podstawy dwie gwiazdy pierwszej wielkości, na lewem ramieniu gwiazdę drugiej, a na prawem gwiazdę trzeciej wielkości.

Zamyślił się, a potem rzekł:

— Harbercie, wszak dziś mamy 15 kwietnia?

— Tak, panie Cyrusie.

— A więc, jeżeli się nie mylę, jutro będziemy mieli jeden z tych czterech dni roku, w których czas prawdziwy zgadzać się będzie z czasem średnim, wskazywanym przez zegary, to jest moje dziecię, jutro słońce przejdzie przez południk wtenczas właśnie, gdy zegary wskazywać będą południe. Różnicę może stanowić kilka sekund. Jeżeli więc będzie pogoda, oznaczę prawie dokładnie długość geograficzną wyspy.

— Bez narzędzi, bez sekstansu? — zapytał Gedeon Spilett.

— Tak — odpowiedział inżynier. — Dlatego też, korzystając z tej jasnej nocy, spróbuję, czy mi się nie uda dziś jeszcze oznaczyć szerokości geograficznej wyspy, przez obrachowanie odległości Krzyża Południa od poziomu, to jest bieguna południowego. Wiecie to sami, że nim rozpoczniemy ważniejsze prace w celu osiedlenia się w tym zakątku ziemi, niedosyć nam wiedzieć, że jest wyspą, lecz jeszcze powinniśmy przekonać się, jak można najdokładniej, w jakiej leży odległości, bądźto od lądu amerykańskiego lub australijskiego, bądź też od głównych archipelagów oceanu Spokojnego.

— Rzeczywiście — odezwał się reporter — jeżeli przypadkiem znajdujemy się o setkę mil od zamieszkałego lądu, zamiast o stawianiu domu, wypadnie nam pomyśleć o zbudowaniu statku.

— Dlatego też — odpowiedział Cyrus Smith — spróbujmy dziś jeszcze obrachować szerokość geograficzną wyspy Lincolna, jutro zaś w południe jej geograficzną długość.

Ponieważ Cyrus Smith nie posiadał sekstansu, musiał zastąpić go czem innem. Przy świetle ognia wystrugał dwie małe, płaskie linijki, które w jednym końcu połączył ze sobą tak, że utworzyły rodzaj cyrkla z ruchomemi ramionami. Zamiast sztyfcika do spojenia z sobą linijek, użył twardego kolca akacji, odjętego od gałęzi, przeznaczonej na ogień.

Cyrus, urządziwszy cyrkiel, wrócił na wybrzeże. Ponieważ potrzebował oznaczyć wysokość bieguna nad poziomem wyraźnie zarysowanym, to jest nad poziomem morza, a przylądek Łapy zakrywał mu horyzont od strony południowej, musiał szukać dogodniejszego miejsca. Po odnalezieniu odpowiedniego miejsca, dokonał pomiarów, a obliczenie szczegółowe pozostawił do dnia następnego.

ROZDZIAŁ XIV.

Porządkowanie ubrania. — Szerokość wyspy. — Wycieczka na północ. — Ławy ostryg. — Projekty na przyszłość. — Przejście słońca przez południk. — Oznaczenie miejsca, w którem znajdowała się wyspa Lincolna

Nazajutrz, dnia 16 kwietnia — w niedzielę wielkanocną koloniści równo ze świtem wyszli z Kominów, aby wyprać bieliznę i wyczyścić odzienie. Inżynier myślał już o zaopatrzeniu kolonji w mydło, skoro tylko będzie miał potrzebne do tego materjały, to jest: tłuszcz lub oliwę, potaż lub sodę. Co do ważnej kwestji odnowienia garderoby, pomyślą o niej we właściwym czasie, gdyż suknie wystarczą im jeszcze na kilka miesięcy. Dalsze ich przedsięwzięcia zależeć będą od położenia wyspy względnie do ziem zamieszkałych, które, jeżeli tylko pogoda sprzyjać im będzie, dziś jeszcze oznaczą.

Postanowili przeznaczyć tę niedzielę na przechadzkę, czyli raczej na zwiedzenie części wyspy między północnym brzegiem jeziora i zatoką Rekina, a jeżeli czasu wystarczy, zamierzali posunąć się aż do północnego wybrzeża, południowego przylądka Szczęki. Mieli zjeść śniadanie na piaszczystych wzgórzach nad brzegiem morza i dopiero wieczorem wrócić do Kominów.

Po ósmej szli już wybrzeżem rzeki; po drugiej stronie, na wysepce Wybawienia, mnóstwo ptaków przechadzało się swobodnie. Były to nurki z gatunków bezlotków, znane z niemiłego krzyku, przypominającego ryk osła. Penkroff patrzył na nie tylko jak na artykuł żywności i z przyjemnością dowiedział się, że mięso ich, choć czarniawe, dość jest smaczne.

Widać było także pełzające po piasku duże ziemnowodne zwierzęta, zapewne foki, które obrały sobie wysepkę na miejsce odpoczynku. Za pokarm nie mogły służyć, gdyż mięso ich, przesiąkłe tłuszczem, ma smak nieznośny. Jednak Cyrus Smith przyglądał im się z uwagą i widać snuł w myśli jakieś zamiary. Nie mówiąc nic o nich, oznajmił towarzyszom, że wkrótce zwiedzą wysepkę.

Wybrzeże, którem szli, zasiane było muszlami, a między niemi znajdowały się tak piękne, że mogłyby się stać ozdobą najpiękniejszych zbiorów.

Lecz użyteczniejsze daleko było odkrycie ławy ostryg, którą przy odpływie morza spostrzegł Nab między skałami, blisko o cztery mile od Kominów.

— Nab nie stracił dnia naprózno — wykrzyknął radośnie Penkroff, patrząc na wskazaną mu ławę.

— Rzeczywiście — odpowiedział reporter — jest to bardzo pożądane odkrycie. Jeżeli, jak utrzymują, każda ostryga wydaje rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy młodych, to będziemy mieli nigdy niewyczerpane zapasy.

— Zdaje mi się tylko, że ostrygi nie są zbyt pożywne — rzekł Harbert.

— Tak — rzekł Cyrus — ostrygi zawierają w sobie bardzo mało azotu, i gdyby człowiek chciał wyłącznie żywić się niemi, musiałby ich spożywać dziennie niemniej nad piętnaście do szesnastu tuzinów.

— Ba! — odpowiedział Penkroff — gdybyśmy połykali tuziny tuzinów, to i tak wystarczyłoby nam na długie lata. Możemy ich zabrać trochę na dzisiejsze śniadanie?

Nie czekając na odpowiedź, oderwał wraz z Nabem dość ostryg, które następnie włożono do siatki z włókien hibiskusa, zawierającej już w sobie zapasy, przeznaczone na śniadanie. Poczem puszczono się w dalszą drogę.

Cała ta część wyspy była nieurodzajna aż do śpiczastego klina ziemi, zamykającego zatokę Unji, któremu nadano nazwę południowego przylądka Szczęki. Widać tam było tylko piasek i muszle, zmieszane ze szczątkami lawy. Jednak niektóre ptaki zwiedzały to puste wybrzeże, a między innemi mewy, albatrosy i kaczki dzikie. Te ostatnie Penkroff powitał z radością, lecz nie udało mu się zastrzelić ani jednej i dlatego rzekł, zwróciwszy się do inżyniera:

— Sam pan widzisz, panie Cyrusie, że dopóki nie będziemy mieli choćby jednej strzelby, polowanie nie pójdzie nam dobrze.

— Masz słuszność, Penkroffie — odpowiedział reporter. — Ale jeżeli chcesz posiadać strzelbę, to dostarcz nam żelaza na lufy, stali na zamki, saletry, węgla i siarki na proch, ołowiu na kule, a Cyrus wyrobi nam doskonałe strzelby.

— O! — rzekł inżynier — sądzę, że to wszystko znaleźlibyśmy na wyspie, lecz do zrobienia broni palnej trzeba mieć wyborne narzędzia, a my żadnych nie posiadamy. Zresztą, pomyślimy o tem później.

— Czemuż — zawołał Penkroff — czemu wyrzuciliśmy z powietrznej naszej łódki wszystką broń naszą, nie wyłączając nawet kieszonkowych nożów!

— Bo w przeciwnym razie balon byłby nas wyrzucił w morze — powiedział Harbert.

— Prawda i to, mój chłopcze — odrzekł marynarz. Potem dodał, zmieniając nagle przedmiot rozmowy: — Co też tam powiedział Jonatan Forster wraz z towarzyszami, gdy nazajutrz rano zastał puste miejsce po balonie? Dopieroż to pocieszną musiał zrobić minę!...

— Wcale się o to nie troszczę, co oni myśleli lub mówili — rzekł reporter.

— A jednak był to mój pomysł — rzekł Penkroff dumnie.

— Wyborny pomysł, Penkroffie — rzekł, śmiejąc się Gedeon — skoro mu zawdzięczamy pobyt na tem pustkowiu.



Sklepienie to... jak nawa kościoła, tworzyło to łuki, to arkady... (str. 100).

— Wolę być tu, niż w ręku południowców — odrzekł marynarz — zwłaszcza, odkąd pan Cyrus był łaskaw połączyć się z nami.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział reporter. — Zresztą, czegóż nam tu brakuje? Niczego.

— Z wyjątkiem... wszystkiego! — odpowiedział Penkroff, śmiejąc się głośno. — Lecz prędzej czy później wydobędziemy się stąd przecie.

— Może rychlej, niż sądzisz — odezwał się inżynier — jeżeli

tylko wyspa Lincolna nie jest zbyt oddalona od zamieszkałego archipelagu lub stałego lądu. O tem zresztą dowiemy się, zanim upłynie godzina. Nie mam mapy oceanu Spokojnego, lecz pamiętam dobrze jego część południową. Sądząc z szerokości geograficznej wyspy Lincolna, leży ona od zachodu wprost Nowej Zelandji, a wprost wybrzeża Chili od wschodu; lecz te dwie ziemie dzieli przestrzeń co najmniej sześciu tysięcy mil. Potrzeba nam więc oznaczyć, jaki punkt zajmuje nasza wyspa na tym wielkiem obszarze morza, a tego dowiemy się, zbadawszy, pod jakim leży stopniem długości geograficznej.

— Wszak — zapytał Harbert — pod względem szerokości geograficznej archipelag Pomotu jest najwięcej do nas zbliżony?

— Tak — odpowiedział inżynier — ale więcej niż tysiąc dwieście mil dzieli nas od niego.

— A tam? — zapytał Nab, uważnie przysłuchujący się rozmowie, wskazując ręką na południe.

— Tam nic — odpowiedział Penkroff.

— Nic, rzeczywiście — odpowiedział inżynier.

— A więc, Cyrusie — odezwał się reporter — jeżeli wyspa nasza leży tylko o dwieście lub trzysta mil od Nowej Zelandji albo od Chili, to...

— To — przerwał inżynier — zamiast zbudować dom, zbudujemy statek, a Penkroff obejmie nad nim dowództwo.

— Najchętniej, panie Cyrusie — zawołał marynarz. — Jestem gotów zostać kapitanem, byleś pan tylko potrafił zbudować szalupę, zdolną utrzymać się na morzu.

— Zbudujemy ją, jeżeli tego będzie potrzeba! — odpowiedział Cyrus Smith.

Zbliżała się godzina, w której mieli rozpocząć obserwację, a Harbert był bardzo ciekawy, jakim sposobem inżynier zdoła sprawdzić przejście słońca przez południk wyspy, nie posiadając potrzebnych do tego przyrządów.

Koloniści znajdowali się wówczas o sześć mil od Kominów, niedaleko od tej części piaszczystych wzgórz, wśród których znaleziono Cyrusa po jego zagadkowem uratowaniu.

Zatrzymano się tam i zaczęto przyrządzać śniadanie, gdyż było dopiero wpół do dwunastej. Cyrus tymczasem przygotował wszystko do swych obserwacyj astronomicznych. Wybrał na wybrzeżu miejsce równe, doskonale zniwelowane przez odpływ morza, na którem miałki piasek leżał tak gładko, że prawie ani jedno ziarnko nie wystawało nad drugie. Zresztą nic na tem nie zależało, czy to miejsce było poziome lub nie, lub też aby laseczka, wysoka na sześć stóp, którą tam wetknął w ziemię, stała zupełnie pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją nawet ku południowi, to jest w kierunku odwrotnym od słońca, gdyż pamiętać trzeba, że koloniści wyspy Lincolna, z powo-

du, że ich wyspa leżała na półkuli południowej, widzieli gwiazdę dzienną, zakreślającą swój łuk dzienny ponad widnokręgiem południowym.

Harbert zrozumiał teraz, że inżynier dowie się o chwili przejścia słońca przez południk wyspy zapomocą cienia, rzucanego przez laseczkę.

Rzeczywiście, chwila, w której ten cień dojdzie do minimum swej długości, będzie oznaczała samo południe: dosyć będzie zwrócić pilną uwagę na koniec tego cienia, aby dostrzec chwilę, w której, po stopniowem skróceniu się, zacznie znów przedłużać się zwolna. Przechylając laseczkę w stronę odwrotną od słońca, Cyrus Smith przedłużał cień, aby jego stopniowe kurczenie się było łatwiejsze do sprawdzenia. Wiemy, że im wskazówka na zegarze jest dłuższa, tem łatwiej można dostrzec jej posuwanie się, tu zaś cień laseczki był tem samem, czem jest wskazówka na zegarze.

Skoro inżynier uznał, że nadeszła stosowna pora, ukląkł na piasku i, wtykając w ziemię krótkie patyczki drewniane, oznaczał stopniowe skracanie się cienia. Towarzysze, stojący za nim, z największem zajęciem przyglądali się tej czynności.

Reporter trzymał w ręku swój chronometr, aby wiedzieć, którą wskazuje godzinę, gdy cień dojdzie do swego minimum. Prócz tego, ponieważ Cyrus Smith czynił obserwację 16 kwietnia, to jest w dniu, w którym czas prawdziwy zgadza się z czasem średnim zegarowym, chronometr Gedeona Spiletta wskazywać będzie godzinę, jaka w tym czasie będzie w Washingtonie, co ułatwi znacznie rachunek.

Słońce posuwało się wolno, cień zmniejszał się stopniowo, wreszcie, gdy zdawało się Cyrusowi, że zaczynał się powiększać, zawołał:

— Która godzina, Gedeonie?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Spilett.

Teraz pozostawało już tylko zrobić obrachunek, a było to rzeczą łatwą, gdyż cyfry były okrągłe: pięć godzin różnicy między południkiem Washingtonu i wyspy Lincolna, to jest, że gdy na wyspie było południe, w Washingtonie była już piąta wieczorem.

Cyrus Smith oznajmił rezultat swych obrachowań towarzyszom i dodał, iż niewątpliwie wyspa Lincolna leżała tak daleko od wszelkiej znanej ziemi, że niepodobna było myśleć o przebyciu tak wielkiej przestrzeni w zwykłej łodzi.

Rzeczywiście, z jej szerokości i długości geograficznej okazywało się, że leży najmniej o tysiąc dwieście mil od Taiti i archipelagu Pomotu, więcej niż o tysiąc osiemset mil od Nowej Zelandji i przeszło cztery tysiące pięćset mil od wybrzeża Ameryki.

Cyrus Smith myślał długo i nie mógł sobie przypomnieć, aby jakakolwiek wyspa zajmowała w tej części oceanu Spokojnego położenie, oznaczone dla wyspy Lincolna.

ROZDZIAŁ XV.

Zimowanie postanowione. — Sprawa metalurgiczna. — Wyprawa na wyspę Wybawienia. — Polowanie na foki. — Kangury. — Wydobywanie żelaza z rudy. — Wyrabianie stali.

Tysiąc dwieście mil oddzielało wyspę od najbliższego archipelagu, i Penkroff oświadczył stanowczo, że w łodzi niepodobna było przebyć tak wielkiej przestrzeni. Nawet posiadając potrzebne narzędzia, nie tak łatwo zbudować łódź dokładnie; a że koloniści nie mieli żadnych, musieli pierwej zrobić młoty, siekiery, piły, topory, świdry, heble i t. d., co wymagałoby wiele czasu. Postanowili więc przepędzić zimę na wyspie Lincolna i poszukać miejsca dogodniejszego na mieszkanie, niż Kominy.

Przedewszystkiem trzeba było zużytkować rudę żelazną, której pokłady inżynier widział w północno-zachodniej części wyspy, i zamienić ją na żelazo i na stal.

— Teraz więc, panie Cyrusie, weźmiemy się do żelaza? — zapytał Penkroff.

— Tak, mój przyjacielu, i co ci się zapewne spodoba, zaczniemy od polowania na foki.

— Od polowania na foki! — wykrzyknął marynarz, zwracając się do Gedeona Spiletta. — Więc foki są potrzebne do otrzymania żelaza?

— Ha! skoro Cyrus tak mówi... — odpowiedział reporter.

Inżynier wyszedł tymczasem z Kominów, i marynarz nie odebrał odpowiedzi.

Wkrótce koloniści byli już na żwirowisku; korzystając z odpływu morza, przeszli zatokę w bród, zamoczywszy się tylko po kolana, i dostali się na wyspę Wybawienia.

Gdy wstąpili na wysepkę, kilkaset bezlotków (pingwinów) spoglądało na nich spokojnie. Uzbrojeni kijami, łatwoby je zabić mogli, lecz, że mięso ich jest niesmaczne i że obawiali się spłoszyć foki, drzemiące zapewne na brzegu, nie uczynili tego.

Koloniści szli ostrożnie po gruncie, poprzerzynanym rozpadlinami, z których każda służyła za gniazdo dla morskich ptaków. Wpobliżu końca wyspy ukazały się dwa duże czarne punkty, pływające na powierzchni wody i wyglądające zdaleka, jakby ruchome wierzchołki skał.

Były to właśnie owe ziemnowodne zwierzęta, na które polować zamierzali. Aby polowanie powiodło się szczęśliwie, musieli czekać, dopóki foki nie wyjdą na brzeg; gdyż foki, przypominające ryby swym podługowatym kształtem i posiadające krótkie nogi z pletwami, są wybornymi pływakami, i trudno uchwycić je w morzu. Zato na ziemi chód mają utrudniony, ledwie się czołgają.

Penkroff znał obyczaje tych zwierząt i radził zaczekać, póki nie wyjdą na piasek, gdzie pod wpływem ciepłych promieni słońca wkrótce zasną głęboko; wtenczas łatwo zastąpić im drogę do morza i zabić silnem uderzeniem w nozdrza.

Myśliwi, idąc za jego radą, ukryli się za nadbrzeżne skały i w milczeniu oczekiwali stosownej pory.

Upłynęła godzina, zanim foki wyszły na piasek i zasnęły. Było ich sześć na tej części wybrzeża. Penkroff i Harbert odłączyli się od towarzyszów, okrążyli wchodzący w morze cypel wyspy, zaszli je ztyłu i przecięli ucieczkę. W tymże samym czasie Smith, Spilett i Nab, czołgając się wzdłuż skał, dążyli na miejsce walki.

Nagle Penkroff krzyknął i podniósł kij do góry. Inżynier i dwaj jego towarzysze stanęli między morzem i fokami; silne i dobrze wymierzone uderzenia kijem dwie z nich pozbawiły życia, inne zaś zdołały uciec i szybko odpłynęły od brzegu.

— Oto są żądane foki, panie Cyrusie — rzekł marynarz, zbliżając się do inżyniera.

— Dobrze — odrzekł Cyrus Smith — zrobimy z nich miechy kowalskie.

— Miechy kowalskie! — zawołał Penkroff. — No, czy one się też tego spodziewały!...

Marynarz i murzyn wywiązali się wybornie ze swego zadania. Niebawem Cyrus Smith zabrał się do pracy tak umiejętnie, a towarzysze pomagali mu tak gorliwie, że w trzy dni później narzędzia robocze kolonistów pomnożone zostały miechem kowalskim.

Następnego zaraz dnia wyruszono w drogę bardzo rano. Nab i Penkroff ciągnęli za sobą miech i zapasy żywności, które zresztą ciągle będą mogli powiększać nowemi nabytkami.

Przeprawa przez las trwała dzień cały. Top biegał wśród zarośli i wypłaszał różne zwierzęta. Harbert i Gedeon Spilett zabili z łuków dwa kangury, a prócz tego zwierzę, podobne bardzo do jeża i mrówkojada; do pierwszego tem, że zwijało się w kłębek i najeżało kolcami, do drugiego kształtem pazurów, zastosowanych do grzebania w ziemi, długim, cienkim pyskiem, zakończonym dziobem jak u ptaka, i wysuwalnym językiem, opatrzonym małemi kolcami, na których zatrzymywały się owady.

— A jak go włożymy w garnek — zapytał Penkroff — do czego będzie podobny?

— Do wybornego kawałka wołowiny — odpowiedział Harbert.

— No, to nie będziemy od niego wymagali niczego więcej — rzekł wesoło marynarz.

W ciągu tej wycieczki spotkali kilka dzików, lecz te nie napastowały wcale podróżnych. Zdawało się, że nie napotykają nigdzie

drapieżnych zwierząt, gdy wtem reporter spostrzegł między gałęziami drzewa, rosnącego o kilka kroków dalej, zwierzę, które wziął za niedźwiedzia. Był to leniwiec wzrostu dużego psa, z sierścią najeżoną brudnego koloru, z łapami, uzbrojonemi w silne pazury, co dozwalało mu wdrapywać się na drzewa. Po sprawdzeniu tożsamości rzeczonego zwierzęcia nie naruszano jego spokoju; tylko Gedeon wymazał ze swych notatek „niedźwedź", a podpisał pod rysunkiem „leniwiec".

O piątej godzinie wieczorem rozłożono obozowisko i w ciągu niespełna godziny zbudowano chatę z gałęzi i obrzucono ją gliną. Poszukiwania geologiczne pozostawiono do następnego dnia. Przyrządzono wieczerzę: przy wielkiem ognisku przed chatą upieczono kawał zwierzyny. Już o godzinie ósmej koloniści spali smacznie z wyjątkiem jednego, który czuwał nad ogniskiem, aby nie wygasło i odstraszało od nich dzikie zwierzęta.

Nazajutrz, dnia 25 kwietnia, Cyrus poszedł wraz z Harbertem wyszukać miejsce, na którem dawniej znalazł kawałek rudy żelaznej. Znalazł jej pokład na powierzchni ziemi, prawie przy źródłach strumienia.

Inżynier z pomocą towarzyszów pokruszył rudę na drobne kawałki, oczyściwszy ją pierwej od nieużytecznych części mineralnych. Następnie ułożono ją w stosy, przekładając węglem kamiennym, i rozpoczęto prażenie rudy.

Była to trudna praca i wymagała wielkiej wytrwałości i znajomości rzeczy, aby pomyślne wydać skutki, wkońcu jednak koloniści otrzymali pewną ilość surowca. Z tego po powtórnej przeróbce otrzymano kawał żelaza, który, przymocowany do drewnianej rękojeści, służył za młot do wykucia pierwszej sztabki na granitowym kowadle.

Dnia 30 kwietnia, po ciężkiej i mozolnej pracy, koloniści posiadali już kilka sztab żelaza i zaczęli wyrabiać różne narzędzia, jak cęgi, młoty, drągi żelazne, motyki i tym podobne rzeczy, które według zdania Penkroffa i Naba były prawdziwemi arcydziełami.

Dla kolonistów naszych stal była potrzebniejsza jeszcze niż żelazo; że zaś stal jest połączeniem żelaza z węglem, a co do ilości węgla zajmuje pośrednie miejsce między surowcem a żelazem kowalnem, zatem otrzymać ją można z surowca przez odebranie części węgla, albo też z żelaza przez dodanie węgla.

Zamiana żelaza na stal odbywa się przez wypalanie żelaza w proszku węgla, co daje stal tak zwaną cementową; a ponieważ, jak wiemy, Cyrus Smith posiadał już zapas czystego żelaza, więc w ten właśnie sposób otrzymać stal postanowił.

Z żelaza, zamienionego na stal, Nab i Penkroff, pod dozorem Cyrusa, wyrabiali następnie siekiery, toporki, piły, heble, łopaty,

młoty, gwoździe, motyki, dłóta i inne narzędzia. Te, które wymagały zahartowania, zanurzano w zimnej wodzie, rozpaliwszy je poprzednio do czerwoności.

Piątego maja koloniści wrócili do Kominów, aby odpocząć, a następnie zabrać się do innych robót.

ROZDZIAŁ XVI.

Kwestja mieszkania jeszcze niezałatwiona. — Pomysł Penkroffa. — Wycieczka na północ jeziora. — Brzeg północny płaszczyzny. — Węże. — Kraniec jeziora.—Niepokój Topa.—Top w wodzie.—Walka pod wodą.—Dugong.

Szóstego maja, to jest w dniu, odpowiadającym szóstemu listopada w okolicach, leżących na półkuli północnej, widok zasępiającego się coraz nieba przypomniał kolonistom, że zima zbliża się i czas pomyśleć o cieplejszem mieszkaniu. Dotąd miewali jeszcze po dziesięć do dwunastu stopni ciepła, lecz że wyspa musiała znajdować się w takich samych warunkach klimatycznych jak Sycylja i Grecja, a w obu tych krajach bywają silne mrozy, więc i tu może nadejść pora, w której temperatura obniży się znacznie.

Zresztą choćby zima nie groziła jeszcze, to zbliżała się pora deszczów, a na wyspie, rzuconej samotnie na morskiej przestrzeni, wystawionej ze wszech stron na wichry morskie, musiały bywać w tej porze częste i gwałtowne burze.

Morze już raz wtargnęło do Kominów, i trudno było narażać się powtórnie na podobny wypadek.

— Zresztą — rzekł Cyrus Smith, rozmawiając o tem z towarzyszami — musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Dlaczego? Wszakże wyspa niezamieszkana? — rzekł reporter.

— Tak się zdaje — odrzekł inżynier — chociaż nie znamy jeszcze całej. Ale choćbyśmy byli rzeczywiście jedynymi jej mieszkańcami, to w lasach mogą ukrywać się dzikie zwierzęta. Zresztą, przyjaciele moi, wszystko przewidzieć trzeba: ta część oceanu Spokojnego często bywa zwiedzana przez malajskich piratów...

— Jakto, zapuszczaliby się tak daleko od wszelkiej zaludnionej ziemi? — zapytał Harbert.

— Tak, mój bracie, ci piraci są równie śmiałymi żeglarzami, jak groźnymi złoczyńcami. Powinniśmy więc obmyśleć zabezpieczające nas od nich środki.

— Ha! — rzekł Penkroff — w takim razie oszańcujemy się przeciwko dwunożnym i czworonożnym wrogom. Ale czyby to niedobrze było, gdybyśmy, zanim rozpoczniemy prace około nowego mieszkania, zwiedzili wyspę w całej rozciągłości?

Podzielam zdanie Penkroffa — powiedział reporter. — Kto wie, czy na przeciwległem wybrzeżu wyspy nie znajdziemy jaskini, której tu szukaliśmy daremnie.

— Prawda — odpowiedział inżynier — lecz zapominacie, że musimy koniecznie osiedlić się wpobliżu rzeczki czy strumienia, a z wierzchołka góry Franklina nie dostrzegliśmy nic podobnego.

— W takim razie, panie Cyrusie, zbudujemy dom nad brzegiem jeziora — rzekł marynarz. — Teraz nie brak nam już cegieł, ani narzędzi. Byliśmy już ceglarzami, garncarzami, hutnikami, kowalami, to czemużbyśmy nie mieli zostać i mularzami?

— Masz słuszność, przyjacielu, ale zanim przystąpimy do tej pracy, musimy szukać mieszkania, zbudowanego przez samą przyrodę.

— Nie przeczę — rzekł reporter. — Ale już tak dobrze znamy skały na tem wybrzeżu, a nigdzie nie znaleźliśmy nawet szerokiej rozpadliny.

— Tak, nawet rozpadliny! — zawołał Penkroff.

— Gdybyśmy mogli wykuć sobie mieszkanie w tej ścianie granitowej, ale trochę wyżej, nie przy samej ziemi, aby przystęp do niego był utrudniony, jakżeby to było dobrze! Urządzilibyśmy sobie pięć lub sześć pokoi od strony morza...

— Z oknami! — powiedział, śmiejąc się, Harbert.

— I z prowadzącemi do nich schodami! — dodał Nab.

— Śmiejecie się z tego — rzekł marynarz — a przecież niema w tem nic niepodobnego. Czy to nie mamy żelaznych drągów i młotów? Czy to pan Cyrus nie potrafiłby zrobić prochu do wysadzenia w powietrze zawadzającego kawała skały?

Cyrus Smith słuchał w milczeniu fantastycznych projektów Penkroffa. Poruszyć ten mur granitowy — nawet zapomocą miny — byłoby to dokonać pracy, godnej Herkulesa. Lecz inżynier, zamiast dać marynarzowi przeczącą odpowiedź, oświadczył towarzyszom, że wartoby uważnie przyjrzeć się tej ścianie, począwszy od ujścia rzeki aż do końca od północnej strony.

Udali się tam natychmiast i na przestrzeni, wynoszącej blisko dwie mile, czynili jak najstaranniejsze poszukiwania, lecz nigdzie w gładkiej i prostej ścianie granitowej nie znaleźli zagłębienia.

Zatrzymali się wreszcie przy północnym końcu ściany. Dalej, na pochyłości, ciągnącej się aż do żwirowiska, leżało mnóstwo wielkich kamieni wśród dość bujnej trawy; spotykały się jeszcze drzewa, lecz coraz mniejsze, a w końcu aż do wybrzeża ciągnęła się piaszczysta równina.

Inżynier sądził, że z tej właśnie strony musi znajdować się ów naturalny upust, którym wody jeziora odpływają do morza.

W kilka minut później stanęli już na płaszczyźnie. O dwieście kroków przed nimi przezroczysta szyba jeziora połyskiwała od

słonecznych promieni. Drzewa, przybrane w jesienne barwy, grupowały się pięknie; czarniawa kora drzew, obalonych przez burzę, czy też uschłych ze starości, dziwnie odbijała od zielonego kobierca. Tysiące różnobarwnych papug unosiło się w powietrzu lub skakało z gałęzi na gałąź. — Słowem, śliczny widok roztaczał się przed ich oczyma.

Koloniści postępowali ostrożnie po tej nieznanej sobie okolicy. Oprócz łuków i okutych kijów, nie posiadali innej broni; musieli więc strzec się spotkania z dzikiemi zwierzętami, choć prawdopodobnie prędzejby je znaleźć można w gęstych lasach na południu wyspy. Jednakże i Cyrus, i jego towarzysze niemiłego doznali wrażenia, gdy Top zatrzymał się, spostrzegłszy węża, mającego około piętnastu stóp długości. Nab poskoczył natychmiast i zabił go kijem, a Cyrus Smith, obejrzawszy go, oświadczył, że nie był to wąż jadowity i należał do gatunków, służących za pokarm dzikim mieszkańcom Nowej Walji. Lecz bardzo być mogło, że w tej stronie znajdowały się żmije i węże, których ukąszenie byłoby śmiertelne; trzeba więc było ostrożnie posuwać się dalej.

Stanęli wkrótce przy ujściu Czerwonego strumienia, i Cyrus raz jeszcze zwrócił uwagę towarzyszów na to, że skoro strumień tak obficie zasila jezioro, to musi koniecznie znajdować się miejsce, którem odpływa woda z jeziora, że należy znaleźć ten upust i przekonać się, czyby go zużytkować nie można...

Koloniści szli teraz wzdłuż brzegów jeziora, obfitującego, jak się zdawało, w ryby. Penkroff postanowił zrobić wędkę i w chwilach wolnych od ważniejszych zatrudnień zajmować się rybołówstwem.

Brzeg jeziora, ciągnący się równolegle do wybrzeża wyspy, był nie tak gęsto zarosły drzewami. Jezioro Granta ukazywało się w całej swej rozciągłości; najlżejszy wietrzyk nie poruszał gładkiej powierzchni. Top, kręcąc się tu i ówdzie między krzakami, płoszył stada rozmaitych ptaków, a Gedeon i Harbert strzelali do nich z łuków. Harbertowi udało się zastrzelić jednego z nich, Top, rzuciwszy się w wodę, przyniósł młodemu łucznikowi pięknego ptaka wielkości dużej kuropatwy, pokrytego siwem pierzem, ze skrzydłami, zakończonemi białą obwódką i krótkim dziobem: była to łyska.

Top, dotąd spokojny, zaczął okazywać niepokój; to biegł naprzód po urwistym brzegu, to się zawracał, to stawał i patrzył na wodę, jakby chciał się rzucić na jakąś niewidzialną zwierzynę; szczekał gniewnie i uciszał się nagle.

Z początku Cyrus Smith, ani jego towarzysze nie zwracali na to uwagi, wkońcu jednak to ciągle powtarzające szczekanie obudziło ich ciekawość.

— Co tam widzisz, Topie? — zapytał inżynier.

Pies poskoczył do pana z oznakami wyraźnego niepokoju, znów szybko wrócił na brzeg, a po chwili rzucił się w wodę.

— Top, do nogi! — zawołał Cyrus, obawiając się, aby wierne zwierzę nie spotkało tam groźnego nieprzyjaciela.

— Co on zobaczył w tej wodzie? — rzekł Penkroff, wpatrując się w powierzchnię jeziora.

— Top zwietrzył zapewne jakieś ziemnowodne zwierzę — odpowiedział Harbert.

— Może aligatora — rzekł reporter.

— Wątpię — odpowiedział Cyrus. — Aligatory nie zamieszkują pod tym stopniem szerokości geograficznej.

Top, posłuszny wezwaniu, powrócił na brzeg, lecz nie uspokoił się bynajmniej: biegł ciągle, patrząc na wodę, jakby ścigał niewidzialną istotę, płynącą samym brzegiem jeziora. Powierzchnia jednak jeziora była zupełnie gładka, i chociaż koloniści przyglądali się pilnie, nic zobaczyć nie mogli. Była w tem tajemnica, której nawet Cyrus Smith nie umiał odgadnąć.

O piątej po południu koloniści zamierzali już wrócić do domu, gdy Top zaczął znów dawać oznaki niepokoju: szczekał, ujadał i, zanim Cyrus potrafił go zatrzymać, znów po raz drugi rzucił się w jezioro.

Wszyscy pobiegli na brzeg, a gdy Cyrus przywołał Topa, który odpłynął już kilkadziesiąt stóp od brzegu, na powierzchni wody niebardzo głębokiej, jak się zdawało, w tem miejscu, ukazała się ogromna głowa.

Harbert poznał odrazu, do jakiego gatunku ziemnowodnych należała ta śpiczasta głowa z wielkiemi oczami i długiemi wąsami.

— To krowa morska — zawołał, zwracając się do towarzyszów.

Nie była to jednak krowa morska, lecz inne tegoż gatunku zwierzę, zwane „dugong". Nozdrza jego znajdowały się w wyższej części pyska.

Ogromne zwierzę rzuciło się na psa, śpiesznie do brzegu podążającego. Pan jego nie mógł przyjść mu z pomocą, a zanim Gedeon i Harbert naciągnęli łuki, Top, pochwycony przez dugonga, zniknął pod wodą.

Nab, uzbrojony okutym drągiem, chciał rzucić się i stoczyć walkę z groźnem zwierzęciem.

— Nie, Nab, nie pozwolę na to — rzekł inżynier, powstrzymując odważnego murzyna.

Tymczasem trudno było przypuścić, aby Top mógł się oprzeć tak potężnemu nieprzyjacielowi. Jednak, sądząc z gwałtownego poruszania się wody, musiała tam odbywać się straszna walka, która bez wątpienia zakończyć się miała śmiercią Topa. Nagle woda się

zapieniła, i ukazał się Top, wyrzucony w powietrze jakąś nieznaną siłą. Wzniósł się na jakie dziesięć stóp nad powierzchnię jeziora, potem spadł na wodę i w kilka minut dopłynął do brzegu, lekko tylko raniony.

Koloniści z zadziwieniem spojrzeli po sobie, a zdumienie ich powiększyła jeszcze ta okoliczność, że widocznie walka nie ustawała pod wodą. Zapewne dugong, napadnięty przez potężnego wroga, puścił psa, aby sam walczyć we własnej obronie.

Niedługo to jednak trwało. Krew zarumieniła wodę i nieżywy dugong wynurzył się z krwawej kąpieli. Niezadługo potem woda wyrzuciła go na piasek w południowym końcu jeziora.

Koloniści pobiegli tam i przekonali się, że dugong był rzeczywiście zabity. Było to ogromne zwierzę, długie na piętnaście do szesnastu stóp i ważące, jak się zdaje, przeszło trzy tysiące funtów. W szyi miał głęboką ranę, jakgdyby ktoś silnie pchnął go nożem.

Jakież to zwierzę mogło w ten sposób odebrać życie dugongowi? Trudno było domyśleć się tego, to też koloniści, zajęci rozwiązaniem tej zagadki, milcząc, wrócili do Kominów.

ROZDZIAŁ XVII.

Wycieczka do jeziora. — Dziwny prąd. — Przypuszczenia i projekty Cyrusa Smitha. — Tłuszcz dugonga. — Zużytkowanie pirytu łupkowego. — Siarczek żelaza. — Kwas siarczany i azotowy. — Nowy spadek.

Nazajutrz, 7 maja, gdy Nab przyrządzał śniadanie, a Penkroff i Harbert udali się wgórę rzeki po drzewo, Cyrus Smith i Gedeon Spilett poszli przez płaszczyznę i wkrótce stanęli w miejscu, na którem leżał dugong.

Stada ptaków obsiadły już nieżywe zwierzę. Musiano odganiać je kamieniami, gdyż inżynier pragnął zachować tłuszcz dugonga na potrzeby kolonji. Mięso jego musiało też być bardzo smaczne, skoro na niektórych z wysp Malajskich podają je wyłącznie na stołach krajowych książąt. Ale to już wchodziło w atrybucje Naba.

Cyrus Smith był zajęty obecnie ważniejszemi rzeczami. Myślał ciągle o wczorajszym wypadku, radby zgłębić tajemnicę walki podwodnej i dowiedzieć się, jaki to potwór morski ocalił życie wiernemu Topowi.

W miejscu, gdzie dugong leżał, woda była dość płytka, lecz dalej dno jeziora obniżało się powoli, i prawdopodobnie ku środkowi woda musiała być głęboka.

— Patrząc na to jezioro — rzekł reporter — zdawać się może, że niema w niem nic zastraszającego.

— Masz słuszność, kochany Gedeonie. Nie wiem doprawdy, jak sobie wytłumaczyć wczorajszy wypadek.

— Przyznaję — rzekł Gedeon — że zarówno mnie dziwi rana, od której zginęło to zwierzę, jak i to, że Top został tak silnie wyrzucony w powietrze. Zdawać się mogłoby nawet, że podrzuciła go jakaś silna ręka i że taż sama ręka, uzbrojona sztyletem, zadała śmierć dugongowi.

— Tak — odpowiedział zamyślony inżynier — jest w tem coś, czego zrozumieć nie mogę. Ale czy potrafisz także odgadnąć, kochany Gedeonie, jakim sposobem ja sam zostałem uratowany, jakim sposobem z głębi morza dostałem się między piaszczyste wzgórza? Wszak prawda, że trudno to pojąć? Dlatego też przeczuwam tajemnicę, którą odkryjemy zapewne kiedyś. Zwracajmy na wszystko baczną uwagę, ale wobec naszych towarzyszów nie dawajmy tym wypadkom zbyt wielkiego znaczenia. Zachowajmy dla siebie nasze uwagi.

Wiemy, że inżynier nie mógł dotąd odnaleźć, którędy odpływa z jeziora nadmiar wody. Otóż teraz spostrzegł w tem miejscu właśnie dosyć wyraźny prąd wody; rzucił kilka drobnych kawałków drzewa i zauważył, że płyną dalej ku południowi. Poszedł w tę stronę i zatrzymał się w końcu południowej strony jeziora. Tam widać było ruch wody, jakby wpadała nagle w szczelinę.

Cyrus Smith przyłożył ucho do ziemi i usłyszał wyraźny szum podziemnego spadku wody.

— Tędy — rzekł, wstając — tędy uchodzi woda. Musi mieć kanał, wyżłobiony w tej prostopadłej skale, przez który wpada do morza. Kto wie, czy niema tam także jaskini, którą moglibyśmy zużytkować dla siebie. O tem właśnie przekonać się muszę.

Inżynier uciął długą gałąź i, oberwawszy z niej liście, zanurzył ją w jeziorze. Przekonał się, że na stopę pod powierzchnią wody znajdował się szeroki otwór, a pęd wody był tak silny, że wyrwał mu z rąk gałąź.

— Teraz już nawet wątpić nie można — powiedział inżynier — że woda odpływa tym otworem, a ja ten otwór odsłonić muszę.

— A to jakim sposobem? — zapytał Gedeon Spilett.

— Obniżając o trzy stopy poziom jeziora.

— Poziom jeziora? A to jakim cudem?

— Otwierając wodzie z innej strony obszerniejsze ujście.

— W którem miejscu, Cyrusie?

— W części brzegów, najwięcej zbliżonych do morza.

— Ale tam są brzegi skaliste? — rzekł reporter.

— To skały te wysadzę w powietrze, a woda, uchodząc, odkryje ten otwór.

— I, spadając, tworzyć będzie kaskadę — dodał Gedeon.

— Tak, kaskadę, którą zużytkować potrafimy! — odpowiedział Cyrus. — Chodź, wracajmy!

Gdy wrócili do Kominów, Harbert i Penkroff kończyli właśnie układanie drzewa.

— Drwale już kończą robotę, panie Cyrusie, jeżeli więc panu potrzeba mularzy...

— Mularzy — nie, lecz potrzebuję chemików — odpowiedział inżynier.

— Tak — odpowiedział reporter — wysadzimy wyspę.

— Wysadzimy wyspę! — wykrzyknął Penkroff.

— No, nie całą — odpowiedział Gedeon z uśmiechem — tylko jej małą cząstkę.

Tu inżynier zawiadomił towarzyszów o skutku swych spostrzeżeń. Według niego w granitowej podstawie płaszczyzny musiało znajdować się większe lub mniejsze zagłębienie, to jest rodzaj jaskini, do której on wejść postanowił. Aby to było możliwe, wypadało odsłonić otwór, którym woda odpływała, a zatem obniżyć znacznie poziom jeziora, otwierając wodzie drogę do odpływu. W tym celu trzeba było przyrządzić substancję wybuchającą, któraby mogła wyszczerbić skalisty brzeg jeziora. To właśnie zamierzył uczynić, korzystając z minerałów, jakiemi przyroda uposażyła wyspę.

Nie potrzebujemy zapewniać, że ten zamiar podobał się wszystkim, a Penkroffa wprawił w zachwyt.

— Będę, czem tylko zechcą — rzekł do Naba — choćby nauczycielem tańca, jeżeli to potrzebne będzie.

Nab i Penkroff otrzymali naprzód polecenie wydobycia tłuszczu z dugonga i zakonserwowania mięsa, przeznaczonego na użytek. Zajęli się tem natychmiast, nie pytając o dalsze objaśnienia, gdyż Cyrus Smith budził w nich nieograniczone zaufanie.

W kilka minut potem Cyrus i pozostali towarzysze szli wgórę rzeki, ciągnąc za sobą nosze, uplecione z gałęzi. Dążyli ku pokładom węgla kamiennego, gdzie Cyrus już dawniej widział wielką ilość pirytu łupkowego. Po zebraniu, przenieśli znaczną ilość do Kominów.

Następnego dnia Cyrus zabrał się do roboty. W tym celu oznaczył miejsce poza Kominami, i grunt wyrównano jak najstaranniej. Następnie ułożył stos z gałęzi i drzewa, poukładał na nim kawałki pirytu i posypał na wierzchu miałem — poczem zapalił drzewo. Ciepło ognia udzieliło się łupkom, zawierającym w sobie węgiel i siarkę, i dlatego zajęły się płomieniem. Teraz nasypał warstwami wielką ilość potłuczonego pirytu i przykrył ziemią i trawą, urządziwszy otwory dla powietrza. Wszystko zostawił tak do czasu żądanego przeistoczenia. Potrzeba było dziesięć do dwunastu dni, aby siarczek żelaza zamienił się w siarczan żelaza, a glin w siarczan

glinu. Obie te substancje są rozpuszczalne, inne zaś, to jest krzemionka, węgiel spalony i popiół — są nierozpuszczalne.

Podczas tego działania chemicznego koloniści pracowali zawzięcie. Nab i Penkroff odarli tłuszcz z dugonga i zebrali w naczynia gliniane, aby następnie wydobyć z niego glicerynę.

Towarzysze nie wiedzieli dotąd, do czego Cyrus Smith potrzebował kwasu azotowego, jednakowoż pomagali mu przy tem. Wreszcie otrzymał go. Zgęszczoną glicerynę, skutkiem wyparowania przez zanurzenie w gorącej wodzie naczynia, w jakiem była zawarta, połączył z kwasem azotowym i otrzymał kilka kwart olejowatego, żółtego płynu.

Ostatniej tej operacji dokonał sam daleko od Kominów, gdyż mógłby nastąpić wybuch nader groźny w razie najmniejszej nieostrożności. Przynosząc płyn ten w dużej flaszy, dobrze zatkanej, rzekł do towarzyszów:

— Jest to nitrogliceryna!

I był to rzeczywiście ten straszny wytwór, którego siła dziesięć razy prawie przewyższa siłę zwyczajnego prochu, i który tyle już okropnych spowodował wypadków. Jednak od chwili, jak wynaleziono sposób zamieniania nitrogliceryny na dynamit, przez zmieszanie jej z substancją stałą, dość dziurkowatą, aby mogła ją zatrzymać, jak glina lub cukier, groźny ten płyn może być zużytkowany z większem bezpieczeństwem. Ale dynamit nie był jeszcze znany w owym czasie, gdy koloniści nasi przebywali na wyspie Lincolna.

— I ta ciecz ma wysadzić naszą skałę? — zapytał Penkroff z niedowierzającą miną.

— Tak, mój przyjacielu — odrzekł inżynier — a nitrogliceryna tem silniej działać będzie, że granit jest nadzwyczaj twardy i wielką przedstawia siłę oporu.

Nazajutrz, dnia 21 maja, już o świcie udali się na wschodni brzeg jeziora o jakie pięćset kroków od wybrzeża morskiego.

Penkroff, zaopatrzony w drąg żelazny, zaczął silnie uderzać w powierzchnię skały pod kierunkiem inżyniera.

Była to praca ciężka i szła powoli, gdyż inżynier, pragnąc straszny wywołać skutek, zamierzał użyć na ten cel przeszło dziesięć litrów nitrogliceryny. Jednak Penkroff naprzemian z Nabem pracowali tak niezmordowanie, że około czwartej wieczorem otwór był wydrążony.

Teraz więc trzeba już było zapalić substancję wybuchową. Zazwyczaj zapala się nitroglicerynę zapomocą lontu piorunującego, który, pękając, powoduje wybuch. Potrzeba koniecznie tarcia, uderzenia do wywołania wybuchu, gdyż zapalona bez uderzenia nitrogliceryna paliłaby się ale bez wybuchu.

Uderzenie młotem w kilka kropli nitrogliceryny, rozlanej na powierzchni twardego kamienia, powoduje wybuch; lecz ktoby tego

dokonał, sam stałby się ofiarą wybuchu. Aby temu zaradzić, Cyrus przymocował wysoko ponad wydrążonym otworem, na grubej linie, ukręconej z włókien roślinnych, kawał żelaza, ważący kilkadziesiąt funtów. Do tej liny przywiązał w samym środku drugą, nasiarkowaną. Jej koniec spadał na ziemię i był tak długi, iż ciągnął się po powierzchni na kilkanaście stóp od otworu miny. Po zapaleniu, lina palić się będzie aż do połączenia z pierwszą, zkolei zapali ją, a wtedy ciężar żelaza spadnie na nitroglicerynę.

Gdy wszystko przygotowano, inżynier kazał towarzyszom oddalić się. Otwór miny napełnił nitrogliceryną i puścił jej kilka kropel na skałę, tuż pod zawieszonym ciężarem żelaza. Następnie uchwycił koniec nasiarkowanej liny, zapalił i, biegnąc prędko, dostał się do oczekujących go towarzyszów.

Lina miała się palić dwadzieścia pięć minut. Jakoż natychmiast po ich upływie rozległ się przerażający huk wybuchu, który trzeba słyszeć, gdyż wyobrazić go sobie niepodobna. Zdawało się, że cała wyspa zadrżała i wstrząsnęła się w posadach; grad kamieni rozleciał się w powietrzu, jakby wyrzucony z wulkanu. Wstrząśnięcie było tak silne, że skały Kominów zachwiały się, a koloniści zostali rzuceni o ziemię, choć znajdowali się bardzo daleko od miejsca wybuchu.

Podniósłszy się, weszli na płaszczyznę i pobiegli ku miejscu, gdzie wybrzeże jeziora rozsadzone zostało.

Głośne, potrójne wiwat! wydarło się z ich piersi. Ściana granitowa szeroko była rozwarta, bystry prąd wody, pieniąc się, toczył się przez otwór i z wysokości trzystu stóp staczał się na wybrzeże.

ROZDZIAŁ XVIII.

Penkroff przestaje wątpić. — Dawny upust wody. — Zstąpienie do podziemi. — Przejście przez wzgórza granitowe. — Zniknięcie Topa. — Pieczara środkowa. — Tajemnica. — Otwór wybity. — Powrót.

Zamiary Cyrusa uwieńczył szczęśliwy skutek, lecz, stosownie do zwyczaju, z zimną krwią patrzył na dzieło swoje. Harbert wpadł w zachwyt, Nab skakał z radości, a Penkroff powtarzał ciągle, przechylając głowę z ramienia na ramię:

— Ho, ho! dla naszego inżyniera niema nic trudnego!

Rzeczywiście nitrogliceryna zostawiła potężne ślady swego działania. Przez nowy upust wypływało więcej niż trzy razy tyle wody, co przez dawny; a wskutek tego poziom jeziora musiał obniżyć się w krótkim czasie przynajmniej o parę stóp.

Koloniści wrócili do Kominów. Top pobiegł za nimi.

W drodze marynarz rzekł do Cyrusa:

— Jak widzę, panie Cyrusie, wyrobionym przez pana płynem możnaby z łatwością wysadzić całą naszą wyspę.

— Nietylko wyspę, lecz wszystkie lądy i całą nawet ziemię — odpowiedział Cyrus. — Zależałoby to jedynie od ilości.

— Czy ta nitrogliceryna nie mogłaby służyć za nabój do palnej broni?

— Nie, Penkroffie, gdyż możnaby broń rozerwać. Co do nas, moglibyśmy łatwo wyrabiać proch, skoro mamy kwas azotowy, saletrę, siarkę i węgiel, lecz nacóżby się to zdało, kiedy, niestety, nie mamy broni.

Koloniści stanęli niebawem przy dawnym upuście i za pierwszym rzutem oka przekonali się, że życzenia ich zostały spełnione.

W granitowej ścianie jeziora, wznoszącej się obecnie już nad poziomem wody, ukazał się tak długo poszukiwany otwór. Przystęp do niego ułatwił kawał skały, wystający ponad wodą po jej opadnięciu, a ciągnący się wzdłuż poniżej otworu, blisko na dwadzieścia stóp szerokiego, lecz mającego zaledwie parę stóp wysokości. Koloniści tylko z największą trudnością mogliby się przecisnąć przez ten otwór, lecz Nab i Penkroff mieli żelazne drągi i pracowali tak szczerze, że w godzinę podwyższyli go dostatecznie.

Inżynier przekonał się wówczas, że dno upustu nie obniżało się zbyt stromo, i że będzie można zejść aż do poziomu morza, jeżeli pochyłość i dalej będzie jednakowa.

— Na cóż my jeszcze czekamy, panie Cyrusie? — zapytał marynarz, który pragnąłby jak najprędzej wejść do podziemia. — Już i tak Top nas wyprzedził.

— I my zejdziemy — odpowiedział inżynier — tylko nie mamy jeszcze światła. Nabie, przynieś nam smolnych gałęzi!

Nab i Harbert pobiegli na brzeg jeziora, ocienionego sosnami, i wrócili wkrótce, niosąc spory pęk gałęzi, które ułożyli w kształcie pochodni. Gdy skrzesano ognia i zapalono pochodnie, Cyrus Smith, a za nim koloniści weszli w ciemny korytarz, oswobodzony od zalewającej go przedtem wody.

Wbrew przypuszczeniom, szerokość i wysokość tego przejścia zwiększała się w miarę, jak się posuwali, i wkrótce mogli już chodzić wyprostowani. Ściany granitowe, od wieków może zalane wodą, były śliskie, trzeba więc było schodzić bardzo ostrożnie, dlatego też koloniści poprzywiązywali się jedni do drugich sznurami, jak to czynią wchodzący na wysokie góry. Szczęściem dno granitowe nie było zupełnie gładkie i wystające na niem wypukłości zastępowały schody. Krople wody, pozostałe jeszcze na skałach, połyskiwały od światła pochodni; możnaby sądzić, że wszystkie ściany pokryte były stalaktytami. Inżynier przyjrzał się granitowi: był czarny, zbity i nadzwyczaj ścisły. A więc to podziemie istniało od powstania wyspy,

więc to nie woda wyżłobiła je powoli, nie Neptun, lecz Pluton wykuł je swą ręką.

Koloniści bardzo wolno spuszczali się nadół. Doznawali jakiegoś dziwnego uczucia, zapuszczając się w te podziemia, w których widocznie nie postała nigdy noga człowieka. Szli milcząc, lecz może każdemu z nich przychodziło do głowy, że olbrzymi potwór morski obrał sobie mieszkanie w niższych częściach jaskini, gdzie już wdzierały się fale morza. Top szedł przed nimi; ufając w jego zmyślność, pewni byli, że ich ostrzeże, gdyby groziło niebezpieczeństwo.

Gdy zeszli już na jakie sto stóp nadół, Cyrus zatrzymał się, inni poszli za jego przykładem. W tem miejscu podziemie rozszerzało się znacznie i tworzyło małą jaskinię. Z jej sklepienia spadały krople wody, świadczące, że fale rwącego potoku były jedynemi jej mieszkankami. Powietrze wilgotne nie zawierało w sobie szkodliwych wyziewów.

— No cóż, kochany Cyrusie — odezwał się Gedeon — znaleźliśmy schronienie ciche, ukryte, lecz niepodobna w niem zamieszkać.

— A to dlaczego? — zapytał marynarz.

— Bo za małe i za ciemne.

— A czy to nie możemy powiększyć tej jaskini, powykuwać okien, aby światło i powietrze miały do niej przystęp? — rzekł Penkroff, któremu teraz wszystko wydawało się prawdopodobne.

— Chodźmy dalej — powiedział inżynier — może tam niżej znajdziemy coś lepszego.

— Przeszliśmy zapewne dopiero trzecią część wysokości — rzekł Harbert.

— Tak — powiedział Penkroff — poczciwy nasz piesek jakoś od wejścia, zeszliśmy pod ziemię mniej więcej sto stóp i kto wie, czy o jakie sto stóp niżej...

— Gdzie jest Top, panie? — zapytał Nab, przerywając.

— Zapewne pobiegł dalej — odezwał się Penkroff.

— A więc i my pójdziemy za nim — rzekł Cyrus.

Inżynier, idąc, zważał pilnie na wszystkie zakręty przejścia, a pomimo, że były dość liczne, umiał sobie zdać sprawę z ogólnego kierunku, w jakim dążyli ku morzu.

Koloniści zeszli znów o pięćdziesiąt stóp niżej, gdy uwagę ich zwróciły dźwięki, wychodzące z głębi podziemia; stanęli, przysłuchując się. Dźwięki te, dochodzące do nich przez wąski korytarz, jakby przez trąbkę akustyczną, wyraźnie obijały się o ich uszy.

— To szczekanie Topa! — zawołał Harbert.

— Tak — powiedział Penkroff — poczciwy nasz piesek jakoś gniewnie ujada!

— Mamy nasze żelazne drągi — rzekł Cyrus. — Naprzód więc i bądźmy uważni.

— Rzecz zaczyna być coraz bardziej zajmująca — szepnął Gedeon marynarzowi, który odpowiedział mu potwierdzającem skinieniem głowy.

Koloniści biegli na pomoc Topowi, ujadającemu coraz głośniej, a w jego głosie czuć było wściekłość prawie. Czyby walczył z jakiem zwierzęciem, którego spokój naruszył? Koloniści, zdjęci ciekawością, nie myśleli o niebezpieczeństwie, zapomnieli o środkach ostrożności, nie schodzili już, ale zsuwali się z pochyłości, i w kilka minut, o sześćdziesiąt stóp niżej zobaczyli Topa.

W tem miejscu otwierało się wejście do obszernej i pięknej jaskini. Tam właśnie Top ujadał gniewnie. Penkroff i Nab, otrząsnąwszy pochodnie, rzucili jasne promienie światła na granitowe ściany, a Cyrus, Gedeon i Harbert podnieśli do góry oszczepy, gotowi na wszelki wypadek.

Jaskinia była pusta. Koloniści przebiegli ją wzdłuż i wszerz, nie spostrzegli jednak nigdzie ani zwierzęcia, ani żadnej żyjącej istoty. Top wszelako ujadał ciągle i ani pieszczoty, ani groźby nie mogły skłonić go do milczenia.

— Musi tu być otwór, którym woda uchodziła do morza — odezwał się inżynier.

— Rzeczywiście — odpowiedział Penkroff — uważajmy, abyśmy tam nie wpadli.

— Szukaj, Top, szukaj! — zawołał Cyrus.

Pies, zachęcony głosem pana, pobiegł na drugi koniec jaskini i tam głośniej jeszcze szczekać zaczął.

Wszyscy poszli za nim i przy świetle pochodni zobaczyli otwór, podobny do otworu studni. Przezeń to właśnie odpływała woda z jeziora. Poza tym otworem nie było już spadzisto pochylającego się przejścia, lecz prostopadłe ściany, po których zejść było niepodobna.

Pochylono pochodnie nad otworem, lecz nic nie zobaczono. Cyrus Smith rzucił wewnątrz zapaloną gałąź smolną, która spadając, żywszem jeszcze zabłysła światłem i oświetliła ściany studni, ale prócz nich nic nie widzieli. Potem, gdy ogień gasnął, dało się słyszeć lekkie syczenie, dowodzące, że gałąź dotknęła się wody, to jest poziomu morza.

Inżynier obrachował podług czasu, jaki upłynął od wrzucenia do spadnięcia gałęzi, że głębokość studni wynosiła około dziewięćdziesięciu stóp: a więc dno jaskini wznosiło się o dziewięćdziesiąt stóp nad poziom morza.

— Oto przyszłe nasze mieszkanie — rzekł Cyrus do towarzyszów.

— Które z pewnością było przedtem zajęte przez jakąś żyjącą istotę — rzekł Gedeon nierad, że ciekawość jego nie była dotąd zaspokojona.

— Być może — odrzekł inżynier — lecz ta istota widocznie uciekła tym otworem i ustąpiła nam miejsca.

— Bądź co bądź — dodał marynarz — chciałbym być z Topem kwadrans temu, bo on z pewnością nie ujadał tak bez przyczyny.

Cyrus pogłaskał psa i rzekł cicho do siebie:

— O! z pewnością wiele moglibyśmy dowiedzieć się od Topa!

Tak więc życzenia kolonistów ziściły się niemal zupełnie. Mogli rozporządzać obszerną grotą, której wielkości nie potrafili jeszcze dostatecznie ocenić, lecz widzieli już, że będzie można podzielić ją przepierzeniami z cegły na pewną ilość pokoi, a tym sposobem urządzić w niej wygodne mieszkanie. Dopływu wody nie można się już było obawiać.

Pozostawały jeszcze dwie trudności: naprzód oświetlenie jaskini, wyżłobionej wewnątrz tak olbrzymiej skały, następnie ułatwienie wejścia do niej. Nie można nawet było myśleć o oświetleniu groty zgóry, ponieważ pokrywało ją nadzwyczaj grube granitowe sklepienie, trzeba więc było spróbować, czy się nie uda przebić bocznej ściany, ciągnącej się od strony morza. Cyrus, schodząc do podziemia, zwrócił uwagę na ukośny kierunek korytarza i wnosił, że może ta ściana nie będzie zbyt gruba. Jeżeliby zaś można oświetlić grotę z tej strony, to i przystęp będzie ułatwiony, bo równie łatwo wybić drzwi jak okna i wchodzić przy pomocy drabiny.

— W takim razie, panie Cyrusie, zabierzmy się do roboty. Mam mój drąg żelazny i dosyć siły, aby spróbować, czy mi się nie uda przebić tej ściany. Gdzie uderzyć?

— Tu! — odpowiedział inżynier, wskazując dość znaczne zagłębienie w rodzaju framugi, co zmniejszało w tem miejscu grubość ściany.

Penkroff tak silnie przez całe pół godziny bił drągiem w ścianę, że wkoło niego spadały kawałki skały, a iskry sypały się za każdem uderzeniem. Nab zastąpił go następnie, a po Nabie Gedeon zabrał się do roboty.

Pracowali już od dwóch godzin, i zaczęto się obawiać, aby długość drąga nie okazała się niedostateczną w stosunku do grubości ściany, gdy wreszcie, po silnem uderzeniu, drąg przebił ścianę, wysunął się z ręki i upadł nazewnątrz.

— Wiwat! Wiwat! — krzyknął Penkroff.

Ściana granitowa miała w tem miejscu tylko trzy stopy grubości.

Cyrus Smith spojrzał przez otwór: przed nim roztaczało się wybrzeże wysepki a dalej morze.

Jednocześnie pierwszy raz promienie światła dziennego wdarły się do groty, która w tej chwili wydała się kolonistom jakimś zaczarowanym pałacem. Jeżeli część jej na lewo nie miała więcej nad dwadzieścia stóp wysokości i szerokości, na sto stóp długości, to na prawo rozmiary jej były ogromne a zaokrąglone sklepienie wznosiło się wyżej niż ośmdziesiąt stóp. Sklepienie to, oparte w niższych, bocznych swych częściach na granitowych filarach, jak nawa kościoła, tworzyło to łuki, to arkady, niknące wśród dziwacznych ozdób i obłąków, wyrzeźbionych ręką przyrody, i przedstawiało w malowniczem połączeniu próbki architektury bizantyńskiej, romańskiej i gotyckiej. A jednak było to dzieło samej tylko natury; ona to w tym granicie wykuła tę czarodziejską Alhambrę!

Koloniści stali zdumieni i zachwyceni. Tam, gdzie spodziewali się zastać ciasną jaskinię, znaleźli jakiś czarodziejski pałac. Nab odkrył głowę, jakby nagle został przeniesiony do świątyni!

Ze wszystkich ust wyrwały się okrzyki zachwytu, które echo powtarzało na wszystkie strony.

— Ach! przyjaciele moi — rzekł Cyrus — skoro oświetlimy dostatecznie to podziemie, gdy podzielimy tę część po lewej ręce na pokoje, składy i kuchnię, pozostanie nam jeszcze w całości ta pyszna grota, którą przeznaczymy na zbiory osobliwości i ogólne zebrania.

— A nazwiemy ją?... — zapytał Harbert.

— Granitowym pałacem — odpowiedział Cyrus.

Towarzysze jego z zadowoleniem przyjęli tę nazwę.

Pochodnie już się prawie dopalały, a ponieważ byłoby niebezpiecznie wracać pociemku przez wąski i spadzisty korytarz, postanowiono wyjść z jaskini i zaraz nazajutrz rozpocząć prace około urządzenia nowego mieszkania.

Przed odejściem Cyrus raz jeszcze pochylił się nad otworem studni i przysłuchiwał się uważnie. Cicho tu było, nie dochodził nawet szum bałwanów morskich, których jednak huk w czasie burzy dolatywać tu musiał. Rzucono jeszcze jedną gałąź zapaloną, lecz znowu jak pierwej zobaczono tylko prostopadłe ściany. Jeżeliby więc nawet jaki potwór morski pozostał tu chwilowo po nagłym odpływie wody, to widocznie zdołał już przez ten otwór schronić się do morza, zanim oni weszli do jaskini.

Inżynier jednak stał nad studnią zamyślony; słuchał i z natężeniem wpatrywał się w jej otwór.

Wkońcu marynarz zbliżył się do niego i rzekł, trącając go w ramię:

— Panie Cyrusie!

— Czego chcesz, przyjacielu? — zapytał inżynier, jakby przebudzony ze snu.

— Pochodnie niezadługo zgasną.

— Więc wracajmy! — odpowiedział Cyrus.

Koloniści opuścili grotę i zaczęli piąć się pod górę przez ciemny korytarz. Top szedł na końcu i jeszcze niekiedy warczał, odwracając się w przeciwną stronę. Wejście pod górę było męczące, zatrzymali się więc na chwilę dla wypoczynku w mniejszej grocie, a potem poszli dalej.

Wkrótce zaczął dochodzić do nich powiew wiatru. Kropelki wody nie połyskiwały już na granicie, osuszonym pod wpływem powietrza, pochodnie blade tylko wydawały światło, a niebawem jedna z nich zgasła zupełnie, i trzeba się było śpieszyć, aby jak najprędzej wyjść z podziemnego korytarza.

Około godziny czwartej zgasła druga pochodnia, ale też w parę minut później koloniści wyszli z podziemia i stanęli na wolnem powietrzu.

ROZDZIAŁ XIX.

Plany Cyrusa. — Fasada pałacu Granitowego. — Drabina sznurowa. — Marzenia Penkroffa. — Zioła aromatyczne. — Królikarnia. — Odprowadzenie wody z jeziora. — Widok z okien pałacu Granitowego.

Dnia 22 maja rozpoczęto prace około oczyszczenia i urządzenia nowego mieszkania. Koloniści jednak nie chcieli zupełnie opuścić Kominów, gdyż Cyrus przeznaczał je na warsztaty, gdzieby wykonywano grubsze roboty.

Naprzód inżynier starał się rozpoznać, w którym punkcie wypada fasada Granitowego pałacu. Udał się więc w tym celu do stóp granitowej ściany. Ponieważ żelazny drąg, który wysunął się z ręki reportera, musiał upaść prostopadle, dosyć było wyszukać go, ażeby zarazem znaleźć miejsce, w którem ścianę przebito.

Odszukano go z łatwością. I rzeczywiście w prostej linji nad nim o jakie osiemdziesiąt stóp nad ziemią spostrzeżono wykuty otwór. Kilka gołębi skalnych wyleciało już z niego; sądziły może, że to dla nich odkryto pałac Granitowy.

Inżynier zamierzał podzielić połowę jaskini na kilka pokoi, poprzedzonych korytarzem, i oświetlić je pięcioma oknami i drzwiami, wykutemi w fasadzie. Penkroff rozumiał użyteczność okien, lecz nie pojmował, poco mieli się trudzić nad wykuciem drzwi, kiedy przez dawny upust można było z łatwością dostać się do Granitowego pałacu.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Cyrus — jeżeli nam łatwo dostać się tym otworem do mieszkania, to i ktoś inny to samo uczynić potrafi. Mam zamiar zawalić ten otwór odłamami skały,

a nawet zamurować go szczelnie, aby go można, w razie potrzeby, ukryć jak pierwej pod wodą, zastawiwszy w części ów upust.

— A jakże my wchodzić będziemy? — zapytał marynarz.

— Po sznurowej drabinie. Skoro ją wciągniemy za sobą do mieszkania, przystęp do niego będzie przecięty.

— Ale kogóż możemy się obawiać — rzekł znów marynarz. — Nie spotkaliśmy dotąd ani jednego drapieżnego zwierzęcia, a co do ludzi, tych niema na wyspie.

— Czy jesteś tego pewny, Penkroffie? — zapytał inżynier znacząco.

— No! pewnym będę wówczas dopiero, gdy poznam całą wyspę.

— Słusznie — rzekł Cyrus — a dotąd znamy zaledwie małą jej cząstkę. W każdym razie, choćbyśmy nie mieli nieprzyjaciół wewnętrznych, to mogą spaść na nas z zewnątrz, bo, jak ci wiadomo, ta część oceanu Spokojnego nie jest bezpieczna. Bądźmy więc ostrożni i zabezpieczmy się na wszelki wypadek.

Postanowiono więc wykuć w fasadzie pałacu Granitowego pięć okien i drzwi wchodowe, dla oświetlenia mieszkalnych pokoi; dla ochrony zaś od deszczu i wiatru, inżynier miał zamiar urządzić przy oknach grube okiennice i zamykać je w razie potrzeby.

Przystąpiono naprzód do wybicia tych otworów, lecz że byłaby to zbyt długa i ciężka praca przy wykuwaniu żelaznemi drągami, a Cyrus posiadał jeszcze dostateczną ilość nitrogliceryny, przeto i teraz postanowił uciec się do niej.

W kilka dni później Granitowy pałac był już dostatecznie oświetlony, a promienie wschodzącego słońca zakradły się do najtajniejszych jego zakątków.

Według planu Cyrusa mieszkanie miało składać się z pięciu części, to jest z korytarzyka, prowadzącego do drzwi wchodowych, przy których miała być przymocowana drabina sznurowa, dalej z kuchni i jadalni, wspólnego pokoju sypialnego, a nakoniec, na usilne prośby Penkroffa, utrzymującego, że trudno przewidzieć, czy to kiedyś nie okaże się potrzebnem, i z pokoju gościnnego, przylegającego do wielkiej sali.

Wszystkie te pokoje, ciągnące się jeden za drugim, nie zajmowały całej pieczary. Od tyłu miała być urządzona komora na skład różnych sprzętów i zapasów; mogli być pewni, że wszystkie zapasy, zebrane na wyspie, czy to roślinne, czy zwierzęce, wybornie utrzymywać się tam będą, jako w chłodnem i suchem miejscu. Prócz tego koloniści mieli jeszcze do rozporządzenia małą grotę, znajdującą się wyżej od wielkiej, którą w razie potrzeby będą mogli obrócić na magazyn.

Plan nakreślono, lecz trzeba jeszcze było go wykonać. Kolo-



Drabina była zawieszona dnia 28 maja (str. 104).

niści zabrali się znowu do wyrobu cegły, którą składali pod fasadą Granitowego pałacu.

Dotąd wchodzili do jaskini tylko przez dawny upust, lecz, że musieli przebywać znaczny kawał drogi, trudzić się niepotrzebnie i tracić czas, Cyrus postanowił natychmiast zająć się urządzeniem mocnej, sznurowej drabiny.

Upleciono grube sznury z włókna roślinnego, tak mocne jak liny okrętowe; szczebli dostarczyły lekkie a mocne i trwałe gałęzie czerwonego cedru. Penkroff, jako marynarz, zrobił wyborną drabinę.

Przygotowano więcej jeszcze takich sznurów i przy ich pomocy urządzono windę, na której wciągano do jaskini cegły i wapno. Wszystkie te roboty szły śpiesznie pod dozorem inżyniera, który sam uczył towarzyszów, jak mają robić kielnią i młotem; a że pracowali ochoczo, w dość krótkim czasie stanęły wszystkie przepierzenia. Penkroff, spełniający obowiązki cieśli, powroźnika lub mularza, był bardzo wesoły i rozweselał wszystkich. Nie lękał się braku obuwia, ani braku oświetlenia w ciągu długich zimowych nocy, bo wierzył, że pan Cyrus Smith potrafi temu zaradzić.

Inżynier nie przeczył Penkroffowi, nie niweczył jego nadziei. Widząc, że to zaufanie podwaja energję i chęć do pracy, nigdy nie dał poznać po sobie, że mu przyszłość nie przedstawiała się w tak różowych kolorach. Wiedział, że okręty nie zwiedzają tej części oceanu Spokojnego, i że chyba przypadkiem jakiś statek mógłby przypłynąć w te strony, że więc prawdopodobnie wypadnie im pozostać tu na zawsze. Niepodobna byłoby puszczać się w odległą podróż morską na takiej łodzi, jaką sami byliby w stanie zbudować.

Drabina była zawieszona dnia 28 maja. Zawierała przeszło sto szczebli.

Koloniści przyzwyczaili się do schodzenia po niej, a Penkroff, który jako marynarz nawykł do biegania po linach, prowadzących na wierzchołek masztu, był ich nauczycielem. Lecz nie na tem ograniczał się jego zawód profesorski — musiał jeszcze dawać lekcje biednemu Topowi, którego cztery łapy niebardzo nadawały się do chodzenia po drabinie. Jednakowoż, dzięki wybornemu nauczaniu marynarza, Top wyuczył się nareszcie i wkrótce chodził tak dobrze, jak jego współbracia, pokazujący sztuki w cyrkach. Penkroff zadowolony chlubił się swoim uczniem; często jednak znosił go na plecach, o co Top wcale się nie gniewał.

Pomimo pośpiechu, z jakim ukończono te roboty, gdyż deszczowa pora się zbliżała, nie zapomniano przecież o zapasach żywności. Reporter i Harbert, którzy podjęli się dostawy dla kolonji, codziennie kilka godzin poświęcali polowaniu. Dotąd polowali tylko w lesie i na lewym brzegu rzeki, gdyż nie mając łodzi, ani mostu, nie mogli przebywać Mercy; dlatego też ogromnych lasów, które nazwali lasem dalekiego Wschodu, dotąd nie zwiedzali. Dopiero w pierwszych dniach przyszłej wiosny obiecywali sobie ciągnąć z niego korzyści. Ale i las Zakamaru był bogato zaopatrzony w zwierzynę; znajdowało się w nim mnóstwo dzików i kangurów, a okute drągi, łuki i strzały dozwalały myśliwym zabijać je, ile chcieli. Pewnego poranka Harbert odkrył w południowo-zachodniej stronie lasu jakby naturalną królikarnię; był to rodzaj wilgotnei

nieco łączki, zarosłej wierzbami i ziołami aromatycznemi, których woń rozchodziła się w powietrzu.

Reporter zrobił uwagę, że skoro zastali stół tak hojnie zastawiony dla królików, więc króliki gościć tu muszą. W każdym razie królikarnia ta dostarczy im przynajmniej pożytecznych ziół, posiadających różne własności lecznicze. Uzbierali więc znaczny zapas. Gdy to Penkroff zobaczył, zapytał, do czego ma służyć ta zielenina.

— Są to lekarstwa, których używać będziemy w razie choroby — odrzekł Harbert.

— A jakże moglibyśmy chorować, skoro niema doktorów na naszej wyspie? — powiedział Penkroff z bardzo poważną miną.

Oprócz tych ziół lekarskich, Harbert znalazł jeszcze znaczną ilość roślin, znanych w Ameryce północnej pod nazwą „herbaty Oswego", która stanowi doskonały napój.

Nareszcie, po starannych poszukiwaniach na łące, udało im się wynaleźć królikarnię. W tem miejscu grunt był podziurawiony jak przetak.

— Nory! — zawołał Harbert.

— A widzę! — odrzekł reporter.

— Ale czy są zamieszkane?

— Otóż to kwestja.

Rozwiązanie jej nastąpiło niebawem, bo w tejże chwili setki małych zwierzątek, podobnych do królików, zaczęły uciekać na wszystkie strony i to tak prędko, że i Top nie mógłby ich prześcignąć. Ale myśliwi postanowili nie wracać do domu, nie złapawszy przynajmniej pół tuzina tych czworonożnych zwierzątek. Pierwsze miały stanowić zapas śpiżarniany, z późniejszemi postanowili zrobić próbę obłaskawienia i hodować je w mieszkaniu. Gdyby mieli sieci do łowienia królików, łapanie ich byłoby nader łatwe; ale nie mając ich, musieli zaglądać do wszystkich nor, zapuszczać w nie długi kij, co wymagało czasu i cierpliwości.

Po godzinie poszukiwań schwytali cztery zwierzątka; były to króliki, zwane amerykańskiemi, bardzo podobne do europejskich i smaczne do jedzenia.

Gdy ukończono już roboty wewnątrz Granitowego pałacu, inżynier zajął się zawaleniem otworu dawnego upustu, tak, aby wejście z tej strony uczynić niepodobnem. Zatoczono do otworu duże odłamy skał i pospajano je silnie. Narazie Cyrus Smith nie przyprowadził do skutku zamiaru zatopienia tego wejścia przez podniesienie poziomu jeziora do poprzedniej wysokości, tylko zasłonił je, zasadzając między szczelinami skał niewielkie krzewy i kępy trawy, które na wiosnę rozrosną się i gałązkami swemi zakryją zamurowany otwór.

Cyrus, chcąc zaopatrzyć nowe mieszkanie w wodę słodką, zostawił w dawnym upuście małą szczelinę trochę niżej od poziomu je-

ziora. To czyste i niewysychające nigdy źródło dostarczało kolonistom dwadzieście pięć do trzydziestu garncy dziennie wybornej do picia wody, i w żadnym razie nie potrzebowali obawiać się jej braku.

Ukończono nakoniec roboty około Granitowego pałacu. Zrobiono nawet okiennice do zasłaniania okien, dopóki inżynier nie zaopatrzy ich w szyby. Gedeon zaś pootaczał z prawdziwie artystycznym smakiem otwory okien świeżą zielenią, zasadziwszy w zaklęśnięciach skały różnego rodzaju rośliny i puszyste trawy.

Jak widzimy, mieszkańcy tak trwałego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania mogli być szczerze zadowoleni. Penkroff też nie szczędził pochwał swemu, jak wyrażał się żartobliwie, „apartamentowi na piątem piętrze”, z którego tak piękny widok roztaczał się na wszystkie strony, że nie można się było dosyć napatrzeć.

ROZDZIAŁ XX.

Okres deszczów. — Kwestja odzieży. — Polowanie na foki. — Wyrób świec. — Roboty wewnątrz pałacu Granitowego. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znalazł w swej kieszeni.

Z początkiem czerwca rozpoczęła się prawdziwa zima, gdyż miesiąc ten odpowiada grudniowi stref północnych. Następowały teraz ulewy i wichry morskie. Dzięki mieszkaniu, urządzonemu w Granitowym pałacu, koloniści byli doskonale zabezpieczeni od słoty. Cyrus Smith przedsięwziął też pewne ostrożności, aby, o ile można, zabezpieczyć kuźnię i piece, pourządzane w Kominach.

Przez cały czerwiec obok innych prac zajmowano się także polowaniem i rybołóstwem dla zaopatrzenia śpiżarni. Penkroff zamierzał pourządzać pułapki, po których wiele obiecywał sobie, a tymczasem porobił sieci, i nie było dnia, żeby pewna liczba królików w nie się nie złapała. Nab solił i wędził mięso, aby mogło być przechowywane przez zimę.

Należało teraz pomyśleć o ubraniu, gdyż koloniści nie posiadali nic, prócz sukien, jakie mieli na sobie, gdy z balonu zostali wyrzuceni na wyspę. Suknie te były ciepłe i mocne; tak o nich, jak o bieliźnie mieli wielkie staranie i w doskonałej utrzymywali je czystości, jednak łatwo było przewidzieć, że zedrą się niezadługo, a nadto podczas zimy nie ochronią dostatecznie od zimna.

Na to obecnie nawet inżynier poradzić nic nie mógł, tem więcej, że musiał pilniejsze pokończyć roboty. Dobrze zaopatrzywszy mieszkanie, trzeba będzie jako tako przebiedować pierwszą zimę. Z nadejściem pięknej pory zajmą się polowaniem na muflony, które wi-

dzieli na wyspie, zwiedzając górę Franklina. Zaopatrzywszy się w ich wełnę, inżynier potrafi wydobyć z niej mocny i ciepły materjał... Jakim sposobem? — a to już jego rzecz. Zobaczymy.

— No, w najgorszym razie będziemy się grzali przy kominie w naszym Granitowym pałacu — rzekł Penkroff. — Drzewa nam nie brakuje, a nie kupując, nie potrzebujemy oszczędzać.

— A zresztą — dodał Gedeon Spilett — wyspa Lincolna nie leży pod bardzo wysokim stopniem szerokości, więc zima nie powinna tu być zbyt ostra. Wszak mówiłeś, Cyrusie, że położenie jej odpowiada położeniu Hiszpanji?

— Tak, ale i w Hiszpanji zdarzają się bardzo ciężkie zimy, kiedy nie brak śniegów, ani lodów, więc i tu możemy ich zaznać. Pocieszam się jednak, że ponieważ jest to wyspa, więc temperatura może będzie umiarkowańsza.

— Dlaczegóż to, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Dlatego, mój chłopcze, że można uważać morze za wielki zbiornik, w którym gromadzi się ciepło letnie. W zimie morze wraca nagromadzone ciepło, i dlatego to w okolicach, zbliżonych do oceanów, panuje temperatura średnia; w lecie niezbyt wysoka, w zimie niezbyt niska.

— Zobaczymy to — rzekł Penkroff — teraz radziłbym nie kłopotać się, czy będzie ciepło, czy zimno, lecz zwrócić uwagę na to, że nastały już długie wieczory i wartoby pomyśleć o oświetleniu.

— To rzecz bardzo łatwa — odrzekł Smith.

— W słowach, czy w wykonaniu? — zapytał marynarz.

— W wykonaniu.

— Więc kiedyż się do tego zabierzemy?

— Jutro. Urządzimy polowanie na foki.

— I to foki zastąpią świece łojowe?

— Pfe! któż mówi o łojowych, taką brzydką woń wydają. Nasze świece będą jak woskowe.

I rzeczywiście projekt inżyniera mógł być urzeczywistniony, ponieważ posiadali wapno i kwas siarczany, a zwierzęta ziemnowodne mogły dostarczyć potrzebnego tłuszczu.

Był to dzień 4 czerwca, a zarazem święto Zielonych Świątek, więc postanowiono jednozgodnie obchodzić je uroczyście. Zawiesili wszelkie roboty i gorące modły wznieśli do Pana Zastępów. Tym razem były to modły dziękczynne. Nasi koloniści nie byli już teraz nieszczęśliwymi, wszystkiego pozbawionymi rozbitkami, to też nie prosili, lecz dziękowali Bogu.

Nazajutrz czas był niepewny, mimo to wszyscy udali się na wysepkę Wybawienia. Korzystając z odpływu morza, przeszli kanał w bród; postanowili jednak niebawem sporządzić łódź dla ułatwienia komunikacji, jako też przepływu przez Mercy w celu lepszego zbadania południowo-zachodniej części wyspy.

Fok było bardzo wiele; myśliwi zabili ich kilka z pomocą żelazem okutych drągów. Nab i Penkroff poodzierali je ze skóry, które wraz z tłuszczem zanieśli do Granitowego pałacu. Skóry te miały później dostarczyć kolonistom mocnego obuwia, a przeszło 300 funtów zebranego tłuszczu przeznaczono na wyrób świec.

Operacja była bardzo prosta, a choć wyrób nie był doskonały, był jednak zdatny do użytku. Gdyby Cyrus Smith posiadał nawet sam tylko kwas siarczany, wtedy już przez ogrzanie go z ciałami tłustemi, jak naprzykład tłuszczem fok, mógł odosobnić glicerynę; następnie od niej oddzieliłby oleinę, margarynę i stearynę, zapomocą gorącej wody. Lecz dla uproszczenia roboty wolał zmydlić tłuszcz zapomocą wapna. Tym sposobem otrzymał mydło wyborne, dające się łatwo rozłożyć przez kwas siarczany.

Z trzech kwasów: oleinowego, margarynowego i stearynowego, pierwszy jako płynny wydobyto przez odpowiednie ciśnienie, a dwa pozostałe miały być użyte do odlewania świec.

Cała robota zajęła dwadzieścia cztery godziny. Po wielu próbach udało im się porobić knoty z włókien roślinnych, które umoczone w roztopionej materji utworzyły świece stearynowe; brakło im tylko wybielenia i politury. Wprawdzie nie dorównywały one świecom, których knoty nasycone są kwasem bornym, spalają się w miarę spalania stearyny i dlatego nie potrzebują objaśnienia; ale Cyrus Smith urządził dobre szczypce, i świece te bardzo były użyteczne podczas długich wieczorów.

Przez cały ten miesiąc pracowali gorliwie w nowem mieszkaniu. Stolarskiej roboty im nie zabrakło a oprócz tego udoskonalano i uzupełniano narzędzia, o ile się dało.

Mogli już zrobić sobie nożyczki i poodcinać włosy, spadające prawie na ramiona. Nab i Harbert nie mieli zarostu, lecz towarzysze ich okropnie wyglądali, więc w braku brzytew, przynajmniej obcinali brody, wąsy i faworyty.

Nadzwyczaj wiele kosztowało ich trudu wyrobienie piły ręcznej, wkońcu jednak udało im się urządzić narzędzie, z którego pomocą mogli wyrabiać deski. Korzystając z tego, porobili sobie stoły, szafy, krzesła, któremi umeblowali paradniejsze pokoje, oraz łóżka, w których pościel stanowiły materace z trawy morskiej. W kuchni urządzili półki, na których Nab porozstawiał swoje przybory.

Po robocie stolarskiej przyszła kolej na ciesielską. Nowy upust, utworzony przez wysadzenie skały, wymagał koniecznie dwóch mostów, jednego na płaszczyźnie Pięknego widoku, drugiego na samem wybrzeżu, gdyż tak tę płaszczyznę jak wybrzeże przerzynał teraz strumień wody, nie dozwalający dostać się na północ wyspy. Chcąc go ominąć, koloniści musieli obchodzić bardzo daleko i zwracać się na zachód aż poza Czerwony strumień.

Aby temu zapobiec, należało zbudować dwa mosty, mające dwa-

dziścia do dwudziestu pięciu stóp długości, jeden na płaszczyźnie, drugi na wybrzeżu. Za materjał służyły drzewa, nieco ociosane siekierą. W kilka dni mosty były skończone.

Korzystając z tego, Nab i Penkroff udali się zaraz do ławy ostryg, którą wynaleźli na piaszczystych wzgórzach nadmorskich. Mieli teraz rodzaj wozu i przyciągnęli na nim kilka tysięcy ostryg, które bardzo prędko zaklimatyzowały się pośród skał, roztaczających się przy ujściu Mercy. Mięczaki te były wyborne, i koloniści niemal codziennie się niemi raczyli.

Jak widzimy, wyspa Lincolna mogła zaopatrzyć we wszystko prawie kolonistów, choć dotąd zaledwie jedną jej część poznali. — Nadto należało przypuszczać, że, gdy ją zwiedzą i zbadają w całej rozciągłości, a szczególniej część lesistą od rzeki Mercy aż do przylądka Gadu, nowe jeszcze odkryją zasoby i skarby.

Tak więc nie brakło im pożywienia mięsnego i roślinnego; z drzewiastych korzeni trzcinopalmy, zwanej smoczą, wyrabiali bardzo smaczny, kwaskowaty napój, zastępujący piwo; mieli nawet cukier, nie z trzciny, ani z buraków, lecz z soku, który wydziela z siebie drzewo, klon cukrowy (acer saccarinum), należące do rodziny klonowatych, udające się w strefach umiarkowanych, a bardzo obficie rosnące na wyspie Lincolna; dobrą herbatę mieli z ziół, rosnących w królikarni; soli im nie brakowało... Ale nie mieli chleba.

Może uda im się później zastąpić chleb czemś odpowiedniem, mączką z sagowca lub z drzewa chlebowego; może drzewa te znajdują się w lesie południowym, ale dotąd ich nie znaleziono.

Pod tym względem Opatrzność bezpośrednio przyszła w pomoc kolonistom, wprawdzie w nader maluczkich rozmiarach, ale bądź co bądź, pomimo całego rozumu i nauki, inżynier nie zdołałby wytworzyć tego, co pewnego razu znalazł przypadkiem w kieszeni Harbert, naprawiając podszewkę kamizelki.

Dnia tego deszcz lał ulewny, koloniści siedzieli razem w wielkim salonie Granitowego pałacu, gdy nagle Harbert zawołał:

— Patrz pan, panie Cyrusie, ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom jedno, jedyne ziarnko zboża, które przypadkiem z dziurawej kieszeni dostało się za podszewkę.

Podczas pobytu swego w Richmond, Harbert miał zwyczaj nosić w kieszeni zboże, które rzucał kilku gołębiom, jakie podarował mu Penkroff. Jedno zabłąkało się za podszewkę.

— Ziarnko zboża! — zawołał żywo inżynier.

— Tak, panie Cyrusie, ale jedno tylko.

— To mi dopiero — zawołał Penkroff — jest o czem mówić, mój chłopcze; na cóż nam się przyda jedno ziarnko!

— Będziemy z niego mieli chleb! — rzekł inżynier.

— Chleb, ciasta, sucharki — odparł marynarz — a wszystko

z tego jednego ziarnka zboża! No! no! żebyśmy tylko nie pochorowali się z przejedzenia.

Nie przywiązując wartości do swego odkrycia, Harbert zamierzał rzucić ziarnko, lecz inżynier wziął je od niego, obejrzał starannie i przekonał się, że jest zupełnie zdrowe. Zatrzymał je więc i, stając przed marynarzem, zapytał go spokojnie:

— Czy wiesz, Penkroffie, ile kłosów wydać może jedno ziarnko zboża?

— No! zapewne jeden kłos — odrzekł Penkroff, zadziwiony tem zapytaniem.

— Nie, może dać dziesięć kłosów. A teraz, czy wiesz, ile jest ziarnek w jednym kłosie?

— O, nie wiem, doprawdy.

— Osiemdziesiąt, średnio — odrzekł Cyrus Smith. — Tak więc, zasadzimy to ziarno, a gdy ono zejdzie, pierwszy zbiór da osiemset ziarn; te zasadzone zkolei wydadzą już sześćkroć czterdzieści tysięcy ziarn; trzeci zbiór wyniesie już pięćset dwanaście miljonów, a czwarty czterysta miljardów ziarn. Oto ścisłe obliczenie.

Towarzysze Cyrusa słuchali go z wielkiem zajęciem. Liczby te wprawiły ich w osłupienie; były jednak jak najdokładniejsze.

— Tak, moi przyjaciele — mówił dalej inżynier. — Oto jak wielką jest płodność natury. A czemże jeszcze jest to rozmnażanie się ziarn zboża w porównaniu naprzykład z makiem, którego jeden krzaczek wydaje trzydzieści dwa tysiące ziarnek maku, albo jeszcze z tytoniem, którego jeden krzew daje trzykroć sześćdziesiąt tysięcy ziarnek nasienia. Gdyby nie różne przyczyny, powstrzymujące ich rozrost i płodność, rośliny te w przeciągu lat kilku zagarnęłyby świat cały. A teraz powiedz mi jeszcze, Penkroffie, czy wiesz, ile uczyni korcy czterysta miljardów ziarn zboża?

— E! gdzie tam, panie inżynierze, wiesz przecie że ze mnie stary osioł.

— Otóż, mój kochany, licząc po sto trzydzieści tysięcy na korzec, uczyni to przeszło trzy miljony korcy.

— Trzy miljony!

— I to w przeciągu czterech lat?

— Tak jest — odrzekł inżynier — a może nawet i w przeciągu dwóch lat, jeżeli, jak myślę, w tej szerokości będziemy mieli żniwa dwa razy do roku.

Wysłuchawszy wszystkiego, Penkroff, swoim zwyczajem odpowiedział przez głośne: Wiwat! kilkakrotnie powtórzone.

— Tak więc, kochany Harbercie — rzekł inżynier — zrobiłeś odkrycie, które nadzwyczaj ważne może mieć dla nas następstwa. Proszę was, nie zapominajcie o tem, że w naszem położeniu wszystko przydać się może.

— Nie, panie Cyrusie, nigdy nie zapomnimy o tem — odrzekł

marynarz — i jeśli kiedykolwiek uda mi się wynaleźć jedno nasionko tytoniu, co to pomnaża się do trzystu sześćdziesięciu tysięcy, przysięgam, że nie rzucę go na cztery wiatry. No! a teraz cóż mamy robić?

— Zasadzić to ziarnko — odrzekł Harbert.

— Tak — dodał Gedeon Spilett — i to z jak największem poszanowaniem i ostrożnością, bo w niem spoczywają całe nadzieje przyszłych plonów.

— Oby tylko zeszło! — zawołał marynarz.

— Zejdzie — odrzekł Cyrus Smith.

Działo się to 20 czerwca, a więc we właściwej porze do zasiania tego nieocenionego, jedynego ziarnka zboża. Najpierw zamierzali zasadzić je w doniczce, lecz po głębszej rozwadze postanowili zaufać przyrodzie i powierzyć je ziemi. Zasiali je więc tegoż dnia jeszcze. Nie potrzebujemy dodawać, że nie zaniedbali niczego, coby mogło przyczynić się do pomyślnego wzrostu.

Weszli na szczyt Granitowego pałacu; tam obrali miejsce, które otaczające drzewa strzegły od wichrów, a słońce południowe ciepłemi ogrzewało promieniami. Oczyścili starannie grunt, powyrywali chwasty, poruszyli go nieco dla przekonania się czy niema robaków, domieszali wapna i otoczyli palisadą. Poczem złożono ziarno w wilgotnej ziemi.

Możnaby powiedzieć, że koloniści założyli węgielny kamień wielkiego gmachu. Czynność ta przypominała Penkroffowi dzień, w którym Harbert z takiemi ostrożnościami zapalił jedyną znalezioną zapałkę. Tylko, że teraz szło o rzecz daleko ważniejszą: ogień tym, lub owym sposobem zawszeby wkońcu wytworzyć zdołali, ale gdyby ziarnko to przepadło, żadna potęga ludzka odtworzyćby go nie mogła.

ROZDZIAŁ XXI.

Kilka stopni mrozu. — Wyprawa do bagnisk na południo-zachód. — Widok morza. — Rozmowa o przeszłości oceanu Spokojnego. — Praca nieustanna wymoczków. — Polowanie. — Bagno Tadorna.

Od tej chwili nie było dnia, żeby Penkroff nie chodził oglądać ich łanu zboża, jak się wyrażał — a owady, które odważały się tam pojawiać, bez miłosierdzia skazywał na śmierć.

Po nieznośnych, nieustannych deszczach powietrze zaczęło się oziębiać, a dnia 29 czerwca było tak zimno, że gdyby mieli termometr Fahrenheita, niezawodnie wskazywałby kilka stopni poniżej zera.

Nazajutrz 30 czerwca, co odpowiada 31 grudnia na naszej półkuli, był piątek. Nab zrobił uwagę, że rok w zły dzień się kończy.

Na to Penkroff odpowiedział mu, że zato nowy rok zaczyna się. w dobry, a to lepiej dla nich.

Z nowym rokiem nastały wielkie zimna. Znaczne bryły lodu nagromadziły się przy ujściu Mercy; całe jezioro zamarzło.

Koloniści zbierali zapasy materjału opałowego. Nie czekając zamarznięcia rzeki, Penkroff spławiał tratwami ogromne ilości drzewa, a rzeka dostawiała je niezmordowanie. Oprócz drzewa zaopatrzono się także w torf, który znajdował się na pochyłości góry Franklina. Silne ciepło, jakie torf ten wydaje, bardzo im się przydało, gdyż 4 lipca temperatura spadła do ośmiu stopni Fahrenheita (13° C. niżej zera). Urządzono drugi komin w sali jadalnej, i tam wszyscy wspólnie pracowali.

W tym okresie zimna mogli ocenić pożyteczność strumienia wody, którą inżynier przeprowadził z jeziora Granta do Granitowego pałacu. Woda, przeprowadzona przez dawny upust poniżej zamarzłej powierzchni, płynęła wolno do wewnętrznego zbiornika, wykutego w skale poza ich składem, nadmiar zaś jej przez studnię odpływał do morza.

Powietrze było zupełnie suche, a że koloniści ciepło byli odziani, postanowili dzień jeden przeznaczyć na zwiedzenie części wyspy, zawartej między Mercy a przylądkiem Szpony. Była to rozległa, błotnista przestrzeń, na której spodziewali się znaleźć mnóstwo ptaków wodnych. Część ta była odległa o osiem do dziewięciu mil, a że wcale jeszcze jej nie znali, więc wszyscy mieli wziąć udział w tej wycieczce. Wstali bardzo rano i dnia 5 lipca opuścili Granitowy pałac, uzbrojeni w łuki, drągi okute, sieć i zaopatrzeni w dostateczny zapas żywności. Top biegł przodem.

Dla skrócenia drogi przeszli przez zamarzłą Mercy, ale Gedeon Spilett zauważył, iż wartoby zbudować „most stały", to też budowę jego w planie przyszłych prac umieszczono.

Po raz pierwszy koloniści dostali się na prawy brzeg Mercy i zapuścili się pomiędzy wspaniałe drzewa iglaste, pokryte teraz śniegiem. Zaledwie uszli z pół mili, z gęstych zarośli wybiegła cała czworonożna rodzina, wystraszona szczekaniem Topa.

— Ach! zdaje się, że to lisy — zawołał Harbert, patrząc za uciekającemi zwierzętami.

Były to rzeczywiście lisy, lecz nadzwyczaj duże; ich szczekanie przestraszyło nawet Topa, więc zatrzymał się chwilę, co dało im czas uciec i zniknąć.

Pies mógł się zadziwić, bo nie uczył się historji naturalnej, lecz właśnie to szczekanie zdradziło pochodzenie uciekających zwierząt. Lisy te miały futro rudawo-popielate i czarne ogony, zakończone białą kitką. Harbert poznał je odrazu i wymienił rzeczywistą ich nazwę. Zwierzęta te można spotkać w Chili i na wszystkich wybrzeżach amerykańskich, leżących pod odpowiednim stopniem szerokości. Harbert

żałował bardzo, że Top nie zdołał pochwycić którego z tych mięsożernych zwierząt.

— A czy one dobre do jedzenia? — zapytał Penkroff, który z tego jedynie punktu oceniał przedstawicieli fauny wyspy.

— Nie — odrzekł Harbert — ale dla głodnego niema nic niesmacznego. O tej prawdzie nie zapominaj, żarłoku!

Cyrus Smith uśmiechnął się, słysząc to objaśnienie, dowodzące, jak młody Harbert zastanawiał się nad wszystkiem. Co zaś do marynarza, gdy tylko dowiedział się, że lisy nie zdały się do kuchni, mało go obchodziło, do jakiego zaliczały się rodzaju. Zrobił wszakże uwagę, że gdy zaprowadzą hodowlę drobiu w swem gospodarstwie, trzeba będzie dobrze się strzec przed tymi czworonożnymi rabusiami.

Była ósma rano. Zagrzani długą przechadzką, koloniści niebardzo uczuwali zimno, tem więcej, że wcale nie było wiatru. Jaskrawe, lecz nie przygrzewające słońce wynurzało się z oceanu, roztaczającego się poza płaszczyzną, na której się znajdowali. Cała powierzchnia morza była błękitna. Niezamącony spokój morza, którego woda nigdzie nie wpadała w odcień żółtawy, oraz zupełny brak skał podwodnych dowodził, że wybrzeże to było urwiste, i że ocean ukrywał tu w swem łonie głębokie otchłanie. Daleko, o jakie cztery mile na zachód, rysowały się pierwsze szeregi drzew lasu Far-Westu. Koloniści zatrzymali się dla posiłku. Rozpalono ogień z gałęzi i mchu, i Nab przyrządził posiłek, złożony z zimnego mięsa i herbaty.

Jedząc, rozglądali się wkoło. Cała ta część wyspy była pusta i jałowa. Reporter zrobił uwagę, iż gdyby w onej części spadli z balonem, musieliby powziąć jak najgorsze wyobrażenie o przyszłej swojej siedzibie. Szczęściem, część zachodnia była całkiem odmienna.

— Szczególniejsza rzecz — mówił dalej reporter — że ta niewielka wyspa odznacza się taką różnorodnością warunków; taka rozmaitość zazwyczaj właściwa jest tylko lądom dość obszernym. Możnaby sądzić, że zachodnia część wyspy Lincolna, tak bogata i urodzajna, dotyka ciepłych wód prądu Meksykańskiego, zaś wybrzeże północne i południowo-wschodnie graniczy z morzem Lodowatem.

— Masz słuszność, kochany Gedeonie — odrzekł Cyrus Smith — i ja toż samo zauważyłem. Rzeczywiście, dziwną jest postać i przyroda tej wyspy. Przypuszczam nawet, że może kiedyś była lądem.

— Co! ląd wpośród oceanu Spokojnego? — zawołał Penkroff.

— Czemużby nie? — odparł inżynier. — Czemużby Australja, Nowa Zelandja i wszystko, co geografowie angielscy nazywają Australazją, nie miałoby w połączeniu z archipelagami oceanu Spokojnego tworzyć kiedyś szóstej części świata, równie jak Europa, lub Azja, Afryka lub obie Ameryki? Bynajmniej nie wydaje mi się niepodobnem, że wszystkie te wyspy, wylaniające się z tego wielkiego oceanu, są tylko wierzchołkami lądu dziś zatopionego, który w epokach przedhistorycznych wznosił się ponad wody.

— Tak, jak niegdyś Atlantyda — rzekł Harbert.

— Tak, moje dziecię, jeżeli tylko Atlantyda istniała kiedy rzeczywiście.

— Więc i nasza wyspa miałaby stanowić część tego lądu? — zapytał Penkroff.

— Mogło to być — odrzekł Cyrus — i to właśnie tłumaczyłoby ową różnorodność płodów, znajdujących się na jej powierzchni.

— Jako też tak znaczną liczbę zamieszkujących ją zwierząt — dorzucił Harbert.

— Masz słuszność, chłopcze, i oto dostarczasz mi jednego jeszcze dowodu na poparcie mego przypuszczenia. Nie ulega wątpliwości, że znaczna liczba zwierząt znajduje się na wyspie i to najróżnorodniejszych gatunków — a nie może to być bez przyczyny. Otóż sądzę, że wyspa Lincolna jest zapewne częścią jakiegoś obszernego lądu, który powoli zanurzył się w oceanie Spokojnym.

— Tak więc, pewnego poranku, ten skrawek wielkiego niegdyś lądu mógłby znów zkolei zniknąć pod oceanem; a w takim razie nie pozostałoby nic między Ameryką i Azją — rzekł Penkroff, który, jak się zdawało, niekoniecznie wierzył w to przypuszczenie.

— Przeciwnie — odrzekł Cyrus Smith — zjawią się nowe lądy, nad których wzniesieniem miljardy miljardów żyjątek pracują nieustannie.

— I cóż to za jedni są ci pracownicy? — zapytał znów marynarz.

— Wymoczki koralowe — odrzekł inżynier. — One tą nieustanną pracą wytworzyły wyspę Clermont, Tonnere i inne liczne wyspy koralowe oceanu Spokojnego. Czterdzieści siedem miljonów tych wymoczków waży tylko jeden gram, a przecież zwierzątka te wytwarzają pokłady wapienne, z których następnie formują się tak twarde jak granit. Kiedyś, w początkach istnienia świata, przyroda tworzyła ziemię przez wynoszenie gruntu zapomocą ognia; obecnie mikroskopijne istotki zastępują działanie ognia, którego siła dynamiczna wewnątrz kuli ziemskiej widocznie osłabła — jak tego dowodzi wielka liczba wulkanów, obecnie wygasłych już, na powierzchni ziemi. Bardzo wierzę w przypuszczenie, że kiedyś, gdy liczne wieki upłyną i setki pokoleń wymoczków nastąpią jedne po drugich — ten ocean Spokojny może zamieni się w wielki ląd, który zamieszkają nowe pokolenia i nową na nim rozkrzewią cywilizację.

— Chyba jeszcze kaducznie długo czekać na to trzeba — rzekł marynarz.

— Przyrodzie nie zbraknie czasu, nie potrzebuje się śpieszyć — odrzekł inżynier.

— Ale nacóżby się zdały te nowe lądy? — zapytał Harbert. — Zdaje się, że dzisiejsza rozległość ziemi zamieszkałej wystarcza ludzkości, a przecież przyroda nic nie robi bezużytecznie.

— Zapewne. Ale można pojąć potrzebę w przyszłości nowych lądów i to właśnie w strefie podzwrotnikowej, zajętej przez wyspy koralowe. Ja przynajmniej nie widzę w tem nic nadzwyczajnego.

— Chciej nam to wytłumaczyć, panie Cyrusie — prosił Harbert.

— A więc słuchajcie. W ogólności uczeni przypuszczają, że świat nasz skończy się kiedyś, czyli raczej, że ustanie na nim życie zwierzęce i roślinne, gdyż stanie się niemożliwem skutkiem nadzwyczajnego oziębienia. Nie zgadzają się tylko co do przyczyn tego oziębienia. Jedni mniemają, że nastąpi ono z powodu obniżenia temperatury słońca, inni znów utrzymują, że będzie wynikiem stopniowego wygasania ognia, ukrytego we wnętrzu ziemi, który daleko większy wywiera wpływ na kulę ziemską, niż mniemają. Co do mnie, podzielam ostatnie przypuszczenie, wychodząc z tego faktu, że księżyc jest gwiazdą wygasłą, która dziś już nie mogłaby być zamieszkaną, chociaż słońce zawsze jednakową ilość ciepła posyła na jego powierzchnię. Tak więc oziębienie księżyca przypisać trzeba zupełnemu wygaśnięciu tego ognia wewnętrznego, któremu, zarówno jak wszystkie gwiazdy, zawdzięcza swój początek. Zresztą, choć przyczyny nie znamy dotąd z pewnością, to jednak zdaje się, że świat nasz oziębnie kiedyś, chociaż stopniowo i bardzo powoli. Cóż się wtedy stanie? Oto w mniej lub więcej oddalonej przyszłości strefy umiarkowane staną się równie niemożliwe do zamieszkania, jak dziś strefy podbiegunowe — a wtedy tak ludzie jak zwierzęta tłumnie posuwać się będą ku szerokościom, bezpośrednio położonym pod wpływem słonecznym. I nastąpi stopniowa wędrówka ludów; Europa, Azja środkowa, Ameryka północna będą tak opuszczone, jak Australazja, lub niższe części Ameryki południowej. W ślad za wędrówką ludów nastąpi wędrówka roślin. Flora, a z nią i fauna posuną się ku równikowi. Środkowe krainy Afryki i Ameryki południowej staną się najpożądańszem miejscem zamieszkania. Lapończycy i Samojedzi odnajdą na wybrzeżach morza Śródziemnego też same warunki klimatyczne, jakie dziś istnieją nad morzem północnem. I któż może wiedzieć, czy w owej epoce okolice podrównikowe nie okażą się za małemi do pomieszczenia i wyżywienia całej ludności ziemi? I dlaczegóżby przewidująca przyroda nie miała już dziś zakładać pod równikiem podwalin nowego gruntu, którego wzniesienie powierza maluczkim wymoczkom, aby kiedyś dać na nim schronienie całej tej emigracji zwierzęcej i roślinnej?

— Ja, towarzysze moi, często zastanawiam się nad tem wszystkiem, i wierzę temu, że postać naszej kuli ziemskiej kiedyś zupełnej ulegnie zmianie, że skutkiem wyniesienia się nowych lądów, morza zaleją dawne, i że kiedyś w przyszłości nowi Kolumbowie odkryją wyspy Chimboraso, Himalaja, lub Mont-Blanc, jako resztki zalanych: Ameryki, Azji lub Europy. Potem znów z wieków kolei i te nowe lądy staną się niemożliwe do zamieszkania; ciepło ich zginie jak ciepło ciała, które dusza opuściła... I życie przepadnie na świecie przynaj-

mniej na czas pewien. Może wtedy nasza kula ziemska wypocznie, może przemieni się przez śmierć, aby kiedyś w lepszych zmartwychwstać warunkach!... Ale to już, przyjaciele moi, jest tajemnicą Stwórcy wszechświata, a ja, z okoliczności pracy maluczkich wymoczków, może zanadto zapuściłem się w badanie tajników przyszłości, w woli Boga pozostającej."

— Kochany Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett — ja teorje te uważam za bardzo prawdopodobne.

— To tylko Bogu wiadomo — odrzekł inżynier.

— Wszystko to piękne i mądre, ale chciałbym teraz wiedzieć, czy i naszą wyspę zbudowały wymoczki? — zapytał Penkroff, który nadzwyczaj uważnie słuchał wymowy inżyniera.

— Nie — odparł inżynier — jest ona pochodzenia wulkanicznego.

— Więc także zniknie kiedyś?

— Tak się zdaje.

— Do nóżek upadam. Byle nie podczas naszej tu bytności.

— Nie kłopocz się tem, pewnie nas już na niej nie będzie. Wszak nie chcemy zostać tu do końca życia i może nareszcie uda się nam wydostać z tej wyspy.

— Jednakże nic nawpół robić nie należy, urządzimy się więc, jakby na wieczność całą — rzekł reporter.

Na tem skończyła się rozmowa. Zaraz po śniadaniu koloniści w dalszą puścili się drogę i doszli aż do miejsca, gdzie zaczynały się bagna.

Była to ogromna przestrzeń bagnista, ograniczająca wyspę od południo-wschodu i mogąca mieć dwadzieścia mil kwadratowych rozległości. Grunt był gliniasto-krzemienisty, pomieszany ze szczątkami roślinnemi. Tu i ówdzie zamarzłe kałuże błyszczały od blasku słonecznych promieni. Tych małych zbiorników wody nie mogły potworzyć ani deszcze, ani nagłe przybieranie jakiejś rzeki, trzeba więc było wnosić, że bagnisko zasycane było przesiąkaniem wody wewnętrznej, co kazało się obawiać, że podczas upałów mogą wywiązywać się miazmaty, które, rozchodząc się w powietrzu, dają początek zaraźliwym gorączkom i febrom.

Ponad wodnemi ziołami, wyłaniającemi się ze stojącej wody, unosiły się stada ptactwa; nie się nie bały, i łatwo było do nich dostąpić. Strzałem z dubeltówki możnaby ich odrazu kilka tuzinów położyć, tak szeregi były zwarte, ale zato przy strzelaniu z łuku nie płoszyło się ptactwa hukiem. Koloniści zabili tuzin kaczek, upierzonych biało, z cynamonowemi paskami, o głowach zielonych a skrzydłach czarnych, białych i rudawych, dziobach spłaszczonych. Top aportował zabite z łuku ptactwo, a od ich nazwy tę błotnistą część wyspy nazwano Tadorną. Koloniści zamierzali zczasem przyswoić wiele ro-

dzajów tego ptactwa, a przynajmniej zaklimatyzować je ponad jeziorem, aby nie potrzebować tak daleko chodzić po nie.

Około piątej wieczorem zawrócili ku domowi. Przeszli przez bagnisko Tadorna i przebyli Mercy po lodowym moście. O ósmej byli zpowrotem i weszli do Granitowego pałacu.

ROZDZIAŁ XXII.

Pułapki. — Lisy. — Pekari. — Zmiana kierunku wiatru. — Śnieżyca. — Stolarstwo i koszykarstwo. — Krystalizacja cukru klonowego. — Znowu tajemnica. — Zamierzona wycieczka. — Ziarnko śrutu.

Mocne zimna trwały aż do 15 sierpnia. Gdy powietrze było spokojne, łatwiej było znosić tak niską temperaturę, lecz gdy dął wiatr od morza, zimno bardzo dawało się we znaki ludziom, nie mającym odpowiedniego okrycia. Penkroff ubolewał mocno, że zamiast tych lisów i fok, których futra niewiele były warte, raczej niedźwiedzie nie gnieździły się na wyspie Lincolna.

— Niedźwiedzie — mówił — są zawsze dobrze przyodziane i, co do mnie, z wielką chęcią pożyczyłbym od nich na zimę ciepłej kapoty, jaką noszą na sobie.

— Ależ, kochany Penkroffie — powiedział Nab — może niedźwiedzie nie chciałyby ci oddać swoich kapot.

— Nie pytałbym o ich pozwolenie, Nabie — odpowiedział poważnie.

Lecz drapieżne te zwierzęta nie istniały na wyspie, a przynajmniej nie pokazały się dotąd.

Harbert, Penkroff i reporter zajęli się zastawianiem pułapek na płaszczyźnie Pięknego Widoku i przy wejściu do lasu. Pułapki te były bardzo proste. Pokopali doły i przykryli je trawą i gałęziami, a w głębi kładli coś na przynętę dla zwierząt. Dołów tych nie kopali na chybił trafił, lecz w tych tylko miejscach, gdzie znać było ślady zwierząt czworonożnych. Codziennie zaglądali do nich i w pierwszych dniach znajdowali lisy, które widzieli przedtem na prawym brzegu Mercy.

— A cóż do kroćstotysięcy! Czyż same tylko lisy istnieją na tej wyspie? — zawołał Penkroff, gdy za trzecim razem zkolei znajdował zawsze złapanego lisa. — Co mi po zwierzętach, które się na nic nie zdadzą!

— Ależ przeciwnie, bardzo się nam przydadzą — rzekł Gedeon Spilett.

— Ciekawym na co?

— Na przynętę.

Marynarz pourządzał także wnyki z włókien trzcinowych i te okazały się korzystniejsze od pułapek. Prawie codziennie łapały się na nie króliki, które Nab przyrządzał coraz to z innym sosem.

W drugiej połowie sierpnia kilkakrotnie łapały się w pułapki inne zwierzęta, daleko użyteczniejsze od lisów, a mianowicie kilka dzików, które dostrzegli dawniej w okolicy jeziora. Penkroff już nie pytał, czy były dobre do jedzenia, gdyż można było poznać to odrazu po wielkiem ich podobieństwie do świń amerykańskich i europejskich.

— Ale uprzedzam cię, Penkroffie, że to nie są świnie — rzekł Harbert.

— Mój miły chłopcze — odrzekł Penkroff, pochylony nad pułapką, wyciągając za maleńki ogon pochwycone zwierzę — proszę cię, nie rozpraszaj moich marzeń; ja chcę koniecznie, żeby to była świnia.

— A to dlaczego?

— Bo mi to wielką zrobi przyjemność.

— Czy tak lubisz wieprzowe mięso?

— Lubię bardzo, a szczególniej wieprzowe nogi w galarecie, i gdyby świnie zamiast czterech miały po osiem nóg, większe jeszcze miałyby u mnie łaski.

Zwierz pochwycony należał rzeczywiście do rodzaju świń, zwanych pekari; miał sierść bardzo ciemną i nie posiadał dwóch długich kłów, jakiemi opatrzone są trzy inne, pokrewne rodzaje; zdatne są one do jedzenia od końca ogona aż do nosa, a Penkroff nic więcej od nich nie żądał. Żyją gromadnie i zapewne w lesistej części wyspy musiały się w licznych stadach znajdować.

Dnia 15 sierpnia atmosfera zmieniła się nagle skutkiem wiatru północno-zachodniego. Temperatura podniosła się o kilka stopni, a para, nagromadzona w powietrzu, niebawem w śnieg się zamieniła. Cała wyspa białym pokryła się całunem i pod nową postacią ukazała się rozbitkom. Śnieg ten padał obficie przez kilka dni i pokrył ziemię na dwie stopy grubo.

Wkrótce zaczął dąć wiatr gwałtowny i z wierzchołka Granitowego pałacu słychać było morze, z hukiem rozbijające się o skały. W niektórych miejscach śnieg zbijał się w wysokie, wirujące kolumny, podobne do owych trąb wodnych, które trzeba rozpędzać ogniem z dział. Szczęściem wicher nie dął w prostym kierunku na Granitowy pałac, mimo to w czasie tej strasznej śnieżnej zawiei żaden z kolonistów nie mógł wychodzić z mieszkania. Pozostali w niem przez dni pięć zupełnie zamknięci.

— Wicher został drwalem — mówili — to i dobrze, niech pracuje dla nas.

Jakież to dzięki składali teraz Stwórcy mieszkańcy Granitowego pałacu za to tak trwałe i niewzruszone mieszkanie, w którem byli zupełnie bezpieczni, i burza tak gwałtowna szkodzić im nie mogła. Gdy-

by, jak zamierzali, zbudowali byli dom z cegły i drzewa, pewnie nie oparłoby się wściekłości rozszalałej burzy. Kominy także pewno zalewały rozhukane bałwany morskie. Pałac zaś Granitowy nie lękał się ani burzy, ani wody, ani żadnych zmian powietrza.

Podczas tego kilkudniowego aresztu koloniści nie próżnowali. Mieli dużo porzniętych desek, to też uzupełniali umeblowanie swego apartamentu, wyrabiając stoły i krzesła. Nab i Penkroff tak byli z nich zadowoleni, że nie zamieniliby ich na najcudniejsze meble z drzewa różanego.

Następnie ze stolarzy zamienili się na koszykarzy, i nowe to rzemiosło wcale dobrze im się wiodło. W północnej części jeziora odkryli wielką ilość czerwonej trzciny. Przed porą deszczową Harbert i Penkroff znaczne jej nagromadzili zapasy do późniejszego użytku. Pierwsze próby nie były udatne, ale dzięki zręczności i pojętności robotników niebawem znaczne w koszykarskiej robocie poczynili postępy. Poprawiali robotę i pomagali sobie wzajemnie, przypominali niegdyś widziane wzory, współzawodniczyli ze sobą, dość, że wyrabiali wcale dobre koszałki i koszyki, które zwiększyły ich gospodarski inwentarz.

W ostatnim tygodniu sierpnia czas zmienił się raz jeszcze; temperatura trochę się obniżyła, burza uspokoiła, i kolonici mogli wyjść z mieszkania. Śnieg na dwie stopy wysokości pokrywał ziemię, lecz był tak twardy, że wygodnie stąpać po nim było można. Udali się na płaszczyznę Pięknego Widoku.

Jakaż to zmiana zaszła wokoło! Te lasy, które jeszcze za ostatniej ich bytności zieleniły się tak pięknie, szczególnie w części, zarosłej drzewami iglastemi, teraz smutną wraz z całą otaczającą przyrodą raziły jednostajnością. Wszystko teraz było białe od wierzchołka góry Franklina do krańców widnokręgu; lasy, łąki, jezioro, rzeka, wybrzeża. Wody Mercy toczyły się pod lodowem sklepieniem, które za każdym przypływem i odpływem z wielkim pękało hukiem. Liczne stada ptactwa latały nad zamarzłą powierzchnią jeziora: kaczki, bekasy, nurki i inne im pokrewne, których tysiące naliczyćby można. Zwrócili wzrok ku lasowi, lecz pokrywał go ogromny całun śnieżny. Nie mogli dopatrzeć, jakie w nim szkody zrządził huragan.

Gedeon, Penkroff i Harbert poszli obejrzeć pułapki, które urządzili przed spadnięciem śniegu. Śnieg przysypał je tak grubo, że trudno było trafić do nich, i musieli bardzo ostrożnie postępować, aby, jak to mówią, nie wpaść we własne dołki. Nareszcie udało im się odszukać je: były nienaruszone, choć dokoła liczne znać było ślady. Wnosząc z tych śladów, Harbert rzekł, że muszą znajdować się na wyspie dzikie, drapieżne zwierzęta, co potwierdzało dawniejsze przypuszczenie inżyniera. Zapewne zwierzęta te przebywały zwykle w gęstych lasach Far-Westu i tylko zniewolone głodem zapuszczały się aż na płaszczyznę Pięknego widoku a może też zwąchaly niespodziewanych gości z Granitowego palacu.

— No! ale jakież to mogą być zwierzęta? — zapytał Penkroff.

— Zdaje się, że jaguary — odpowiedział Harbert.

— Ja sądziłem, że jaguary żyją tylko w krajach gorących.

— Na nowych lądach spotkać je można od Meksyku aż do pampasów w Buenos Aires — odrzekł Harbert. — Że wyspa Lincolna położona jest prawie na tej samej szerokości co La Plata, więc i tu mogą przebywać jaguary.

— No! to trzeba być ostrożnym, aby nam się nie dały we znaki pazurami i zębami — odrzekł Penkroff.

Koloniści zrobili także wycieczkę do Kominów i szczerze winszowali sobie, że nie byli tam obecni podczas owej burzy, gdyż morze zostawiło tu zgubne ślady swego przejścia. Pędzone wichrem fale morskie wtargnęły z wielką siłą i prawie do połowy zasypały piaskiem i zapchały trawą morską wszystkie korytarze.

Od pewnego czasu deszcze i śniegi padały naprzemian, a około 23 sierpnia wiatr zmienił się nagle na południowo-zachodni, i wielkie nastały zimna. Koloniści nie mogli opuszczać Granitowego pałacu, a nadto musieli pozatykać szczelnie wszelkie otwory, z wyjątkiem niezbędnych dla odświeżania powietrza, co zniewalało ich do długiego palenia świec, których teraz wychodziło im bardzo wiele. Dla oszczędzenia ich, długie godziny przesiadywali przed kominem, poprzestając na świetle, jakie rzucał wielki, nieustannie płonący na nim ogień.

Aby nie marnować czasu podczas tego przymusowego zamknięcia, Cyrus wymyślił zatrudnienie, nie wymagające wychodzenia z domu.

Wiemy już, że nie mieli cukru i zastępowali go sokiem z drzewa klonowego, otrzymywanym przez głębokie nacinanie. Płyn ten zlewali w naczynia i następnie używali do napojów i do kuchni. Starzejąc się, sok klonowy bieleje i ścina się w syrop.

Było to wiele, lecz jeszcze niedość, i dlatego pewnego poranka Cyrus oznajmił towarzyszom, że teraz zajmą się rafinerją cukru.

— Słyszałem, że ta robota wymaga wielkiego ognia — rzekł Penkroff.

— Tak jest.

— No! to i dobrze, będzie nam ciepło — odrzekł marynarz.

Rafinerja, o jakiej myślał inżynier, nie wymagała ani wielkich warsztatów, ani rozlicznych narzędzi i znacznej liczby robotników, jak w zwykłych cukrowniach. Sok klonowy można skrystalizować łatwym bardzo sposobem.

Wlewa się go do wielkich glinianych naczyń i stawia na mocnym ogniu; niebawem zaczyna parować i piana występuje na powierzchnię. Dla przyśpieszenia parowania i niedopuszczania przypalenia, Nab mieszał płyn od czasu do czasu drewnianą łopatką. Po kilkugodzinnem wrzeniu na dobrym ogniu, na który pracownicy bynajmniej się

nie skażyli, sok zamienił się w bardzo gęsty syrop, który zlali w przygotowane na ten cel formy. Nazajutrz zastygły syrop zamienił się w cukier, wprawdzie niedość biały, lecz twardy i smaczny.

Zimna trwały do połowy września, wychodzić było niepodobna. Niewola ta przykrzyła się bardzo kolonistom. Nie mieli bibljoteki, lecz inżynier stał się dla nich prawdziwą encyklopedją, zawsze zadowalającą wszelkie wymagania i potrzeby. I tak czas upływał, oswajali się ze swojem położeniem i jakoś nie lękali się przyszłości.

Najwięcej jednak niecierpliwił się biedny Top, któremu jakoś duszno i ciasno było w Granitowym pałacu: biegał z pokoju do pokoju i często, bardzo często zatrzymywał się przy owej studni, mającej komunikację z morzem. Cyrus zauważył, iż ilekroć Top zbliżał się do tego miejsca, skowyczał i wył jakoś dziwnie, obiegając dokoła klapę drewnianą, zakrywającą otwór studni. Niekiedy próbował koniecznie wsunąć łapę pod klapę, jakby pragnął ją podnieść i ujadał gwałtownie w sposób, zdradzający zarazem gniew i niepokój.

Inżynier baczną zwracał uwagę na te manewry wiernego psa. Co mogło być w tej otchłani, co tak niepokoiło zmyślne zwierzę... Niema wątpliwości, że dochodzi do morza. A może ciasnemi przejściami łączy się z innemi pieczarami? Może jaki potwór morski przebywa w niej niekiedy. To postępowanie Topa nad wszelki wyraz zaciekawiało i intrygowało jego pana; rozumiał, że tu jest coś, czego rozwiązać nie może. Jednak nie chcąc niepokoić towarzyszów i teraz, jednemu tylko Gedeonowi opowiedział swoje zamysły.

Przez pewien czas jeszcze śniegi, grady i deszcze padały naprzemian; często zrywał się ogromny wicher, aż nareszcie zima minęła, lody i śniegi topniały, morskie wybrzeże, równiny, urwiste brzegi Mercy i otaczające lasy stały się dostępnemi.

W drugiej połowie września znów rozpoczęło się polowanie. Penkroff nieustannie domagał się broni palnej, wmawiając w inżyniera, że mu przyrzekł ją wyrabiać. Ale Cyrus, wiedząc, że niepodobna tego dokazać bez odpowiednich narzędzi, przekładał marynarzowi, że Harbert i Gedeon Spilett tak doskonale strzelają z łuków i tyle najrozmaitszej przynoszą zwierzyny, iż broń prawie jest niepotrzebna. Penkroff nie dał się przekonać i zaprzysiągł się, iż nie da spokoju panu inżynierowi, dopóki mu nie dostarczy broni.

Jednakże obecnie przedewszystkiem trzeba było myśleć o zaopatrzeniu się w odzież; gdyż ta, którą posiadali, nie dotrwa do zimy. Potrzebowali zatem zaopatrzyć się w wełnę i skóry zwierzęce; a że muflonów wiele bardzo było na wyspie, zamierzali przyswoić je i hodować na potrzeby kolonji.

Oczekiwali zatem niecierpliwie nadejścia ciepłej pory, gdy wtem zdarzył się wypadek, który zwiększył jeszcze gorącą ich żądzę poznania całej wyspy.

Było to dnia 24 października. Penkroff wybrał się do pułapek i w jednej znalazł trzy sztuki: samicę pekari i dwoje małych. Marynarz wrócił niezmiernie uradowany.

— Oho! panie Cyrusie — wołał — wyborną mieć będziemy ucztę; uraczymy się doskonałym przysmakiem.

— A i owszem, ale cóż to będzie za przysmak?

— Prosię! — odrzekł triumfujący marynarz.

— Ba!... prosię! Słysząc twoje pochwały — rzekł reporter — myślałem, że co najmniej poczęstujesz mnie kuropatwą z truflami.

— Jesteś tak wybrednym smakoszem, że ci już nawet prosię nie smakuje? — odrzekł nieco urażony. — Eh! panie dziennikarzu, jeżeliby ci kto był podał kawałek takiego prosięcia przed siedmiu miesiącami, gdy dostaliśmy się na tę wyspę, byłbyś zajadał ze smakiem i oblizywał paluszki.

— Masz słuszność, kochany Penkroffie. Ale cóż chcesz — czas płaci, czas traci.

O piątej podano do stołu. Potrawa z pekari bardzo wszystkim smakowała. Penkroff szczególniej odjeść się nie mógł. Nagle zawołał, wyjmując coś z ust:

— Patrzcie, ziarnko śrutu. Zwierzyna już przed dostaniem się w nasze ręce była postrzelona!

ROZDZIAŁ XXIII.

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa łodzi. — Łowy. — Z wierzchołka drzewa. — Nic, coby świadczyło o obecności człowieka. — Żółw przewrócony. — Zniknięcie żółwia. — Wyjaśnienie Cyrusa.

Upłynęło siedem miesięcy od dnia, w którym żeglarze napowietrzni spadli na wyspę Lincolna. Przez cały ten czas, pomimo usilnych poszukiwań, nie znaleźli na niej ani jednego człowieka, nie dostrzegli w powietrzu dymu, zdradzającego jego obecność, nie dopatrzyli nigdzie śladu pracy rąk ludzkich, dowodzącej, że nawet niegdyś przebywały podobne im istoty — musieli więc wnosić, że wyspa jest i zawsze była bezludna. Jedno ziarnko śrutu obaliło wszelkie te wnioski i przypuszczenia. Śrut ten mógł wypaść tylko z broni palnej, a jedynie człowiek mógł posługiwać się tą bronią!

Gdy Penkroff położył na stole owo ziarnko śrutu, towarzysze jego zwrócili na nie zdumione spojrzenia i wszystkie następstwa tego tak błahego napozór wypadku stanęły im odrazu w myśli.

Cyrus Smith odezwał się pierwszy:

— Czy jesteś pewny — rzekł do Penkroffa — że pekari, zraniony tym śrutem, nie miał więcej nad trzy miesiące?

— Zaledwie trzy miesiące, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. — Ssał właśnie, gdy go znalazłem.

— W takim razie nie można powątpiewać, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś polował na wyspie Lincolna — mówił dalej inżynier.

— I że ziarnko śrutu zraniło lekko to zwierzątko — dodał Gedeon Spilett.

— Bez wątpienia — rzekł Cyrus. — Z tego zaś następujące trzeba wyprowadzić wnioski: albo wyspa była już zamieszkana przed naszem przybyciem, albo też ludzie wylądowali na nią w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy przybyli tu dobrowolnie, czy zagnała ich burza, czy są jeszcze, czy odpłynęli? — tego domyśleć się nie można. A są to kwestje zbyt blisko nas obchodzące, byśmy mogli dłużej pozostać w niepewności.

— Nie! — przerwał Penkroff, wstając od stołu. — Pewny jestem, że oprócz nas niema tu nikogo więcej!

— Musimy zatem przypuścić — odezwał się Cyrus — że w ciągu ostatnich trzech miesięcy ktoś strzelał na wyspie. Sądzę jednak, że ten ktoś albo niedawno wylądował, albo chwilowo tylko przebywał, bo gdyby ludzie znajdowali się na niej w czasie naszej wycieczki na górę Franklina, to my ich lub oni nas musieliby zobaczyć. W każdym razie winniśmy jak najśpieszniej dowiedzieć się prawdy.

— I zabezpieczyć się o ile możności — dodał reporter.

— Oczywiście — odpowiedział Cyrus — bo, niestety, można się obawiać, że byli to korsarze malajscy.

— Panie Cyrusie — odezwał się Penkroff — czy nie wypadałoby przedewszystkiem zbudować czółna, abyśmy w razie potrzeby mogli puścić się rzeką, lub opłynąć wybrzeża. Lepiej zawsze być na wszystko przygotowanym.

— Bardzo to dobra myśl, lecz my nie możemy czekać, a na zbudowanie łodzi trzebaby poświęcić przynajmniej cztery tygodnie.

— Tak, na zbudowanie dużej i mocnej łodzi, w którejby można puścić się na morze, ale takiej teraz nie potrzebujemy. Ja w przeciągu pięciu dni podejmuję się zbudować łódkę, w której bezpiecznie będziemy mogli pływać po naszej rzece i okrążać brzegi wyspy.

— W ciągu pięciu dni chcesz zbudować łódź? — zawołał Nab.

— Tak, Nabie, ale łódź indyjską.

— Z drzewa? — zapytał z niedowierzaniem murzyn.

— Z drzewa — odpowiedział marynarz — czyli raczej z kory, jak to czynią Indjanie. Zaręczam, że za pięć dni nasza łódź będzie gotowa.

— A więc dobrze, za pięć dni dopiero rozpoczniemy nasze poszukiwania. Tymczasem zaś zalecam wam największą ostrożność i proszę, abyście nie oddalali się zbytnio od Granitowego pałacu.

Pewność, że oprócz nich znajdują się na wyspie inni mieszkańcy, zaniepokoiła żywo naszych kolonistów, a wieczorem Cyrus i Gedeon długo z sobą o tem rozmawiali. Według nich ten wypadek miał pewną styczność z cudownem, a dotąd niezrozumiałem ocaleniem inżyniera, i wielu niepojętemi dla nich wypadkami. Wkońcu Cyrus Smith rzekł do przyjaciela:

— Czy chcesz, kochany Gedeonie, abym ci powiedział, co o tem myślę?

— Ma się rozumieć.

— A więc pewien jestem, że choć najstaranniej przeszukamy całą wyspę, nic nie znajdziemy na niej!

Penkroff zaraz nazajutrz zabrał się do roboty. Nie chodziło tu o zbudowanie prawdziwej łodzi, lecz o łódkę taką, jakiej używają dzicy, a dostateczną do pływania po Mercy, szczególniej wpobliżu źródeł, gdzie woda nie była zbyt głęboka. Marynarz miał ją zbudować z wielkich kawałów kory, tak szczelnie z sobą pozbijanych gwoździami, aby woda nie mogła dostać się do wewnątrz.

W ciągu myśliwskich wycieczek Harbert rozmawiał często z Gedeonem o znalezionem ziarnku śrutu.

— Czy się to nie zdaje rzeczą dziwną i prawie niepodobną, aby w razie, gdyby ktoś wylądował lub był jak my wyrzucony na wyspę, nie pokazał się dotąd wpobliżu Granitowego pałacu.

— Byłoby to rzeczywiście bardzo dziwne — odpowiedział reporter — jeżeliby ten ktoś dotąd znajdował się na naszej wyspie, lecz bardzo naturalne, jeżeli odpłynął zpowrotem.

— Więc sądzicie, że obecnie niema już nikogo?

— Tak się przynajmniej zdaje, bo gdyby ludzie przebywali tu dłużej, to jakiś ślad musiałby zdradzić ich obecność.

— Lecz jeżeli mogli oddalić się, to nie byli rozbitkami.

— Bez wątpienia. Być może, iż burza zagnała tu statek, nie uszkodziwszy go wcale; więc gdy przeszła, puścili się znów na morze.

— O ile mi się zdaje — rzekł Harbert — Smith więcej obawia się, niż pragnie spotkać ludzi na naszej wyspie.

— Tak, gdyż prawdopodobnie tylko malajczycy przebywają te morza, a z tymi panami spotkanie bywa niebezpieczne.

W ciągu tej rozmowy myśliwi weszli do części lasu, sięgającej brzegów Mercy, a obfitującej w najpiękniejsze drzewa.

— Spojrzyj na te drzewa — rzekł Harbert. — Gdybym wszedł na wierzchołek którego z nich, mógłbym dokoła daleko sięgnąć wzrokiem.

— Wyborna myśl — odpowiedział reporter. — Czy jednak zdołasz się dostać aż na wierzchołek tego olbrzyma?

— Spróbuję — odpowiedział Harbert.



Po raz pierwszy koloniści dostali się na prawy brzeg Mercy... (str. 112).

Zwinny i zręczny chłopiec z łatwością dostał się na pierwsze gałęzie kaurysa, a w kilka minut później był już na wierzchołku drzewa, ponad morzem zieleni, poruszanem zlekka powiewem wiatru.

Harbert ze swego obserwatorjum mógł widzieć właśnie nieznaną dotąd część wyspy, w której przypuszczalnie chronili się lub jeszcze chronią nieznani sąsiedzi. Spoglądał wokoło z natężoną uwagą: na morzu ani wdali, ani bliżej wyspy nie ukazywał się nigdzie

żagiel. Ponieważ jednak las dochodził do samego brzegu, statek, zwłaszcza bez masztów, mógłby stać blisko lądu i nie być dostrzeżonym przez Harberta.

Wśród lasów nic także nie było można dojrzeć. Tworzyły nieprzejrzaną gęstwinę, ciągnącą się przez kilka mil kwadratowych, nieprzerwaną nigdzie łączką ani polanką.

Harbert, nie mogąc dostrzec nigdzie śladów obozowiska, baczył, czy nie dopatrzy gdzie kłębów dymu, zdradzającego obecność człowieka. Przez chwilę zdawało mu się, że na zachodniej stronie widzi lekki dym, lecz przyjrzawszy się lepiej, poznał, że się omylił.

Bez wyniku więc powrócił wraz z towarzyszem do Granitowego pałacu. Cyrus potrząsnął tylko głową w milczeniu, gdy się dowiedział o wyniku jego spostrzeżeń.

Nazajutrz 28 października zaszło nowe zdarzenie, trudne do wytłumaczenia. Nab i Harbert, idąc brzegiem morza, schwytali ogromnego żółwia. Harbert spostrzegł go, gdy przesuwał się między skałami, dążąc do morza.

— Nabie! chodź prędko! — zawołał.

— Pyszne zwierzę! — rzekł Nab, nadbiegając. — Ale jak go tu schwytać?

— Bardzo łatwo — odpowiedział Harbert. — Przewrócimy go nawznak, i nie będzie mógł uciec. Weź swój oszczep i podsuń pod niego.

Żółw, czując niebezpieczeństwo, skrył się w skorupę tak, że nie widać mu było nawet nóg i głowy, i leżał nieruchomy jak skała. Nab i Harbert podsunęli równocześnie oszczepy pod piersi zwierzęcia i wspólnemi siłami, choć z trudem, przewrócili je nawznak. Żółw, długi na trzy stopy, ważył najmniej czterysta funtów.

— Wybornie! — zawołał Nab. — Jak to ucieszy Penkroffa.

Rzeczywiście Penkroff mógłby być zadowolony, gdyż mięso tego gatunku żółwiów, żywiących się morskiemi roślinami, jest bardzo smaczne.

— Cóż teraz zrobimy z naszą zdobyczą? — rzekł Nab. — Nie zdołamy zaciągnąć jej sami do Granitowego pałacu.

— Ponieważ nie może odwrócić się i uciec, pozostawimy tutaj — odpowiedział Harbert — a sami pójdziemy po wóz.

Harbert przez ostrożność, która Nabowi wydała się zbyteczną, podsunął z dwóch stron pod tarczę żółwia duże kamienie tak, że się na bok nie mógł przechylić. Poczem obadwaj myśliwi wrócili do Granitowego pałacu. Harbert, chcąc zrobić niespodziankę Penkroffowi, nie wspomniał mu nic o żółwiu, lecz obydwaj z Nabem starali się sprowadzić go jak najprędzej. We dwie godziny później byli już z wozem na miejscu, gdzie swą zdobycz zostawili, lecz żółw zginął bez śladu.

Nab i Harbert spojrzeli najprzód na siebie, następnie wokoło siebie. Wszakże tu pozostawili żółwia. Harbert znalazł nawet kamienie, któremi go otoczył, był więc pewny, że się nie myli.

— A! więc te zwierzęta mogą się odwracać? — rzekł Nab.

— Tak się zdaje — odpowiedział Harbert, sam nie wiedząc, co ma o tem myśleć, i przyglądając się rozrzuconym kamieniom.

— Penkroff będzie z tego bardzo niezadowolony.

— A Smithowi — pomyślał Harbert — niełatwo będzie wytłumaczyć to zniknięcie.

Zabrali więc pusty wóz i wrócili do Granitowego pałacu.

Harbert udał się zaraz do warsztatu, aby opowiedzieć całe zdarzenie inżynierowi, pracującemu wspólnie z Penkroffem.

— O! niezdary! — wykrzyknął marynarz. — Wypuścili z rąk najmniej pięćdziesiąt wybornych rosołów.

— Wierzaj mi, Penkroffie — odpowiedział Nab — że to zwierzę nie z naszej winy uciekło: przed odejściem przewróciliśmy je.

— Widać, że niedosyć było przewrócone — odpowiedział marynarz.

— Mylisz się, Penkroffie, przewróciliśmy je nawznak, a oprócz tego podparłem z obydwóch stron kamieniami — bronił się Harbert.

— No! to już cud widoczny! — zawołał Penkroff.

— Sądziłem, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że żółwie, zwłaszcza wielkie, nie mogą powstać na nogi, gdy zostaną nawznak przewrócone!

— I nie myliłeś się, mój chłopcze — odpowiedział inżynier.

— A więc, jakimże sposobem ten mógł powędrować sobie?

— Jak daleko od morza zostawiliście żółwia? — zapytał inżynier po krótkim namyśle.

— O piętnaście stóp najwięcej — odpowiedział Harbert.

— A było to w czasie przypływu morza?

— Tak, panie Cyrusie.

— W takim razie zdaje się, że to, co było niepodobne dla żółwia, leżącego na piasku, stało się możliwe w wodzie. Musiał się odwrócić na nogi, gdy go woda uniosła, i popłynął spokojnie.

Nie śmielibyśmy zaręczyć, czy Cyrus Smith, dając to prawdopodobne tłumaczenie, był sam przekonany o jego prawdziwości.

ROZDZIAŁ XXIV.

Pierwsza próba łodzi. — Skrzynia na wybrzeżu. — Wyciąganie z piasku. — Dostawienie do pałacu Granitowego. — Zawartość skrzyni: narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, sprzęty. — Czego brak Penkroffowi — Pismo święte. — Wiersz z Pisma.

Dnia 29 października czółno z kory już zupełnie było gotowe. Penkroff dotrzymał słowa i zbudował je w ciągu pięciu dni. Na łodzi, długiej na dwanaście stóp, przymocowano trzy ławki: jedną ztyłu, drugą w środku, a trzecią na przodzie; zrobiono rodzaj rudla, aby łatwiej można było nadać żądany kierunek statkowi i przygotowano parę lekkich a mocnych wioseł. Spuszczenie na wodę poszło bardzo łatwo: ustawiono łódź na piasku nad morzem, które uniosło ją w czasie przypływu. Oczekujący na to Penkroff wskoczył i kierując to w tę, to w ową stronę, przekonał się, że można w niej bezpiecznie opłynąć brzegi wyspy.

— Wiwat! — krzyknął marynarz, ucieszony swem dziełem. — Można w tem bezpiecznie opłynąć całą...

— Kulę ziemską? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, całą wyspę. Włożyć trochę kamieni na balast, postawić maszt na przodzie, dodać żagiel, który pan Cyrus sporządzi nam z pewnością, a można w daleką się puścić drogę! Cóż to, panie Cyrusie, panie Gedeonie, i wy także, Harbercie i Nabie, czy nie macie ochoty wypróbować naszego statku? Trzeba się przecie przekonać, czy nas wszystkich uniesie.

Rzeczywiście, wypadało zrobić takie doświadczenie. Marynarz przybił więc do lądu i postanowiono tegoż dnia jeszcze wypróbować łódkę, płynąc wzdłuż brzegu, aż do miejsca, w którem kończyły się skały, piętrzące się od strony południowej.

Nab wsiadając, zawołał:

— Penkroffie, do twojej łódki dostaje się woda!

— Nic to nie znaczy, Nabie — odpowiedział marynarz. — Drzewo wkrótce nasiąknie i napęcznieje, za parę dni ani kropla wody nie dostanie się do wnętrza naszego czółna. Wsiadaj!

Gdy wszyscy już byli w łodce, Penkroff odbił od brzegu. Czas był prześliczny, a morze tak spokojne jak jezioro.

Płynęli o paręset sążni od brzegu, omijając gęsto rozsiane w tem miejscu skały, które przypływające właśnie morze zaczęło już zakrywać. Od ujścia rzeki skały obniżały się stopniowo, a były rozrzucone tak bezładnie, jakby ktoś rozsypał olbrzymie odłamy granitu. Całej okolicy nadawały one dziką i ponurą postać. Na dwumilowej przestrzeni nie było nawet śladu roślinności, co tem więcej uderzało, że dalej, poza nagiemi szczytami skał, kołysały się zielone wierzchołki drzew gęstego lasu. Łódka, popychana miarowemi uderzeniami wioseł, posuwała się szybko. Gedeon Spilett wyjął notat-

nik i szkicował naprędce zarys wybrzeża. Nab, Penkroff i Harbert rozmawiali z sobą, przyglądając się nieznanej im okolicy. Cyrus Smith milczał i patrzył, a spojrzenia jego z jakąś dziwną podejrzliwością błądziły pomiędzy skałami, jakby spodziewał się ujrzeć tam coś nadzwyczajnego.

Po trzech kwadransach Harbert zawołał, wskazując ręką:

— Co to leży tam, na piasku?

Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę.

— Rzeczywiście jest tam jakiś przedmiot — odezwał się reporter. — Możnaby sądzić, że to szczątki rozbitego statku, do połowy zasypane piaskiem.

— A! — zawołał Penkroff — ja wiem, co to jest!

— Cóż takiego? — zapytał Nab.

— Beczułki! a może jeszcze pełne! — wykrzyknął marynarz.

— Do brzegu, Penkroffie! — rzekł Cyrus.

Po kilku uderzeniach wiosła łódź zatrzymała się w małej przystani. Wyskoczyli na ląd.

Penkroff miał słuszność. Były to dwie beczułki, do połowy zasypane piaskiem, lecz silnie przymocowane do dużej skrzyni, którą utrzymywały na powierzchni wody, dopóki nie osiadła na piasku.

— Więc jakiś statek musiał się rozbić w okolicach tej wyspy! — zawołał Harbert.

— Tak się zdaje — odpowiedział Gedeon Spilett.

— Ale co może być w tej skrzyni? — odezwał się z żywością Penkroff. — Zamknięta, a nie mamy z sobą nic takiego, czemby można rozłupać wieko! A! są tu kamienie.

Marynarz podniósł już wielki kamień i zamierzał uderzyć nim w skrzynię, gdy inżynier go powstrzymał:

— Czy nie mógłbyś, Penkroffie, powstrzymać swej ciekawości na jedną godzinę?

— Ależ, panie Cyrusie, tam mogą być najpotrzebniejsze nam rzeczy!

— Wkrótce przekonamy się o tem — odpowiedział inżynier. — Szkoda byłoby niszczyć skrzynię, która nam się może przydać. Przewieziemy ją do Granitowego pałacu, gdzie otworzymy bez uszkodzenia. Jeżeli dopłynęła tutaj, to dopłynie także do ujścia rzeki.

Inżynier dobrze radził. Prawdopodobnie nie zmieściłyby się w czółnie rzeczy, zamknięte w skrzyni, która musiała być ciężka, skoro dla zmniejszenia jej ciężaru przymocowano dwie próżne beczułki.

Skąd się tam wzięła ta skrzynia? Trudno było odpowiedzieć na tak ważne pytanie. Koloniści przebiegli znaczny kawał wybrzeża i nie znaleźli nigdzie śladów rozbicia.

Mimo to trudno było wątpić o rozbiciu. Kto wie nawet, czy owe ziarnko śrutu nie miało z niem styczności. Może jacyś ludzie dostali się na ląd z innej strony wyspy, może są tam jeszcze? W każdym razie koloniści byli pewni, że to nie mogą być korsarze malajscy, bo skrzynia pochodziła widocznie z Europy lub Ameryki.

Powrócili wszyscy do niej, aby przyjrzeć się lepiej. Miała pięć stóp długości, a trzy szerokości! była starannie zamknięta i pokryta grubą skórą, przybitą mosiężnemi gwoździami: dwie próżne beczułki, szczelnie zaszpuntowane, przywiązane były do jej boków mocnemi powrozami. Nie znać na niej było żadnego uszkodzenia, co możnaby przypisać temu, że morze wyrzuciło ją na piasek, a nie między skały. Nadto, przyjrzawszy się jej bacznie, trudno było nie poznać, że niedługo przebywała w morzu i niedawno osiadła na piasku.

Morze tymczasem przypływało ciągle i woda dochodziła już do skrzyni. Nab i Penkroff odrzucili obsypujący ją piasek i wkrótce łódka, ciągnąc za sobą skrzynię, oddaliła się od wąskiego pasa ziemi, który nazwano: cyplem Skrzyni. W półtorej godziny później koloniści przybili do brzegu wprost Granitowego pałacu i wyciągnęli na piasek skrzynię i łódkę.

Nab pobiegł po narzędzia. Penkroff drżącemi od wzruszenia rękami odwiązywał beczułki. Odbito wreszcie zamek i podniesiono wieko.

Wewnątrz skrzyni znajdowało się wielkie pudło z blachy cynkowej starannie zalutowane, aby na wszelki przypadek zawarte tam przedmioty zabezpieczyć od wilgoci.

— A! — zawołał Nab — to muszą być konserwy.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedział reporter.

— O, żebym ja tam znalazł... — rzekł Penkroff.

— Co takiego?

— Nic!... nic...

Przecięto wzdłuż na środku blachę i odwinięto ją na boki, a następnie zaczęto wyjmować i układać na piasku rozmaite przedmioty. Każdy z nich wywoływał radosne okrzyki Penkroffa, Harbert klaskał co chwila w ręce, a wierny swej murzyńskiej naturze Nab tańczył dokoła. Znajdowały się tam książki, które Harbert byłby chętnie przycisnął do serca, i naczynia kuchenne, które Nab miał ochotę ucałować.

Zresztą wszyscy koloniści mogli być zadowoleni z przedmiotów, znalezionych w skrzyni, które wyliczamy podług spisu, sporządzonego przez Gedeona Spiletta:

Narzędzia: 3 noże o kilku ostrzach, 2 siekiery dla drwali, 2 siekiery ciesielskie, 3 heble, 2 toporki, 1 dłóto, 6 par nożyc, 2 pilniki,

3 młotki, 3 świderki, 3 świdry, 10 worków gwoździ i śrubek, 3 piły różnej wielkości, 2 pudełka igieł i drobiazgów.

Broń: 2 strzelby skałkowe, 2 strzelby pistonowe, 2 karabiny, 5 nożów myśliwskich, 4 szable, 2 baryłki prochu, ważące po 25 funtów, 12 pudełek pistonów.

Przyrządy: 1 sektans, 1 lorneta, 1 kompas, 1 busola kieszonkowa, 1 termometr Fahrenheita, 1 barometr, 1 pudło z całym przyrządem fotograficznym.

Odzienie: 2 tuziny koszul z tkaniny roślinnej, które na pierwszy rzut oka zdawały się wełniane, 3 tuziny pończoch z tejże samej tkaniny.

Sprzęty kuchenne: 3 dzbanki żelazne, 6 rondli miedzianych, 3 miski żelazne, 10 nakryć z aluminjum, 2 kociołki, 1 mały piecyk przenośny, 6 noży stołowych.

Książki: 1 Biblja, zawierająca „Stary i Nowy Testament", 1 atlas, 1 słownik różnych narzeczy polinezyjskich, 1 dzieło o naukach przyrodniczych w sześciu tomach, 3 ryzy papieru, 2 księgi rejestrowe, czyste.

— Trzeba przyznać — rzekł reporter, gdy już spisał inwentarz — że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym! Nie zapomniał o niczem. Możnaby przypuszczać, że spodziewał się rozbicia okrętu i zawczasu przygotował się!

— Tak, pamiętał o wszystkiem — rzekł do siebie Cyrus Smith.

— Można być pewnym — dodał Harbert — że kapitan statku, wiozącego tę skrzynię i jej właściciela, nie był korsarzem malajskim.

— Chyba — rzekł Penkroff — że ten właściciel został więźniem korsarzy.

— To nieprawdopodobne przypuszczenie — powiedział reporter. — Prędzej możnaby wnosić, że burza zagnała w te strony okręt europejski lub amerykański, a podróżni, chcąc uratować przynajmniej najpotrzebniejsze rzeczy, zapakowali je w tę skrzynię i puścili na morze.

— Czy i pan podzielasz to zdanie, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Sądzę, że tak być mogło — odpowiedział inżynier. — Może, przewidując rozbicie statku, złożono w tej skrzyni najpotrzebniejsze przedmioty, aby później znaleźć je gdzie na wybrzeżu...

— Nawet i przyrząd fotograficzny? — zapytał z niedowierzaniem marynarz.

— Co do tego — odpowiedział Cyrus — przyznaję, że nie rozumiem, poco go włożono, bo tak dla nas, jak i dla każdego w naszem położeniu, potrzebniejsza byłaby odzież, lub większy zapas prochu!

— Trzeba zobaczyć — odezwał się Gedeon — czy na tych

przedmiotach nie znajdziemy jakiej cechy lub znaku, któryby nam dał poznać ich pochodzenie.

Obejrzano wszystko starannie, szczególniej też broń, narzędzia i książki, ale wbrew powszechnie przyjętym zwyczajom nie było nigdzie cechy fabrykanta, ani nazwiska wydawcy. Co więcej, wszystko było zupełnie nowe, a zatem nie pakowane pośpiesznie, lecz dobierane starannie i z rozmysłem.

Oba dzieła drukowane były po angielsku, jakoteż i piękna Biblja, której karty często, jak się zdawało, były przewracane. Nazwy na przepysznym atlasie, zawierającym mapy całego świata, były francuskie, lecz nigdzie nie znaleziono ani miejsca wydania, ani nazwiska wydawcy, a zatem nic nie pozwalało domyślać się, jakiej narodowości okręt tak niedawno znajdował się wpobliżu wyspy.

Bądź co bądź, znaleziona skrzynia stanowiła prawdziwy skarb dla kolonistów wyspy Lincolna. Dotąd ciężką pracą wszystko zdobywać musieli, a teraz zdawało się, że Opatrzność zesłała im naraz tyle użytecznych rzeczy, aby ich wynagrodzić za trudy i wytrwałość. Dlatego też, wiedzeni uczuciem wdzięczności, wznieśli wspólne dziękczynne modły do nieba.

Trzeba jednak przyznać, że jeden z nich nie był jeszcze zupełnie zadowolony. Widocznie w skrzyni nie znaleziono tego, czego Penkroff bardzo sobie życzył, bo w miarę jak z niej wyjmowano rzeczy, coraz mniej radosne wydawał okrzyki, a gdy już nic nie pozostało, rzekł półgłosem:

— Wszystko to pięknie, ale w całem pudle nic dla mnie niema.

— A czegóż jeszcze chcesz, Penkroffie? — zapytał Nab.

— Choćby pół funta tytoniu, a byłbym zupełnie szczęśliwy!

Znalezienie tak wymownego śladu niedawnej obecności ludzi na wyspie nakazywało jak najśpieszniej ją zwiedzić. Postanowiono więc zaraz nazajutrz puścić się w drogę. Jeżeli ktoś zmuszony był schronić się na to wybrzeże, to może być pozbawiony najpierwszych potrzeb życia, i trzeba mu śpieszyć na ratunek.

Znalezione w skrzyni przedmioty przeniesiono do Granitowego pałacu i umieszczono w głównej sali.

Ponieważ była to właśnie niedziela, Harbert, zanim udano się na spoczynek, prosił inżyniera, aby przeczytał im jaki ustęp z Ewangelji.

— Najchętniej — odpowiedział Cyrus i, wziąwszy Pismo Święte, już zamierzał otworzyć księgę, gdy zatrzymał go Penkroff, mówiąc:

— Panie Cyrusie, wyznaję, że jestem trochę przesądny. Otwórz pan na traf i przeczytaj nam ten wiersz, na który najpierwej wzrok twój padnie. Zobaczymy, czy się da zastosować do naszego położenia i co nam powie.

Cyrus otworzył księgę w miejscu, gdzie była włożona zakładka, a oczy jego zatrzymały się na ustępie, przy którym nakreślony był krzyżyk czerwonym ołówkiem. Był to wiersz ósmy, w VII-ym rozdziale Ewangelji świętego Mateusza:

Przeczytał głośno: *Proście a danem wam będzie, szukajcie a znajdziecie.*

ROZDZIAŁ XXV.

Odjazd. — Wiązy i obrotnice. — Rozliczne rośliny. — Widok lasu. — Eukaliptusy olbrzymy. — Dlaczego noszą nazwę „drzewa febry". — Stada małp. — Spadek wodny.

Nazajutrz, 30 października, wszystko już było gotowe do wycieczki, którą ostatnie wypadki przyśpieszyć nakazywały. Koloniści znajdowali się teraz w takiem położeniu, iż mogli nabrać przekonania, że nietylko nie potrzebują od nikogo pomocy, lecz jeszcze innym udzielić jej mogą.

Dla zmniejszenia sobie trudu i łatwiejszego przewiezienia broni i żywności postanowiono popłynąć rzeką o ile będzie można najdalej. Cyrus i to miał na względzie, że jeżeli, jak się to niewątpliwem zdawało, jakiś statek rozbił się przy brzegach wyspy, to prócz tego, co zabierają z sobą, znajdzie się wiele szczątków, które wypadnie sprowadzić do Granitowego pałacu.

Nab włożył do łodzi żywności na trzy dni, gdyż wyprawa nie miała trwać dłużej, a w razie potrzeby możnaby powiększyć zapasy świeżo upolowaną zwierzyną. Nie zapomniał także o kilku dzbankach piwa i o przenośnym piecyku.

Koloniści zabrali także dwie siekiery, aby móc w razie potrzeby torować sobie drogę w lesie, a prócz tego lunetę i busolę kieszonkową.

Z broni wzięto dwie strzelby skałkowe, jeden karabin i pięć kordelasów w mocnych, skórzanych pochwach. Tak uzbrojeni, mogli bez wielkiego niebezpieczeństwa zapuścić się w gęste i nieznane im lasy.

O szóstej rano spuszczono na morze łódź, do której wsiedli wszyscy, nie wyjmując Topa.

Wybrzeża były prześliczne. Podróżni musieli podziwiać twórczość przyrody, która prostemi środkami, jak drzewa i woda, umie tworzyć tak piękne krajobrazy. W miarę jak płynęli, ukazywały się coraz to nowe gatunki drzew. Na prawym brzegu wznosiły się pyszne gatunki z rodziny *Ulmaceae*, tak wysoko cenione przez budowniczych wiązy, posiadające tę własność, że bardzo długo mogą

bez uszkodzenia pozostawać w wodzie. Dalej ukazywały się inne, należące do tej samej rodziny, a między niemi obrostnica, znana także w południowej Francji, gdzie ją nazywają pospolicie „drzewem z Perpignan”, które daje materjał twardy, ścisły, ciężki, czarniawy i łatwo dający się politurować.

Od czasu do czasu przybijano do brzegu w miejscach dogodnych do wylądowania, a wówczas Spilett, Penkroff i Harbert wysiadali ze strzelbami w ręku w nadziei, że może znajdą jakąś użyteczną roślinę. Młody naturalista napotkał gatunek dzikiego szpinaku, jako też wiele innych, jak naprzykład rzeżuchę, chrzan, rzepę, a nareszcie roślinkę, wysoką na jeden metr, obfitującą w ciemne, drobniutkie nasienie.

— Czy wiesz, co to za roślina? — zapytał Harbert marynarza.

— Może tytoń? — zawołał Penkroff, który widocznie znał ulubioną roślinę tylko pokrajaną i zawiniętą w papier.

— Nie, Penkroffie! to jest gorczyca.

— Ha! weź i ją! Ale, jeżeli przypadkiem znajdziesz gdzie krzaczek tytoniu...

— Bądź spokojny, znajdziemy go także kiedyś — powiedział Spilett.

— Doprawdy?! — wykrzyknął Penkroff — a więc w owym dniu już niczego nam brakować nie będzie!

Wszystkie znalezione rośliny wyjmowano z korzeniami i przenoszono do łodzi, aby je zasadzić wpobliżu Granitowego pałacu.

W czasie jednej wycieczki na brzeg udało się Gedeonowi uchwycić żywcem dwie pary ptaków z rodziny grzebiących; te ptaki z długim i cienkim dziobem, krótkiemi skrzydłami i bez ogona Harbert poznał odrazu i nazwał *kusakami,* a że były blisko spokrewnione z kurami, darowano im życie i postanowiono oswoić, aby rozmnażając się, stanowiły drób domowy.

Około godziny dziesiątej dopłynęli do drugiego zakrętu Mercy, o pięć mil mniej więcej od jej ujścia. Zatrzymano się tu na pół godziny i spożyto śniadanie w cieniu wielkich drzew.

Rzeka w tem miejscu miała jeszcze około siedemdziesięciu stóp szerokości, a pięć do sześciu głębokości; las zaś rozciągał się na niezmierzonej okiem przestrzeni, i tak w nim, jak pod drzewami, pokrywającemi brzegi Mercy, nic nie zdradzało obecności człowieka.

Ponieważ inżynier chciał jak najśpieszniej dostać się na zachodnie wybrzeże wyspy, dał hasło do puszczenia się w dalszą drogę. Ustał przypływ, więc Nab i Harbert musieli wziąć się do wioseł, a Penkroff stanął przy rudlu.

Las przerzedzał się stopniowo, a drzewa, mając więcej miejsca i powietrza, rozrastały się coraz wspanialej.

— Eukaliptusy! — zawołał Harbert.

Rzeczywiście były to olbrzymy strefy podzwrotnikowej, po-

krewne eukaliptusom Australji i Nowej Zelandji i tak tu jak i tam rosnące pod tym samym stopniem szerokości geograficznej. Wierzchołki niektórych z nich miały dwieście stóp obwodu, a kora, z której wypływała obficie wonna żywica, była gruba na pięć cali. Trudno znaleźć coś piękniejszego nad te ogromne drzewa z rodziny mirtowych, których liście, zwrócone bokiem do słońca, przepuszczają jego promienie aż do żywiącego je gruntu.

U stóp eukaliptusów rosła bujna i świeża trawa, z pomiędzy której wylatywało mnóstwo małych ptasząt, połyskujących w słońcu jak drogie kamienie.

— To mi drzewa — zawołał Nab — ale czy tylko są równie użyteczne jak wielkie?

— Ba! — odpowiedział Penkroff — zapewne można to samo powiedzieć o olbrzymiego wzrostu roślinach, co i o ludziach olbrzymiego wzrostu, że zdadzą się tylko do pokazywania na jarmarkach.

— Mylisz się, Penkroffie, bo drzewo eukaliptusów jest poszukiwane na budowle, a prócz tego wyrabiają z niego kosztowne sprzęty.

— Dodam jeszcze, że należą do rodziny, zawierającej w sobie wiele drzew użytecznych, jak naprzykład: gwajawy, wydające smaczne owoce; drzewa gwoździkowe, dostarczające znanych powszechnie gwoździków; drzewa granatowe, rodzące owoc zwany granatem; *Eugenia cauliflora,* z której owoców wyrabiają niezłe wino; *Mirt ugni,* z którego otrzymują wyborny trunek alkoholiczny; *Mirt caryophyllus,* którego kora zastąpić może cynamon; mirt zwyczajny, którego owoce mogą być używane zamiast pieprzu; *Eucaliptus robusta,* dostarczający wybornej manny; *Eucaliptus Gunei,* wydający z siebie sok, który po sfermentowaniu zamienia się w piwo; nakoniec wszystkie drzewa, znane pod ogólną nazwą *drzew życia lub drzew żelaznych,* należące do rodziny mirtowych, liczącej w sobie tysiąc kilkaset gatunków.

— Wybornie, Harbercie! — rzekł Penkroff, widocznie ucieszony jego uczonością. — Ale gotówbym przysiąc, że te wszystkie użyteczne drzewa nie są takiemi olbrzymami jak te, które tu widzimy.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert.

— A więc to służy właśnie na poparcie tego, co powiedziałem, że co olbrzymie, to niewiele warte i nieużyteczne.

— Mylisz się, Penkroffie — powiedział inżynier — bo właśnie te olbrzymie eukaliptusy oczyszczają powietrze, a przez to czynią je zdrowszem. Czy wiesz, jak je nazywają w Australji i Nowej Zelandji?

— Nie, panie Cyrusie.

— Nazywają je drzewami febrycznemi.

— Czy dlatego, że sprowadzają febrę?

— Nie, lecz dlatego, że od niej chronią. Jest prawie dowie-

dzione, że obecność eukaliptusów zobojętnia szkodliwe wyziewy. Sadzono już te drzewa w pewnych niezdrowych okolicach południowej Europy i północnej Ameryki i po pewnym przeciągu czasu stan zdrowia mieszkańców polepszył się widocznie. Zimnica jest nieznana w krajach, posiadających lasy eukaliptusów; jest to fakt, nie podlegający wątpliwości i nader szczęśliwy dla nas, mieszkańców wyspy Lincolna.

— A! jakaż to błogosławiona wyspa! Niczego na niej nie brakuje... wyjąwszy...

— Bądź cierpliwym, Penkroffie, i to znajdzie się kiedyś — odpowiedział inżynier. — Teraz wsiądźmy do łodzi i płyńmy dalej, dopóki tylko rzeka będzie mogła unieść nas i łódkę.

Płynęli jeszcze parę mil pod cieniem eukaliptusów, pokrywających z obu stron rzeki okiem nieprzejrzaną przestrzeń. Wodne rośliny, a miejscami i skały zagradzały im teraz drogę i utrudniały żeglugę; nadto woda coraz była płytsza. Penkroff oznajmił, że lada chwila łódź nie będzie mogła posuwać się dalej. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Cyrus Smith, widząc, że niepodobna im będzie stanąć tego samego dnia na zachodnim brzegu wyspy, postanowił zatrzymać się na noc w miejscu, gdzie brak wody uniemożebni żeglugę.

Łódka płynęła ciągle pomiędzy ścianami lasu, który znów powoli stawał się coraz gęstszy i więcej ożywiony, gdyż dostrzegano w nim zdala gromady małp; a wkrótce kilka tych zwierząt zatrzymało się niedaleko od łódki i przyglądało się podróżnym, nie okazując najmniejszego przestrachu. Można było zastrzelić je z największą łatwością i Penkroff byłby to niewątpliwie uczynił, gdyby Cyrus nie sprzeciwił się tej niepotrzebnej rzezi, przedkładając, że sama ostrożność nie pozwala zaczepiać tak silnych i zwinnych małp, które rozgniewane mogłyby stać się niebezpieczne.

Marynarz oceniał małpy tylko pod względem gastronomicznym, a mięso ich uważane jest za wyborne.

Łódź posuwała się coraz powolniej, gdyż co chwila musiała omijać skały lub przedzierać się między wodnemi roślinami.

— Panie Cyrusie, za kilkanaście minut najdalej będziemy zmuszeni zatrzymać się — rzekł marynarz.

— A więc zatrzymamy się i urządzimy na noc obozowisko.

Wkrótce potem łódka zaczęła ocierać się o kamieniste dno rzeki, której szerokość w tem miejscu wynosiła zaledwie dwadzieścia stóp. Gałęzie drzew okrywały jej łożysko, tworząc zielone sklepienie tak gęste, że prawie nie przepuszczało promieni słonecznych. Silny szum spadającej wody zapowiadał, że o jakie kilkaset kroków dalej, w górze rzeki, musi być wodospad, który też ujrzeli między drzewami, gdy dopłynęli do ostatniego zakrętu Mercy.

W kilka minut później przywiązano łódkę do drzewa.

Ostatnie promienie słońca wciskały się pod konary drzew i zboku oświetlały wodospad, a w drobniutkich kropelkach kurzawy wodnej odbijały się wszystkie kolory tęczy. Dalej, łożysko rzeki znikało już w gęstwinie lasu. Ponieważ miejsce było śliczne, koloniści wysiedli na ląd. Rozpalono ogień pod rozłożystemi wiązami, których gałęzie w razie potrzeby mogły im służyć za schronienie. Głód już dobrze dokuczał, najpierw więc pomyśleli o wieczerzy. Ze zmierzchem dały się słyszeć głosy dzikich zwierząt, przeto przed udaniem się na spoczynek ułożyli wielkie ognisko, aby blask jego płomieni odstraszał niepożądanych gości. Nazajutrz, 31 października, podróżni o piątej rano puścili się w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wycieczka na wybrzeże. — Gromady czwororękich. — Nowy strumień. — Nadbrzeżny las. — Przylądek Gadu. — Harbert zazdrości Gedeonowi — Trzaskanie bambusów.

Koloniści, przyjrzawszy się okolicy przy świetle dziennem, nabrali przekonania, iż będą zmuszeni torować sobie drogę wśród krzaków siekierą, a może i ze strzelbą w ręku.

Przed wyruszeniem w drogę silniej jeszcze przywiązano łódkę do drzewa. Zabrali żywności na dwa dni, gdyż inżynier zalecił usilnie towarzyszom, aby żaden z nich nie strzelał, choćby spotkali najwyborniejszą zwierzynę, bo hukiem wystrzału mogliby zdradzić obecność swą w tych stronach.

Ominąwszy spadek wody, koloniści musieli już torować sobie przejście siekierą wśród gąszczu leśnego, a Cyrus, idąc naprzód z busolą w ręku, wskazywał drogę.

Napotykali często gromady małp, przyglądających się z widocznem zdziwieniem istotom, dotąd zupełnie nieznanym. Gedeon pytał żartobliwie, czy te silne i zręczne zwierzęta nie uważają tak jego, jak towarzyszów za wyrodzonych i zniedołężniałych współbraci! Prawdę mówiąc, koloniści, przedzierający się z trudnością między zaroślami, mogli pozazdrościć siły i zwinności zwierzętom, tak lekko i łatwo przeskakującym z drzewa na drzewo. Gromady tych małp były liczne, lecz nie okazywały nieprzyjaznego usposobienia.

Raz po raz przesuwały się także dziki, aguty, kangury i parę kaoli, do których Penkroff byłby chętnie strzelił.

— Polowanie stracone — mówił z westchnieniem — więc skaczcie, biegajcie spokojnie. Dopiero wracając, rozmówię się z wami.

Około dziesiątej podróżni spotkali nową przeszkodę, przecinającą im drogę. Był to nieznany im dotąd strumień do czterdziestu

stóp szeroki, którego wody toczyły się szybko i z głośnym szumem po spadzistem i zasłanem skałami łożysku. Woda była głęboka i czysta, lecz spuszczona na nią łódka rozstrzaskałaby się wkrótce o skały.

— Droga przecięta! — zawołał Nab. — Musimy szukać innej.

— Poco? Wszakże możemy ją wpław przebyć.

— I to niepotrzebne — rzekł inżynier. — Strumień ten widocznie dąży do morza, idźmy więc ciągle jego brzegiem, a pewny jestem, że wkrótce wyprowadzi nas na wybrzeże. Ruszajmy!

— Zatrzymajmy się jeszcze trochę! — zawołał Penkroff.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Polowanie wzbronione, lecz sądzę, że rybołóstwu oddawać się wolno — rzekł marynarz — zwłaszcza gdy idzie o smaczne śniadanie.

Rzekłszy to, położył się nad brzegiem, zanurzył ręce w wodzie i zaczął śpiesznie wyrzucać na trawę wielkie raki, których mnóstwo ukrywało się między skałami.

— Wybornie! — zawołał Nab i pośpieszył z pomocą przyjacielowi.

Nim upłynęło pięć minut, napełniono cały koszyk najpiękniejszemi rakami.

Droga nad brzegiem nowoodkrytego strumienia była mniej utrudzająca, i koloniści mogli przyśpieszyć kroku. Nic dotąd nie zwiastowało obecności człowieka, tylko gdzie niegdzie spotykali ślady wielkich zwierząt, przychodzących tu zapewne gasić pragnienie.

Cyrus zwracał baczną uwagę na wartki prąd wody, dążącej ku morzu, i zaczął przypuszczać, że do zachodniego wybrzeża musi być znacznie dalej, niż sądził. Był to właśnie czas przypływu morza, który powinien cofnąć wstecz bieg rzeki, gdyby do jej ujścia nie było więcej nad kilka mil. Otóż tego nie było; woda toczyła się ciągle ku morzu. Zdziwiony tem inżynier spoglądał na busolę, aby się przekonać, czy zakręt rzeki nie cofa ich napowrót ku środkowi wyspy.

Łożysko rzeki rozszerzało się powoli, a jednocześnie bieg wody stawał się spokojniejszym. Drzewa po obu brzegach rosły tak gęsto, że trudno było coś dojrzeć; widać jednak brzegi nie musiały być zamieszkane, bo Top biegł spokojnie.

O wpół do jedenastej Harbert, który szedł żwawo, wyprzedzając towarzyszów, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później podróżni stali już na skraju lasu i mogli objąć wzrokiem zachodnie wybrzeże wyspy, całkiem odmienne od tego, na które los ich wyrzucił. Nie było tu już ani ścian granitowych, ani skał, sterczących nad powierzchnią morza, ani nawet piaskiem usłanej płaszczyzny; las pokrywał całe wybrzeże, wyniesione

znacznie ponad poziom morza, a ostatnie drzewa jego, chłostane falami, pochyliły się ku wodzie.

Koloniści zatrzymali się przy malutkiej przystani, w której nie zmieściłyby się nawet trzy łodzie rybackie: przez nią to wody nowoodkrytego strumienia spływały do morza, nie po lekkiej, jak to zwykle bywa spadzistości, lecz gwałtownie z wysokości, przenoszącej czterdzieści stóp. Inżynier nie dziwił się już teraz, że przypływ morza nie oddziaływał na bieg rzeki, której koryto było tak znacznie wywyższone nad poziom oceanu. Nazwano ją też „rzeką Kaskady".

Ku północy las ciągnął się jeszcze blisko dwie mile, potem przerzedzał się znacznie, a wdali poza nim ukazywały się malownicze wzgórza, ciągnące się ku północy i południowi.

Po spożytym naprędce posiłku Cyrus Smith dał znak do dalszej podróży.

Dotąd nie znaleźli jeszcze nic, świadczącego o rozbiciu się statku, lecz, jak twierdził Gedeon, morze mogło unieść z sobą wszystkie jego szczątki.

O piątej godzinie koloniści zauważyli, że muszą jeszcze przejść dwie mile, zanim dojdą do przylądka Gadu, i że będą zmuszeni tam noc przepędzić, gdyż niepodobna było przypuścić, aby mogli wrócić przed zachodem słońca do obozowiska przy źródłach Mercy. Zresztą mieli z sobą dość żywności, a choć w nadbrzeżnym lesie nie spotykali zwierzyny, to mogli ją w razie potrzeby zastąpić ptactwem, jak cietrzewie, lory, papugi, kakatoesy, bażanty, gołębie i wiele jeszcze innych. Trudno było znaleźć drzewo, na któremby nie było gniazda, i gniazdo, w którem nie trzepotałyby się ptaszęta.

O godzinie siódmej stanęli wreszcie na przylądku. Tu kończył się już nadbrzeżny las półwyspu, a na południowym jego brzegu widać było tylko skały, rafy i piaszczyste wydmy. Kto wie, może jaki okręt został zagnany do tej części wyspy. Ale noc się zbliżała, więc dopiero nazajutrz będzie można rozpocząć poszukiwania.

Penkroff i Harbert zaczęli natychmiast szukać miejsca, dogodnego na nocleg. Młody naturalista dostrzegł na kraju lasu gęste kępy bambusów.

— A! to nieocenione dla nas odkrycie! — zawołał.

— Doprawdy? — rzekł Penkroff.

— Tak, bo trzeba ci wiedzieć, Penkroffie, że z kory bambusów, pokrajanej w paski, wyplatają kosze, że z tejże samej kory, przyrządzonej stosownie, wyrabiają papier chiński, że sama trzcina, stosownie do swej grubości, służy na laski, cybuchy, rury do przeprowadzenia wody, że wielkie bambusy stanowią wyborny, bo lekki i trwały materjał budowlany, nigdy nie uszkodzany przez owady, że wreszcie, przerzynając tę trzcinę wpoprzek przez środek sęczka, otrzymać można dogodne i mocne naczynia do wody, powszechnie

w Chinach używane. Ale to jeszcze niedosyć dla ciebie, więc dodam...

— Że co?

— Że w Indjach jadają bambusy jak szparagi.

— Szparagi, długie na trzydzieści stóp! — zawołał marynarz. — A czy są dobre?

— Wyborne, tylko że nie biorą na ten cel tak wysokiej trzciny, lecz młodziutkie jej pędy.

— Doskonale, musimy kiedy spróbować tej potrawy.

— Prócz tego rdzeń młodych pędów, zamarynowany w occie, stanowi bardzo smaczną przyprawę.

— Bambusy wzbudzają we mnie coraz większy szacunek — przerwał marynarz.

— Nakoniec, zawierają słodki płyn, z którego można przyrządzić bardzo smaczny napój.

— A czy też nie dałoby się z nich urządzić coś podobnego do tytoniu?

— Nie, mój biedny Penkroffie.

— Szkoda, wielka szkoda!

Harbert i marynarz nie potrzebowali szukać długo dogodnego na nocleg miejsca. Bałwany morskie, gnane wiatrem południowo-zachodnim, wyżłobiły w nadbrzeżnych skałach dość głębokie wydrążenia, które mogły służyć za chwilowe schronienie. Wybrali jedno z największych, lecz gdy już mieli wejść do niego, rozległ się wewnątrz ryk straszny.

— Uciekajmy! — zawołał Penkroff — strzelby nasze śrutem tylko nabite.

Mówiąc to, pochwycił Harberta za rękę i wraz z nim ukrył się za skałę w tej właśnie chwili, gdy ogromny zwierz ukazał się przy wejściu do jaskini.

Był to jaguar, dorównywujący wzrostem zamieszkującym Amerykę. Miał więcej niż pięć stóp, licząc od głowy do początku ogona. Płowe jego futro zdobiły czarne duże i okrągłe centki, odbijające pięknie od białego podbrzusza. Harbert poznał w nim strasznego współzawodnika tygrysa, stokroć niebezpieczniejszego od jaguara, którego możnaby porównać z wilkiem.

Jaguar zatrzymał się przed jaskinią, najeżywszy sierść, i spojrzał dokoła błyszczącemi ślepiami, jakby już nie po raz pierwszy zwęszył i widział człowieka. W tejże chwili wyszedł reporter z pomiędzy skał, a Harbert sądząc, że nie dostrzegł jaguara, chciał mu biec na pomoc, gdy Gedeon dał ręką znak, aby pozostał na miejscu, i spokojnie szedł dalej.

Jaguar skurczył się do skoku, chcąc rzucić się na Spiletta, lecz ugodzony kulą w czoło upadł na ziemię. Towarzysze reportera zbiegli się natychmiast, aby przyjrzeć się leżącemu bez życia jaguarowi,

którego pyszne futro miało wkrótce przyozdobić wielką salę Granitowego pałacu.

— A! panie Spilett! Podziwiam, a zarazem zadroszczę ci! — zawołał Harbert z uniesieniem.

— Niema czego — odpowiedział reporter — i ty potrafiłbyś to zrobić.

— O! nie, ja nie zdobyłbym się na tyle zimnej krwi...

— Gdy spotkasz jaguara, Harbercie, powiedz sobie, że to zając, a najspokojniej do niego strzelisz i zabijesz.

— Doprawdy! — zawołał Penkroff. — Nie domyślałem się nawet, że to rzecz tak łatwa.

— Teraz, gdy już nie potrzebujemy się obawiać powrotu jaguara — powiedział Gedeon — kryjówka jego może nam posłużyć za schronienie na noc dzisiejszą.

— A jeżeli inne przyjdą? — zapytał Penkroff.

— Rozłożymy ogień przy wejściu do jaskini: nie ośmielą się zbliżyć do nas.

— Więc wejdźmy do groty jaguara!

Nab zajął się zdjęciem skóry, a inni znosili suche gałęzie z lasu i układali wielkie ognisko, do którego Cyrus dołożył dość znaczną ilość zerzniętych przez siebie bambusów.

Po wieczerzy zapalono ogień. Wkrótce rozległ się w powietrzu huk podobny do tego, jaki się daje słyszeć przy puszczaniu rac. Huk ten wydawały bambusy, gdy ogień do nich doszedł, a już sam ten hałas mógł odstraszyć najodważniejsze zwierzęta. Nie był to jednak wynalazek inżyniera, gdyż, jak wspomina Marco Polo, Tatarzy używają go skutecznie już od wieków dla odstraszenia od swych obozowisk krwiożerczych zwierząt.

ROZDZIAŁ XXVII.

Zwiedzanie wybrzeża południowego. — Kształty wybrzeża. — Poszukiwanie domniemanego miejsca rozbicia. — Skrzynia z powietrza. — Odkrycie naturalnej przystani. — Na północnym brzegu Mercy. — Przerwana lina. Zniknięcie drabiny.

Koloniści przepędzili noc spokojnie w jaskini, a o wschodzie słońca byli już nad brzegiem morza, lecz ani gołem okiem, ani zapomocą lunety nie mogli dostrzec nigdzie śladów rozbicia.

Teraz pozostawało im poznać południowe wybrzeże wyspy. Gedeon radził, aby je zwiedzić zaraz.

— Słuszna uwaga — odezwał się Penkroff — ale co się stanie z naszą łódką?

Skoro mogła pozostać przy źródłach Mercy na jeden dzień, to i przez dwa nic jej się nie stanie. Dotychczas nie przekonaliśmy się jeszcze, aby złodzieje znajdowali się na naszej wyspie.

— A czy zapomniałeś o żółwiu? — zapytał marynarz. — Przyznam się, że ten wypadek budzi we mnie pewne podejrzenia.

— Wszakże wiesz, że to morze uniosło go z sobą.

— Kto wie? — rzekł cicho inżynier.

Koloniści szybko przebyli pięć mil drogi, lecz, pomimo starannych poszukiwań, nie znaleźli nigdzie najlżejszego śladu rozbicia, ani też obecności człowieka. Gdy wreszcie stanęli przy zatoce, mogli już objąć wzrokiem całe południowe pobrzeże wyspy, zakończone o dwadzieścia pięć mil dalej przylądkiem, zaledwie widocznym wśród mgły porannej. Od miejsca, w którem stali, aż do głębi zatoki ciągnęła się szeroka i równa piaszczysta wydma, zakończona laskiem; poza nią brzegi były nierówne, postrzępione, najeżone skałami, sięgającemi aż w morze.

— Każdy okręt, zagnany w te strony, musiałby zginąć — rzekł Penkroff.

— W każdym razie musiałyby zostać przynajmniej szczątki z rozbitego statku — powiedział reporter.

— Pomiędzy skałami, lecz nie na piasku.

— Dlaczego?

— Bo piaski stokroć niebezpieczniejsze od skał; pochłaniają wszystko, co na nie padnie. Dosyć kilku dni, aby pudło okrętu znacznych rozmiarów znikło w nich bez śladu.

— Więc utrzymujesz, Penkroffie — odezwał się inżynier — że te ławy piasku mogłyby pochłonąć cały statek?

— Tak, panie Smith, ale nawet w takim razie byłoby rzeczą zadziwiającą, aby morze nie wyrzuciło na brzegi kawałków masztów lub innych szczątków.

— Szukajmy zatem — rzekł Cyrus.

O godzinie pierwszej koloniści stanęli nad zatoką. Czas było pomyśleć o posiłku.

Odtąd wybrzeże coraz dzikszą przybierało postać, brzegi jego, dziwacznie powykrawane, jeżyły się ostremi skałami, z których niższe w czasie przypływu morza ukrywały się pod wodą. Od tego punktu aż do przylądka ciągnął się wąski pas piaszczystej płaszczyzny między skałami i lasem.

Po krótkim spoczynku ruszyli w dalszą drogę, lecz i teraz pomimo starannych poszukiwań nie znaleźli żadnych śladów rozbicia, chociaż Penkroff i Nab zapuszczali się nawet między skały.

O godzinie trzeciej doszli do wąskiej przystani, tworzącej mały port naturalny, niewidzialny od strony morza, gdyż jedyny do niego przystęp stanowił wąski przesmyk między skałami. Z głębi tej przystani można było dostać się na ląd przez wąskie przejście między

skałami, a stamtąd, idąc po łagodnej pochyłości, wejść na wyniesioną płaszczyznę.

Za radą Gedeona podróżni zatrzymali się trochę, aby odpocząć i posilić się nieco, gdyż dopiero na wieczerzę mogli zdążyć do Granitowego pałacu. W kilka minut później, siedząc w cieniu pysznych sosen, zajadali resztki zabranej na drogę żywności.

Siedzieli na miejscu, wyniesionem nad poziom morza o jakie sześćdziesiąt stóp, i mogli objąć wzrokiem dość wielką przestrzeń, lecz i tu nic nie dostrzegli.

— Ha! — rzekł wkońcu Gedeon. — Chociaż poszukiwania nasze były bezskuteczne, to przynajmniej możemy pocieszać się tą myślą, że jesteśmy jedynymi mieszkańcami i właścicielami wyspy Lincolna!

— A owo ziarnko śrutu! — zawołał Harbert. — Nie możemy przecie wmówić w siebie, że widzieliśmy je tylko we śnie.

— O! co nie, to nie! — zawołał marynarz, wskazując palcem ząb ukruszony.

— A więc jakże to sobie wytłumaczyć? — zapytał reporter.

— Że niedalej, jak trzy miesiące temu, jakiś statek umyślnie lub mimowolnie przybił do brzegów wyspy — powiedział inżynier.

— Jakto, Cyrusie, sądzisz, że zniknął bez śladu, zagnany na te ławy piasku?

— Nie, kochany Gedeonie. Lecz zwróć na to uwagę, że jeżeli nie możemy wątpić, iż jakiś człowiek był niedawno na wyspie, to z drugiej strony przekonaliśmy się, iż obecnie już go niema.

— To jest, panie Cyrusie — rzekł Harbert — że statek był, lecz już odpłynął?

— Bez wątpienia.

— I że straciliśmy bezpowrotnie sposobność wrócenia do Ameryki — dodał Nab.

— Tak się zdaje.

— No! to w takim razie wracajmy do domu — zawołał Penkroff, któremu już tęskno było do Granitowego pałacu.

Zanim jednak powstał, Top, który pobiegł w głąb lasu, zaczął głośno ujadać, a wkrótce potem przybiegł do pana, trzymając w pysku spory kawałek tkaniny, unurzanej w błocie. Nab wziął go w ręce i zawołał:

— To kawał płótna!

Top szczekał ciągle i biegał tam i napowrót, jakby zachęcał pana, aby poszedł za nim.

— Tam musi być coś takiego, co nam wytłumaczy, skąd się wzięło moje ziarnko śrutu! — wykrzyknął Penkroff.

— Zapewne człowiek — rzekł Harbert.

— Może raniony! — powiedział Nab.

— Lub już martwy — dodał reporter.

Wszyscy pobiegli za psem, lecz przez ostrożność zabrali z sobą strzelby i siekiery. Te ostatnie okazały się wkrótce niezbędne, gdyż Top wprowadził ich w taką gęstwinę, że musieli przed sobą wycinać gałęzie i liany. Trudno było nawet przypuścić, aby człowiek przechodził już tą drogą.

W kilka minut później pies zatrzymał się, i koloniści weszli na małą łączkę, otoczoną wielkiemi drzewami. Obejrzeli się naokoło, szukali pod drzewami i między krzakami i... nic nie znaleźli.

— No i cóż, Topie! — rzekł Cyrus, głaszcząc wierne zwierzę.

Top zaczął głośniej jeszcze szczekać, skacząc około pnia olbrzymiej sosny.

— A! to doskonale! Przewybornie! — zawołał nagle Penkroff.

— Co takiego? — rzekł reporter.

— Szukamy śladów obecności człowieka na wodzie i lądzie, a tymczasem znajdują się one w powietrzu.

Mówiąc to, marynarz wskazał ręką ogromną szmatę, uczepioną na wierzchołku sosny, od której, jak widać, oddarty kawałek Top znalazł pod drzewem.

— Ależ to nie są szczątki statku! -- rzekł Gedeon.

— Przeciwnie, są to szczątki naszego powietrznego statku, naszego balonu, który spadł tam wysoko, na wierzchołek tej sosny!

Penkroff miał słuszność, był to rzeczywiście ich własny balon.

— Teraz — dodał marynarz — będziemy mieli z czego porobić koszule i chustki; mamy mocne i dobre płótno! Co powiesz, panie Spilett, o takiej wyspie, gdzie na drzewach rodzą się koszule?

Rzeczywiście, był to bardzo szczęśliwy traf, że balon spadł na wyspę i że przypadek doprowadził ich do niego. Mogli zostawić go tak, jak był, w razie gdyby chcieli raz jeszcze spuścić się na los i spróbować powietrznej żeglugi, lub też obrócić na osobisty użytek kilkaset łokci gęstej i mocnej bawełnianej materji, po zdjęciu z niej werniksu.

Naprzód jednak trzeba było pomyśleć o tem, aby zdjąć balon z drzewa i umieścić go w pewnem miejscu. Była to niemała praca. Nab, Harbert i marynarz musieli wejść na sam wierzchołek drzewa: pracowali przez dwie godziny, zanim udało się im spuścić na ziemię ogromny balon wraz z całym jego przyrządem, kotwicą, linami i sznurami. Powłoka balonu w jednem tylko miejscu była rozdarta.

— Wszak prawda, panie Cyrusie, że gdybyśmy teraz mieli opuścić wyspę, to już nie balonem? — zapytał marynarz. — Przekonaliśmy się, że te powietrzne statki niewiele warte: leci to i leci byle dalej, ale pokierować tem niepodobna. Gdybyś chciał posłuchać mojej rady, to zbudowalibyśmy sobie dużą i mocną szalupę. Z tego płótna możnaby do niej zrobić parę żagli, a z reszty porobilibyśmy koszule, chustki i inne części ubrania.

— Pomyślimy o tem później, Penkroffie — odpowiedział inżynier.

— Teraz zaś przedewszystkiem wypadałoby złożyć to w bezpiecznem miejscu, aby nie uległo zniszczeniu — dodał Nab.

Rzeczywiście nie można nawet było pomyśleć o przeniesieniu natychmiast takiego ciężaru do Granitowego pałacu, a tymczasem pierwsza silna burza mogłaby pozbawić tak drogocennych przedmiotów. Zaciągnęli więc wspólnemi siłami balon aż na brzeg morza, gdzie znaleźli między skałami małą jaskinię w takiem położeniu, że ani deszcz, ani morze nie miały do niej przystępu.

— Potrzebna nam była szafa, i mamy szafę — rzekł Penkroff. — Ale ponieważ niema przy niej zamku, ostrożność każe nam drzwi zatarasować. Mówiąc to, myślę o złodziejach czworonożnych — dwunożnych nie potrzebujemy się obawiać.

O szóstej wieczorem balon być już w ukryciu, a koloniści nadali małej przystani nazwę „portu Balonu” i puścili się w dalszą drogę. Penkroff i Cyrus, idąc obok siebie, roztrząsali, czem teraz najśpieszniej zająć się wypada. Przedewszystkiem trzeba było zbudować most na Mercy dla ułatwienia komunikacji z południową częścią wyspy; następnie przewieźć wozem balon, gdyż nie zmieściłby się w łódce; potem zbudować mocną szalupę, w którejby można opłynąć wyspę i t. d.

Następnie podróżni przeszli jeszcze cztery mile, i Mercy przecięła im drogę, musieli więc zatrzymać się, dopóki Penkroff nie ułatwi im przeprawy na przeciwległy brzeg rzeki. Znużeni i głodni żałowali szczerze, że dotąd nie zbudowali mostu, gdyż w takim razie niedalej jak po kwadransie mogliby stanąć w Granitowym pałacu.

Zegarek reportera wskazywał już dwunastą. Noc była dość ciemna, pomimo to Penkroff i Nab wybrali dwa drzewa, rosnące blisko brzegu, aby je ściąć i zrobić z nich rodzaj tratwy, na której przeprawić się można na drugą stronę. Wkrótce też rozległy się wśród ciszy nocnej silne uderzenia siekiery.

Cyrus i Gedeon, siedząc nad brzegiem, oczekiwali chwili,w której pomoc ich będzie potrzebna towarzyszom. Harbert chodził to w tę to w ową stronę nad samym brzegiem Mercy. Nagle zatrzymał się, a następnie zawołał, wskazując ręką wgórę rzeki:

— Patrzcie, co takiego fale unoszą?

Penkroff przybiegł pierwszy i pomimo ciemności dostrzegł przedmiot, posuwający się szybko na wodzie.

— To łódka! — zawołał po chwili.

Wszyscy nadbiegli i z największem zdziwieniem ujrzeli łódkę, gnaną pędem wody.

— Hej! tam z czółna! — zawołał Penkroff, wierny marynarskim zwyczajom, zapominając, że może byłoby rozsądniej zachować milczenie.

Nie było odpowiedzi. Łódka zbliżała się ciągle, aż wreszcie

znalazła się niedalej jak o dziesięć kroków od stojących nad brzegiem. Marynarz zawołał:

— Ależ, to nasz własna łódź!... Widać, że, bujając się na wodzie, zerwała linę, na której przywiązaliśmy ją do drzewa. Ot! trzeba przyznać, że przepływa wporę!

Penkroff miał słuszność. Było to rzeczywiście pozostawione przez nich przy źródłach Mercy czółno, które prąd wody przyniósł aż w to miejsce. Trzeba je więc śpiesznie zatrzymać, gdyż inaczej bystre fale rzeki mogły unieść je aż do morza. To też Penkroff i Nab pochwycili co prędzej długie gałęzie i za ich pomocą udało im się przyciągnąć do brzegu łódkę, w którą inżynier wskoczył natychmiast, aby się przekonać, czy rzeczywiście lina zerwała się sama przez tarcie o skały.

— Doprawdy, to dziwny wypadek — rzekł do niego cicho Gedeon.

— Bardzo dziwny — odpowiedział Cyrus.

Herbert, Penkroff i Nab wskoczyli także do łodzi, lecz żaden z nich nie wątpił ani na chwilę, że lina zerwała się sama. Dziwili się tylko, że łódź nadpłynęła w tym właśnie czasie, gdy ją zatrzymać mogli; trochę później lub wcześniej, woda zniosłaby ją do morza.

Po kilkunastu uderzeniach wiosłem, koloniści dopłynęli do ujścia Mercy, gdzie wysiedli na ląd, wyciągnęli łódkę na piasek i zwrócili się do Granitowego palacu.

Nagle Top zaczął szczekać gniewnie, a Nab, który wyprzedził innych, wydał okrzyk podziwu i przerażenia...

Drabina zniknęła.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Wołanie Penkroffa. — Noc w Kominach. — Strzała Harberta. — Projekty Cyrusa. — Nieoczekiwane rozwiązanie. — Kto był w palacu Granitowym. — Nowy służący.

Cyrus zatrzymał się, nie wyrzekłszy ani słowa, a towarzysze jego zaczęli szukać drabiny pociemku to na ziemi, to na ścianie, sądząc, że wiatr ją przesunął lub całkiem zrzucił. Wszelkie poszukiwania okazały się bezskuteczne.

— Jeżeli to ma być żart, to całkiem niewłaściwy! — krzyknął Penkroff.

— Dziś nie było nawet wiatru — odezwał się Harbert. — Uważam, że od pewnego czasu dzieją się dziwne rzeczy na naszej wyspie.



Zatrzymano się tu na pół godziny... (str. 134).

— Nie widzę w tem nic dziwnego — rzekł Gedeon. — Widać, że ktoś w naszej nieobecności wszedł do mieszkania i ściągnął za sobą drabinę.

— Ktoś! Ale kim on jest, ten ktoś?

— Zapewne myśliwym, z którego strzelby wypadło owo ziarnko śrutu, znalezione przez ciebie w mięsie pekary. To jedno przypuszczenie staje się prawdopodobne.

No, skoro tam ktoś jest — odpowiedział zniecierpliwiony marynarz — to zawołajmy na niego, a przecie nam coś odpowie.

Mówiąc to, głośno krzyknął: — Hop, hop?

Po chwili oczekiwania zdawało im się, że usłyszeli coś podobnego do szyderczego śmiechu. Nikt jednak nie odpowiedział na kilka razy powtarzane wołanie Penkroffa.

Koloniści znajdowali się w takiem położeniu, że każdy, choćby drobny, wypadek musiał mieć dla nich ważne znaczenie, a cóż dopiero mówić o tym, który ich dziś spotkał. Stali przed Granitowym pałacem zdumieni, nie wiedząc, co myśleć i czynić. Nie znajdowali odpowiedzi na wzajemne zapytania, tworzyli więc tysiączne, niepodobne do prawdy, przypuszczenia.

Nab zaczął nakoniec głośno ubolewać nad tem, że nie może dostać się do śpiżarni i do kuchni wtenczas właśnie, gdy wszystkie wzięte zapasy żywności tak wyczerpano, iż nie będzie miał co dać na wieczerzę.

— Widzę, że nie zostaje nam nic innego do czynienia — odezwał się Cyrus — jak czekać cierpliwie, dopóki się nie rozwidni, a następnie dopiero działać stosownie do okoliczności. Teraz udajmy się do Kominów. Nie znajdziemy tam wprawdzie wieczerzy, ale spać będziemy mogli.

— Ale cóż to za ladaco wypłatał nam takiego figla? — zapytał raz jeszcze Penkroff, niezdolny pogodzić się tak łatwo z niemiłą koniecznością przepędzenia nocy w Kominach.

Oczywiście zostało to bez odpowiedzi i wszyscy w milczeniu poszli za radą Cyrusa. Rozkazano tylko Topowi zostać pod oknami Granitowego pałacu, a że Top spełniał zawsze wiernie wydane mu rozkazy, więc i teraz położył się na wskazanem miejscu, nie bacząc na to, iż wszyscy oddalili się do Kominów.

Minęlibyśmy się z prawdą, utrzymując, że koloniści dobrze spali tej nocy. Nietylko że zaniepokoił ich mocno tak niespodziewany wypadek, że myśleli ciągle, jakie mogą być dalsze jego skutki, i że pragnęli odgadnąć, czy mają o to oskarżać ludzi, czy też prosty przypadek — lecz nadto leżeli na gołej ziemi z tą myślą, że może ktoś inny zajmuje ich wygodną siedzibę.

Dla kolonistów Granitowy pałac był nie mieszkaniem, lecz skarbcem, w którym złożyli najcenniejsze dla siebie rzeczy, jak broń, proch, naczynia, narzędzia i wszelką żywność. Gdyby ktoś pozbawił ich tego, znaleźliby się w takiem samem położeniu, jak w pierwszych dniach pobytu na wyspie. Zaniepokojeni tą myślą, wychodzili naprzemian, aby zobaczyć, czy Top nie opuścił swego stanowiska. Jedynie Cyrus czekał cierpliwie, choć był rozdrażniony, że nie umie rozwiązać tej zagadki, choć go oburzało, że wkoło niego dzieją się rzeczy, których zrozumieć nie może. Gedeon podzielał jego zdanie; obaj

zgadzali się, że ich wyspa ukrywała jakąś tajemnicę, Harbert nie wiedział, co ma o tem myśleć i radby był poznać zdanie inżyniera. Nab powiedział sobie wkońcu, że nie potrzebuje biedzić się nad tem, o czem już pan jego myśli, i gdyby nie obawiał się, że tem robi przykrość towarzyszom, byłby spał równie spokojnie, jak w Granitowym pałacu. Penkroff nie mógł się uspokoić i gniewał się ciągle.

— Zażartowano z nas sobie — powtarzał. — Takich żartów nie lubię i biada żartownisiowi, jeżeli mi wpadnie w ręce.

Gdy tylko świtać zaczęło, koloniści wyszli na wybrzeże z bronią w ręku. Skoro pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły Granitowy pałac, przekonali się, że okna jego były, tak jak je zostawili, zasłonięte okiennicami. Z tej więc strony wszystko było w porządku, lecz mimowoli okrzyk wydarł się z ich piersi, gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli, wychodząc, były teraz otwarte. Nie mogli wątpić, że ktoś był w Granitowym pałacu.

Wyższa część drabiny pozostała na miejscu, lecz niższą podniesiono aż do progu, co dowodziło, że nieproszeni goście chcieli zapobiec temu, aby ich kto nie zaszedł niespodzianie. Co to byli za ludzie i ilu ich tam było?

Penkroff zaczął znów nawoływać potężnym swym głosem. Nie było odpowiedzi.

— A to niecnoty! — krzyknął marynarz. — Śpią tak spokojnie, jakby we własnym domu. Nuże! zbójce, korsarze, bandyci!

Harbertowi przyszło na myśl, aby przywiązać do strzały długi sznurek, a następnie wystrzelić, celując pomiędzy pierwsze szczeble drabiny, podciągniętej do progu, a później, uchwyciwszy sznurek, pociągnąć drabinę do ziemi i tym sposobem przywrócić komunikację z Granitowym pałacem. Pomysł ten podobał się wszystkim, tem więcej, że, wykonany zręcznie, musiał przynieść pożądany skutek. Szczęściem łuki i strzały złożono na skład w jednym z korytarzów w Kominach, równie jak i kilkadziesiąt metrów cienkiego, lecz mocnego sznura z włókna hibiskusa. Penkroff wybrał starannie strzałę, przywiązał do niej sznur i oddał Harbertowi, który, naciągnąwszy łuk, wycelował w koniec drabiny. Cyrus, Gedeon, Penkroff i Nab cofnęli się trochę, aby zobaczyć, czy się kto nie pokaże w oknach.

Strzała świsnęła, pociągając za sobą sznurek, i przeleciała pomiędzy ostatniemi szczeblami drabiny. Koloniści przyklasnęli, a Harbert pochwycił natychmiast za sznurek, lecz zaledwie nim wstrząsnął, aby zsunąć drabinę, jakaś ręka ukazała się we drzwiach i wciągnęła ją.

— A niegodziwcze! — krzyknął marynarz — zasłużyłeś, aby cię poczęstować kulką, i niedługo będziesz na nią czekał.

— Któż to taki? — zapytał Nab.

— Jakto, nie poznałeś?...

— Nie.

To szympans, goryl, pawjan, orangutang, mandryl, czy tam jakaś inna jeszcze małpa! Tak, w czasie naszej nieobecności małpy zakradły się do mieszkania.

Jednocześnie, jakby na potwierdzenie słów marynarza, cztery małpy odepchnęły okiennice i ukazały się w oknach, wykrzywiając się najdziwaczniej na prawych właścicieli mieszkania.

— Wiedziałem dobrze, że to psota! — zawołał marynarz — ale przynajmniej jeden z psotników musi odpokutować za innych.

Mówiąc to, przyłożył do ramienia strzelbę, wycelował i strzelił. Jedna z małp, ugodzona śmiertelnie, wypadła przez okno, inne uciekły.

Nie znając nawet nazwy tej małpy, można było poznać odrazu, że należy do jednego z gatunków, które tak wzrostem, jak i całą swą postacią najwięcej zbliżają się do człowieka; Harbert zaś, jako dobry zoolog, oświadczył odrazu, że to orangutang.

— Pyszne zwierzę! — zawołał Nab.

— Niechże będzie i pyszne, kiedy tak chcesz — odpowiedział Penkroff — ale pomimo to nie wiem, jakim sposobem wejdziemy do domu.

— Harbert strzela wybornie z łuku — rzekł reporter — niech spróbuje raz jeszcze.

— Oho! Małpy to przebiegłe stworzenia! Nie pokażą się drugi raz w oknie, a gdy pomyślę, jakie szkody mogą porobić w mieszkaniu i składach...

— Trochę cierpliwości — rzekł Cyrus. — Te zwierzęta nie mogą długo triumfować nad nami.

— Uwierzę wtenczas dopiero, gdy tak, jak ich towarzyszka, będą leżały na ziemi, bo obecnie pan nawet nie wiesz, ile tuzinów tych psotników dokazuje tam na górze.

Rzeczywiście trudno było na to odpowiedzieć. Spróbowano raz jeszcze pociągnąć za sznurek, przywiązany do strzały, lecz zerwał się, a drabina pozostała na miejscu.

Położenie kolonistów było kłopotliwe, bo choć nie wątpili, że wypędzą napastników i odzyskają swe mieszkanie, lecz nie wiedzieli, kiedy i jakim sposobem.

Parę razy jeszcze śmielsza widocznie małpa wysunęła łapę przez drzwi lub okno, lecz rozlegające się natychmiast wystrzały tak je widać przestraszyły, że następnie przez dwie godziny żadna z nich się nie ukazała.

— Ukryjmy się — rzekł inżynier — może, sądząc, żeśmy odeszli, pokażą się znowu. Trzeba, aby Spilett i Harbert zaczaili się za skałami i czekali, aż się która wysunie.

Zastosowano się do rady inżyniera, i gdy Harbert i reporter, jako najlepsi strzelcy, pozostali na czatach, inni udali się na polowanie do lasu, gdyż wszyscy byli głodni, a nie było żadnych zapasów

żywności. Myśliwi powrócili w pół godziny, niosąc kilka gołębi skalnych, które Nab upiekł, zapaliwszy ognisko. Tymczasem żadna małpa się nie pokazała.

Gedeon i Harbert, odchodząc na śniadanie, zostawili Topa na straży; następnie wrócili na swe stanowisko, gdzie znów przeszło dwie godziny oczekiwali napróżno. Małpy siedziały tak cicho, jakby ich wcale nie było. Koloniści domyślali się, że, przerażone wystrzałami i śmiercią towarzysza, schroniły się gdzie do kąta lub może dostały się aż do składu. To przypuszczenie natchnęło wszystkich najwyższym niepokojem. Trudno dziwić się temu, gdyż w tym składzie złożyli wszystkie swe skarby.

— Doprawdy, nasze położenie zaczyna być nieznośne — rzekł zniecierpliwiony reporter — a nie widzę sposobu wydobycia się z niego.

— Trzeba przecie koniecznie wygnać tych urwisów z naszego domu! — zawołał Penkroff. — Poszłoby nam to łatwo, choćby ich tam było i parę tuzinów, lecz trzebaby dostać się do nich. Czyż niema na to żadnego sposobu?

— Jest jeden tylko! — zawołał inżynier.

— Jeden? — rzekł Penkroff. — To ten z pewnością będzie dobry, skoro niema innego! Cóż mamy uczynić?

— Spróbujmy dostać się do Granitowego pałacu przez dawny upust od strony jeziora.

— A! do miljona okrętów! — wykrzyknął marynarz — że też dotąd nie pomyśleliśmy o tem.

Rzeczywiście był to jedyny sposób wejścia do Granitowego pałacu i wypędzenia z niego nieproszonych gości. Wprawdzie trzeba było rozwalić mur, zasłaniający dawny otwór, lecz to nie mogło ich powstrzymać, gdyż wiedzieli, że naprawić go potrafią. Szczęściem także, inżynier nie doprowadził jeszcze do skutku zamierzonego zalania muru wodą, gdyż w takim razie nie mogliby tak prędko dostać się do niego.

Było już po dwunastej, gdy koloniści, wyszedłszy z Kominów z motykami i żelaznemi drągami, przechodzili pod oknami Granitowego pałacu. Pozostawiwszy na straży Topa, podążyli dalej, aby się dostać na płaszczyznę.

Zaledwie skręcili na skały, Top zaczął ujadać tak gwałtownie, jakby ich wzywał na ratunek. Zatrzymali się.

— Wracajmy jak najprędzej! — zawołał Penkroff.

Wszyscy zaczęli biec, co im sił starczyło, i wkrótce przekonali się, że położenie całkiem się zmieniło. Małpy, widocznie czemś przestraszone, usiłowały uciekać, przeskakiwały żwawo od okna do okna, kręciły się tu i ówdzie, nie wiedząc, jak się na wolność wydobyć. Widać, że w przerażeniu zapomniały zupełnie o drabinie i nie pomyślały nawet, że jak po niej weszły, tak i wyjść mogłyby z łatwością.

Wkrótce kilka tak się wysunęło, że koloniści mogli strzelać do nich na pewno; ranione lub zabite spadały do pokojów lub nazewnątrz. Następnie wszystko się uspokoiło i można było wnosić, że w Granitowym pałacu nie było już ani jednej żywej małpy.

— Wiwat! — krzyknął Penkroff — wiwat! wiwat!

— Jeszcze za wczesne twoje okrzyki — rzekł Gedeon.

— Dlaczego? Wszak zabiliśmy wszystkie.

— Być może, lecz pomimo to nie możemy wejść do mieszkania.

— Chodźmy do upustu.

— Tak, chodźmy — rzekł inżynier — wolałbym jednak...

Nie dokończył, gdyż w tej chwili drabina zaczęła się poruszać, a następnie zsunęła się aż do ziemi.

— A! do tysiąca fajek! — zawołał Penkroff, spoglądając na towarzyszów. — To znów coś nowego.

— Tego już nadto! — rzekł do siebie Cyrus i pierwszy zaczął wchodzić po drabinie.

— Ostrożnie, panie Cyrusie — wołał Penkroff — może tam są jeszcze małpy...

— Zaraz się o tem przekonamy — odpowiedział inżynier, idąc dalej.

Towarzysze pośpieszyli za nim i w kilka minut później byli już w mieszkaniu.

Rozpoczęto poszukiwania. Tak w pokojach, jak w składzie, gdzie wszystko znaleźli w porządku, nie było nikogo.

— Wszystko to dobrze — rzekł marynarz — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się podział uprzejmy człowiek, który nam spuścił drabinę.

Prawie jednocześnie odezwał się krzyk w korytarzu, a niebawem wpadła do sali wielka małpa, ścigana przez Naba.

— A jesteś rozbójniku! — zawołał Penkroff.

Porwał siekierę i chciał uderzyć, lecz inżynier zatrzymał go, mówiąc:

— Nie zabijaj, Penkroffie.

— Jakto! mam darować życie temu rabusiowi?

— Tak, przecie to on nam spuścił drabinę.

Inżynier powiedział to tak dziwnym głosem, że trudno było poznać, czy to mówi na serjo, czy też żartem.

Wszyscy rzucili się na małpę, powalili ją na ziemię i związali, choć broniła się dzielnie.

— Nareszcie! — rzekł Penkroff — ale cóż my z nią teraz zrobimy?

— Będzie naszym służącym — odpowiedział Harbert.

Młody naturalista, mówiąc to, nie żartował, gdyż wiedział, że te małpy można wyuczyć wykonywania różnych posług.

Osobnik schwytany należał do rodzaju, zbliżającego się najwięcej całą postacią do człowieka; kąt twarzy nie o wiele się różnił od tego, jaki przedstawia twarz Australczyków i Hotentotów; słowem, był to orangutang. Jak wiadomo, ten gatunek przechodzi zmyślnością wszystkie inne małpy. Widziano nieraz usługujących do stołu, sprzątających pokoje, czyszczących suknie i obuwie, używających zręcznie noży, widelców i łyżek, a nawet pijących wino... Wiadomo, że Buffon posiadał orangutanga, który długo służył mu wiernie i gorliwie.

Orangutang schwytany był dobrze zbudowany, miał 4 stopy wysokości, pierś szeroką, głowę średniej wielkości, czaszkę okrągławą, nos wydatny, skórę pokrytą włosem miękkim i połyskującym. Oczy jego, trochę mniejsze od ludzkich, wyrażały żywość i pojętność, białe zęby ukazywały się z pod wąsów, a bródkę posiadał niewielką, kręcącą się, jasno-orzechowego koloru.

— Silny i pięknie zbudowany — rzekł Penkroff — i ma tak roztropną minę, że, gdybyśmy umieli mówić jego językiem, możnaby z nim porozmawiać.

— Czy naprawdę pan myśli przyjąć go do służby? — zapytał Nab inżyniera.

— Tak, Nabie, ale nie lękaj się, będzie tylko twoim pomocnikiem.

— Sądzę, że będzie zręcznym do usług, a że wydaje się młodym jeszcze, łatwo go będzie obłaskawić i wytresować bez użycia gwałtownych środków.

Zbliżył się potem do orangutanga i rzekł:

— Cóż kochanku, dobrze ci tutaj?

Orangutang odpowiedział mruknięciem, nie objawiającem złego humoru.

— Chcesz więc przyłączyć się do naszej kolonji i wejść do służby pana Cyrusa?

Małpa mruknęła powtórnie.

— I nie wymagasz innego wynagrodzenia nad dostateczną ilość żywności?

Trzecie mruknięcie orangutanga.

— Zdaje się, że nie jest bardzo rozmowny — powiedział Gedeon.

— Tem lepiej! — zawołał Penkroff. — Małomówni służący są zwykle najlepsi. Zresztą ten nie wymaga zasług.

— Czy słyszysz kochanku? Z początku nie dostaniesz żadnych zasług, ale później, jeśli na to zasłużysz, damy ci dwa razy tyle.

Tym to sposobem przybył do Granitowego pałacu nowy mie-

szkaniec, który miał w przyszłości oddać niejedną przysługę kolonistom. Teraz trzeba jeszcze nadać mu nazwisko i stosownie do życzenia Penkroffa nazwano go Jowiszem, a przez skrócenie Jowem, gdyż tak nazywała się małpa, którą marynarz niegdyś bardzo lubił.

ROZDZIAŁ XXIX.

Projektowane roboty. — Most na Mercy. — Płaszczyzna „Pięknego Widoku" wyspą. — Most zwodzony. — Żniwa. — Strumyk. — Mostek. — Podwórze. — Gołębnik. — Onagi. — Zaprzęg do wózka. — Wyprawa do portu Balonu.

Tego samego dnia jeszcze koloniści wynieśli zabite małpy do lasu, gdzie zagrzebali je w ziemi, aby ciała ich, psując się, nie zatruwały powietrza. Po powrocie zajęli się uporządkowaniem, bo chociaż małpy nic nie popsuły, lecz poprzewracały wszystko. Nab tymczasem rozpalił ogień na kominie i przyrządził sutą wieczerzę, którą wszyscy z największym apetytem spożyli.

Nie zapomniano o Jowie, który z widocznem zadowoleniem zajadał orzechy oraz korzenie, których mu obficie dostarczono. Penkroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne zostawić pęta na nogach, póki się nie oswoi.

Następnie Cyrus Smith naradzał się jeszcze z towarzyszami, jakieby roboty wypadało najpierw wykonać. Wszyscy uznali zgodnie, że najpilniejszem było postawienie mostu na Mercy dla ułatwienia komunikacji z południową częścią wyspy, a potem zaraz urządzenie owczarni, gdzieby mogli pomieścić muflony lub inne dostarczające wełny zwierzęta, w które zaopatrzyć się postanowili. Obie te prace mieli wykonać w celu zaopatrzenia się w odzież, której już bardzo potrzebowali. Most ułatwi im sprowadzenie powłoki balonu, przeznaczonej na bieliznę; owczarnia dostarczy wełny na zimowe ubranie.

Owczarnię zamierzał Cyrus urządzić przy źródłach Czerwonego strumienia, gdzie znajdowały się doskonałe pastwiska, na których muflony będą mogły znaleźć zawsze świeżą i obfitą paszę. Droga do Czerwonego strumienia była już utorowana, więc i komunikacja z owczarnią mogła być łatwa, zwłaszcza, jeżeli uda im się znaleźć i schwytać zwierzęta, zdatne do zaprzęgu.

Jeżeli jednak owczarnia mogła być oddaloną od domu, to inaczej rzecz miała się z kurnikiem, o który Nab dopominał się koniecznie. Drób musiał być pod ręką kucharza, i dlatego postanowiono założyć kurnik na brzegu jeziora, przy dawnym upuście, gdzie i ptaki wodne mogły znaleźć dogodne pomieszczenie. Najpierwszemi jego mieszkańcami miały być kusaki, schwytane podczas ostatniej wycieczki.

Nazajutrz, trzeciego listopada, koloniści wyszli z piłami, siekierami, młotami i innemi narzędziami do budowy mostu. Uszli już kilka kroków, gdy Penkroff zatrzymał się, mówiąc:

— A jeżeli też Jow w czasie naszej nieobecności zrobi nam znów figla i wciągnie drabinę, którą wczoraj spuścił nam tak łaskawie?

— Przymocujemy ją u dołu — odpowiedział Cyrus Smith.

Wbito natychmiast dwa grube kołki w ziemię i przywiązano do nich starannie drabinę. Poczem koloniści udali się na lewy brzeg Mercy i zatrzymali się dopiero przy pierwszym jej zakręcie. Było to najodpowiedniejsze miejsce do postawienia mostu, gdyż z tego punktu do portu Balonu nie było nawet czterech mil angielskich.

Zanim zabrali się do roboty, Cyrus uwiadomił ich, że ma zamiar odosobnić płaszczyznę Pięknego Widoku od reszty wyspy, aby tym sposobem zabezpieczyć pałac Granitowy, Kominy, kurnik i całą wyższą część płaszczyzny, przeznaczoną pod zasiewy, od napaści zwierząt czworonożnych i czwororękich.

Wykonanie tego planu było bardzo łatwe. Płaszczyzna była już obecnie otoczona wodą z trzech stron, chodziło więc tylko o jej część zachodnią, ciągnącą się między rzeką Mercy a jeziorem, na przestrzeni, wynoszącej niecałą milę. Trzeba było tylko wykopać szeroki i głęboki rów, tak, aby z jednej strony wpadała do niego woda z jeziora, z drugiej zaś dla zapobiegnięcia przepełnieniu — uchodziła do rzeki.

— Tym sposobem — dodał inżynier — płaszczyzna Pięknego Widoku będzie zamieniona na wyspę, połączoną z resztą lądu mostem, który wznieść zamierzamy, dwoma już istniejącemi mostkami i mostkiem, jaki następnie przerzucimy przez rów. Otóż jeśli te mosty i mostki będą zwodzone, płaszczyznę Pięknego Widoku zabezpieczymy od wszelkiej napaści.

Zabrano się pilnie do roboty. Zbudowanie mostu, który miał być stałym od prawego, a zwodzonym od lewego brzegu rzeki, szerokiej na osiemdziesiąt stóp, wymagało niemałych trudów i pracy, szczególniej, gdy przyszło wbijać w łożysko rzeki grube pale, aby mogły wytrzymać ciężar mostu i przewożonych po nim ciężarów.

Szczęściem, koloniści posiadali potrzebne narzędzia i materjały, nabyli już pewnej wprawy i pracowali gorliwie pod zwierzchnictwem człowieka, doskonale obznajmionego z podobnego rodzaju robotami. Więc też w ciągu trzech tygodni most zupełnie skończono, a ruchoma część jego spuszczała się i podnosiła łatwo przy pomocy przeciwwagi.

Jow tymczasem przyzwyczajał się do nowego rodzaju życia, przyglądał się ciekawie swym panom i oswajał się z nimi. Penkroff nie chciał mu jednak wrócić zupełnej wolności, dopóki płaszczyzna nie będzie dokoła otoczona wodą, co mu przeszkodzili uciec do lasu.

Top i Jow żyli w największej zgodzie i chętnie bawili się razem, tylko Jow był zawsze poważniejszy.

Cyrus Smith odłożył na później sprowadzenie powłoki balonu, gdyż trzeba było jechać po nią wozem, a to znów pociągało za sobą konieczność wycięcia drogi przez las, co długiego wymagało czasu. Wszyscy też chętnie zgodzili się na to, aby pierwej przeprowadzić roboty około płaszczyzny Pięknego widoku.

— To nam dozwoli — rzekł Penkroff — pomyśleć zawczasu o zapełnieniu naszego kurnika, gdy już będziemy pewni, że ani lisy ani inne szkodniki nie znajdą do niego przystępu.

— Prócz tego — dodał Nab — będzie można wykarczować pewną część płaszczyzny pod ogród, gdzie będziemy przez hodowanie ulepszali różne warzywa, rosnące dziko na wyspie.

— I uprawimy rolę pod powtórny zasiew zboża — odezwał się z dumą marynarz.

Rzeczywiście, pierwszy zasiew zboża, składający się z jednego ziarnka, wydał, dzięki staraniom Penkroffa, zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów. Każdy z nich zawierał osiemdziesiąt ziarnek, koloniści więc po sześciu miesiącach z jednego ziarnka posiadali osiemset ziarn. Z tych mieli odłożyć pięćdziesiąt na wszelki wypadek, resztę zaś zasiać i pielęgnować równie starannie.

Uprawiono pole, zasiano je i otoczono wysoką, mocną i ostro zakończoną palisadą, aby nie było stratowane przez zwierzęta, jeżeliby jakie znalazły się na płaszczyźnie. Dla odstraszenia ptaków Penkroff poustawiał różne straszydła i pozawieszał mnóstwo grzechotek.

Dwudziestego pierwszego listopada Cyrus Smith rozpoczął roboty grabarskie około rowu. Pod ziemią napotkano granit; trzeba się było uciec do nitrogliceryny, co tak przyśpieszyło robotę, że po dwóch tygodniach ukończono już rów szeroki na dwanaście, a głęboki na sześć stóp. Rozsadzono znów skałę nad brzegiem jeziora, i woda popłynęła natychmiast rowem, który otrzymał nazwę: strumienia Glicerynowego.

Chociaż w grudniu upały były nieznośne, koloniści nie chcieli przerywać pracy i przystąpili zaraz do urządzenia kurnika.

Nie potrzebujemy dodawać, że, jak tylko płaszczyznę Pięknego Widoku zamieniono na wyspę, Jow uzyskał zupełną swobodę. Nie oddalał się jednak nigdy od swych panów i nie okazywał chęci do ucieczki. Było to bardzo silne, zwinne i zręczne, a przytem łagodne zwierzę; gdy szło o wejście na drabinę, wiodącą do mieszkania, nikt z niem równać się nie mógł. Zaczęto już używać go do niektórych robót: przyciągał wiązki drzewa i wynosił kamienie, wydobyte z łożyska Glicerynowego strumienia.

Kurnik zajął dwieście jardów kwadratowych gruntu, otoczonego palisadą, na którym postawiono rodzaj chatek wyplecionych z chróstu

i podzielonych na przedziały, aby każdy gatunek drobiu mógł być oddzielnie pomieszczony. Naprzód wpuszczono tam kusaki, które wkrótce zaczęły wysiadywać młode. Niedługo potem dodano im do towarzystwa kilka kaczek, między któremi odznaczał się pewien gatunek kaczek chińskich, ze skrzydłami rozsuwającemi się wachlarzowo i tak świetnem upierzeniem, że mogły śmiało współzawodniczyć ze złotemi bażantami.

Prócz tego Cyrus Smith postawił jeszcze gołębnik około kurnika i umieścił w nim sześć par gołębi skalnych. Przyzwyczaiły się one wkrótce do nowego mieszkania.

Czas było nakoniec pomyśleć o przewiezieniu powłoki balonu i spożytkowaniu jej na bieliznę, a że wóz był bardzo niezgrabny i ciężki, koloniści musieli pierwej przerobić go i ulepszyć. Podczas tej pracy przychodziło im często na myśl, jakby to było dobrze, gdyby udało się znaleźć na wyspie zwierzę, któreby można użyć do ciągnienia wozu.

— Doprawdy — odezwał się pewnego dnia Penkroff — bardzoby nam przydało się zwierzę pociągowe, zanim pan Cyrus zbuduje nam lokomotywę, bo z pewnością będziemy kiedyś mieli drogę żelazną z Granitowego pałacu do portu Balonu i na górę Franklina.

Zacny marynarz wierzył w to jak najmocniej, lecz obecnie byłby poprzestał na jakiem bądź pociągowem zwierzęciu. Opatrzność była szczególniej na niego łaskawą. Nie czekał długo na spełnienie swych życzeń.

Dwudziestego trzeciego grudnia koloniści, pracujący w Kominach, usłyszeli jednocześnie krzyki Naba i szczekanie Topa. Zaniepokojeni wybiegli i zobaczyli dwa piękne i duże zwierzęta, które niebacznie wbiegły przez mostek na płaszczyznę. Zdaleka można je było wziąć za konie, a przynajmniej za osły; budowa ich była kształtna, maść brudno-żółta, nogi i ogon białe; na szyi, głowie i grzbiecie miały czarne pręgi. Szły spokojnie bez obawy, przyglądając się ciekawie tym, w których nie domyślały się przyszłych panów.

— To są onagi — zawołał Harbert — zajmują one środek między zebrami i kwagami.

— Może to osły? — powiedział Nab.

— Nie, gdyż są kształtniejsze i nie mają tak długich uszów.

— Osły czy konie — odpowiedział Penkroff — o to mniejsza, zawsze są to motory, jak mówi pan Smith, a zatem warto je schwytać.

Ostrożnie, nie przestraszając zwierząt, zbliżył się do mostu, podniósł go, i onagi nie mogły uciec.

Koloniści, zamiast ujarzmiać je odrazu, pozwolili im przez kilka dni biegać swobodnie po płaszczyźnie, zarosłej bujną trawą; tymczasem zaś postawili tuż przy kurniku stajnię, aby później służyła

onagom za nocne schronienie. Z początku nie zbliżano się nawet do nich, aby ich nie przestraszać.

Piękne te zwierzęta pragnęły opuścić miejsce zbyt dla nich ciasne, obchodziły dokoła płaszczyznę, spoglądając to na las, to na wodę, dzielącą ich od niego, potem biegały galopem to w tę i ową stronę, a nakoniec stały godzinami na jednem miejscu, patrząc na te gęste lasy, do których już wrócić nie miały.

Tymczasem koloniści zrobili mocną uprząż z włókien roślinnych i wycięli prostą choć nieszeroką drogę przez las, a ostatniego grudnia postanowili po raz pierwszy zaprząc onagi.

Penkroff obłaskawił je już dotyla, że jadły z jego ręki; ale gdy je zaprzężono, tak się rwały i wspinały, że zaledwie można je było utrzymać. Dopiero gdy się przekonały, że opór jest daremny, pogodziły się ze swym losem. Wogóle onagi oswajają się dość łatwo; zaprzęgają je często w górzystych okolicach południowej Afryki, a nawet zdołano je zaklimatyzować w Europie, w dość zimnej stosunkowo strefie.

W parę dni potem wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, prowadzącego przy pysku onagi, wsiedli na wóz i udali się do portu Balonu. Łatwo się domyśleć, że podróż po zaledwie utorowanej drodze nie była zbyt przyjemna, jednak koloniści stanęli szczęśliwie na miejscu i tego samego dnia o ósmej wieczorem wrócili do domu ze szczątkami balonu.

ROZDZIAŁ XXX.

Bielizna. — Obuwie ze skóry foki. — Wyrób bawełny strzelniczej. — Zasiew. — Jajka żółwie. — Postępy Jowa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienie ojczyzny.

Przez cały pierwszy tydzień stycznia koloniści zajmowali się wyłącznie szyciem bielizny. Igły, znalezione w skrzyni, przydały się teraz, a jeżeli szyjący nie umieli używać ich zręcznie, to przynajmniej szwy były mocne.

Nici mieli poddostatkiem, gdyż Cyrus Smith doradził, aby użyć powtórnie tych, które służyły do pozszywania balonu, a Gedeon Spilett i Harbert wypruli je z wzorową cierpliwością. Dla Penkroffa była to praca tak nieznośnie nudna, że go od niej uwolniono, ale zato, gdy przyszło do szycia, nikt mu dorównać nie zdołał, gdyż, jak wiadomo, wszyscy prawdziwi marynarze szyją dobrze i prędko.

Najprzód przyrządzono ług z popiołu, aby w nim wyprać płótno z powłoki balonu, a gdy już odzyskało swą naturalną mięk-

kość, rozciągnięto je na trawie i polewano wodą, aby wybielało na słońcu.

Wkrótce koloniści posiadali kilka tuzinów koszul, prześcieradeł, chustek, ręczników, a nawet skarpetek płóciennych. Wszystko było grube, niedokładnie zrobione; a jednak łatwo pojąć, z jaką dumą spoglądali na pracę rąk swoich, z jaką radością kładli na siebie świeżą i całą bieliznę i przykrywali swe posłania białemi prześcieradłami!

Gdy już bielizna była gotowa, koloniści zajęli się sporządzaniem obuwia ze skóry foki. To, które posiadali, już zupełnie było zniszczone. Wyrobione przez nich obuwie wiele pozostawiało do życzenia, ale przynajmniej było obszerne i wygodne.

Ponieważ, pomimo silnych upałów, na początku 1866 r. Gedeon i Harbert chodzili ciągle na polowania i codziennie świeżą przynosili zwierzynę, przez co znacznie zmniejszały się zapasy prochu i kul znalezione w skrzyni, przeto Cyrus Smith, chcąc zaoszczędzić pozostałe naboje na nieprzewidziany wypadek, postanowił zastąpić je inną substancją, łatwiejszą do otrzymania.

Dotąd nie znaleziono na wyspie ołowiu, trzeba więc było zastąpić zwykłe kule ołowiane siekańcami z żelaza. Jakkolwiek inżynier posiadał wszystko, co wchodzi w skład prochu, to jest siarkę, saletrę i węgiel, jednak brakowało mu stosownych i niezbędnych do wyrobienia go narzędzi. Dlatego też wolał poprzestać na pyroksylinie, czyli bawełnie strzelniczej, do której bawełna nie jest nieodbicie potrzebna, gdyż wchodzi do składu tej substancji tylko jako drzewnik, zawierający się także w stanie dość czystym w lnie, konopiach, papierze, starej bieliźnie, w rdzeniu bzu czarnego i t. d. Właśnie na wyspie mnóstwo było bzu czarnego lekarskiego przy ujściu Czerwonego strumienia, i koloniści używali już zamiast kawy jagód tego krzewu, należącego do rodziny wiciokrzewowatych.

Dość było nazbierać tego drzewnika, czyli rdzenia bzu czarnego, aby posiadać jedną niezbędną substancję do wytwarzania bawełny strzelniczej. Drugą, to jest kwas azótowy dymiący, łatwo mógł inżynier otrzymać, gdyż nie brakowało saletry.

Postanowił tedy fabrykować bawełnę strzelniczą (pyroksylinę) choć wiedział, że pod wielu względami ustępuje prochowi. Najpierw zapala się już przy temperaturze 74°, proch zaś dopiero w temperaturze 240° Reaumura; a nadto, przy całkowitem nagłem spaleniu, może wywołać uszkodzenie broni. Obok tej wadliwości, bawełna strzelnicza posiada przecież ważne zalety, a mianowicie: wilgoć jej nie psuje, nie zanieczyszcza lufy broni, siła jej wybuchu jest cztery razy silniejsza, niż zwyczajnego prochu.

Cyrus posiadał tylko kwas azotowy zwyczajny, a nie kwas azotowy dymiący, nazwany tak dlatego, że w zetknięciu z powietrzem wydaje dym białawy. Jednak, używając kwasu azotowego zwyczaj-

nego, zmieszanego w stosunku trzech części na pięć części z kwasem siarczanym stężonym, mógł otrzymać i otrzymał dobre wyniki. Tym sposobem koloniści mieli wkrótce do swego rozporządzenia bawełnę strzelniczą, która roztropnie używana wielkie im zapewniała korzyści.

Obok tych wszystkich zajęć, koloniści wykarczowali jeszcze trzy akry gruntu na płaszczyźnie Pięknego Widoku; reszta miała służyć na pastwisko dla onagów. Z lasów Żakamaru i Dalekiego Zachodu przyniesiono różne dzikie rośliny, jak szpinak, rzeżuchę, chrzan, rzepę, i inne, które miano udoskonalić przez umiejętne hodowanie i tym sposobem urozmaicić pożywienie, dotąd wyłącznie prawie składające się z rozmaitej zwierzyny. Zwieziono także znaczny zapas węgla i drzewa na zimę, a każde przejście ciężkiego wozu ubijało i poprawiało świeżo utorowane drogi.

Królikarnia zasilała także ciągle kuchnię Granitowego pałacu, a że leżała za Glicerynowym strumieniem, mieszkańcy jej nie mogli wchodzić na płaszczyznę i niszczyć świeżo zasadzonych roślin. Ostrygarnia, znajdująca się wśród skał nadbrzeżnych, dostarczała codziennie świeżych ostryg, a w jeziorze i w rzece Mercy Penkroff łowił na wędkę prześliczne pstrągi i inne smaczne ryby.

Koloniści robili także wycieczki do przylądka Szczęki, odwiedzanego często przez żółwie morskie. Wybrzeże było tam najeżone małemi wypukłościami, zawierającemi w sobie jaja żółwie kuliste, w twardej skorupie, posiadające tę własność, że białko ich nie ścina się nigdy tak, jak w jajach ptasich. Młode żółwie wylęgają się z nich pod działaniem promieni słonecznych a liczba jaj musiała być wielka, skoro każda samica znosi rocznie do dwustu pięćdziesięciu.

— Mamy tu pole, na którem rodzą się jaja — powiedział żartem Gedeon Spilet — i potrzebujemy tylko schylić się, aby zbierać jego plony.

Nie poprzestając na tych plonach, koloniści polowali i na same żółwie, gdyż mięso ich jest bardzo posilne i smaczne. Rosół z żółwia, przyprawiony ziołami aromatycznemi i skorupiakami, zjednywał zawsze Nabowi zasłużone pochwały.

Musimy tu jeszcze przytoczyć fakt, który dozwolił mieszkańcom wyspy Lincolna zaopatrzyć spiżarnię w świeże zapasy na zimę. Tysiące łososi wpłynęły do Mercy w czasie, kiedy samice szukają dogodnego miejsca do złożenia ikry. Dosyć było w kilku miejscach rzekę zastawić, aby złowić kilkaset tych ryb, które po zasoleniu przechowano na zimę, gdy lód, pokrywający wodę, nie da zajmować się połowem.

W tym także mniej więcej czasie zmyślny i roztropny Jow został wyniesiony do godności lokaja. Ubrano go w płócienną kurtkę, krótkie spodnie i fartuch z kieszeniami, któremi nie mógł się dość nacieszyć; kładł w nie ciągle ręce i gniewał się, gdy ktoś do nich zaglądał. Nab wytresował doskonale zręcznego orangutanga;

mogło się zdawać, że murzyn i małpa rozumieją się doskonale. Jow przywiązał się bardzo do mistrza, który też odwzajemniał mu się za to; dyli prawie zawsze razem w kuchni, i Jow naśladował wszystkie czynności murzyna. Jeżeli nauczyciel gorliwie i z największą cierpliwością starał się o wykształcenie ucznia, to uczeń niemniej gorliwie korzystał z dawanych mu nauk.

Łatwo sobie wyobrazić zadowolenie mieszkańców Granitowego pałacu, gdy nieuprzedzeni o tem pierwej, zasiadając do stołu, ujrzeli Jowa w opisanem powyżej ubraniu, z serwetą zawieszoną na ręce. Zręczny i uważny, wywiązał się doskonale ze swego zadania: zmieniał talerze, przynosił półmiski, podawał wodę do picia — a wszystko to czynił z powagą, rozśmieszającą kolonistów i wprawiającą Penkroffa w zachwyt.

Wołano ze wszystkich stron:

— Jow, nalej mi zupy!

— Jow, podaj mi kawałek pieczeni!

— Jow, zmień talerze!

— Jow, dobry Jow, zręczny Jow!

Rozsądne zwierzę uwijało się żwawo, spełniając te rozkazy, pomrukując z zadowolenia, gdy Penkroff, klepiąc je po ramieniu, powtarzał żartobliwie:

— Doprawdy, Jowie, trzeba ci będzie podwoić zasługi.

Nie potrzebujemy dodawać, że Jow przyzwyczaił się już zupełnie do pobytu w Granitowym pałacu, a chociaż często towarzyszył swym panom do lasu, nie okazywał nigdy chęci do ucieczki. Zabawnie wyglądał, gdy szedł, trzymając na ramieniu zamiast strzelby laskę, którą mu Penkroff zrobił. A jak zwinnie wskakiwał na najwyższe drzewo, gdy trzeba było z wierzchołka jego zerwać owoc; jak zręcznie i prędko podnosił wóz, jeżeli koła jego ugrzęzły w błocie!

Przy końcu stycznia koloniści rozpoczęli nowe i ważne prace w środkowej części wyspy. Wiemy już, że mieli zamiar ogrodzić wpobliżu Czerwonego strumienia, u stóp góry Franklina, dość znaczną przestrzeń gruntu, aby tam pomieścić muflony, które miały im dostarczać wełny na zimowe ubrania.

Codzień rano wszyscy lub tylko Penkroff, Harbert i Cyrus Smith udawali się do źródeł strumienia. Tam, na południowym stoku góry, wybrano żyzną i dość obszerną łączkę, pokrytą kępami drzew i przerżniętą strumykiem, wpadającym do Czerwonego strumienia. Otóż tę łączkę trzeba było otoczyć tak wysoką palisadą, aby najzwinniejsze nawet zwierzę nie mogło przez nią przeskoczyć.

Prace około owczarni zajęły trzy tygodnie czasu, gdyż oprócz palisady Cyrus Smith zbudował tam jeszcze obszerne szopy z desek, aby muflony miały gdzie schronić się w czasie burzy. Wszystko zresztą musiało być mocno zbudowane, gdyż muflony są bardzo silne, i zwłaszcza z początku trzeba było obawiać się ich gwałtowności.

Po skończeniu owczarni, dnia 7 lutego zrobiono wielką obławę na muflony, w której wszyscy brali udział. Gedeon Smith i Harbert pojechali wierzchem na onagach, które i w tym razie okazały się bardzo użyteczne.

Polowanie zasadzało się głównie na tem, aby naganiać muflony i dzikie kozy do owczarni. Dlatego też Cyrus, Penkroff, Nab i Jow stanęli na obranych stanowiskach w lesie, a jeźdźcy i Top galopowali dokoła ogrodzenia, zacieśniając coraz koło i wydając głośne okrzyki dla płoszenia muflonów i naganiania ich do zagrody.

Polowanie odbywało się właśnie na pastwiskach, licznie uczęszczanych przez te piękne zwierzęta, równające się wzrostem danielowi, a przypominające azjatyckiego barana argali rogami, silniejszemi niż u zwyczajnych baranów, i wełną szarawą.

Ze stu najmniej muflonów zaledwie trzydzieści i dziesięć dzikich kóz wpadło przez otwartą bramę do ogrodzenia, gdzie też zamknięto je natychmiast. Koloniści i z tego byli zadowoleni, zwłaszcza, że samice znajdowały się między schwytanemi zwierzętami w znacznie przeważającej liczbie, a można więc było spodziewać się wkrótce pomnożenia owczarni.

Gdy koloniści wrócili do domu, upadali prawie ze znużenia, a pomimo to nazajutrz udali się do owczarni. Wszystko znaleźli w dobrym stanie. Wprawdzie muflony probowały przewrócić palisadę lecz, widząc że bezkutecznie uderzają w nią rogami, uspokoiły się nieco.

Miesiąc luty przeszedł bez żadnego ważniejszego wypadku. Ulepszono już istniejące drogi i utorowano nowe od owczarni do zachodniego wybrzeża, gdyż dotąd jeszcze nieznaną dla kolonistów częścią wyspy był wielki las, pokrywający półwysep Wężowaty, gdzie ukrywały się krwiożercze zwierzęta, z których Gedeon Spilett postanowił oczyścić wyspę Lincolna.

Przed nadejściem zimy zajęto się gorliwie przesadzaniem dzikich roślin, które Harbert przynosił z każdej wycieczki do lasu: szczaw zwyczajny, kilka odmian kartofli, których dotąd poznano już przeszło dwieście gatunków, jakąś inną użyteczną roślinę. Każdą z nich sadził na osobnej kwaterze w ogrodzie warzywnym.

Na brak napojów nie mogli także się uskarżać; prócz herbaty, posiadali jeszcze napój z korzeni draceny i istne piwo, które Cyrus Smith wyrabiał z młodziutkich odrośli pewnego gatunku świerku, zwanego *Abies nigra;* one to po wygotowaniu i fermentacji dają smaczny i zdrowy napój, zwany przez Anglo-Amerykanów „spring-beer”, to jest piwo wiosenne.

Przy końcu lata przybyło do kurnika parę dropiów i kilka innych ptaków z rodziny grzebiących, a między niemi pyszne koguty z czarnemi czubami, podobne do kogutów mozambickich.

Wszystko szło jak najlepiej, dzięki niezmordowanej praco-

witości tych odważnych i rozumnych ludzi. Wprawdzie Opatrzność widocznie czuwała nad nimi, ale oni też wiernie trzymali się tej zasady: *„Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże!”*

W piękne letnie wieczory po skończonej pracy koloniści odpoczywali razem w altanie, pokrytej pnącemi się roślinami, postawionej przez Naba na skraju płaszczyzny Pięknego Widoku. Tam uczyli się wzajemnie, układali plany na przyszłość i rozmawiali o swej pięknej i ukochanej Ameryce. Chociaż nie wiedzieli nic o dalszych losach wojny, mieli jednak moralne przekonanie, że się już skończyć musiała, że Północ, walcząca za dobrą sprawę, odniosła stanowcze zwycięstwo. Tylko Cyrus Smith rzadko mieszał się do rozmowy, gdyż myśl jego była głównie zajęta dziwnemi wypadkami, które spotykały ich na wyspie i dotąd jeszcze stanowiły dla niego tajemniczą zagadkę.

ROZDZIAŁ XXXI.

Burze. — Winda hydrauliczna. — Wyrób szkła. — Drzewo chleba. — Częste wycieczki do zagrody. — Powiększenie się stada. — Pytanie reportera. — Dokładne oznaczenie położenia wyspy. — Projekt Penkroffa.

Czas zmienił się z początkiem marca, upały były nieznośne, a powietrze tak przesycone elektrycznością, że trzeba się było obawiać burzy. Rzeczywiście drugiego marca przy gwałtownym wietrze, przy huku grzmotów i piorunów, zaczął padać grad wielkości gołębiego jaja, uderzając w okna Granitowego pałacu tak mocno, że musiano pozamykać szczelnie drzwi i okiennice, aby nie wpadał do pokojów.

Przez osiem dni srożyła się burza z gwałtownemi grzmotami. Pioruny rozstrzaskały kilkadziesiąt drzew, a spadając na wybrzeże, stopiły i zeszkliły piasek. Gdy inżynier znalazł powstały tym sposobem fulgurit czyli piorunowiec, przyszło mu na myśl, że będzie mógł zaopatrzyć okna Granitowego pałacu w grube szyby, które zabezpieczą jego mieszkańców od wiatru, deszczu i gradu.

Przez cały ten czas koloniści zajmowali się różnemi pracami wewnątrz domu, robili półki i szafy do ustawiania różnych przedmiotów. Inżynier zaś urządził tokarnię. Tak więc oględni i pracowici nie marnowali nigdy ani chwilki czasu.

Nie zapomniano także o Jowie i przy głównym składzie odgrodzono dla niego osobny pokoik, w którym usłano mu wygodne łoże z mchu i suchych liści.

— Nieoszacowany ten nasz Jow — powtarzał często marynarz. — Z nikim się nie sprzecza, nigdy nie usłyszysz od niego niewłaściwej odpowiedzi! Doprawdy, nieoceniony z niego służący.

To mój uczeń — mówił wówczas Nab — który dorówna mi wkrótce.

— Ba! on już przewyższa cię teraz, Nabie — odpowiadał, śmiejąc się, marynarz — bo ty mówisz, a on milczy.

Łatwo się domyśleć, że Jow coraz większej nabywał wprawy: trzepał suknie, obracał rożen, zamiatał pokoje, usługiwał do stołu, przynosił i układał drzewo, wreszcie, co najwięcej cieszyło Penkroffa, nie położył się spać, dopóki nie otulił się w łóżku prześcieradłem zacnego marynarza.

Wszyscy koloniści wybornem cieszyli się zdrowiem. Pędząc życie na wolnem powietrzu, w klimacie umiarkowanym i zdrowym, zajęci pracą fizyczną i umysłową, mogli nie lękać się żadnej choroby. Harbert urósł o dwa cale w przeciągu tego roku, twarz jego zaczęła nabierać męskiego wyrazu, i wszystko zapowiadało, że chłopiec rozwinie się korzystnie, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Korzystając chciwie z każdej chwili, wolnej od ręcznej pracy, czytywał książki, znalezione w skrzyni, a oprócz nauki praktycznej, wynikającej z codziennych jego zatrudnień, miał jeszcze gorliwych nauczycieli w Cyrusie do nauk ścisłych, w reporterze do języków.

Inżynier pragnął przekazać całą swą wiedzę Harbertowi: uczył go zarówno przykładami, jak słowami, a młody chłopiec umiał korzystać z nauk zacnego nauczyciela.

— W razie mej śmierci — myślał nieraz Cyrus — on mnie zastąpić potrafi.

Około tego czasu w stajni przybyła mała onaga, a w owczarni kilkanaście jagniątek. Spróbowano także, czy się nie uda przyswoić pekarów, i próba udała się doskonale. Postawiono obok kurnika chlewek, a wkrótce potem kilka małych zwierzątek zaczęło się w nim tuczyć za staraniem Naba. Jow, na którego włożono obowiązek przynoszenia im codziennej żywności, to jest pomyj, obierzyn i tym podobnych rzeczy, sumiennie wywiązywał się ze swego zadania; choć czasem bawił się kosztem swych stołowników, nie pochodziło to bynajmniej ze złości, tylko bawiły go bardzo małe pokręcone ogonki.

Pewnego dnia Penkroff, rozmawiając z inżynierem, przypomniał mu obietnicę, której Cyrus nie miał czasu dotąd spełnić.

— Wspomniałeś pan o przyrządzie, którym możnaby zastąpić drabinę, wiodącą do Granitowego pałacu. Czy nie zechciałbyś pan zająć się tem obecnie?

— Mówisz zapewne o windzie hydraulicznej — powiedział Cyrus.

— Niech się nazywa i hydrauliczna, skoro pan tak chcesz. Mnie nie idzie o nazwisko, lecz o łatwiejsze wejście do mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Penkroffie, ale czy potrzebne?

— Bez wątpienia, panie Cyrusie. Skoro własną pracą pozyskaliśmy już rzeczy potrzebne, wolno nam pomyśleć o wygodzie. Zresztą dla nas samych może byłoby to zbyteczne, ale do wnoszenia ciężarów prawie niezbędne. Ciężko wchodzić na tak wysoką drabinę, dźwigając ciężar na grzbiecie.

— Dobrze, Penkroffie, spełnię twoje życzenie.

— I zrobisz pan maszynę parową?

— Nie, będzie to maszyna, poruszana wodą, a zbudowanie jej nie jest zbyt trudne.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że przy zamurowaniu dawnego upustu pozostawiono mały otwór, przez który wpływała dostateczna ilość wody na zaspokojenie potrzeb mieszkańców Granitowego pałacu. Otóż obecnie powiększono ten otwór, przez co utworzył się dość silny spadek wody, spływającej następnie do studni, umieszczonej tuż pod nim, wewnątrz korytarza. Pod tym spadkiem umieścił inżynier koło, podobne do tych, jakie obracają młyny wodne, a zostające w styczności zapomocą trybu i drąga z drugim kołem zewnętrznem, około którego obwijała się gruba lina, utrzymująca wielki i mocny kosz. Tym sposobem zapomocą sznura, spadającego aż do ziemi, można było wprawić w ruch lub powstrzymać motor hydrauliczny i, stosownie do woli, podnieść się w koszu aż do drzwi lub też spuścić nadół.

Siedemnastego marca windy po raz pierwszy użyto i odtąd już stale zastąpiła drabinę, której też nikt nie żałował. Najwięcej zadowolenia okazywał Top, który nie mógł tak zręcznie wchodzić na drabinę jak Jow i z początku zwykle na grzbiecie Naba, a następnie orangutanga, przebywał tę przykrą dla siebie drogę.

W parę dni później Cyrus Smith rozpoczął przygotowania do wyrobu szkła od przerobienia pieca garncarskiego na hutniczy. Czynność ta przedstawiała liczne trudności, które jednak zdołał pokonać po wielu próbach, przy współudziale reportera i Harberta, swych zwykłych pomocników.

Cyrus Smith miał pod ręką materjały, wchodzące w skład szkła, to jest biały piasek, kredę i sodę. Piasku dostarczało wybrzeże, kredy — wapno, sody — rośliny morskie, kwasu siarczanego — piryty, a opału do ogrzania pieca — kopalnia węgla kamiennego. Najtrudniejszem do wyrobienia narzędziem była rurka żelazna, długa na pięć stóp, zwana „cybuchem" lub „piszczelem"; rurka ta z jednego końca jest obłożona drzewem, drugim zaś zanurza się w roztopionej masie szklanej. Penkroff niemało się napracował, zanim udało mu się zrobić dość dobry cybuch z cienkiej i długiej sztabki żelaza, którą zwinął w kształcie lufy od strzelby.

Dwudziestego ósmego marca rozpalono mocno piec. Cyrus Smith zmieszał 100 części piasku białego z 35 częściami kredy,

40 sody i 2 częściami sproszkowanego węgla. Wszystko to wsypał do tyglów z gliny ogniotrwałej, umieszczonych w piecu. Gdy, pod wpływem wysokiej temperatury pieca, masa roztopiła się a następnie przez zmniejszanie ognia stała się ciągnącą, Cyrus umaczał w niej koniec cybucha, wydął nieco przyczepioną do niego kulkę, aby nie zatkała otworu cybucha, obracał przez pewien czas na przygotowanej blasze i podał Harbertowi, aby ją dalej wydymał przez otwór cybucha.

— Czy w ten sposób, jak się robi bańki mydlane?

— Zupełnie tak samo — odpowiedział Cyrus.

Harbert dopóty dął, obracając ciągle cybuch, dopóki się kulka nie rozszerzyła; wówczas dodano do niej większą ilość masy przez powtórne umaczanie w tyglu. Wreszcie przez ciągłe wydymanie i obracanie utworzyła się bańka, mająca stopę średnicy. Cyrus wziął wtedy cybuch z rąk Harberta i nadając mu ruch wahadłowy, wydłużał bańkę tak, że przybrała kształt podłużny.

Obcięto następnie tę bańkę u dołu i góry, rozcięto wzdłuż żelaznem ostrzem, umaczanem w zimnej wodzie, i po stosownem ogrzaniu, umieszczono na gorącej blasze, gdzie wyprostowano drewnianym wałkiem.

Pierwsza szyba była zrobiona. Gdy powtórzono tę czynność pięćdziesiąt razy, okna Granitowego pałacu zaopatrzono w szyby, wprawdzie niebardzo białe i przejrzyste, ale przepuszczające dostateczną ilość światła.

Szklanki i butelki daleko mniej kosztowały pracy, tem bardziej, że brano takie, jakie się udały. Penkroff prosił, aby mu także pozwolono zająć się tą pracą. Tak mocno jednak dął w cybuch, że wyroby jego przybierały najdziwaczniejsze kształty. Niewymownie go to cieszyło.

W tym czasie odkryto nowe i nader użyteczne drzewo. Harbert, idąc przez las z inżynierem, zatrzymał się nagle z radosnym okrzykiem.

— A! panie Cyrusie, spojrzyj na to drzewo.

Mówiąc to, wskazywał ręką małe drzewko bez gałęzi, pokryte łuskami.

— Cóż to za drzewo, tak podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus.

— Jest to *cycas revoluta,* którego rysunek znajduje się w naszym podręczniku historji naturalnej.

— Nie widzę na nim żadnego owocu.

— Tak, panie Cyrusie, ale pień jego dostarczy nam mąki już zmielonej.

— W takim razie, mój chłopcze, zrobiłeś nieocenione dla nas odkrycie, zwłaszcza, gdy nie mamy dostatecznej ilości pszenicy. Ale czy się tylko nie mylisz.

Harbert nie mylił się, był to rzeczywiście sagowiec. Gdy złamano jego łodygę, przekonano się, że rdzeń zawiera mąkę, przesiąkniętą kleistym sokiem niemiłego smaku, który jednak łatwo było usunąć przez wyciskanie w prasie. Ten gatunek sagowca znajduje się także w Japonji, a wywóz pożywnej jego mąki był dawniej surowo zakazany prawami tego kraju.

Cyrus i Harbert przyjrzeli się dobrze tej części i, wracając do domu, znaczyli drogę, aby mogli później znaleźć miejsce, w którem rosły sagowce. Zaraz nazajutrz wszyscy się tam udali, a Penkroff, coraz więcej zachwycony wyspą, zapytał inżyniera:

— Jak pan sądzisz, panie Cyrusie, czy są wyspy, przeznaczone dla rozbitków?

— Co przez to rozumiesz, Penkroffie?

— Pytam się, czy są wyspy umyślnie nato stworzone, aby przy nich można się było rozbić szczęśliwie, to jest takie, na których biedni rozbitkowie mogliby zapracować sobie na wygodne życie.

— Bardzo to być może — odpowiedział z uśmiechem inżynier.

— Dla mnie jest to rzeczą pewną — odpowiedział marynarz — a niewątpliwie wyspa Lincolna należy do ich liczby.

Koloniści przywieźli do domu znaczną ilość pieńków sagowca. Inżynier urządził prasę do wyciskania kleistej cieczy, a niezadługo Nab wyrabiał z białej sagowej mąki placki i budynie. Nie był to jeszcze chleb, ale przynajmniej coś bardzo podobnego.

Wszystko szło więc pomyślnie na wyspie, i koloniści tak się przyzwyczaili do niej, że z żalem opuściliby jej gościnną ziemię. Pomimo to przywiązanie do rodzinnej ziemi tak silnie jest zakorzenione w sercu człowieka, że, gdyby zjawił się na morzu okręt, staraliby się zwrócić na siebie uwagę jego osady zapomocą sygnałów i wróciliby z ochotą do kraju.

Tymczasem wyspa Lincolna była często przedmiotem ich rozmowy. Pewnego dnia dało to powód do pytania, które pociągnęło za sobą ważne następstwa.

Było to 1 kwietnia, w niedzielę, w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, który koloniści poświęcili wyłącznie modlitwie i czytaniu Pisma Ś-go. Dzień był piękny, choć trochę chłodny. Wieczorem wszyscy zasiedli w altanie i, pijąc odwar z jagód bzowych, zastępujący im kawę, rozmawiali o swej wyspie i samotnem jej położeniu na oceanie Spokojnym, wskutek czego Gedeon Spilett zapytał inżyniera:

— Powiedz mi, kochany Cyrusie, czy, odkąd posiadasz sekstans, nie obrachowałeś powtórnie geograficznego położenia naszej wyspy?

— Nie — odpowiedział Cyrus.

— Zdaje mi się, że wartoby się tem zająć, posiadając odpowiednie i dokładne narzędzie.

A to poco? — zapytał marynarz. — Wyspa jest z pewnością tam, gdzie wówczas była.

— Bez wątpienia — odpowiedział Gedeon — lecz pierwsze obrachowanie mogło być niedokładne z powodu braku stosownych narzędzi.

— Masz słuszność, kochany Gedeonie, mogłem się pomylić o kilka stopni. Zaraz jutro sprawdzę.

— Ba! — rzekł marynarz — pan Cyrus nie mógł się pomylić. Jeżeli więc wyspa nie poruszyła się z miejsca, to jest tam, gdzie ją umieścił.

Po sprawdzeniu nazajutrz obrachowania pokazało się, że Cyrus Smith, pomimo niedokładności pierwszych narzędzi, omylił się tylko o pięć stopni.

— Teraz — rzekł Spilett — ponieważ posiadamy także atlas, oznacz, kochany Cyrusie, dokładnie położenie naszej wyspy na oceanie Spokojnym.

Harbert przyniósł atlas, rozwinięto mapę oceanu Spokojnego, a inżynier wziął cyrkiel, aby oznaczyć położenie wyspy.

Nagle cyrkiel wysunął mu się z ręki.

— Patrzcie! na tej części oceanu jest jakaś wyspa.

— Wyspa? — zawołał Penkroff.

— Zapewne nasza — rzekł Gedeon Spilett.

— Nie — rzekł Cyrus — gdyż leży o 2 i pół stopnia więcej na zachód i 2 stopnie niżej na południe, niż wyspa Lincolna.

— Jak się nazywa?

— Wyspa Tabor.

— Czy to znaczniejsza wyspa?

— Nie, mała i samotna wysepka, zapewne mało komu znana.

— No to my ją poznamy — rzekł Penkroff.

— My?

— Tak, panie Cyrusie, zbudujemy szalupę, a ja podejmuję się nią kierować. Jak daleko może być od nas wyspa Tabor?

— O jakie sto pięćdziesiąt mil!

— To niedaleko — rzekł Penkroff. — Przy dobrym wietrze można do niej dopłynąć w czterdzieści osiem godzin.

— Ale w jakim celu? — zapytał reporter.

— Trudno naprzód wiedzieć, naco się to przydać może.

Na żądanie marynarza postanowiono zbudować mocną szalupę, tak, aby za powrotem ciepłej pory roku, to jest w początku października, można się było puścić na morze.

ROZDZIAŁ XXXII.

Budowa szalupy. — Nowa roślina więcej przyjemna, niż pozyteczna. — Wieloryb wpobliżu. — Harpun. — Pocięcie wieloryba. — Zastosowanie fiszbinu. — Koniec maja. — Spełnione pragnienie Penkroffa.

Gdy Penkroff powziął jaki zamiar, nie uspokoił się i nie dał innym spokoju aż doprowadził go do skutku. Otóż obecnie chciał zwiedzić wyspę Tabor, a że do tego statek większych rozmiarów był koniecznie potrzebny, więc myślał tylko o tem, aby go zbudować. Wkońcu, po długiej naradzie jego z inżynierem, stanęło na tem, że obaj zajmą się zbudowaniem statku większych rozmiarów z pomostem, dwoma kajutami, opatrzonego w maszty i żagle — słowem, zdatnego do żeglugi około brzegów i na pełnem morzu. Z początku wahano się co do wyboru drzewa jodłowego, jako łatwiejszego do obróbki i również dosyć trwałego.

W osiem dni później już zwieziono drzewo, założono warsztat między Kominami i Granitowym pałacem. Cyrus Smith nie przystępował na ślepo do tak ważnej pracy, lecz obrachował wszystko dokładnie i odrysował na papierze cały plan statku. Penkroff był mu bardzo pomocny, gdyż, pracując przez lat kilka w warsztatach okrętowych w Brooklynie, nabył praktycznych wiadomości. Oddał się też gorąco pracy, gdyż całą duszą pragnął, aby przedsięwzięcie powiodło się szczęśliwie.

Raz tylko oderwał się dość chętnie od zajęcia w dniu 15 kwietnia, gdy wypadło powtórne żniwo, które stosunkowo dało plon równie pomyślny jak pierwsze.

— Panie Cyrusie! mamy już półtrzeciej ćwiartki — zawołał marynarz, przemierzywszy pszenicę.

— W takim razie — rzekł inżynier — rachując po dwieście sześćdziesiąt tysięcy ziarn na ćwiartkę, mamy już sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziarn.

— I te zasiejemy znowu, odłożywszy małą tylko cząstkę na nieprzewidziany wypadek?

— Tak, Penkroffie. A jeżeli przyszły zbiór będzie równie pomyślny, będziemy mieli pięćset korcy pszenicy i to z jednego ziarnka.

— I będziemy jedli chleb?

— Będziemy.

— Ale nie mamy jeszcze młyna.

— Postawimy go.

Gedeon i Harbert wychodzili często na polowanie i zapuszczali się w nieznane im dotąd części Dalekiego Zachodu. Reporter brał w takim razie busolę kieszonkową, aby nie zabłądzić w tej gęstej kniei, gdzie dochodziły zaledwie promienie słońca. W czasie jednej z takich wycieczek Gedeon Spilett, wyprzedziwszy Harberta o kilka-

dziesiąt kroków, wszedł na małą polankę, gdzie uwagę jego zwróciła swym zapachem pewna roślina o kwiatach, ułożonych w kiście, i drobniutkich nasionkach. Reporter zerwał kilka gałązek i rzekł, przystępując do towarzysza:

— Cóż to za roślina, Harbercie?

— A gdzieś ją pan znalazł?

— Tam na tej polance, gdzie rośnie w wielkiej obfitości.

— Panie Gedeonie, to odkrycie nadaje panu prawo do nieograniczonej wdzięczności ze strony Penkroffa.

— Więc to tytoń?

— Tak, a choćby nie był w najlepszym gatunku, to zawsze Penkroff będzie miał co palić.

— Jakże się ucieszy nasz poczciwy marynarz! A i dla nas będzie to jedna więcej przyjemność, bo przecie nie wypali wszystkiego.

— Przyszła mi wyborna myśl, panie Spilett. Nie mówmy nic Penkroffowi, dopóki nie przyrządzimy tytoniu, a wtedy podamy mu nałożoną już fajkę.

— Dobrze, Harbercie. W tym dniu spełnione będą gorące życzenia naszego zacnego towarzysza.

Zebrali znaczną ilość liści drogocennej rośliny a, wróciwszy do Granitowego pałacu, ukryli tak starannie, jakgdyby Penkroff był strażnikiem celnym. Przypuszczono do tajemnicy inżyniera i Naba. Marynarz, zajęty ciągle budową statku, nie domyślał się nawet, jaka czeka go przyjemność, choć trzeba czekać dwa miesiące czasu, aby wysuszyć liście, pokrajać i poddać pewnemu rodzajowi prażenia na rozgrzanych kamieniach.

Około pierwszego maja marynarz raz jeszcze musiał się oderwać od swego ulubionego zajęcia. Przez kilka dni zrzędu spostrzegano o dwie lub trzy mile od wyspy ogromnego wieloryba, który, jak się zdawało, musiał należeć do gatunku, znanego pod nazwą wielorybów południowych.

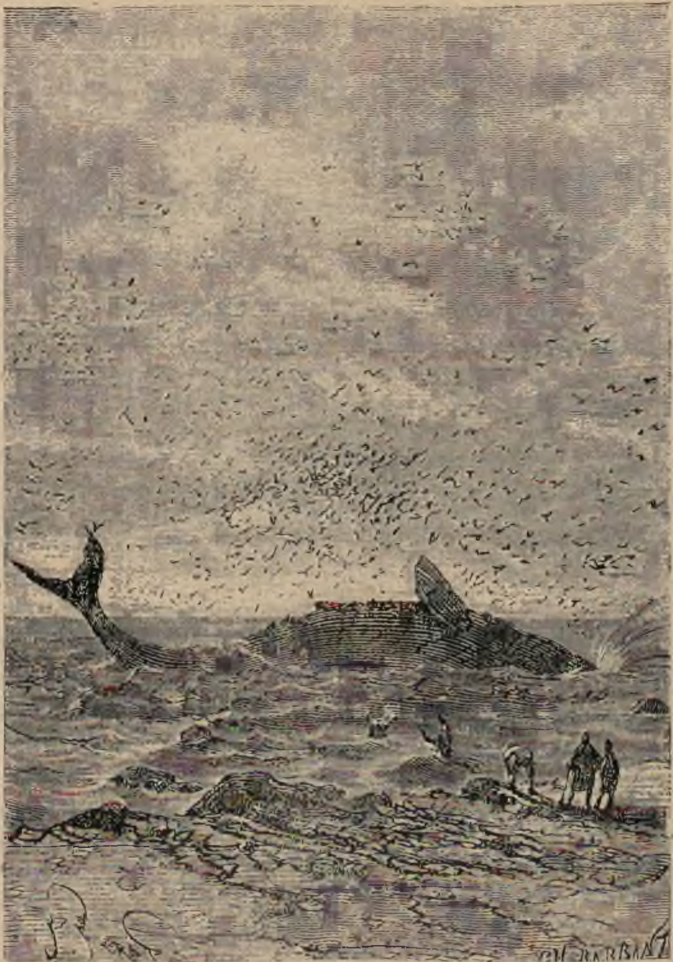
— A! — zawołał marynarz — gdybyśmy mieli odpowiedni statek i dobry harpun, umiałbym rozpocząć polowanie na tego olbrzyma.

— Prawdę mówiąc, Penkroffie — rzekł Spilett — radbym widzieć cię, ciskającego harpunem. Musi to być ciekawe polowanie.

— Ciekawe i dość niebezpieczne — powiedział inżynier — ale jak na teraz, przechodzące naszą możność.

— Dziwi mię to, że widzę wieloryba pod tą szerokością geograficzną.

— Dlaczego, panie Spilett? — odezwał się Harbert — Znajdujemy się właśnie w części oceanu Spokojnego, zwanej przez angielskich i amerykańskich rybaków „Whale-Field" (pole Wielorybów), i tu właśnie, między Nową Zelandją i Ameryką południową,



— *Jakiż to potwór! — krzyknął Nab (str. 172).*

spotkać można najwięcej statków, trudniących się połowem wielorybów na półkuli południowej.

— Harbert ma słuszność — rzekł Penkroff. — Mnie to właśnie dziwi, że dotąd ich nie widzieliśmy.

Penkroff wrócił do roboty z westchnieniem żalu, gdyż każdy marynarz ma pociąg do takiego polowania, a tu prócz przyjemności podobna zdobycz byłaby bardzo korzystna dla kolonji, gdyż

pozwoliłaby zaopatrzyć się w tłuszcz i fiszbin, dające się w rozmaity sposób zużytkować.

Tymczasem wieloryb, jak na przekorę, nie oddalał się od wyspy, i koloniści mogli ciągle śledzić jego ruchy przez lunetę. Pływał szybko po obszernej zatoce Unji od przylądka Szczęki do przylądka Szponów. Czasami tak blisko podpływał do wyspy, że mu się dobrze przyjrzeć można było. Był to rzeczywiście wieloryb południowy, całkiem czarny, z głową bardziej spłaszczoną, niż u wielorybów północnych. Wyrzucał wgórę nozdrzami wysokie słupy pary czy wody, bo chociaż to się może wydawać dziwnem, naturaliści nie zgadzają się jeszcze pod tym względem; przemaga jednak zdanie, że to para zgęszczona nagle przez zetknięcie z zimnem powietrzem, spada w rzęsistych kroplach wody.

Ciągła obecność tego morskiego ssącego zwierza drażniła kolonistów, a najwięcej Penkroffa, który nawet we śnie marzył o nim. Gdyby nie brak harpuna i statku, zdolnego utrzymać się na pełnem morzu, byłby gotów rozpocząć walkę z wielorybem.

W dniu trzecim maja krzyki Naba, stojącego w oknie kuchni, uwiadomiły kolonistów, że morze wyrzuciło na brzeg wieloryba. Wszyscy natychmiast porzucili robotę i, uzbroiwszy się w okute drągi, pobiegli na wybrzeże cypla Skrzyni, gdzie leżał wieloryb. Chociaż musieli zrobić trzy mile angielskie drogi, stanęli zaledwie po dwudziestu minutach przy olbrzymiem zwierzęciu, nad którem unosiły się już liczne stada ptaków.

— Jakiż to potwór! — krzyknął Nab.

Wrażenie to było całkiem usprawiedliwione, gdyż wieloryb miał osiemdziesiąt stóp długości i mógł ważyć około stu pięćdziesięciu tysięcy funtów! To tylko dziwne, że potwór nie poruszał się i nie usiłował wrócić do morza, korzystając z przypływu. Wkrótce i ta zagadka została wyjaśnioną, gdy po odpływie morza koloniści zdołali się zbliżyć do zwierzęcia. Przekonali się, że leży bez życia z utkwionym w lewym boku harpunem.

— Są więc w tej stronie statki, zajmujące się połowem wielorybów! — zawołał Gedeon Spilett.

— Z czego to wnosisz? — zapytał marynarz.

— Najlepszym dowodem jest ten harpun.

— O! panie Spilett! — odpowiedział Penkroff — widziano już nieraz wieloryby, które przepłynęły tysiące mil z harpunem utkwionym w ciele. Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby i ten, będąc ranionym w północnej stronie Atlantyku, zakończył życie w południowej części oceanu Spokojnego.

— Bardzo to być może — powiedział inżynier — ale przedewszystkiem obejrzymy harpun, może też, stosownie do dosyć rozpowszechnionego zwyczaju, wyryto na nim nazwę statku.

Penkroff wyciągnął harpun, spostrzegł na nim napis i przeczytał:

Marja-Stella

Vineyard.

— Statek z Vineyard! Statek z mego kraju! — wołał z uniesieniem. — Marjo Stella! O! znam go dobrze, piękny to, śliczny statek! A! moi przyjaciele! Ten statek płynął z mojej rodzinnej ziemi, z Vineyard *).

Ponieważ trudno było przypuścić, aby osada Marji-Stelli zażądała zwrotu wieloryba, koloniści postanowili poćwiartować go jak najprędzej, zanim ulegnie zepsuciu, zwłaszcza, że ptaki drapieżne otoczyły go wkoło i nawet spłoszone wystrzałami po chwili wracały.

Penkroff służył niegdyś na statku, przeznaczonym do połowu wielorybów, mógł więc kierować ćwiartowaniem. Choć jest to bardzo niemiłe zajęcie, wszyscy koloniści brali w niem udział, nie wyłączając Gedeona Spiletta, który, jak się wyraził marynarz, wprawiał się coraz lepiej w prace, właściwe rozbitkom.

Tłuszcz, pokrajany na pasy szerokie na dwie i pół stopy, a następnie podzielony na mniejsze części, z których każda ważyła około tysiąca funtów, został stopiony w wielkich glinianych dzieżach, przyniesionych na wybrzeże. Sam język dostarczył sześć tysięcy funtów tłuszczu czyli tranu. Prócz tłuszczu, koloniści zaopatrzyli się w znaczną ilość fiszbinu, który mógł im się przydać w przyszłości. W górnej części gęby wieloryba znajdują się listwy rogowe, elastyczne, które dają znany powszechnie fiszbin; przypominają one kształtem dwa wielkie grzebienie, których zęby, długie na sześć stóp, służą do przytrzymywania tysiąca rybek i mięczaków, któremi wieloryb się żywi.

Gdy po ukończonej tej pracy koloniści zabierali się zpowrotem do domu, Cyrus wziął kilkanaście kawałków fiszbinu, podzielił je na równe części i zaostrzył na końcu.

— Do czego to będzie służyło, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Do zabijania wilków, lisów, a nawet jaguarów.

— Czy zaraz?

— Nie, dopiero w zimie, gdy już lód będziemy mieli.

— Nie rozumiem tego — rzekł Harbert.

— Zaraz ci to wytłumaczę, moje dziecię. Gdy już nadejdą mrozy, zegnę mocno każdy z tych fiszbinów i tak długo będę polewał wodą, aż pokryją się powłoką z lodu, która nie dozwoli im się wyprostować. Następnie posmaruję grubo tłuszczem i porozrzucam

*) Port w Stanie Nowego Jorku.

na śniegu. Otóż, jak tylko zgłodniałe zwierzę połknie taką przynętę, lód roztopi się w jego żołądku, a fiszbin, prostując się, przebije ostrémi końcami jego wnętrzności. — Sposobu tego używają często myśliwi w Alasce.

— To wyborny pomysł! — rzekł Penkroff.

— Czekajmy więc zimy.

— Tak, czekajmy zimy.

Budowa statku postępowała ciągle i przy końcu miesiąca można już było wnosić z jego kształtów, że będzie się dobrze trzymał na morzu. Penkroff pracował tak gorliwie, że musiał mieć żelazne zdrowie, skoro mu sił nie zabrakło; ale też towarzysze przygotowali mu nagrodę za podjęte trudy. 31 maja doznał tak wielkiej radości, że nie zapomniał jej przez całe życie.

Przy końcu obiadu, gdy marynarz chciał wstać od stołu, aby wrócić do roboty, Gedeon Spilett położył mu rękę na ramieniu, mówiąc:

— Nie śpiesz się tak, Penkroffie. — Zapominasz o wetach.

— Dziękuję, panie Spilett, śpieszę do roboty.

— Wypij przynajmniej filiżankę kawy.

— I za to dziękuję.

— No to może wypalisz fajeczkę?

Penkroff zerwał się nagle i pobladł, gdy reporter podał mu nałożoną fajkę, a Harbert rozżarzony węgiel. Nie mógł wymówić ani słowa, ale pochwycił fajkę i, przyłożywszy do niej węgiel, przytknął usta do cybucha i pociągnął kilka razy.

Niebieskawy wonny dym uniósł się w powietrze, a z poza jego kłębów odezwał się głos wzruszony i radosny:

— Tytoń! Prawdziwy tytoń!!

— Tak, Penkroffie, i do tego wyborny tytoń — rzekł inżynier.

— O wszechmocna Opatrzności! Jakże cudowne są Twoje dzieła — rzekł wzruszony marynarz. — Teraz niczego już nie brakuje na naszej wyspie. — I marynarz palił, palił chciwie, rozkoszując się dymem.

— Komuż zawdzięczam to odkrycie? — zapytał nakoniec. — Zapewne tobie, Harbercie?

— Nie, Penkroffie, panu Spilettowi.

— Panie Spilett — zawołał Penkroff i tak silnie przycisnął reportera do piersi, jakby go chciał udusić.

— O! Penkroffie — rzekł nakoniec Gedeon — do wdzięczności twojej równe mają prawo: Harbert, że rozpoznał tę roślinę, Cyrus, że przyrządził tytoń, i Nab, że nie wydał tajemnicy, choć go to wiele kosztowało.

— To też, moi przyjaciele, ja wam wszystkim chciałbym odwdzięczyć się za to i gotówbym oddać za was ostatnią krwi kropelkę.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Zima. — Folusz. — Młyn. — Zamiary Penkroffa. — Fiszbiny. — Do czego może posłużyć albatros. — Opał przyszłości. — Top i Jow. — Burze. — Spustoszenia. — Wycieczka do błot. — Cyrus Smith sam jeden. — Zwiedzenie studni.

Zima zbliżała się, trzeba więc było koniecznie zająć się sporządzaniem ciepłego odzienia. Ma się rozumieć, że Cyrus, nie posiadając maszyn i narzędzi do przędzenia wełny i tkania sukna, musiał poprzestać na daleko prostszym wyrobie. Postanowił skorzystać z własności wełny, która przez powtarzane przewracanie i ubijanie tak ściśle plącze się, że przez samo powikłanie tworzy tkaninę, zwaną pilśnią.

Inżynier z pomocą towarzyszów urządził rodzaj folusza przy spadku wody od strony wybrzeża, następnie oczyścił wełnę z tłuszczu, naprzód przez zanurzenie na kilkanaście godzin we wrzącej wodzie, a następnie przez wymycie w wodzie z sodą. Gdy wełna była dostatecznie wysuszona, przeniesiono ją do folusza, wyrobiono z niej materjał gruby, który niewiele miał wartości w Europie lub Ameryce, ale na rynkach Lincolna wysoko był ceniony. Służył nietylko na ciepłą odzież, ale i na kołdry, tak, że mogli bez obawy oczekiwać zimy 1866 — 67 roku.

Mrozy rozpoczęły się dwudziestego czerwca, i Penkroff z żalem musiał odłożyć do wiosny dalsze roboty około budowy statku. Marynarz pragnął koniecznie zwiedzić wyspę Tabor, chociaż Cyrus nie pochwalał tej podróży, nie mającej innego celu nad zaspokojenie ciekawości. Inżynier często rozmawiał o tem z Penkroffem, lecz marynarz zawsze z uporem obstawał za tą podróżą, choć może nie byłby w stanie wytłumaczyć, dlaczego jej tak gorąco pragnie.

— Dziwi mnie to, mój przyjacielu — rzekł pewnego dnia inżynier — że ty, co tak często powtarzasz, iż z żalem opuściłbyś wyspę Lincolna, tak koniecznie pragniesz ją porzucić.

— Na kilka dni, panie inżynierze, na kilka dni tylko, żeby zobaczyć, co to za wysepka!

— Zapewne nie tak piękna jak nasza.

— To nie podlega wątpliwości.

— Więc pocóż chcesz do niej płynąć?

— Żeby zobaczyć, co się tam dzieje na tej wyspie Tabor.

— Nic, prawdopodobnie, gdyż, jak się zdaje, nie jest zamieszkana.

— Kto wie?

— A jeżeli spotka cię burza?

— Tego się niema co obawiać w pięknej porze roku. Ponieważ jednak należy być przewidującym, prosiłbym, żeby w tej podróży nie towarzyszył mi nikt, prócz Harberta.

— Penkroffie — odpowiedział inżynier, kładąc rękę na ramieniu marynarza — czy sądzisz, że nie zatrułoby nam to życia, gdyby nieszczęście spotkało ciebie lub tego chłopca, który zbiegiem okoliczności stał się naszym przybranym synem?

— Panie Cyrusie — rzekł z niezłomnem przekonaniem marynarz — nie sprawimy wam tej przykrości. Zresztą pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy nadejdzie stosowna pora, a pewny jestem, że gdy pan zobaczysz nasz statek ukończony, uzbrojony, opatrzony w żagle, maszty, liny i wszystko, co potrzeba, gdy przekonasz się, jak zgrabnie i lekko będzie sunął po morzu, gdy nakoniec wszyscy razem opłyniemy na nim dokoła wyspę, wtenczas bez wahania pozwolisz na tę wycieczkę! O! mogę zaręczyć panu, że statek twój będzie arcydziełem!

— Wypadałoby przynajmniej powiedzieć: nasz statek — odrzekł inżynier.

Pierwszy śnieg spadł przy końcu czerwca, zdążono jednak pierwej nagromadzić w owczarni znaczne zapasy paszy. Obecnie koloniści urządzali nowe pułapki i porozkładali przynęty, w których pod powłoką z lodu i tłuszczu ukrywał się zgięty fiszbin. W rezultacie padło kilkanaście lisów, kilka dzików i jeden jaguar.

W tym czasie koloniści po raz pierwszy spróbowali porozumieć się z ludźmi. Gedeon Spilett oddawna nosił się z tem, aby powierzyć małą karteczkę gołębiowi lub w zakorkowanej dobrze butelce rzucić w morze. Zaniechał jednak tego, zważywszy, że niepodobna było przypuścić, aby gołąb lub butelka mogły przebyć przestrzeń tysiąca dwustu mil, które oddzielały wyspę od zamieszkałej ziemi. W ostatnim dniu czerwca udało się Harbertowi schwytać albatrosa, którego przedtem zranił w nogę wystrzałem z fuzji. Był to wielki ptak, którego rozpostarte skrzydła miały dziesięć stóp długości, mógł więc przebyć ocean Spokojny.

Albatros wyleczył się wkrótce i Harbert miał ochotę zatrzymać go i obłaskawić, lecz Gedeon Spilett przełożył mu, że należy spróbować, czy zapomocą tego ptaka nie uda im się uwiadomić mieszkańców innych ziem pobliskich o pobycie na wyspie. Harbert zgodził się na to, wiedząc, że albatros wróci tam, skąd przyleciał, a kto wie, czy nie przybył z ziemi zamieszkałej.

Bardzo być może, że w Gedeonie odezwała się żyłka dziennikarska, i pragnął przesłać krótki artykulik, streszczający przygody kolonistów wyspy Lincolna, przewidując, jak wielkiego tam narobi rozgłosu. Opisał wszystko, co się stało, treściwie na ćwiartce papieru i dołączył usilną prośbę, aby ktokolwiek znajdzie to pismo, przesłał je natychmiast do redakcji New-York-Heralda, i włożył ją w mały woreczek z gumowego płótna. Następnie przywiązał woreczek nie do nogi, lecz do szyi albatrosa, gdyż ptaki te odpoczywają zwykle

na powierzchni morza. Gdy wszyscie wypuścili powietrznego gońca, z widocznem wzruszeniem patrzyli, dopóki nie zniknął im z oczu, lecąc ku zachodowi.

— Dokąd on też leci? — zapytał Penkroff.

— Ku Nowej Zelandji — odpowiedział Harbert.

— Szczęśliwej podróży — krzyknął marynarz, nie wierzący, aby korespondencja, przesłana w ten sposób, została wręczona podług adresu.

Wraz z zimą rozpoczęły się znów roboty wewnątrz Granitowego pałacu, a między innemi robiono żagle do nowego statku. W lipcu mrozy były bardzo silne, lecz koloniści, dzięki swej zapobiegliwości, nie potrzebowali już oszczędzać drzewa i węgla. Czas też szybko im upływał, gdy, siedząc przy kominku w wielkiej sali, zajmowali się robotą, czytaniem lub też w chwilach odpoczynku ogólną rozmową.

Pewnego dnia, gdy Cyrus Smith, mówiąc o przemyśle i handlu, przepowiadał mu coraz świetniejszą przyszłość, Gedeon Spilett przerwał zapytaniem:

— Zdaje mi się jednak, Cyrusie, że ten postęp przemysłu i handlu, którym tak świetną rokujesz przyszłość, może być kiedyś powstrzymany.

— Powstrzymany? Czem?

— Brakiem węgla, który słusznie uważać można na najszacowniejszy z przedmiotów kopalnych.

— Tak, najszacowniejszy — odpowiedział Cyrus. — Wszak sama natura, chcąc to stwierdzić, utworzyła diament, który jest tylko skrystalizowanym węglem.

— Ale nie chcesz pan zapewne utrzymywać — odezwał się marynarz — że przyjdzie czas, w którym diamenty zastąpią węgle.

— Bynajmniej — odpowiedział inżynier.

— Wszakże nie możesz temu zaprzeczyć, że kopalnie węgla będą kiedyś całkiem wyczerpane? — mówił dalej Gedeon.

— Tak, ale jeszcze nie tak prędko, pomimo że sto tysięcy robotników wydobywa z nich co rok sto miljonów centnarów metrycznych węgla *).

— Przy wzrastającem ciągle zapotrzebowaniu węgla można przewidywać, że ilość ta wkrótce będzie podwojona.

— Bez wątpienia. Jednak przy ulepszonych nawet sposobach eksploatowania kopalni, pokłady węgla wystarczą jeszcze na długo.

— Na jaki też mniej więcej przeciąg czasu?

— Najmniej na dwieście kilkadziesiąt do trzystu lat.

---

*) Jeden taki centnar zawiera 100 kilogramów, czyli około 246 funtów.

— Bardzo to jest pocieszające dla nas, ale niepomyślne dla naszych prawnuków — rzekł marynarz.

— Wynajdą sobie co innego — rzekł Harbert.

— Co też oni mogą wynaleźć? — zapytał marynarz. — Czy nie domyślasz się tego, panie Cyrusie?

— Tylko do pewnego stopnia, mój przyjacielu.

— A więc powiedz nam pan, co oni będą palili zamiast węgla?

— Wodę — odpowiedział Cyrus.

— Jakto! wodę będą palili pod kotłami parowemi, wodą będą ogrzewali wodę?

— Tak, lecz wodą, rozłożoną na jej części składowe — odpowiedział inżynier — a rozłożoną, jak się zdaje, zapomocą elektryczności, która naówczas stanie się silną, potężną i posłuszną woli człowieka. Tak, moi przyjaciele, sądzę, że kiedyś woda będzie służyła za opał, że wodór i tlen, czy to każdy osobno, czy połączone razem, staną się niewyczerpanem źródłem tak silnego ciepła i światła, jakiego nie może wydać węgiel!

— Chciałbym to widzieć — rzekł marynarz.

— Za wcześnie na to przyszedłeś na świat, Penkroffie — odezwał się milczący dotąd Nab.

Rozmowę przerwało głośne szczekanie Topa, który jednocześnie zaczął biegać dokoła otworu studni.

— Dlaczego znowu Top tak szczeka? — zapytał marynarz.

— A Jow tak dziwnie mruczy? — dodał Harbert.

Rzeczywiście orangutang pobiegł także do studni, i co dziwniejsze, tak jedno jak drugie zwierzę zdawało się być więcej zaniepokojone, niż rozgniewane.

— Widocznie — rzekł Gedeon — jakieś zwierzę morskie musi niekiedy przypływać do tej studni.

— Tak — odpowiedział marynarz. — Trudno byłoby to wytłumaczyć inaczej... Cicho, Top — dodał, zwracając się do psa — a ty, Jow, wracaj do swego pokoju!

Zwierzęta zamilkły; Jow poszedł spać, lecz Top pozostał w sali i warczał przez cały wieczór. Czoło inżyniera zasępiło się widocznie. Znowu ta nierozwiązana zagadka!

Zima była lżejsza od poprzedniej, lecz ciągłe wichury i burze czyniły ją bardzo przykrą. Bałwany morskie wstrząsały Kominami i piętrzyły się aż pod ściany Granitowego pałacu, zalewając całe wybrzeże. Chociaż trudno a nawet niebezpiecznie było przebiegać drogi w czasie podobnej burzy, gdy wicher wyrywał i łamał największe drzewa, koloniści odwiedzali co tydzień owczarnię, która dzięki położeniu u stóp góry Franklina, służącej jej za ochronę, niewiele ucierpiała. Natomiast kurnik i gołębnik, znajdujące się na płaszczyźnie Pięknego Widoku, w opłakanym znajdowały się stanie. Wskutek tego

koloniści, pomimo niestosownej pory roku, musieli za każdą bytnością coś naprawiać lub podpierać.

W pierwszym tygodniu sierpnia burze ustały. Jakkolwiek powietrze znacznie się oziębiło, koloniści postanowili zrobić wycieczkę do bagna Tadorno; nęciło ich wodne ptactwo. W polowaniu tem wszyscy wzięli udział z wyjątkiem inżyniera, który pozostał w domu pod pozorem, że chce skończyć jakąś robotę. Gdy tylko myśliwi w towarzystwie Topa i Jowa przeszli przez most Mercy, Cyrus spuścił go i wrócił do domu, aby spełnić, co dawno zamierzał.

Pragnął mianowicie zwiedzić wnętrze studni, znajdującej się w Granitowym pałacu i mającej, jak wiadomo, bezpośrednią styczność z morzem. Pragnął dowiedzieć się, czemu Top tak często biegał koło jej otworu, warcząc lub szczekając? Czemu Jow łączył się z nim i okazywał dziwny niepokój? A może ten otwór, prostopadły napozór, rozciągał się poniżej i tworzył podziemne przejścia ku innym częściom wyspy? Ponieważ nie chciał niepokoić towarzyszów, postanowił przekonać się o tem w czasie ich nieobecności.

Przyciągnął do otworu studni sznurową drabinę, przywiązał mocno jednym końcem, drugi spuścił wewnątrz, zapalił latarnię, założył za pas kordelas, a następnie powoli zaczął się spuszczać. W ścianach jej nie znalazł nigdzie nawet wąskiej szczeliny; zato napotkał na nich dość znaczne wypukłości, po których ktoś bardzo zręczny mógłby dostać się do góry.

Cyrus Smith spuścił się aż do poziomu wody i nie znalazł nic, coby pozwalało domyślać się przejścia. Wszędzie spotykał zbitą masę granitu, przez którą nie mogła przecisnąć się najdrobniejsza istota. Wszystko to dowodziło, że do otworu studni można było dostać się tylko przez ten pionowy korytarz, wiecznie zalany wodą i bezpośrednio połączony z morzem.

Cyrus Smith wyszedł ze studni, wyciągnął drabinę, przykrył otwór i rzekł, wracając do sali:

— Nic nie znalazłem, a jednak tam coś być musi.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zaopatrzenie szalupy w przyrządy. — Napad lisów. — Jow ranny. — Pielęgnowanie. — Jow wyleczony. — Wykończenie łodzi. — Triumf Penkroffa. — Bonawentura. — Pierwsze próby. — Niespodziewany dokument.

Myśliwi wrócili wieczorem, obciążeni zdobyczą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, gdyż nieśli jej tyle, ile tylko czterech ludzi udźwignąć może. Nadto Top miał naszyjnik z cyranek, a Jowa opasano sznurkiem, na którym wisiały bekasy.

— Patrz, mój drogi panie — wołał Nab, spostrzegłszy Cyrusa — będzie z czego robić pasztety i konserwy, trzeba tylko, aby mi ktoś dopomógł. Liczę na ciebie, Penkroffie.

— Nie, Nabie — odpowiedział marynarz — muszę się zająć przyrządzeniem żagli, lin i wszystkiego, czego potrzeba do naszego statku. Musisz więc obejść się beze mnie.

— Więc może pan, panie Harbercie.

— Ja, Nabie, muszę jutro pójść do owczarni.

— To już chyba pan Spilett zechce mi dopomóc.

— Najchętniej, Nabie — odpowiedział reporter. — Ale muszę cię uprzedzić, że jeżeli odkryjesz mi sekrety kuchenne, to je wydrukuję.

— I owszem, panie Spilett, i owszem — odpowiedział Nab.

Tym sposobem reporter został pomocnikiem Naba i zaraz nazajutrz zaczął pełnić nowe obowiązki. Przedtem Cyrus zawiadomił go o skutku poszukiwań w studni, i obaj zgodzili się, że choć nic nie znaleziono, ukrywała się tam jakaś tajemnica.

Przez cały tydzień trwały tak tęgie mrozy, że koloniści nie mogli wyjść z domu, i przez ten czas marynarz z Harbertem pracowali tak gorliwie, że wykończyli wszystkie żagle, liny, bloki i inne przyrządy okrętowe. Penkroff zrobił nawet flagę niebieską, czerwoną i białą, korzystając z barwników, znalezionych w roślinach, tylko do połyskujących na banderach okrętów amerykańskich trzydziestu siedmiu gwiazd, przedstawiających Stany Unji, dodał trzydziestą ósmą „Stanu Lincolna". Wyspę uważał już jako należącą do wielkiej rzeczypospolitej. Tymczasem wywieszono flagę w oknie Granitowego pałacu, a koloniści powitali ją potrójnem: wiwat!

Zima już się skończyła, i zdawało się, że minie bez żadnego ważniejszego wypadku, gdy płaszczyzna Pięknego Widoku o mało co nie uległa spustoszeniu jedenastego sierpnia w nocy.

Koloniści spali głęboko. Około czwartej rano obudziło ich głośne szczekanie Topa. Nie szczekał przy otworze studni, lecz przy drzwiach, skacząc na nie, jakby je chciał otworzyć, a Jow ze swej strony wydawał piskliwe odkrzyki.

— Co ci się stało, Topie? — zapytał Nab, najpierwej przebudzony.

Pies w odpowiedzi głośniej jeszcze zaczął szczekać.

— Co to takiego? — rzekł Cyrus i zerwał się z posłania.

Wszyscy poszli za jego przykładem i, ubrawszy się naprędce, pootwierali okna i wyjrzeli. Tak było ciemno, że zaledwie mogli dojrzeć śnieg, leżący na ziemi, zato usłyszeli dziwne szczekanie, dowodzące, że na wybrzeżu znajdują się zwierzęta, których nie mogli dojrzeć.

— Co to być może? — zapytał Penkroff.

— Wilki, jaguary lub małpy — odpowiedział Nab.

— Do licha! Mogą dostać się także na płaszczyznę — rzekł reporter.

— A nasz kurnik, nasze pole i ogród! — zawołał Harbert.

— Którędy one przeszły? — rzekł Penkroff.

— Zapewne jeden z nas zapomniał spuścić most nad strumieniem — odpowiedział inżynier.

— Rzeczywiście — odpowiedział Spilett — przypominam sobie, że go otworzyłem...

— To dopiero narobiłeś nam bigosu! — odezwał się marynarz.

— Co się stało, tego już nie cofniemy — odpowiedział Cyrus. — Pomyślmy lepiej, co teraz czynić wypada.

Nie ulegało wątpliwości, że na wybrzeżu były zwierzęta, które z lewego brzegu Mercy mogły dostać się na płaszczyznę, trzeba więc uprzedzić je i wypędzić choćby z bronią w ręku.

— Ale co to mogą być za zwierzęta? — zapytał ktoś powtórnie wtenczas właśnie, gdy znów głośniejsze rozległo się szczekanie.

Harbert zadrżał. Przypomniał sobie, że słyszał już takie szczekanie w czasie wycieczki do Czerwonego strumienia.

— To lisy! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

Koloniści, uzbrojeni w siekiery i karabiny, spuścli się nadół, i choć spotkanie z tym gatunkiem lisów jest niebezpieczne, jeżeli są w znacznej liczbie i do tego głodne, nie wahali się rzucić na zwierzęta, które też po pierwszych wystrzałach cofnęły się nieco. Szło głównie o to, aby lisy znalazły zaporę na wąskim kawałku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą; tam też na rozkaz Cyrusa pobiegli koloniści i stanęli rzędem w pewnych odstępach. Top szedł naprzód, pokazując groźne zęby, a tuż za nim podążał Jow, wywijając grubym, sękatym kijem jakby maczugą. Noc była tak ciemna, że koloniści tylko przy błysku wystrzałów mogli widzieć napastników, których musiało być najmniej stu: oczy ich w ciemności świeciły się jak rozżarzone węgle.

— Nie można ich tu wpuścić — wołał Penkroff.

— Nie wpuścimy — odpowiedział inżynier.

Jeżeli jednak nie wtargnęły na płaszczyznę, to nie z braku chęci. Ostatnie szeregi pchały naprzód pierwsze i zdawało się, że liczba lisów nie zmniejsza się wcale, chociaż wybrzeże musiało już być zasłane ich trupami.

Wkrótce rozwścieczone zwierzęta zaczęły rzucać się na broniących im wstępu, którzy jednak szczęśliwie lekkie tylko ponieśli rany. Jeden z lisów zginął na plecach Naba; Harbert spostrzegł iskrzące się jego oczy, przyłożył mu do łba strzelbę i wystrzelił. Top walczył z największą zajadłością i dusił przeciwników, chwytając zębami za gardło; a Jow, którego wzrok, jak widać, przebijał ciemności, biegł, gdzie było najwięcej napastników, i gruchotał im kości swą pałką,

wydając za każdem uderzeniem ostre gwizdnięcie, co było u niego oznaką wielkiej radości. Przy blasku wystrzału widziano go, jak z zimną krwią walczył z kilku otaczającemi go dokoła zwierzętami.

Po dwugodzinnej walce, zwycięstwo przechyliło się na stronę kolonistów, gdyż, jak tylko świtać zaczęło, lisy zaczęły ustępować z placu i uciekać przez mostek, który następnie Nab spuścił co prędzej.

— A Jow — zawołał nagle Penkroff — gdzie Jow?

Jow zniknął gdzieś, a chociaż Nab przywoływał go głośno, nie przybiegł na jego wołanie.

Wszyscy zaczęli szukać Jowa, lękając się, czy nie zginął. Znaleziono go wśród stosu zabitych lisów, których pogruchotane czaszki i żebra świadczyły, z czyjej zginęły ręki. Biedny Jow trzymał jeszcze w ręku kawałek pałki. Pozbawiony broni uległ przemocy, czego dowodziły zresztą głębokie na piersiach rany.

— Żyje jeszcze! — wykrzyknął klęczący przy nim murzyn.

— I wyleczymy go — zawołał marynarz — będziemy go pielęgnowali tak starannie, jakgdyby był człowiekiem.

Można było sądzić, że Jow zrozumiał te słowa, bo oparł łeb na jego ramieniu, jakby mu chciał podziękować. Nab i Penkroff przenieśli go na ręku aż do windy, posadzili na świeżem, miękkiem posłaniu i starannie obmyli jego rany. Zdawało się, że żaden z ważniejszych organów nie był uszkodzony, ale Jow był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi — dostał silnej gorączki. Opatrzono troskliwie rany orangutanga, poddanego surowej diecie, przygotowano do picia chłodzący napój, słowem, według wyrażenia Naba, obchodzono się z nim, jak z prawdziwym chorym.

Gdy Jow zasnął, wszyscy się oddalili, aby mu snu nie przerywać, a od czasu do czasu Top przybiegał cichutko, aby odwiedzić przyjaciela, i gdy Jow przez sen spuścił jedną rękę, zaczął ją lizać, jakby tym sposobem chciał mu okazać współczucie.

Tego samego dnia wykopano głęboki dół w lesie i wrzucono w niego zabite zwierzęta. Koloniści od tego czasu nie położyli się nigdy, dopóki jeden z nich nie przekonał się, czy wszystkie mosty są opuszczone.

Przez kilka dni obawiano się bardzo o Jowa, wkońcu jednak silna natura jego przemogła, gorączka zmniejszała się, a Gedeon Spilett, który znał się trochę na medycynie, oświadczył, że niebezpieczeństwo już minęło.

Gdy Jow zaczął jeść, Nab przyprawiał mu różne przysmaczki, które chory zajadał z widoczną przyjemnością, gdyż łakomstwo było główną jego wadą, z której Nab nie starał się nigdy wyleczyć faworyta.

— Co pan chcesz — mówił do Gedeona, gdy ten łajał go, że psuje Jowa — ten biedny Jow nie ma innej przyjemności nad tę.

że czasem zje coś smacznego, a mnie też przyjemnie, że choć tym sposobem mogę go wynagrodzić za oddawane nam usługi.

Po dziesięciu dniach Jow zaczął już wstawać. Rany jego zabliźniły się, i można było przewidzieć, że niedługo odzyska dawniejszą zwinność i siły. Jak wszyscy przychodzący do zdrowia, miał ogromny apetyt. Nab powtarzał, przynosząc mu różne smaczne kąski:

— Przelałeś za nas krew swoją, więc też my powinniśmy postarać się o to, aby ci nowej przybyło.

Dwudziestego piątego sierpnia koloniści, zgromadzeni w wielkiej sali, usłyszeli głośne wołanie Naba:

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Penkroffie, chodźcie tu, chodźcie tu, tylko prędko!

Wszyscy zerwali się i pobiegli na wezwanie Naba.

— Cóż się stało? — zapytał reporter.

— Patrzcie, panowie — rzekł z głośnym śmiechem, wskazując ręką.

Jow siedział na progu Granitowego pałacu ze zgiętemi jak Turek nogami, i poważnie palił fajkę.

— Moja fajka! — zawołał Penkroff — moja własna fajka! O! chętnie ci ją daruję, mój poczciwy Jowie! Pal, mój przyjacielu, pal!

Jow wypuszczał poważnie wielkie kłęby dymu, co, jak się zdawało, nieopisaną sprawiało mu uciechę. Nie zadziwiało to bynajmniej Cyrusa, który też zaraz oświadczył Penkroffowi, że niema nic w tem nadzwyczajnego, gdyż widział już oswojone małpy, namiętnie lubiące tytoń.

Odtąd Jow miał swoją własną fajkę i swój tytoń; sam ją nakładał, sam zapalał rozżarzonym węglem i zdawał się być najszczęśliwszem z czwororękich stworzeń.

— Może to człowiek — mówił niekiedy marynarz do Naba. — Czyby cię to bardzo zdziwiło, gdyby kiedy przemówił do was?

— Bynajmniej — odpowiedział murzyn. — Więcej mnie to dziwi, że dotąd nie przemówił.

— Jakby to było zabawne — dodawał marynarz — gdyby kiedy rzekł do mnie: pomieniajmy się na fajki, Penkroffie!

— To prawda — mówi Nab. — Jakaż to szkoda, że jest niemy z urodzenia!

Zima skończyła się we wrześniu, i zaraz rozpoczęto roboty poza domem. Budowa statku postępowała szybko, pomost już był ułożony, pokryto szkielet statku klepkami, które zapomocą pary wodnej uczyniono tak giętkiemi, że mogły się giąć stosownie do jego kształtu. Ponieważ drzewa było poddostatkiem, Penkroff zaproponował inżynierowi, aby wnętrze wyłożyć jeszcze deskami, przez co statek stanie się daleko trwalszym.

Cyrus Smith zgodził się na to chętnie, gdyż nie mógł przewidzieć, czy w tym statku nie wypadnie im długiej odbyć podróży.

Wszystkie, choćby najmniejsze, szpary pozapychano starannie wysuszoną trawą morską, a następnie zalano wrzącą smołą, której sosny dostarczyły im w obfitości.

Za balast służyły odłamy granitu, pospajane wapnem, których ciężar razem wynosił około dwunastu tysięcy funtów. Ponad balastem w pewnej odległości umieszczono pomost, a przestrzeń pod nim podzielono na dwie kajuty, do których wchodziło się przez drzwiczki, umieszczone w pokładzie.

W pierwszym tygodniu października wykończono maszty, reje, wiosła i wszystko, czego jeszcze brakowało. Postanowiono wypróbować najpierw statek przy brzegach wyspy, aby zobaczyć, jak się będzie trzymał na morzu i czy można mu zaufać.

Dziesiątego października zepchnięto statek na sam brzeg rzeki, skąd już w czasie przypływu morza uniosły go fale, przy radosnych okrzykach kolonistów, a szczególniej Penkroffa, który otwarcie pysznił się swem dziełem i spadającą na niego godnością. Miał być przecież kapitanem!

Aby zadowolić kapitana Penkroffa, trzeba było, nie zwlekając, nadać nazwę jego statkowi: wszyscy uznali za rzecz stosowną, aby nosił chrzestne imię zacnego marynarza — Bonawentura.

Czas był śliczny i wiatr pomyślny, postanowiono więc wypróbować szalupę tego samego dnia. Po zjedzeniu śniadania zabrali z sobą trochę żywności i o dziesiątej godzinie już znajdowali się na pokładzie. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, na szczycie masztu ukazała się amerykańska bandera. Bonawentura wypłynął na pełne morze, i pasażerowie przekonali się z głębokiem zadowoleniem, że statek przydaje się wybornie do żeglugi.

— Jakże nasza wyspa jest piękna! — zawołał Harbert, gdy statek oddalił się o jakie cztery mile od jej brzegów, tak, że można było objąć jednym rzutem oka piękną i tak urozmaiconą panoramę jej wybrzeży, od przylądka Szponów do wzgórzystego przylądka Gadu wraz z pysznemi lasami, w których, na ciemnem tle drzew iglastych, odbijały się malowniczo młodziutkie listki innych drzew, i górą Franklina, wznoszącą dumnie wdali ubielony śniegiem szczyt.

— Tak, nasza wyspa jest piękna i dobra — odpowiedział marynarz. — Kocham ją, jak kochałem moją matkę! Ona przytuliła nas do siebie biednych, pozbawionych wszystkiego. A czegóż teraz brak pięciu synom, którzy jej spadli jakby z nieba?

— Niczego, kapitanie, niczego — odpowiedział Nab.

— Jakże, panie Cyrusie — zapytał po chwili Penkroff — czy jesteś pan zadowolony z naszego statku?

— Zupełnie — odpowiedział inżynier.

— Wybornie! A czy sądzisz pan teraz, że można przedsięwziąć dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Penkroffie?

— Na wyspę Tabor — odpowiedział marynarz.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus — nie wahałbym się przebyć na Bonawenturze nawet większej przestrzeni, gdyby tego była potrzeba, ale byłoby mi przykro, gdybyś popłynął do wyspy Tabor bez żadnego celu.

— Warto zawsze znać swoich sąsiadów — odrzekł Penkroff — a wyspa Tabor jest naszą sąsiadką i do tego jedyną. Sama grzeczność nakazuje, abyśmy jej złożyli wizytę.

— Do licha! — rzekł Gedeon Spilett. — Nasz przyjaciel Penkroff trzyma się ściśle przepisów etykiety.

— Ja się niczego nie trzymam — odparł marynarz, rozdrażniony trochę oporem inżyniera, a nie chcący pomimo to sprawić mu przykrości.

— Pomyśl i o tem, Penkroffie, że nie mógłbyś sam popłynąć do wyspy Tabor.

— Dosyć mi będzie jednego towarzysza.

— A więc — odpowiedział inżynier — nie lękasz się narazić naszej kolonji na stratę dwu z pięciu jej członków.

— Ależ tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, panie Cyrusie — rzekł marynarz.

— Być może, Penkroffie, jednak powtórzę ci raz jeszcze, że narażałbyś się bez potrzeby.

Marynarz nie przedłużał więcej rozmowy, lecz miał silne postanowienie rozpocząć ją później. Nie wiedział o tem, że wypadek przyjdzie mu w pomoc, zamieniając niczem nieuzasadnioną zachciankę na dzieło miłosierdzia.

Statek zbliżył się znów do brzegu i zmierzał do portu Balonu, gdzie wypadało poznać dokładnie przejście między ławami piasku i rafami i w razie potrzeby poumieszczać znaki ostrzegające.

O pół mili od brzegu wiatr, powstrzymywany w części przez wzgórza, ucichł prawie zupełnie, i statek posuwał się dość wolno. Harbert, stojący na przodzie i wskazujący, jaką płynąć drogą, aby wyminąć skały, zawołał nagle:

— Z wiatrem Penkroffie, z wiatrem!

— Czemu? — zapytał marynarz, wstając. — Czy płyniemy na skały?

— Nie... nie widzę dobrze... — rzekł Harbert... Trochę bliżej brzegu... Teraz dobrze!...

Harbert, mówiąc to, przechylił się i zanurzył rękę w wodzie.

— Butelka! — rzekł, prostując się.

Trzymał w ręce zakorkowaną butelkę, którą zaraz oddał inżynierowi. Cyrus utrącił szyjkę, wyjął z butelki wilgotny kawałek papieru, i przeczytał:

„Rozbitek... Wyspa Tabor: 153° dł. Z. — 37° 11' sz. P."

ROZDZIA XXXV.

Wyjazd postanowiony. — Przypuszczenie. — Przygotowanie.—We trzech — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżu. — W lasach. — Nikogo. — Zwierzęta i rośliny. — Chata.

— Rozbitek! — zawołał Penkroff — opuszczony, o paręset mil od nas, na wyspie Tabor! A, panie Cyrusie, teraz nie będziesz się już sprzeciwiał mojej podróży!

— Nie, Penkroffie, życzę sobie nawet, abyś wypłynął jak najprędzej.

— Może jutro?

— Tak, jutro.

Inżynier trzymał jeszcze papier, wyjęty z butelki; przyglądał mu się przez pewien czas, a potem mówił dalej:

— Z tego dokumentu, przyjaciele moi, wnosić trzeba: najprzód, że ten, co go pisał, musi posiadać dość rozległe wiadomości, przynajmniej o rzeczach, dotyczących marynarki, skoro potrafił tak dokładnie oznaczyć długość i szerokość geograficzną wyspy; powtóre, że jest Amerykaninem lub Anglikiem, gdyż dokument napisany jest po angielsku.

— Tak przynajmniej wypada — odpowiedział Gedeon. Z drugiej strony obecność tego rozbitka tłumaczy nam, skąd się wzięła znaleziona przez nas skrzynia. Gdzie jest rozbitek, tam musiało koniecznie być rozbicie. Co zaś do tego nieszczęśliwego, powinien dziękować Bogu, że natchnął Penkroffa myślą zbudowania tego statku, a następnie wypróbowania go dziś właśnie, gdyż może jutro już butelka rozbiłaby się o skały.

— Rzeczywiście — rzekł Harbert — jest to traf bardzo szczęśliwy, że statek nasz płynął około tego miejsca wtenczas właśnie, gdy butelka unosiła się jeszcze na powierzchni wody.

— Czy się to nie wydaje dziwnem, Penkroffie? — zapytał Cyrus.

— Uważam to jedynie za szczęśliwy wypadek — odpowiedział marynarz. — Czy pan widzisz w tem co nadzwyczajnego, panie Cyrusie? Przecie ta butelka musiała gdzieś popłynąć. Cóż więc dziwnego, że przypłynęła tu, zamiast gdzie indziej?

Może masz słuszność, Penkroffie, a jednak...

— O ile mi się zdaje — rzekł Harbert — nie można wnosić, że ta butelka już oddawna była wrzucona w morze.

— Masz słuszność — odpowiedział Gedeon. Zdaje się nawet, że ten dokument niedawno napisano. Jak sądzisz, Cyrusie?

— Trudno o tem wyrokować, a zresztą wkrótce się dowiemy.

Penkroff nie próżnował w ciągu tej rozmowy. Zmienił kierunek, i Bonawentura z rozpiętemi żaglami płynął szybko ku przylądkowi Szponów. Wszyscy myśleli o nieszczęśliwym rozbitku na wyspie Tabor, czy jeszcze żyje, czy nie za późną będzie ich pomoc? Wprawdzie i oni byli tylko rozbitkami, ale prawdopodobnie on nie był tak szczęśliwy, jak oni, a więc obowiązkiem ich było śpieszyć na pomoc nieszczęśliwemu.

Około godziny czwartej zarzucono kotwicę przy ujściu Mercy. Tegoż dnia postanowiono, że Penkroffowi będzie towarzyszył Harbert, jako najlepiej po marynarzu umiejący kierować statkiem. Odpłynąwszy rano, 11 października, będą mogli przy panującym pomyślnym wietrze dopłynąć 13-go do wyspy, gdzie zatrzymają się przez dzień jeden. W ten sposób nie prędzej jak 17 lub 18 zarzucą znów kotwicę przy brzegach wyspy Lincolna. Czas był piękny, wiatr pomyślny, barometr podnosił się zwolna, wszystko zdawało się sprzyjać tym zacnym ludziom, których poczucie obowiązku odciągało tak daleko od przyjaciół i domu.

Powiedzieliśmy wyżej, że Cyrus, Nab i Gedeon mieli pozostać w Granitowym pałacu. Ale w Gedeonie Spilecie odezwała się znów żyłka dziennikarska i oświadczył stanowczo, że jeżeli go nie wezmą na pokład, gotów wpław się rzucić, byle nie pominąć tak dobrej sposobności do zebrania ciekawych szczegółów do artykułu, który kiedyś zamieści na szpaltach New-York-Heralda. Tego jeszcze wieczora przeniesiono na statek potrzebne sprzęty, naczynia, broń i naboje, busolę, żywność na osiem dni. Gdy wszystko już było na swojem miejscu, koloniści udali się na spoczynek.

Nazajutrz o piątej rano pożegnali się i wsiedli na statek; Penkroff podniósł kotwicę i skierował Bonawenturę ku przylądkowi Szponów, który trzeba było minąć, aby następnie posuwać się wprost na południo-zachód.

Przez cały ranek żeglarze widzieli wyspę Lincolna. W miarę, jak się oddalali, wydawała im się coraz mniejszą; w odległości dziesięciu mil wyglądała już tylko jak kosz zieleni, a w trzy godziny później całkiem znikła z widnokręgu.

Statek posuwał się lekko i szybko, Penkroff przy pomocy busoli płynął ciągle w prostym kierunku. Od czasu do czasu Harbert zastępował go przy rudlu i tak dobrze wywiązywał się ze swego zadania, że marynarz nie mógł mu nic zarzucić. Gedeon Spilett nie

wymawiał się także od żadnej pracy, więc kapitan Penkroff był zupełnie zadowolony z podwładnych.

Noc i dzień następny przeszły bez żadnego wypadku, do wieczora statek przepłynął około stu dwudziestu mil. Chociaż wiatr był słaby, podróżni mieli nadzieję, że nazajutrz o świcie, jeżeli tylko w dobrym płynęli kierunku, zobaczą wyspę Tabor. Żaden z nich nie zmrużył oka tej nocy, oczekując z niepokojem świtu, a w myśli ich snuły się różne pytania: czy są już blisko wyspy Tabor? Czy jeszcze dotąd znajduje się na niej ten, któremu na ratunek śpieszą? Co to za człowiek? Czy obecnością swoją nie zamąci spokoju kolonji, w której dotąd taka jedność panuje? Wszystkie te pytania spędziły sen z ich powiek. Zaledwie dnieć zaczęło, wytężali wzrok, czy nie zobaczą wyspy.

— Ziemia! — zawołał wreszcie Penkroff około szóstej godziny rano.

Ponieważ trudno było przypuścić, aby marynarz mógł pomylić się co do tego, towarzysze jego z radością przyjęli tę wiadomość, zapewniającą ich, że za kilka godzin będą mogli wylądować.

O jedenastej z rana żeglarze byli już tylko o dwie mile od wyspy, czyli raczej wysepki, jak ją nazwał Harbert, przypatrzywszy jej się lepiej, i mogli już rozróżnić grupy rozmaitych drzew. Dziwiło ich, że nie dostrzegali nigdzie dymu, a na wybrzeżu żadnego sygnału, dozwalającego wnosić, że człowiek tu się znajduje i wzywa pomocy przepływających statków. Dokument jednak, znaleziony w butelce, nie pozwalał wątpić o tem.

Statek przesuwał się ostrożnie przez wąskie przesmyki między skałami, które Penkroff śledził bacznie, stojąc na przodzie statku, gdy tymczasem Harbert zastępował go przy rudlu. Nakoniec około południa zbliżono się do piaszczystego wybrzeża, zwinięto żagiel i zarzucono kotwicę. Osada wysiadła na ląd, zabrawszy z sobą broń, i udała się do wzgórza wysokiego na trzysta stóp mniej więcej, a wznoszącego się o pół mili od brzegu.

— Z wierzchołka wzgórza tego — rzekł Gedeon Spilett — będziemy mogli powziąć wyobrażenie o całości wyspy, co ułatwi nasze poszukiwania.

— Zrobimy więc tutaj to, co pan Cyrus zrobił na naszej wyspie — rzekł Harbert.

— Tak, bo to najlepszy sposób — odpowiedział Gedeon.

Tak rozmawiając, szli brzegiem łąki, kończącej się u stóp wzgórza. Stada gołębi skalnych uciekały przed nimi, a w lesie, ciągnącym się po lewej stronie, słyszeli szum potrącanych gałęzi krzaków, co kazało domyślać się obecności nader płochliwych zwierząt. Oprócz tego nic dotąd nie pozwalało przypuszczać, że wyspa była zamieszkana.

Z łatwością dostali się na wierzchołek i, obejrzawszy się dokoła, przekonali się, że wysepka ma kształt wydłużonego owalu, że nigdzie nawet przez lunetę nie można było dostrzec nic, prócz morza.

Wysepka, całkiem pokryta lasem, nie odznaczała się taką rozmaitością widoków, jak wyspa Lincolna, wszędzie tylko jednostajna zieloność, ponad którą unosiły się szczyty kilku niezbyt wysokich wzgórz. Strumień, płynący przez obszerną łąkę, przerzynał wpoprzek wysepkę i wpadał do morza na zachodzie.

— Mała to wysepka — rzekł Harbert — nie ma więcej jak sześć mil angielskich obwodu.

— Tak — odpowiedział Penkroff — byłaby dla nas zbyt ciasna.

— A co więcej — dodał reporter, wydaje się całkiem niezamieszkana.

— Rzeczywiście — odpowiedział Harbert. — Zejdźmy jednak i szukajmy.

Wrócili na to miejsce, gdzie Bonawentura stał na kotwicy, chcieli bowiem zwiedzić dokładnie brzegi wyspy, zanim zapuszczą się w głąb. Idąc ku południowi, płoszyli stada wodnych ptaków i fok, które, spostrzegając ich zdaleka, rzucały się w morze.

— Jest to najlepszy dowód, że te zwierzęta nie po raz pierwszy widzą człowieka: budzi w nich obawę, a więc go znają.

W ciągu czterech godzin obeszli wyspę dokoła i wszędzie spotykali na wybrzeżu piasek i skały, a poza niemi w głąb wyspy ciągnął się las gęsty. Nic nie świadczyło o bytności człowieka, i trzeba było wnosić, że wyspa Tabor nie była nigdy, a przynajmniej teraz zamieszkała. Któż mógł wiedzieć zresztą, czy dokument nie był pisany kilka miesięcy, nawet kilka lat temu. W takim razie ten, który go pisał, mógł już odpłynąć na jakim okręcie lub umrzeć z głodu i z nędzy.

Nasi podróżni czynili te przypuszczenia na pokładzie statku, gdzie pośpiesznie zjedli obiad. Następnie wyszli na ląd i rozpoczęli znów poszukiwania w lesie. Za ich zbliżeniem pierzchało na wszystkie strony mnóstwo zwierząt, w których poznawali głównie, a nawet prawie wyłącznie, kozy i świnie, należące do gatunków europejskich; to naprowadziło ich na myśl, że okręt musiał zabłąkać się tu niegdyś i pozostawił je na wyspie, gdzie szybko się rozmnożyły. Harbert postanowił schwytać żywcem przynajmniej po jednej parze i przewieźć na wyspę Lincolna.

Pewniejszym jednak dowodem, że ludzie przebywali już na tej wyspie, były ścieżki, utorowane w lesie i pnie drzew, pościnanych siekierą. Pnie te jednak dziś gnijące, musiały już tam leżeć od lat wielu; ślady od uderzeń siekiery już porosły mchem, a na ścieżkach rosła bujna trawa.

Wszystko, co tu widzimy — rzekł Gedeon Spilett — dowodzi nietylko, że ludzie kiedyś tu byli, lecz jeszcze, że tu mieszkali przez pewien czas. Teraz zachodzi tylko pytanie, co to byli za ludzie, ilu ich było i ilu zostało?

— W znalezionym dokumencie jest wzmianka o jednym tylko — rzekł Harbert.

— Którego znaleźć musimy, jeżeli tylko znajduje się jeszcze na wyspie — dodał marynarz.

Doszli wreszcie do strumienia i tam ujrzeli kawałek ziemi, widocznie uprawianej niegdyś; rosły na niej jeszcze różne zdziczałe warzywa. Harbert nie posiadał się z radości, gdy poznał ziemniaki, kapustę, marchew, rzodkiew, które tak łatwo będzie mógł przewieźć i rozmnożyć na wyspie Lincolna.

— Wybornie! — rzekł Penkroff. — Gdybyśmy nawet nie znaleźli tu nikogo, to i tak podróż nasza nie będzie bez korzyści, Bóg nagradza nas tym sposobem za nasze dobre chęci.

— Bez wątpienia — odpowiedział Gedeon. — Ale stan, w jakim znajduje się obecnie ten warzywny ogród, każe wnosić, że wysepka jest całkiem niezamieszkana.

— Masz pan słuszność — odrzekł Harbert — gdyż w przeciwnym razie nie zaniedbanoby uprawy tak pożytecznych roślin.

— Tak — rzekł Penkroff — widać, że przybyliśmy za późno...

— W takim razie należy przypuścić, że znaleziony przez nas dokument już dawno był napisany?

— Bardzo to być może — odpowiedział Penkroff. — Ale noc się zbliża, i czas już zawiesić nasze poszukiwania.

— Tak, wracajmy na statek — rzekł reporter — a jutro rozpoczniemy je na nowo.

Już mieli odejść, gdy Harbert dostrzegł o kilkanaście kroków dalej coś w rodzaju budynku wśród drzew. Pobiegł zobaczyć, co to być mogło, i zawołał:

— To chatka!

Penkroff i Spilett pobiegli natychmiast. Pomimo zmroku rozpoznali, że chata była zbudowana z desek, pokrytych grubem, nasyconem smołą płótnem. Marynarz popchnął drzwi i śpiesznie wszedł do wnętrza.

Chata była pusta!

ROZDZIAŁ XXXVI.

Co znaleziono. — Noc. — Kilka listów. — Dalsze poszukiwania. — Straszne niebezpieczeństwo. — Harbert. — Na brzegu — Odjazd — Niepogoda. — Instynktownie. — Zgubienie drogi. — Światło wporę.

W chacie było ciemno. Podróżni stali chwilę w milczeniu, poczem Penkroff zawołał głośno:

— Jest tu kto?

Nie było odpowiedzi. Marynarz skrzesał ognia i zapalił suchą gałązkę. Przy jej świetle ujrzano małą izbę, jak się zdawało, całkiem opuszczoną, w głębi której znajdował się komin z wystygłym już popiołem i kilku kawałkami drzewa. Penkroff rzucił na nie zapaloną gałązkę, drzewo zapaliło się i żywy płomień oświetlił wkrótce izdebkę.

Spostrzegli wówczas łóżko, a na niem pożółkłe od wilgoci poduszki i kołdry, co dowodziło, że już dawno nikt na niem nie spoczywał. W jednym rogu komina leżały, rdzą pokryte, dwa żelazne garnki i kociołek; przy ścianie stała szafa, a w niej wisiało napół zbutwiałe marynarskie ubranie; na stole leżało cynowe nakrycie na jedną osobę i biblja. W kącie izby stały narzędzia robocze, jak motyka, łopata, drąg żelazny i dwie strzelby myśliwskie, z których jedna zepsuta. Na półce, przybitej do ściany, stała baryłka prochu, druga śrutu i kilka pudełek z wędkami. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, na którą zapewne całe lata się składały.

— Pustka — rzekł reporter.

— I zdaje się, oddawna nikt tu nie mieszka — dodał Harbert.

— Panie Spilett — odezwał się Penkroff — sądzę, że lepiej będzie, jeżeli, zamiast wracać na statek, przepędzimy tu noc dzisiejszą.

— Masz słuszność — odpowiedział Spilett — tem więcej, że choćby gospodarz domu wrócił, nie rozgniewa się o to, że nas tu zastał.

— Nie wróci już — rzekł marynarz.

— Czy sądzisz, że opuścił wyspę?

— Nie. Gdyby ją opuścił, zabrałby z sobą broń i sprzęty, bo wiesz pan dobrze, jak wielką cenę przywiązuje każdy rozbitek do tych rzeczy, które dla niego były prawdziwym skarbem. Nie! — powtórzył marynarz z głębokiem przekonaniem — on jest dotąd jeszcze na wyspie... żywy lub umarły. Jeżeli umarł, to niepodobna przypuścić, aby się sam pochował, znajdziemy więc przynajmniej jego kości.

Korzystając z zapasu drzewa, leżącego w chacie, dołożyli go do ognia, aby na wszelki wypadek nie pozostać w ciemności, zamknęli drzwi i, usiadłszy na ławie, postanowili tak doczekać rana. Znajdowali się w takiem usposobieniu umysłu, że, gdyby drzwi otworzyły się nagle i ktoś stanął przed nimi, nie zadziwiłoby ich to

wcale, pomimo, że w mieszkaniu wszystko trąciło pustką; byliby wyciągnęli ręce na powitanie nieznajomego przyjaciela, któremu na pomoc przybyli.

Noc wydawała się nadzwyczaj długą czuwającym. Jeden tylko Harbert spał przez parę godzin za namową reportera, który wiedział o tem, że w tym wieku sen jest nieodzownie potrzebny. Wszystkim pilno było kończyć rozpoczęte poszukiwania odnalezienia właściciela chaty, jeżeli dla niewiadomych im przyczyn przeniósł się w inną stronę wyspy, lub przynajmniej zwłoki jego pochować po chrześcijańsku.

Dzień zaświtał wreszcie, i mogli przyjrzeć się dokładnie chacie. Była zbudowana na pochyłości małego wzgórza, pod osłoną kilku drzew akacji. Wycięta wprost jej okien, dość szeroka i prosta droga odsłaniała widok na morze. Na pierwszy rzut oka można było domyśleć się, że za materjał do zbudowania chaty służyły deski z rozbitego okrętu, a niepodobna już było wątpić o tem, gdy Spilett, obchodząc dokoła chatę, spostrzegł na jednej z desek napół zatarte już litery:

BR. TAN. A.

— *Brytanja* — rzekł przywołany tam Penkroff — jest to nazwa, wspólna wielu bardzo statkom; trudno więc domyśleć się nawet, czy był angielski czy amerykański.

— Mniejsza o to, Penkroffie.

— Tak, mniejsza o to — odpowiedział marynarz — bo jeżeli ktoś z jego osady pozostał dotąd przy życiu, zabierzemy go z sobą, nie pytając się o jego narodowość! Zanim jednak rozpoczniemy dalsze poszukiwania, powróćmy pierwej na chwilę na pokład *Bonawentury*.

Towarzysze zgodzili się i we dwadzieścia minut później byli już na wschodniem wybrzeżu, gdzie statek stał na kotwicy. Penkroff odetchnął swobodniej, ujrzawszy go, gdyż pomimo, że sam uważał to za nieprawdopodobne, przychodziła mu jednak myśl, że jeżeli ktoś znajduje się na wyspie, to mógłby przywłaszczyć sobie *Bonawenturę* i odpłynąć, pozostawiając na wyspie prawych właścicieli.

Weszli na statek i zjedli tak obfite śniadanie, że mogli bezpiecznie czekać do wieczerzy. Następnie puścili się na dalsze poszukiwania. Gdy jednak przez kilka godzin trudzili się napróżno, doszli do przekonania, że jeżeli nieszczęśliwy rozbitek zakończył na wyspie życie, to dzikie zwierzęta musiały pożreć nawet kości jego.

— Odpłyniemy stąd jutro o świcie — rzekł Penkroff do towarzyszy, odpoczywając wraz z nimi około godziny drugiej w cieniu sosen.

— Sądzę — rzekł Harbert — że możemy bez wyrzutów sumienia zabrać z sobą narzędzia i wszystko, co kiedyś należało do nieszczęśliwego.



Czas też szybko im upływał... (str. 177).

— I ja tak myślę — odpowiedział Gedeon. — O ile mi się zdaje, zapas kul i prochu jest znaczny.

— Tak jest — rzekł Penkroff — lecz nie zapomnijmy także zaopatrzyć się w trzodę chlewną, której niema na wyspie Lincolna...

— Ani o zebraniu wysadków, które nam dostarczą wszelkich jarzyn, znanych na starym i nowym lądzie — dodał Harbert.

— Może w takim razie wypadałoby nam zostać na wyspie jeden dzień dłużej — powiedział reporter — abyśmy mieli czas zaopatrzyć się we wszystko, co nam się przydać może.

— Nie, panie Spilett, życzyłbym sobie puścić się w drogę jutro o świcie. Zdaje mi się, że wiatr się odwróci, i że jak tu płynęliśmy z wiatrem, tak z wiatrem będziemy mogli wrócić.

— W takim razie nie traćmy czasu — rzekł Harbert.

— Tak, nie traćmy czasu — odpowiedział Penkroff. — Ty, Harbercie, zajmij się zebraniem jarzyn, ponieważ lepiej się znasz na tem od nas, a my tymczasem postaramy się schwytać kilka sztuk nierogacizny. Mam nadzieję, że nam się to uda nawet bez pomocy Topa.

Stosownie do tego rozporządzenia, Harbert udał się drożyną, wiodącą do uprawnej części wyspy, a dwaj jego towarzysze weszli w las. Mnóstwo pięknych okazów trzody chlewnej uciekło, dając dowody niezwykłej zwinności, jednak po półgodzinnem ściganiu udało się schwycić parę tych zwierząt. Wpadły one między tak gęste krzaki, że się z nich odrazu wydobyć nie mogły. Jednocześnie o sto kroków dalej odezwały się głośne krzyki, pomieszane z przerażającym odgłosem, podobnym do chrapliwego ryku. Penkroff i Spilett wyprostowali się, a świnie, korzystając z tego, uciekły.

— To głos Harberta! — zawołał reporter.

— Biegnijmy! — krzyknął Penkroff.

Biegli najśpieszniej i za zakrętem drogi spostrzegli, że jakieś dzikie stworzenie, niby małpa olbrzymia, przewróciła Harberta i nie dozwoliła mu się poruszyć, jakby go udusić chciała. W mgnieniu oka Gedeon i marynarz rzucili się na potwora, wydarli mu Harberta, powalili o ziemię i pomimo oporu tak silnie skrępowali powrozami, które miały służyć do wiązania trzody chlewnej, że nie mógł się nawet poruszyć.

— Czy ci się nie stało co złego, Harbercie — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! nie!

— A! gdyby cię zraniła ta przeklęta małpa!... — wykrzyknął Penkroff.

— Ależ to nie małpa! — zawołał Harbert.

Penkroff i Gedeon spojrzeli uważnie na dziwną istotę, leżącą na ziemi. Rzeczywiście nie była to małpa! Był to człowiek! Ale jaki człowiek! Człowiek dziki, w najgorszem znaczeniu tego wyrazu, człowiek, który doszedł do najwyższego stopnia zezwierzęcenia.

Włosy najeżone, broda rozczochrana i spadająca do pasa, ciało prawie nagie, z wyjątkiem łachmana, obwiniętego koło bioder, oczy dzikie, ręce ogromne, paznokcie grube i niezmiernie długie, cera, przypominająca świeży mahoń, skóra na nogach twarda jak

róg; oto obraz upośledzonej istoty, która jednak miała prawo nazywać się człowiekiem! Pomimo woli nasuwało się pytanie, czy w tem ciele ukrywa się jeszcze dusza, czy nie ożywiają go tylko same zwierzęce instynkty?

— Czy pewnym jesteś, panie Spilett, że to jest, a przynajmniej był kiedyś człowiek? — zapytał Penkroff.

— Niestety! nie ulega to wątpliwości — odpowiedział reporter.

— Czyżby to on miał być rozbitkiem, którego szukamy? — zapytał Harbert.

— Tak — odrzekł Gedeon — lecz nieszczęśliwy nie ma w sobie już nic ludzkiego!

Reporter miał słuszność. Widoczne było, że jeżeli nawet nieszczęśliwy był kiedyś człowiekiem cywilizowanym, to długa samotność uczyniła go dzikim, a nawet gorzej jeszcze, bo zdziczałym. Z gardła jego, przez zęby zaciśnięte i ostre, jak u mięsożernych zwierząt, wychodziły chrapliwe dźwięki. Pamięć musiał utracić już dawno i oddawna także zapewne nie umiał już używać narzędzi, broni, ani rozniecić ognia! Znać było, że jest silny, zręczny, zwinny, lecz zarazem, że te fizyczne przymioty rozwinęły się w nim kosztem przymiotów duchowych.

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawało się, że nietylko nie rozumie, lecz i nie słyszy. Jednak, gdy reporter patrzył w jego oczy, zdawało mu się, że myśl i rozum nie wygasły w nim zupełnie.

Leżał spokojnie na ziemi, nie usiłując rozerwać krępujących go więzów. Czyżby obecność ludzi, do których niegdyś sam był podobny, tak silne i przygnębiające uczyniła na nim wrażenie? Czy w jakim zakątku jego mózgu odezwało się przelotne wspomnienie tego, że i on kiedyś był człowiekiem? Czy nakoniec uciekłby, czy też pozostał, gdyby go uwolniono z więzów? To ostatnie pytanie najłatwiej było rozwiązać, lecz ani Gedeon, ani towarzysze jego nie chcieli wystawiać nieszczęśliwego na próbę. Reporter przyglądał mu się długo z nadzwyczajną uwagą, a potem rzekł:

— Jakimkolwiek jest obecnie, jakimkolwiek był dawniej i jakimkolwiek będzie, obowiązek nakazuje nam zabrać go z sobą na wyspę Lincolna.

— O! tak, tak — zawołał Harbert. — Może przy troskliwych staraniach potrafimy w nim wzniecić iskierkę rozumu.

— Dusza nie umiera — rzekł reporter — a dla nas będzie to prawdziwa radość, jeżeli zdołamy podźwignąć bliźniego z upadku i zezwierzęcenia.

Penkroff wstrząsnął głową z powątpiewaniem.

— W każdym razie trzeba spróbować, sama ludzkość nam to nakazuje — odpowiedział reporter.

Był to rzeczywiście ich obowiązek, jako chrześcijan i ludzi cy-

wilizowanych. Zrozumieli to wszyscy i wiedzieli dobrze, że Cyrus Smith postąpiłby tak samo.

— Czy zostawimy mu więzy? — zapytał marynarz.

— Może sam pójdzie, skoro rozwiążemy mu nogi — rzekł Harbert.

— Spróbujmy — rzekł Penkroff.

Rozwiązano więźniowi nogi, lecz ręce jego pozostały silnie związane. Wstał sam i nie okazywał ochoty do ucieczki, rzucał ostre spojrzenia na idących obok, i nic w nim nie zdradzało, że wie o tem, iż jest lub był do nich podobny. Z ust jego wydobywało się syczące świstanie; cała powierzchowność była nacechowana jakąś srogą dzikością, ale nie opierał się wcale.

Reporter radził, aby zaprowadzić nieszczęśliwego do jego mieszkania. Może widok należących do niego przedmiotów uczyni na nim wrażenie; może byłoby dosyć jednego wspomnienia dla oświecenia jego myśli i rozbudzenia uśpionej duszy.

Do chaty było dość blisko, więc też po kilku minutach wszyscy do niej weszli; ale więzień nic nie poznał, i zdawało się, że zupełnie stracił pamięć. Z tak zupełnego zezwierzęcenia trzeba było wnosić, że nieszczęśliwy długo już przebywał na wyspie, i długoletnie osamotnienie doprowadziło go do tego stanu.

Reporter postanowił jeszcze spróbować, czy ogień nie wywrze na nim wrażenia. Istotnie zdawało się, że widok jasnych płomieni zwrócił uwagę nieszczęśliwego, lecz po chwili dziki odsunął się i bezmyślnie spoglądał na płomienie.

Nic już nie pozostawało do czynienia, jak odprowadzić biedaka na statek, gdzie pozostał pod strażą Penkroffa. Harbert i Gedeon wrócili na wysepkę dla zabrania różnych potrzebnych rzeczy. W kilka godzin później wrócili na statek, niosąc broń i narzędzia z chaty, nasiona różne, kilka par trzody chlewnej i kóz.

Więzień, umieszczony w jednym z pokoików pod pomostem, sprawował się cicho, spokojnie, zdawał się być głuchym i niemym. Gdy Penkroff przyniósł mu posiłek, odepchnął od siebie mięso pieczone, od którego odwykł widocznie; gdy zaś marynarz pokazał mu surową dziką kaczkę, rzucił się na nią i pożerał ze zwierzęcą chciwością.

— Sądzisz pan, że otrząśnie się kiedyś z tego? — rzekł Penkroff do Gedeona.

— Kto wie — odpowiedział reporter — może nasze starania i nasze towarzystwo oddziałają na niego zbawiennie, gdyż, o ile się zdaje, samotność uczyniła go takim, a obecnie już nie będzie samotny.

— Zapewne biedak już oddawna pozostaje w tak okropnym stanie — rzekł Harbert.

— Tak się zdaje — odpowiedział Gedeon Spilett.

— Ile też może mieć lat?

— Trudno oznaczyć — odrzekł reporter — gdyż faworyty, broda i wąsy osłaniają mu twarz całą. Ale sądzę, że musi mieć najmniej pięćdziesiąt lat.

— Czy uważałeś pan, panie Spilett, jak jego oczy głęboko są osadzone? — zapytał znów Harbert.

— Tak, Harbercie, ale pomimo to są więcej człowiecze, niżby tego spodziewać się można, wnosząc z całej jego powierzchowności.

— Ciekawy jestem — odezwał się Penkroff — co też pan Cyrus powie o naszym dzikim człowieku. Sądzi, że przywieziemy istotę do nas podobną, a my pokażemy mu potwora! Trudno, każdy czyni to tylko, co może.

Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz o świcie wiatr się zmienił i zaczął wiać w pomyślnym kierunku; wzmógł się jednak, co znów utrudniało żeglugę. O piątej rano podniesiono kotwicę i Penkroff zwrócił statek na północo-zachód, aby płynąć w prostym kierunku do wyspy Lincolna.

Pierwszy dzień minął bez żadnego wypadku. Nieznajomy siedział spokojnie w swoim pokoiku; zdawało się nawet, że kołysanie statku oddziaływa nań zbawiennie. Może przypominało mu to wspomnienia z przeszłości, dosyć, że siedział spokojnie, okazując prędzej zdziwienie, niż przerażenie lub niepokój.

Nazajutrz, 17 października, wiatr wzmógł się znacznie i wykręcił więcej ku północy, a zatem nie był już tak pomyślny. Penkroffa zaczął niepokoić stan morza, bałwany bowiem uderzały silnie o przód statku. Nie chciał niepokoić towarzyszów, lecz wiedział dobrze, iż przy takim wietrze nie zdołają dopłynąć w oznaczonym czasie.

Rzeczywiście, następnego poranka, już czterdzieści osiem godzin znajdowali się na morzu, a nic nie pozwalało wnosić, że zbliżają się do lądu. W dwadzieścia cztery godziny później nie widzieli jeszcze ziemi; płynęli pod wiatr, a morze było burzliwe. Trzeba było ciągle manewrować żaglami, które niekiedy dotykały piętrzących się fal, i płynąć w zygzak; dnia 18 fala morska zalała nawet pokład statku i byłaby z pewnością uniosła żeglarzy, gdyby ci nie przywiązali się na pokładzie, przewidując to.

Penkroff i towarzysze jego otrzymali wówczas niespodziewaną pomoc: nieznajomy wybiegł na pomost, jakby się w nim odezwał instynkt marynarza; widząc, że wszyscy są zajęci wydobywaniem się z dobrowolnych więzów, grubym kawałem drzewa wyszczerbił wystający nad pokładem bok statku aby woda spłynąć mogła prędzej; gdy spłynęła, zeszedł napowrót do swego pokoju, nie wymówiwszy ani słowa do zdumionych towarzyszów.

Penkroff przez cały dzień musiał walczyć z wiatrem i morskiemi falami; wkońcu zaczął się obawiać, czy nie zbłądził na tym

ogromnym obszarze, na którym nie zdołałby już odszukać właściwej drogi.

Noc z 18 na 19 była zimna i ciemna, jednak około jedenastej wiatr znacznie się zmniejszył, morze się uspokoiło i statek mógł posuwać się prędzej po kołyszącej się lekko jego powierzchni. Jednak ani Penkroff, ani towarzysze jego nie zasnęli, gdyż niepokój spędzał sen z ich powiek; wiedzieli, że albo o wschodzie słońca zobaczą wyspę Lincolna, albo też przekonają się, że statek zboczył z drogi, a w takim razie prawie niepodobieństwem będzie wrócić do towarzyszów, pozostałych na wyspie.

Penkroff nie tracił jednak nadziei i odwagi. Siedząc przy rudlu, starał się przebić wzrokiem otaczające go ciemności. Około godziny drugiej po północy zerwał się nagle, wołając:

— Ogień! ogień!

Rzeczywiście o jakie dwadzieścia mil na północo-zachód błyszczało żywe światło. Tam musiała być wyspa Lincolna, a ogień, zapalony przez Cyrusa Smitha, wskazywał gdzie jej szukać należy.

Penkroff przekonał się wtedy, że zboczył na północ, zmienił więc kierunek i płynął w prostej linji do światła, błyszczącego wdali, jak gwiazda pierwszej wielkości.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus i nieznajomy. — Port Balonu. — Doświadczenia. — Kilka łez wylanych.

Nazajutrz 20 października o siódmej rano Bonawentura dopłynął szczęśliwie do ujścia Mercy.

Cyrus Smith i Nab, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością towarzyszów, już o świcie weszli na płaszczyznę Pięknego Widoku, skąd też nakoniec dostrzegli zbliżający się statek.

— Dzięki Bogu! to oni! — zawołał Cyrus Smith.

Co do Naba, ten zaczął z radości tańczyć, kręcić się dokoła, klaszcząc w ręce i wołając:

— To oni, mój drogi panie!

Inżynier mógł wreszcie dostrzec osoby, znajdujące się na pokładzie Bonawentury, i nabrał przekonania, że Penkroff nie znalazł już rozbitka na wyspie Tabor lub że ten nieszczęśliwy nie chciał zamienić swego więzienia na inne.

Gdy statek przybił do brzegu, inżynier i Nab byli już tam. Cyrus, pozdrowiwszy ich, zawołał:

— Byliśmy o was bardzo niespokojni! Czy nie spotkało was co złego?

— Nie — odpowiedział Gedeon — wszystko poszło jak najlepiej.

— Jednak — rzekł Cyrus — cel waszej wyprawy chybiony, skoro wracacie sami.

— Nie, panie Cyrusie, jest jeszcze ktoś z nami.

— Więc znaleźliście biednego rozbitka?

— Tak.

— Czy jest na statku?

— Jest.

— Któż to taki?

— Jest — rzekł reporter — czyli raczej był kiedyś człowiekiem! Więc nic nie możemy powiedzieć o nim, Cyrusie.

Reporter opowiedział przyjacielowi wszystkie przygody podróży, opisał mu wyspę Tabor, co na niej znaleźli, jak długo szukali napróżno biednego opuszczonego, w jaki sposób nareszcie znaleźli nieszczęśliwą istotę, w której już trudno dopatrzeć się człowieka.

— I to do tego stopnia — dodał Penkroff — że nie wiem nawet, czy postąpiliśmy dobrze, przywożąc go tutaj.

— Bez wątpienia dobrze, Penkroffie — rzekł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęśliwy już zupełnie stracił rozum!

— Być może — odpowiedział Cyrus — ale kilka miesięcy temu był takim jak my człowiekiem, a kto wie, jakim się stanie po długiem osamotnieniu ten z pomiędzy nas, który innych przeżyje? Biada temu, kto żyć musi zdala od ludzi, moi przyjaciele, widać jak osamotnienie może prędko pozbawić rozumu, skoro znaleźliście tego nieszczęśliwego w tak opłakanym stanie!

— Ale skądże pan wnosisz, panie Cyrusie — zapytał Harbert — że ten nieszczęśliwy dopiero od kilku miesięcy stał się takim, jakim jest obecnie.

— Ponieważ dokument, zawarty w butelce, był niedawno napisany, a nikt prócz tego nieszczęśliwego skreślić go nie mógł.

— A może — dodał Gedeon Spilett — towarzysz tego człowieka, który następnie mógł umrzeć!

— To niepodobne do prawdy, kochany Gedeonie.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Bo w takim razie dokument wspominałby o dwóch rozbitkach — odpowiedział Cyrus Smith.

Harbert opowiedział w krótkości, jakie spotkały ich przygody, gdy wracali do wyspy, i zwrócił szczególną uwagę na ciekawy fakt obudzenia się umysłu nieznajomego, gdy w niebezpieczeństwie przypomniał sobie, że jest marynarzem.

— Bardzo słusznie, Harbercie, przywiązujesz tak wiele wagi do tego zdarzenia. Dowodzi ono, że ten nieszczęśliwy może jeszcze

być uleczony, że tylko rozpacz doprowadziła go do stanu, z którego jeszcze w towarzystwie naszem otrząsnąć się może.

Mieszkaniec wyspy Tabor okazał widoczną chęć ucieczki, skoro go tylko na ląd wyprowadzono, lecz Cyrus zbliżył się do niego, położył mu rękę na ramieniu i zwrócił na niego pełne słodyczy spojrzenie. Natychmiast nieszczęśliwy, jakby ulegając nieprzepartej sile, zaczął się uspokajać, spuścił oczy, pochylił czoło i stał się zupełnie uległy.

— Biedny opuszczony! — rzekł ze współczuciem inżynier.

Cyrus Smith, przyjrzawszy się uważnie nieszczęśliwemu, przekonał się, że istotnie w całej jego postawie nie pozostało już nic ludzkiego, lecz równie jak Gedeon dostrzegł w jego spojrzeniu pewne przebłyski rozumu.

Koloniści postanowili, że nieznajomy będzie mieszkał razem z nimi w Granitowym pałacu, skąd zresztą trudno mu było uciec. Poszedł za nimi bez oporu, co dozwalało mieć nadzieję, że przy troskliwych staraniach może stać się kiedyś ich towarzyszem.

W czasie śniadania, które Nab przygotował naprędce dla podróżnych, rozmawiano wiele o wyspie Tabor i o jej mieszkańcu, w którego twarzy, pomimo ogromnej brody i włosów najeżonych jak strzecha, inżynier dostrzegł charakterystyczne rysy Anglosasów.

— Ale doprawdy, Harbercie, nie powiedziałeś nam dotąd — rzekł Gedeon — jakim sposobem spotkałeś się z tym nieszczęśliwym. Wiemy tylko, że byłby cię zadusił, gdybyśmy nie przybiegli w sam czas obejrzeć się, ten nieszczęśliwy rzucił się na mnie i obalił. Gdyby

— Bo też i mnie samemu trudno byłoby opowiedzieć, jak się to stało. Zbierałem właśnie nasiona, gdy nagle coś ciężkiego zsunęło się z drzewa, rosnącego o kilka kroków za mną, i zaledwie miałem czas obejrzeć się, ten nieszczęśliwy rzucił się na mnie i obalił. Gdyby nie pan Spilett i Penkroff...

— Rzeczywiście, moje dziecię, wielkie groziło ci niebezpieczeństwo — rzekł Cyrus — ale gdyby nie to, może ten nieszczęśliwy ukrywałby się przed wami, i nie zyskalibyśmy towarzysza.

— Więc masz nadzieję, Cyrusie, że on odzyska jeszcze rozum? — zapytał Gedeon.

— Mam — odpowiedział inżynier.

Po śniadaniu koloniści przenieśli do Granitowego pałacu wszelkie przedmioty, z wyspy Tabor zabrane, z wyjątkiem trzody chlewnej, którą zamknięto w chlewach.

— Panie Cyrusie — rzekł Penkroff, gdy na statku już nic nie zostało — trzebaby umieścić Bonawenturę w dogodniejszem miejscu.

— Dlaczego nie miałby pozostać tu, gdzie stoi? — zapytał inżynier.

— Bo tu połowę czasu stać musi na piasku, co niekorzystnie

wpływa na niego. A dobry to statek, panie Cyrusie, wybornie stawiał się podczas wichru, który nas napastował w podróży.

— Gdzież więc chcesz go umieścić, Penkroffie?

— W porcie Balonu. Ta mała przystań, zasłonięta od wichrów skałami, wydaje mi się najodpowiedniejszą.

— Dobrze, Penkroffie, zaprowadź Bonawenturę, gdzie uznasz, że mu będzie najlepiej, chociaż wolałbym, abyśmy mogli czuwać nad nim zbliska; dlatego też, skoro znajdziemy na to czas, urządzimy dla niego bliżej wygodną przystań.

— Wybornie! — zawołał Penkroff. — Port z latarnią morską, tamą i dokami! A! panie Cyrusie, panu to wszystko przyjdzie z łatwością.

— Tak, mój poczciwy Penkroffie, ale pod warunkiem, że ty pomagać mi będziesz, bo dotąd we wszystkich naszych pracach ty trzy części roboty bierzesz na siebie.

Wróćmy teraz do nieznajomego. Zaraz w pierwszych dniach pobytu w Granitowym pałacu taka w jego powierzchowności i umyśle zaszła zmiana, że Cyrus i reporter zaczęli przypuszczać, że może zczasem powrócić do rozumu. Z początku, przyzwyczajony do nieograniczonej swobody na wyspie Tabor, nieznajomy rzucał się gniewnie w swym pokoju; obawiano się nawet, aby nie wyskoczył oknem, powoli jednak uspokoił się i pozostawiono mu zupełną swobodę ruchów. Zaczął także używać mniej zwierzęcych pokarmów, a mięso gotowane i pieczone nie budziło już w nim wstrętu.

Cyrus Smith zastał go raz uśpionego snem twardym i, korzystając z tego, obciął mu włosy i brodę, tworzące rodzaj grzywy i nadające mu tak dziką postać. Później znów włożył na niego przyzwoite ubranie. Dzięki też jego staraniom, nieznajomy odzyskał postać ludzką; zdawało się nawet, że oczy jego przybrały łagodniejszy wyraz.

Cyrus Smith uważał sobie za obowiązek, aby codziennie kilka godzin spędzić w jego towarzystwie; pracował w jego pokoju i zmieniał często rodzaj zajęcia, aby tym sposobem ściągać na siebie jego uwagę. Mówił głośno z towarzyszami, którzy razem, lub oddzielnie przychodzili do niego, aby odrazu przez wzrok i słuch działać na ten odrętwiały umysł. Mówili zwykle o rzeczach, dotyczących marynarki, jako o przedmiocie najwięcej zajmującym marynarza. Niekiedy zdawało się kolonistom, że nieznajomy zwraca uwagę na to, co mówią, że ich rozumie. Czasami znowu twarz jego przybierała wyraz głębokiej boleści, jakby w sercu jego kryło się moralne cierpienie; milczał jednak ciągle, choć nieraz można było sądzić, że chciałby coś powiedzieć.

Biedak był zawsze spokojny i smutny. Czy jednak nie był to spokój pozorny, czy pozbawienie wolności nie było przyczyną jego

smutku? Czy rzeczywiście odradzał się fizycznie i moralnie, czy też oswajał się tylko z ludźmi? Były to pytania, które Cyrus pragnął rozwiąć najśpieszniej, nie chciał jednak zbyt nagle wystawiać chorego na próbę, bo w nieznajomym widział tylko chorego. Towarzysze inżyniera wzięli szczery udział w tem dziele miłosierdzia i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, zaczęli podzielać jego nadzieje.

Inżynier wywierał widocznie duży wpływ na nieznajomego i potrafił w nim wzbudzić rodzaj przywiązania. Postanowił więc wypróbować to przywiązanie, przenosząc go w inne miejsce, ukazując mu to morze, na którem dawniej oczy jego tak długo się zatrzymywały, i lasy, przypominając mu ten, w którym przeżył lat tyle.

— Czy tylko nie zechce uciec, skoro poczuje się wolnym — rzekł Spilett.

— Przekonamy się o tem — odpowiedział inżynier.

— Ho! ho! — zawołał Penkroff — jak tylko będzie mógł, ucieknie tak prędko, że go dogonić nie zdołamy!

— Nie sądzę — odpowiedział inżynier.

— Spróbujmy — rzekł Gedeon.

Cyrus Smith i Penkroff zbliżyli się do nieznajomego, który, leżąc przy oknie, wpatrywał się w pogodne niebo.

— Chodź ze mną, mój przyjacielu — rzekł do niego inżynier.

Nieznajomy wstał natychmiast, zwrócił oczy na Cyrusa i poszedł za nim. Gdy spuścili się nadół, koloniści odstąpili trochę od niego, aby czuł się zupełnie swobodnym. Postąpił wtenczas kilka kroków ku morzu, oczy jego ożywiły się, lecz, nie myśląc o ucieczce, patrzył z widoczną przyjemnością na fale, rozbijające się o brzegi wyspy.

— Widok morza nie budzi w nim chęci do ucieczki — rzekł Gedeon. — Zobaczymy, co będzie dalej.

— Tak — rzekł Cyrus — zaprowadźmy go teraz na płaszczyznę, ażeby las zobaczył. Tam dopiero dowiemy się czegoś stanowczego.

— Zresztą nie będzie mógł uciec — rzekł Nab — bo mosty są pozwodzone.

— A cóż dla niego znaczy taki wąski strumień — odezwał się Penkroff. — Zaręczam, że go przeszkoczy, nie zamoczywszy nogi.

— Zobaczymy — odpowiedział inżynier, nie spuszczając oczu z nieznajomego.

Gdy doszli do miejsca, w którem las się zaczynał, nieznajomy z upojeniem chwytał w piersi przesiąkłe wonią drzew powietrze i zapuścił wzrok w gęstwinę. Koloniści stanęli tuż za nim, aby go przytrzymać, gdyby okazał chęć do ucieczki. Rzeczywiście była chwila,

że nieszczęśliwy chciał rzucić się w strumień, oddzielający go od lasu, posunął się już naprzód, ale cofnął się natychmiast, pochylił głowę, i dwie łzy wielkie potoczyły się z jego oczu.

— A! — zawołał Cyrus Smith — płaczesz, więc znów jesteś człowiekiem!

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Tajemnica do zbadania. — Pierwsze wyrazy nieznajomego. — Dwanaście lat pobytu. — Wyznanie. — Zniknięcie. — Ufność Cyrusa. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Dowód oddania się. — Uczciwe ręce.

Tak, nieszczęśliwy zapłakał! Widać jakieś wspomnienie odżyło w jego umyśle i, podług wyrażenia Cyrusa, przez te łzy odzyskał człowieczeństwo. Koloniści odsunęli się, aby czuł się zupełnie swobodnym, ale nie myślał korzystać z wolności. Wkrótce też Cyrus odprowadził go do Granitowego pałacu.

Od tego dnia zdawało się, że nieznajomy mniej unikał towarzyszów. Widoczne było, że ich słyszy i rozumie i tylko nie chce mówić z nimi. Pewnego dnia Penkroff, stojąc pod drzwiami jego pokoju, usłyszał, jak mówił sam do siebie:

— Ja tutaj? Nigdy! o! nigdy!

Marynarz zawiadomił o tem natychmiast towarzyszów.

— Jest w tem jakaś bolesna tajemnica — rzekł Cyrus Smith.

Nieznajomy zaczął z własnej ochoty pracować w ogrodzie warzywnym, często jednak zatrzymywał się i stał długo, pogrążony w głębokiem zamyśleniu. Jeżeli który z kolonistów zbliżył się do niego, cofał się prędko, a z piersi jego wydobywały się bolesne łkania.

Czyżby wyrzuty sumienia były tego powodem? Tak się zdawało, i Gedeon Spilett rzekł pewnego dnia:

— Zdaje mi się, iż dlatego nic nie mówi, że zbyt wiele miałby do powiedzenia.

W kilka dni później, gdy nieznajomy, pracując na płaszczyźnie, wypuścił z rąk rydel i stał nieruchomy z twarzą zalaną łzami, Cyrus Smith, zdjęty litością, zbliżył się do niego i rzekł łagodnie, dotykając jego ramienia:

— Mój przyjacielu!

Nieznajomy opuścił wzrok, a gdy Cyrus chciał go wziąć za rękę, odskoczył od niego.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus stanowczo — patrz na mnie, chcę tego!

Nieznajomy zwrócił zwrok na inżyniera, chciał uciec, lecz się zatrzymał, jakby zmuszony, i w całem jego obliczu zaszła nagła zmiana; oczy błysnęły ogniem, przerywane słowa z ust się wymykały i, nie mogąc już zapanować nad sobą, skrzyżował ręce na piersiach i zapytał z przymusem:

— Kto wy jesteście?

— Jesteśmy rozbitkami równie jak ty — rzekł Cyrus. — Przewieźliśmy cię tu, abyś żył w towarzystwie podobnych sobie istot.

— Mnie podobnych!...

— Tak, jesteś teraz pośród przyjaciół...

— Wśród przyjaciół!... ja!... — zawołał nieznajomy, ukrywając twarz w dłoniach... — Nie... nigdy... Odejdź ode mnie! odejdź!

Potem pobiegł w stronę morza i stał tam długo milczący i nieruchomy. Cyrus wrócił do towarzyszów i opowiedział im całe to zdarzenie.

— Widocznie jest coś tajemniczego w życiu tego człowieka — powiedział Gedeon.

— Co szanować będziemy — odrzekł Cyrus żywo. — Jeżeli popełnił przewinienie, ciężko już za nie odpokutował i, mojem zdaniem, zasłużył na przebaczenie.

Nieznajomy jeszcze przez dwie godziny pozostawał samotny. Następnie zbliżył się do Cyrusa. Oczy miał zaczerwienione od łez, ale już nie płakał; twarz jego wyrażała głęboką pokorę, wstyd i obawę, oczy patrzyły w ziemię.

— Panie — zapytał Cyrusa — czy ty i twoi towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie, jesteśmy Amerykanami — odpowiedział inżynier.

— A! — rzekł, odetchnąwszy swobodniej, nieznajomy i dodał ciszej: — To lepiej dla mnie.

— A ty, mój przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odpowiedział śpiesznie.

Widać było, że z trudnością zdobył się na tę odpowiedź, po której znów się oddalił, długo chodził nad brzegiem morza, a z ruchów jego znać było, że zostawał pod wpływem silnego wzruszenia. Następnie, przechodząc koło Harberta, zatrzymał się i zapytał cichym drżącym głosem:

— Który mamy miesiąc?

— Grudzień — odpowiedział Harbert.

— Który rok?

— 1866.

— Dwanaście lat! dwanaście lat! — wykrzyknął i oddalił się śpiesznie.

Harbert powtórzył to towarzyszom.

— Dwanaście lat — rzekł Cyrus — dwanaście lat spędzonych

samotnie i może z myślą o występnej przeszłości. Musi to zgubnie oddziałać na umysł człowieka!

— Mnie się zdaje — rzekł Penkroff — że ten człowiek nie dostał się na wyspę Tabor wskutek rozbicia statku, lecz że go tam pozostawiono umyślnie, aby odpokutował za popełnioną zbrodnię.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział reporter. — Jeżeli tak jest w istocie, to bardzo być może, iż ci, co go zostawili na wyspie, zgłoszą się kiedyś po niego.

— I już go tam nie znajdą — rzekł Harbert.

— W takim razie — zawołał Penkroff — trzebaby raz jeszcze popłynąć tam i...

— Moi przyjaciele — rzekł Cyrus — nie możemy przedsiębrać nic stanowczego, nie wiedząc, jak rzeczy stoją. Zdaje się, że ten nieszczęśliwy przecierpiał wiele, że ciężko odpokutował za winy, że z trudnością powstrzymuje się od wypowiedzenia tego, co mu na sumieniu ciąży. Nie nalegajmy, aby nam opowiedział dzieje swego życia. On sam uczyni to kiedyś z własnej chęci, a wówczas będziemy wiedzieli, jak nam postąpić należy. On jeden tylko mógłby nam powiedzieć, czy mu pozostawiono nadzieję, że kiedyś sędziowie jego ułatwią mu powrót do rodzinnej ziemi. Wydaje mi się to jednak wątpliwem.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Bo, będąc pewnym, że w oznaczonym terminie odzyska wolność, nie byłby wrzucił w morze znalezionego przez nas dokumentu. Zdaje mi się prawdopodobniejszem, że miał na całe życie pozostać na wyspie.

— Jest tam jedna jeszcze zagadka, której rozwiązać nie umiem — rzekł marynarz.

— Jaka?

— Jeżeli tego człowieka opuszczono na wyspie Tabor dwanaście lat temu, to prawdopodobnie już od kilku lat musiał zostawać w tym stanie, w jakim nam się ukazał, a zatem musiałby już bardzo dawno napisać ów dokument.

— Bez wątpienia. A jednak ze wszystkiego trzeba wnosić, że butelka niedługo przebywała w morzu.

— Tak, tak. Nawet trudno przypuścić, aby butelka mogła płynąć przez kilka lat od wyspy Tabor do wyspy Lincolna.

— Nie wydaje mi się to jednak zupełnie niemożliwem — rzekł reporter — bo mogła już dawno znajdować się przy brzegach wyspy.

— Nie — rzekł marynarz — tego przypuścić nie można, skoro jeszcze unosiła się na wodzie. Nie można także wnosić, że wyrzuconą dawniej na brzeg morze uniosło powtórnie, bo wybrzeże południowe wyspy najeżone jest skałami, o które musiałaby się rozbić.

— Masz słuszność — odpowiedział Cyrus i zamyślił się głęboko.

— Zresztą — dodał marynarz — wilgoć musiałaby uszkodzić papier, zamknięty w butelce, znajdującej się tak długo w morzu. Ten zaś był całkiem świeży.

— Rzeczywiście, jest w tem coś tajemniczego — powiedział Cyrus — ale czekajmy cierpliwie, dopóki nasz nowy towarzysz nie rozwiąże sam tego.

Przez kilka następnych dni nieznajomy nie wymówił ani jednego słowa. Pracował gorliwie koło roli, lecz zdala od wszystkich. W godzinach przeznaczonych na posiłek nie wracał do domu, pomimo, że go przywoływano, i poprzestawał na surowych jarzynach. Noce spędzał pod cieniem drzew, a w razie deszczu wciskał się w wydrążenia skały. Wrócił więc do tego samego trybu życia, jaki prowadził na wyspie Tabor. W tem dnia 10 grudnia, około godziny ósmej wieczorem, nieznajomy stanął nagle przed kolonistami, siedzącymi w altanie. Oczy jego dziwnym błyszczały ogniem, w całej postawie malowała się jakaś sroga dzikość.

Koloniści słuchali, nie przerywając nieszczęśliwemu. Gdy skończenia, zęby jego szczękały jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok ludzi tak nieznosny był dla niego? Czy mu się sprzykrzyło pracowite i uczciwe życie? Czy tęsknił za swym dawniejszym zwierzęcym żywiołem? Tak można było wnosić ze słów, wyrywających się z ust jego.

— Dlaczego ja tu jestem?... Jakiem prawem porwaliście mnie z mojej wyspy?... Czy może być jaki związek między mną a wami?... Czy wiecie, kto jestem... co uczyniłem... za co tam byłem... sam jeden? Kto wam powiedział, że nie zostawiono mnie tam umyślnie... że mnie nie skazano na samotne życie... na samotną śmierć na wyspie?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie, czy ja nie kradłem, czy nie byłem mordercą... czy nie jestem nędznikiem... istotą wyklętą... zasługującą na to jedynie, aby żyć jak dzikie zwierzęta... zdala od ludzi? Mówcie... czy wam to wiadomo?

Koloniści słuchali, nie przerywając nieszczęśliwemu. Gdy skończył, Cyrus zbliżył się do niego, chcąc go uspokoić, lecz ten cofnął się żywo.

— Nie! nie! — zawołał. — Jedno tylko słowo... Czy jestem wolny?

— Zupełnie — odpowiedział inżynier.

— A więc żegnam was! — zawołał i uciekł, pędząc, co mu sił starczyło.

Nab, Penkroff i Harbert pobiegli za nim aż na skraj lasu, lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozostawić zupełną swobodę — rzekł Cyrus.

— Nie wróci już nigdy — powiedział marynarz.

— Wróci z pewnością — odpowiedział inżynier.

Wiele dni upłynęło od tego czasu, a Cyrus, jakby wiedziony przeczuciem, utrzymywał niezmiennie, że nieszczęśliwy powróci do nich prędzej czy później.

— Jest to — powtarzał — ostatni bunt tej dzikiej natury, wstrząśniętej do głębi wyrzutami sumienia, lecz niezdolnej już oswoić się z myślą nowego osamotnienia.

Koloniści pracowali gorliwie. Zasiano już nasiona zebrane przez Harberta na wyspie Tabor; tym sposobem znacznie powiększony ogród warzywny niemało wymagał pracy. Prócz tego po raz trzeci już od osiemnastu miesięcy, to jest od chwili, kiedy pierwsze ziarnko zboża rzucono w ziemię, rozpoczęto i ukończono żniwa. Powtórny siew 600.000 ziarn wydał teraz 500 korcy, to jest przeszło 500,000.000 ziarn! Kolonja posiadała więc obfite zapasy pszenicy, i obecnie trzeba było tylko myśleć o sposobach zmielenia jej na mąkę.

Cyrus miał z początku zamiar zbudować młyn wodny, lecz na ogólnej naradzie postanowiono postawić wiatrak na płaszczyźnie Pięknego Widoku, wpobliżu morza.

Przygotowano natychmiast potrzebny budulec, z północnego brzegu jeziora przyniesiono piaskowce i wyrobiono kamienie młyńskie; niewyczerpana dotąd powłoka balonu miała dostarczyć płótna, potrzebnego do skrzydeł wiatraka.

Ponieważ wszyscy zabrali się ochoczo do pracy, a Nab i Penkroff byli już teraz bardzo dobrymi cieślami, roboty postępowały szybko, i 1 grudnia wiatrak był już zupełnie gotowy. Penkroff zadowolony, jak zwykle, ze swej pracy zawołał:

— Teraz niech tylko wiatr wieje, a będziemy mleć naszą pszenicę...

— Tak Penkroffie, niech wieje, tylko niezbyt silnie — odpowiedział inżynier.

— Przecieżby to nie było źle, gdyby nasz wiatrak obracał się prędko.

— Doświadczenie nauczyło, Penkroffie, że zbyt mocny wiatr nie przynosi pożądanych korzyści.

Koloniści pragnęli jak najprędzej skosztować chleba, na który tak sumiennie zapracowali, więc tego samego dnia zmełli korzec zboża. Nazajutrz przy śniadaniu leżał już przed nimi duży bochenek chleba, który tak im smakował, że, gdy wstawali od stołu, nic z niego nie zostało.

Nieznajomy nie wrócił jeszcze. Gedeon i Harbert przebiegali dość często las wpobliżu Granitowego pałacu, lecz zawsze nadaremnie. To tak długie i staranne ukrywanie się niepokoiło wszystkich; bez wątpienia dawny mieszkaniec wyspy Tabor mógł z łatwością wy-

żywić się w lasach, obfitujących w zwierzynę, ale trzeba się było lękać, aby nie odezwały się w nim znowu dawniejsze jego dzikie instynkty. Jednak Cyrus utrzymywał, że zbieg powróci dobrowolnie.

Niespodziewany przypadek dopomógł do spełnienia tej przepowiedni. Dnia 2 grudnia Harbert poszedł z wędką na południowy brzeg jeziora; nie brał z sobą broni, ponieważ dotąd żadne krwiożercze zwierzęta nie ukazywały się w tej części wyspy. Pozostali zajęci byli robotą na dziedzińcu przed kurnikami, gdy nagle posłyszeli krzyk:

— Ratujcie! ratujcie!

Pobiegli, co im tchu starczyło, lecz uprzedził ich nieznajomy, którego obecności w tych stronach nikt się nie spodziewał. Przebywszy wpław strumień, oddzielający w tem miejscu las od płaszczyzny, dobiegł w tej chwili właśnie, gdy jaguar, podobny do zabitego na przylądku Gadu, zbliżył się o kilka kroków od Harberta i skurczył się już, chcąc skoczyć na niego... Nieznajomy, nie posiadając innej broni prócz noża, rzucił się na krwiożercze zwierzę. Walka trwała krótko, bo nieznajomy posiadał niezwykłą zręczność i siłę. Jedną ręką ścisnął jaguara za gardło jakby kleszczami, nie zważając, że zwierzę zapuszcza mu pazury w ciało, drugą uderzył go nożem w serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i chciał uciec, widząc, że koloniści przybyli na pole walki, lecz Harbert, chwytając go — zawołał:

— Nie! nie! już nas nie opuścisz!

Nieznajomy zmarszczył brwi gniewnie. Krew płynęła mu z ramienia, lecz nie zwracał na to uwagi.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Cyrus — zaciągnęliśmy względem ciebie dług wdzięczności. Dla uratowania Harberta naraziłeś własne życie.

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Cóż ono warte?... Mniej niż nic!

— Jesteś raniony.

— Mniejsza o to.

— Pozwól mi uścisnąć tę rękę, która mi uratowała życie — rzekł Harbert.

Nieznajomy skrzyżował ręce, z piersi jego ciężkie wydobyło się westchnienie, a oczy zaszły łzami. Chciał uciekać, potem — jakby gwałt zadając sobie — rzekł porywczo:

— Kto wy jesteście i czem zamierzacie być dla mnie?

Pierwszy to raz zapytywał o przeszłość kolonistów.

Cyrus uwiadomił go w krótkości o wszystkiem, co przeszli od chwili oddalenia się z Richmondu, i jakim sposobem, ogołoceni ze

wszystkiego, własnemi siłami zdobyli sobie byt dostatni, prawie zbytkowny.

Nieznajomy słuchał go z natężoną uwagą, lecz gdy inżynier dodał, że przez cały czas pobytu na wyspie Lincolna, ani on, ani jego towarzysze nie doznali nigdy tak żywej radości, jak w chwili, gdy ich grono powiększył samotnik z wyspy Tabor, nieznajomy spuścił głowę, a twarz jego oblała się rumieńcem wstydu.

— Teraz, kiedy nas poznałeś, zechcesz zapewne podać nam rękę? — rzekł Cyrus.

— Nie — odpowiedział nieznajomy drżącym głosem — nie! Wy jesteście ludzie zacni, uczciwi, a ja!...

ROZDZIAŁ XXXIX.

Zawsze na uboczu. — Żądania nieznajomego. — Zbudowanie chaty przy ogrodzie — Minęło lat 12! — Kapitan Brytanji. — Pozostawienie na wyspie Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa potwierdzały domysły kolonistów. Przeszłość tego nieszczęśliwego musiała być zbrodniczą, a choć odpokutował za nią, własne sumienie jeszcze go nie rozgrzeszyło. Nie mogąc się jednak oderwać od nowych towarzyszów i uciec do lasu, przebywał ciągle wpobliżu Granitowego pałacu.

Wszystko wróciło znów do dawnego porządku. Nieznajomy pracował zawsze samotnie, nie zasiadał nigdy do wspólnego posiłku, sypiał pod drzewami. Zdawało się, że obecność ludzi była mu nieznośną, i dopiero w tydzień po powrocie do Granitowego pałacu nieznajomy zbliżył się do Cyrusa i rzekł do niego z pokorą, lecz spokojnie:

— Mam do pana prośbę.

— Spełnię ją najchętniej. Ale pierwej zadam ci pytanie...

Nieznajomy zarumienił się i cofnął, a Cyrus, pomiarkowawszy, że obawia się, aby go nie zapytano o przeszłość, rzekł, zatrzymując go za rękę:

— Chciałem ci jedynie powiedzieć, że nietylko jesteśmy twoimi towarzyszami, ale że masz w nas szczerych przyjaciół; teraz słucham cię.

Nieznajomy otarł oczy ręką; drżał cały i przez czas pewien nie mógł wymówić ani jednego słowa.

— Panie — odezwał się wreszcie — przyszedłem prosić cię o wielką łaskę.

— Czegóż żądasz?

— O cztery lub pięć mil posiadacie owczarnię. Znajdujące się tam zwierzęta potrzebują dozoru, czy zechcesz mi pozwolić, abym mieszkał tam z niemi?

Cyrus spojrzał na nieszczęśliwego z głębokiem współczuciem i rzekł:

— Mój przyjacielu, owczarnia składa się tylko z bud niedość wygodnych nawet dla zwierząt.

— Dla mnie będą aż nadto dobre.

— Mój przyjacielu — odpowiedział Cyrus — nie chcemy ci się sprzeciwiać w niczem. Chcesz mieszkać przy owczarni, niech i tak będzie, choć milejby nam było, gdybyś pozostał z nami, tylko postaramy się o to, abyś tam znalazł stosowne pomieszczenie.

— Dziękuję — rzekł krótko nieznajomy, odchodząc.

Tego jeszcze dnia koloniści udali się do owczarni z potrzebnemi narzędziami; nim tydzień upłynął, zbudowali już małą chatkę o kilkadziesiąt kroków od owczarni, a w parę dni później zaopatrzyli ją w potrzebne sprzęty, narzędzia, strzelbę i pewną ilość prochu.

Nieznajomy nie dopomagał kolonistom w tej pracy, nie przyszedł nawet zobaczyć nowego mieszkania, ale zato tak gorliwie pracował na płaszczyźnie, że, gdy skończyli, całe pole było już uprawione pod zasiewy.

Dwudziestego grudnia inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie jego już skończono; ten oświadczył, że się tam przeniesie zaraz wieczorem.

Około ósmej godziny, gdy koloniści, zebrani w wielkiej sali, zajęci byli rozmową, nieznajomy wszedł i odezwał się do nich:

— Zanim pożegnam was, panowie, muszę opowiedzieć, czem byłem i jakim byłem.

— Nie wymagamy od ciebie żadnych zwierzeń — rzekł inżynier łagodnie — masz prawo milczeć...

— Mam obowiązek mówić.

— Siadaj więc.

— Wolę stać.

— A więc słuchamy — rzekł Cyrus, siadając.

Nieznajomy stał w cieniu z pochyloną głową i skrzyżowanemi na piersiach rękoma. Głosem stłumionym, jak ktoś, zmuszający się do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie:

„Dnia 20 grudnia 1854 roku jacht spacerowy *Duncan,* należący do bogatego Szkota, lorda Glenarvana, zarzucił kotwicę około przylądka Bernouilli, na zachodniem wybrzeżu Australji. Na pokładzie tego jachtu znajdowali się: lord Glenarvan z żoną, major armji angielskiej, geograf Francuz, młoda panienka i młody chłopiec. Ci ostatni byli dziećmi kapitana Granta, którego statek *Brytania* rozbił

się i zatonął przed rokiem. Kapitanem *Duncana* był John Mangles, a osada składała się z piętnastu ludzi.

„Sześć miesięcy przedtem znaleziono w morzu Irlandzkiem butelkę, zawierającą dokument, pisany w języku angielskim, niemieckim i francuskim. Z tego dokumentu dowiedziano się, że trzy osoby z osady *Brytanji* pozostały przy życiu, że jedną z nich był kapitan Grant, że znalazły schronienie na nieznanej ziemi. Dalej następowało oznaczenie długości, lecz wilgoć tak uszkodziła papier, że nie można było tego odczytać. Jednak, płynąc według wskazanej szerokości, można było odszukać ziemię, zamieszkiwaną przez kapitana Granta i jego towarzyszów.

„Admiralicja ociągała się z rozpoczęciem poszukiwań, lord Glenarvan więc postanowił dołożyć wszelkich usiłowań, aby odnaleźć kapitana. Poczyniono stosowne przygotowania do tak odległej wyprawy, w której także wziąć udział miała rodzina lorda i dzieci kapitana, Marja i Robert. *Duncan* wypłynął z Glasgowa, skierował się ku Atlantykowi, opłynął cieśninę Magielańską, przez ocean Spokojny dotarł do Patagonji, gdzie, tak przypuszczano na zasadzie dokumentu, kapitan mógł być w niewoli u krajowców.

„*Duncan* zostawił podróżnych na zachodnim brzegu Patagonji i odpłynął ,aby oczekiwać na ich przybycie na wschodnim, około przylądka Sorriente.

„Lord Glenarvan przeszedł wpoprzek Patagonję, trzymając się ciągle oznaczonej szerokości, nie znalazł jednak nigdzie śladów kapitana. Wsiadł na statek 13 listopada, zwiedził po drodze wyspy Tristan da Cunha i Amsterdam, a nareszcie, jak już wspomniałem, przybił 20 grudnia do wybrzeża australijskiego, około przylądka Bernouilli.

„Tu znów wysiedli na ląd, gdyż lord Glenarvan zamierzył przebyć Australję, jak już przebył Patagonję. O kilka mil od brzegu znajdowała się farma, należąca do pewnego Irlandczyka, który chętnie udzielił gościnności podróżnym. Lord Glenarvan zawiadomił gospodarza, z jakiego powodu przybył w te strony, i zapytał go, czy nie słyszał co o rozbiciu trzymasztowego statku angielskiego *Brytania* przed niespełna dwoma laty, na zachodnim brzegu Australji.

„Irlandczyk nic o tem nie wiedział, lecz jeden z jego służących odezwał się:

— „Podziękuj Bogu, milordzie, bo jeżeli kapitan Grant żyje dotąd, to z pewnością znajdziesz go w Australji.

— „Któż ty jesteś? — zapytał lord Glenarvan.

— „Jestem — milordzie — równie jak ty, Szkotem, a prócz tego jednym z towarzyszów kapitana Granta, rozbitkiem ze statku *Brytania*.

„Człowiek ten nazywał się Ayrton i był rzeczywiście sternikiem na statku *Brytania,* jak to poświadczyły jego papiery. Powiedział

jednak, że nie może udzielić żadnych wiadomości o swym kapitanie, gdyż stracił go z oczu w chwili, gdy statek rozbił się o skały; dotąd był pewny, że statek utonął wraz z resztą osady.

— „Tylko — dodał — *Brytania* rozbiła się nie na tym, lecz na wschodnim brzegu Australji, tam więc trzeba szukać kapitana Granta.

„Człowiek ten mówił głosem pewnym i spoglądał śmiało. Irlandczyk, u którego służył rok przeszło, ręczył za niego. Lord Glenarvan uwierzył więc jego słowom i, stosownie do jego rady, postanowił udać się na wschodnie wybrzeże, nie zbaczając od wskazanego w dokumencie kierunku. Lord Glenarvan, jego żona, dzieci kapitana, major, Francuz, kapitan Mangles i kilku majtków mieli podróżować lądem pod przewodnictwem Ayrtona, *Duncan* zaś pod dowództwem porucznika Toma Austina odpłynął do Melbourne, gdzie miał czekać na dalsze rozkazy lorda.

„Muszę teraz wyznać, że Ayrton był zdrajcą. Służył on rzeczywiście na statku *Brytania,* ale, gdy ukarany za brak karności, starał się nakłonić osadę do buntu i opanowania statku, kapitan Grant wysadził go na ląd na zachodniem wybrzeżu Australji i popłynął dalej. Czyniąc tak, postępował sprawiedliwie.

„Nędznik ten dopiero od lorda Glenarvana dowiedział się o rozbiciu *Brytanji.* Został on pod nazwiskiem Bena Joyca naczelnikiem zbiegłych deportowanych i dlatego jedynie utrzymywał, że statek rozbił się przy wybrzeżu wschodniem, dlatego namówił lorda Glenarvana do rozpoczęcia poszukiwań w tej stronie, aby go oddalić od jachtu, zająć *Duncana* i zrobić z niego statek korsarski".

Tu nieznajomy zatrzymał się, jakby mu tchu zabrakło; po chwili jednak znów zaczął mówić drżącym głosem:

„Łatwo pojąć, że wyprawa pod przewodnictwem Ayrtona nie mogła przynieść pożądanych wyników, i dodać należy, że towarzyszyli jej ciągle niepostrzeżenie podwładni Bena Joyca, zbiegli zbrodniarze, aby w razie potrzeby miał pomoc zapewnioną.

„Wiemy już, że *Duncana* posłano do Melbourne. Teraz więc chodziło Ayrtonowi głównie o to, aby lord Glenarvan wydał mu rozkaz przypłynięcia do wschodniego wybrzeża Australji, gdzie zbrodniarze mogli go łatwiej opanować. Doprowadziwszy podróżnych do dziewiczych a niezbyt od wybrzeża odległych lasów, gdzie czuć się dawał brak najpierwszych wygód, Ayrton otrzymał wreszcie list od porucznika Toma Austina z rozkazem, aby *Duncan* udał się natychmiast na wybrzeże wschodnie i zatrzymał się w zatoce Twofold, to jest o kilka dni drogi od miejsca, w którem zatrzymali się podróżni. Tam właśnie Ben Joyce wyznaczył schadzkę swym wspólnikom.

„Ayrton chciał stawić opór, więc uwięziono go. Popłynął do oddać miano, odkryto zdradę, i musiał ratować się ucieczką. Pomimo to potrafił list ten wykraść i we dwa dni później przybył do Melbourne.



Dziesiątego października zepchnięto statek na sam brzeg rzeki, skąd już w czasie przypływu morza uniosły go fale... (str. 184)

„Dotąd zbrodniarz przeprowadził szczęśliwie swe niecne zamiary. Teraz miał zaprowadzić jacht do zatoki Twofold, gdzie złoczyńcy opanują go z łatwością i wymordują osadę. Wówczas Ben Joyce stanie się panem na tem morzu. Bóg nie pozwolił mu spełnić tych zbrodniczych zamiarów.

„Ayrton — przybywszy do Melbourne — wręczył list porucznikowi Austinowi, który zaraz po przeczytaniu go kazał rozwinąć żagle, lecz łatwo wyobrazić sobie gniew Ayrtona, gdy dowiedział się, że

jacht płynie nie do wschodniego wybrzeża Australji, lecz do wschodniego wybrzeża Nowej Zelandji. Chciał się temu sprzeciwić, porucznik pokazał mu list!... Rzeczywiście — wskutek zrządzenia Opatrzności — geograf Francuz — piszący ten list — wskazał wybrzeża Nowej Zelandji jako miejsce przeznaczenia dla *Duncana.*

„Ayrton chciał stawić opór, więc uwięziono go. Popłynął do wybrzeża Nowej Zelandji, nie mogąc uwiadomić wspólników, nie wiedząc, co się stało z lordem Glenarvanem.

„*Duncan* krążył około wybrzeża do trzeciego marca. W tym dniu Ayrton posłyszał wystrzały; *Duncan* witał lorda Glenarvana wystrzałami armatniemi.

„Po tysiącznych trudach i niebezpieczeństwach podróżni dostali się na wybrzeża Australji, około zatoki Twofold. Ale nie zastali tam *Duncana.* Lord Glenarvan telegrafował do Melbournu, odpowiedziano mu: „*Duncan,* wypłynął 18, miejsce jego przeznaczenia niewiadome".

„Lord Glenarvan był przekonany, że jacht wpadł w ręce Bena Joyca. Nie odstąpił jednak od raz powziętego postanowienia. Wsiadł na okręt kupiecki, płynący do zachodniego wybrzeża Nowej Zelandji, przebył ją aż do wybrzeża wschodniego i tu z radością i zadziwieniem zastał swój statek pod dowództwem porucznika Austina, który czekał na niego już od pięciu tygodni.

„Stawiono Ayrtona przed lordem Glenarvanem, który pragnął dowiedzieć się od niego szczegółów o kapitanie Grancie. Ayrton nie chciał mówić. Lord Glenarvan oświadczył mu, że go odda w ręce władz angielskich. Ayrton milczał. Dopiero lady Glenarvan wymogła na nim tyle, że obiecał powiedzieć wszystko, co wie, jeżeli lord Glenarvan, zamiast oddawać w ręce sprawiedliwości, pozostawi go na której z wysp oceanu Spokojnego. Lord zgodził się na to. Ayrton opowiedział mu wówczas całe swoje życie, lecz utrzymywał niezmiennie, że nie słyszał nic o kapitanie od chwili, gdy ten pozostawił go na wybrzeżu Australji.

„Mimo to lord Glenarvan dotrzymał słowa. *Duncan* puścił się w dalszą podróż i przybył do wyspy Tabor, leżącej także pod trzydziestym siódmym stopniem szerokości. Tam pozostawiono Ayrtona, tam także, co można uważać za cud prawdziwy, znaleziono kapitana Granta i dwóch jego towarzyszów.

„W chwili, gdy złoczyńcę wyprowadzono na ląd, lord Glenarvan odezwał się do niego:

— „Tu, Ayrtonie, pozostaniesz zdala od wspólników i zdala od wszelkiej zamieszkałej ziemi, nie zdołasz więc uciec z tej wysepki. Będziesz żył samotnie pod okiem Boga, przed którym nic utaić nie można, jednak nie zginiesz bez wieści, jak kapitan Grant. Jakkolwiek niegodny jesteś wspomnienia, ludzie nie zapomną o tobie. Znam miejsce twego pobytu — Ayrtonie — wiem, gdzie cię znaleźć można, i nie wyjdzie to z mej pamięci!

„*Duncan* rozwinął żagiel i odpłynął. Było to dnia 18 marca 1855 roku.

„Ayrton pozostał sam jeden, ale zaopatrzono go w odzież, żywność, broń, proch i rozmaite nasiona, nie potrzebował się nawet troszczyć o mieszkanie, bo mu pozostawiono domek, zbudowany przez zacnego kapitana Granta, mógł więc myśleć o tem jedynie, aby życiem samotnem odpokutować za zbrodnie.

„Żal jego był szczery, wstydził się zbrodni, dręczyły go straszne wyrzuty sumienia i był bardzo nieszczęśliwy! Powiedział sobie, że. jeżeli ludzie zechcą kiedyś wyrwać go z tej samotności, powinien stać się godnym ich towarzystwa! Ileż on wycierpiał! Jak gorąco się modlił, aby się odrodzić przez modlitwę!...

„Tak było przez dwa lub trzy lata. Ayrton — znękany samotnością — wpatrywał się ciągle w morze, czy tam nie ujrzy statku, zadawał sobie pytanie, jak prędko skończy się czas pokuty, cierpiał najstraszniejsze męki. A! straszna jest samotność dla duszy, trapionej wspomnieniami popełnionych zbrodni! Jednak widać cierpienia te nie były jeszcze dostateczną za winy jego karą, gdy uczuł, że powoli ogarnia go zezwierzęcenie i staje się zupełnie dzikim. Niepodobna mi oznaczyć, czy się to stało po dwóch, czy czterech latach opuszczenia, dość że zczasem stał się ową nędzną istotą, którą napotkaliście na wyspie.

„Nie potrzebuję objaśniać panów, że Ayrton, Ben Joyce i ja, to jedna i ta sama osoba".

Niepodobna opisać wzruszenia, z jakiem Cyrus i jego towarzysze wysłuchali tego opowiadania. Jakże wiele opowiadający wycierpiał, jak straszna boleść i rozpacz miotały jego sercem!

— Ayrtonie — rzekł Cyrus — wielkie popełniłeś zbrodnie, ale widać Bóg osądził, żeś już odpokutował za nie, skoro pozwolił ci wrócić do ludzi. My ci przebaczamy — Ayrtonie — i przyjmujemy za współtowarzysza.

Ayrton cofnął się wzruszony.

— Oto moja ręka — rzekł inżynier.

Ayrton rzucił się do podanej ręki i rzęsistemi oblał ją łzami.

— Czy chcesz pozostać z nami? — zapytał Cyrus.

— Pozwól mi przynajmniej jeszcze przez pewien czas pozostać w samotnej chatce przy owczarni.

— Dobrze, skoro tego pragniesz, ale jedno jeszcze zadam ci pytanie. Skoro zawsze chcesz żyć samotnie, dlaczegóż wrzuciłeś w morze ów dokument, który nas na ślad twój naprowadził?

— Dokument? — powtórzył, nie domyślając się, o co chodzi?

— Tak, ów dokument w butelce, który podał nam dokładne oznaczenie położenia wyspy Tabor.

Ayrton przesunął ręką po czole, zamyślił się głęboko i nareszcie odpowiedział stanowczo:

— Nigdy żadnego dokumentu nie wrzucałem w morze.

— Nigdy? — zawołał Penkroff.

— Tak jest, nigdy! — odrzekł — i, pożegnawszy się, wyszedł.

ROZDZIAŁ XL.

Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Myśli inżyniera.—Telegraf.— Druty i baterje. — Ciepła pora. — Rozwój kolonji. — Fotograf. — Dwa lata minęło.

— Nieszczęśliwy człowiek! — zawołał Harbert, gdy Ayrton oddalił się.

— Ale jak to wytłumaczyć, panie Cyrusie? Skoro Ayrton nie wrzucił tej butelki, więc musiał ją wrzucić ktoś inny? — zapytał zdziwiony niewymownie Penkroff.

Przyznać trzeba, że pytanie to nasuwało się każdemu.

— Eh! on wrzucił butelkę niezawodnie, tylko biedak musiał już wtedy być nawpół nieprzytomny — odrzekł Nab.

— Zapewne — dorzucił Harbert — sam nie wiedział, co robi.

— Rzeczywiście, tylko tym sposobem fakt ten wytłumaczyć można — rzekł inżynier. — Przecież Ayrton tylko mógł tak dokładnie oznaczyć położenie wyspy Tabor, skoro znał ją dobrze jeszcze przed owemi opowiedzianemi nam wypadkami, które skazały go na samotny na niej pobyt.

— Jednakowoż — rzekł Penkroff — nie był jeszcze zdziczały, gdy układał ów dokument. Jeżeli jest temu lat siedem lub osiem, jak się to stać mogło, że wilgoć go nie uszkodziła?

— Widać — odparł Cyrus — znacznie później, niż sądzi, utracił pamięć i rozum.

— Czy tylko Ayrton powiedział nam prawdę? — zapytał marynarz.

— O tem nie można wątpić — odparł reporter. — Historja, którą nam opowiedział, jest najzupełniej prawdziwa. Doskonale przypominam sobie, że dzienniki podawały ją z najdrobniejszemi szczegółami, opisując zarazem przedsiębrane przez lorda Glenarvana poszukiwania i ich wyniki.

— Bądź pewny, Penkroffie, że Ayrton mówił prawdę; niktby nie kłamał, aby o podobne oskarżać się zbrodnie — rzekł inżynier.

Nazajutrz, 21 grudnia, koloniści udali się na płaszczyznę, lecz nie zastali tam Ayrtona, który w nocy oddalił się do swej samotnej

chaty. Postanowili zostawić mu zupełną swobodę, licząc na to, że czas dokona reszty. Harbert, Penkroff i Nab wrócili do zwykłych zajęć, a inżynier i reporter pracowali razem w Kominach.

— Wiesz co, Cyrusie — rzekł Gedeon Spilett. — Wczorajsze objaśnienia twoje co do znalezionej butelki bynajmniej mnie nie zadowoliły. Czy można przypuszczać, żeby ten nieszczęśliwy, który teraz, oprzytomniawszy, tak doskonale pamięta całą przeszłość, nic nie wiedział o tem, że wrzucił w morze butelkę z dokumentem?

— To też nie ulega wątpliwości, że nie on ją wrzucił.

— A więc sądzisz...

— Dotąd nic nie sądzę, bo nic nie wiem — przerwał Cyrus. — Zaliczam to wydarzenie do rzędu tych, których także nie mogliśmy jeszcze dotąd rozwiązać.

— Doprawdy, Cyrusie, dzieją się rzeczy niepodobne do uwierzenia. Twoje cudowne ocalenie, skrzynia znaleziona na piasku, owe przygody Topa i nareszcie ta butelka... Czy nigdy już nie rozwiążemy tych niepojętych zagadek?...

— Rozwiążemy niezawodnie, choćby mi przyszło rozkopać całą wyspę — odrzekł inżynier.

— Ha! może szczęśliwy wypadek wyjaśni nam nareszcie te dziwne tajemnice.

— Mój drogi, nie wierzę ani w wypadki, ani w nierozwiązane tajemnice. Wszystko, co nam się wydaje niewytłumaczonem, ma swój powód i przyczynę, które nauka i praca wykryć pozwala. Będziemy pracowali wytrwale i dojdziemy do celu.

Nadszedł styczeń, a z nim rok 1867. Harbert i Gedeon poszli ku owczarni i przekonali się, że Ayrton zajął przygotowane mieszkanie i troskliwie pilnował powierzonej sobie trzody. Tym sposobem oszczędzał kolonistom trudów; nie chcąc jednak przyzwyczajać go do samotności, odwiedzali go dość często. Nadto — ponieważ Gedeon i Cyrus mieli pewne zamiary, które wymagały nader bacznego zwrócenia uwagi na tę część wyspy, polecono więc Ayrtonowi, aby zawiadomił ich niezwłocznie, gdyby wydarzyło się coś niezwykłego.

Nadto, ponieważ mogły się wydarzyć wypadki rozmaite, jak np. pojawienie się woddali okrętu, ukazanie się rozbójników i t. p., coby wymagało prędkiej obecności wszystkich kolonistów, przeto Cyrus postanowił zaprowadzić bezpośrednią komunikację między chatką przy owczarni a Granitowym pałacem.

O zamiarze tym zawiadomił towarzyszów dnia 10 stycznia.

— Ciekaw jestem, jak tego dokażesz! — zawołał Penkroff. Czy czasem nie zamierzasz urządzić telegrafu?

— Właśnie — odrzekł inżynier.

— Co? Zamierzasz zaprowadzić telegraf elektryczny? — rzekł Harbert.

— Tak, mój młody przyjacielu. Mamy przecież wszystko.

co może być potrzebne do wytworzenia prądu elektrycznego; najtrudniej będzie z wyrobem drutu, ale i temu zaradzimy.

— No. kiedy tak — zawołał marynarz — to bardzo być może, iż niezadługo będziemy pędzili po naszej wyspie koleją żelazną.

Zabrano się do pracy, poczynając od rzeczy najtrudniejszej, to jest wyrobienia drutu, bo, gdyby to się nie udało, nie byłoby potrzeby pracować nad innemi przyrządami.

Żelazo, znajdujące się na wyspie Lincolna, było, jak wiemy, w najlepszym gatunku, zatem łatwo dało się ciągnąć. Cyrus urządził najpierw blachę stalową, w której porobił otwory stożkowe różnej wielkości, aby stopniowo doprowadzać drut do pożądanej grubości. Zahartowawszy tę blachę, przymocował ją do pnia, utwierdzonego w gruncie, o kilka stóp od spadku wody, którego siłę inżynier zużytkować postanowił.

Kilka dni czasu wystarczyło na przygotowanie drutów, i zaraz potem inżynier postanowił urządzić baterję nader prostą.

Dnia 6 lutego zaczęto ustawiać słupy z okrytemi szkłem hakami do podtrzymywania drutu, który miał być wyciągnięty nad drogą, prowadzącą do chaty. W kilka dni później drut był przeprowadzony.

Urządzono dwie baterje; jedną w Granitowym pałacu, drugą w chatce przy owczarni, aby w każdej chwili można się było porozumiewać z sobą.

Dnia 12 lutego cały przyrząd był już wykończony, i zaraz Cyrus zapytał Ayrtona, czy co złego nie zaszło w owczarni; w kilka minut odebrał zadowalającą odpowiedź. Penkroff nie posiadał się z radości i codziennie rano i wieczór wysyłał telegramy do owczarni, na które zawsze odbierał żądane odpowiedzi.

Urządzenie telegrafu zapewniało podwójną korzyść: najpierw mogli zawsze wiedzieć, czy Ayrton nie opuścił chaty, a powtóre nie pozwalali mu zostawać w zupełnem odosobnieniu. Oprócz tego Cyrus odwiedzał go regularnie przynajmniej raz na tydzień, a ilekroć Ayrton przybywał do Granitowego pałacu, przyjmowano go życzliwie.

Piękna pora roku upłynęła wśród zwykłych zajęć. Zasoby kolonji, szczególniej pod względem jarzyn i zboża, zwiększały się nieustannie, a rośliny, sprowadzone z wyspy Tabor, udały się jak najlepiej. Czas był prześliczny; we dnie temperatura była bardzo gorąca, ale wieczorami wietrzyk, wiejący od morza, mile chłodził powietrze. Niekiedy jednak nadchodziły burze i, choć krótkie, były przecież bardzo gwałtowne: czasami błyskawice trwały po kilka godzin, sprowadzając za sobą grzmoty i pioruny.

W owym czasie stan kolonji dosięgał wysokiego stopnia rozwoju. Drób tak się rozmnożył, że go mieli prawie za wiele. Onagi także doczekały się potomstwa, a dwoje ich dzieci służyło za wierzchowców dla reportera i Harberta, który dzięki Gedeonowi był doskonałym jeźdźcem. Oprócz tego zaprzęgano młode onagi do wozu, aby

zwoziły węgiel i drzewo, oraz rozmaite minerały, których inżynier ciągle potrzebował.

Kilkakrotnie odbywano wycieczki do lasów, leżących na Dalekim zachodzie. Koloniści nie obawiali się zbyt wysokiej temperatury, bo promienie słoneczne zaledwie gdzie niegdzie zdołały się przedrzeć przez nadzwyczaj gęste sklepienie lasu. Zwiedzili cały lewy brzeg Mercy. Wybierając się na te wycieczki, zawsze dobrze się uzbrajali, gdyż często zachodziły im drogę dziki nadzwyczaj zuchwałe, z któremi musieli uparte staczać walki.

W tej także porze roku Gedeon i Harbert rozpoczęli z jaguarami straszną wojnę. Obaj myśliwi uzupełniali się wzajemnie. Harbert był nadzwyczaj odważny i śmiały, reporter odznaczał się zimną krwią i przezornością. Dzięki tym zapalonym myśliwym już przeszło dwadzieścia prześlicznych skór jaguarów zdobiło ściany wielkiej sali Granitowego pałacu, z czego można było wnosić, że potrafią dojść do zamierzonego celu i oczyszczą wyspę z tych niebezpiecznych zwierząt.

Inżynier często towarzyszył w wycieczkach w nieznane okolice wyspy i rozpatrywał się w nich nadzwyczaj bacznie. Nie szukał jednak ani roślin, ani zwierząt, lecz innych śladów; dotąd jednak nie natrafił na nic godnego uwagi.

W owym czasie Gedeon z pomocą Harberta zdjął kilka widoków najpiękniejszych części wyspy, dzięki przyrządowi fotograficznemu, który znaleźli w skrzyni. Aparat ten, zaopatrzony w doskonałe szkła, był nadzwyczaj dokładny.

Reporter i Harbert wkrótce tak się wprawili w zdejmowanie widoków, iż otrzymali ładne odbicia krajobrazów tak pojedyńczych miejscowości jak i całej wyspy. Prócz tego zdejmowali portrety wszystkich bez wyjątku mieszkańców wyspy, a Penkroff, patrząc na odbicia, wesoło zacierał ręce, mówiąc:

— Gdy widzę nas wszystkich raz w Granitowym pałacu, a potem na obrazkach, wydaje mi się, że nasza wyspa jest gęściej zaludniona.

Z radością przyglądał się swemu portretowi, zawieszonemu na ścianie, przechodził do innych, wpatrując się z takiem zajęciem, jakgdyby się znajdował w najbogatszej galerji obrazów.

Trzeba jednak przyznać, że najlepiej może udał się portret Jowa; orangutang wybrał pozę nadzwyczaj poważną i stał tak spokojnie, iż obraz odbił się doskonale.

— Tylko patrzeć, jak się na nas wykrzywi! — wołał Penkroff.

To też jegomość Jow poznał się na doskonałem podobieństwie portretu i najzupełniej był z niego zadowolony, a gdy mu się przy-

patrywał, małpia jego fizjognomja przybierała wyraz pychy i zarozumiałości.

Z końcem marca minęły upały. Deszcze zaczynały padać, ale mimo to powietrze było duszne. Miesiąc ten odpowiadał wrześniowi w szerokościach północnych; obecnie nie był tak pięknym jak przedtem i zdawał się zapowiadać ostrą i wczesną zimę. Raz nawet koloniści mniemali, że już śnieg zawitał do nich. Harbert dnia tego wstał najwcześniej i, zbliżywszy się do okna, zawołał:

— Patrzcie! wysepka pokryta jest śniegiem!

— Co! śnieg o tej porze? — rzekł reporter, podbiegając do okien. .

Spostrzegli z zadziwieniem, że nietylko wysepka, lecz całe wybrzeże poniżej Granitowego pałacu pokryte było białym pokładem.

— Istotnie śnieg — rzekł Penkroff.

— A przynajmniej coś bardzo do niego podobne — odparł Nab.

— Ależ termometr okazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14 stopni C. wyżej zera) — zrobił uwagę Gedeon.

Cyrus przyglądał się w milczeniu białemu całunowi, pokrywającemu ziemię, bo sam nie wiedział, jak wytłumaczyć to zjawisko w obecnej porze roku i przy takiej temperaturze.

— Kroć sto tysięcy bomb i kartaczy! — krzyknął Penkroff — plantacje nasze zmarzną!

I chciał wybiec na wybrzeże, ale Jow go uprzedził, i o dziwo, za jego ukazaniem się cały pokład śniegu uniósł się i rozleciał w powietrzu na tak liczne płatki, że przez kilka minut całkiem zasłoniły światło słoneczne.

— To ptaki! — zawołał Harbert.

Jakoż rzeczywiście były to niezliczone stada ptaków morskich, których upierzenie jest lśniącej białości. Rozsiadly się setkami tysięcy na wysepce i na wybrzeżu i w mgnieniu oka znikły woddali, a zdumieni koloniści patrzyli na ich pojawienie się i zniknięcie, jakby na zmianę dekoracji w czarodziejskiem przedstawieniu, w którem po lecie w jednej chwili następuje zima. Na nieszczęście ptaki odleciały tak nagle, że ani reporter, ani Harbert nie mogli zabić nawet jednego a tem samem przekonać się, do jakiego należały gatunku.

W kilka dni później koloniści nasi obchodzili drugą rocznicę spadnięcia z balonu na wyspę Lincolna.

Wspomnienia. — Czy powrócą? — Projekt zwiedzenia brzegów wyspy. — Odjazd 16 kwietnia. — Półwysep Wężowaty. — Widok od morza. — Bazalty brzegu zachodniego. — Słota. — Noc nadchodzi. — Nowy wypadek.

Dwa lata minęły! Przez ten czas koloniści żadnej nie mieli wiadomości ze stron rodzinnych.

Co się działo w kraju rodzinnym? Nieustannie tkwiło w ich myślach wspomnienie ukochanej ojczyzny, szarpanej straszną wojną domową w chwili, gdy ją opuszczali. Czy ta wojna skończyła się nareszcie, jak tego pragnęli, to jest upokorzeniem Południa?

Żaden okręt nie przepłynął, lub przynajmniej nie dojrzeli go z wyspy, co utwierdzało ich w przekonaniu, że wyspa Lincolna była zupełnie nieznana, że żadne statki nigdy nie zdążały w tę stronę, że więc na siebie tylko mogą liczyć i muszą koniecznie obmyśleć sposób wydostania się stąd i powrotu do kraju.

W początkach kwietnia koloniści, zgromadzeni w salonie Granitowego pałacu, rozmawiali o Ameryce, której ujrzeć już prawie nie mieli nadziei; wtem Gedeon zawołał:

— Jeden tylko jedyny mamy środek wydostania się z naszej wyspy: trzebaby zbudować statek takich rozmiarów, aby mógł odbyć kilkusetmilową podróż morską. A przecież nie jest to znów nic niepodobnego; zbudowaliśmy szalupę, możemy zbudować okręt.

— I popłynąć do wysp Pomotu, jak dopłynęliśmy do wyspy Tabor — dodał Harbert.

— Dlaczego nie — odpowiedział Penkroff, który w kwestjach, dotyczących marynarki, miał zawsze głos poważny. — Dlaczego nie, choć nie powiem, aby to było wszystko jedno puścić się w krótką lub długą podróż. Gdyby, naprzykład, burza spotkała nas w drodze do wyspy Tabor, wiedzielibyśmy, że tak z jednej jak z drugiej strony niedaleko mamy do portu; gdy tymczasem tysiąc dwieście mil, to przestrzeń ogromna, a bliżej nie znaleźliśmy nigdzie ziemi.

— Więc nie odważyłbyś się, Penkroffie, na taką wyprawę? — zapytał reporter.

— Odważyłbym się na wszystko w razie potrzeby — odrzekł marynarz — wszakże pan wiesz, że nie cofam się przed niebezpieczeństwem.

— Trzeba pamiętać i o tem — odezwał się Nab — że mamy teraz drugiego marynarza.

— Kogo? — zapytał Penkroff.

— Ayrtona.

— Prawda — rzekł Harbert.

— Tak, tylko nie wiemy, czy chciałby popłynąć z nami.

— Trudno o tem wątpić — odpowiedział reporter. — Lękałby się pozostać znów samotnym.

— Teraz — odezwał się Cyrus — chodzi nam głównie o to, czy możemy rachować na powrót statku szkockiego. Otóż, co do mnie, pewny jestem, że skoro lord Glenarvan przyrzekł Ayrtonowi, że go zabierze z wyspy Tabor, gdy już odpokutuje za przewinienia, to dotrzyma słowa.

— Tak — rzekł reporter — a co więcej, przybędzie niedługo, skoro Ayrton już dwanaście lat temu został opuszczony.

— O! — zawołał Penkroff — zgadzam się zupełnie z panem, że lord powróci i zapewne niedługo, ale gdzież się zatrzyma?

— Chyba przy wyspie Tabor, a nie przy naszej.

— O tem nie możemy wątpić już przez to samo — rzekł Harbert — że wyspa Lincolna nie jest oznaczona na mapie.

— Dlatego też — odezwał się inżynier — musimy postarać się o to, aby lord, w razie wylądowania na wyspie Tabor, znalazł jakimkolwiek bądź sposobem dokładne zawiadomienie w chacie, zbudowanej przez kapitana Granta, że tu jesteśmy i czekamy pomocy.

— Tak, tylko, że wówczas, gdy tam byliśmy, nie sądziliśmy, aby się to zdać na coś mogło. Zdawało nam się, że Ayrton jest rozbitkiem. Gdy nas uwiadomił o wszystkiem, nadeszła pora roku, niedozwalająca nam puścić się w powtórną podróż.

— Masz słuszność, Harbercie — odpowiedział Cyrus — teraz już za późno, musimy czekać do przyszłej wiosny.

— A jeżeli też jacht szkocki przybije do wyspy Tabor właśnie w tym czasie? — rzekł Penkroff.

— To nieprawdopodobne — odpowiedział inżynier. — Lord Glenarvan nie chciałby się puszczać w zimę na tę tak mało uczęszczaną część oceanu: albo był na wyspie w ciągu tych pięciu miesięcy pobytu Ayrtona u nas i odpłynął, albo też przybędzie tam dopiero później. W takim razie będziemy mieli czas udać się na wyspę Tabor zaraz w początku października i zostawić tam zawiadomienie.

— Trzeba przyznać — rzekł Nab — że byłby to dla nas bardzo niepomyślny zbieg okoliczności, gdyby *Duncan* znajdował się już na tych wodach w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

— Mam nadzieję — rzekł Cyrus — że Niebo nie pozbawiło nas prawie jedynej sposobności powrócenia do rodzinnej naszej ziemi.

— W każdym razie dowiemy się o tem z pewnością, bo w razie, gdyby *Duncan* zatrzymał się przy brzegach wyspy Tabor, poszukujący Ayrtona musieliby tam zatrzymać się przez czas pewien i pozostawić ślady swego pobytu.

— Bez wątpienia — odpowiedział inżynier. — Dlatego też czekajmy cierpliwie, a jeżeli nadzieje nasze będą zawiedzione, pomyślimy wtenczas, co nam czynić wypada.

— W każdym razie — rzekł Penkroff — nie ulega wątpliwości, że choćbyśmy opuścili kiedyś wyspę Lincolna, to nie dlatego, aby nam źle było.

Tak, Penkroffie — odrzekł Cyrus. — Powodem naszego oddalenia byłoby to jedynie, że tu jesteśmy zdala od wszystkiego, co najdroższe na świecie, od rodziny, przyjaciół i ojczystej ziemi.

Wskutek powyższej rozmowy zaniechano jak na teraz zamiaru zbudowania statku, zdatnego do dalszej podróży, i zajęto się przygotowaniem potrzebnych zapasów na zimę. Prócz tego postanowiono jeszcze opłynąć dokoła wyspę, dla dokładniejszego zbadania jej zachodniego i północnego wybrzeża, od ujścia rzeki Spadku do przylądka Szczęki, oraz wpadającej w nią wąskiej zatoki.

Czas był zmienny, lecz barometr nie wskazywał nagłych zmian, można było zatem bez niebezpieczeństwa puścić się w podróż nadbrzeżną. Zaopatrzono więc statek w żywność na kilka dni i 16 kwietnia rano koloniści wraz z Topem puścili się w drogę. Ayrton przeniósł się natenczas do Granitowego pałacu, a dla rozrywki pozostawiono mu Jowa.

Wiatr dość silny wiał z południo-wschodu i *Bonawentura* musiał lawirować, opuszczając swoje stanowisko w porcie Balonu, aby się udać do przylądka Gadu. Na dziewięćdziesiąt mil obwodu wyspy, dwadzieścia przypadało na wybrzeże południowe, począwszy od portu aż do przylądka; trzeba było te dwadzieścia mil płynąć, o ile możności, najbliżej brzegów, gdyż wiatr wiał przeciw statkowi.

Podróż do przylądka trwała dzień cały, gdyż statek, wyszedłszy z portu, mógł korzystać tylko przez dwie godziny z odpływu morza, a z przypływem musiał walczyć przez sześć godzin. Było już zupełnie ciemno, gdy opłynęli przylądek.

Cyrus Smith kazał zarzucić kotwicę o kilkaset sążni od lądu, aby w dzień przyjrzeć się lepiej tej części wybrzeża. Ponieważ głównym celem wyprawy było staranne zwiedzenie brzegów wyspy, postanowiono i nadal zatrzymać się na noc, choćby wiatr pomyślny zachęcał do podróży.

Nazajutrz Penkroff już o świcie rozwinął żagle, i *Bonawentura* zaczął posuwać się wzdłuż zachodniego wybrzeża. Koloniści znali już tę część wyspy, pokrytą pysznemi drzewami, gdyż przebiegli ją dawniej, a jednak przyglądali się z zachwytem, podziwiając jej piękność. Płynęli o ile można było najbliżej ziemi, aby żaden szczegół nie uszedł ich uwagi. Kilka razy nawet zarzucali kotwicę. Gedeon Spillet ustawiał przyrząd fotograficzny i zdejmował najbardziej malownicze widoki.

Około południa znajdowali się już przy ujściu rzeki Spadku. Tu jeszcze rosły drzewa, lecz rzadko rozsiane, a o trzy mile dalej widać było tylko odosobnione kępy, tulące się do wzgórz, podpierających od zachodu górę Franklina, której grzbiet nagi spuszczał się stopniowo aż do brzegów morza.

Jakaż rażąca zachodziła różnica między południowem i pół-

nocrem wybrzeżem; o ile pierwsze było wesołe, urocze i bujną pokryte zielonością, o tyle drugie posępne, straszne i dzikie.

Statek płynął wolno i blisko lądu, mogli więc przekonać się, że całe wybrzeże było skaliste, postrzępione w najróżnorodniejsze kształty. Niektóre ze skał wznosiły się na trzysta stóp, inne zaledwie na dwadzieścia, a były między niemi okrągłe, czworokątne, proste i krzywe, jakby lada chwila przewrócić się miały. Tu odłam skały, wsparty na dwóch wierzchołkach, tworzy most, wznoszący się paręset stóp nad ziemią, tam ciągną się arkady, jak w nawie kościoła, dalej widać głębokie sklepione jaskinie, a dalej jeszcze zdaje się, że widzisz gotycką świątynię, najeżoną mnóstwem większych i mniejszych wieżyczek różnorodnego kształtu.

Przez całe dziewięć mil podróżni przyglądali się w milczeniu tym groźnym a zarazem wspaniałym dziełom przyrody; widać jednak, że Topowi znudziło się patrzeć ciągle na skały, bo zaczął kręcić się na pokładzie i szczekał zupełnie tak samo, jak to czynił nieraz, biegając około studni w Granitowym pałacu.

— Zatrzymajmy się — zawołał Cyrus. — Kto wie, czy niema tu jakiej jaskini, którąby wypadało poznać dokładnie.

Penkroff doprowadził statek, o ile się dało, najbliżej brzegu, ale nie znaleziono nigdzie jaskini, w której możnaby znaleźć schronienie, gdyż skały wynurzały się z wody; a że Top wkrótce uspokoił się zupełnie, podróżni popłynęli dalej.

W północno-zachodniej części wyspy wybrzeże było płaskie i piaszczyste, a drzewa ukazywały się tylko gdzie niegdzie woddali, ale zato mirjady ptaków wodnych ożywiały całą tę okolicę.

Wieczorem *Bonawentura* zarzucił kotwicę w malutkiej ale tak głębokiej zatoce, leżącej na północ wyspy, że można było przybić prawie do lądu... Noc przeszła spokojnie, gdyż wiatr uciszył się o zmroku, i wznowił się dopiero, gdy już świtać zaczęło.

Ponieważ w tem miejscu łatwo było dostać się na ląd, uprzywilejowani strzelcy kolonji, Gedeon i Harbert, wyszli raniutko na polowanie i w parę godzin wrócili obładowani trofeami.

O godzinie ósmej *Bonawentura,* popychany wzmagającym się ciągle wiatrem, posuwał się szybko ku północnemu przylądkowi Szczęki.

— Kto wie — odezwał się Penkroff — czy wicher nie zerwie się od zachodu. Wczoraj słońce zachodziło krwawo, a dziś te drobne chmurki nie wróżą nam nic dobrego.

Chmurki, o których wspominał marynarz, podobne do rozrzuconych kawałków waty, unosiły się najmniej o pięć tysięcy stóp nad poziom morza i zapowiadały zbliżającą się burzę.

— Ha! — rzekł Cyrus — rozwińmy żagle i śpieszmy szukać schronienia w zatoce Rekina; sądzę, że tam *Bonawentura* będzie zupełnie zabezpieczony.

— Tak, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz. - Zresztą całe wybrzeże północne składa się z wydm piaszczystych, którym przyglądać się nie warto.

— Prócz tego — dodał inżynier — chciałbym przepędzić nietylko noc, ale i dzień cały w tej zatoce, gdyż wartoby ją poznać dokładnie.

— Sądzę — odpowiedział marynarz — że nawet wbrew naszej woli musielibyśmy pozostać tam dłużej, gdyż niebo na zachodzie coraz groźniejszą przybiera postać.

— W każdym razie — odezwał się reporter — możemy się spodziewać, że przy tak pomyślnym wietrze, jak teraz, dopłyniemy przed nadejściem nocy do przylądka Szczęki.

— Tak, panie reporterze, lecz trzeba lawirować, wpływając do zatoki, i nie chciałbym puszczać się pociemku na te całkiem nieznane wody.

— Tem więcej — dodał Harbert — że cała ta przestrzeń musi być zasiana skałami, jak przynajmniej wnosić wypada ze znanej nam już od wybrzeża południowego części zatoki Rekina.

— Penkroffie — rzekł Cyrus — czyń, jak ci zdaje, że będzie najlepiej. Spuszczamy się zupełnie na ciebie.

— Bądź pan spokojny, panie Cyrusie, nie będę się narażał bez potrzeby. Wolałbym, aby mnie kto uderzył nożem w serce, niż żeby *Bonawentura* miał uderzyć o skałę. Która godzina, panie Spilett?

— Dziesiąta — odpowiedział reporter.

— Ile mil mamy jeszcze do przylądka, panie Cyrusie?

— Około piętnastu — odpowiedział Cyrus.

— To znaczy dwie i pół godziny drogi, a zatem pomiędzy dwunastą a pierwszą znajdować się będziemy naprzeciwko przylądka. Nieszczęściem w tymże samym czasie rozpocznie się odpływ morza, i fale będą ustępowały z zatoki; zdaje mi się więc, że trudno do niej będzie wpłynąć, mając przeciwko sobie wiatr i morze.

— Zwłaszcza — dodał Harbert — że mamy dziś pełnię, a przypływy kwietniowe są bardzo silne.

— Czy nie możnaby zarzucić kotwicy u cypla przylądka? — zapytał inżynier.

— Zarzucać kotwicę blisko lądu, gdy się zbiera na burzę! — zawołał marynarz. — A! panie Cyrusie, byłoby to tak samo, jakby ktoś dobrowolnie szukał nieszczęścia.

— Cóż więc zamyślasz?

— Będę się starał utrzymać na pełnem morzu aż do następnego przypływu, to jest do siódmej wieczorem, a jeżeli jeszcze będzie dość widno, spróbuję wpłynąć do zatoki. W przeciwnym razie musimy pływać przez całą noc w tę i ową stronę, a dopiero o wschodzie słońca skierować statek do zatoki Rekina.

— Dobrze, Penkroffie, powtarzam ci raz jeszcze, że spuszczamy się na ciebie.

— A! — zawołał Penkroff — co za szkoda, że tu nie mamy latarni morskiej!

— Tak — odpowiedział Harbert — zwłaszcza, że tym razem pan Cyrus jest z nami, nie zapali więc nam ognia jak wówczas, abyśmy się według niego mogli kierować.

— Rzeczywiście, kochany Cyrusie, nie podziękowaliśmy ci dotąd, bo gdyby nie ten ogień, zabłądzilibyśmy.

— Jaki ogień? — zapytał Cyrus zdziwiony.

— Ten, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — który zapaliłeś na płaszczyźnie Pięknego Widoku w nocy z 19 na 20 października, gdyśmy wracali z wyspy Tabor.

— A! tak, tak!... W istocie był to dobry pomysł — odpowiedział inżynier.

— Teraz zaś Ayrtonowi nie przyjdzie to na myśl, a prócz niego niema tam już nikogo.

— Tak, niema nikogo — powtórzył Cyrus.

W kilka minut później, gdy reszta towarzystwa zajęta była rozmową, Cyrus zbliżył się do reportera i rzekł do niego cicho:

— Mogę ci zaręczyć, Gedeonie, że w nocy z 19 na 20 października nie zapaliłem ognia ani na płaszczyźnie Pięknego Widoku, ani na żadnej innej części wyspy!

— Któż go zatem rozniecił?

— Nie wiem. Jest to nowa tajemnica bardzo zdumiewająca.

ROZDZIAŁ XLII.

Noc na morzu. — Zatoka Rekina. — Zwierzenia. — Przygotowanie na zimę. — Zabezpieczenie się od burzy. — Wielkie mrozy. — Prace wewnątrz.— Po sześciu miesiącach — Klisza fotograficzna. — Zdarzenie niezwykłe.

Przepowiednie Penkroffa ziściły się. Wiatr wzmagał się stopniowo, statek już o szóstej godzinie znajdował się naprzeciwko zatoki, lecz odpływ morza nie pozwolił mu wpłynąć do niej. Marynarz rozwinął trójkątny żagiel na wielkim maszcie i, zwróciwszy statek przodem ku ziemi, pozostał na pełnem morzu.

Szczęściem, choć wiatr dął gwałtownie, morze pod osłoną brzegów nie było zbyt burzliwe, nie trzeba więc było obawiać się uderzeń fali, bardzo niebezpiecznych dla mniejszych statków. Wreszcie o piątej z rana *Bonawentura* stanął na kotwicy przy ujściu Mercy. Ayrton czekał na kolonistów nad brzegiem, a Jow wybiegł naprzeciwko nich, skacząc i pomrukując radośnie.

Teraz więc poznali już dokładnie wybrzeża wyspy i nigdzie nie znaleźli śladów bytności człowieka. Jeżeli więc znajdowała się na niej jaka tajemnicza istota, to musiała ukrywać się w nieznanych dotąd, nieprzebytych lasach półwyspu.

Gedeon i Cyrus zgodzili się na to, że wypada zwrócić uwagę towarzyszów na dziwne wypadki, które ich spotkały na wyspie, a z których ostatni był może najtrudniejszy do wytłumaczenia.

— Czy tylko z pewnością widziałeś ogień? — zapytał Cyrus. — Może to był częściowy wybuch wulkanu albo meteor.

— Nie, Cyrusie — odpowiedział reporter — niema wątpliwości, że to był ogień, zapalony ręką człowieka! Zresztą zapytaj Penkroffa i Harberta, oni widzieli go także i potwierdzą moje słowa.

W kilka dni po tej rozmowie, 25 kwietnia wieczorem, kiedy wszyscy koloniści znajdowali się na płaszczyźnie Pięknego Widoku, Cyrus odezwał się w te słowa:

— Wypada mi zwrócić waszą uwagę, towarzysze, na pewne wypadki, które zaszły na tej wyspie i o których chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Wypadki te możnaby nazwać nadprzyrodzonemi.

— Nadprzyrodzonemi! — zawołał Penkroff. — Więc nasza wyspa miałaby być nadprzyrodzoną?

— Nie, Penkroffie, lecz musimy ją uważać za tajemniczą, jeżeli nie potrafisz nam wytłumaczyć tego, czego ani ja, ani Spilett, nie możemy zrozumieć.

— Cóż to takiego, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Powiedz mi, czy zrozumiałeś, jak się to stało, że ja, wpadłszy w morze, znalazłem się, nie wiem jakim sposobem, na wyspie, o ćwierć mili od brzegu?

— Tak, to trudno odgadnąć — odpowiedział Penkroff.

— Czy zrozumiałeś, jakim sposobem Top odkrył wasze schronienie, odległe o pięć mil od miejsca, w którem leżałem?

— Zapewne biegł wiedziony instynktem — odezwał się Harbert.

— Byłby to szczególny instynkt, zwłaszcza, że pomimo ulewnego deszczu i wichru, Top przybiegł do Kominów zupełnie suchy i niepowalany błotem.

— Idźmy dalej — mówił inżynier. — Czy zrozumieliście, jakim sposobem nasz pies został wyrzucony w tak dziwny sposób z jeziora, po walce z dugongiem?

— Przyznaję, że nie — odpowiedział Penkroff — a coprawda, to i rana, którą otrzymał dugong, zupełnie taka, jakby go ktoś uderzył wielkim nożem, także niełatwo da się wytłumaczyć.

— Idźmy dalej jeszcze — kończył Cyrus. — Czy zrozumieliście, towarzysze, jakim sposobem ziarnko śrutu znalazło się w mięsie pekary, jakim sposobem skrzynia z potrzebnemi nam przedmiotami znalazła się na wybrzeżu, chociaż nie było najmniejszych nawet śladów

rozbicia, jakim sposobem nasza łódka zerwała przytrzymujące ją sznury i przypłynęła z biegiem Mercy, wtenczas właśnie, gdyśmy jej potrzebowali, jakim sposobem, po napadzie małp, drabina została spuszczona, abyśmy mogli wrócić do Granitowego pałacu, jakim sposobem nakoniec w czasie pierwszej naszej wycieczki na morze przypłynęła w samą porę butelka, zawierająca dokument, i nareszcie kto go tam umieścił, skoro Ayrton zapewnia, że go nie napisał?

Harbert, Penkroff i Nab spoglądali na siebie, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć. Dotąd przypisywali to wszystko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności; teraz dopiero wspomniane wypadki zaczęły im się ukazywać we właściwem świetle.

— Masz słuszność — odezwał się Penkroff — że trudno to wszystko wytłumaczyć.

— Otóż — dodał inżynier — trzeba do tych faktów dodać jeszcze jeden, równie niezrozumiały jak inne.

— Jaki, panie Cyrusie?

— Wszak mówiłeś, Penkroffie, że, wracając z wyspy Tabor, widzieliście ogień na wyspie Lincolna?

— Bez wątpienia — odpowiedział marynarz.

— Jesteś pewny, że widziałeś ogień?

— Tak pewny, jak tego, że teraz na pana patrzę.

— A ty, Harbercie?

— I ja to samo, panie Cyrusie — zawołał Harbert. — Ten ogień błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości.

— Więc może to była gwiazda? — zapytał inżynier.

— Nie — odpowiedział Penkroff — naprzód całe niebo było pokryte gęstemi chmurami, a powtóre gwiazda nie mogłaby świecić tak nisko. Zresztą zapytaj reportera, wszakże on widział go także.

— Tak, widziałem — odrzekł reporter — i dodam jeszcze, że ogień ten rzucał dokoła światło tak jasne, jak światło elektryczne.

— Tak, tak — zawołał Harbert — i z pewnością to światło paliło się nad Granitowym pałacem.

— Cóż więc na to powiecie — rzekł inżynier — gdy was zapewnię, że w nocy z 19 na 20 października ani Nab, ani ja nigdzie na wyspie nie zapalaliśmy ognia?

— Nie zapalaliście?... — zawołał Penkroff, tak zdumiony, że nie mógł dokończyć pytania.

— Tak, a nawet nie wychodziliśmy wcale z Granitowego pałacu. Skoro więc ogień się palił, musiała go inna rozniecić ręka!

Harbert, Penkroff i Nab nie mogli już powątpiewać, że na wyspie znajdowała się tajemnicza istota, wprawdzie sprzyjająca kolonistom, ale zawsze tajemnicza.

Gdzież się jednak ukrywała i dlaczego tak ich starannie unikała? Na to pytanie żadnej nie mogli dać odpowiedzi.

Cyrus przypomniał także towarzyszom, jak często Top i Jow okazywali widocznie niepokój, zbliżywszy się do otworu studni, wiodącej z Granitowego pałacu do morza, i dodał, że chociaż zwiedził ją wewnątrz, nie znalazł nic, coby go mogło naprowadzić na jakie domysły.

Wskutek powyższej rozmowy postanowiono, że zaraz na wiosnę wszyscy rozpoczną staranne poszukiwania na całej wyspie.

Od tego dnia Penkroff był często zamyślony i zakłopotany. Dotąd był pewien, że wyspa stanowi wyłączną własność kolonistów, teraz przekonał się, że miała innego jeszcze pana, którego wpływ ciągle im się czuć dawał. Rozmawiał o tem często z Nabem i obaj, skorzy do wierzenia w rzeczy cudowne, zaczęli przypuszczać, że wyspa Lincolna zostaje pod władzą nadprzyrodzonej istoty.

Nadeszły wreszcie dni słotne i zimne, z miesiącem majem, odpowiadającym listopadowi w strefie północnej. Zdawało się, że zima będzie wczesna i mroźna, rozpoczęto więc śpiesznie przygotowania.

Ma się rozumieć, że nie zapomniano o Ayrtonie, który zresztą przyrzekł Cyrusowi, że się przeniesie na zimę do Granitowego pałacu, jak tylko zaopatrzy owczarnię. Przybył tam rzeczywiście około połowy kwietnia, jadał razem z nimi, podzielał ich prace, ale zawsze pokorny i smutny nie mieszał się do rozmowy.

Większą część tej trzeciej zimy koloniści musieli przepędzić zamknięci w Granitowym pałacu, z powodu strasznych burz i wichrów. Rozhukane morze miotało spienione fale aż na wyspę, jakby ją zatopić chciało. Dwa razy w czasie takiej burzy morskiej Mercy tak wezbrała, że obawiano się, aby nie zniosła mostów, i pomimo tak niesprzyjającej pory koloniści musieli je wzmacniać.

Łatwo się domyśleć, że tak straszne wichry musiały poczynić znaczne szkody, najwięcej jednak ucierpiał wiatrak i kurniki, które też często trzeba było naprawiać.

W ciągu tej zimy zgłodniałe jaguary i gromady małp zbliżały się aż do płaszczyzny, i trzeba się było obawiać, aby najśmielsze i najzręczniejsze nie dostały się na nią, zwłaszcza że przez zamarznięty strumień mogłyby przejść z łatwością. Koloniści musieli w dzień i w nocy odstraszać wystrzałami tych niebezpiecznych gości, aby uchronić od śmierci domowe zwierzęta i zabezpieczyć od zniszczenia zasiewy i ogrody.

W dni pogodniejsze Gedeon i Harbert udawali się na polowanie do bagna i za każdym razem wracali obładowani bekasami, cyrankami i innem ptactwem.

Tak upłynęło cztery miesiące najtęższych mrozów, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień; przez cały ten czas nie zaszło nic ważniejszego i w niczem nie dał się uczuć wpływ owej tajemniczej istoty. Nawet Top i Jow chodzili spokojnie około otworu studni; zdawało się więc, że nadzwyczajne wypadki już się nie po-

nowią. Pomimo to koloniści rozmawiali o nich często i trwali w zamiarze zwiedzenia nawet najniedostępniejszych części wyspy. Dopiero przy końcu zimy wypadek bardzo ważny i mogący mieć zgubne następstwa zajął wyłącznie uwagę Cyrusa i jego towarzyszów.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybko i ziemia, ogrzewana ciepłemi promieniami słońca, przywdziewała nowe szaty. Poza gałęziami drzew iglastych, rosnących na skraju lasu, ukazywały się już świeże listki.

Przypominamy sobie zapewne, że Gedeon i Harbert zdejmowali już nieraz widoki z różnych miejscowości wyspy Lincolna. Otóż 17 października, około trzeciej po południu, Harbert powziął myśl odfotografowania całej zatoki.

Powietrze było przejrzyste, najdalsze widoki rysowały się wybitnie na widnokręgu, a morze, kołyszące się pod tchnieniem wiatru, na dalszym planie zdawało się gładkie jak powierzchnia jeziora, mieniąca się w złote, srebrzyste i ciemne smugi.

Harbert umieścił przyrząd fotograficzny w jednem z okien Granitowego pałacu tak, aby przenosił wybrzeże i zatokę, a otrzymawszy odbicie, zanurzył kliszę w przygotowanej na ten cel chemicznej kąpieli. Gdy następnie Harbert przyniósł kliszę do okna, aby ją zobaczyć przy świetle, dostrzegł na odbiciu morza maleńką plamkę. Spróbował, czy plamka nie zniknie przy powtórnem zanurzeniu, a gdy i to nie pomogło, wyjął z lunety szkło powiększające, aby przez nie zbadać, czy w tem miejscu niema skazy na szkle.

Zaledwie spojrzał przez soczewkę, krzyknął, i o mało klisza nie wypadła mu z ręki. Pobiegł natychmiast do pokoju inżyniera, podał mu kliszę i szkło powiększające, wskazując plamkę na morzu.

Cyrus spojrzał na punkcik, potem zerwał się z krzesła, pochwycił lunetę i zbliżył się szybko do okna. Przez czas jakiś przesuwał zwolna lunetę, jakby czegoś szukał na morzu, następnie zatrzymał ją dłużej, wpatrując się w jeden punkt wreszcie, odejmując ją od oczu, zawołał:

— Okręt!

ROZDZIAŁ XLIII.

Zguba czy zbawienie. — Ayrton wezwany. — Wnioski. — Nie Duncan. — Okręt podejrzany. — Ostrożność. — Zbliżenie się okrętu. — Wystrzał armatni. — Bryg wpobliżu wyspy. — Noc nadchodzi.

Już półtrzecia roku minęło, jak spadli na wyspę Lincolna, a nie znaleźli sposobności zawiązania stosunków z ludźmi. Wprawdzie reporter próbował, czy mu się nie uda porozumieć z zamieszkanemi

krajami, powierzając odlatującemu ptakowi karteczkę, na której opisał swoje i towarzyszów położenie, lecz na środek ten niewiele można było liczyć. Teraz niespodziewanie — dnia 17 października, statek ukazał się na pustem zawsze morzu; jacyś ludzie zbliżali się do wyspy.

Tak, nie można już było wątpić, okręt unosił się na morzu! Ale czy się zatrzyma, czy popłynie dalej? O tem dowiedzą się za kilka godzin.

Cyrus i Harbert przywołali natychmiast Gedeona, Penkroffa i Naba do wielkiej sali Granitowego pałacu i zawiadomili ich o tak nadspodziewanem zdarzeniu. Penkroff, chwytając lunetę, pobiegł natychmiast do okna a po niejakim czasie zawołał głosem, nie zdradzającym wielkiej radości:

— Tam do licha! To naprawdę okręt!

— Czy zbliża się do nas? — zapytał Gedeon.

— Tego nie można jeszcze poznać, gdyż dotąd widać tylko maszty, lecz pudła niepodobna jeszcze dostrzec.

— Cóż nam czynić wypada? — zapytał Harbert.

— Czekać — odpowiedział Cyrus.

Koloniści zamilkli i wpadli w głębokie zamyślenie, niepewni, czy mają pragnąć, czy też obawiać się przybycia statku, czy znajdą na nim przyjaciół, czy wrogów? Bez wątpienia nie znajdowali się w rozpaczliwem położeniu wyrzuconych na nieurodzajny i skalisty kawałek ziemi, którzy, pozbawieni najpierwszych środków życia, oczekują z utęsknieniem chwili wyzwolenia; Penkroff i Nab nawet z żalem opuściliby ukochaną wyspę, na której czuli się tak szczęśliwi i bogaci. W każdym razie ten statek przybywa jednak z krajów zaludnionych, a może nawet przynosi im wiadomości z ich rodzinnej ziemi. Łatwo więc pojąć, że widok jego musiał silne na nich uczynić wrażenie.

Od czasu do czasu Penkroff przysuwał się do okna i z natężoną uwagą przyglądał się przez lunetę statkowi, oddalonemu jeszcze o dwadzieścia mil od wyspy. Koloniści nie mogli dotąd żadnym znakiem zwrócić na siebie jego uwagi, nie dostrzeżonoby jeszcze flagi ani ognia i nie dosłyszanoby wystrzału. Nie ulegało tylko wątpliwości, że wyspa, posiadająca wysoką górę, nie ukryje się przed wzrokiem osady statku, ale czy pomimo to okręt nie popłynie dalej? Może zresztą tylko wypadek zapędził go na tę część oceanu Spokojnego?

Na to pytanie, które każdy z kolonistów zadawał sobie w myśli, mogła posłużyć za odpowiedź uwaga Harberta:

— A może to Duncan?

Wspomnieliśmy już, że jacht lorda Glenarvana, który miał zabrać Ayrtona z wyspy Tabor, nazywał się Duncan; nie byłoby nic więc nadzwyczajnego, aby statek, udający się tam, był widziany z wyspy Lincolna.

— Trzeba niezwłocznie przywołać Ayrtona — rzekł Gedeon — on jeden zdoła nas objaśnić, czy to jest Duncan.

Wszyscy zgodzili się na to i reporter zatelegrafował natychmiast do Ayrtona:

„Przybywaj jak najśpieszniej".

W kilka minut odebrał odpowiedź:

„Przyjdę zaraz".

Nie spuszczali oczu z nadpływającego okrętu.

— Jeśli to Duncan — mówił Harbert — Ayrton pozna go z łatwością, ponieważ dość długo na nim żeglował.

— No, jeśli pozna Duncana — rzekł Penkroff — to dopiero silnego dozna wzruszenia.

— Zapewne — odrzekł Cyrus — ale teraz Ayrton godzien już jest wrócić na pokład Duncana, i daj Boże, iżby to był rzeczywiście jacht lorda Glenarvana.

— Przyznaję, że pojawienie się tu innego statku wydałoby mi się podejrzanem. Zazwyczaj na tych morzach żeglują tylko statki malajskich korsarzy. W takim razie groziłoby nam niebezpieczeństwo...

— Będziemy się bronili — zawołał Harbert.

— Zapewne — odrzekł inżynier — ale zawsze lepiej byłoby nie być zmuszonym do obrony.

— Jedna uwaga — rzekł Gedeon. — Wyspa Lincolna, jako niewskazana na żadnej mapie, jest całkiem nieznana żeglarzom; gdyby więc dostrzeżono ją z okrętu, rzecz prosta, zamiast omijać, dowódca osady mógłby zapragnąć ją zwiedzić.

— A więc cóż uczynimy w razie, jeśli okręt ten zarzuci kotwicę wpobliżu naszej wyspy? — zapytał Penkroff.

Pytanie to pozostało przez pewien czas bez odpowiedzi, nareszcie Cyrus rzekł spokojnie po chwili namysłu:

— Zrobimy, co powinnością jest naszą. Porozumiemy się z osadą, zamówimy sobie miejsca na statku i opuścimy wyspę, objąwszy ją uroczyście w posiadanie w imieniu Stanów Zjednoczonych. Później powrócimy, wraz ze wszystkimi, którzy będą chcieli się tu osiedlić, skolonizujemy całą wyspę a tym sposobem założymy dla Rzeczypospolitej nader pożyteczną stację w tej części oceanu Spokojnego.

— Wiwat! — krzyknął Penkroff — to dopiero piękny ojczyźnie naszej zrobimy podarek! Kolonizacja prawie już ukończona, wszystkie części wyspy otrzymały odpowiednie nazwy, jest port, obfitość wody słodkiej, drogi, telegraf, warsztat okrętowy, kuźnia i różne fabryki, pozostaje tylko oznaczyć wyspę na mapach.

— A jeśli ją kto zajmie podczas naszej nieobecności? — zapytał Spilett.

— Kroć sto tysięcy! — krzyknął marynarz. — Nic z tego nie będzie! Choćbym miał tu sam jeden zostać na straży, przysięgam, że

nie ukradzionoby mi jej przecie tak łatwo, jak zegarek z kieszeni jakiego niedołęgi!

Przez godzinę jeszcze nie można było rozpoznać, czy dostrzeżony statek płynął ku wyspie; zbliżył się wprawdzie, lecz Penkroff nie mógł poznać, w jakim zmierza kierunku.

Około czwartej, w godzinę po zawezwaniu, Ayrton przybył do Granitowego pałacu.

— Co macie do rozkazania? — zapytał, wchodząc do wielkiej sali.

Cyrus podał mu rękę i rzekł, prowadząc go do okna:

— Ayrtonie, mieliśmy ważny powód zawezwania cię do nas. Ujrzeliśmy nadpływający statek.

Ayrton, usłyszawszy to, zmieszał się i pobladł; potem zbliżył się do okna i rozejrzał po widnokręgu, lecz nic nie zobaczył.

— Weź lunetę — rzekł Gedeon — gdyż być może, że statek ten to Duncan, dopływający do tych brzegów, aby cię zabrać do ojczyzny.

— Duncan! — powtórzył Ayrton. — Już!...

Ostatnie słowo wypowiedział jakby mimowolnie i głowę opuścił na ręce. Czyżby lat dwanaście, przebytych na bezludnej wysepce, nie uważano jeszcze za dostateczną karę?... Czy żałujący winowajca nie był jeszcze godny przebaczenia?

— Nie, to niepodobna! — rzekł cicho — to nie może być Duncan.

— Przypatrz się dobrze, Ayrtonie, bo wiele zależy na tem, abyśmy jak najprędzej wiedzieli, czego się mamy spodziewać.

Ayrton wziął lunetę, przez kilka minut przyglądał się bacznie, nareszcie rzekł:

— Rzeczywiście jest to okręt, lecz zdaje mi się, że nie Duncan.

— Z czego to wnosisz? — zapytał reporter.

— Duncan jest parowcem, a tu z żadnej strony, ani ponad statkiem nie widać dymu.

— Może płynie tylko przy pomocy żagli — rzekł Penkroff.

— Wiatr jest pomyślny, i może osada pragnie zaoszczędzić węgla.

— Być może, że zagasili ognie — odrzekł Ayrton. — Przekonamy się o tem, gdy statek zbliży się do brzegów.

To powiedziawszy, usiadł milczący w oddalonym końcu sali; nie mieszał się do rozmowy.

Wszyscy znajdowali się w tak dziwnem usposobieniu, że niepodobna im było zająć się pracą. Gedeon i Penkroff szczególniej okazywali rozdrażnienie; chodzili wciąż, nie mogąc ustać na miejscu. Jeden tylko Nab był zupełnie spokojny. Ojczyzną była dla niego każda miejscowość, w której się pan jego znajdował. Inżynier siedział za-

topiony w myślach i więcej obawiał się, niż pragnął przybycia tego okrętu.

Tymczasem okręt zbliżył się nieco do wyspy. Z pomocą lunety można było rozpoznać, że był statkiem całkiem odmiennym od tych, jakiemi posługują się zazwyczaj korsarze malajscy na oceanie Spokojnym. To pozwalało wnosić, że obawy inżyniera były nieusprawiedliwione i że obecność tego statku na wodach wyspy żadnem nie grozi niebezpieczeństwem.

Penkroff nie spuszczał zeń oka, zwłaszcza, iż zdawało mu się, że zaczyna omijać wyspę. Przywołany do okna Ayrton potwierdził to mniemanie.

— Cóż zrobimy, gdy noc nadejdzie? — zapytał inżynier. — Czy zapalimy ognie, aby wskazać naszą obecność na wyspie?

Było to nader ważne pytanie, jednak mimo przeczuć swoich, inżynier rozwiązał je twierdząco. Podczas nocy okręt mógł zniknąć z widnokręgu i oddalić się, a czy po jego zniknięciu inny jaki zawita kiedy na wody wyspy Lincolna? Któż mógł przewidzieć, jaka przyszłość czeka kolonistów?

— Tak — odrzekł — masz słuszność, powinniśmy zawiadomić ten okręt, bez względu, jaki on jest, o naszej obecności na wyspie, inaczej moglibyśmy kiedyś gorzko żałować tego zaniedbania.

Postanowiono tedy, że Nab i Penkroff, gdy noc zapadnie, rozniecą zaraz wielki ogień, który musi koniecznie zwrócić uwagę osady. Ale właśnie w chwili, kiedy zamierzali opuścić pałac Granitowy, statek zmienił kierunek i wyraźnie płynął ku wyspie bardzo śpiesznie.

Nab i Penkroff pozostali. Podano lunetę Ayrtonowi, aby przypatrzył się dobrze, czy to Duncan, czy nie. Jacht szkocki był także jak bryg zaopatrzony w żagle, trzeba więc było dopatrzeć, czy między dwoma masztami tego statku wznosił się komin.

Widnokrąg był jasny i pogodny; wkrótce też Ayrton opuścił lunetę, mówiąc:

— To nie Duncan! To nie może być Duncan!

Penkroff wziął lunetę i zaczął znów przyglądać się, poznał, że to jest statek doskonale zbudowany, objętości trzystu do czterystu beczek i, o ile się zdało, odznaczający się niezwykłą szybkością biegu. Ale nie mógł rozróżnić, do jakiego należał narodu.

— Bandera powiewa na nim — mówił — ale nie mogę rozpoznać barwy.

— Przekonamy się o tem za jakie pół godziny — rzekł reporter. Zresztą widać wyraźnie, że kapitan tego statku ma zamiar przybić do lądu. Jeżeli więc nie dziś, to najdalej jutro zapoznamy się z sobą.

— W każdym razie — odrzekł Penkroff — lepiej wiedzieć zawczasu, z kim mamy do czynienia. Chciałbym bardzo widzieć barwę tego jegomości.

Mówiąc to, wpatrywał się.



...Cyrus zbliżył się do niego... (str. 200)

Zmierzch nastał i coraz trudniej było śledzić statek.

Nie jest to bandera amerykańska — mówił Penkroff — nie angielska, bo czerwona barwa widniałaby zdaleka; nie są to barwy francuskie, ani niemieckie... także nie żółta hiszpańska... Zdaje się, że bandera ta jest jednostajnej barwy... Jakaby ona być mogła? Jakie statki mogłyby zabłąkać się na te wody?... Bandera chilijska jest trójkolorowa... brazylijska zielona... japońska o promieniach czerwonych i białych, ta zaś...

W tejże chwili wiatr rozwinął banderę. Ayrton pochwycił opuszczoną przez Penkroffa lunetę i, przyłożywszy do oczu, zawołał przerażony:

— Czarna!

Teraz już można było uważać statek za podejrzany. Czyżby sprawdziły się przeczucia inżyniera? Byłżeby to bryg korsarski? W jakim celu dopływał do wybrzeży wyspy Lincolna? Czy uważał ją za zupełnie nieznaną ziemię, mogącą służyć za skład zrabowanych rzeczy? Może korsarze zamierzają ukrywać się tu przez zimę, a w takim razie uczciwe schronienie kolonistów miałoby się zamienić w przytułek nędzników, stać się niejako stolicą korsarzy oceanu Spokojnego.

Myśli te powstały instynktownie w umysłach kolonistów. Zresztą barwa bandery przekonywała, iż rzeczywiście jest to statek korsarski. Taką to banderę wywieszonoby na Duncanie, gdyby się były powiodły zbrodnicze zamiary przestępców.

— Przyjaciele — rzekł Cyrus — może statek ten chce tylko zbadać wybrzeża wyspy i może osada wcale nie wyląduje? Byłoby to bardzo pożądane. W każdym jednak razie trzeba będzie wszelkiemi sposobami starać się utaić naszą obecność. Wiatrak, stojący na płaszczyźnie, mógłby zwrócić uwagę, niech więc Ayrton i Nab co prędzej odejmą skrzydła. Dalej zasłońmy starannie gałęziami okna Granitowego pałacu i pogaśmy światła, aby nic nie zdradzało obecności ludzi.

— A statek nasz? — zapytał Harbert.

— Oh! — odrzekł Penkroff — jest on tak doskonale ukryty w porcie, iż nie boję się, aby ci łotrzy go znaleźli.

Polecenia inżyniera wykonano niezwłocznie. Nab z Ayrtonem poszli na płaszczyznę, starając się ukryć wszelki ślad obecności ludzi a jednocześnie towarzysze ich udali się na skraj lasu i przynieśli znaczną ilość gałęzi i lian do przysłonięcia okien i ściany ich mieszkania. Nie zapomniano przygotować amunicji i broni, aby się bronić w razie napadu.

Ukończywszy przygotowania, Cyrus rzekł do towarzyszy:

— Przyjaciele, jeżeli nędznicy ci zechcą zająć wyspę Lincolna— gdy to mówił, głos jego drżał ze wzruszenia — wszak będziemy jej bronili?

— O tak, Cyrusie — odrzekł reporter. — Jeżeli trzeba, zginiemy w jej obronie.

Inżynier wyciągnął rękę do towarzyszy, uścisnęli ją serdecznie.

Sam tylko Ayrton pozostał w kącie, nie zbliżając się do kolonistów; może dawny przestępca nie czuł się jeszcze ich godny? Cyrus zrozumiał, co się działo w jego duszy, zbliżył się więc ku niemu, pytając:

— A ty Ayrtonie?

— Spełnię obowiązek — odpowiedział. Potem poszedł do okna i zaczął patrzeć przez gałęzie.

Słońce zaszło. Horyzont zaciemniał się powoli od zachodu. Bryg posuwał się ku zatoce Unji. Był oddalony o jakie osiem mil. Czy wpłynie do zatoki i czy tam zarzuci kotwicę? Może poprzestanie na zbadaniu wybrzeży i wróci na pełne morze, nie wysadzając załogi?...

Cyrus przeraził się mocno, zobaczywszy czarną banderę, powiewającą na statku. Czy nie była to groźba zagłady dzieła, którego on i towarzysze tak szczęśliwie dokonali.

Czyżby korsarze już dawniej uczęszczali na tę wyspę, skoro, dopływając do jej wybrzeży, rozwinęli swoją flagę? Może wylądowywali tu już niejednokrotnie, co tłumaczyłoby pewne niewyjaśnione dotąd okoliczności? A może w nieznanych im dotąd częściach wyspy zamieszkuje ich wspólnik, z którym zostają w porozumieniu?...

Noc nadeszła. Księżyc skrył się w obłokach; ciemność zawisła nad wyspą i nad morzem. Gęste i ciężkie chmury, nagromadzone na widnokręgu, nie przepuszczały najbledszego światła; wiatr ucichł zupełnie z zapadającym zmrokiem. Żaden listek nie poruszył się na drzewie, najlżejsze fale nie uderzały o skały. Okrętu nie można było dojrzeć; wszystkie światła na nim były pogaszone.

— A kto wie — rzekł Penkroff — może ten przeklęty bryg popłynie dalej w nocy, i rano go już nie zobaczymy.

Jakby w odpowiedzi na te słowa smuga światła błysła w ciemności, i wystrzał armatni rozległ się w powietrzu.

Tak więc okręt się nie oddalił i miał działa na pokładzie.

Sześć sekund upłynęło między błyskiem a wystrzałem — bryg więc znajdował się milę i ćwierć od wybrzeży.

Jednocześnie dał się słyszeć odgłos łańcuchów, przesuwających się ze zgrzytem przez otwór na przodzie statku. Okręt zarzucał kotwicę wpobliżu Granitowego pałacu.

ROZDZIAŁ XLIV.

Przeczucia. — Projekt Ayrtona. — Przyjęty. — Ayrton i Penkroff na wysepce. — Więźniowie z Norfolku. — Ich zamiary. — Czyn bohaterski Ayrtona. — Powrót. — Sześciu przeciwko pięćdziesięciu.

Zamiary korsarzów żadnej nie przedstawiały wątpliwości. Zarzuciwszy kotwicę w małej odległości od wyspy, wyraźnie zamierzali wylądować nazajutrz.

Cyrus i jego towarzysze poczynili wszelkie przygotowania do obrony. Może obecność ich da się ukryć, jeżeli korsarze poprze-

staną na zwiedzeniu wybrzeży, nie zapuszczając się w głąb wyspy? Może zamierzają tylko zaopatrzyć się w wodę słodką z rzeki Mercy, a w takim razie byłoby niepodobieństwem, żeby most, rzucony blisko o półtorej mili od ujścia i składy drzewa przy Kominach nie zwróciły ich uwagi.

Ale cóż znaczy rozwinięta bandera, naco ten wystrzał armatni?.. Albo to prosta zabawka, albo też jest to oznaka, że zajmują wyspę w posiadanie. Teraz już Cyrus wiedział, że okręt jest uzbrojony w działa, przeciw którym koloniści mieli tylko strzelby.

— W każdym razie — rzekł Cyrus — zajmujemy tu prawie niezdobyte stanowisko. Korsarze nie zobaczą otworu upustu, ponieważ ukryty jest teraz w trawie i w trzcinie, a zatem niepodobna im będzie dostać się do Granitowego pałacu.

— Tak, ale nasze plantacje, nasze kurniki i owczarnię mogą zniszczyć w przeciągu kilku godzin — wołał Penkroff, tupiąc nogą.

— Mogą to zrobić, Penkroffie, i my nie możemy temu przeszkodzić — odrzekł Cyrus.

— Wszystko zależy od liczby — rzekł reporter. — Damy sobie radę, jeżeli jest ich dziesięciu, dwunastu, ale czterdziestu, pięćdziesięciu a może i więcej!...

— Panie Smith — rzekł Ayrton, zbliżając się do inżyniera — chciałbym prosić pana o pozwolenie.

— Jakie?

— Chcę udać się na ten okręt, aby się przekonać o jego sile i liczbie osady.

— Ależ, Ayrtonie — odrzekł inżynier — naraziłbyś swoje życie!

— Cóż mi to szkodzi?

— Chcesz uczynić więcej, niż tego wymaga obowiązek.

— Bo też ja powinienem czynić więcej.

— Chcesz czółnem popłynąć ku okrętowi? — zapytał reporter.

— Nie, panie, mam zamiar rzucić się wpław. Czółno nie przepłynęłoby tam, gdzie człowiek przepłynąć może.

— Czy wiesz, że bryg stoi o milę i ćwierć od brzegu? — zapytał Harbert.

— Nic nie szkodzi, pływam doskonale.

— Ależ powtarzam ci, że narażasz życie — rzekł inżynier.

— Mniejsza o to — rzekł Ayrton. — Panie Smith błagam cię jak o łaskę, nie odmawiaj mi pozwolenia. Może tym sposobem potrafię uszlachetnić się we własnem przekonaniu.

— Idź więc, Ayrtonie — odrzekł inżynier, czując, że odmowa dotknęłaby boleśnie dawnego przestępcę, który teraz stał się uczciwym człowiekiem.

— Będę ci towarzyszył — rzekł Penkroff.

— Nie dowierzasz mi — odrzekł żywo Ayrton; poczem kornie schylając głowę, dodał: — Niestety!

— Mylisz się, Ayrtonie — rzekł Cyrus. — Źle sobie tłumaczysz Penkroffa; on wcale nie chciał powiedzieć, że ci nie dowierza.

— Rzeczywiście — rzekł marynarz — chciałem towarzyszyć ci tylko do wysepki. Może który z tych łotrów wylądował, w takim razie dwóch nas nie byłoby za wiele, aby mu nie dozwolić przestrzec towarzyszów. Będę czekał na wysepce; na okręt udasz się sam, skoro to jest twoim zamiarem.

Za wspólną zgodą Ayrton zaczął czynić przygotowania do wycieczki. Projekt ten był nader śmiały, mógł jednak się udać dzięki ciemności nocnej. Raz dostawszy się na statek, mógł uczepić się łańcuchów lub lin od masztów i tym sposobem poznać liczbę, a może i zamiary nieprzyjaciół.

Wszyscy razem udali się na wybrzeże. Tam Ayrton rozebrał się i wysmarował tłuszczem, aby mniej czuć zimno wody, w której może długo będzie zmuszony pozostać. Jednocześnie Penkroff i Nab poszli sprowadzić łódź, uwiązaną o kilkaset kroków wyżej, nad brzegiem Mercy. Gdy wrócili, Ayrton już był gotowy do wycieczki. Zarzucono na niego kołdrę i towarzysze pożegnali go uściśnieniem dłoni. Odpłynął wraz z Penkroffem.

Było wpół do jedenastej, gdy obaj zniknęli w ciemnościach; koloniści oczekiwali na nich w Kominach.

Obaj marynarze przepłynęli kanał i przymocowali łódkę na wybrzeżu z przeciwnej strony wysepki. Po bacznem rozejrzeniu zdawało się pewnem, że korsarzy nie było na wysepce; przebiegli ją, poczem Ayrton bez wahania rzucił się w morze i popłynął cicho w kierunku okrętu, na którym właśnie zapalono światła.

Penkroff wsunął się w załom nadbrzeżnej skały, oczekując na powrót towarzysza.

Ayrton płynął, silnie robiąc rękami, lecz tak cicho, że powierzchnia wody wcale się nie poruszała. Głowę tylko wychylił nieco z wody, nie spuszczając z oka brygu, którego światełka odbijały w wodzie. Całkiem zajęty zadaniem, które spełnić przyrzekł, ani pomyślał o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał nietylko na pokładzie okrętu, ale i w wodzie, gdyż w tej stronie morza często przebywały rekiny. Prąd go unosił, szybko więc oddalał się od brzegu.

W pół godziny później Ayrton niedostrzeżony dopłynął do okrętu. Tu zaraz wdział na siebie jedne z suszących się spodni marynarskich i, umieściwszy się, jak mógł, zaczął się przysłuchiwać.

Na pokładzie rozprawiano, śpiewano i śmiano się wesoło, a wśród tego gwaru różne odzywały się przekleństwa. Oto, co z rozmowy posłyszał Ayrton.

— Dobry to nabytek, ten nasz bryg.

— Doskonale płynie nasz Speedy, godzien swej nazwy *).

---

*) W języku angielskim *speedy* znaczy szybki.

— No! niech teraz cała marynarka norfolska uda się za nami w pogoń, możemy jej pokazać figę.

— Wiwat nasz dowódca!

— Wiwat Bob Harwey!...

Łatwo pojmiemy, jakiego wrażenia doznał Ayrton, usłyszawszy ten urywek rozmowy, gdy dowiemy się, że w owym przywódcy poznał jednego z dawnych towarzyszów z Australji, doskonałego i śmiałego marynarza, który dawny zbrodniczy zamiar doprowadził do skutku. Bob Harwey opanował ten bryg, stojący przy wybrzeżach Norfolku, doskonale uzbrojony, zaopatrzony w amunicję, wszelkie narzędzia i zapasy. Cała jego banda dostała się na pokład, z zesłańców zmieniając się w korsarzy; nędznicy ci napadali i rabowali okręty, mordowali osady i byli stokroć okrutniejsi od Malajczyków.

Zbrodniarze ci rozprawiali głośno i, pijąc nad miarę, przechwalali się z okrucieństw i dokonanych grabieży. Oto, co mógł zrozumieć Ayrton.

Obecna osada okrętu Speedy składała się wyłącznie z więźniów angielskich, zbiegłych z Norfolku.

Wysepka Norfolk leży w Australji wschodniej, pod 29° 2" szerokości południowej i 16° 42" długości wschodniej, i ma sześć mil obwodu. Jest to osada angielska, do której wysyłają największych przestępców. Bywa ich pięciuset; pilnuje ich 150 żołnierzy, 150 urzędników pod zwierzchnictwem gubernatora. Trudno sobie wyobrazić, jak straszni są to zbrodniarze. Pomimo nadzwyczaj ścisłego nadzoru, niektórym udaje się uciec: zajmują oni zdradą okręty, na których dostają się na archipelagi polinezyjskie.

Tak postąpił Bob Harwey i jego towarzysze; zagarnął bryg Speedy, stojący na kotwicy wpobliżu wyspy Norfolk, wymordował z towarzyszami załogę, i od roku już bryg pływał po wodach oceanu Spokojnego pod dowództwem zdolnego marynarza, dawniej zesłańca a dziś korsarza.

Większa część zesłańców zebrała się w tylnej izdebce, a niektórzy rozciągnięci na pomoście rozprawiali głośno, pijąc nieustannie. Z ich rozmowy Ayrton dowiedział się, że przypadek jedynie sprowadził Speedy na wody Lincolna, Harwey dotąd nic o niej nie wiedział, i, jak trafnie domyślał się Cyrus Smith, zobaczywszy ziemię, nieoznaczoną na żadnej mapie, postanowił ją zwiedzić, a nawet zająć, jeśliby się to okazało korzystne.

Co się zaś tyczy wywieszenia czarnej bandery i strzału danego z działa, jak to czynią okręty wojenne w chwili rozwinięcia flagi, była to prosta fanfaronada, a nie żadne hasło, gdyż dotąd korsarze nie mieli żadnych stosunków z wyspą Lincolna.

Tak więc państwu kolonistów wielkie zagrażało niebezpieczeństwo. Niewątpliwie wyspa, tak łatwo dostępna, z przyrodzonym portem i zasobami, tak umiejętnie wyzyskiwanemi przez kolonistów, ze

skrytemi podziemiami Granitowego pałacu, pewnie spodoba się korsarzom. Zająwszy ją, zapewniliby sobie doskonałe schronienie, a samo to, że zupełnie była nieznana, zapewniało im na długo może bezkarność i bezpieczeństwo. Niewątpliwie także Bob Harwey rozkazałby bez litości wymordować kolonistów. Tak więc Cyrus Smith i jego towarzysze nie mogliby nawet ratować się ucieczką lub ukryć na wyspie, skoro zesłańcy zamyślali osiedlić się, gdyż nawet w razie, gdyby Speedy odpłynął na wyprawę, to i wówczas zapewne pozostałaby na wyspie część osady. Trzeba więc było walczyć i co do jednego wytępić zbrodniarzy, niegodnych litości.

Tak myślał Ayrton, a Cyrus Smith podzielał jego zapatrywania.

Może w godzinę po jego dostaniu się na okręt wrzaski i pijatyka ucichły, i wielu zesłańców pogrążyło się w głębokim śnie. Wówczas Ayrton próbował dostać się na pokład, który po zgaszeniu świateł tonął w ciemnościach.

Po wielu usiłowaniach udało mu się dostać na wyniesienie z przodu okrętu; wtedy, przesuwając się ostrożnie między leżącymi tu i ówdzie korsarzami, obszedł cały statek i przekonał się, że Speedy uzbrojony był czterema działami, które zapewne rzucały kule ośmio i dziesięcio-funtowe. Mógł nawet przekonać się, że były nabijane odtyłu. Były to więc działa tegoczesne, które łatwo było obsługiwać, a straszne w swych skutkach.

Korsarzy śpiących na pokładzie naliczył dziesięciu, ale należało wnosić, że była to tylko część osady, i, o ile mu się zdawało z ich rozmowy, było na pokładzie pięćdziesięciu. Jednak, dzięki poświęceniu Ayrtona, Cyrus nie będzie zaskoczony niespodzianie, a znając siły nieprzyjaciół, obmyśli stosowne środki obrony. Mógł więc już wracać i zdać towarzyszom sprawę z wycieczki, to też zamierzał już dostać się na przód okrętu, a stamtąd spuścić się w morze. Lecz w tej właśnie chwili człowiekowi temu, który — jak to powiedział — pragnął zrobić więcej nad obowiązek, przyszła do głowy myśl, aby poświęcić życie dla ocalenia wyspy kolonistów.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Cyrus Smith nie zdoła oprzeć się pięćdziesięciu tak doskonale uzbrojonym bandytom, którzy albo gwałtem wedrą się do Granitowego pałacu, albo głodem oblężonych zmuszą do poddania. I w myśli przedstawił sobie swoich zbawców, którzy zrobili z niego człowieka i to człowieka uczciwego, którym winien był wszystko, pomordowanych bez litości, ciężką ich pracę obróconą w perzynę, a wyspę zamienioną w jaskinię korsarzy. Powiedział sobie, że w rezultacie on to jest główną przyczyną tylu klęsk i nieszczęść, ponieważ Bob Harwey wykonywał tylko dawne jego zamiary. I niewysłowiony wstręt wstrząsnął całą jego istotą. Wtedy ogarnęła go nieprzeparta żądza wysadzenia w powietrze brygu, osady i wszystkiego, co się na nim znajdowało. On także zginie, lecz spełni swój obowiązek.

Nie zawahał się. Najpierw, co nie było zbyt trudne, należało dostać się do prochowni, mieszczącej się wtyle okrętu. Na statku, trudniącym się morskim rozbojem, prochu musiało być poddostatkiem, dość było rzucić weń iskrę, aby niezwłocznie wysadzić okręt w powietrze.

Ayrton przesuwał się ostrożnie po pomoście wśród śpiących korsarzy. U stóp wielkiego masztu płonęła okrętowa latarnia a ponad nią porozwieszana była broń różnego rodzaju i kalibru. Ayrton zdjął rewolwer i przekonał się, że był nabity. Było to dostateczne do dokonania dzieła zniszczenia. Skierował się więc ku tyłowi okrętu, gdzie w najniższej części musiał się mieścić skład prochu. Między dwoma pomostami panowała ciemność zupełna, niepodobna więc było, przekradając się tamtędy, nie potrącić którego ze śpiących zbrodniarzy, co wywoływało gniewy i przekleństwa. Kilkakrotnie Ayrton zmuszony był zatrzymać się i przyczaić; nareszcie jednak doszedł do ściany, odgradzającej tył okrętu, i znalazł w niej drzwi, które niezawodnie prowadziły do składu prochu.

Drzwi te były zamknięte na kłódkę. Chcąc się dostać do składu, trzeba ją było oderwać. Niełatwe było zadanie dokonać tego bez hałasu, szczęściem Ayrton był nadzwyczaj silny, ukręcił więc kłódkę rękami i otworzył drzwi. W tej chwili uczuł ciężką dłoń na ramieniu.

— Co tu robisz? — zapytał grubym głosem wysoki mężczyzna, nagle wysuwając się z ciemności, trzymaną w ręku latarkę podniósł ku twarzy Ayrtona.

Ayrton wtył odskoczył; przy przelotnym blasku latarki poznał dawnego wspólnika, Boba Harweya, który ze swej strony nie poznał go zupełnie — może dlatego, iż pewny był, że dawno nie żyje.

— Co tu robisz? — krzyknął znowu Harwey, chwytając Ayrtona za pasek od spodni.

Nic nie odpowiadając, Ayrton silnie odepchnął przywódcę korsarzy i chciał wpaść do składu prochu. Jeden wystrzał z rewolweru pomiędzy te beczki z prochem a wszystko się skończy...

— Hej, koledzy! — krzyknął Bob Harwey.

Kilku bandytów zerwało się, usłyszawszy krzyk dowódcy, i rzucili się na Ayrtona, chcąc go pochwycić; ale Ayrton, posiadając olbrzymią siłę, zdołał im się wydrzeć. I natychmiast dał dwa strzały z rewolweru; dwóch rabusiów padło, ale Ayrton został nożem raniony w ramię.

Widział teraz, że niepodobna było wykonać powziętego zamiaru, gdyż Bob Harwey zamknął drzwi do prochowni, a ruch na pomoście wskazywał, iż korsarze się przebudzili. Nie mogąc zginąć wraz z okrętem, Ayrton chciał walczyć przy boku Cyrusa — trzeba więc było uciekać. Ale ucieczka była nader trudna a nawet bardzo wątpliwa.

Miał jeszcze cztery strzały. Dał ognia dwa razy; jeden strzał skierował do Boba Herweya, ale albo nie trafił, albo ranił nie niebezpiecznie; korzystając z chwilowego popłochu i cofnięcia się nieprzyjaciół, skoczył na drabinę, a stamtąd dostał się na pomost brygu. Przechodząc około latarni, rozbił ją kolbą rewolweru, aby wśród ciemności łatwiej mu było uciekać.

Zbudzeni odgłosem wystrzałów, rozbójnicy zaczęli wchodzić na drabinę; w tejże chwili piąty strzał z rewolweru Ayrtona zrzucił jednego nadół, inni cofnęli się niezwłocznie, nie pojmując, co się stało. Ayrton w dwóch skokach dostał się na pokład, poczem, wystrzeliwszy raz jeszcze z rewolweru do korsarza, który go chciał pochwycić, przeskoczył parapet i rzucił się w morze.

Zaledwie odpłynął kilkanaście kroków, grad kul posypał się za nim. Jakież wrażenie wywrzeć musiał na Penkroffie, ukrytym w szczelinie skały, i innych kolonistach, zaczajonych w Kominach, ten odgłos wystrzałów z brygu. Wypadli z bronią na wybrzeże, aby być wpogotowiu do obrony. Nie wątpili, że korsarze schwytali i zamordowali Ayrtona i może, korzystając z ciemności, zamierzali dostać się na wyspę.

Przez pół godziny czekali przerażeni. Nareszcie wystrzały ustały, lecz ani Ayrton, ani Penkroff nie wracali. Czy rozbójnicy wylądowali? Czy nie należy biec na pomoc Ayrtonowi i Penkroffowi?... Jak tego dokazać?... Przypływ morza czynił w tej chwili kanał niepodobnym do przebycia, a łodzi nie mieli.

Nareszcie po północy łódź przybiła do brzegu. Był to Ayrton, lekko raniony w ramię, i Penkroff zdrów i cały. Towarzysze uściskali ich z radości i wszyscy schronili się do Kominów. Tam Ayrton opowiedział szczegóły swej wycieczki, nie ukrywając i tego, że zamierzał bryg wysadzić w powietrze. Gdy to oświadczył, wszyscy wyciągnęli do niego ręce.

Ayrton nie taił, że położenie było nader groźne. Rozbójnicy wiedzieli teraz, że wyspa jest zamieszkana, wylądują więc w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni. Niezawodnie nic nie poszanują i jeżeliby koloniści wpadli w ich ręce, nie mogą się żadnej spodziewać litości.

— W takim razie potrafimy umrzeć! — zawołał reporter.

— Chodźmy i czuwajmy! — rzekł inżynier.

— Czy jest jaka nadzieja ocalenia, panie Cyrusie? — zapytał marynarz.

— Tak, Penkroffie.

— Hmm, sześciu przeciw pięćdziesięciu!

— Tak sześciu... ale nie liczymy...

— Kogo?

Zamiast odpowiedzi Cyrus wskazał ręką niebo.

ROZDZIAŁ XLV.

Mgła opada. — Rozkazy inżyniera — Trzy stanowiska. — Ayrton i Penkroff. — Pierwsza szalupa. — Na wysepce. — Korsarze na lądzie. — Bryg podnosi kotwicę. — Kierunek „Speedy". — Rozpaczliwe położenie. — Nieoczekiwane rozwiązanie.

Noc przeszła spokojnie, jednakże koloniści mieli się na ostrożności i nie opuszczali stanowiska w Kominach. Co do korsarzy, ci dotąd nie próbowali wylądować. Od czasu, jak przestali strzelać za Ayrtonem, żaden wystrzał, żaden hałas nie zdradzał obecności brygu na wodach wyspy. Można było myśleć, że podniósł kotwicę, w przekonaniu, że miałby do czynienia z nazbyt silnym nieprzyjacielem.

Gdy jutrzenka zaświtała, koloniści dojrzeli wśród mgły jakby olbrzymi szkielet — był to Speedy.

— Towarzysze — rzekł inżynier — oto, co należy czynić, zanim mgła opadnie. Teraz zasłania ona nas przed wzrokiem korsarzy, możemy działać bez zwrócenia ich uwagi. Przedewszystkiem tak się musimy urządzić, aby korsarze mniemali, że wyspa ma liczną ludność, zdolną silny stawić opór. Rozdzielimy się więc na trzy oddziały; pierwszy pozostanie w Kominach; drugi zajmie stanowisko przy ujściu Mercy; trzeci, jak sądzę, powinienby stanąć na wysepce, aby przeszkodzić lub przynajmniej opóźnić wylądowanie korsarzy. Mamy do rozporządzenia dwa karabiny i cztery strzelby; wszyscy więc będziemy uzbrojeni, a że nie brak nam kul i prochu, nie będziemy oszczędzali strzałów. Nie mamy się co obawiać karabinów, a nawet i dział brygu. Cóż one zrobią tym skałom?... A ponieważ nie będziemy strzelali z okien Granitowego pałacu, nie przyjdzie rozbójnikom na myśl rzucać tam granaty, które mogłyby wyrządzić szkodę. Najgroźniejszą dla nas byłaby potyczka, ponieważ korsarze nieskończenie przewyższają nas liczbą. Starajmy się więc głównie nie dopuścić do wylądowania, nie oszczędzajmy amunicji, ale strzelajmy z ukrycia. Strzelajmy często a celnie, nie zapominając, że każdy z nas ma przeciw sobie ośmiu lub dziesięciu nieprzyjaciól i powinien zgładzić ich ze świata.

Cyrus Smith dokładnie określił położenie, a przemawiał głosem tak pewnym i spokojnym, jakby wydawał rozporządzenia, odnoszące się do jakiej pracy, a nie układał planu bitwy. Towarzysze słuchali w milczeniu i zabierali się zająć wyznaczone sobie stanowiska.

Najpierw jednak Nab i Penkroff udali się do Granitowego pałacu i przynieśli stamtąd dostateczny zapas amunicji. Penkroff i Ayrton, jako najlepsi strzelcy, dostali najlepsze dalekonośne karabiny, których strzały dochodziły na odległość tysiąca kroków.

Cyrus Smith z Harbertem zaczaili się w Kominach, skąd panowali nad wybrzeżem i bronili dostępu do Granitowego pałacu. Gedeon Spilett i Nab ukryli się między skałami przy ujściu Mercy, której

most i mostki spuszczono w ten sposób, aby nie można było ani przejść przez nie, ani przepłynąć, ani też wylądować na przeciwnym brzegu.

Ayrton i Penkroff spuścili łódź na wodę, aby przepłynąć kanał i zająć dwie pozycje na wysepce. Tym sposobem strzały będą padały z trzech stron odrazu, z czego rozbójnicy wnosić będą, że wyspa jest dostatecznie zaludniona i silnie broniona.

W razie, gdyby Penkroff i Ayrton nie mogli przeszkodzić wylądowaniu, lub gdyby widzieli, że mogą być otoczeni, mieli wrócić do łodzi, wysiąść na wybrzeże i udać się na miejsce najwięcej zagrożone.

Przed udaniem się na wyznaczone stanowiska, koloniści polecili się Bogu i pożegnali uściskiem. Penkroff zaledwie zdołał zapanować nad silnem wzruszeniem, jakie go ogarnęło, gdy żegnał Harberta, swego przybranego syna... W kilka minut później Cyrus Smith i Harbert z jednej strony, a z drugiej Nab i reporter znikli między skałami, a niezadługo potem Penkroff i Ayrton, przebywszy szczęśliwie kanał, wylądowali na wysepce i ukryli się na jej wschodnim brzegu między szczelinami skał.

Nie mogli być dostrzeżeni, gdyż było jeszcze tak ciemno, że sami zaledwie mogli rozróżnić bryg wśród otaczającej go mgły.

Wkrótce mgła rozeszła się, szczyty masztów brygu zarysowały się wyraźnie. Jak obliczył Cyrus Smith, stał on na kotwicy o jaką milę i ćwierć od wybrzeża.

Straszna czarna bandera powiewała nad nim.

Inżynier mógł dojrzeć przez lunetę, że cztery działa, stanowiące artylerję brygu, skierowane były ku wyspie, tak, aby w każdej chwili korsarze mogli z nich dać ognia. Jednak dotąd Speedy milczał, tylko widać było ze trzydziestu rozbójników, uwijających się na pokładzie. Kilku zeszło do izdebek oficerskich. Dwóch stało przy wielkim maszcie z lunetami w ręku i nader uważnie przyglądali się wyspie.

Zapewne Bob Harwey i cała osada nie mogli wytłumaczyć sobie zajścia na brygu. Czy ów nawpół nagi człowiek, który oderwał kłódkę i gwałtem chciał dostać się do prochowni, o którego się ocierali, a on sześć razy wystrzelił do nich z rewolweru i zabił jednego, a ranił dwóch korsarzy, zdołał uciec przed ich kulami, czy dopłynął do brzegu? Skąd się wziął i poco wdarł się na statek? Czyżby, jak przypuszczał Bob Harwey, miał rzeczywiście zamiar zapalić proch i wysadzić bryg w powietrze? Wszystko to było dla nich nierozwiązaną zagadką. O tem tylko nie mogli wątpić, że nieznana wyspa, przed którą Speedy zarzucił kotwicę, była zamieszkana, i może liczna ludność gotowa była stanąć w jej obronie... A jednak nikogo nie było widać ani na wybrzeżu, ani na wzgórzach; wyspa zdawała się zupełnie bezludną, nigdzie ani śladu mieszkań. Czyżby mieszkańcy schronili się w głębi wyspy?

Oto pytania, jakie stawiał sobie dowódca, i widać, jako człowiek przezorny, starał się rozpoznać grunt, zanim wysadzi na ląd osadę.

Przez półtorej godziny nic na pokładzie nie zapowiadało zamiaru napaści, ani nawet wylądowania; widocznie Bob Harwey namyślał się i wahał. Najlepsze lunety nie mogły mu ukazać kolonistów, zaczajonych pomiędzy skałami, i zdawało się nieprawdopodobnem, aby okna Granitowego pałacu, tak doskonale zakryte lianami i gałęźmi, zwróciły jego uwagę.

Niebawem koloniści dostrzegli ruch na pokładzie. Spuszczono łódź na morze, weszło do niej siedmiu ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki; jeden stanął przy rudlu, czterech chwyciło za wiosła, dwóch stało na przodzie łodzi, gotowych wystrzelić każdej chwili, i rozpatrywali się w miejscowości. Zapewne zamierzali tylko odbyć pierwszy rekonesans, nie myśląc o wylądowaniu, bo w takim razie byliby wypłynęli w większej liczbie.

Reszta rozbójników, siedząc na masztach niższych i wyższych, mogła łatwo dostrzec wysepkę, leżącą poza kanałem, pół mili szerokim. Jednak, uważając bacznie, Cyrus Smith mógł się przekonać z kierunku, w jakim łódź płynęła, że nie zamyślają wpłynąć w kanał, lecz tylko przezornie pragną zbliżyć się do wysepki.

Penkroff i Ayrton, ukryci każdy zosobna w wąskich załomach skał, widzieli ich zbliżających się i czekali tylko, aby zbliżyli się na odległość strzału. Łódź posuwała się nadzwyczaj ostrożnie; rozbójnicy wolno bardzo robili wiosłami, jeden trzymał w ręku sondę, którą mierzył głębokość, to dowodziło, że Bob Harwey miał zamiar zbliżyć bryg swój jak najbliżej brzegów. Nareszcie łódź zatrzymała się o jakie 200 sążni od wysepki; sternik upatrywał najlepszego na przystań miejsca. W tejże chwili rozległy się dwa strzały i dym uniósł się ponad skałami wysepki. Sternik i trzymający sondę upadli nawznak na dno łodzi; kule Ayrtona i Penkroffa ich ugodziły. Jednocześnie prawie głośny huk rozległ się w powietrzu, i kula działowa, wyrzucona z brygu, uderzyła w szczyty skał, w których ukrywali się Ayrton i Penkroff, i rozsadziła je w drobne kawałki. Oni nic nie ucierpieli.

Straszne przekleństwa gradem posypały się z łodzi, która prędko płynąć zaczęła. Jeden z towarzyszy zastąpił sternika, inni zaczęli robić wiosłami. Zamiast wracać na statek, płynęli wzdłuż brzegów wysepki, starając się opłynąć ją od cypla południowego i, zakreśliwszy linję półkulistą pod osłoną dział, skierowali się ku ujściu Mercy.

Teraz łatwo można było poznać, że mają zamiar wpłynąć do kanału i zająć tył zaczajonym na wysepce kolonistom, aby tym sposobem wziąć ich we dwa ognie.

Łódź posuwała się w obranym kierunku a tymczasem głęboka panowała cisza. Penkroff i Ayrton nie opuścili swego stanowiska, chociaż zrozumieli, że korsarze mogą im przeciąć odwrót, gdyż nie

chcieli im się jeszcze pokazywać i narażać na działowe kule, rachowali na Gedeona i Naba, czuwających przy ujściu rzeki, oraz na Cyrusa i Harberta, zaczajonych w Kominach.

We dwadzieścia minut po pierwszych strzałach łódź znajdowała się nawprost Mercy, lecz jeszcze o paręset sążni od jej ujścia. Zaczął się właśnie przypływ, i fale morza tłoczyły się tak gwałtownie w wąskie koryto rzeki, że wszyscy korsarze rzucili się do wioseł i z największą trudnością utrzymywali łódź w środku kanału. Kiedy nakoniec zbliżyli się do ujścia Mercy, dwie kule świsnęły w powietrzu, i dwaj z nich upadli na dno łodzi; Nab i Spilett nie napróżno strzelali. Bryg odpowiedział natychmiast drugim wystrzałem działowym, lecz kula wyszczerbiła tylko skały.

Obecnie w łodzi znajdowało się tylko trzech ludzi zdrowych: uniesiona pędem wody, sunęła po kanale z szybkością strzały, przemknęła koło stanowiska Cyrusa i Harberta, lecz w zbyt wielkiej odległości, aby do niej strzelić mogli, następnie, opłynąwszy północny cypel wysepki, zaczęła dążyć ku statkowi.

Dotąd koloniści byli szczęśliwsi od swych przeciwników, żaden z nich nie był raniony, gdy przeciwnie — już czterech zbrodniarzy poniosło ciężkie a może nawet śmiertelne rany. Z tego widzimy, jak mądre były rozporządzenia inżyniera co do obrony wyspy, gdyż korsarze musieli wnosić, że mają do czynienia z licznymi i dobrze uzbrojonymi przeciwnikami, których niełatwo zwyciężyć zdołają.

Upłynęło pół godziny, zanim łódź, zmuszona walczyć z pędem wody, zdołała zbliżyć się do statku, na którego pokładzie rozlegały się straszne i groźne krzyki, gdy dostrzeżono ranionych. Dwunastu zbrodniarzy, uniesionych szalonym gniewem, wskoczyło natychmiast do łodzi, następnie spuszczono drugą jeszcze na morze, do której znów wsiadło ośmiu ludzi. Gdy pierwsza zmierzała wprost do wysepki, aby z niej wyprzeć kolonistów, druga kierowała się widocznie do ujścia Mercy, które zapewne opanować chciała. Teraz położenie Penkroffa i Ayrtona było tak niebezpieczne, iż musieli myśleć o powrocie na wyspę. Zatrzymali się jednak jeszcze o tyle, aby łódź zbliżyła się na odległość strzału, i znówdwie kule przerzedziły jej osadę. Penkroff i Ayrton opuścili swoje stanowisko; pomimo, że strzelano do nich z łodzi, wskoczyli do swej łódki i przepłynęli kanał w tej właśnie chwili, gdy druga łódź ukazała się przy południowym cyplu wysepki.

Zaledwie stanęli w Kominach obok Cyrusa i Harberta, korsarze z pierwszej łodzi wylądowali na wysepkę i, przebiegając ją wszerz i wzdłuż, szukali przeciwników. Prawie w tym samym czasie odezwały się strzały na stanowisku przy Mercy, gdzie druga łódź zbliżyła się szybko. Dwóch, z ośmiu znajdujących się w niej ludzi, padło od kul Gedeona i Naba, a łódź sama, uniesiona pędem wody, rozbiła się o skały przy ujściu Mercy. Jednak sześciu po-

zostałych korsarzy, unosząc broń ponad wodą, aby ją zabezpieczyć od zamoknięcia, dopłynęło do prawego brzegu rzeki i zaczęli uciekać, co im sił starczyło, w kierunku cypla Skrzyni, aby kule przeciwników nie mogły ich dosięgnąć.

Tak więc na wysepce znajdowało się obecnie dwunastu złoczyńców, między którymi wprawdzie byli lżej i ciężko ranni, ale mających jeszcze łódź, z której w razie potrzeby korzystaćby mogli; na samą zaś wyspę wylądowało sześciu, lecz tym niepodobna było dostać się do Granitowego pałacu, ponieważ ściągnięto wszystkie mosty i mostki.

— Dobrze nam idzie, panie Cyrusie — zawołał Penkroff, wbiegając do Kominów. — Wszak prawda?

— Tak — odpowiedział inżynier — kto wie jednak, co będzie dalej, bo trudno nawet przypuścić, że ci łotrzy są do tego stopnia ograniczeni, aby chcieli i nadal prowadzić walkę w tak niekorzystnych dla siebie warunkach.

— Przecież nie zdołają przepłynąć kanału — rzekł marynarz. — Karabiny Ayrtona i pana Spiletta nie dozwolą na to. Wszakże pan wie, jak ich kule sięgają daleko.

— Prawda — rzekł Harbert — ale cóż znaczą karabiny w porównaniu z działami?

— O! przecie bryg nie wpłynął jeszcze do kanału, abyśmy mogli obawiać się dział jego! — zawołał Penkroff.

— A jeżeli wpłynie? — odpowiedział Cyrus Smith.

— To być nie może, obawiałby się osiąść na mieliźnie lub rozbić o skały.

— Przeciwnie, jest to bardzo prawdopodobne — odezwał się Ayrton. — Korsarze mogą wpłynąć do kanału, korzystając z przypływu, choćby nawet wiedzieli, że w czasie odpływu osiądą na mieliźnie, a wtenczas pod ogniem ich nie zdołamy się utrzymać na naszych stanowiskach.

— Do tysiąca kul i bomb! — zawołał Penkroff — zdaje się, że ci niegodziwcy zamierzają naprawdę podnieść kotwicę!

— Może — odezwał się Harbert — będziemy zmuszeni schronić się do Granitowego pałacu.

— Czekajmy jeszcze — odpowiedział Cyrus Smith.

— Ale Nab i Spilett...

— Potrafią połączyć się z nami, gdy to będzie potrzebne. Bądź gotów, Ayrtonie, teraz możemy głównie rachować na twoje i Spiletta strzały.

Niepodobna już było powątpiewać; *Speedy* zaczął się już poruszać i skręcać ku wysepce. Przypływ morza miał jeszcze trwać półtorej godziny, a że fale jego nie podnosiły się tak gwałtownie, dość łatwo było kierować statkiem; pomimo to Penkroff nie mógł przypuścić, aby się ośmielono wpłynąć do kanału.

Tymczasem rozbójnicy, znajdujący się na wysepce, tak zbliżyli się do brzegu, że tylko kanał oddzielał ich od wyspy. Uzbrojeni w proste strzelby, nie mogli szkodzić kolonistom, kryjącym się w Kominach lub między skałami przy ujściu Mercy, a nie wiedząc, że przeciwnicy mają dalekonośne karabiny, nie lękali się także o siebie i śmiało postępowali wzdłuż brzegów. Jednak złudzenie to niedługo trwało; z karabinów Ayrtona i Spiletta padły strzały, i kule ich powaliły na ziemię dwóch zbrodniarzy. Przestraszeni ich towarzysze uciekli na przeciwny brzeg wysepki, nie zabrawszy nawet ranionych czy zabitych i, wskoczywszy do łodzi, odpłynęli do statku.

— Ośmiu ubyło! — zawołał Penkroff. — Pan Spilett i Ayrton nie psują prochu, strzelają razem jak na komendę.

Tymczasem *Speedy* zbliżał się zwolna do lądu. Na obydwóch stanowiskach koloniści śledzili z głębokiem wzruszeniem jego ruchy; czuli, w jak strasznem znajdą się położeniu, gdy zostaną wystawieni na ogień jego dział, nie posiadając odpowiednich środków obrony. Jakże zdołają przeszkodzić złoczyńcom, aby nie wylądowali na wyspę? Cyrus Smith zastanawiał się, co teraz czynić wypada. Zamknąć się w Granitowym pałacu i, korzystając z obfitych zapasów żywności, wytrzymywać oblężenie przez tygodnie i miesiące? Dobrze, ale cóż się potem stanie? Rozbójnicy pomimo to zostaną panami wyspy, zniweczą owoce ich pracy, a zczasem, gdy głód zawita do Granitowego pałacu, mieszkańcy jego będą zmuszeni poddać się lub straszną zginąć śmiercią.

— Nie — powtarzał Penkroff — skoro ten Bob Harwey jest dobrym marynarzem, to nigdy nie odważy się wpłynąć do tej odnogi! Wie, że naraziłby bryg na rozbicie, gdyby tylko zerwał się wiatr trochę silniejszy, a cóżby się z nim stało, gdyby utracił swój statek?

Pomimo to bryg zbliżał się do wysepki i płynął wzdłuż jej brzegów ku wejściu do kanału. Łatwo było domyśleć się planu Boba Harweya. Oto chciał zarzucić kotwicę naprzeciwko Kominów i stamtąd odpowiedzieć wystrzałami działowemi na strzały mieszkańców wyspy. Puścił się tą samą drogą, którą płynęły wysłane przez niego łodzie, wpłynął śmiało w odnogę i wkrótce znajdował się już naprzeciwko ujścia Mercy.

— Już wpłynęli zbóje! — krzyknął Penkroff.

W parę minut później Nab i Gedeon Spilett połączyli się z towarzyszami. Opuścili stanowisko, na którem teraz musieli stać bezczynnie; przesuwając się ostrożnie pod osłoną skał, przybyli szczęśliwie do Kominów, mimo rozlegających się ciągle strzałów.

— Gedeonie! Nabie! — zawołał inżynier — czy który z was nie raniony?

— Nie — odpowiedział reporter — otrzymaliśmy tylko kilka lekkich kontuzyj. Ale to gorsza, że ten szatański bryg wpłynął do kanału.

— Tak — rzekł Penkroff — i za dziesięć minut zarzuci kotwicę wprost Granitowego pałacu.

— Co dalej zamierzasz czynić, Cyrusie? — zapytał reporter.

— Musimy schronić się do Granitowego pałacu, dopóki jeszcze złoczyńcy dostrzec nas nie mogą.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział Spilett — ale gdy już tam będziemy...

— Musimy działać stosownie do okoliczności — rzekł inżynier. — Teraz zaś idźmy, nie tracąc czasu.

— Czy nie byłoby dobrze, panie Cyrusie, abym pozostał tu z Ayrtonem? — zapytał marynarz.

— Nacóżby się to zdało, Penkroffie? — odpowiedział Cyrus. — Nie, lepiej się nie rozłączać.

Nie było czasu do stracenia, koloniści wyszli więc z Kominów. Wystające skały zakrywały ich przed wzrokiem osady statku, ale z rozlegających się coraz bliżej wystrzałów mogli wnosić, że *Speedy* już niedaleko. Przyśpieszyli kroku, wskoczyli na windę, w jednej chwili wznieśli się do Granitowego pałacu i wbiegli do wielkiej sali, gdzie Top i Jow już od wczoraj byli zamknięci.

Schronili się w samą porę, gdyż prawie jednocześnie, przez gałęzie, zasłaniające okno, ujrzeli nadpływający statek; kule czterech jego dział padały bezustannie na opuszczone świeżo przez kolonistów stanowiska, a dzikie okrzyki towarzyszyły każdemu strzałowi. Odłamy skał z hukiem staczały się na ziemię.

Można jednak było mieć nadzieję, że Granitowy pałac uniknie natarczywości wrogów dzięki rozporządzeniu Cyrusa, który, jak wiemy, kazał pozasłaniać gałęziami jego okna, gdy tymczasem kula przez otwór na drzwi wchodowe wpadła do korytarza.

— Przekleństwo im! — krzyknął Penkroff. — Odkryli nasze schronienie!

Być może jednak, że Bob Harwey tylko na chybił trafił kazał strzelać do tej prostopadłej skały, przysłoniętej gęsto gałęziami; wkrótce jednak, gdy kule pościnały w wielu miejscach gałęzie, i zobaczono wybite gdzie niegdzie w skale otwory, kule gradem zaczęły się sypać w tę stronę.

Położenie kolonistów było rozpaczliwe, odłamy granitu sypały się dokoła i groziły im śmiercią; zamierzali już schronić się do najodleglejszego zakątka Granitowego pałacu, gdy nagle dał się słyszeć huk przygłuszony, a zaraz po nim przerażające krzyki. Cyrus a za nim wszyscy przybiegli do okna.

Bryg, podniósłszy się wgórę na czemś, podobnem do trąby wodnej, rozłupał się na dwie części i najdalej w dziesięć sekund zapadł się w morze z całą zbrodniczą osadą!

ROZDZIAŁ XLVI.

Cyrus i Penkroff ratują szczątki. — Rozmowa podczas śniadania. — Zwiedzenie pudła statku. — Nowe bogactwa. — Ostatnie szczątki. — Kawałek cylindra.

— Wysadzeni w powietrze! — krzyknął Harbert.

— Tak, tak, wysadzeni! Jakgdyby Ayrtonowi udało się zapuścić ogień do składu prochu — wołał Penkroff, zajmując obok Naba i Harberta miejsce na windzie.

— Co się stało? — wołał Spilett, zdumiony tak niespodzianem zakończeniem walki z napastnikami.

— Później o tem dowiemy się. Tymczasem cieszmy się, że złoczyńcy zostali wytępieni!

Po tych słowach Cyrus wraz z reporterem i Ayrtonem pośpieszyli także na wybrzeże.

Bryg znikł pod wodą, tak, że nawet nie było widać szczytu jego masztów. Podniesiony wgórę, przy spadaniu przechylił się nabok i zanurzył w wodzie. W tem miejscu kanał nie miał więcej nad dwadzieścia stóp głębokości, można więc było być pewnym, że w czasie odpływu morza bok statku ukaże się nad wód powierzchnią.

Na morzu pływały różne szczątki, klatki z drobiem, paki, baryłki, zapasowe reje i maszty, które zwolna wydobywały się na powierzchnię, wkrótce nawet dwa maszty, pozrywawszy przytrzymujące je liny, ukazały się na wodach wraz z żaglami, ale nie było widać nigdzie desek z pokładu, ani części burty, otaczającej pomost, co więcej jeszcze czyniło zagadkowem nagłe zatonięcie statku.

Penkroff i Ayrton, aby morze podczas zbliżającego się już odpływu nie uniosło szczątków, wsiedli do łódki z zamiarem przyciągnięcia ich zapomocą lin.

— A złoczyńcy, znajdujący się na prawym brzegu Mercy? — zawołał Spilett, gdy już mieli odpłynąć.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, gdzie schroniło się sześciu ludzi z rozbitej łodzi, lecz żadnego z nich nie dostrzeżono. Prawdopodobnie, widząc, że bryg zatonął, uciekli w głąb wyspy.

— Później wypadnie zająć się nimi — rzekł Cyrus. — Posiadają broń, mogą więc być niebezpieczni, lecz teraz siły nasze i przeciwników będą zupełnie równe.

Ayrton i Penkroff odpłynęli. Przypływ morza był, i trzeba było czekać najmniej godzinę, zanim woda odkryje pudło statku, dwaj marynarze mieli więc dość czasu, aby przyciągnąć do brzegu maszty z żaglami, klatki z drobiem, baryłki i paki, które przeniesiono natychmiast do Kominów.

Zwłoki kilku zbrodniarzy wypłynęły już na wodę. Ayrton poznał między niemi Boba Harweya.

Zajęci pracą, nie mieli czasu mówić wiele, ale ileż to myśli

przesunęło się przez ich głowy! Stali się tak niespodziewanie panami wszystkiego, co bryg zawierał w sobie, a na każdym statku znajduje się tyle użytecznych przedmiotów!

Co do Penkroffa, ten rozmyślał nad tem, czyby nie można statku naprawić i wydobyć z wody. Jeżeli, mówił do siebie, zrobił się w nim otwór, przepuszczający wodę, to można go przecież zapełnić, jak się to nieraz zdarza: a statek o czterystu mniej więcej beczkach, to prawdziwy okręt w porównaniu z naszym *Bonawenturą!* Można nim popłynąć daleko! Można dopłynąć, gdzie zechcemy! Warto, żeby pan Cyrus pomyślał o tem.

Gdy już wszystko złowiono, postanowili odpocząć trochę i zjeść śniadanie, gdyż głód dawał się im uczuwać. Szczęściem śpiżarnia była blisko, a Nab nie lubił tracić czasu, posilili się więc, usiadłszy na murawie, a głównym przedmiotem ich rozmowy był niespodziewany wypadek, który ich ocalił tak cudownie.

— Można śmiało nazwać go cudownym — powtarzał Penkroff — gdyż niepodobna zaprzeczyć, że ci niegodziwcy zatonęli w samą porę! Dłuższy pobyt w Granitowym pałacu był prawie niepodobny, a wyjść z niego nie mogliśmy.

— Jakim też powodom przypisujesz, Penkroffie, to wysadzenie w powietrze statku — zapytał reporter.

— O! tego domyślić się łatwo — odpowiedział marynarz. — Na statku korsarskim niema nigdy takiego ładu, jak na wojennym. Zbrodniarze zwykle nie są dobrymi majtkami, niema zatem wątpliwości, że skład prochu był otwarty, skoro bezustanku zasypywano nas kulami, dosyć więc było najmniejszej nieostrożności, ażeby cały statek wyleciał w powietrze!

— To mnie tylko zadziwia, panie Cyrusie — odezwał się Harbert — że nie było silniejszego huku i że na morzu nie widać prawie szczątków pudła statku, stąd prędzej możnaby wnosić, że zatonął, niż wyleciał w powietrze.

— I mnie to dziwi także, Harbercie — odpowiedział inżynier. — Gdy obejrzymy pudło statku, może ta zagadka będzie rozwiązana.

— Ależ, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — chyba nie sądzisz pan, że *Speedy* zatonął sobie poprostu, jak każdy statek, kiedy uderzy o skałę.

— Dlaczego nie? — odezwał się Nab — jeżeli w tym kanale są skały.

— Widocznie, Nabie, nie widziałeś, jak się to stało? — odpowiedział Penkroff. — Na chwilę przed zatonięciem statek wzniósł się wysoko i, spadając, przewrócił się nabok. Otóż, gdyby uderzył o skałę, byłby zatonął spokojnie, jak to czyni każdy uczciwy statek.

— No! ale ten właśnie nie był uczciwy! — odpowiedział Nab.

— W każdym razie, wkrótce przekonamy się o tem, Penkroffie — rzekł inżynier.

— Tak, przekonamy się, i dałbym głowę, że w kanale skał niema.

— Powiedz mi, panie Cyrusie, czy i w tem zdarzeniu widzisz coś nadzwyczajnego? — zapytał Penkroff.

Inżynier milczał.

— Bądź co bądź — rzekł Gedeon — nie zaprzeczysz, Penkroffie, że czyto przez wysadzenie w powietrze, czy przez rozbicie o skałę, statek zatonął w samą dla nas porę.

— O! tak! bez wątpienia!... ale teraz nie o to nam idzie. Pytałem się pana Cyrusa, czy w tem widzi coś nadzwyczajnego.

— Pod tym względem jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie mogę — odrzekł inżynier.

Odpowiedź ta nie zadowoliła Penkroffa. Był przekonany i chciał przekonać innych, że statek był wysadzony w powietrze. Nie mógł przypuścić, aby w łożysku kanału, wysłanem miałkim, jak całe wybrzeże, piaskiem, ukrywały się skały: zresztą bryg zatonął w czasie najsilniejszego przypływu morza, miał tedy więcej wody, niż mu było potrzeba do przepłynięcia szczęśliwie ponad skałami, niewidocznemi nawet przy odpływie. Statek nie uderzył więc o skałę, skoro nie mogło być uderzenia, a zatem został wysadzony w powietrze.

Około drugiej po południu koloniści wsiedli do łódki i udali się na miejsce wypadku. W tej chwili pudło statku zaczęło już wychylać się ponad wodą. *Speedy* nie leżał, jak mniemał Penkroff, na lewym boku, lecz przewrócił się prawie spodem dogóry.

Koloniści opłynęli dokoła pudło i w miarę, jak woda opadała, rozpatrywali straszne skutki. Na przodzie, po dwóch stronach, boki były strasznie potrzaskane, i niepodobna było nawet myśleć o zapchaniu otworów, przepuszczających wodę. Nietylko że z całej tej części znikła miedziana blacha, lecz nadto nie pozostało nawet śladu z klepek i okuć. Wzdłuż całego pudła gwoździe i śruby obluzowały się lub powypadały, a belka, idąca wzdłuż pudła, rozłupała się na dwoje.

— Do licha! — rzekł Penkroff. — Trudno byłoby naprawić taki statek!

— Nietylko trudno, ale i niepodobna — powiedział Ayrton.

— W każdym razie — rzekł Gedeon — wybuch, jeżeli to miał być wybuch, dziwne wydał skutki! Roztrzaskał pudło statku w dolnych jego częściach, zamiast rozsadzić pokład i górne części! Zdawałoby się, że te szerokie otwory możnaby prędzej przypisać uderzeniu o skałę, niż wybuchowi prochu.

— Niema skał w tym kanale — odpowiedział marynarz. — Zgodzę się na wszystkie przypuszczenia z wyjątkiem rozbicia o skałę.

— Starajmy się wejść do wnętrza statku — rzekł inżynier — może tam odnajdziemy powody zniszczenia.

Był to rzeczywiście najpraktyczniejszy sposób, tem więcej, że chodziło także o uratowanie znajdujących się na statku przedmiotów. Wejście do środka było dość łatwe, gdyż balast, składający się z ciężkich kawałków lanego żelaza, spadając na pokład, powybijał w nim duże otwory. Morze obniżało się ciągle, i słychać było, jak woda wypływała szparami z pudła statku.

Koloniści weszli z siekierami w ręku. Znaleźli tam mnóstwo rozmaitych pak, a ponieważ niedługo zostawały pod wodą, możnaby było wnosić, że zawarte w nich przedmioty nie uległy jeszcze zepsuciu.

Pomyślano natychmiast o przeniesieniu ich na ląd. Odpływ morza miał trwać jeszcze kilka godzin, trzeba więc było ten czas zużytkować jak najkorzystniej. Ayrton i Penkroff przymocowali przy jednym otworze rodzaj bloka i z jego pomocą podnosili do góry paki i baryłki, które następnie spuszczano do łodzi i przewożono na ląd. Ażeby nie tracić czasu, zabierano wszystkie bez wyboru, jak stały obok siebie.

W każdym razie koloniści mogli już teraz widzieć, że ładunek brygu składał się z różnych użytecznych przedmiotów, jak naprzykład: narzędzi rolniczych, stolarskich, wyrobów rękodzielniczych i t. p. przedmiotów. Prawdopodobnie znajdą tam wszystkiego potrosze, a tego właśnie było trzeba kolonistom.

Cyrus przekonał się, że nietylko pudło statku, lecz i wszystkie przegrody i przepierzenia były tak potrzaskane, jakgdyby wewnątrz pękła bomba.

To jednak ułatwiło kolonistom przejście do tylnej części statku, gdzie, według zapewnienia Ayrtona, znajdował się skład prochu. Cyrus, wnosząc z tego, co widział, pewny był, że nie wybuch prochu był przyczyną zatonięcia statku, udał się więc tam w nadziei, że będzie można uratować kilka baryłek. Nie omylił się. Pomiędzy znaczną ilością kul, znaleziono dwadzieścia baryłek z prochem, wyłożonych wewnątrz blachą miedzianą, nie przepuszczającą wilgoci. Penkroff przekonał się teraz, że zatonięcia nie można było przypisać wybuchowi prochu; ta część pudła nawet najmniej była uszkodzona.

— Bądź co bądź — powtarzał marynarz — mogę zaręczyć za to, że niema skał w kanale.

— A więc jakimże to stało się sposobem? — zapytał Harbert.

— Tego nie wiem, pan Cyrus także nie wie, nikt nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie!

Poszukiwania, wraz z przewożeniem pak, zabrały kilka godzin czasu, i przypływ już się czuć dawał, trzeba więc było zawiesić roboty. Szczęściem woda nie mogła unieść pudła, które już uwięzło w piasku! Przy następnym odpływie można było zabrać resztę pak, a nawet i nieuszkodzone jeszcze części pudła.

Koloniści wrócili na ląd około piątej wieczorem. Zjedli obiad,

a następnie, pomimo zmęczenia całodzienną pracą, poszli zobaczyć, co zawierają w sobie uratowane paki. Większa część była napełniona gotowem ubraniem, rozmaitą bielizną i obuwiem i to w takiej ilości, że Penkroff zawołał:

— Doprawdy! teraz mamy tego za wiele!

Wesoły marynarz wydawał radosne okrzyki przy każdej baryłce ratafji (wódki z cukru), przy każdej pace z tytoniem, z bawełną, z bronią palną i sieczną, cieszył się różnemi narzędziami i rozmaitemi nasionami, których nie uszkodziło wcale tak krótkie przebywanie w wodzie. O! gdyby tak dwa lata temu posiadali to wszystko!...

Miejsca nie brakowało w składach Granitowego pałacu, ale jak na teraz, zabrakło czasu do złożenia w nich tylu rzeczy. Koloniści musieli pamiętać o tem, że na wyspie znajdowało się jeszcze sześciu korsarzy i że, jakkolwiek most na Mercy i wszystkie mostki były zwiedzione, rozbójnicy, znajdując się w prawdziwie rozpaczliwem położeniu, mogliby wpław przebyć rzekę, a tem bardziej strumień, i dlatego postanowiono pilnować kolejno pak, złożonych w Kominach. Jednak przez całą noc korsarze nie ukazali się nawet, gdyż Top i Jow, pozostawieni na straży, byliby natychmiast oznajmili o ich przybyciu.

Przez trzy następne dni podczas odpływu morza wydobywano ze statku wszystko, co tylko mogło mieć jakąś wartość, a w czasie przypływu przenoszono do składów uratowane rzeczy. Zdołano jeszcze oderwać znaczną część blachy miedzianej, pokrywającej pudło statku, które coraz bardziej zagłębiało się w piasek. Nadto Ayrton i Penkroff, spuściwszy się aż na dno kanału, wydobyli nietylko łańcuchy i kotwice, ale nawet cztery działa, które zdołano wyciągnąć na brzeg, przywiązawszy do nich dla ulżenia kilka pustych baryłek.

Arsenał wyspy Lincolna wzbogacił się bardzo, a Penkroff marzył już o baterji, panującej nad kanałem i ujściem rzeki, i zobowiązywał się z pomocą tych czterech dział odeprzeć od brzegów wyspy najpotężniejszą nawet flotę.

Pomimo starannych poszukiwań, Cyrus Smith nie znalazł nigdzie papierów, dotyczących statku, widocznie rozbójnicy musieli je zniszczyć, gdy dostały się w ich ręce. Na tablicy ztyłu zatarte było także jego nazwisko, trudno więc było oznaczyć, skąd pochodził, jednak Ayrton i Penkroff domyślali się z kształtów przodu, że zbudowano go w Anglji.

W osiem dni po tej katastrofie wiatr północno-wschodni, połączony z burzą na morzu, zgruchotał doreszty pudło statku, i zapewne tajemnicza przyczyna jego zatonięcia nie zostałaby nigdy wyjaśniona, gdyby Nab nie znalazł na wybrzeżu sporego kawałka grubego, żelaznego cylindra, noszącego na sobie widocznie ślady wybuchu.

— Wszak ciągle obstajesz przy tem, że *Speedy* nie utonął wskutek uderzenia?

— Tak, panie Cyrusie. Zresztą wiesz pan równie dobrze jak ja, że niema skał w kanale.

— A jeżeli uderzył o ten kawałek żelaza? — rzekł inżynier, wskazując cylinder.

— Co, o ten kawałek rury? — wykrzyknął marynarz z niedowierzaniem.

— Czy przypominacie sobie, towarzysze — zapytał Cyrus — że bryg przed utonięciem wzniósł się do góry na wierzchołku trąby wodnej?

— Tak, panie Cyrusie — odpowiedział Harbert.

— Czy chcecie wiedzieć, co wywołało powstanie tej trąby? Oto ten kawałek żelaznej rury.

— Co — zawołał Penkroff — ten?...

— Tak, są to szczątki, pozostałe z torpedy!

— Torpedy! — krzyknęli wszyscy z zadziwieniem.

— A któż ją tam umieścił, tę torpedę? — zapytał Penkroff z powątpiewaniem.

— Zapewnić mogę, że nie ja, ale była tam z pewnością, i sam mogłeś osądzić, jak straszna jest siła jej wybuchu.

ROZDZIAŁ XVLII.

Twierdzenie inżyniera. — Przypuszczenie Penkroffa. — Baterja. — Cztery kierunki. — Z powodu korsarzy pozostałych przy życiu. — Wahanie Ayrtona. — Szlachetność Cyrusa. — Penkroff żałuje.

Tak więc wszystko zostało wytłumaczone przez wybuch podwodny torpedy. Cyrus, który w czasie wojny miał sposobność wypróbować te straszne narzędzia zniszczenia, nie mógł się mylić pod tym względem. *Speedy* nie mógł się oprzeć działaniu torpedy, która równie łatwo zniweczy opancerzoną fregatę, jak i łódź rybacką!

Wszystko więc obecnie było wyjaśnione, tak, wszystko... z wyjątkiem obecności torpedy w wodach kanału.

— Towarzysze — odezwał się Cyrus — nie możemy już powątpiewać, że na wyspie znajduje się tajemnicza istota, może rozbitek, jak my, albo wygnaniec. Kto jest ten dobroczynny nieznajomy, który już tyle razy tak pomyślnie wpłynął na nasze położenie, tego nie wiem. Dlaczego ukrywa się po tylu oddanych nam przysługach, pojąć nie mogę. Pomimo to są one nader ważne, i tylko człowiek, rozporządzający potężnemi środkami, oddawać może takie przysługi. Ayrton winien mu wdzięczność równie jak my wszyscy, bo jeżeli nieznajomy uratował mi życie, kiedy z balonu spadłem w morze, to



Ayrton poznał między niemi Boba Harweya (str. 251).

któż, jeżeli nie on, rzucił na naszej drodze butelkę z dokumentem, zawiadamiającym o smutnem położeniu naszego obecnego towarzysza. Dodam jeszcze, że on to podrzucił skrzynię, zaopatrzoną we wszystko, na czem nam zbywało, że on to zapalił ogień, abyście nie zbłądzili na morzu; że tę torpedę, którą bryg zniszczyła, on także zanurzył w kanale; że nakoniec wszystkie niewytłumaczone przygody, które nam się przytrafiały, przypisać trzeba tej tajemniczej istocie. Tak więc,

kim bądź jest ten nieznajomy, czy rozbitkiem, czy opuszczonym, jak Ayrton, byłoby źle, gdybyśmy nie poczuwali się względem niego do obowiązków wdzięczności. Tak, towarzysze, zaciągnęliśmy dług, ale mam nadzieję, że go kiedyś spłacimy.

— Masz słuszność, kochany Cyrusie — odpowiedział Spilett. — Na tej wyspie ukrywa się prawie wszechwładna istota, której wpływ dobroczynny nieraz nam się czuć dawał. Czy to zbliża się do nas potajemnie przez studnię w Granitowym pałacu i tym sposobem dowiaduje się o naszych zamiarach; czy podaje nam butelkę z dokumentem w czasie naszej pierwszej wycieczki na morze; czy ukryta w głębi jeziora, wyrzuca z niego Topa i zabija dugonga; czy, jak zresztą wszystko wnosić każe, ratuje ciebie, Cyrusie, gdy tonąłeś w morzu i to w takich okolicznościach, że każdy zwyczajny człowiek nie zdołałby tego uczynić... otóż we wszystkich tych wypadkach jest osobistością dla nas niezmiernie zdumiewającą.

— Tak — odpowiedział Cyrus — jeżeli nie możemy już powątpiewać, że jakiś człowiek znajduje się na wyspie, to przyznać trzeba, że posiada środki działania, nieznane ogółowi ludzkości. I w tem zawiera się tajemnica. Ale jeżeli zdołamy wynaleźć człowieka, tajemnica będzie wyjaśniona; dlatego też zadaję wam pytanie, czy, szanując wolę nieznajomego, powinniśmy wstrzymać się od poszukiwań, czy też uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy, aby znaleźć jego schronienie?

— Według mego zdania — rzekł Penkroff — musi to być zacny człowiek i szanuję go bardzo, nie pytając się, kim jest.

— Bardzo słusznie, Penkroffie — odpowiedział Cyrus — ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Kochany mój panie — powiedział Nab — zdaje mi się, że choćbyśmy, nie wiem jak długo, szukali tego pana, nie znajdziemy go, dopóki nie zechce nam się pokazać.

— Podzielam zdanie Naba — rzekł Spilett — lecz to nie powinno nas powstrzymywać od rozpoczęcia poszukiwań. Czy znajdziemy, lub nie, naszego dobroczyńcę, spełnimy przynajmniej nasz obowiązek względem niego.

— A ty co nam powiesz, moje dziecię? — rzekł inżynier do Harberta.

— O! — zawołał Harbert z głębokiem uczuciem — ja pragnę podziękować temu, który uratował pana, a następnie nas wszystkich!

— Bardzo wierzę, mój chłopcze—odrzekł Penkroff—i ja także, i my wszyscy! Nie jestem ciekawy, a jednak oddałbym chętnie jedno oko, bylebym zato mógł zobaczyć tego zacnego człowieka! Jakiż on musi być piękny i rozumny!

— Jakież jest twoje zdanie, Ayrtonie? — zapytał inżynier.

— Panie Smith — odpowiedział Ayrton — nie powinienem tu wyjawiać zdania. Już zgóry zgadzam się na wolę pana, a jeżeli ze-

chcesz, abym wziął udział w poszukiwaniach, pójdę wszędzie za tobą.

— Dziękuję ci, Ayrtonie — rzekł Cyrus — lecz chciałbym otrzymać wyraźniejszą odpowiedź na moje pytanie. Jesteś naszym towarzyszem, nieraz już poświęciłeś się dla nas i masz prawo, równie jak i każdy z nas, wypowiedzieć swoje zdanie, gdy idzie o powzięcie ważniejszego postanowienia.

— Panie Smith — odpowiedział Ayrton — sądzę, że powinniśmy uczynić wszystko, co można, dla wyszukania naszego dobroczyńcy. Może on jest sam jeden, może znękany smutkiem i cierpieniem!... Słusznie powiedziałeś, że i ja zaciągnąłem względem niego dług wdzięczności. On to niezawodnie był na wyspie Tabor i, ulitowawszy się na demną, uwiadomił was, że tam znajduje się nieszczęśliwy, potrzebujący ratunku. Jemu więc zawdzięczam, że znów jestem człowiekiem. Nie! nigdy tego nie zapomnę!

— Skoro więc wszyscy zgadzamy się na to — rzekł Cyrus Smith — poszukiwania rozpoczną się jak można najprędzej, i zwiedzimy wyspę nawet w jej najdalszych, najniedostępniejszych zakątkach.

Koszenie łąk i żniwa zajęły kolonistom kilka dni, gdyż przed rozpoczęciem poszukiwań chcieli ukończyć najpilniejsze roboty. W tym czasie przypadał także zbiór jarzyn, pochodzących z wyspy Tabor, i trzeba było to wszystko przenieść do składów w Granitowym pałacu, gdzie wszelkie produkty kolonji były systematycznie poukładane. Piękne stalowe działa potrzebowały także stosownego umieszczenia. Na prośbę Penkroffa przeniesiono je zapomocą stosownie urządzonej windy do Granitowego pałacu, gdzie pomiędzy oknami wykuto strzelnice. Wkrótce błyszczące paszcze ukazały się na zewnętrznej stronie granitowej ściany. Z tej wysokości mała baterja panowała rzeczywiście nad całą zatoką Unji. Był to niby mały Gibraltar; i każdy statek, usiłujący przesunąć się wzdłuż brzegów wysepki, byłby wystawiony na ogień dział Granitowego pałacu.

— Panie Cyrusie — rzekł pewnego dnia Penkroff — kiedyśmy już ustawili nasze armatki, wartoby poznać donioslość ich strzałów. Inaczej nie będziemy wiedzieli, jak daleko mogą sięgać kule, w które nas bryg zaopatrzył.

— Wypróbujemy je, Penkroffie, skoro uważasz, że to może być dla nas użyteczne — odpowiedział inżynier. — Sądzę wszelako, że zamiast zwyczajnego prochu, lepiej będzie użyć bawełny strzelniczej, której nam nie zabraknie nigdy.

— Czy tylko te działa wytrzymają nabój z bawełny strzelniczej? — zapytał reporter.

— Tak sądzę. A zresztą będziemy działali ostrożnie — odpowiedział inżynier.

Cyrus nie mylił się. Armaty były doskonałe, wyrobione ze stali

i nabijane od tyłu; mogły wytrzymać silny nabój, i co za tem idzie, nieść bardzo daleko.

Ósmego listopada działa wypróbowano; nabito je bawełną strzelniczą, biorąc pod uwagę jej siłę, przewyższającą cztery razy siłę zwykłego prochu; kule były stożkowe.

Penkroff na znak Cyrusa dał pierwszy strzał. Kula, wymierzona ku morzu, przeleciała ponad wysepką i upadła daleko na pełnem morzu. Drugie działo Harbert wycelował do ostatnich skał cypla Skrzyni, i kula, uderzywszy w śpiczasty wierzchołek jednej z nich, odległej blisko o trzy mile angielskie, roztrzaskała go w kawałki.

Harbert był dumny, że próba udała mu się tak wybornie, a Penkroff nie posiadał się z radości, że taki strzał padł z ręki jego wychowańca.

Trzecia kula, wyrzucona na piaszczyste wydmy, tworzące część wybrzeża zatoki Unji, uderzyła w piasek o cztery mile angielskie od Granitowego pałacu, potem, odbiwszy się, wpadła w morze.

Do czwartego działa Cyrus powiększył trochę ilość bawełny strzelniczej dla przekonania się, jaką może mieć największą siłę rzutu. Wszyscy odsunęli się, aby uniknąć wypadku, gdyby nabój rozsadził działo, i zapalono lont zapomocą długiego sznurka.

Rozległ się huk ogłuszający, lecz działo nie było uszkodzone, koloniści dostrzegli przez lunetę, że kula wyszczerbiła skałę na odległym o pięć mil angielskich przylądku i znikła w zatoce.

— A co, panie Cyrusie — zawołał Penkroff — cóż pan powiesz o naszej baterji? Choćby wszyscy korsarze oceanu Spokojnego chcieli opanować naszą wyspę, żaden nie wyląduje bez naszego pozwolenia!

— Wierzaj mi, Penkroffie — odpowiedział inżynier — lepiej wyjdziemy, jeżeli nie będziemy zmuszeni uciekać się do podobnych środków obrony.

— Ale — zawołał marynarz — co zrobimy z sześciu niegodziwcami, którzy dotąd włóczą się po wyspie? Czy dozwolimy im biegać swobodnie po naszych lasach, polach i łąkach? Ci rozbójnicy nie lepsi od jaguarów, sądzę więc, że wolno nam postępować z nimi, jak z jaguarami. Jak ci się zdaje, Ayrtonie? — dodał, zwracając się do towarzysza.

Ayrton milczał przez chwilę, a następnie wyrzekł z pokorą:

— Ja także byłem niegdyś jednym z takich jaguarów, panie Penkroffie, nie mogę więc wydawać na nich sądu...

Po tych słowach oddalił się wolno.

— Niema co mówić, nierozważnie się odezwałem — zawołał Penkroff. — Biedny Ayrton! A jednak miał prawo wyrazić swoje zdanie, równie jak my wszyscy!

— Tak — rzekł Spilett — ale ta jego powściągliwość w potępianiu dawnych towarzyszy przynosi mu zaszczyt, i powinniśmy usza-

nować to uczucie pokory, jakie w nim budzi wspomnienie przeszłości.

— Masz pan słuszność, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Na przyszłość będę ostrożniejszy. Wolałbym zadławić się własnym językiem, niż zrobić przykrość Ayrtonowi. Ale wróćmy do rzeczy. Zdaje mi się, że ci zbójnicy nie mają najmniejszego prawa do naszej litości, i że powinniśmy jak najprędzej oczyścić z nich wyspę.

— Czy mówisz to z przekonania, Penkroffie? — zapytał inżynier.

— Tak, panie Cyrusie.

— Chciałbyś więc, abyśmy ścigali ich bez litości, nie czekając, aby rozpoczęli przeciwko nam nieprzyjacielskie kroki.

— Czyż jeszcze niedosyć nabroili? — zapytał Penkroff.

— Może i w nich obudzi się sumienie — rzekł Cyrus — może się poprawią...

— Oni się poprawią! — zawołał marynarz, wzruszając ramionami.

— Penkroffie — rzekł Harbert, biorąc go za rękę — Ayrton służy za przykład, że i zbrodniarz może się poprawić i zostać uczciwym człowiekiem!

Penkroff z zadziwieniem spoglądał na towarzyszy. Sądził, że jego wniosek przyjęty będzie bez wahania, gdyż nie przypuszczał, aby podobni zbrodniarze zasługiwali na względy. Wspólników Boba Harweya, morderców osady brygu *Speedy* stawiał narówni z dzikiemi zwierzętami i był przekonany, że trzeba ich wytępić.

— Widzę — rzekł — że nikt nie podziela mojego zdania. Unosicie się wspaniałomyślnością. Ha! niech i tak będzie! Daj Boże, abyśmy tego nie żałowali!

— Wszakże nic złego nie może nas spotkać — rzekł Harbert — jeżeli zachowamy potrzebną w takim razie ostrożność.

— No! — odezwał się reporter, który dotąd nie wypowiadał swego zdania — jest ich sześciu i dobrze uzbrojonych; niech każdy, zaczajony w jakim kącie, strzeli do jednego z nas, a wkrótce staną się panami wyspy!

— Mogli uczynić to już dotąd, a jednak nie uczynili — odpowiedział Harbert. — Zresztą i nas jest sześciu.

— Dobrze! dobrze! — rzekł Penkroff — niech ci zacni ludzie żyją sobie w spokoju, i nie myślmy więcej o nich!

— Penkroffie — odezwał się Nab — poco udajesz nielitościwego? Gdyby który z tych nieszczęśliwych stanął tu przed tobą, nie strzeliłbyś do niego.

— Strzeliłbym jak do drapieżnego zwierzęcia — odpowiedział marynarz.

Penkroffie — rzekł wtenczas inżynier — polegasz zwykle na mojem zdaniu; czy zechcesz i w tym razie spuścić się na mnie?

— Zrobię, co zechcesz, panie Cyrusie — odpowiedział marynarz — pomimo, że nie zmienię zdania.

— A więc czekajmy i, dopóki złoczyńcy nie naruszą naszej spokojności, nie ścigajmy ich wcale.

Stanęło więc na tem, że postanowiono zachować wszelkie możliwe środki ostrożności, lecz nie zaczepiać wcale złoczyńców. Wszakże sam dobrze zrozumiany interes nakazywał im, w obecnem ich położeniu, rozpocząć nowe życie, i jeżeli iskierka uczciwości ukrywała się jeszcze w głębi ich duszy, mogliby poprawić się jeszcze. Zresztą wyspa była tak rozległa i żyzna, że samo uczucie ludzkości nakazywało kolonistom czekać, dopóki nie będą zaczepieni, pomimo, iż teraz nie mogli już tak swobodnie żyć na wyspie, jak przedtem, skoro ukrywało się na niej sześciu korsarzy.

Penkroff zgodził się na to postanowienie, chociaż nie podzielał zdania towarzyszów! Czy miał słuszność? Przyszłość pokaże.

ROZDZIAŁ XLVIII.

Projekt wyprawy. — Ayrton w zagrodzie. — Wycieczka do portu Balonu. — Uwagi Penkroffa. — Depesza do zagrody. — Niema odpowiedzi. — Wyjazd. — Drut zerwany. — Harbert raniony.

Cyrus pragnął jak najprędzej doprowadzić do skutku zamiar szczegółowego zbadania wyspy. Ponieważ jednak wycieczka miała trwać kilka dni, trzeba było zabrać ze sobą wóz z rozmaitemi zapasami, a tymczasem jedna z onag skaleczyła nogę i ledwie po kilku dniach mogła być zaprzężona do wozu. Odłożono więc wyjazd do 20 listopada, to jest do najpiękniejszej pory roku i najstosowniejszej do czynienia podobnych wycieczek.

Aby nie tracić czasu, postanowiono przez te kilka dni ukończyć roboty na płaszczyźnie Pięknego Widoku, Ayrton zaś udał się na parę dni do owczarni w celu uzbierania paszy dla muflonów.

Gdy odchodził, Cyrus przypomniał mu obecność rozbójników na wyspie i zapytał, czy nie życzy sobie, aby mu kto towarzyszył. Ayrton odpowiedział, że byłoby to zbyteczne, że nie lęka się niczego, a roboty nie będzie za wiele dla jednego. W każdym razie, gdyby coś ważniejszego zaszło w owczarni lub w jej okolicach, uwiadomi zaraz przy pomocy telegrafu.

Oddalił się sam 9 listopada z rana, zabrawszy z sobą wóz,

zaprzężony w jedną onagę, we dwie godziny później dał znać, że w owczarni zastał wszystko w porządku.

Kilka dni Cyrus Smith przeznaczył na zabezpieczenie Granitowego pałacu od niespodziewanej napaści. W tym celu podwyższono o parę stóp poziom jeziora, aby woda zakryła całkiem zamurowany obecnie otwór dawnego upustu. Gdy skończono tę pracę, niepodobna było domyśleć się nawet, że kiedyś istniał tam podziemny kanał, przez który woda z jeziora odpływała do morza, a tem mniej jeszcze, że dawniej z tej strony można było wejść do Granitowego pałacu.

Następnie Penkroff, Spilett i Harbert udali się do portu, gdyż marynarz pragnął przekonać się, czy rozbójnicy nie byli czasem w małej zatoce, gdzie *Bonawentura* stał na kotwicy.

— Właśnie — mówił — wylądowali na południowem wybrzeżu. Jeżeli trzymali się jego, mogli zobaczyć nasz port, a w takim razie nie dałbym pół dolara za naszego *Bonawenturę*.

Tak Penkroff jak i towarzysze jego puścili się w drogę dobrze uzbrojeni. Nab towarzyszył im aż do mostu, który spuścił zaraz, gdy stanęli na przeciwnym brzegu Mercy, umówiwszy się pierwej, że wystrzałem ze strzelby dadzą mu znać o swoim powrocie.

Pomimo że do portu Balonu było tylko trzy i pół mili, koloniści stanęli tam dopiero po dwóch godzinach, gdyż zbaczali często z drogi, aby się przekonać, czy na skraju lasu lub około bagna Tadorna nie znajdą śladów pobytu rozbójników; nic jednak nie zdradzało ich obecności w tej stronie, co dowodziło, że, nie znając liczby kolonistów i nie wiedząc, jakie posiadają środki obrony, musieli się ukryć w najniedostępniejszej części wyspy.

Penkroff przekonał się z najwyższem zadowoleniem, że *Bonawentura* stał spokojnie w zatoce.

— No! — zawołał — teraz możemy być pewni, że ci niegodziwcy nie byli tu wcale. Zresztą wszelkie gady lubią ukrywać się w gęstwinie i z pewnością znajdziemy ich w lasach Dalekiego Zachodu.

— Bardzo to szczęśliwie — powiedział Harbert — bo gdyby zobaczyli *Bonawenturę*, zabraliby go z pewnością, i nie moglibyśmy udać się powtórnie na wyspę Tabor, aby pozostawić tam zawiadomienie o miejscu, w którem Ayrton znajduje się obecnie.

— No, dzięki Bogu! — zawołał marynarz — *Bonawentura* stoi dotąd w porcie, a osada gotowa wypłynąć na pierwsze skinienie.

— Sądzę — rzekł Spilett — że udamy się tam wkrótce po powrocie z zamierzonej wycieczki na wyspę. Zdaje się, że ten nieznany nasz przyjaciel, którego zamierzamy szukać, mógłby nam wiele powiedzieć szczegółów tak o naszej wyspie, jak i o wyspie Tabor. Nie możemy już wątpić, że to on napisał dokument, zawarty w butelce, i kto wie, czy nie mógłby nas także zawiadomić, czy i kiedy jacht szkocki powróci?

— Kto to jednak być może? — zawołał Penkroff. — Zna nas doskonale, a my go nie znamy. Jeżeli to rozbitek, to czemuż się ukrywa? Wszak jesteśmy uczciwymi ludźmi, a towarzystwo uczciwych nie może być przykre dla nikogo! Czy on dobrowolnie osiadł na wyspie? Czy może odpłynąć, kiedy zechce? Czy przebywa tu jeszcze, czy też już się oddalił?...

W ciągu tej rozmowy Penkroff, Harbert i Spilett weszli na pokład *Bonawentury*.

— A to co? — zawołał marynarz, patrząc na linę od kotwicy. — Dziwna rzecz!...

— Co takiego, Penkroffie? — zapytał reporter.

— To nie ja zawiązałem ten węzeł.

Mówiąc to, wskazywał na sznur, którym lina kotwicy przymocowana była.

— Jakto nie ty, a więc któż? — zapytał Spilett.

— Tego nie wiem, ale mogę przysiąc, że nie ja. To jest węzeł płaski, a ja zawsze robię podwójny.

— Nie omyliłeś się, Penkroffie?

— Nie, nie omyliłem się, nie mogłem się omylić. U marynarza zamienia się to w nałogowe nawyknienie, nawet bezwiednie zawiązuje tak, a nie inaczej.

— W takim razie — rzekł Harbert — trzebaby wnosić, że korsarze byli na pokładzie.

— Nie wiem, kto był, ale to pewna, że podniósł a następnie zarzucił napowrót kotwicę — odpowiedział marynarz. — Patrz! jeszcze jeden dowód, zdjęto płótno zabezpieczające linę od tarcia.

— Zdaje się jednak, że gdyby *Bonawentura* dostał się w ręce korsarzy, uciekliby...

— Uciekliby?... czy na wyspę Tabor?... I ty myślisz, że odważyliby się wypłynąć na morze na tak małym statku?

— Prócz tego musieliby wiedzieć o istnieniu wyspy Tabor — dodał reporter.

— Bądź co bądź, jestem tak pewny, że nasz *Bonawentura* mimo naszej wiedzy wypłynął na morze, jak tego, że nazywam się Penkroff.

— Czyżby to jednak być mogło, abyśmy nie wiedzieli, że *Bonawentura* oddala się i zbliża do wyspy? — zapytał reporter.

— O? panie Spilett, nato dość wypłynąć w nocy.

— Prawda — odpowiedział Gedeon. — Ale pomimowoli nasuwa się znów pytanie, w jakim celu korsarze robili tę wycieczkę i czemu, zabrawszy raz statek, odprowadzili go do portu?

— Ha! panie Spilett, policzmy to do rzędu niezrozumiałych dla nas wypadków, które nas już spotykały, i nie myślmy o tem więcej! Szło nam głównie o to, abyśmy zastali tu jeszcze *Bonawenturę*, i zastaliśmy, dzięki Bogu; źle tylko, że dopóki rozbójnicy znajdować się

będą na wyspie, ciągle obawiać się musimy, aby go nie zniszczyli, lub nie zabrali.

Tego samego dnia wieczorem telegrafowano do Ayrtona, prosząc, aby przyprowadził z sobą parę młodych kóz, które Nab chciał oswoić. Dziwna rzecz, Ayrton nie dał odpowiedzi, jak to czynił zawsze, aby wiedziano, że otrzymał depeszę. Zadziwiło to inżyniera! Sądził jednak, że Ayrton wyszedł z domu, a może nawet wracał już do Granitowego pałacu, gdzie według umowy miał stanąć na drugi dzień wieczorem.

Koloniści czekali na Ayrtona do dziesiątej godziny, a gdy nie wrócił, zatelegrafowali powtórnie, prosząc, aby odpowiedział. Odpowiedzi nie było. Opanował ich niepokój, i każdy zadawał sobie pytanie, co się tam stać mogło? Czy Ayrtona nie było już w owczarni, czy też przestał być wolny? Nad tem ostatniem pytaniem długo się zastanawiano. Jedni chcieli iść zaraz, inni radzili zatrzymać się jeszcze.

— Może — odezwał się Harbert — przyrząd telegraficzny uległ uszkodzeniu, i dlatego nie mamy odpowiedzi.

— Bardzo to być może — potwierdził reporter.

— Zaczekajmy do jutra — rzekł Cyrus. — Ayrton mógł rzeczywiście nie odebrać naszej depeszy, albo też my jego odpowiedzi.

Nazajutrz, 11 listopada, zaledwie świtać zaczęło, Cyrus Smith przesłał Ayrtonowi pytanie: kiedy powróci? I tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Śpieszmy do owczarni! — zawołał z żywością.

— Dobrze uzbrojeni! — dodał Penkroff.

Nie chcąc zostawić Granitowego pałacu bez opieki, powierzono straż nad nim Nabowi. Miał doprowadzić towarzyszy do Glicerynowego strumienia, zwieść most za nimi, a następnie skryć się pomiędzy drzewami i czekać tam powrotu ich lub Ayrtona. Gdyby rozbójnicy chcieli dostać się na płaszczyznę, polecono mu strzelać, a jeżeliby nie odstraszył ich tym sposobem, schronić się do Granitowego pałacu, gdzie był bezpieczny.

Cyrus, Gedeon, Harbert i Penkroff udali się wprost do owczarni. Z obu stron drogi ciągnęły się gęste zarośla, wśród których łatwo mogli się ukrywać złoczyńcy, jak wiadomo, także dobrze uzbrojeni. Koloniści szli więc prędko i ostrożnie. Top ich poprzedzał, biegnąc to środkiem drogi, to zbaczając w gęstwinę, lecz nie okazując najmniejszego niepokoju.

Zwracali uwagę na słupy i druty telegraficzne i przez całe dwie mile znaleźli wszystko w porządku, lecz dalej już inżynier spostrzegł, że drut nie był dość wyciągnięty, a wkrótce potem Harbert, wyprzedzający towarzyszy, zatrzymał się wołając:

— Drut przerwany!

Wszyscy pobiegli. Słup przewrócony leżał na środku drogi; to im wyjaśniło, dlaczego nie odbierali odpowiedzi od Ayrtona.

— Zdaje mi się — rzekł Penkroff — że to nie wiatr wyrządził nam taką psotę.

— Z pewnością nie — odrzekł Spilett — ziemia dokoła skopana, jest to więc dzieło człowieka.

— Prócz tego drut także zerwany — dodał Harbert, pokazując wiszący jego koniec.

— Prędzej! prędzej! Śpieszmy do owczarni — zawołał marynarz.

Puścili się w dalszą drogę, przyśpieszając jeszcze kroku; każdy z nich przeczuwał, że w owczarni musiał zajść ważny, a może i straszny wypadek.

Przywiązali się przytem szczerze do nowego towarzysza, dlatego też biegli mu na ratunek, miotani obawą, czy nie został zamordowany przez dawnych towarzyszy. Wpobliżu owczarni zwolnili kroku, aby odpocząć trochę, zanim przyjdzie im rozpocząć przypuszczalną walkę. Top, warcząc, zatrzymywał się czasami, co nie zapowiadało nic dobrego.

Zbliżyli się nakoniec do palisady, otaczającej domek i owczarnię. Nigdzie nie było śladów zniszczenia; drzwi zastali zamknięte, wszędzie głęboka panowała cisza, nie słyszeli ani głosu Ayrtona, ani zwykłego beczenia muflonów.

— Wejdźmy — rzekł Cyrus Smith.

Zbliżył się do drzwi, gdy tymczasem towarzysze jego stanęli o dwadzieścia kroków z przyłożoną do ramienia bronią.

Cyrus odsunął zasuwkę, a jednocześnie Top gwałtownie zaczął szczekać. Ponad palisadą rozległ się wystrzał i dał się słyszeć krzyk bolesny. Harbert padł na ziemię, ugodzony kulą!

ROZDZIAŁ XLIX.

Reporter i Penkroff w zagrodzie. — Harbert przeniesiony. — Rozpacz marynarza. — Narada. — Sposób postępowania. — Nadzieja wraca. — Jak uprzedzić Naba. — Posłaniec pewny i wierny. — Odpowiedź Naba.

Na krzyk Harberta Penkroff rzucił broń i pobiegł do niego.

— Nie żyje! — wołał z rozpaczy. — Zabili go! Zabili moje dziecię!

Cyrus i Gedeon pośpieszyli także do Harberta; reporter przyłożył ucho do jego piersi, aby przekonać się, czy serce jeszcze bije.

— Żyje — rzekł, podnosząc się. — Trzeba go przenieść...

— Do Granitowego pałacu? O tem myśleć nie można — odpowiedział inżynier.

— A więc do domku przy owczarni! — zawołał marynarz.

— Zaczekajcie chwilkę — rzekł Cyrus.

Zwrócił się na lewo i zaczął biec, co mu sił starczyło, okrążając palisadę, wkrótce też spotkał się z uciekającym zbrodniarzem, który strzelił do niego. Szczęściem kula przeleciała nad głową inżyniera, a zanim morderca zdołał wystrzelić po raz drugi, Cyrus uderzył go sztyletem w piersi i na miejscu pozbawił życia.

Tymczasem Spilett i marynarz przeszli na drugą stronę ogrodzenia i przewrócili koły, podpierające drzwi wewnątrz. Widząc, że domek jest zupełnie pusty, przenieśli tam Harberta i położyli na łóżku Ayrtona. W kilka minut później Cyrus Smith wszedł tam za nimi.

Marynarz rozpaczał, płakał, załamywał ręce. Cyrus i Gedeon nie byli w stanie go uspokoić, żal i wzruszenie pozbawiło ich głosu. Czynili jednak wszystko, co było w ich mocy, aby wydrzeć śmierci tak drogiego towarzysza. Gedeon znał się trochę na sztuce lekarskiej; teraz więc przy pomocy Cyrusa zajął się Harbertem.

Harbert był nadzwyczajnie blady, a puls miał tak słaby i wolny, jakby miał wkrótce zatrzymać się na zawsze. Przytomność opuściła go zupełnie; zdawał się całkiem pozbawiony czucia. Były to oznaki bardzo groźne.

Spilett odsłonił piersi Harberta i obmył z krwi zimną wodą; wówczas ujrzano ranę pomiędzy trzeciem a czwartem żebrem. Cyrus i Spilett przewrócili następnie nabok biednego chłopca, z którego piersi wydobył się przytem jęk tak słaby, jakgdyby wydawał ostatnie tchnienie.

Na plecach znajdowała się również rana, z której krew płynęła obficie.

— Dzięki Bogu! — rzekł reporter — że kula nie pozostała w ciele; trudno byłoby ją wydobyć.

— A serce?... — zapytał Cyrus.

— Serce nie jest dotknięte, skoro Harbert nie umarł.

— Umarł! — krzyknął Penkroff z wybuchem rozpaczy.

Marynarz dosłyszał tylko ostatnie słowo reportera.

— Nie, Penkroffie — rzekł Cyrus — on żyje. Puls, chociaż słaby, bije ciągle, a z piersi wydobył się cichy jęk, gdyśmy go przewracali. Staraj się zapanować nad sobą, choćby przez wzgląd na Harberta; nie odbieraj nam zimnej krwi, na którą się i tak z trudnością zdobywamy.

Nazajutrz zabłysła iskierka nadziei. Harbert wyszedł z odrętwienia, odzyskał przytomność, otworzył oczy; poznał znajdujące się przy nim osoby i przemówił do nich kilka słów. Nie wiedział zupełnie, co się z nim stało. Gedeon opowiedział mu wszystko, prosząc,

aby leżał spokojnie, i upewnił, że rany jego zabliźnią się wkrótce. Zresztą cierpienia Harberta były dość znośne; zimna woda chroniła rany od zaognienia, gorączka nie wzmagała się, można więc było mieć nadzieję, że chory odzyska zdrowie. Penkroff nawet uspokoił się trochę, i troskliwie, jak matka lub siostra miłosierdzia, czuwał nad wychowańcem.

— Powtórz mi raz jeszcze, panie Spilett, że nie tracisz nadziei— rzekł marynarz, gdy Harbert zasnął. — Powiedz mi, że uratujesz Harberta.

— Tak, uratujemy go — odpowiedział reporter. — Rana jest wprawdzie ciężka, może nawet kula przeszła przez jedną połowę płuc, ale to jeszcze nie pociąga za sobą śmierci.

— Daj Boże! aby sprawdziły się te słowa! — rzekł marynarz.

Dotąd koloniści, zajęci jedynie Harbertem, zapomnieli zupełnie o grożącem im niebezpieczeństwie w razie powrotu korsarzy i nie przedsięwzięli żadnych środków ostrożności. Teraz jednak, gdy chory zasnął, a Penkroff czuwał przy jego łóżku, Cyrus i Gedeon naradzali się, co dalej czynić wypada.

Naprzód przejrzeli podwórze około domku i weszli do owczarni; nigdzie nie było śladów pobytu Ayrtona. Czy nieszczęśliwego uprowadzili dawni wspólnicy? Czy walczył z nimi i zginął? Ostatnie to przypuszczenie zdawało się najprawdopodobniejsze. Gedeon, przeskakując przez palisadę, widział wyraźnie, że jeden ze zbrodniarzy zniknął między wzgórzami.

Owczarnia nie uległa jeszcze spustoszeniu, a że drzwi były zamknięte, muflony nie mogły rozpröszyć się po lesie. Nigdzie wogóle nie było widać śladów walki, ani też zniszczenia, tylko broń i ładunki, które Ayrton zabrał z sobą, zniknęły z nim razem.

— Musieli zajść biedaka niespodziewanie — rzekł Cyrus — a że był zbyt odważny, aby poddać się dobrowolnie, został zapewne zamordowany.

— Tak się zdaje — odpowiedział reporter. — Potem zbrodniarze osiedlili się w domku Ayrtona, gdzie mogli żyć wygodnie, i, dopiero spostrzegłszy nas, ratowali się ucieczką. W każdym razie to pewne, że Ayrtona nie było już z nimi.

— Trzeba koniecznie oczyścić wyspę z tych nędzników — rzekł inżynier. — Penkroff miał poniekąd słuszność, gdy namawiał, abyśmy ich ścigali, jak dzikie zwierzęta.

— Uczyniliśmy, co nam ludzkość nakazywała — odpowiedział reporter. — Teraz mamy prawo myśleć o własnem bezpieczeństwie.

— Bądź co bądź, jesteśmy zmuszeni wstrzymać się z tem, dopóki nie będzie można przenieść Harberta do Granitowego pałacu.

— A Nab? — zapytał reporter.

— Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

— A jeżeli, zaniepokojony naszą długą nieobecnością, zechce połączyć się z nami?

— Trzebaby koniecznie zapobiec temu! — zawołał inżynier. — Gdyby telegraf nie był zepsuty, możnaby go ostrzec!... teraz nie mamy sposobu... Nie możemy zostawić Harberta z samym tylko Penkroffem! Ha! niema rady, pójdę sam do Granitowego pałacu.

— Nie, nie, Cyrusie, nie możesz się tak narażać! Zresztą, poświęcenie twoje byłoby daremne; ci nędznicy, zaczaiwszy się w lesie, śledzą nas bez wątpienia i, jeżeli wyjdziesz, nowe nas spotka nieszczęście!

— A cóż się stanie z Nabem? — zapytał inżynier. — Już od dwudziestu czterech godzin nie ma od nas wiadomości, zechce więc przyjść do owczarni, a że będzie mniej jeszcze ostrożny od każdego z nas, zabiją go z pewnością!...

W ciągu tej rozmowy, Top kręcił się koło nóg pana, jakby chciał powiedzieć: — Czemu zapominacie o mne?

Inżynier spojrzał przypadkiem na niego i zawołał:

— Top, tak, Top.

Wierne zwierzę skoczyło, radując się, do pana.

— Masz słuszność, Top pójdzie — rzekł reporter, zrozumiawszy odrazu myśl Cyrusa. — Top przesunie się tam, gdzie żaden z nas przejść nie zdoła. Zaniesie od nas wiadomość do Granitowego pałacu i przyniesie nam odpowiedź Naba.

— Prędzej więc, prędzej! — zawołał Smith.

Gedeon wyrwał kartkę z notatnika i zapisał śpiesznie następujące słowa:

„Harbert raniony. Jesteśmy w owczarni. Bądź bardzo ostrożny. Nie oddalaj się z Granitowego pałacu. Czy rozbójnicy nie ukazali sę wpobliżu? Odpowiedz przez Topa”.

Spilett złożył następnie kartkę i przywiązał ją do obroży Topa.

— Top, wierny mój piesku — rzekł wtenczas, głaszcząc go, inżynier — Nab, Topie, Nab. Biegnij! biegnij!

Top zaczął skakać i pobiegł do bramy, widocznie zrozumiał, czego żądano. Drogę znał dobrze i mógł ją przebiec w pół godziny, a pośród drzew i krzaków mógł przesunąć się niepostrzeżenie.

Inżynier otworzył bramę i powtórzył raz jeszcze:

— Do Naba, Topie, do Naba! — i wskazał ręką w kierunku Granitowego pałacu.

Top puścił się szybko i wkrótce znikł im z oczu.

— Która godzina? — zapytał reporter.

— Dziesiąta. Za godzinę może nam przynieść odpowiedź.

Zamknęli bramę i wrócili do domu. Harbert spał ciągle, a Penkroff często zwilżał kompresy zimną wodą. Gedeon, widząc, że chory nie potrzebuje obecnie jego pomocy, zajął się przyrządzaniem śniadania, a zarazem zwracał baczną uwagę na część

podwórza, przylegającą do wzgórza, gdyż z tej strony najprędzej można było spodziewać się napadu.

Koloniści oczekiwali niecierpliwie powrotu Topa; jeszcze przed jedenastą Cyrus i reporter stanęli przy bramie z karabinami w ręku, aby ją otworzyć, jak tylko posłyszą szczekanie. Byli pewni, że jeżeli tylko Top dostał się szczęśliwie do Granitowego pałacu, Nab odesłał go natychmiast z odpowiedzią.

Nie upłynęło kwadransa, kiedy usłyszeli wystrzał, a po nim zaraz głośne szczekanie. Inżynier otworzył bramę tak prędko, że spostrzegł jeszcze dym w lesie o jakie sto kroków i strzelił w tym kierunku. Prawie w tymże samym czasie Top wbiegł na podwórze i zamknięto natychmiast bramę.

— Top! Top! — zawołał inżynier, głaszcząc z radością głowę wiernego zwierzęcia.

Do obróżki przyczepiona była kartka, na której Nab skreślił następujące słowa: „Rozbójnicy nie pokazali się około Granitowego pałacu. Nie oddalę się nigdzie. Biedny Harbert!”

ROZDZIAŁ L.

Korsarze wpobliżu zagrody. — Tymczasowe zamieszkanie. — Dalsze leczenie Harberta. — Zwrot do przeszłości. — Uwagi Cyrusa Smitha.

Tak więc zbrodniarze krążyli ciągle koło owczarni i czyhali na życie kolonistów; ci zniewoleni byli uważać ich za krwiożercze zwierzęta. Obecnie jednak musieli poprzestać na zachowaniu najściślejszej ostrożności, oczekując chwili, w której będą mogli wymierzać karę. Szczęściem spiżarnia w domku Ayrtona była dobrze zaopatrzona, a zbrodniarze, przestraszeni przybyciem kolonistów, nie mieli czasu jej zrabować.

— Niema rady! musimy czekać — powtarzał Cyrus Smith. — Skoro Harbert wyzdrowieje, urządzimy rodzaj obławy na wyspie, i wówczas złoczyńcy nie wyślizną nam się z ręki. Będzie to celem naszej wycieczki, równie jak...

— Jak wyszukanie naszego tajemniczego opiekuna — dokończył Spilett. — Trzeba jednak przyznać, kochany Cyrusie, że zapomniał o nas wówczas właśnie, gdy najwięcej potrzebujemy jego opieki.

— Kto wie? — odpowiedział inżynier.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał reporter.

— Że nasze utrapienia jeszcze nie skończone, i może nieraz da nam dowody dobroczynnej opieki. Ale nie myślmy o przeszłości... Ocalić życie Harbertowi, to obecnie nasze zadanie.

Rzeczywiście, niepokój o życie biednego chłopca był najcięższą troską kolonistów. Szczęściem, po kilku dniach stan jego zdrowia nie pogorszył się, a może nawet polepszył trochę. Było to już bardzo wiele. Zimna woda zapobiegła zaognieniu się ran, gorączka się zmniejszyła i, dzięki troskliwym staraniom, Harbert wracał do zdrowia, chociaż był bardzo osłabiony, tak przez upływ krwi, jak z powodu bardzo ścisłej diety.

Po dziesięciu dniach Harbertowi było znacznie lepiej; mógł posilać się trochę, twarz jego była mniej blada i uśmiechał się do opiekunów. Byłby rozmawiał z nimi chętnie, gdyby nie to, że Penkroff, zapobiegając temu, opowiadał mu ciągle różne tak prawdziwe, jak i nieprawdopodobne zdarzenia. Harbert dopytywał się o Ayrtona, lecz marynarz, nie chcąc go martwić, odpowiedział, że Ayrton udał się do Naba, aby wraz z nim czuwać nad Granitowym pałacem.

— Wierz mi, chłopcze — mówił Penkroff — że ci zbrodniarze niewarci, aby ich uważać za ludzi. A pan Smith chciał się rządzić uczuciem! Oj przemówiłbym ja im do uczucia, ale zapomocą kulki ołowianej.

— Czy nie pokazali się tu później? — zapytał Harbert.

— Nie, moje dziecię — odpowiedział marynarz — ale znajdziemy ich, jak tylko wyzdrowiejesz, i przekonamy się, czy ci nikczemnicy, strzelający do ludzi z za płota, będą mieli odwagę stanąć do otwartej walki!

— Jestem jeszcze bardzo osłabiony, mój dobry Penkroffie.

— Odzyskasz siły, odzyskasz! Cóż znaczy taka rana? Ja sam miałem cięższe, a teraz, dzięki Bogu, jestem zdrów i czerstwy.

Teraz koloniści mogli prawie już być pewni, że Harbert wyzdrowieje: ale jakże okropne byłoby ich położenie, gdyby naprzykład kula pozostała w ranie, lub gdyby trzeba było odjąć choremu rękę albo nogę.

— A! byłoby to straszne — powtarzał Gedeon. — Na samą myśl o tem przejmują mnie dreszcze.

— A jednak — odpowiedział mu raz Cyrus — gdyby to było konieczne, nie wahałbyś się tym sposobem ratować Harberta.

— Tak, Cyrusie, ale codziennie dziękuję Bogu, że nie wystawił mnie na tak ciężką próbę.

Jak w tylu innych okolicznościach, tak i w tym razie zdrowy rozsądek i nauka zapewniły kolonistom powodzenie. Czy zawsze tak będzie? Byli sami na wyspie, a wszakże ludzie uzupełniają się wzajemnie, są użyteczni jedni drugim. Cyrus Smith wiedział o tem i nieraz już zadawał sobie pytanie, czy nie nadejdą takie okoliczności, których przemóc nie będą mogli.

Zdawało mu się zresztą, że po dniach szczęśliwych, tak dla niego jak i dla towarzyszy, zbliżał się czas cierpień i próby. Można powiedzieć, że od chwili ucieczki z Richmond wszystko szło im po-

myślnie; wyspa dostarczała im zwierząt, minerałów i roślin, a własnej nauce i pracy zawdzięczali możność zużytkowania jej darów. Co więcej, w wielu razach życzliwa, choć tajemnicza ręka przychodziła im z pomocą!... Tak, ale cóż jest trwałego na ziemi?...

Statek korsarki ukazał się na wodach wyspy, a jeżeli wraz z osadą został jakby cudem zatopiony, to przedtem jeszcze kilku zbrodniarzy zdołało dostać się na wyspę i ukrywało się na niej dotąd. Ayrton prawdopodobnie był przez nich zamordowany, kula z ich strzelby przeszyła piersi Harberta. Byłyż to pierwsze pociski zawistnego losu? Cyrus i Gedeon zadawali sobie nieraz to pytanie, zdawało im się także, iż ów tajemniczy opiekun przestał już czuwać nad nimi. Czy opuścił już wyspę? Czy go śmierć nie zaskoczyła?...

Na te pytania odpowiedź była trudna. Nie wyobrażajmy jednak sobie, że Cyrus i Gedeon zdolni byli poddać się zwątpieniu. Zastanowili się śmiało nad swem położeniem, aby obrachować wszelkie możliwe wypadki, przygotować się na wszystko, aby, jeżeli zawistny los ścigać ich zacznie, być gotowymi do stawienia mu oporu.

ROZDZIAŁ LI.

Niema wiadomości od Naba.—Projekt Penkroffa i reportera.—Nieprzyjęty.—Kawałek tkaniny. — Posyłka. — Pośpieszny odjazd. — Przybycie na płaszczyznę Pięknego Widoku.

Zdrowie chorego polepszało się stale, choć zwolna, teraz więc najgłówniej szło o to, aby go można było przenieść do Granitowego pałacu. Chociaż domek Ayrtona był dobrze zaopatrzony i zagospodarowany, nie można było znaleźć w nim takiej wygody, jak w obszernem i zdrowem mieszkaniu z granitu. Prócz tego tutaj koloniści musieli strzec się ciągle, aby którego z nich nie dosięgła kula zaczajonego gdzieś zbrodniarza, tam zaś nie potrzebowali obawiać się niczego.

O Naba byli spokojni. Chociaż nie mieli od niego wiadomości, wiedzieli, że odważny, lecz roztropny murzyn nie będzie się narażał naprożno, a w Granitowym pałacu nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Cyrus nie posyłał do niego powtórnie Topa, nie chcąc tak wiernego i użytecznego zwierzęcia narażać na strzały zbrodniarzy.

Inżynier ubolewał nad tem, że siły kolonistów musiały być podzielone, co właśnie korzystne było dla korsarzy. Od zniknięcia Ayrtona kolonja liczyła tylko czterech obrońców przeciwko pięciu napastnikom, bo na Harberta nie można było jeszcze liczyć. Rozumiał

to dobrze biedny chłopiec i martwił się, że towarzysze mają z jego powodu tak wiele kłopotu.

Gdy Harbert zasnął, Cyrus, Gedeon i Penkroff zaczęli się naradzać, jakie w obecnem położeniu możnaby przedsięwziąć środki przeciwko rozbójnikom.

— Towarzysze — rzekł reporter — podzielam wasze zdanie, że wyjść teraz na drogę, prowadzącą do Granitowego pałacu byłoby to samo, co wystawiać się dobrowolnie na strzały zbrodniarzy, lecz czy nie zgodzicie się na to, że może byłoby najlepiej zacząć ich ścigać otwarcie?

— Właśnie o tem myślałem — odpowiedział Penkroff. — Żaden z nas przecie nie obawia się kuli, i co do mnie, jeżeli tylko pan Cyrus pozwoli, gotów jestem choćby dziś jeszcze poszukać ich w lesie.

— Ja pójdę z Penkroffem — rzekł reporter — i obadwaj dobrze uzbrojeni, wziąwszy z sobą Topa...

— Przyjaciele — rzekł Cyrus — mówmy rozważnie, z zimną krwią. Gdybyśmy znali schronienie korsarzy i gdyby nam chodziło o to jedynie, aby ich z niego wyrugować, nie sprzeciwiałbym się waszemu zamiarowi. Ale czyż obecnie nie należy się obawiać, że oni właśnie, mając sposobność śledzenia naszych ruchów, pierwsi zaczną do was strzelać!

— Eh! panie Cyrusie — zawołał Penkroff — kula niezawsze trafia do celu!

— Ta, którą wymierzono do Harberta, nie chybiła, Penkroffie — odpowiedział Smith. — Zresztą zastanówmy się i nad tem, że jeżeli obydwaj oddalicie się z owczarni, ja sam nie będę w stanie odeprzeć napaści. A czy możecie zaręczyć, że zbrodniarze nie zobaczą was wychodzących i że, pozwoliwszy wam zapuścić się w las, nie uderzą na domek, wiedząc, że pozostał w nim tylko jeden obrońca i chory młodzieniec?

— Masz pan słuszność, panie Cyrusie — odpowiedział Penkroff. — Zechcą opanować owczarnię, wiedząc, że znajdą w niej żywność i wygodne schronienie. Sam jeden nie mógłbyś im się oprzeć! A! gdybyśmy byli w Granitowym pałacu!

— Tak — rzekł inżynier. — W Granitowym pałacu położenie nasze byłoby całkiem odmienne; tam nie obawiałbym się pozostawić Harberta pod opieką jednego z nas, a trzej inni mogliby ścigać złoczyńców. Ale jesteśmy w owczarni i musimy pozostać, dopóki jej razem nie będziemy mogli opuścić.

Gedeon i Penkroff przyznali słuszność inżynierowi.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był jeszcze z nami — odezwał się Gedeon. — Biedny człowiek! Niedługo cieszył się powrotem do życia społecznego!

— Tak, jeżeli nie żyje — rzekł Penkroff z naciskiem.

Czy sądzisz, że ci niegodziwcy nie odebrali mu życia?

— Jeżeli to było zgodne z ich interesem!...

— Jakto! Przypuszczasz, że Ayrton, spotkawszy dawnych wspólników, zapomniał, co nam winien i...

— Kto może wiedzieć? — odpowiedział marynarz z pewnem wahaniem.

— Penkroffie — rzekł Cyrus — to myśl naganna, odrzuć ją od siebie! Ayrton dał nam już tyle dowodów wierności i przywiązania, że chętnie ręczyłbym za niego!

— Ja także! — dodał żywo reporter.

— Tak... tak!... panie Cyrusie... zbłądziłem.... była to zła myśl, której zresztą nic nie usprawiedliwia. Ale cóż chcesz? Ten przymusowy pobyt w owczarni tak mnie już zmęczył, że mi się zaczyna mieszać w głowie; nigdy jeszcze nie byłem tak rozdrażniony, jak obecnie!!

— Musisz się jeszcze uzbroić w cierpliwość na czas pewien, Penkroffie — odpowiedział inżynier. — Powiedz mi, kochany Gedeonie, jak prędko będzie można przewieźć Harberta?

— Trudno powiedzieć — odrzekł reporter — bo najmniejsza nieostrożność mogłaby sprowadzić zgubne skutki; ale że zdrowie jego polepsza się ciągle, może za osiem dni będzie znacznie silniejszy, a wtenczas zobaczymy!

Osiem dni! W takim razie powróconoby do Granitowego pałacu dopiero w początku grudnia, a już teraz upłynęły dwa miesiące wiosny. Czas był piękny, upały zaczęły się wzmagać i zbliżał się czas, w którym trzeba było rozpocząć żniwa, łatwo więc pojąć, jak to zamknięcie w owczarni przykre i szkodliwe było dla kolonistów. Musieli poddać się konieczności, ale niecierpliwość ich z każdym dniem wzrastała.

Parę razy reporter z bronią w ręku wyszedł za palisadę i okrążył ją dokoła. Top biegł przy nim. Nie spotkał nikogo, Top zachowywał się spokojnie, trzeba więc było wnosić, że zbrodniarze musieli się oddalić. Jednak, kiedy Spilett wyszedł powtórnie 27 listopada, i zapuścił się na jakie ćwierć mili w las, zwróciło to jego uwagę, że Top biegał w tę i ową stronę, jakgdyby czegoś szukał. Reporter zaczął go zachęcać głosem, przesuwając się ostrożnie między krzakami i śledząc bacznie, czy się kto nie zbliża. Nie zdawało się jednak, aby Top przeczuwał obecność człowieka, gdyż w takim razie byłby szczekał lub warczał.

Przez jakie pięć minut pies węszył i szukał, a Spilett szedł za nim ostrożnie, gdy nagle zmyślne zwierzę poskoczyło do gęstego krzaka i wyciągnęło poszarpany i powalany kawałek ubrania. Reporter zaniósł go natychmiast Cyrusowi; po bliższem rozpatrzeniu okazało się, że to kawałek kaftana Ayrtona, uszytego z sukna, wyrobionego na wyspie.



...postawili nosze na windzie... (str. 278).

— Patrz, Penkroffie — odezwał się Cyrus — oto dowód, że korsarze uprowadzili przemocą biednego Ayrtona! Czy powątpiewasz jeszcze o jego uczciwości?

— Już dawno przestałem posądzać biedaka; ale zdaje mi się, że ten kawałek sukna może nam także służyć na dowód, że Ayrtona nie zamordowano tu w owczarni; a więc uprowadzono go żywego, skoro się bronił; może zatem żyć jeszcze!

— Tak, mogłoby to być — rzekł inżynier i zamyślił się głęboko.

Dotąd zdawało się, że Ayrton, zaskoczony nagle w owczarni, padł ugodzony kulą, tak jak to później stało się z Harbertem; teraz mogli przypuszczać, że skoro zbrodniarze uprowadzili go z sobą do swej kryjówki, to może dotąd być jeszcze ich więźniem. Kto wie, czy który nie poznał w nim dawnego towarzysza z Australji, Bena Joycę, przywódcę bandy zbiegłych zbrodniarzy; mogli nawet przypuszczać, że Ayrton, jeżeli tylko żyje, dołoży wszelkich usiłowań, aby się wyswobodzić z rąk zbrodniarzy. W takim razie uda się wprost do Granitowego pałacu, gdyż nie może przypuszczać, że jesteśmy uwięzieni w owczarni.

— A! chciałbym szczerze, aby on już był w Granitowym pałacu, i my z nim także. Wprawdzie te potwory nie mogą zburzyć naszego granitowego mieszkania, lecz mogą zrabować i zniszczyć zasiewy, ogrody i kurniki.

Wszyscy koloniści podzielali życzenia marynarza, żaden z nich jednak nie pragnął tak gorąco wrócić do Granitowego pałacu jak Harbert, który wiedział, że obecność jego towarzyszy jest tam prawie konieczna i że tylko przez wzgląd na niego pozostali dotąd w owczarni. Myślał tylko o tem, aby jak najprędzej opuścić domek Ayrtona; zapewniał, że prędzej odzyska siły w Granitowym pałacu, oddychając morskiem powietrzem. Przekładał to nieraz Spilettowi, lecz ten nie chciał na to zezwolić, obawiając się, aby niedobrze zabliźnione rany nie otworzyły się w drodze.

29-go listopada koloniści rozmawiali z sobą, siedząc przy łóżku Harberta, gdy Top zaczął szczekać głośno. Cyrus, Gedeon i Penkroff pochwycili za broń i wybiegli z domu. Top szczekał i skakał przy samej palisadzie, ale widocznie były to oznaki radości, a nie gniewu.

— Ktoś się zbliża!

— Z pewnością!

— Ale nie żaden z naszych wrogów.

— Może Nab?

— Albo Ayrton!

Zaledwie zamienili z sobą tych kilka słów, kiedy ktoś jednym susem pzeskoczył przez palisadę i stanął przed nimi. Był to Jow.

— Zapewne Nab przysłał go do nas — rzekł reporter.

— W takim razie — odpowiedział Cyrus — musiał nam przynieść karteczkę.

Penkroff przysunął się śpiesznie do orangutanga. W istocie, jeżeli Nab chciał donieść coś ważnego, wynalazł sobie posłańca, który mógł przejść niezaczepiony przez nikogo, choćby nawet po wierzchołkach drzew.

Cyrus nie omylił się. Na szyi Jowa zawieszony był mały woreczek, w którym zawierała się kartka. Łatwo pojąć przerażenie i gniew kolonistów, gdy przeczytali następujące słowa:

„Piątek o 6-tej rano.

Rozbójnicy wtargnęli na płaszczyznę!

Nab".

Spojrzeli po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co czynić? Rozbójnicy na płaszczyźnie, to ruina, zagłada, zniszczenie!

Harbert wyczytał zaraz z twarzy towarzyszy, że położenie musiało się pogorszyć jeszcze, a gdy zobaczył Jowa, nie wątpił już, że nieszczęście grozi Granitowemu pałacowi.

— Panie Cyrusie — zawołał — opuśćmy domek Ayrtona. Jestem już dość silny i chcę się oddalić.

Gedeon zbliżył się do łóżka Harberta, przyglądając się czas jakiś chłopcu, i rzekł następnie:

— A więc jedźmy!

Zgodzono się odrazu, że trzeba przewieźć Harberta na wozie, sprowadzonym tu, jak wiadomo, przez Ayrtona. Nosze były dogodniejsze dla chorego, ale wymagały dwóch ludzi do niesienia, więc tylko jeden mógłby im towarzyszyć z bronią w ręku.

Przyprowadzono wóz, do którego Penkroff zaprzągł onagę. Cyrus i Gedeon przenieśli Harberta wraz z materacem i położyli na wysłanym miękko wozie.

Inżynier i Penkroff uzbroili się w dubeltówki. Spilett wziął swój karabin.

— Czy nie czujesz się bardzo zmęczonym, Harbercie? — zapytał inżynier.

— O! bądź spokojny, panie Cyrusie, nie umrę wam w drodze!

Znać jednak było, że biedny chłopiec tylko wysiłkiem woli powstrzymywał gasnące siły. Serce Cyrusa ścisnęło się boleśnie, chciał już odłożyć wyjazd, gdy przyszło mu na myśl, że tem przywiódłby Harberta do rozpaczy, a tak silne rozdrażnienie mogłoby być szkodliwsze.

— Ruszajmy! — rzekł drżącym głosem.

Otworzono bramę, Top i Jow wybiegli naprzód, wóz wytoczył się wolno na drogę i zamknięto napowrót bramę. Cyrus i Gedeon postępowali z obu stron wozu, gotowi odeprzeć napaść; zdawało się jednak, że zbrodniarze nie opuścili dotąd płaszczyzny Pięknego Widoku. Nab, bez wątpienia, napisał karteczkę, gdy tylko się tam pokazali, to jest rano, a że teraz było zaledwie wpół do ósmej, droga prawdopodobnie dopiero wpobliżu Granitowego pałacu mogła być niebezpieczna. Pomimo to koloniści postępowali z największą ostrożnością. Jow, uzbrojony kijem, biegł w parze z Topem, zapuszczając się to w tę, to w ową stronę lasu, bez najmniejszej jednak oznaki niepokoju.

Wóz toczył się bardzo wolno, w godzinę jednak po opuszczeniu owczarni koloniści zrobili cztery mile drogi i szczęściem bez najmniejszego wypadku. Zbliżono się do płaszczyzny! Milka jeszcze, a widać będzie już mostek na strumieniu. Cyrus był pewny, że złoczyńcy go nie zniszczyli, gdyż inaczej przecięliby sobie drogę do odwrotu.

Nakoniec za ostatniemi drzewami lasu ukazało się morze, a wkrótce potem Penkroff, zatrzymując onagę, krzyknął z gniewem:

— A nędzniki! potwory!

Zarazem wskazał ręką kłęby dymu, unoszące się nad młynem, chlewkami i kurnikiem.

Człowiek jakiś uwijał się przy zgliszczach; poznano w nim Naba. Towarzysze zaczęli wołać na niego, usłyszał ich i przybiegł.

Zbrodniarze, spustoszywszy płaszczyznę, opuścili ją pół godziny temu.

— A Harbert? — zapytał Nab z żywością.

Gedeon wrócił do wozu: Harbert leżał zemdlony!

ROZDZIAŁ LII.

Przeniesienie Harberta do Granitowego pałacu. — Opowiadanie Naba. — Wyprawa Cyrusa na płaszczyznę. — Zniszczenie. — Niezaradność wobec choroby. — Febra śmiertelna. — Top szczeka.

Zapomniano o korsarzach, o grożącem jeszcze niebezpieczeństwie, o spustoszeniu płaszczyzny, a zajęto się wyłącznie Harbertem. Penkroff doprowadził wóz aż do zakrętu rzeki; tam zrobiono naprędce nosze z gałęzi i złożono na nich zemdlonego Harberta. W dziesięć minut później Cyrus, Gedeon i Penkroff stanęli przed Granitowym pałacem, postawili nosze na windzie i wkrótce Harbert leżał już na swojem łóżku. Nab tymczasem odprowadził wóz na płaszczyznę.

Troskliwe starania przywróciły Harbertowi przytomność; uśmiechnął się, zobaczywszy, że już jest w swoim pokoju, ale był tak osłabiony, że zaledwie zdołał parę słów wymówić.

Gedeon obejrzał jego rany, obawiając się, czy nie otworzyły się, nie znalazł nic złego. Skądże więc pochodził ten nagły ubytek sił? Dlaczego stan Harberta tak się pogorszył?

Wkrótce potem chory wpadł w sen gorączkowy, a reporter i Penkroff usiedli na jego łóżku.

Cyrus zawiadomił Naba o tem, co zaszło w owczarni, on zaś nawzajem opowiedział wypadki, których przed chwilą był świadkiem.

Rozbójnicy dopiero zeszłej nocy pokazali się na skraju lasu.

wpobliżu strumienia. Nab znajdował się właśnie przy kurniku i, widząc, że jeden z nich chce wpław strumień przepłynąć, strzelił do niego; było już dość ciemno, więc nie wie, czy trafił. W każdym razie nie odstraszyło to bandy, i Nab zaledwie zdołał schronić się do Granitowego pałacu.

Sam niczego się nie obawiał, ale budynki, ogrody, pole, wszystko to pozostało na łasce zbrodniarzy. Wypadało koniecznie zawiadomić towarzyszy o grożącem niebezpieczeństwie.

Przyszło Nabowi na myśl, aby posłać Jowa, który nieraz już dawał dowody wielkiej zmyślności. Ciemno jeszcze było, i zwinna małpa mogła przejść niepostrzeżenie przez las, który zresztą mógł być jej zwykłem mieszkaniem.

Nab przywiązał więc kartkę do szyi Jowa, przyprowadził go do drzwi Granitowego pałacu, spuścił sznur, sięgający aż do ziemi, i, patrząc na małpę, powtórzył kilka razy:

— Jow! owczarnia, owczarnia!

Zwierzę zrozumiało dobrze nazwisko miejsca, do którego uczęszczało tak często z Penkroffem, zsunęło się też zręcznie po sznurze i znikło.

— Dobrze zrobiłeś, Nabie — rzekł Cyrus — ale może byłoby lepiej, gdybyśmy nie dowiadywali się wcale o tem, co tu zaszło.

Mówiąc to, inżynier myślał o Harbercie, któremu przewiezienie zaszkodziło tak bardzo.

Nab dodał jeszcze, że zbrodniarze nie pokazali się wcale na wybrzeżu wpobliżu Kominów, gdyż, sądząc z wystrzałów, któremi przywitano ich z tylu naraz punktów, gdy chcieli wylądować na wyspę, musieli wnosić, że w Granitowym pałacu powinni ukrywać się obrońcy wyspy. Płaszczyzna nie była wystawiona na strzały z Granitowego pałacu, wtargnęli tedy na nią, zniszczyli i spustoszyli wszystko.

Zaraz po ich oddaleniu Nab pobiegł na płaszczyznę, nie zważając na to, że jeszcze kula dosięgnąć go może, starał się ugasić pożar, niweczący budynki, i walczył z nim, choć napróżno, aż do chwili, w której wóz ukazał się na skraju lasu.

Inżynier chciał przekonać się naocznie o wielkości szkód wyrządzonych i udał się wraz z Nabem na płaszczyznę. Na lewym brzegu nie znaleźli nigdzie śladu przejścia złoczyńców, na drugim brzegu i w lesie nie dostrzegli także nic, co dowodziłoby, że byli w tej stronie. Cyrus wyprowadził z tego wniosek, że albo zbrodniarze dostrzegli zdaleka, że koloniści wracają do Granitowego pałacu, i natychmiast udali się do owczarni; albo też, nie wiedząc o ich powrocie, uciekli do swej kryjówki, by przygotować się do nowej napaści. Wypadałoby ich uprzedzić, ale i teraz jeszcze stan zdrowia Harberta nie dozwalał rozpocząć stanowczych kroków.

Na płaszczyźnie straszne znaleźli spustoszenie. Pola były stratowane, zasiewy ścięte i wyrwane, ogrody i plantacje zniszczone. Ogień zniweczył młyn, kurnik, chlewki i stajenkę dla onag. Przerażone zwierzęta biegały jak błędne po płaszczyźnie; drób spłoszony ogniem pływał po jeziorze, lub błądził nad jego brzegami.

Na pobladłej twarzy Cyrusa malowało się oburzenie i gniew, z trudnością tłumiony; nie wyrzekł jednak ani słowa, raz jeszcze spojrzał na spustoszone pola, na dymiące się zgliszcza i wrócił do Granitowego pałacu.

Następne dni były dla kolonistów najboleśniejsze z tych, jakie spędzili na wyspie. Harbert widocznie tracił siły, i Spilett przeczuwał. że nadejdzie chwila, w której nie będzie zdolny zwalczyć choroby.

Szóstego dnia chory zdawał się być jeszcze więcej znużony, skóra pobladła mu na palcach, nosie i uszach, i zaczęły go przebiegać z początku lekkie, a następnie coraz silniejsze dreszcze. Później zimno zaczęło zwolna ustawać, a powróciła z początku słaba, potem coraz mocniejsza gorączka.

Gedeon Spilett nie mógł już wątpić, że Harbert dostał gorączki przerywanej, która bez śpiesznego ratunku będzie coraz silniejsza.

— Ażeby przeciąć tę gorączkę — rzekł do Cyrusa — trzeba mieć chininę, a tej niema na wyspie.

— Tak, to nie ulega wątpliwości.

— Nad brzegiem jeziora — odpowiedział Spilett - rosną wierzby, a kora wierzbowa może niekiedy zastąpić chininę. Spróbujmy!...

Cyrus pobiegł natychmiast nad jezioro, zdjął kilka kawałków kory z pnia wierzby czarnej, a następnie utarł ją na proszek. który Harbert zażył tegoż dnia wieczorem.

Noc i dzień następny przeszły dość spokojnie. Penkroff odzyskał trochę nadziei, ale reporter nie śmiał się jeszcze cieszyć. Zresztą i to go przerażało, że Harbert prócz wielkiego osłabienia doznawał jeszcze darcia we wszystkich członkach, ciążenia głowy i odurzenia. Wkrótce potem wątroba zaczęła obrzękać, i wystąpiła silniejsza maligna. Przerażony reporter odprowadził nabok Cyrusa.

— Jest to gorączka zgubna! — rzekł do niego.

— To być nie może! Mylisz się, Gedeonie. Ten rodzaj zimnicy nie rozwija się bez powodu.

— Niestety! Nie mylę się. Harbert musiał zdobyć zaród tej choroby, polując na bagnach. Miał już pierwszy paroksyzm, jeżeli teraz nadejdzie drugi, a nie zdołamy zapobiec trzeciemu... umrze... Trzeci paroksyzm jest zawsze śmiertelny.

— A kora wierzbowa?

— Słaby to środek, tu jedynie chinina mogłaby być skuteczna.

Nazajutrz, około południa, nadszedł drugi paroksyzm, cięższy

jeszcze od pierwszego. Sam Harbert był pewny, że go nie przeżyje. Wyciągnął ręce do Cyrusa, Spiletta i Penkroffa, prosząc, aby go ratowali!... Była to rozdzierająca scena! Trzeba była gwałtem wyprowadzić Penkroffa.

Napad tej strasznej zimnicy trwał blisko pięć godzin; niepodobna było spodziewać się, że Harbert przeniesie trzeci.

Noc była straszna. Harbert mówił w gorączce, niby walczył ze zbrodniarzami i przywoływał Ayrtona; błagał o pomoc tajemniczej istoty; pytał się, czemu przestała opiekować się niemi... Potem wpadł w zupełną bezwładność... Kilka razy zdawało się reporterowi, że biedny chłopiec już nie żyje.

Nazajutrz osłabienie chorego było straszne; dawano mu ciągle proszki z kory wierzbowej, ale te nie przynosiły pożądanego skutku.

Nadeszła noc, zapewne już ostatnia dla tego dobrego i odważnego młodzieńca, tak rozumnego, tak wyższego nad swój wiek, że go wszyscy kochali jak syna. Jedynego lekarstwa, jakie mogłoby zwalczyć tę straszną chorobę, nie było na wyspie.

W ciągu tej nocy Harbert nie poznawał już nikogo; zdawało się, że nie dożyje nawet do trzeciego paroksyzmu. Koło godziny trzeciej nad ranem Harbert wydał krzyk przeraźliwy; przerażony tem Nab, pilnujący go w tej chwili, wybiegł do przyległego pokoju, gdzie czuwali inni. W tymże samym czasie Top zaszczekał.

Koloniści wbiegli natychmiast i zobaczyli umierającego, usiłującego wyjść z łóżka. Gedeon wziął go za rękę, puls ustępował zwolna.

Około godziny piątej promienie słońca zaczęły się przedzierać do Granitowego pałacu, zapowiadając dzień jasny i pogodny. Jeden z promieni dosięgnął aż do stoliczka, stojącego przy łóżku. Penkroff krzyknął, wskazując na przedmiot, leżący na stole...

Było to małe, podłużne pudełeczko, na którem znajdował się napis:

Siarczan chininy.

ROZDZIAŁ LIII.

Niepojęty wypadek. — Powrót do zdrowia Harberta. — Jeszcze zwiedzanie wyspy. — Przygotowanie do wyjazdu. — Pierwszy dzień. — Noc. — Drugi dzień. — Kazuary. — Ślady w lesie. — Przybycie do przylądka Gadu.

Gedeon otworzył śpiesznie pudełeczko i znalazł w niem najmniej dwieście gramów białego proszku. Skosztował go: nadzwyczajna gorycz zdawała się świadczyć, że to jest chinina, ten najskuteczniejszy środek przeciwfebryczny.

Trzeba było przedewszystkiem zadać go Harbertowi, nie rozmyślając nad tem, kto go dostarczył.

— Kawy! — zawołał Spilett.

Nab wybiegł i w parę chwil potem przyniósł filiżankę ciepłej kawy. Spilett wsypał do niej około osiemnastu gramów chininy i, chociaż z trudnością, napoił Harberta. Chory mógł być uratowany, skoro trzeci paroksyzm zimnicy jeszcze nie przyszedł. Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów; tajemnicza opieka znów czuwała nad nimi, i doznali jej dobroczynnych skutków wtenczas właśnie, gdy o niej zupełnie zwątpili.

Po kilku godzinach Harbert był już spokojniejszy, i koloniści mogli pomówić z sobą o wypadku. Jakim sposobem tajemniczy zbawca dostał się w nocy do Granitowego pałacu? Działanie jego było równie niepojęte, jak on sam.

Przez cały ten dzień Harbert zażywał chininę co trzy godziny, a nazajutrz było już trochę lepiej. Nadzieja wróciła do serc kolonistów. Wprawdzie zimnice wracały często, ale teraz posiadali już zwalczający je środek. W dziesięć dni później Harbert zaczął już przychodzić do zdrowia; był jeszcze bardzo słaby, ale paroksyzmy ustały.

Penkroff był podobny do człowieka, którego wydobyto z przepaści: chwilami radość jego dochodziła prawie do szału, a kiedy minął czas trzeciego ataku, uściskał reportera tak silnie, że go o mało nie udusił i odtąd nazywał go ciągle doktorem Spilettem.

Skończył się grudzień, a z nim razem rok 1867, w którym koloniści tak ciężkie przechodzili doświadczenia. Zaraz od początku 1868 czas był prześliczny, upały silne, ale lekki wietrzyk od morza chłodził powietrze. Postawiono łóżko Harberta przy oknie, to też wciągając w siebie to zdrowe, przepełnione wyziewami morskiemi, powietrze, widocznie odzyskiwał zdrowie i siły; zaczął już posilać się trochę, a jakież to przysmaczki Nab przyrządzał dla niego!...

Przez cały ten czas zbrodniarze nie pokazali się wcale wpobliżu Granitowego pałacu, o Ayrtonie nie było żadnej wieści. Aby dowiedzieć się pod tym względem czegoś pewnego, trzeba było czekać może cały miesiąc, póki chory zupełnego nie odzyska zdrowia, gdyż wszystkie siły kolonji były potrzebne do wytropienia i zwalczenia zbrodniarzy. Szczęściem Harbert z każdym dniem czuł się lepiej. W styczniu koloniści zajęli się pracą na płaszczyźnie, gdzie chcieli uratować resztki zboża i ogrodowizn, których zbrodniarze nie zdołali zniszczyć.

Przy końcu stycznia doktór Spilett pozwolił już Harbertowi wychodzić na płaszczyznę i na brzeg morza i kazał wziąć kilka kąpieli morskich, które posłużyły mu bardzo dobrze. Cyrus mógł już teraz śmiało pomyśleć o przyprowadzeniu do skutku zamierzonej wycieczki

i oznaczył ją na dzień piętnastego lutego. Noce bardzo jasne sprzyjały temu niezmiernie.

Rozpoczęto zaraz przygotowania do podróży, która mogła przeciągnąć się dość długo, bo koloniści postanowili nie wracać do Granitowego pałacu, dopóki nie osiągną podwójnego celu podróży, to jest nie wytępią zbrodniarzy, nie oswobodzą Ayrtona, jeżeli żył jeszcze, i nie wyszukają tajemniczego opiekuna.

Koloniści nie znali dotąd wcale lasów, pokrywających półwysep, gdzie z pewnością musiało istnieć niejedno trudne do odkrycia schronienie. Dlatego też postanowił poznać tę część wyspy. Z początku zamierzali pójść najpierw do owczarni, lecz zastanowili się później, że albo zbrodniarze zrabowali ją i zniszczyli już do tego czasu, albo też obrali w niej stałe mieszkanie, a w takim razie znajdą ich tam i później. Obejrzano starannie wóz, aby nie zepsuł się w drodze, następnie włożono na niego żywność, naczynia kuchenne, przenośną kuchenkę, broń, zapasy kul i prochu.

Po ogólnej naradzie postanowiono, że nikt nie pozostanie w Granitowym pałacu; nawet Top i Jow mieli należeć do wyprawy. Ponieważ zbrodniarze mogli błąkać się po lesie, Cyrus Smith zalecił, aby ciągle wszyscy szli razem.

W wigilję wyjazdu przypadła niedziela, cały więc dzień przeznaczono na modlitwę i odpoczynek. Nazajutrz inżynier przedsięwziął środki, zabezpieczające Granitowy pałac od wszelkiej napaści. Przeniesiono do Kominów drabiny, po których dawniej wchodzono do niego, i zakopano je głęboko w piasek, aby po powrocie mogli się po nich dostać do domu, gdyż windę skasowano na czas nieobecności. Penkroff, ostatni, spuścił się z pałacu po linie.

— Śliczny mamy dzień, choć nieco za gorący — rzekł wesoło reporter.

— Nic to nie szkodzi, panie doktorze — odpowiedział Penkroff — drzewa nas tak dobrze osłaniać będą, że nawet nie zobaczymy słońca.

— Ruszajmy! — rzekł inżynier.

Wóz zaprzężony stał już przed Kominami. Reporter żądał, aby Harbert wsiadł na niego, i młody chłopiec musiał ulec woli swego lekarza. Nab prowadził onagi; Cyrus, reporter i Penkroff szli naprzód. Top jak zwykle biegał to w tę, to w ową stronę, Jow na wezwanie Harberta usiadł przy nim bez wahania.

Po przebyciu mostu zapuścili się w ogromne lasy Dalekiego Zachodu. Przez pierwsze dwie mile drzewa były rzadkie, i wóz toczył się między niemi swobodnie, tylko czasami trzeba było przecinać tamujące drogę zielone girlandy lian, przerzucających się od drzewa do drzewa.

Gumowce, drzewa smocze i inne gatunki, spotykane już na wyspie, pokrywały niezmierzone okiem przestrzenie. Koloniści znajdo-

wali tu także ptaki, znane im już z poprzednich wycieczek, jak cietrzewie, żakamary, bażanty, lory kakotaesy i rozmaite gatunki krzykliwych papug. Aguty, kangury i kabje, przesuwające się między krzakami, przypominały im pierwsze ich wycieczki.

— Czy nie zwróciliście na to uwagi — rzekł Cyrus — że tak ptaki jak zwierzęta są lękliwsze, niż były po naszem przybyciu na wyspę; z tego wypada wnosić, że złoczyńcy musieli polować w tym lesie, i że pewno znajdziemy tu ich ślady.

W istocie spotykane w wielu miejscach wygasłe ogniska i liczne ślady stóp wskazywały, że ludzie przechodzili już tędy, ale nigdzie nie dostrzeżono nic takiego, coby dowodziło, że tu było stałe ich siedlisko.

Inżynier zalecił towarzyszom, aby wstrzymali się od polowania, choćby najwięcej napotykali zwierzyny, gdyż huk wystrzału ostrzegałby o ich zbliżaniu się zbrodniarzy, jeżeli znajdowali się w tej stronie.

Po południu musieli nieraz wycinać drzewa i krzaki, aby wóz mógł się przesunąć, w takim razie Cyrus wysyłał pierwej w gęstwinę Topa i Jowa, a jeżeli zmyślne zwierzęta nie ostrzegły kolonistów, mogli być pewni, że nie potrzebują się obawiać ani dzikich zwierząt, ani zbrodniarzy.

Wieczorem rozłożyli się obozem o dziewięć mil od Granitowego pałacu, nad brzegiem nieznanej im dotąd rzeczki, wpadającej do Mercy. Nab przygotował sutą wieczerzę, z której mało co pozostało, gdyż wszyscy byli głodni. Następnie zarządzono potrzebne środki ostrożności. Gdyby szło tylko o odstraszenie dzikich zwierząt, byłoby dość utrzymywać ciągle suty ogień, ale widok płomieni przyciągnąłby właśnie zbrodniarzy: lepiej więc było ukrywać się w ciemności, natomiast po dwóch razem kolonistów miało czuwać przez noc całą, zmieniając się co parę godzin.

Noc bardzo krótka przeszła spokojnie, zdala tylko dochodziło niekiedy chrapliwe wycie jaguarów i krzyki małp, zaczepiających Jowa.

Nazajutrz zrobiono zaledwie sześć mil, gdyż ciągle prawie trzeba było torować sobie drogę siekierą. Harbert tego dnia odkrył nowe gatunki drzew, nie znajdujące się w innych lasach wyspy, jak paproć drzewiastą, drzewo świętojańskie, którego długie strąki zajadały chciwie onagi, kaurysy z pniami cylindrycznemi, których zielone stożkowate korony wznosiły się o dwieście stóp nad ziemią.

Z królestwa zwierzęcego spotykali tylko znane już na wyspie okazy, z wyjątkiem dwóch wielkich ptaków, wysokich na pięć stóp, brunatnych; był to gatunek kazuara, zwany w Australji emeus. Ptaki te biegają tak szybko, że Top napróżno usiłował je doścignąć.

I tu jeszcze można było dostrzec ślady pobytu złoczyńców. W jednem miejscu, przy niedawno, jak się zdawało, wygasłem ogni-

sku, koloniści znaleźli ślady stóp różnej wielkości a, zmierzywszy dokładnie ich długość i szerokość, przekonali się, że je tam zostawiło pięciu ludzi.

— Nie było z nimi Ayrtona! — rzekł Harbert.

— Tak, nie było — rzekł Penkroff — i to dowodzi, że nędznicy już go zamordowali! Ale czyż te potwory nie mają nigdzie stałego legowiska, w którem możnaby ich osaczyć jak dzikie zwierzęta!

— Prawdopodobnie — odpowiedział reporter — przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce, uważając, że to dla nich najbezpieczniejsze, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Oni! panami wyspy! — krzyknął marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył drżącym z gniewu głosem, potem dodał spokojniej: — Czy wiecie, jaką kulą nabiłem moją strzelbę?

— Nie, Penkroffie.

— Tą, która przeszyła pierś Harberta, i mogę zaręczyć, że trafi do celu!

Tego wieczora zatrzymano się na noc o czternaście mil od Granitowego pałacu. Cyrus obliczał, że nie będą mieli więcej nad pięć mil do przylądka Gadu. Rzeczywiście nazajutrz stanęli już na końcu półwyspu, ale nigdzie nie znaleźli kryjówki zbrodniarzy, ani też schronienia tajemniczego opiekuna.

ROZDZIAŁ LIV.

Zwiedzenie półwyspu Wężowatego — Obozowisko przy ujściu strumienia. — W okolicy zagrody. — Spilett i Penkroff na zwiadach. — Powrót. — Wszyscy naprzód. — Drzwi otwarte. — Wyjaśnienie. — Przy świetle księżyca.

Następny dzień był przeznaczony wyłącznie na zwiedzenie lesistej części wybrzeża, od przylądka Gadu do rzeki Spadku. Zbadali dokładnie tę część lasu, którego szerokość wynosiła zaledwie cztery mile. Wysokość drzew i bujne ich rozgałęzienie dowodziły nadzwyczajnej żyzności gruntu: można było sądzić, że to dziewiczy las Ameryki lub Afryki środkowej przeniesiony pod tę strefę umiarkowaną, co kazało wnosić, że te pyszne rośliny znajdowały w tym gruncie, zwierzchu wilgotnym a wewnątrz ogrzewanym ogniem wulkanu, ciepło większe, niż bywa zwykle w klimacie umiarkowanym.

Jednak nie dla podziwiania przepysznej roślinności przebiegali te lasy; wiedzieli już, że pod tym względem wyspa Lincolna może współzawodniczyć z wyspami Kanaryjskiemi, które początkowo nosiły nazwę Szczęśliwych. Na zachodniem wybrzeżu nie znaleziono nigdzie śladu stóp, ani wygasłych ognisk.

— Nie dziwi mnie to bynajmniej — rzekł Cyrus Smith. — Zbrodniarze dostali się na ląd przy cyplu Skrzyni i przez bagno Dzikich Kaczek przeszli do lasu Dalekiego Zachodu, a więc przebiegli prawie tę samą drogę, co my obecnie, lecz, doszedłszy do wybrzeża, miarkowali, że tu ukryćby się nie zdołali, cofnęli się więc ku północy i wówczas spostrzegli owczarnię.

— Do której może i teraz wrócili — przerwał Penkroff.

— Nie sądzę — rzekł inżynier — gdyż domyślają się zapewne, że ich tam szukać będziemy. W owczarni zaopatrują się w żywność, ale w innem miejscu obrali sobie schronisko.

— Podzielam zdanie Cyrusa — powiedział reporter. — O ile mi się zdaje, zbrodniarze muszą ukrywać się między wzgórzami podnóża góry Franklina.

— W takim razie, panie Cyrusie, śpieszmy do owczarni! — zawołał marynarz. — Już i tak straciliśmy dużo czasu naprożno.

— Zapominasz, przyjacielu — odpowiedział inżynier — że mieliśmy przekonać się również, czy w lesie Dalekiego Zachodu nie znajduje się mieszkanie naszego dobroczyńcy.

— Tak, panie Cyrusie — rzekł Penkroff — lecz zdaje mi się, że nie znajdziemy tego zacnego pana, dopóki on na to nie zezwoli.

Penkroff wyrażał tu ogólne mniemanie. Prawdopodobnie schronienie nieznajomego musiało być równie jak on tajemnicze!

Zatrzymali się na noc przy rzece Spadku. Harbert, pokrzepiony powietrzem morskiem i wonnemi wyziewami lasów, był równie zdrów i silny jak przed chorobą, co noc czuwał parę godzin nad bezpieczeństwem śpiących towarzyszy i już pieszo podróżował z nimi. Nazajutrz, 19 lutego, puścili się lewym brzegiem rzeki. Droga była już poczęści utorowana w ciągu poprzednich wycieczek z owczarni do zachodniego wybrzeża, a sześć mil tylko dzieliło ich od góry Franklina.

Inżynier miał zamiar zbliżyć się ostrożnie do owczarni i, jeżeli była zajęta, zdobyć ją, jeżeli zaś nie, zamknąć się w niej i czynić wycieczki między wzgórza, otaczające górę Franklina, w celu wyszukania zbrodniarzy. Zapuścili się więc w wąską dolinkę między dwoma pasmami gór. Drzewa, zarastające gęsto brzegi rzeki, były coraz rzadsze w miarę, jak się pięły wgórę; ale wśród wąwozów łatwo było urządzić zasadzkę, dlatego też koloniści posuwali się z największą ostrożnością. Top i Jow biegli naprzód, zbaczając to na prawo, to na lewo, jakby rozumieli, że mają czuwać nad bezpieczeństwem swych panów.

Około piątej wieczorem wóz zatrzymał się o sześćset mniej więcej kroków od palisady, otaczającej dziedziniec owczarni, którą jeszcze ukrywał przed ich wzrokiem lasek.

Trzeba było przekonać się, czy zbrodniarze zajęli powtórnie owczarnię, ale podsunąć się do niej otwarcie w biały dzień było to samo, co narażać się na strzały zdradzieckie; lepiej więc było czekać cierpliwie nocy.

— Nie, moi przyjaciele — rzekł Cyrus do Spiletta i Penkroffa, którzy chcieli natychmiast pójść na zwiady — nie pozwolę wam się narażać. Czekajmy nocy.

— Ależ, panie Cyrusie... — rzekł, nalegając, marynarz.

— Proszę cię, Penkroffie — powiedział inżynier.

— Ha! Niechże będzie, jak pan chcesz — odrzekł Penkroff.

Ale, chcąc ulżyć sercu, zaczął wymyślać na zbrodniarzy, wygrażając im pięścią.

Czekali trzy godziny, zwracając baczną uwagę na las sąsiedni. Powietrze tak było spokojne, że łatwo możnaby dosłyszeć najlżejszy nawet szelest; nic jednak nie przerwało ciszy. O godzinie ósmej wieczorem ściemniło się już o tyle, że łatwiej było posunąć się pod owczarnię, to też inżynier nie opierał się bynajmniej, gdy Spilett i Penkroff oświadczyli, że pójdą na zwiady! Top i Jow zostali przy wozie, gdyż obawiano się, aby szczekaniem lub krzykiem nie obudzili czujności zbójców.

— Tylko nie narażajcie się zbytecznie — rzekł inżynier — i pamiętajcie, że nie idzie o to, abyście odebrali owczarnię, lecz, aby się przekonać, czy jest zajęta lub nie.

Odeszli. Pomiędzy drzewami było już tak ciemno, że o trzydzieści kroków nic dojrzeć nie było można. Reporter i marynarz posuwali się naprzód bardzo ostrożnie, zatrzymując się, skoro najlżejszy szmer doszedł do ich uszu. Szli każdy zosobna, aby trudniej było wziąć ich na cel, gdyby zbrodniarze urządzili zasadzkę.

Po kilku minutach stanęli już na skraju lasu, nad łączką, na której wznosiła się owczarnia. Zatrzymali się. Na ogołoconej z drzew przestrzeni było jeszcze dość widno. Musieli przejść trzydzieści kroków, aby stanąć przy bramie, prowadzącej na dziedziniec, ale te trzydzieści kroków, w miejscu zupełnie odkrytem, były najtrudniejsze do przebycia, gdyż z poza palisady można było strzelać na pewno.

Reporter i marynarz byli odważni, ale wiedzieli, że najlżejsza z ich strony nierozwaga może być zgubna nietylko dla nich, lecz i dla pozostałych towarzyszy. Jeżeli oni polegną, cóż stanie się z Cyrusem, Nabem i Harbertem? Wprawdzie niecierpliwy Penkroff, widząc przed sobą owczarnię, w której domyślał się pobytu zbrodniarzy, chciał natychmiast pośpieszyć, ale Spilett zatrzymał go za rękę.

— Za kilka minut — rzekł — będzie już zupełnie ciemno, wtenczas podsuniemy się tam bezpiecznie.

Penkroff ścisnął gwałtownie karabin i zatrzymał się, złorzecząc rozbójnikom. Wkrótce zmierzch ustąpił miejsca nocy. Marynarz

i reporter, stojąc na skraju lasu, zwracali pilną uwagę na palisadę, której wierzchołek tworzył trochę ciemniejszą i zupełnie równą linję na horyzoncie. Jeżeli rozbójnicy znajdowali się w owczarni, musieli postawić jednego ze swoich na straży, a w takim razie przynajmniej głowa jego wznosiłaby się nad palisadą. Czyżby nie było nikogo?

Spilett ścisnął za rękę towarzysza i obydwaj, pochyliwszy się, zaczęli ostrożnie zbliżać się do palisady.

Stanęli przy bramie. Penkroff spróbował ją otworzyć, widząc, że zewnętrzne zasuwy nie są założone, ale była wewnątrz zamknięta. Z tego trzeba było wnosić, że rozbójnicy zajęli domek Ayrtona i zaparli bramę.

Gedeon i Penkroff zaczęli przysłuchiwać się pilnie. Najlżejszy szmer nie doszedł ich uszu; nawet muflony i kozy, już śpiące zapewne, nie przerywały beczeniem ciszy nocnej.

Reporter i marynarz zadali sobie pytanie, czyby nie mogli dostać się na dziedziniec przez palisadę, ale reporter zauważył, że zamiar mógłby im się nie udać, a w takim razie ostrzegliby złoczyńców o grożącem niebezpieczeństwie. Lepiej będzie, jeżeli wszyscy razem wejdą do owczarni. Penkroff podzielał widać to zdanie, gdyż bez najmniejszego oporu powrócił z Gedeonem do lasu.

W kwadrans później uwiadomili już inżyniera, że można dojść aż do ogrodzenia, że brama zamknięta z wewnątrz, ale nikt nie stoi na straży.

— W takim razie — rzekł po namyśle — trzebaby wnosić, że zbrodniarzy niema tam obecnie.

— Przekonamy się o tem — odpowiedział Penkroff — skoro wejdziemy do owczarni.

— Chodźmy więc, towarzysze — rzekł Cyrus.

— Czy wóz pozostawimy w lesie? — zapytał Nab.

— Nie, jest to furgon z żywnością i amunicją, który w razie potrzeby może nam posłużyć za szaniec.

— Ruszajmy! — rzekł Gedeon.

Wóz przebył szczęśliwie las i zaczął toczyć się po łące; gęsta i bujna trawa tłumiła turkot kół i odgłos kroków. Jow, z rozkazu Penkroffa, szedł za wozem; Topa prowadził na smyczy Nab, aby się naprzód nie wyrywał. Wkrótce doszli do palisady i wóz tam się zatrzymał. Ani jeden wystrzał nie przerwał głębokiej ciszy. Nab pozostał przy onagach, inni udali się do bramy, aby spróbować, czy jej wysadzić nie potrafią...

Jedna jej połowa była całkiem otwarta!

— Wszak mówiliście, że zamknięta? — rzekł inżynier, zwracając się do Gedeona i marynarza, prawie osłupiałych ze zdumienia.

— Przysięgam na moją duszę! — zawołał Penkroff — że przed chwilą była szczelnie zamknięta.

Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Zdawało im się niewątpliwem, że rozbójnicy byli jeszcze w owczarni; bo któż inny mógłby wrota otworzyć? Ale czy obecnie wszyscy z niej wyszli, czy tylko jeden z nich oddalił się — na to pytanie trudno byłoby odpowiedzieć...

Harbert, który posunął się już o parę kroków za ogrodzenie, cofnął się nagle, chwytając Cyrusa za rękę.

— Co zobaczyłeś? — zapytał inżynier.

— Światło!

— W domku?

— Tak.

Wszyscy przeszli bramę i rzeczywiście ujrzeli słabe światełko w oknie.

— Naprzód! — zawołał Cyrus przytłumionym głosem — zbrodniarze są tam wszyscy razem i teraz już nie zdołają umknąć!

Gdy zatrzymali się przed zamkniętemi drzwiami domku, Cyrus skinął, aby pozostali na miejscu, sam zaś zbliżył się do okna. Na stole przy łóżku Ayrtona paliła się mała lampka; na łóżku leżał jakiś człowiek.

Cyrus cofnął się nagle i zawołał drżącym głosem.

— Ayrton!

Otworzyli drzwi i wpadli do izby. Ayrton spał; na twarzy jego widać było, że przebył długie i straszne cierpienia, na rękach i nogach były krwawe ślady po zdjętych niedawno więzach.

— Ayrtonie! — zawołał Cyrus, pochylając się nad nim i ściskając za rękę tak niespodziewanie odnalezionego towarzysza.

Ayrton otworzył oczy i przez czas pewien spoglądał na Cyrusa i na innych, jakby niedowierzał, że widzi ich rzeczywiście.

— Wy tutaj! — zawołał nakoniec — wy przy mnie!...

— Ayrtonie! Ayrtonie! — powtórzył Cyrus Smith.

— Gdzie ja jestem?

— W domku przy owczarni.

— Sam jeden?

— Tak!

— Ale oni wrócą! — zawołał Ayrton. — Brońcie się! brońcie!

Po tych słowach upadł bezsilny na łóżko.

— Gedeonie — rzekł inżynier — możemy lada chwila spodziewać się napaści. Wprowadźcie wóz na dziedziniec i starannie zamknijcie bramę.

Penkroff, Nab i reporter natychmiast spełnili polecenie inżyniera. Nie było chwili do stracenia. Kto wie nawet, czy już wóz nie dostał się w ręce zbrodniarzy. Zbliżyli się prędko do bramy, za którą Top warczał ciągle głucho. Inżynier i Harbert wyszli przed dom, gotowi w razie potrzeby biec na pomoc towarzyszom.

Księżyc tymczasem wysunął się z poza lasu, światło jego dozwalało widzieć dokładnie kępy drzew, piękną murawę i strumień, płynący w ogrodzonym palisadą obrębie.

Wkrótce wóz wtoczył się, i Cyrus usłyszał, że towarzysze zamknęli bramę. Top zaczął szczekać gwałtownie, zerwał smycz i pobiegł w głąb dziedzińca po prawej stronie domku.

— Baczność towarzysze! Miejcie broń wpogotowiu!... — zawołał Cyrus.

Koloniści spełnili polecenie inżyniera. Top wciąż szczekał zawzięcie, a Jow towarzyszył mu ostrem, przenikliwem świstaniem. Koloniści poszli za nimi aż do brzegu strumienia. Cóż tam znaleźli?

Pięć trupów, leżących nad brzegiem. Były to ciała pięciu zbrodniarzy, którzy cztery miesiące temu wylądowali na wyspie Lincolna.

ROZDZIAŁ LV.

Opowiadanie Ayrtona. — Zamiary dawnych wspólników. — „Bonawentura" — Poszukiwania w okolicach góry Franklina. — Grzmoty podziemne. — Odpowiedź Penkroffa. — W głębi krateru. — Powrót.

Jak się to stało? Kto odebrał życie zbrodniarzom? Czy Ayrton? Nie, skoro parę minut temu obawiał się ich powrotu.

Ayrton zostawał teraz pod wpływem senności i znużenia i nie był zdolny odpowiedzieć na żadne pytanie. Koloniści przepędzili przy nim całą noc, rozmyślając o tak dziwnym wypadku. Byli pewni, że nie dowiedzą się od Ayrtona szczegółów, dotyczących śmierci zbrodniarzy, bo wszakże nie wiedział nawet o tem, że się znajduje w swym domku; ale będzie mógł przynajmniej opowiedzieć, co się przedtem działo.

Nazajutrz Ayrton z rozczuleniem spoglądał na towarzyszy, cieszących się szczerze, że po stu czterech dniach rozłąki znaleźli go przy życiu i prawie zdrowego.

Ayrton opowiedział im, że 10 listopada wieczorem, to jest nazajutrz po przybyciu do owczarni, został napadnięty niespodzianie przez zbrodniarzy, którzy zdołali przeskoczyć przez ogrodzenie; że następnie skrępowali mu ręce, zawiązali usta i zaprowadzili do ciemnej jaskini u stóp góry Franklina, która służyła im za schronienie.

Wszyscy jednozgodnie wydali na niego wyrok śmierci, lecz następnego dnia rano jeden z nich poznał go, i nędznicy, gotowi zamordować Ayrtona, darowali życie Benowi Joyce. Odtąd jednak biedny Ayrton znosił ciągłe ciężkie prześladowania od dawnych wspólników, chcących go zmusić, aby połączył się z nimi i dopomógł do opanowania Granitowego pałacu i wymordowania kolonistów.

Nie zdołali jednak złamać Ayrtona. Zbrodniarz poprawiony, żałujący szczerze za winy, przejęty nieograniczoną wdzięcznością za

okazywaną mu życzliwość, wolał cierpieć i umrzeć, niżeli zdradzić towarzyszy i dobroczyńców. Zbrodniarze dostrzegli owczarnię zaraz w początku pobytu na wyspie; zaopatrywali się tam w żywność, ale nie mieszkali wcale. Jedenastego listopada dwóch zbójców, zaskoczonych nagle przez kolonistów, strzeliło do Harberta, jeden z nich po powrocie chwalił się, że zabił młodego chłopca, mieszkającego na wyspie, ale wrócił sam tylko. Drugi, jak wiemy, zginął z ręki Cyrusa.

Wiadomość o śmierci Harberta zakrwawiła serce Ayrtona; pozostało już tylko czterech kolonistów, a i tych może dosięgną wkrótce kule morderców. Rozbójnicy nie oddalali się prawie z jaskini przez czas pobytu kolonistów w owczarni i znów wrócili do niej po spustoszeniu płaszczyzny Pięknego Widoku. Z Ayrtonem postępowali coraz gorzej; zdawało mu się, że podrażnieni oporem lada chwila pozbawią go życia.

Nakoniec, w trzecim tygodniu lutego, Ayrton osłabiony głodem i prześladowaniami uległ zupełnemu obezwładnieniu, tak, że już ani słyszał, ani widział, co się wkoło niego działo.

— Powiedz mi, panie Smith — dodał, kończąc — jak się to stało, że ja, więziony ciągle w jaskini, znalazłem się nagle w tym domku?

— A jakże się i to stało, że wszyscy zbrodniarze leżą tam martwi na dziedzińcu? — odpowiedział inżynier.

— Martwi? nieżywi? — zawołał Ayrton, siadając na łóżku pomimo osłabienia.

Na jego prośbę dwóch kolonistów wzięło go pod rękę, i wszyscy razem udali się nad brzeg strumienia. Tam leżały ciała zbrodniarzy w takiem położeniu, w jakiem ich śmierć zaskoczyła nagle.

Na rozkaz inżyniera Nab i Penkroff obejrzeli ciała. Nie było żadnej widocznej rany, jednak po dokładniejszem rozpatrzeniu Penkroff dostrzegł, że każdy z nich ma na czole, piersiach, szyi, na krzyżu lub łopatce małą sino-czerwoną plamkę.

— Tu właśnie każdy z nich otrzymał cios śmiertelny! — rzekł Cyrus Smith.

— Ale od jakiejże broni? — zawołał reporter.

— Była to jakaś broń straszna, zabijająca nagle, jak uderzenie pioruna, ale wcale nieznana.

— Któż posiada tę broń piorunującą? Kto nas uwolnił od tych zbrodniarzy? — zapytał Penkroff.

— Ten, kto przeniósł tu Ayrtona z jaskini, ten, kto znowu dał nam nowy dowód opieki, ten kto czyni dla nas to, czego sami nie jesteśmy zdolni uczynić, a który pomimo to ukrywa się przed nami.

— A więc szukajmy go! — zawołał Penkroff.

— Tak, szukajmy — odpowiedział Cyrus. — Ale człowiek, rozporządzający takiemi środkami, że ich działanie wydaje się prawie cudownem, nie może być znaleziony, jeśli na to nie zezwoli.

Ta niewidzialna opieka, przypominająca ciągle kolonistom, że sami sobie wystarczyć nie mogą, wzruszała, ale zarazem drażniła inżyniera. Dobrodziejstwa, świadczące z widoczną chęcią uwolnienia się od wszelkich oznak wdzięczności, zdawały się dowodzić pewnego lekceważenia, i to właśnie w oczach Cyrusa zmniejszało cenę dobrodziejstw doznanych.

— Tak, szukajmy — powtórzył — i daj Boże, abyśmy mogli dowieść naszemu dumnemu opiekunowi, że nie zobowiązywał niewdzięcznych! Dałbym wiele, bardzo wiele za to, abyśmy mogli spłacić mu kiedyś dług wdzięczności, choćby kosztem największych ofiar.

W kilka minut później koloniści wrócili do domku, gdzie Ayrton, otoczony troskliwą opieką, odzyskał prędko zdrowie i siły. Nab i Penkroff wykopali głęboki dół w lesie i pochowali w nim zwłoki zbrodniarzy.

Cyrus Smith opowiedział Ayrtonowi wszystkie przygody i cierpienia, których doznali w ciągu jego nieobecności, i dodał, skończywszy opowiadanie:

— Teraz pozostaje nam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia. Nie potrzebujemy się już obawiać sąsiedztwa zbrodniarzy, ale nie uwolniliśmy się od nich własnemi siłami.

— A więc — odpowiedział Spilett — przebiegnijmy cały labirynt gór i wąwozów około góry Franklina, przetrząśnijmy wszystkie jaskinie, wydrążenia i zakręty tak, aby nic nie uszło przed naszym wzrokiem!

— I nie wracajmy do Granitowego pałacu — dodał Harbert — dopóki nie znajdziemy naszego dobroczyńcy!

— Tak — rzekł inżynier — zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy... ale powtarzam, nie znajdziemy go, dopóki na to nie pozwoli.

— Czy pozostaniemy nadal w owczarni? — zapytał Penkroff.

— Tak — odpowiedział Cyrus — mamy tu poddostatkiem żywności i jesteśmy w środkowym punkcie tej części wyspy, którą poznać pragniemy.

— Dobrze — odrzekł marynarz — ale muszę zrobić jedną uwagę.

— Jaką?

— Mamy właśnie najpiękniejszą porę roku i nie powinniśmy zapominać, że nas czeka podróż morska.

— Podróż? — rzekł Gedeon Spilett.

— Tak, do wyspy Tabor. Wszakże musimy zostawić tam zawiadomienie, wskazujące położenie wyspy Lincolna, na której Ayrton znajduje się obecnie, aby jacht szkocki wiedział, gdzie go szukać. Kto wie nawet, czy już nie będzie za późno.

— Ale, Penkroffie — zapytał Ayrton — na czemże puścisz się w tę podróż?



Penkroff, ostatni, opuścił się z pałacu po linie (str. 283).

— Na *Bonawenturze,* ma się rozumieć.

— Na *Bonawenturze!* — zawołał Ayrton. — Niema go już, niestety!

— Co! Niema już mego *Bonawentury!* — krzyknął Penkroff, podskakując wgorę.

— Tak — odpowiedział Ayrton. — Osiem dni temu rozbójnicy spostrzegli go w porcie, wypłynęli na morze i..

I? — powtórzył Penkroff blady i drżący.

— I statek, nie mający sternika, rozbił się o skały.

— A podli niegodziwcy! Nikczemni zbóje! — krzyknął zrozpaczony Penkroff.

— Penkroffie! — rzekł Harbert — zbudujemy nowy statek, daleko większy i nazwiemy go *Bonawenturą*. Wszak mamy teraz tyle żelaza i różnych szczątków z brygu.

— Ale czy wiesz o tem, że na zbudowanie statku o trzydziestu lub czterdziestu beczkach potrzeba blisko sześć miesięcy czasu?

— Cóż robić, Penkroffie — rzekł inżynier — musimy odłożyć naszą podróż aż do przyszłego roku. Może też to opóźnienie nie przyniesie nam szkody.

— Ach! mój *Bonawentura!* mój biedny *Bonawentura!* — powtarzał Penkroff, strapiony utratą statku, którym się tak chlubił i który kosztował go tyle pracy!

Aby go pocieszyć i wynagrodzić sobie poniesioną stratę, koloniści postanowili zająć się wkrótce zbudowaniem nowego statku; teraz zaś zajęli się głównie wycieczką w góry.

Poszukiwania, rozpoczęte tego samego dnia, trwały cały tydzień. Poprzeczne pasma gór, rozchodzące się od góry Franklina, wraz z licznemi rozgałęzieniami, tworzyły prawdziwy labirynt dolin, wąwozów i parowów. Kto wie, czy w głębi tych wąwozów nie ukrywał się właśnie ten, którego szukać zamierzali? W żadnej innej części wyspy nie można było ukryć się tak dobrze, jak wśród tych gór, zarośli i wąwozów.

Zwiedzali najprzód dolinę, ciągnącą się na południe wulkanu, z której wypływa rzeka Spadku; tam Ayrton pokazał im jaskinię, do której schronili się zbrodniarze i w której sam przecierpiał tyle. Jaskinia była zupełnie w tym stanie, w jakim ją Ayrton zostawił; znaleźli w niej jeszcze proch, kule i żywność, które złoczyńcy złożyli tam na zapas. Dolinę osłaniały pyszne, przeważnie iglaste drzewa. Następnie zapuścili się w ciasny wąwóz, doprowadzający do znanego im wybrzeża, na którem bazaltowe skały układały się w tak malownicze grupy. Tu drzewa były rzadsze, głazy zastępowały murawę; dzikie kozy i muflony pięły się po skałach; odtąd rozpoczynała się dzika i jałowa część wyspy. Z dolin, rozchodzących się u stóp góry Franklina, trzy tylko były równe, żyzne i zarosłe bujną roślinnością, jak ta, wśród której zbudowano owczarnię, ale te trzy doliny koloniści zwiedzili już dawniej i nie znaleźli tam nic, coby pozwalało wnosić, że ktoś na jednej obrał sobie mieszkanie. Czyżby więc nieznany ich opiekun przebywał w głębi niedostępnego wąwozu, wśród złomów skał, lub zastygłych potoków lawy?...

Z północnej strony rozchodziły się od podstawy góry Franklina dwie szerokie doliny, pozbawione wszelkiej roślinności, zasiane gła-

zami, zabrukowane lawą. Ta część była najtrudniejszą do poznania. Koloniści spotykali tam mnóstwo jaskiń, wprawdzie małych, niewygodnych, ale doskonale ukrytych, zagłębiali się nawet wewnątrz wulkanicznej góry, przez długie tunele; przebiegali je z łuczywem w ręku, zatrzymując się przy każdem, choćby najmniejszem zagłębieniu i znajdowali tylko ciemność i ciszę. Znać było, że kroki ludzkie nie rozlegały się jeszcze pod temi odwiecznemi sklepieniami, że nigdy ręka człowieka nie poruszyła z miejsca żadnego z leżących tam głazów; leżały tam, gdzie upadły, kiedy wyspa, wskutek działania wulkanu, wynurzyła się z głębi morza.

Pomimo, że wszystkie tunele były zupełnie puste i ciemne, to jednak Cyrus Smith przekonał się, że nie panowała w nich bezwzględna cisza. Kiedy doszedł do końca jednego z nich, zagłębiającego się na kilkaset stóp wewnątrz góry, usłyszał łoskot, podobny do huku grzmotów. Towarzyszący mu Gedeon Spilett zwrócił także uwagę na to groźne warczenie, dowodzące, że wulkan budzi się z długiego spoczynku.

— Widać, że wulkan nie wygasł zupełnie — rzekł reporter do Cyrusa.

— Bardzo być może, iż po naszem spuszczeniu się wewnątrz czeluści wulkanu ogień rozpoczął na nowo swą nurtującą pracę w niższych pokładach ziemi — odpowiedział inżynier.

— Czy wyspie Lincolna nie groziłoby niebezpieczeństwo w razie wybuchu wulkanu? — zapytał reporter.

— Nie sądzę — rzekł Cyrus. — Krater jest to klapa bezpieczeństwa, istnieje dotąd, a więc para i lawa mogłyby odpływać nim jak dawniej.

— W każdym razie potoki lawy mogą zalać urodzajne części wyspy.

— Dlaczegóż, kochany Gedeonie, nie miałaby popłynąć raz już utorowaną drogą? Zwróć na to uwagę, że pochylenie góry Franklina ułatwia wylew materyj wulkanicznych właśnie ku stronie tych dolin, które zwiedzamy obecnie. Tylko w razie, gdyby trzęsienie ziemi zmieniło środek ciężkości góry, lawa potoczyłaby się w innym kierunku.

— Ale właśnie w takich warunkach można zawsze obawiać się trzęsienia ziemi — rzekł Gedeon Spilett.

— Tak, zawsze, zwłaszcza jeżeli wulkan w ciągu długiej bezczynności zatkał się masami mineralnemi a, przebudziwszy się, przerwać je usiłuje. Dlatego też, kochany Gedeonie, wypada nam życzyć sobie, aby wulkan nie budził się z uśpienia. My jednak nie zdołamy zapobiec temu, a zresztą nie sądzę, aby Granitowemu pałacowi groziło niebezpieczeństwo.

— Dotąd — rzekł Spilett — nad wierzchołkiem krateru nie unosi się jeszcze dym, wskazujący, że wybuch może nastąpić wkrótce.

— Tak — odpowiedział Cyrus Smith — dotąd nie widzę tam

ani dymu, ani pary, ale bardzo być może, iż przez długie lata spoczynku dolną część czeluści zawalił popiół, stwardniała lawa i odłamy skał, lecz przy silnem działaniu wulkanu przebije te zapory. Wszakże powtarzam, lepiej byłoby dla nas, gdyby do tego nie przyszło.

— Jednak jest to bardzo prawdopodobne — rzekł reporter. — Już ten sam huk dowodzi, że tam wewnątrz wulkanu rozpoczęła się praca, której ostatecznych skutków obliczyć niepodobna.

Cyrus i Gedeon zawiadomili towarzyszy o tych spostrzeżeniach.

— Masz tobie — zawołał Penkroff. — Teraz znów wulkan chciałby nam spłatać figla! Ale niech tylko spróbuje! Znajdzie się ktoś, kto na to nie pozwoli.

— Kto taki?

— Nasz duch opiekuńczy! Potrafi on mu zakneblować paszczę, jeżeli ją zbyt szeroko zechce otworzyć.

Od 19 do 25 lutego koloniści czynili poszukiwania w północnej części wyspy. Chociaż zwiedzili każdy zakątek, chociaż weszli z tej strony, aż na wierzchołek góry Franklina, chociaż następnie spuścili się nawet do krateru, w którym z wyjątkiem podziemnego huku, nic dotąd nie zapowiadało, że jeszcze może być czynny — nie znaleźli nic i nikogo!

Koloniści, rozdrażnieni bezskuteczną stratą czasu, nie chcieli już przedłużać poszukiwań.

Wieczorem 25 lutego wrócili do Granitowego pałacu a w miesiąc później, 25 marca, obchodzili trzecią rocznicę przybycia na wyspę Lincolna.

ROZDZIAŁ LVI.

Trzy lata! — Sprawa odpłynięcia. — Rozwiązanie. — Rozwój kolonji. — Rozpoczęcie budowy. — Zimna. — Penkroff zrezygnowany. — Góra Franklina.

Trzy lata upłynęły od chwili ucieczki więźniów z Richmondu, a ileż to razy przez ten czas rozmawiali z sobą o drogiej rodzinnej ziemi, jakże często przenosili się do niej myślą!

Nie wątpili, że wojna domowa była już skończona; zdawało się niepodobieństwem, aby Północ, broniąca dobrej sprawy, mogła być zwyciężona. Ale ile krwi kosztowała ta straszna wojna, kto z ich krewnych i przyjaciół poległ w tej walce? Tego domyśleć się nie mogli, równie jak nie mogli przewidzieć, kiedy znów staną na ojczystej ziemi. Najgorętszem ich pragnieniem było wrócić do niej, choćby na czas krótki, zawiązać stałe stosunki między ojczyzną i wyspą, potem przepędzić najdłuższą, może najszczęśliwszą część życia w tej

założonej przez siebie kolonji, która naówczas byłaby już zaliczona do posiadłości amerykańskich. Ale czy to pragnienie będzie kiedy spełnione, czy nie należy zaliczyć go do niepodobnych do urzeczywistnienia marzeń?

Bynajmniej; życzenia te mogły być ziszczone w razie, gdyby jaki okręt ukazał się na wodach wyspy Lincolna lub gdyby oni sami zbudowali statek dość mocny, aby w nim można było puścić się w tak daleką podróż.

— Kto wie — mówił nieraz Penkroff — czy nasz duch opiekuńczy nie ułatwi nam także powrotu do ojczyzny?

Rzeczywiście, nie zdziwiłoby to wcale Naba i Penkroffa, gdyby kto im powiedział, że w zatoce Rekina lub w porcie Balonu czeka na nich okręt o trzystu beczkach. Teraz wszystko już wydawało im się prawdopodobne. Cyrus Smith, nie dzielący ich ślepego zaufania, radził, aby z krainy marzeń zeszli w dziedzinę rzeczywistości, i wystawił potrzebę zbudowania nowego statku.

— Zdaje mi się — rzekł do Penkroffa — że powinniśmy zbudować statek większych rozmiarów. Nie mamy pewności, że jacht szkocki przypłynie do wyspy Tabor, a mógł także już tam być i odpłynąć, nie znalazłszy Ayrtona. Trzeba więc zbudować statek dość wielki, ażeby mógł nas przewieźć do Nowej Zelandji, lub do innej zamieszkałej ziemi.

— Zdaje mi się, panie Cyrusie, że potrafisz równie dobrze zbudować statek wielki jak mały; a ponieważ mamy drzewo i potrzebne narzędzia, reszta jest już tylko kwestja czasu.

— Ileż potrzeba miesięcy na zbudowanie statku o dwustu do trzystu beczkach? — zapytał Cyrus.

— Siedem do ośmiu — odpowiedział marynarz. — Ale zima nadchodzi, trzeba pamiętać, że drzewo w ciężkie mrozy trudniej daje się obrabiać; musielibyśmy więc na kilka tygodni zawiesić roboty. Z tego powodu moglibyśmy powinszować sobie, gdyby statek mógł być skończony choćby w początku listopada.

— Byłaby to najwłaściwsza pora do podróży, czyto na wyspę Tabor, czy też do odleglejszej ziemi — rzekł inżynier.

— Z pewnością, panie Cyrusie. Zrób tylko plan, robotnicy są gotowi. Wszakże obecnie będziemy mieli w Ayrtonie dzielnego pomocnika.

Cyrus Smith zajął się więc zrobieniem planu i modelu statku, gdy tymczasem towarzysze jego ścinali i zwozili pyszne dęby i wiązy z lasu Dalekiego Zachodu. Trzeba było śpieszyć się z obróbką drzewa, aby miało czas wyschnąć dostatecznie; dlatego też cieśle pracowali gorliwie przez cały kwiecień, w ciągu którego, szczęściem dla nich, tylko kilka razy silniejsze panowały wichry. Jow pomagał im czynnie, wkładając wraz z nimi na wóz pnie, które po obrobieniu układano w szopie, zbudowanej przy Kominach.

Kwiecień był piękny, pracowali też tak gorliwie, tak umieli korzystać z każdej chwili czasu, że wkrótce na płaszczyźnie Pięknego Widoku stanęły nowe, obszerniejsze jeszcze od spalonych, budynki. W stajni stało już pięć onag: jedna mała, a cztery tak dobrze ujeżdżone, że mogły służyć pod wierzch i do zaprzęgu. Drobiu była już znaczna ilość. Koloniści rozdzielali między siebie robotę, przez cały dzień pracowali pilnie; ale też zato czerstwem cieszyli się zdrowiem i bardzo wesoło przepędzali wieczory, gdy zgromadzeni razem tworzyli tysiączne na przyszłość projekty! Jeden tylko Ayrton był zawsze smutny i milczący, pomimo że był pracowitym, silnym, zręcznym i zdolnym robotnikiem.

Do owczarni udawał się co dwa dni jeden z kolonistów, zaopatrywał w paszę kozy i muflony a, wracając, przywoził mleko. Najczęściej jednak wycieczki te odbywał Harbert lub Gedeon Spilett, zabierając z sobą strzelbę i Topa.

Ma się rozumieć, że komunikację telegraficzną przywrócono między owczarnią i Granitowym pałacem, aby w razie potrzeby koloniści mogli porozumiewać się, chociaż obecnie nie można się było obawiać napaści, przynajmniej ze strony ludzi.

Koloniści zwracali też codziennie lunetę na morze; dotąd nie dostrzegli nic zatrważającego, ale ostrożność była konieczna. Z tego powodu inżynier powziął myśl ufortyfikowania owczarni, to jest miał zamiar podwyższyć palisadę i zbudować rodzaj baszty, w której w danym razie mogliby bronić się przeciwko napastnikom. Wykonanie tej pracy odłożono do przyszłej wiosny.

W ostatnich dniach maja czas był szkaradny; od wschodu wiał wicher z gwałtownością huraganu. Inżynier lękał się, aby nie przewrócił szopy, pod którą złożone było obrobione drzewo; szczęściem jednak, nie ziściły się jego obawy.

Penkroff i Ayrton pracowali gorliwie koło budowy statku, nie zważając na wichry i deszcze, ale kiedy nastały silne mrozy, drzewo tak stwardniało, że trudno je było obrabiać i 10 czerwca trzeba było zawiesić roboty.

Zimy na wyspie Lincolna były tak mroźne, jak w Stanach Nowej Anglji, leżących w równej mniej więcej odległości od równika. Ale jeżeli na półkuli północnej, a przynajmniej w północnej części Stanów Zjednoczonych, można było tłumaczyć to sobie płaskością obszarów, przytykających do bieguna, gdzie góry nie stawiają zapory północnym wiatrom, to tłumaczenie takie nie dało się zastosować do wyspy Lincolna.

— Uczyniono nawet spostrzeżenie — rzekł pewnego dnia Cyrus — że wyspy i okolice nadmorskie nie miewają zim tak mroźnych, jak lądy, leżące pod tą samą szerokością geograficzną, lecz oddalone od morza. Fakt ten tłumaczy się tem, że w zimie morze wydaje z siebie ciepło, które pochłonęło w lecie.

— Dlaczegóżby w takim razie — zapytał Harbert — wyspa Lincolna miała stanowić wyjątek.

— Trudno odpowiedzieć — odpowiedział inżynier. — Zdaje mi się jednak, że trzeba to przypisać położeniu naszej wyspy na półkuli południowej, gdzie, jak wiesz, mrozy są silniejsze niż na północnej.

— Tak — rzekł Harbert — nawet góry lodowe są mniejsze na oceanie Lodowatym północnym, niż na południowym, graniczącym ze Spokojnym.

— To prawda — rzekł Penkroff. — W owym czasie, gdy trudniłem się jeszcze połowem wielorybów, spotykałem takie góry lodowe aż naprzeciwko przylądka Horn.

— W takim razie możnaby wytłumaczyć sobie ostre zimy na wyspie Lincolna obecnością pływających lodów w niewielkiej stosunkowo odległości — powiedział Spilett.

— Jest to bardzo prawdopodobne — odrzekł Cyrus — ale pamiętać trzeba, że południe już przez to samo jest zimniejsze od północy, że słońce jest więcej do niej zbliżone w lecie, a zatem więcej oddalone w zimie.

— Ale dlaczegoż to, panie Smith — zapytał Penkroff — nasza półkula miałaby być tak pokrzywdzona? Byłby to podział niesprawiedliwy.

— Przyjacielu Penkroffie — rzekł inżynier, śmiejąc się — czy to sprawiedliwie, czy nie, nic na to nie poradzimy, a przyczyna tego podziału jest następująca. Ziemia nie opisuje około słońca koła, lecz elipsę. Jedno ognisko tej elipsy zajmuje słońce i w pewnym okresie swego obiegu dochodzi ziemia do punktu największej swej odległości od słońca, zwanego punktem *odsłonecznym*, a w innej epoce do punktu, w którym jest najmniej oddalona od słońca, i wtenczas znajduje się w punkcie *przysłonecznym*. Otóż ziemia znajduje się właśnie w punkcie odsłonecznym wówczas, kiedy na półkuli południowej przypada zima, przez co w tych strefach muszą panować silniejsze mrozy. Zapobiec temu niepodobna, Penkroffie, i ludzie choćby najuczeńsi nie potrafią w niczem zmienić porządku, zaprowadzonego przez samego Stwórcę wszechrzeczy.

— A jednak — rzekł Penkroff — ludzie są tak uczeni, umieją tak wiele! Jakąż to ogromną księgę możnaby napisać o tem, co już znane i wiadome!

— Prawda, lecz większą jeszcze o tem, co nieznane i niewiadome — odpowiedział Cyrus Smith.

W czerwcu mrozy były tak silne, że koloniści rzadko kiedy mogli wychodzić z Granitowego pałacu. Przymusowe to zamknięcie przykrzyło się wszystkim, ale może najwięcej Gedeonowi Spilettowi.

— Wiesz co, Nabie — rzekł pewnego dnia — zrzekłbym się chętnie na twoją korzyść, i to aktem notarjalnym, wszystkich sukce-

syj, jakie mogą kiedyś spaść na mnie, gdybyś mi zato gdziekolwiek, jakąkolwiek zaprenumerował gazetę. Dla mego szczęścia trzeba koniecznie, abym codziennie rano mógł wiedzieć, co się działo poza granicami naszej wyspy.

— Co do mnie — odpowiedział Nab, śmiejąc się — nie mam czasu myśleć o czem innem, jak o codziennej robocie.

Rzeczywiście, tak w domu jak za domem nie brakowało nikomu zajęcia.

Przez całą zimę mrozy były silne; nie dały się jednak uczuć dotkliwie kolonistom, którzy przygotowali sobie zawczasu tak znaczną ilość drzewa i węgli kamiennych, że mogli utrzymywać ciągle suty ogień na kominach. Jeden tylko Jow był tak niewytrzymały na zimno, że trzeba mu było sporządzić ciepły szlafrok, podszyty wełną z muflonów.

Upłynęło już siedem miesięcy od czasu ostatnich poszukiwań około góry Franklina, a opiekuńczy genjusz wyspy nie zdradził niczem swej obecności, może dlatego, że koloniści nie potrzebowali obecnie jego pomocy; w każdym jednak razie inżynier zwrócił na to uwagę, że przez ten czas Top i Jow ani razu nie zbliżyli się do studni z oznaką niepokoju, jak to czynili dawniej. Czy wypadało z tego wnosić, że wszelkie stosunki między nimi i tą tajemniczą istotą zostały na zawsze zerwane? Czy już nigdy nie znajdą sposobności rozwiązania tej dziwnej zagadki?

Zima skończyła się nakoniec, i zaraz w pierwszych dniach wiosny zdarzył się fakt, mogący mieć ważne następstwa. Dnia siódmego września Cyrus Smith ujrzał dym, unoszący się nad kraterem góry Franklina.

ROZDZIAŁ LVII.

Wulkan. — Przyjazna pora. — Prace. — Wieczór 15 października. Depesza. — Odpowiedź. — Wyprawa do zagrody. — Kartka. — Drut dodany. — Przypływ i odpływ morza. — Pieczara. — Oślepiające światło.

Porzucili rozpoczęte prace i długo w milczeniu spoglądali na wierzchołek góry. A więc wulkan przebudził się; wyziewy przebiły masy mineralne, nagromadzone w głębi krateru! Nie można jednak było przewidzieć, czy ogień wewnętrzny sprowadzi gwałtowny wybuch.

Wprawdzie, nawet w razie silnego wybuchu, niebezpieczeństwo nie zagrażałoby prawdopodobnie całej wyspie Lincolna, gdyż nieraz już była wystawiana na podobne próby, jak tego dowodziły potoki zastygłej lawy, pokrywające stoki od północnej strony.

Wszakże przeszłość nie stanowiła jeszcze zupełnej rękojmi na przyszłość; często na szczycie wulkanów zamykają się dawne kratery, a na ich miejsce otwierają się nowe; dowodem tego jest Etna, Popocatepetl i Orizaba; a w przeddzień wybuchu wszystkiego obawiać się można. Dosyć trzęsienia ziemi, towarzyszącego często wybuchom wulkanicznym, aby wewnętrzny ustrój góry uległ zmianom i lawa utorowała sobie nowe drogi. Odtąd nad szczytem góry ciągle już unosił się dym, coraz gęstszy, lecz płomienie jeszcze się nie pokazywały; ogień ześrodkował się dotąd w niższej części czeluści.

Z wiosną rozpoczęły się zwykłe poza domem prace, krzątano się pilnie około budowy statku. Cyrus Smith, dla przyśpieszenia roboty, zbudował tartak wodny, którego mechanizm był tak prosty, jak w wiejskich tartakach w Norwegji. Przyrząd cały składał się z jednego koła, dwóch walców i bloków, odpowiednio ustawionych; koło, obracając się, poruszało jednocześnie piłę i podsuwało pod nią kloce drzewa. Przy końcu września szkielet statku już stał na warsztacie, oklepkowanie było prawie skończone, ale pomimo to zupełne wykończenie znacznego jeszcze wymagało czasu.

Żniwa zajęły kolonistom kilka dni, poczem pracowali znów gorliwie i bez przestanku nad budową statku. Ażeby nie tracić czasu, zmienili nawet godzinę obiadu: po lekkiem śniadaniu w południe jadali obiad po zachodzie i wkrótce potem udawali się na spoczynek, jeżeli zajmująca rozmowa nie zatrzymała ich dłużej w wielkiej sali Granitowego pałacu.

Zwykle w takim razie rozmawiali o przyszłości, o zmianach, jakie zajdą w ich położeniu, gdy po ukończeniu statku popłyną do najbliższej zamieszkanej ziemi. Chociaż tworzyli tysiące projektów, nie opuszczała ich nigdy myśl powrotu na wyspę Lincolna. Penkroff i Nab nadewszystko pragnęli zakończyć na niej życie.

— Harbercie — mówił marynarz — wszak nigdy nie opuścisz wyspy?

— Nigdy, Penkroffie, zwłaszcza, jeżeli ty na niej pozostaniesz.

— To nie ulega wątpliwości, mój chłopcze, będę tu czekał na ciebie! Przywieziesz z sobą żonę, a ja będę piastował, pieścił i psuł twoje dzieci.

— Zgadzam się na to — odpowiadał Harbert, śmiejąc się serdecznie.

— Pan zaś, panie Cyrusie — mówił dalej Penkroff — będziesz gubernatorem naszej wyspy! Ale! ale! ile też ona mogłaby wyżywić mieszkańców? Ja myślę, że najmniej dziesięć tysięcy!

Co do Ayrtona, ten słuchał innych w milczeniu, głównem jego życzeniem było zobaczyć lorda Glenarvana i stanąć przed nim, jako oczyszczony żalem i pokutą, uszlachetniony pracą i poświęceniem dla dobra swych dobroczyńców i towarzyszy.

Piętnastego października rozmowa przedłużyła się do dziewiątej wieczorem, aż wreszcie Penkroff, znużony ciężką całodzienną pracą, przypomniał, że czas udać się na spoczynek. Wstał już, aby odejść do swego pokoju, gdy nagle odezwał się dzwonek przy telegrafie.

Kto mógł dawać sygnał? Nie było nikogo w owczarni.

Cyrus Smith zerwał się z krzesła; inni spoglądali na siebie, niepewni, czy im się nie przywidziało.

— Co to ma znaczyć? — zawołał Nab. — Może to djabeł zadzwonił?

Nikt mu nie odpowiedział

— Mamy dziś burzę — odezwał się Harbert. — Może wpływ elektryczności...

Nie dokończył zdania, gdyż inżynier, na którego wszyscy zwrócili oczy, wstrząsnął przecząco głową.

— Czekajmy — rzekł Gedeon Spilett. — Jeżeli kto daje sygnał, to ponowi go z pewnością.

— Ale któż mógłby dawać sygnał? — zapytał Nab.

— Kto? — odpowiedział marynarz — ten, który...

Powtórny odgłos dzwonka przerwał odpowiedź Penkroffa.

Cyrus Smith zbliżył się do przyrządu telegraficznego i przesłał do owczarni następujące pytanie:

„Czego żądasz?"

W kilka minut później poruszyła się wskazówka na tarczy z alfabetem, i Cyrus wyczytał następującą odpowiedź:

„Przybywajcie jak najśpieszniej do owczarni".

— Nareszcie! — zawołał Cyrus.

Tak, nakoniec tajemnica miała być odkryta! Zapomnieli o znużeniu i potrzebie spoczynku i w jednej chwili wyszli z Granitowego pałacu, pozostawiając w nim tylko Topa i Jowa.

Noc była ciemna. Wszakże najgłębsza nawet ciemność nie mogła powstrzymać kolonistów, znających dobrze drogę do owczarni. Żywem przejęci wzruszeniem, szli śpiesznie. Nie powątpiewali ani na chwilę, że niepojęta zagadka będzie nakoniec rozwiązana, że poznają tę tajemniczą istotę, wywierającą na ich życie wpływ tak dobroczynny i posiadającą tak potężne i niezwykłe środki działania, która zresztą, choć dla nich niewidzialna, musiała często przebywać obok nich, znać ich potrzeby i zamiary, słyszeć ich rozmowy, skoro mogła wporę przybywać im z pomocą.

Zajęci temi myślami, mimowoli przyśpieszyli kroku. Pod sklepieniem drzew tak było ciemno, że o parę stóp przed sobą nie mogli nic dojrzeć: w lesie głęboka panowała cisza; zwierzęta i ptaki, przeczuwające nadchodzącą burzę, kryły się w gęstwinie milczące i nieruchome; najlżejszy powiew wiatru nie poruszał listkami, tylko odgłos kroków przerywał ciszę. Przez całą drogę raz jeden Penkroff przerwał ogólne milczenie.

— Szkoda — rzekł — że nie wzięliśmy z sobą latarni.

— Znajdziemy ją w domku Ayrtona — odpowiedział inżynier.

Burza mogła wybuchnąć lada chwila. Coraz jaskrawsze, coraz gęstsze błyskawice oślepiały ich prawie; huk grzmotów rozlegał się coraz bliżej; powietrze było ciężkie, duszne.

Jednak szli dalej i dalej, jakby popychani nieprzepartą siłą, aż nakoniec przy świetle błyskawicy dojrzeli owczarnię. Zanim przeskoczyli bramę, już gwałtowny huk grzmotu rozległ się nad wyspą.

Stanęli przed domkiem Ayrtona. Zdawało się, że powinniby zastać tam nieznajomego, skoro stąd właśnie przysłał do nich telegram, a jednak nie było widać światła.

Inżynier zapukał do drzwi. Nikt się nie odzywał. Otworzył drzwi, weszli. Nab skrzesał ognia i zapalił latarnię. Nie znaleźli nikogo...

— Czy ulegliśmy złudzeniu? — pomyślał każdy. — Ależ nie, to być nie może, inżynier przeczytał wyraźnie: „Przybywajcie śpiesznie do owczarni!"

Zbliżono się do przyrządu telegraficznego; wszystko było w porządku.

— Kto tu był naostatku? — zapytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odpowiedział Ayrton.

— Jak dawno?

— Cztery dni temu.

— A! jakaś karteczka! — zawołał Harbert, wskazując papier, leżący na stoliku.

Na tej kartce papieru napisane były po angielsku następujące wyrazy:

„Nowozałożony drut będzie wam służył za przewodnika."

— W drogę! — zawołał Cyrus, który domyślił się, że depesza nie wyszła z owczarni, lecz z tajemniczego schronienia, połączonego wprost z Granitowym pałacem zapomocą świeżo dodanego drutu.

Nab wziął latarnię i wszyscy wyszli z owczarni. Burza srożyła się z gwałtownością; błyskawice, pioruny i grzmoty coraz częściej następowały po sobie: przy świetle błyskawic można było widzieć kłęby dymu, wybuchające z czeluści wulkanu.

Na dziedzińcu przed domem nie było dodatkowego drutu, lecz, gdy inżynier zbliżył się do pierwszego słupa za bramą, spostrzegł przy świetle błyskawicy nowy drut, spuszczający się do ziemi.

— Oto jest! — zawołał.

Drut ciągnął się po ziemi.

— Chodźmy, dokąd nas ten drut zaprowadzi — rzekł Cyrus. — Przy świetle latarni i błyskawic nie stracimy go z oczu.

Huk grzmotów rozlegał się bezustanku tak, że ogłuszał prawie. Inżynier sądził, że drut zaprowadzi ich w głąb doliny i że tam znajdą schronienie nieznajomego. Omylił się. Musieli zwrócić się na połu-

dnio-zachód i przedrzeć się między górami na jałową płaszczyznę, przy końcu której wznosiły się wyżej opisane kolumny bazaltowe, ugrupowane tak malowniczo. Koloniści nie powątpiewali już teraz, że drut doprowadzi ich do brzegu morza i że tam w jaskini ukrywa się ten, którego tak długo naprożno szukali.

Całe sklepienie niebios było w ogniu, błyskawice nie ustawały ani na chwilę, pioruny uderzyły kilka razy w szczyt wulkanu i wpadły do jego czeluści: niekiedy można było sądzić, że z krateru buchają płomienie.

Kiedy stanęli na znacznie wzniesionem z tej strony wybrzeżu wyspy, zerwał się silny wicher i do huku grzmotów przyłączył się huk rozbijających się o skały bałwanów. W tem miejscu drut zakręcał się pomiędzy skały i spuszczał stromo na dół wąwozu. Była to niebezpieczna droga: jednak puścili się nią. Jakaś nieprzeparta siła przyciągała ich do tajemniczego celu podróży, jak magnes przyciąga żelazo.

Nareszcie drut zakręcił się nagle i poprowadził ich wzdłuż bazaltowej ściany, ciągnącej się równolegle do morza. Uszedłszy zaledwie sto kroków po łagodnej pochyłości, stanęli nad brzegiem oceanu. Inżynier posunął ręką po drucie i przekonał się, że był zagłębiony w morzu.

Z ust zdumionych kolonistów wydobył się okrzyk prawie rozpaczliwy. Czyż im wypadnie rzucić się w morze i szukać w niem podmorskiej jaskini? Doszli do tego stopnia rozdrażnienia, że gotowi byli nawet to uczynić.

— Zaczekajmy — rzekł Cyrus Smith. — Teraz jest przypływ morza; znajdziemy drogę przy odpływie.

— Z czegóż to pan wnosisz? — zapytał Penkroff.

— Nie przywołałby nas tutaj, gdybyśmy nie mogli dostać się do niego!

Cyrus powiedział to z tak głębokiem przekonaniem, że ufność swą przelał w innych. Zresztą uwaga jego była słuszna; trzeba było wnosić, że u stóp bazaltowej ściany znajdowało się wejście do jaskini, widoczne tylko przy odpływie morza.

Koloniści schronili się w zagłębieniu, nasladującem arkadę, wykutem w skale ręką przyrody. Deszcz zaczął już padać, a wkrótce potem zamienił się w gwałtowną ulewę.

O północy Cyrus udał się z latarnią na brzeg morza; odpływ trwał już dwie godziny. Nie omylił się; sklepienie obszernej jaskini zaczęło już ukazywać się nad wodą, a drut, widoczny teraz, niknął w głębi otworu.

Wrócił do towarzyszy i rzekł spokojnie:

— Za godzinę miejsce będzie odsłonięte.

— Więc jest wejście? — zapytał Penkroff.

— Czy wątpiłeś o tem? — rzekł Cyrus.

— Ale jaskinia będzie zalana wodą do pewnej wysokości — powiedział Harbert.

— Albo woda ustąpi zupełnie z jaskini — rzekł Cyrus — i będziemy mogli wejść do niej, albo ten, który nas wzywa, obmyślił sposób, abyśmy się do niego dostali.

W godzinę potem już byli nad brzegiem morza, które w przeciągu trzech godzin obniżyło się o piętnaście stóp. Sklepienie, tworzące wejście do jaskini, unosiło się nad wodą przynajmniej na osiem stóp, a spieniona woda płynęła pod niem jak pod arkadą mostu. Inżynier, pochyliwszy się naprzód, dostrzegł czarny przedmiot, kołyszący się na falach. Przyciągnął go do siebie; była to łódka, przywiązana do liny, wychodzącej z wnętrza jaskini. Dwa wiosła leżały w niej pod ławkami.

— Siadajmy — rzekł Cyrus.

W kilka minut później byli już na łodzi. Nab i Ayrton wzięli wiosła; Penkroff stanął przy sterze, Cyrus zajął miejsce na przodzie z latarnią w ręku. Sklepienie, dość niskie z początku — wznosiło się dalej raptownie, lecz światło latarni było za słabe i nie pozwoliło rozpoznać rozległości i wysokości jaskini, w której wnętrzu uroczysta panowała cisza; nawet huk grzmotów nie zdołał zakłócić spokoju.

We wszystkich częściach ziemi znajdują się ogromne jaskinie; jedne zalane są falami morskiemi, inne, zawierające jeziora, jak grota Fingla na wyspie Staffa, groty Morgat w zatoce Douarnezes w Bretanji, groty Bonifacio na Korsyce, Lyse Fiord w Norwegji, ogromna jaskinia Mamuta w Kentucky, wysoka na pięćset, a długa na dwadzieścia tysięcy stóp!

Płynęli już pół godziny wewnątrz jaskini, w kierunku wskazywanym Penkroffowi przez inżyniera, baczącego, aby nie oddalić się od drutu, wskazującego im drogę, gdy Cyrus zawołał:

— Zatrzymajmy się!...

Łódź stanęła. Kolonistów olśnił blask światła, oświetlający ogromną pieczarę, której istnienia nie domyślali się nawet. O sto najmniej stóp nad ich głowami zaokrąglało się sklepienie, poprzecinane fantastycznie rozrzuconemi wypukłościami i wsparte na kolumnach bazaltowych. Kolumny te proste, jednolite, stały szeregami w równych prawie odstępach i odbijały się w wodzie zupełnie tu spokojnej, pomimo wichru i burzy, srożącej się poza obrębem jaskini. Promienie światła wdzierały się w każde choćby najmniejsze zagłębienie, zatrzymywały się na najlżejszych nawet wypukłościach, łamały się w różnych kierunkach, jakgdyby sklepienie i ściany wysadzone były drogiemi kamieniami, wszystko to odbijało się w wodzie, i łódka zdawała się kołysać między dwiema ognistemi smugami.

Odrazu można było odgadnąć, z jakiego to ogniska rozchodzą się te jasne promienie, oświetlające jaskinię; tylko światło elektryczne mogło być tak żywe i białe.

Na znak dany przez Cyrusa wiosła uderzyły w wodę, a rozpryskujące się jej kropelki błyszczały jak diamenty. Łódka zaczęła się zbliżać do ogniska i wkrótce już tylko kilkadziesiąt sążni oddzielało ją od niego.

W tem miejscu woda zalewała przestrzeń, mającą około trzystu pięćdziesięciu stóp szerokości, i tworzyła małe jezioro; dalej rozściągała się ściana bazaltowa, zamykająca z tej strony pieczarę, rozszerzoną tu znacznie. Sklepienie, ściany, kolumny silnie oblane były światłem elektrycznem; zdawało się, jakby to światło od nich się rozchodziło. Koloniści dostrzegli unoszący się w środku jeziora przedmiot znacznych rozmiarów, z którego boków wychodziły promienie tak żywe. Przedmiot ten, przypominający kształtem ogromnego wieloryba, był długi na jakie dwieście pięćdziesiąt stóp, a wznosił się nad poziom jeziora na dziesięć lub dwanaście.

Łódź zbliżyła się do niego. Cyrus wstał z ławki i czas jakiś spoglądał na przedmiot z widocznym niepokojem, potem zawołał, schwyciwszy rękę reportera:

— Ależ to on! on z pewnością!...

Po tych słowach usiadł, wymawiając jakieś nazwisko, tak cicho, że je tylko Gedeon mógł usłyszeć. Widać, że reporter znał je dawniej, gdyż uczyniło na nim bardzo silne wrażenie. i odpowiedział stłumionym głosem:

— Czy to być może! On! Człowiek wyjęty z pod opieki prawa!

— Tak, to on! — odpowiedział Cyrus.

Na rozkaz inżyniera czółno przybiło do lewego boku tego dziwnego statku. Koloniści weszli na platformę i przez otwartą klapę spuścili się do wnętrza po drabinie. Znaleźli się najprzód w długim korytarzu oświetlonym; w końcu jego znajdowały się drzwi, które Cyrus otworzył.

Przeszli szybko przez wspaniale urządzoną salę, przytykającą do bibljoteki. Inżynier otworzył drzwi, znajdujące się w głębi bibljoteki i zdumionym oczom kolonistów przedstawił się obszerny salon, czyli muzeum, gdzie obok prawdziwych skarbów z dziedziny mineralogji, nagromadzone były drogocenne dzieła sztuki i przemysłu. Wszedłszy tam, sądzili, że się znajdują w zaczarowanej krainie.

W jednym rogu salonu, na niskiej sofce, pokrytej bogatym kobiercem, leżał człowiek, który, jak się zdawało, nie dostrzegł ich jeszcze.

Cyrus postąpił parę kroków, potem głośno i dobitnie wyrzekł następujące słowa:

— Kapitanie Nemo, wezwałeś nas, jesteśmy!...

ROZDZIAŁ LVIII.

Kapitan Nemo. — Pierwsze wyrazy. — Historja bohatera niepodległości. — Nienawiść do zaborców. — Towarzysze. — Życie pod powierzchnią morza. — Sam jeden. — Ostatnie schronienie „Nautilusa" przy wyspie Lincolna. — Duch opiekuńczy wyspy.

Człowiek leżący na sofie powstał, i wówczas zobaczyli twarz jego. Piękna to była głowa, czoło wysokie, spojrzenie śmiałe i wyniosłe, broda biała, włosy gęste, wtył odrzucone.

Wsparł się ręką na poduszkach. Widocznie był wycieńczony długą chorobą, lecz głos jego był jeszcze dość silny, gdy odezwał się po angielsku, tonem, wyrażającym głębokie zdziwienie:

— Nie mam żadnego nazwiska.

— Ja znam je oddawna, kapitanie — odpowiedział Cyrus.

Kapitan Nemo spojrzał na inżyniera gniewnym wzrokiem; potem wsparł głowę na poduszkach i rzekł cicho, jakby do siebie:

— Mniejsza o to zresztą, gdy chwile mojego życia już są policzone!

Cyrus zbliżył się do kapitana Nemo. Gedeon przystąpił także do niego i wziął go za rękę: była mocno rozpalona. Ayrton, Penkroff, Harbert i Nab zatrzymali się nieco dalej.

Kapitan Nemo wysunął prędko rękę i prosił Cyrusa i Gedeona, aby usiedli. Wszyscy spoglądali na niego z głębokiem wzruszeniem. Więc ten, którego nazwali opiekuńczym duchem wyspy, był tuż przed ich oczyma. Zobaczyli nakoniec tę tajemniczą istotę, która tyle razy śpieszyła im z pomocą, tego dobroczyńcę, któremu tak wiele winni byli wdzięczności. I ten dobroczyńca, ten potężny opiekun był tylko człowiekiem i to człowiekiem umierającym, gdy Penkroff i Nab przedstawiali go sobie, jako istotę nadludzką. Ale jakimże sposobem Cyrus mógł znać kapitana Nemo?...

— Więc znasz nazwisko, które nosiłem niegdyś? — zapytał kapitan, wpatrując się w inżyniera.

— Tak — odpowiedział Cyrus — a prócz tego znam jeszcze nazwisko tego pięknego statku podwodnego.

— „Nautilus" — rzekł, uśmiechając się kapitan.

— Tak, „Nautilus"...

— Ale czy wiesz... czy wiesz... kim jestem?

— Wiem.

— Wszakże upłynęło już tyle lat od chwili, w której zerwałem stosunki z ludźmi; od tylu lat żyję w głębi morza, w jedynem miejscu, gdzie jeszcze można znaleźć swobodę! Któż mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek, który nie zobowiązał się nigdy, że jej dotrzyma, którego zatem nie można obwiniać o zdradę.

— Któż taki?

Pewien Francuz, który dostał się przypadkiem na twój statek, kapitanie.

— Więc człowiek ten nie utonął wraz z dwoma towarzyszami przy brzegach Norwegji?

— Nie, i wydał dziełko pod tytułem „Dwadzieścia tysięcy mil pod morzem", w którem zamieścił dzieje twego życia, kapitanie.

— Dzieje kilku miesięcy z mojego życia! — odpowiedział żywo kapitan Nemo.

— Tak, ale kilka miesięcy życia tak niezwykłego były dostateczne, aby...

— Aby zapewne uznać mnie za wielkiego zbrodniarza, za buntownika, wyjętego z pod opieki prawa! Czy tak?

Cyrus milczał.

— Nie odpowiadasz pan?

— Nie mam prawa wydawać sądu o kapitanie Nemo, zwłaszcza, jeżeli to dotyczy jego przeszłości. Nie wiem, równie jak inni, co mogło go skłonić do prowadzenia tak dziwnego życia, a nie można sądzić o skutkach, nie znając przyczyn, które je wywołały. Wiem tylko, że dobroczynna ręka dopomagała nam od pierwszej chwili naszego pobytu na wyspie, że nas wszystkich uchroniła od śmierci; mógł to uczynić tylko człowiek dobry, szlachetny, a tym dobrym i szlachetnym człowiekiem jesteś ty, kapitanie Nemo.

— Tak, ja — odpowiedział kapitan z prostotą.

Cyrus i Gedeon powstali, towarzysze ich zbliżyli się do sofy, aby choremu wynurzyć wdzięczność, przepełniającą ich serca; ale kapitan Nemo powstrzymał ich skinieniem ręki i odezwał się głosem, zdradzającym wzruszenie:

— Wysłuchajcie mnie pierwej!

Następnie opowiedział im dzieje całego życia. Mówił krótko, zwięźle; jednak znać było, że musi zbierać wszystkie siły, aby dojść do końca. Cyrus prosił go kilka razy, aby odpoczął choć trochę, ale wstrząsnął tylko głową, jak człowiek pewny, że nie doczeka jutra. Gdy reporter zalecał mu orzeźwiające środki, odpowiedział:

— Na nic się już nie zdadzą, moje godziny są policzone.

Kapitan Nemo był Hindusem, synem radży niezależnej prowincji Bundelkund i siostrzeńcem Tippo-Saiba, bohatera Indyj Wschodnich; prawdziwe jego nazwisko było: książę Dakkar. Zaledwie doszedł do dziesięciu lat życia, ojciec posłał go do Europy, aby tam pobierał nauki i mógł kiedyś wystąpić do walki z tymi, których uważał za ciemięzców swej ziemi.

Książę Dakkar, obdarzony wielkiemi zdolnościami i najpiękniejszemi przymiotami serca, poświęcił dwadzieścia lat życia na wzbogacenie umysłu i wielkie poczynił postępy we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. Podróżował po całej Europie, był poszukiwany w najwyższych towarzystwach, ale uciechy świata nie nęciły go

wcale; młody i piękny, był zwykle poważny, prawie posępny, namiętnie oddany naukom.

W jednym tylko kraju nie postała nigdy noga księcia, do jednego tylko narodu czuł nieprzebłaganą nienawiść, a tym narodem byli Anglicy; nienawidził Anglji tem silniej, że w wielu razach musiał jej oddawać zasłużone pochwały. Serce Hindusa owładnęła zacięta nienawiść zwyciężonego ku zwycięzcy. Syn jednego z tych władców, nad którymi Anglja uzyskała tylko nominalne zwierzchnictwo, książę z rodziny Tippo-Saiba, któremu od dzieciństwa wpajano przekonanie, że powinien się zemścić i upomnieć o należne prawa, nie chciał nigdy wstąpić na tę obciążoną jego przekleństwem ziemię, której synowie ujarzmili Indje.

Książę Dakkar stal się artystą i umiał godnie oceniać arcydzieła sztuki; był uczonym, któremu żadna gałąź wiedzy nie była obca, nakoniec mężem stanu, wykształconym na europejskich dworach. W oczach ludzi, znających go tylko powierzchownie, mógł uchodzić za człowieka chciwego nauki, lecz nieskorego do czynu, za jednego z tych bogatych podróżników, którzy przebiegają wszystkie kraje, ale nie umieją ukochać żadnego. Mylono się. Ten uczony, ten artysta, ten mąż stanu, sercem pozostał Hindusem; Hindusem był także przez gorącą żądzę zemsty, przez ożywiającą go nadzieję, że kiedyś upomni się o prawa, należne jego krajowi ,wypędzi cudzoziemców i oswobodzi Indje.

Wrócił do Bundelkundu w 1849 roku, ożenił się z młodą i piękną Hinduską, bolejącą równie jak on nad niedolą swego kraju, miał dwoje dzieci, które kochał namiętnie, ale szczęście domowe nie głuszyło w nim pamięci o nieszczęściach Indyj. Czekał sposobności, ale czekał daremnie.

Jarzmo angielskie coraz bardziej przygniatało barki Hindusów; książę Dakkar starał się przelać w ich serca nienawiść, jaką sam czuł dla cudzoziemców; przebiegał w tym celu nietylko wolne jeszcze prowincje, ale i podległe Anglji; przypomniał wszystkim czasy Tippo-Saiba, który poległ śmiercią bohaterską w Seringapatam, walcząc w obronie ojczyzny.

W roku 1857 wybuchło powstanie cypayów; książę Dakkar był jego duszą. Poświęcił tej sprawie cały majątek, wszystkie zdolności i siebie samego. Szedł do walki w pierwszych szeregach, narażał życie jak prosty żołnierz; stoczył przeszło dwadzieścia bitew, dziesięć razy był raniony i nie znalazł śmierci, gdy ostatni jego żołnierze polegli od kul angielskich. Nigdy jeszcze panowanie Anglików w Indjach nie było tak zachwiane, jak w czasie tego powstania, i gdyby cypaye otrzymali pomoc z zewnątrz kraju, jak się tego spodziewali, Indje byłyby wyswobodzone na zawsze.

Głośne było wówczas jego nazwisko. Bohater ten nie ukrywał się, lecz walczył otwarcie. Nałożono okup na jego głowę.

Wprawdzie nie znalazł się zdrajca, któryby go wydał wrogom, ale ojciec, matka, żona i dzieci księcia odpokutowały za niego, zanim dowiedział się, jakie z jego powodu grozi im niebezpieczeństwo...

Prawo raz jeszcze uległo sile. Cypaye zostali zwyciężeni i państwo dostało się pod władzę Anglików.

Książę Dakkar schronił się w góry Bundelkundu; tam czas pewien żył zupełnie samotny, czuł wstręt do ludzi, brzydził się światem cywilizowanym i postanowił nigdy już do niego nie wrócić. Po niejakim czasie zgromadził koło siebie dwudziestu najwierniejszych towarzyszów, zebrał resztki bogactw, i pewnego dnia wszyscy razem zniknęli bez śladu.

Gdzież książę Dakkar postanowił szukać tej niepodległości, której nie mógł znaleźć między ludźmi? Pod wodą, w głębi morza, gdzie nikt nie mógł go dosięgnąć.

Wojownik ustąpił miejsca uczonemu. Na jednej z bezludnych wysp oceanu Spokojnego zbudowany został, według jego planu, podwodny statek. Elektryczność, której nieporównaną siłę mechaniczną potrafił zużytkować, zastosowano do tego statku podwodnego jako siłę poruszającą, oświetlającą i ogrzewającą. Morze, zawierające w sobie nieprzeliczone skarby, mirjady ryb, tysiące roślin, obszary porostów, ogromne zwierzęta ssące, a nadto wszystko, co w niem ludzie utracili, obficie zaopatrywało potrzeby księcia i osady statku. To właśnie odpowiadało jego życzeniom, skoro już nie chciał mieć żadnego stosunku z ziemią. Książę nadał swemu statkowi nazwę „Nautilus", sam przybrał nazwisko kapitana Nemo i zniknął w morzu.

Przez długie lata kapitan przepływał oceany od bieguna do bieguna; w podróżach tych zebrał ogromne skarby. Miljony, stracone przez Hiszpanów, wskutek rozbicia ich okrętów z zatoce Vigo, były dla niego niewyczerpanem źródłem bogactw, które przesyłał bezimiennie na szlachetne cele! Dla samych Kandjotów, w czasie ich powstania, posłał znaczne sumy.

Oddawna już nie miał stosunków z ludźmi, żyjącymi poza obrębem jego statku, kiedy trzech ludzi dostało się przypadkiem na platformę jego statku. Był to profesor Francuz, jego służący i rybak Kanadyjczyk. Ci ludzie zostali rzuceni w morze wskutek uderzenia „Nautilusa" o ścigającą go fregatę Stanów Zjednoczonych „Abraham Lincoln".

Kapitan Nemo dowiedział się od profesora, że „Nautilus" uważany przez jednych za olbrzymie zwierzę z rodziny wielorybów, przez innych za korsarski statek podwodny, był ścigany na wszystkich morzach. Mógł zepchnąć napowrót w morze tych ludzi, których wypadek czynił powiernikami jego tajemniczego życia; nie uczynił jednak tego i przez siedem miesięcy mogli podziwiać cuda, przedstawiające się ich oczom w ciągu tej podmorskiej podróży.



Porzucili rozpoczęte prace i długo w milczeniu spoglądali na wierzchołek góry (str. 300).

W kilka miesięcy po tem zdarzeniu ci trzej ludzie, nie znający wcale przeszłości kapitana Nemo, zdołali uciec na szalupie „Nautilusa", lecz że „Nautilus" walczył wtenczas z nader niebezpiecznym prądem podwodnym przy brzegach Norwegji, zwanym Maelstrom, kapitan sądził, że zbiegowie, niezdolni oprzeć się jego sile, znaleźli śmierć w głębi morza, gdy tymczasem Francuz i dwaj jego towarzysze zostali wyrzuceni na brzeg. Rybacy wysp Loffoden zabrali ich

do siebie, i profesor, powróciwszy do Francji, ogłosił drukiem ciekawe szczegóły dziwnej podróży podmorskiej.

Długo jeszcze kapitan Nemo przebiegał głębiny morskie, lecz towarzysze jego wymierali zwolna i coraz więcej ciał spoczywało na koralowym cmentarzu na dnie oceanu Spokojnego. Wreszcie kapitan Nemo sam tylko pozostał na „Nautilusie”. Miał wtedy lat sześćdziesiąt.

Sam już tylko na świecie, nie mógł myśleć o dalekich podróżach, lecz zdołał doprowadzić „Nautilusa” do jednego z podmorskich portów, w których zatrzymywał się niekiedy; ten port znajdował się właśnie pod wyspą Lincolna.

Kapitan zostawał tam już od paru lat, oczekując chwili, w której śmierć połączy go z towarzyszami, gdy wypadek zdarzył, że był obecny przy spadaniu balonu na wyspę. W ubraniu nurka przechadzał się pod wodą, gdy inżynier wpadł w morze. Wrodzona szlachetność przemogła w nim uczucie niechęci do ludzi... wyratował Cyrusa.

Z początku chciał uciec od rozbitków, ale, zapewne wskutek działania wulkanicznego, wejście do pieczary zmniejszyło się tak znacznie, że „Nautilus’ nie mógł już przepłynąć przez nie. Kapitan Nemo musiał więc pozostać i mimowoli zwrócić uwagę na tych pięciu ludzi, rzuconych na bezludną wyspę a nic zgoła nie posiadających. Po niejakim czasie, gdy się przekonał, jak są zacni, energiczni, pracowici, jak prawdziwie braterskie czują jedni dla drugich przywiązanie, postanowił im dopomagać, nie pokazując się jednak wcale. Dochodził wodą aż do studni, znajdującej się w Granitowym pałacu i, korzystając z zagłębień i wypukłości skały, dostawał się aż do zewnętrznego otworu. Tym sposobem, słysząc ich rozmowy, poznał ich przeszłość i wiedział, jakie mają zamiary. Ci koloniści mogli pogodzić kapitana z ludźmi, których tak zacnymi byli przedstawicielami.

Kapitan Nemo uratował życie Cyrusowi Smithowi, on doprowadził Topa do Kominów; po walce z dugongiem, wyrzucił go na brzeg jeziora; podrzucił skrzynię, zawierającą tyle użytecznych przedmiotów; po napadzie małp na Granitowy pałac, spuścił sznurową drabinę; uwiadomił kolonistów o pobycie Ayrtona na wyspie Tabor; wysadził w powietrze bryg korsarski; dostarczaniem chininy uchronił Harberta od śmierci; nakoniec odebrał życie zbrodniarzom wynalezionemi przez siebie kulami elektrycznemi, których używał, polując w morzu.

Teraz, gdy pewność zbliżającej się śmierci przytłumiła niechęć do ludzi w szlachetnym sercu odludka, przywołał ich do siebie... Może jednak nie uczyniłby tego, gdyby wiedział, że Cyrus Smith zna o tyle dzieje jego życia, iż będzie mógł przywitać go, jako kapitana Nemo.

Gdy skończył opowiadanie, Cyrus Smith, w swojem i towarzyszy imieniu, wyraził mu serdeczną wdzięczność za to wszystko, co dla nich uczynił, lecz kapitan Nemo przerwał mu zapytaniem:

— Teraz, kiedy już znane jest panu całe moje życie, jakiż sąd wydasz o mnie?

Kapitan, mówiąc to, miał widocznie na myśli straszny wypadek, jaki zaszedł w czasie pobytu profesora na statku i który ten musiał z pewnością zamieścić w opisie swej podmorskiej podróży. Na kilka dni przed ucieczką profesora i jego towarzyszy „Nautilus", ścigany przez fregatę na oceanie Atlantyckim, uderzył w nią z taką siłą, że zatonęła. Cyrus Smith zrozumiał myśl kapitana, lecz nic nie odpowiedział.

— Była to fregata angielska — zawołał kapitan Nemo, w którym nie wygasły jeszcze uczucia księcia Dakkar. — Czy słyszysz pan? fregata angielska! Ścigała mnie. Znajdowałem się wówczas w ciasnej i płytkiej zatoce!... Musiałem z niej wypłynąć i wypłynąłem!

Milczenie trwało kilka chwil, poczem kapitan Nemo zapytał znowu:

— Jakiż sąd panowie wydacie o mnie?

Cyrus Smith podał rękę kapitanowi i rzekł z powagą:

— Kapitanie, popełnione przez ciebie błędy należą do rzędu tych, które Bóg tylko sprawiedliwie osądzić może, a rozum ludzki rozgrzeszyć powinien. Jeśli ktoś błądzi z tem przekonaniem, że czyni dobrze, można potępiać jego zasady, ale nie można odmówić mu szacunku. Winy twoje należą do tych, które pod pewnym względem zasługują na uwielbienie — nie potrzebujesz obawiać się sądów historji; lubi ona bohaterskie szaleństwa, chociaż potępia wynikające z nich skutki.

Z piersi kapitana Nemo wydobyło się głębokie westchnienie, wzniósł ręce do Nieba i zawołał stłumionym głosem:

— Boże! czy byłem w błędzie, czy też miałem słuszność?

Cyrus Smith mówił dalej:

— Wszystkie wielkie czyny wracają do Boga, ponieważ od Niego pochodzą. Kapitanie Nemo, ludzie uczciwi, otaczający cię w tej chwili, dla których uczyniłeś tak wiele, zawsze opłakiwać cię będą!

Harbert zbliżył się do kapitana, ukląkł przy nim i ucałował jego rękę.

Łza potoczyła się z oczu umierającego.

— Niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecię!

ROZDZIAŁ LIX.

Ostatnie chwile kapitana Nemo. — Wola konającego. — Wspomnienie o przyjaciołach. — Zgon kapitana Nemo. — Rady jego. — Chwila wzruszająca. — W głębi morza.

Dzień nadszedł, ale światło nie mogło dostać się do wnętrza pieczary, do której wejście morze całkiem teraz zasłaniało: przez grube tafle szkła, osadzone w bocznych ścianach „Nautilusa", zawsze równie silny blask elektrycznego światła rozchodził się dokoła!

Kapitan Nemo leżał bezsilny na sofie. Nie można było myśleć o przeniesieniu go do Granitowego pałacu, gdyż oświadczył wyraźnie, że chce pozostać na „Nautilusie", wpośród nagromadzonych przez siebie bogactw i arcydzieł sztuki, i tak oczekiwać śmierci, która już unosiła się ponad jego głową.

Podczas dość długiego omdlenia, gdy chory stracił prawie przytomność, Cyrus i Gedeon zbadali starannie stan jego zdrowia. Niepodobna było łudzić się nadzieją: kapitan gasnął powoli. W tem ciele, tak krzepkiem dawniej, wyczerpały się siły; pozostała krucha łepianka, z której dusza niedługo ulecieć miała. Resztki życia ześrodkowały się w sercu i głowie.

Cyrus i Gedeon naradzali się cichym głosem, czy były jeszcze środki ratunku. Czy można jeszcze było, jeśli nie uratować kapitana, to przynajmniej choć na kilka dni przedłużyć jego życie.

— Niema żadnego ratunku — rzekł reporter.

— Ale na jakąż on umiera chorobę? — zapytał Penkroff.

— Siły wyczerpały się i powoli gaśnie, jak dopalająca się świeca — odrzekł Gedeon.

— Może orzeźwiłby się nieco, gdybyśmy przenieśli go na świeże powietrze, na słonce — rzekł marynarz.

— Nie, Penkroffie — odparł inżynier — żadne ludzkie środki nie pomogą, gdy Bóg wzywa kogo do siebie — a potem kapitan Nemo nie chce opuścić swego statku. Tyle lat życia spędził na „Nautilusie", że na nim też umierać pragnie.

Widać kapitan dosłyszał te słowa Cyrusa Smitha, gdyż uniósł nieco głowę i rzekł słabym głosem:

— Masz pan słuszność, powinienem i chcę tu umierać, ale mam jeszcze objawić wam ostatnią moją wolę.

Cyrus Smith i towarzysze jego zbliżyli się do sofy i poprawili poduszki, aby umierający mógł wesprzeć się na nich wygodniej. Kapitan odetchnął ciężko i powiódł wzrokiem po wszystkich cudach i arcydziełach sztuki, nagromadzonych w salonie. Przypatrywał się zkolei obrazom, pozawieszanym na wspaniałych kobiercach, pokrywających ściany: były to arcydzieła mistrzów włoskich, flamandzkich, hiszpańskich, francuskich; na piedestałach wznosiły się bronzowe

i marmurowe posążki, przedstawiające w zmniejszeniach słynne dzieła sztuki; wspaniałe organy wspierały się o tylną ścianę; ku środkowi, pod szklanemi taflami nagromadzone były najpiękniejsze płody morskie, rośliny, zwierzokrzewy, sznury pereł nieocenionej wartości. Nakoniec zatrzymał wzrok na napisie, umieszczonym na przodzie; była to dewiza „Nautilusa”:

Mobilis in mobili.

Zdawało się, że pragnie po raz ostatni pieszczotliwem objąć wejrzeniem te arcydzieła sztuki i przyrody, stanowiące świat jego z czasu tyloletniego pobytu w otchłaniach morskich.

Cyrus Smith szanował milczenie kapitana, oczekując, aż sam mówić zacznie. Jakoż po kilku chwilach, w ciągu których zapewne uprzytomnił sobie w myśli całą przeszłość swoją, kapitan zwrócił się, mówiąc:

— Sądzicie, panowie, iż winni mi jesteście pewną wdzięczność...

— Kapitanie, każdy z nas oddałby życie, aby przedłużyć twoje.

— Dobrze więc — odrzekł — zatem przyrzeknijcie mi, że spełnicie moją ostatnią wolę, a będę stokrotnie wynagrodzony za wszystko, co mogłem zrobić dla was.

— Przyrzekamy to najuroczyściej! — zawołał Cyrus Smith, zobowiązując się temi słowy za siebie i swoich towarzyszy.

— Panowie — mówił dalej kapitan — jutro do lepszego przeniosę się świata... jutro śmierć zamknie oczy moje i pragnę, aby „Nautilus” stał się grobowcem moim. Będzie to moja trumna! Wszyscy przyjaciele moi spoczywają w otchłaniach morskich, chcę połączyć się z nimi.

— Panowie! — mówił po chwili. — „Nautilus” uwięziony jest w tej grocie, do której wejście znacznie się zmniejszyło; lecz jeśli niepodobna mu opuścić swego więzienia, może zato zapaść się w otchłań, kryjącą się pod nim i pogrzebać w niej śmiertelne moje szczątki.

Koloniści w milczeniu słuchali słów umierającego.

— Jutro, po mojej śmierci — mówił dalej — opuścicie panowie „Nautilusa”, gdyż wszystkie znajdujące się w nim bogactwa powinny zginąć wraz ze mną. Książę Dakkar, którego dzieje poznaliście teraz, jedną tylko pozostawi wam pamiątkę. Ta szkatułka... tam... zawiera w sobie brylanty, warte kilkanaście miljonów; większa ich część pochodzi z tych czasów, gdy, będąc jeszcze mężem i ojcem, wierzyłem prawie w szczęście. Tam także mieszczą się perły, które ja i przyjaciele moi znaleźliśmy w głębi morza. Posiadając takie skarby, będziecie kiedyś w możności robić wiele dobrego; w rękach takich ludzi, jak ty, panie Smith, i twoi towarzysze, pieniądze nie sprowadzą złych następstw — jestem o to spokojny. Duch mój cieszyć się bę-

dzie z każdego waszego dobrego uczynku, a tak poniekąd i z poza grobu będę brał w nim udział.

Osłabienie zniewoliło go odpocząć chwil kilka, poczem mówił dalej:

— Jutro zabierzecie tę skrzynkę i, opuściwszy salon, zamkniecie drzwi na klucz, następnie wejdziecie na platformę, a klapę przybijecie gwoździami.

— Spełnimy to, kapitanie — odpowiedział Cyrus.

— Dobrze. Potem odpłyniecie na łódce, na której dostaliście się do mnie; ale przed opuszczeniem „Nautilusa", przejdźcie na tył statku i odkręćcie dwa wielkie znajdujące się tam kurki; tym sposobem woda dostanie się do wnętrza, statek zatonie powoli i osiądzie w głębi otchłani!

Cyrus Smith zrobił ruch jakby przeczący.

— Bądź pan spokojny — rzekł kapitan — przecież już żyć nie będę — pochowacie w ten sposób moje zwłoki.

Ale Cyrus Smith, ani żaden z jego towarzyszy nie śmiał robić uwag. Kapitan przekazywał im ostatnią swoją wolę — powinni spełnić ją sumiennie.

— Czy przyrzekacie mi to, panowie? — zapytał.

— Przyrzekamy uroczyście! — odrzekli.

Kapitan podziękował i prosił, aby go na kilka godzin zostawili samego. Gedeon Spilett nalegał, aby mu pozwolił zostać przy sobie, gdyż mogłoby nastąpić przesilenie choroby; chory odmówił, mówiąc:

— Umrę jutro!

Opuścili salon, przeszli przez bibljotekę i salon jadalny i dostali się na przód okrętu, do pokoju, w którym mieściły się maszyny i przyrządy elektryczne, dostarczające „Nautilusowi" światła, ciepła i siły mechanicznej.

Inżynier patrzył zdumiony; „Nautilus" był arcydziełem i same zawierał arcydzieła.

Przeszli na platformę, wznoszącą się na siedem do ośmiu stóp ponad wodą; tu ujrzeli grubą soczewkowatą taflę szkła, zamykającą, jakby wielkie oko, latarnię, z której tryskała wiązka światła. Poza tem okiem urządzona była kajuta, w której mieściły się koła steru, tam przebywał sternik, gdy kierował „Nautilusem" wśród fal morskich, oświetlonych na dość znaczną odległość przez promienie światła elektrycznego.

Cyrus Smith i jego towarzysze patrzyli na wszystko, zdjęci podziwem; serca ich ściskały się boleśnie na samą myśl, że ten, którego opiekuńcze ramię tyle razy przychodziło im z pomocą, którego zaledwie od kilku godzin poznali, ma już niezadługo ten świat opuścić!

Jakikolwiek sąd wyda kiedyś potomność o postępowaniu i czynach księcia Dakkara, żyjącego, że tak powiemy, życiem pozaludz-

kiem, zawsze pozostanie on jedną z tych niezwykłych, niepojętych istot, których pamięć nigdy nie zaginie.

— To mi człowiek! — rzekł Penkroff. — Czy to słychana rzecz przeżyć tyle lat w głębiach oceanu!.. A jednak kto wie, czy i tu znalazł większy spokój niż na świecie!...

— Może — rzekł Ayrton — moglibyśmy na „Nautilusie" opuścić wyspę Lincolna i dopłynąć do zamieszkałej ziemi?

— Kroć sto tysięcy! — zawołał Penkroff. — Za nic w świecie nie odważyłbym się kierować takim statkiem; płynąć po morzach — to rozumiem — ale pod morzem... to za mądre dla mnie!

— Zdaje mi się, Penkroffie — rzekł reporter — że kierowanie takim statkiem podwodnym jak „Nautilus" nie musi być trudne, łatwo się z nim obeznać. Nie trzeba się obawiać ani burz, ani uderzenia o inny okręt: na kilka stóp pod powierzchnią morze jest tak spokojnie jak wody jeziora.

— Być może — odrzekł marynarz — ale wolę już choćby burzę na dobrze urządzonym i zaopatrzonym okręcie. Statki są do tego, aby pływały po wodzie, a nie pod wodą.

— Towarzysze — rzekł inżynier — niema co rozprawiać teraz o okrętach podwodnych. „Nautilus" nie jest naszą własnością, i nie mamy prawa nim rozporządzać. Najpierw niepodobnaby było wydobyć go z tej pieczary, której wejście zamknęło znaczne podwyższenie się skał bazaltowych, a potem kapitan Nemo pragnie, aby po jego śmierci wraz z jego zwłokami zapadł się w otchłań. Taka jest wyraźna jego wola — i spełnimy ją uczciwie.

Przez czas pewien przypatrywali się i podziwiali urządzenie „Nautilusa", potem zeszli do wnętrza i, posiliwszy się, wrócili do salonu.

Kapitan Nemo odzyskał nieco sił; oczy jego jasnym świeciły blaskiem; pogodny uśmiech zarysował się na jego ustach.

Zbliżyli się do niego.

— Panowie! — rzekł — jesteście odważni, dobrzy i uczciwi ludzie. Wszyscy poświęciliście się nieograniczenie dla wspólnego dobra; często patrzyłem na wasze postępowanie i słuchałem rozmów... Pokochałem was i kocham... Podaj mi dłoń twoją, panie Cyrusie!

Cyrus Smith wyciągnął rękę, którą kapitan serdecznie uścisnął.

— Miło jest uścisnąć dłoń zacnego człowieka! — wyszeptał, potem mówił znowu:

— Ale nie mówmy już o mnie, lecz o was i o wyspie Lincolna, na której znaleźliście schronienie... Zamyślacie ją opuścić?

— Ale czasowo tylko, kapitanie. Pragniemy tu powrócić — rzekł Penkroff.

— Powrócić!... No, wiem ja, Penkroffie, jak ukochaliście tę wyspę, którąście waszą pracą tak odmienili i urządzili, że macie wszelkie prawo uważać ją za swoją własność...

— Zamiarem naszym, kapitanie — rzekł Cyrus — jest oddać ją Stanom Zjednoczonym i założyć tu stację dla naszej marynarki, która w tej stronie oceanu Spokojnego mogłaby się stać nader pożyteczna.

— Pięknie to i szlachetnie, że nie zapominacie o waszym kraju rodzinnym i pracujecie dla jego pomyślności i chwały... O, macie słuszność! Każdy powinien pragnąć walczyć i umierać na ojczystej ziemi... A ja! ja, nieszczęsny! umieram tak daleko od wszystkiego, co kochałem!...

— Może masz jakie polecenie, kapitanie, może pragniesz przesłać jakie upominki swoim przyjaciołom, pozostałym w górach Indyj? — rzekł inżynier.

— Nie, panie Smith — odpowiedział. — Nie mam już przyjaciół, jestem ostatni z mego pokolenia!... I dawno już żyć przestałem dla wszystkich znajomych... Ale mówmy o was. Smutna to rzecz samotność i odosobnienie! To przechodzi siły ludzkie... Ja umieram dlatego może, iż sądziłem, że można żyć zdala od ludzi!... Powinniście zatem starać się wszelkiemi sposobami o możność opuszczenia wyspy i powrotu do rodzinnej ziemi. Wiem, że ci nędznicy zniszczyli wasz statek...

— Budujemy okręt — rzekł Gedeon Spilett — dość wielki i silny, aby mógł przewieść nas do najbliższego lądu, ale zawsze mamy zamiar wrócić na wyspę. Zanadto wiele wspomnień nas z nią łączy, abyśmy mogli o niej zapomnieć.

— Tu poznaliśmy kapitana Nemo — rzekł Cyrus.

— Tu wszystko przypominać nam go będzie! — dodał Harbert.

— Tu ja spocznę snem wiecznym... — dorzucił kapitan.

Zamilkł, a po chwili rzekł do inżyniera:

— Panie Smith, chciałbym z tobą pomówić sam na sam.

Towarzysze inżyniera wyszli zaraz, czyniąc zadość woli umierającego. Cyrus Smith kilka minut tylko rozmawiał z kapitanem Nemo, poczem przywołał wszystkich, lecz nie wyjawił im tajemnicy, jaką powierzył mu umierający. Gedeon Spilett bacznie przyglądał się choremu. Widać było, że tylko niezwykła siła moralna podtrzymuje kapitana, lecz że wkrótce nie zdoła ona już pokonać coraz bardziej zwiększającego się osłabienia fizycznego. Do końca dnia tego w stanie chorego żadna widoczna nie zaszła zmiana. Koloniści nie oddalili się z „Nautilusa". Noc zapadła, lecz w tej pieczarze tego nie odczuli.

Kapitan Nemo nie cierpiał, lecz nikł z każdą chwilą; szlachetna twarz jego zbladła jak marmur, skutkiem zbliżającej się śmierci, ale była najzupełniej spokojna. Z ust wymykały się niekiedy urywane słowa, wyraźnie odnoszące się do przejść z jego dziwnego życia. Wi-

dać było, że życie ustępuje powoli; nogi i ręce były już zupełnie zimne.

Parę razy jeszcze przemówił po kilka słów do stojących przy śmiertelnem łożu jego kolonistów i uśmiechał się do nich tym ostatnim uśmiechem, który śmierć przykuwa na ustach.

Około północy kapitan Nemo zrobił ostatnie poruszenie i zdołał złożyć ręce na piersiach, jakgdyby okazując, że chce umierać w tej postawie.

O pierwszej po północy całe życieześrodkowało się w spojrzeniu; źrenice, które takim niegdyś pałały ogniem, po raz ostatni zabłysły; po chwilce wyszeptał: „Bóg i ojczyzna" — i ostatnie wydał tchnienie.

Cyrus Smith wzniósł ręce ponad głową zmarłego, mówiąc: który niegdyś był księciem Dakkar, a teraz przestał już być nawet kapitanem Nemo.

Harbert i Penkroff płakali głośno. Ayrton skrycie łzy ocierał. Nab klęczał przy reporterze, nieruchomy jak posąg.

Cyrus Smith wzniósł ręce ponad głową zmarłego, mówiąc:

— Boże! przyjm duszę jego do chwały Swojej! — i dodał, zwracając się do towarzyszy:

— Módlmy się za tego, który pożegnał nas na zawsze!

. . . .

W kilka godzin później koloniści spełnili ostatnią wolę księcia. Następnie opuścili „Nautilusa", unosząc z sobą jedyną pamiątkę, jaką im przekazał ich duch opiekuńczy — ową szkatułkę z diamentami, bajeczne zawierającą w sobie skarby.

Zamknięto starannie prześliczny salon, zawsze jasno oświetlony; klapę żelazną spuszczono i zabito gwoździami, aby ani kropla wody nie mogła dostać się do wnętrza „Nautilusa".

Następnie koloniści zeszli do łódki, przytwierdzonej do podwodnego statku, i na niej dostali się na tyły „Nautilusa". Tu na linji, oddzielającej część zanurzoną od niezanurzonej, umieszczone były dwa kurki, komunikujące się ze zbiornikami. Otworzyli je, zbiorniki napełniły się wodą, i „Nautilus" zaczął powoli zagłębiać się coraz więcej, aż nareszcie znikł w otchłani.

Koloniści mogli jeszcze przez pewien czas dojrzeć go wśród fal wodnych, gdyż silne jego światło oświetlało wód przezrocza, a jednocześnie ciemność zalegała pieczarę. Nareszcie światło elektryczne przestało się rozchodzić, i wkrótce „Nautilus", będący teraz trumną i grobowcem kapitana Nemo, spoczął na dnie morza.

ROZDZIAŁ LX.

Wrażenia. — Budowa okrętu — 1 stycznia 1869 r. — Dym nad wulkanem. — Pierwsze oznaki wybuchu. — Ayrton i Cyrus w zagrodzie. — Wyprawa do groty Dakkara. — Co kapitan Nemo mówił inżynierowi.

Nadedniem koloniści dostali się w milczeniu do wejścia pieczary, którą przez pamięć kapitana nazwali „grotą Dakkara". Był właśnie odpływ morza, mogli więc z łatwością przejść pod arkadą bazaltową.

Burza ustała ze świtem. Ostatnie odgłosy grzmotów przycichały na zachodzie; deszcz już nie padał, lecz niebo było pokryte chmurami. Miesiąc październik nie obiecywał pięknej pory, a wiatr nieustannie zmienny stałej nie zapowiadał pogody.

Cyrus Smith z towarzyszami opuścili grotę Dakkara, udając się zpowrotem do owczarni. Nab i Harbert, idąc, zdejmowali drut, zaprowadzony przez kapitana między owczarnią a pieczarą, który mógł im się przydać później.

Zaledwie po kilka słów zamienili z sobą. Wydarzenia, zaszłe w nocy z 15 na 16 października, nader żywe na nich wywarły wrażenie. Nieznajomy, którego dobroczynna opieka dopomagała im tak skutecznie, którego uważali za opiekuńczego ducha wyspy, kapitan Nemo już nie żył. „Nautilus" wraz z jego zwłokami zatonął w otchłaniach morskich. Każdemu z nich zdawało się, że teraz będą daleko więcej osamotnieni. Przywykli już liczyć zawsze na potężną pomoc, więc wszystko to nader przykro oddziałało nawet na reportera i Cyrusa. Około dziewiątej z rana wrócili do Granitowego pałacu.

Postanowili pracować jak najpilniej około okrętu. Cyrus Smith poświęcał temu cały swój czas i naukę. Któż mógł przewidzieć, co im gotuje przyszłość? Otóż posiadanie statku mocnego, trwałego, mogącego oprzeć się burzom i tak dużego, aby w razie potrzeby mógł odbyć i wytrzymać dłuższą podróż morską — dawało kolonistom wielką rękojmię bezpieczeństwa. Jeśliby po ukończeniu okrętu nie chcieli zaraz opuścić wyspy, to powinni przynajmniej jak najśpieszniej udać się na wyspę Tabor, aby tam zostawić zawiadomienie, odnoszące się do Ayrtona. Przezorność ta była niezbędna, jeśliby jacht szkocki miał się zjawić na tych morzach. Pod tym względem niczego zaniedbywać nie należało.

Wznowiono więc przerwaną pracę i tylko w razie naglącej potrzeby kilku odrywało się od niej. Chcąc dopłynąć do wyspy Tabor, zanim wichry, panujące podczas porównania dnia z nocą, przeprawę do niej uniemożliwią, trzeba było, aby okręt był skończony w początkach marca, to jest za pięć miesięcy; to też cieśle pracowali wytrwale, nie tracąc ani chwilki. Zresztą nie potrzebowali wyrabiać lin, żagli i innych przyrządów okrętowych, bo te zachowali nieuszkodzone z okrętu „Speedy". Przedewszystkiem tedy trzeba było zbudować pudło.

Ważna ta praca zajęła prawie wyłącznie koniec roku 1868. Po upływie dwóch i pół miesięcy robota tak daleko już postąpiła, iż można było poznać, że Cyrus Smith nakreślił doskonały plan budowy, i że okręt będzie mógł bezpiecznie puścić się na morze. Penkroff pracował zawzięcie i szemrał bez ceremonji, gdy który z towarzyszy rzucał topór, a chwytał broń, bo marynarz, zajęty pracą przy okręcie, ani pomyślał, że trzeba przygotować zapasy na zimę! Nic go teraz nie obchodziło, i nie lubił, aby robotnicy opuszczali warsztat. W takich razach poczciwy marynarz gniewał się, mruczał i w uniesieniu pracował za sześciu.

Lato było brzydkie. Przez kilka dni panowały gwałtowne upały i atmosfera, nasycona elektrycznością, szukała dla niej ujścia w gwałtownych burzach, wstrząsających nader silnie warstwy powietrza. Ciągle prawie dochodził ich zoddali huk grzmotów i był to szmer głuchy, lecz nieustanny, jaki daje się słyszeć w podrównikowych strefach.

Dnia 1 stycznia 1869 roku wybuchła nadzwyczaj gwałtowna burza: kilka piorunów uderzyło na wyspie; kilka olbrzymich drzew uległo zdruzgotaniu, a między niemi wielka obrotnica, osłaniająca podwórze.

Czy miało to związek ze zjawiskami w łonie ziemi? Tak przypuszczał Cyrus Smith, gdyż jednocześnie z burzą zaczęły silnie występować objawy wulkaniczne.

Dnia 3 stycznia Harbert udał się o świcie na płaszczyznę Pięknego Widoku, w celu osiodłania onagi, i spostrzegł ogromny pióropusz, powiewający na wierzchołku wulkanu; zawiadomił o tem niezwłocznie towarzyszy.

— Oto! — zawołał Penkroff. — Tym razem to już nie para: olbrzym już nie oddycha, lecz dymi!

To określenie marynarza doskonale malowało zmianę, zaszłą w otworze wulkanu. Już od trzech miesięcy krater wyrzucał gęstszą lub rzadszą parę, która była tylko wynikiem wewnętrznego wrzenia materyj mineralnych; teraz owe pary zastąpił gęsty dym, wznoszący się w kształcie szarej kolumny, przeszło trzysta stóp szerokiej u podstawy, która rozrastała się jak olbrzymi grzyb na wysokości siedmiu do ośmiuset stóp ponad wierzchołkiem.

— Ogień jest w kominie! — zawołał Gedeon Spilett.

— A niepodobna go zgasić! — odrzekł Harbert.

— Powinnoby się wycierać wulkany jak kominy — rzekł Nab z najpoważniejszą miną.

— Zapewne, lecz czy chciałbyś, Nabie, zostać kominiarzem wulkanów? — odrzekł Penkroff, głośnym wybuchając śmiechem.

Cyrus wpatrywał się uważnie w gęsty dym i przysłuchiwał się bacznie, czy nie usłyszy oddalonego grzmotu; poczem rzekł, zwracając się do towarzyszy:

— Niema co taić, przyjaciele, że nastąpiła nader ważna zmiana; materje wulkaniczne nie są już tylko w stanie wrzenia, lecz zajęły się ogniem, i zagraża nam bliski wybuch wulkanu.

— No to i cóż, panie Smith, będziemy mieli na co patrzeć, a jak się wulkan popisze, to mu przyklaśniemy, boć zresztą, sądzę, że nas to nic a nic nie może obchodzić.

— Kto wie, Penkroffie — odrzekł inżynier. — Wprawdzie dawne ujście lawy pozostaje otwarte i dzięki jego położeniu dotąd krater zawsze wyrzucał lawę od strony północnej, jednak...

— Jednak, ponieważ wybuch wulkanu żadnej nie przynosiłby korzyści, więc najlepiej, żeby go nie było — rzekł reporter.

— A może też — rzekł marynarz — wulkan wyrzuci substancje, które będziemy mogli zużytkować?

Cyrus potrząsł przecząco głową; on wiedział, że ten niespodziewany wybuch nic dobrego nie wróży. Chociaż z powodu położenia krateru lasom ani uprawnej części wyspy nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo, mogły jednak wywiązać się groźne następstwa. Często wybuchom wulkanicznym towarzyszy trzęsienie ziemi, a w takim razie wyspa, utworzona z najróżnorodniejszych materjałów, jako to: z jednej strony z bazaltu, z drugiej z granitu, od północy z lawy, od południa z granitu ruchomego, skutkiem czego części te jej nie mogły być bardzo silnie połączone z sobą — nie miała dostatecznej siły oporu; choćby więc wybuch i rozlanie się substancyj wulkanicznych samo przez się nie stanowiły zbyt groźnego niebezpieczeństwa, to jednak wstrząśnienie w łonie ziemi mogło stać się nader zgubne dla wyspy.

— Zdaje mi się — rzekł Ayrton, który, leżąc, przyłożył ucho do ziemi — zdaje mi się, że słyszę głuchy odgłos, tak, jakgdyby po bruku toczył się wóz, naładowany żelazem.

Wszyscy zaczęli przysłuchiwać się bacznie i przekonali się, że Ayrton się nie mylił. Obok jakby turkotu kół słychać teraz jeszcze było świst podziemny, jakgdyby gwałtowny wicher dął gdzieś w łonie ziemi — ale właściwy wybuch dotąd słyszeć się nie dawał. Można więc było wnosić, że ponieważ gazy znalazły wolne ujście przez szeroki komin centralny, zatem niema się co obawiać gwałtownych wstrząśnień, ani wybuchu.

— Kroć sto tysięcy! — krzyknął Penkroff. — Nie traćmy czasu i chodźmy do roboty. Niech sobie góra dymi, jęczy, ryczy, bucha ogniem i płomieniami, niech się bawi, jak sama chce, ale my nie próżnujmy. Dalej! Ayrtonie, Nabie, Harbercie, panie Cyrusie, panie Spillet, dziś wszyscy bez wyjątku musimy pracować pilnie. I dla



Odrazu można było odgadnąć, z jakiego to ogniska rozchodzą się te jasne promienie, oświetlające jaskinię (str. 305).

dwustu ludzi dość byłoby pracy około ukończenia naszego nowego „Bonawentury", bo chciałbym, aby już za dwa miesiące mógł być spuszczony na wodę.

Gorliwie zajęci pracą, zapomnieli o wulkanie, którego zresztą nie było widać z wybrzeża około Granitowego Pałacu. Kilka razy zdawało się, jakby czarne chmury zasłoniły słońce, błyszczące na nad-

zwyczaj czystem niebie, co dowodziło, że gęste obłoki dymu przesuwają się między wyspą a tarczą słoneczną. Silny wiatr wszystkie te chmury pędził ku wschodowi. Cyrus Smith i reporter uważali dobrze na to przejściowe ściemnianie się i, nie przerywając pracy, rozmawiali o niezaprzeczonem wzmaganiu się objawów wulkanicznych. Wszystko to nakazywało wszelkich sił dokładać, aby statek jak najprędzej był ukończony, gdyż, kto wie, czy w razie mogących zajść wydarzeń, nie stanie się dla kolonistów jedyną arką zbawienia.

Po wieczerzy Cyrus, Gedeon i Harbert udali się na płaszczyznę Pięknego Widoku. Noc zapadła, a w ciemności, roztaczającej się dokoła, łatwo było rozpoznać, czy wśród dymów, buchających z krateru, niema płomieni.

— Krater w ogniu! — krzyknął Harbert, który jako najmłodszy i najzwinniejszy, wbiegł na płaszczyznę.

Góra Franklina, odległa o jakie sześć mil, wydawała się jakby olbrzymia pochodnia, na której wierzchu unosiły się płomienie; zapewne mieszała się z niemi tak wielka ilość dymu, a może i popiołu, iż pomimo ciemności nocnej blask płomieni był bardzo słaby. Mimo to dziwne światło roztaczało się nad wyspą i uwydatniało najbliższe lasy; pod obłokami przesuwały się ciemne kłęby, przez które tu i ówdzie świeciły błyszczące gwiazdy.

— Jakże to szybko wszystko postępuje! — zawołał inżynier.

— Nic dziwnego! — odrzekł reporter. — Wulkan ten już od pewnego czasu zaczynał budzić się z uśpienia. Przypomnij sobie Cyrusie, że pierwsze gazy zaczęły wydobywać się już wówczas, gdyśmy robili poszukiwania w okolicach tej góry, w celu wyśledzenia schronienia kapitana Nemo. Jeśli się nie mylę, było to 15 października.

— Tak — rzekł Harbert — upłynęło już zatem od owego czasu przeszło półtrzecia miesiąca.

— Ogień więc podziemny przez dziesięć tygodni wrzał w łonie ziemi! — rzekł znowu Gedeon. — Nic dziwnego, że tak długo tłumiony, z gwałtowniejszą wybuchnie siłą.

— Czy nie czujesz pewnego drgania ziemi? — zapytał inżynier.

— Rzeczywiście — odrzekł reporter — ależ od drgania do trzęsienia ziemi...

— Nie mówię, że nastąpi trzęsienie ziemi, i niech nas Bóg od niego broni! — rzekł Cyrus. — Drgania te są wynikiem wrzenia ognia wewnętrznego: skorupa ziemi jest jakby ścianą kotła a wiadomo, że pod ciśnieniem gazu ściany kotła drgają.

— Co za pyszne snopy ogniste!

Jakoż w tej chwili wystrzelił z krateru jakby przepyszny bukiet fajerwerkowy, tak świetlny, że dym nie mógł przyćmić jego blasku; tysiące iskier i ognistych odłamków rozprysły się na wszystkie strony. Niektóre, wznosząc się wgórę, przerzynały kolumnę dymu, zostawiając

za sobą jakby tumany złotego piasku. Od czasu do czasu dawał się słyszeć jakby odgłos oddalonych strzałów armatnich.

Cyrus, reporter i Harbert po godzinnym pobycie na płaszczyźnie Pięknego Widoku powrócili do Granitowego pałacu. Inżynier był tak zakłopotany, iż Gedeon Spilett zapytał go, czy nie przewiduje bliskiego niebezpieczeństwa, mającego być pośredniem lub bezpośredniem następstwem spodziewanego wybuchu.

— Tak i nie — odpowiedział inżynier.

— Zdaje się — rzekł reporter — że w najgorszym razie może nastąpić trzęsienie ziemi, które mogłoby grozić bezpieczeństwu wyspy, ale sądzę, że tego niema się co obawiać, skoro para i lawa znalazły ujście.

— Ja też nie obawiam się trzęsienia ziemi, ograniczającego się zazwyczaj na mniej więcej silnych wstrząśnieniach gruntu, które wynikają skutkiem rozszerzalności pary podziemnej, ale tu mogą zajść okoliczności, z których nader groźne wynikają następstwa.

— Jakie okoliczności, kochany Cyrusie?

— Teraz jeszcze nie wiem dobrze... Nie mogę powiedzieć nic stanowczego... Muszę zwiedzić górę i dobrze się w niej rozpatrzeć... Za kilka dni będę mógł wiedzieć na pewno, czego się obawiać mamy.

Gedeon poprzestał na tej odpowiedzi, i wkrótce mieszkańcy Granitowego pałacu w głębokim śnie zatonęli.

Minął czwarty, piąty i szósty stycznia; pracowali gorliwie nad budową statku, a inżynier, nie podając żadnych powodów, wszelkiemi siłami przyśpieszał jego ukończenie. Jednocześnie wierzchołek góry Franklina otaczały coraz czarniejsze kłęby dymu; z otworu wydobywały się płomienie, jakby odłamy skał gorejących; z tych niektóre spadały napowrót do krateru. Widząc to, Penkroff, który w żaden sposób nie chciał wierzyć w niebezpieczeństwo, zawołał, śmiejąc się.

— Oto olbrzym jak dziecko bawi się w piłkę, stary figlarz swawoli sobie!

Pilna praca nad wykończeniem statku nie uwalniała przecież kolonistów od innych zajęć w różnych stronach wyspy. Najpierw trzeba było niezwłocznie udać się do owczarni i zaopatrzyć ją w paszę dla kóz i muflonów; postanowiono zatem, aby Ayrton udał się tam nazajutrz, dnia 7 stycznia. Było to zwykłe jego zajęcie, i nigdy niczyjej nie potrzebował pomocy, to też Penkroff i inni towarzysze zdziwili się niewymownie, gdy inżynier rzekł do niego:

— Pójdę jutro z tobą do owczarni, Ayrtonie.

— Oj, oj! panie Cyrusie! — zawołał marynarz. — Robota taka pilna, każda godzina stracona za dni nam teraz stanie, a pan chcesz iść z Ayrtonem — w takim razie już nie dwóch, ale czterech rąk nam braknie.

Powrócimy nazajutrz, ale muszę koniecznie iść do owczarni... Muszę zbliska rozpatrzeć się w tym wybuchu...

— Ej! z tym wybuchem! — odrzekł niezadowolony marynarz. — Myślałby kto, że to coś nadzwyczajnego... Cóż pan tam zobaczysz ciekawego?... Przyznam się, że nic mnie nie obchodzi, niech sobie hula; jak się zmęczy, to przestanie!

Pomimo opozycji marynarza, Cyrus Smith nie zmienił postanowienia. Harbert pragnąłby towarzyszyć inżynierowi, ale nie śmiał wyjawić chęci, nie chcąc sprzeciwiać się Penkroffowi.

Nazajutrz o świcie Cyrus i Ayrton wsiedli na wóz, ciągniony przez onagi, i popędzili kłusem drogą, wiodącą do owczarni.

Ponad lasem unosiły się czarne obłoki. Chmury te, ciężko przesuwające się w atmosferze, składały się wyraźnie z różnorodnych substancyj, gdyż sam dym, buchający z wulkanu, nie mógłby być tak ciężki i gęsty. Sproszkowana piana z roztopionych metali, puzzolona (rodzaj ziemi wulkanicznej) i szary, nadzwyczaj miałki popiół unosiły się wśród niego, a wiadomo, że mogą niekiedy unosić się przez całe miesiące w powietrzu. Po wybuchu Hekli w Islandji w 1783 roku, więcej niż przez rok atmosfera tak była przesycona prochami wulkanicznemi, że prawie nie można było dojrzeć promieni słonecznych.

Najczęściej jednak prochy takie opadają na ziemię, co też i teraz się zdarzyło. Zaledwie Cyrus i Ayrton przybyli do owczarni, spadł jakby czarny śnieg, który w jednej chwili zmienił postać ziemi: drzewa, łąki, wszystko dokoła zniknęło pod kilkocalowym jego pokładem. Szczęściem wiatr dął z północno-zachodu i większą część chmury zapędził ponad morze.

— Doprawdy, to rzecz szczególna! — rzekł Ayrton — nie widziałem nigdy nic podobnego.

— To rzecz nader ważna i mogąca sprowadzić bardzo groźne następstwa. Ta puzzolona, sproszkowany pumeks, słowem, wszystkie te prochy mineralne, unoszące się w powietrzu, dowodzą, jak straszne zaburzenia odbywają się w niższych pokładach wulkanu.

— Cóż nam czynić pozostaje?

— Nic, tylko śledzić bacznie postęp tego zjawiska. Zajmij się zaopatrzeniem w paszę owczarni, a ja tymczasem dojdę do źródła Czerwonego strumienia i zbadam północną pochyłość góry — potem...

— Potem... panie inżynierze?...

— Potem zwiedzimy grotę Dakkara... Muszę zobaczyć... Zresztą za dwie godziny wrócę po ciebie.

Ayrton wszedł na dziedziniec owczarni i, czekając powrotu inżyniera, zajął się muflonami i kozami, które okazywały wyraźny niepokój, wywołany pierwszemi objawami wybuchu.

Przedarłszy się przez poprzeczne pasmo gór od strony zachodu, Cyrus obszedł Czerwony strumień i doszedł do miejsca, w którem podczas pierwszej wycieczki odkryli źródło siarczane.

Jakże tu wszystko inną przybrało postać! Tu już nie jeden, ale trzynaście słupów dymu wydobywało się z ziemi, tak, jakgdyby je gwałtowna siła wypierała nazewnątrz. Znać było, że skorupa ziemska podlegała w tem miejscu nadzwyczaj silnemu ciśnieniu. Atmosfera była nasycona gazem siarkowym, wodorem, kwasem węglowym i parą wodną. Cyrus czuł wyraźnie drganie kamieni wulkanicznych (tufy), rozsianych po płaszczyźnie, lecz nie widział nigdzie nowych śladów lawy, co dowodziło, że materje wulkaniczne nie dosięgały jeszcze powierzchni otworu głównego komina.

— Wolałbym, żeby to się stało — mówił do siebie. — Mógłbym przynajmniej być pewny, że lawa popłynie dawniejszą drogą—a teraz, być może, nowe sobie otworzy ujścia... Jednak nie w tem leży niebezpieczeństwo... Kapitan Nemo miał słuszność... stąd nic nam nie zagraża...

Zbadawszy starannie miejscowość, Cyrus był pewny, że ostatni wybuch sięgał bardzo oddalonej już epoki. Przykładając ucho do ziemi, słyszał nieustający grzmot podziemny, a wśród niego niekiedy jakby wystrzały. O dziewiątej rano powrócił do owczarni, gdzie Ayrton oczekiwał go niecierpliwie.

— Uporządkowałem owczarnię i zaopatrzyłem w paszę; muflony i kozy nie boją się już głodu, panie inżynierze, jednak wydają się zaniepokojone.

— Nic dziwnego, Ayrtonie, instynkt ich nie myli.

— Ja już nic tu nie mam do roboty...

— Weź latarkę i krzesiwko, i chodźmy do pieczary.

Ayrton spełnił rozkaz; wyprzężone onagi biegały swobodnie po dziedzińcu owczarni. Zamknęli drzwi zewnątrz i zwrócili się na drogę, wiodącą do groty Dakkara.

Żadne zwierzę, żaden ptaszek nie pokazał się w lesie! Cały grunt pokryty był sproszkowanemi materjałami wulkanicznemi, spadłemi z powietrza; niekiedy, gdy wiatr zawiał, unosząc tumany popiołu, dwaj koloniści, otoczeni nieprzejrzystemi jego kłębami, nie mogli się widzieć; wtedy chustkami zasłaniali oczy i usta, aby się nie zadusić lub nie oślepnąć.

W takich warunkach nie mogli iść śpiesznie. Nadto powietrze było tak ciężkie, jakgdyby część tlenu się wypaliła i przez to stało się niezdolnem do oddychania. Co sto kroków musieli się zatrzymywać dla nabrania tchu; było więc już znacznie po dziesiątej, gdy dostali się na szczyt gromady skał bazaltowych i porfirowych.

Cyrus i Ayrton przebywali tę samą mozolną drogę, którą przechodzili w czasie owej burzliwej nocy, tylko że w dzień i pokryte grubą warstwą popiołu skały nie były tak śliskie, to też pewniejszym krokiem mogli po nich postępować. Wkrótce stanęli nad brzegiem morza i z łatwością znaleźli otwór, prowadzący do groty.

Łódź musi być pod arkadą tej ostatniej skały! — rzekł inżynier.

— Jest, panie inżynierze! — rzekł Ayrton, przyciągając lekką łódkę.

— Wsiadajmy! — rzekł Cyrus.

Popłynęli na lekko kołyszących się falach, a gdy łódź wpłynęła do groty, Ayrton skrzesał ognia i zapalił latarnię; ustawił ją na przodzie statku, aby przed siebie rzucała światło i, robiąc wiosłami, zapuścili się w ciemne otchłanie pieczary. Ne było już „Nautilusa", z którego bijące światło wszystko dokoła rozjaśniało. Być może, iż światło elektryczne, podsycane ciągle potężnem ogniskiem, rozchodziło się jeszcze w głębi fal, ale żaden odblask nie dochodził z otchłani, w której spoczywał kapitan Nemo.

Jakkolwiek latarnia słabe rzucała światło, mogli jednak posuwać się coraz dalej, trzymając się prawej strony groty. W pierwszej części panowała grobowa cisza, dopiero dalej Cyrus Smith słyszał wyraźnie jakby huk grzmotów, dochodzący z wnętrza góry.

— To wulkan ryczy! — rzekł do Ayrtona.

Obok tego odgłosu, silna woń siarki czuć się dawała, a duszące wyziewy chwytały za gardło inżyniera i jego towarzysza.

— Tego właśnie obawiał się kapitan Nemo — wyszeptał Cyrus, i twarz jego pobladła nieco. — Ale cóż robić, trzeba wytrwać do końca.

— Więc dalej, w imię Boże! — zawołał Ayrton i, silniej robiąc wiosłami, szybko naprzód posunął statek, który też niezadługo dopłynął do końca groty i zatrzymał się przy jej krańcowej ścianie.

Z pomocą latarni Cyrus przyglądał się równym częściom tej ściany, oddzielającej grotę od centralnego komina wulkanu. Jaka była jej grubość, czy wynosiła stóp sto, czy kilkanaście, tego oznaczyć było niepodobna — ale odgłos podziemny dochodził tak wyraźnie, iż to kazało wnosić, że nie jest zbyt gruba.

Zbadawszy ścianę w kierunku poziomym, inżynier przytwierdził latarnię do wiosła i zaczął się przyglądać wyższym częściom skały. Tu, przez zaledwie widoczne szczeliny, wydobywał się ostry dym, zatruwający powietrze pieczary. Pęknięcia tworzyły różne zygzaki na ścianie bazaltowej, a wyraźniejsze i głębsze były zaledwie o parę stóp oddalone od powierzchni wody, zalewającej dno groty.

Cyrus zamyślił się głęboko, poczem rzekł zcicha:

— Tak, kapitan miał słuszność; stąd zagraża niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo straszne!...

Ayrton nic nie odpowiedział, tylko na dany znak przez Cyrusa pochwycił wiosła i w pół godziny potem wypłynęli z pieczary Dakkara.

ROZDZIAŁ LXI.

Cyrus o wyprawie. — Starania nad wykończeniem okrętu. — Ostatnie odwiedziny zagrody. — Walka między ogniem i wodą. Co zostało z wyspy. — Postanawiają puścić się na morze. — Noc z 8 na 9 marca.

Nazajutrz Cyrus i Ayrton powrócili do Granitowego pałacu. Zgromadziwszy wszystkich towarzyszy, inżynier oznajmił im — że wyspie Lincolna zagraża straszne niebezpieczeństwo, którego żadna siła ludzka odwrócić nie zdoła.

— Przyjaciele — mówił im, a głos jego drżał ze wzruszenia — wyspa Lincolna nie należy do rzędu tych, które dotrwać mogą do końca świata. Zagłada jej jest nieuchronna, może nastąpić prędzej lub później, ale żadna potęga ziemska odwrócić jej nie zdoła.

Koloniści spojrzeli po sobie, potem zwrócili wzrok na inżyniera, nie mogąc pojąć znaczenia słów jego.

— Co chcesz powiedzieć, Cyrusie? — zapytał nareszcie reporter.

— Wytłumaczę się zaraz — odrzekł inżynier — albo raczej powtórzę wam tylko, co mówił kapitan Nemo podczas krótkiej ze mną rozmowy.

— Kapitan Nemo! — zawołali jednocześnie.

— Tak jest. I jest to ostatnia przysługa, którą jeszcze prawie w chwili śmierci chciał nam wyświadczyć.

— Ostatnia przysługa!... hum, ostatnia!... Zobaczycie, że, choć już żyć przestał, niejedną jeszcze odda nam przysługę!...

— Ale cóż ci powiedział? — zapytał reporter.

— Słuchajcie, towarzysze! Wyspa Lincolna nie znajduje się w tych warunkach, co inne wyspy oceanu Spokojnego, i skutkiem wstrząśnień podmorskich prędzej czy później będzie wysadzona w powietrze.

— Cóż znowu! — zawołał Penkroff, wzruszając ramionami, gdyż pomimo całego szacunku, jaki miał dla inżyniera, nie chciał wierzyć w nic podobnego.

— Posłuchaj mnie uważnie, Penkroffie — rzekł Cyrus — a dowiesz się, co mi powiedział kapitan Nemo, i o czem przekonałem się naocznie, zwiedzając wczoraj grotę Dakkara. Ciągnie się ona pod wyspą aż do wulkanu i tylko ściana bazaltowa oddziela ją od głównego jego komina, a ściana ta poprzerzynana jest szparami i szcze-

linami, przez które już wydobywają się gazy siarczane, wytwarzające się we wnętrzu wulkanu.

— A więc? — zapytał marynarz, a głos jego zdradzał pewien niepokój.

— A więc widziałem, że szczeliny rozszerzają się skutkiem wewnętrznego parcia, że ściana bazaltowa pęka powoli i że prędzej czy później rozstąpi się i zostawi wolne przejście falom morskim, zapełniającym pieczarę.

— Bah! i cóż tak strasznego! — zawołał Penkroff, chcąc jeszcze wszystko w żart obrócić — woda zaleje wulkan i na tem koniec.

— Tak, rzeczywiście na tem koniec — odrzekł inżynier — gdyż w dniu, w którym morze dostanie się do wnętrza wulkanu, Penkroffie, wyspa Lincolna będzie wysadzona w powietrze, podobnie jak wysadzona byłaby Sycylja, gdyby morze Śródziemne zalało wnętrze Etny.

Wysłuchali w milczeniu słów inżyniera; zrozumieli, jak wielkie zagraża im niebezpieczeństwo. Bo też Cyrus Smith mówił najzupełniejszą prawdę.

Wiele osób przypuszczało już, że ponieważ wszystkie prawie wulkany wznoszą się nad brzegiem mórz lub jezior, to może udałoby się je zagasić, zalewając wodą. Robiący takie przypuszczenie zapominali, że tym sposobem narażanoby się na wysadzenie w powietrze części kuli ziemskiej, podobnie jak rozsadzony zostaje kocioł przez zbytnie naprężenie pary. Woda, wpadająca do środka, którego temperatura dochodzi może do tysięcy stopni, tak nagle zamieniłaby się w parę, iż parcia jej nie wytrzymałaby otaczająca ją skorupa.

Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że wyspie zagrażało bliskie i straszne niebezpieczeństwo, i że istnienie jej zależy od tego, jak długo utrzymać się zdoła w obecnym stanie krańcowa ściana groty Dakkara. Nie szło tu już o miesiące i tygodnie, ale może o dni a nawet godziny .

Głęboka boleść zbudziła się w sercach kolonistów, zapominali o grożącem im bezpośrednio niebezpieczeństwie, myśląc z goryczą o zniszczeniu tej wyspy, na której znaleźli przytułek i schronienie, którą z taką użyźnili pracą, ukochali całem sercem i zamierzali do kwitnącego doprowadzić stanu. Tyle trudów, pomysłów, tyle ciężkiej i krwawej pracy ma zmarnieć bez pożytku!...

Wielka łza stoczyła się po ogorzałej twarzy Penkroffa — nie myślał nawet jej ukrywać!

Jeszcze przez pewien czas rozmawiali o tem, rozbierając wszelkie możliwe środki ratunku. Stanęło na tem, że niema godziny do stracenia, że należy pracować niezmordowanie nad wykończeniem statku i spuszczeniem go na morze.

Zaniechano więc żniwa, polowania, zbiorów i nagromadzania zapasów żywności w Granitowym pałacu, i wszyscy bez wyjątku pracowali przy budowie. Składy i spiżarnia były tak obficie zaopatrzone, iż zapasy te, przeniesione na statek, wystarczyłyby choćby na najdłuższą przeprawę; chodziło tylko o to, aby nowy „Bonawentura" był spuszczony na wodę przed spełnieniem się strasznej a nieuchronnej katastrofy.

Koloniści pracowali z gorączkową pilnością, i dnia 23 stycznia roboty w większej części były ukończone. Na szczycie wulkanu żadnych nie było zmian; krater buchał ciągle dymem, pomieszanym z płomieniami i rozpalonemi do czerwoności kamieniami; ale w nocy z 23 na 24 stycznia, pod ciśnieniem lawy, dosięgającej do szczytu wulkanu, rozsadzony został stożek, stanowiący jakby jego kapelusz. Spadł z przerażającym hukiem. Koloniści wybiegli z Granitowego pałacu, sądząc, że wyspa się rozstąpiła.

Było około drugiej w nocy. Najwyższy stożek, ważący miljardy funtów, zrzucony na wyspę, zatrząsł nią w podstawach. Szczęściem, stożek przechylony był ku północy, spadł więc na płaszczyznę piasku i tufu, rozciągającą się między wulkanem a morzem, krater szeroko otwarty rzucał ku niemu tak jaskrawe i silne światło, iż, pod wpływem odbicia się tego światła, cała atmosfera zdawała się palić. Niebo było czerwone. Jednocześnie niezmierzony strumień lawy rozlał się w długich kaskadach, jakby woda spadająca z przepełnionego naczynia, i tysiące ognistych wężów wiło się po pochyłości góry.

— Przebóg!... Owczarnia!... — krzyknął Ayrton.

Jakoż rzeczywiście, wskutek zmiany kierunku, lawa toczyła się teraz z nowego krateru ku owczarni, a zarazem najurodzajniejszej części wyspy; zniszczenie groziło źródłom Czerwonego strumienia i lasowi Żakamara.

Na krzyk Ayrtona wszyscy pobiegli do stajni, w której znajdowały się onagi, zaprzęgli je do wozu i popędzili do owczarni, jedną wspólną ożywieni myślą — oswobodzenia zamkniętych w niej zwierząt.

Przed trzecią godziną stanęli w owczarni. Przerażający ryk wskazywał straszne przerażenie kóz i muflonów. Strumień ognistej materji spadał już z pochyłości na łąkę i z jednej strony dotykał prawie palisady; gdy tylko Ayrton otworzył drzwi owczarni, rozszalałe zwierzęta w mgnieniu oka rozbiegły się na wszystkie strony.

W godzinę później wrząca lawa zalała owczarnię, woda przepływającego ją strumienia ulotniła się, ogień zajął mieszkanie, które spłonęło jak słoma, a z ogrodzenia palisady nie pozostała ani jedna tyczka. Wkrótce z całej owczarni śladu nie było! Koloniści próbowali oprzeć się niszczącej sile wulkanu, starali się koniecznie oca-

lić owczarnię - daremne pokuszenia - człowiek jest bezsilny wobec tych wielkich wstrząśnień przyrody!

Nadszedł 24 stycznia. Przed powrotem do Granitowego pałacu koloniści postanowili zbadać kierunek tego potoku lawy. Ogólna pochyłość gruntu obniżała się od góry Franklina do zachodniego wybrzeża. Można więc było obawiać się, iż, mimo gęstego lasu Żakamaru, strumienie lawy dosięgną aż do płaszczyzny Pięknego Widoku.

— Jezioro nas osłoni! — rzekł reporter.

— I ja mam tę nadzieję! — odrzekł inżynier.

Próbowali dostać się na płaszczyznę, na którą spadł stożkowaty szczyt góry Franklina — lecz lawa zagradzała przejście. Z jednej strony płynęła doliną Czerwonego strumienia, z drugiej doliną rzeki Spadku. Pozbawiony swojej korony, wulkan zmienił się do niepoznania.

Teraz już nie stożkowato, lecz płasko był zakończony; dwa wydrążenia, wyszczerbione na południowym i zachodnim brzegu, wyrzucały nieustannie strumienie lawy, tworzącej jakby dwa oddzielne potoki. Ponad nowym kraterem kłęby dymu i popiołu mieszały się z gazami, unoszącemi się nad wyspą. Z hukiem, dochodzącym z głębi wulkanu, łączył się silny odgłos grzmotów; z głębi wulkanu wypadały rozpalone do czerwoności odłamy skał, które, wyrzucone aż pod niebiosa, rozpryskiwały się, miljardy iskier rozrzucając w powietrzu. Na te wybuchy wulkaniczne niebo odpowiadało błyskawicami i grzmotem.

Około siódmej rano koloniści nie mogli już utrzymać się na obranem stanowisku, nad brzegiem Żakamaru. Nietylko różne pociski tuż koło nich padały, lecz nadto lawa, występująca z łożyska Czerwonego strumienia, mogła przeciąć im odwrót. Pierwsze szeregi drzew lasu zajęły się ogniem.

Wrócili na drogę, wiodącą do owczarni; szli powoli, cofając się niekiedy. Wskutek pochyłości gruntu, potok lawy gwałtownie posuwał się ku zachodowi, i gdy tylko niższe pokłady stwardniały nieco, inne wrzące strumienie zalewały je niezwłocznie. Jednak najgroźniejszym stawał się główny strumień, posuwający się doliną Czerwonego strumienia. Cała ta część lasu zajęła się ogniem, ogromne słupy dymu unosiły się nad drzewami, których pnie od korzenia trzeszczały pod naciskiem lawy.

Koloniści zatrzymali się wpobliżu jeziora, o jakie pół mili od ujścia Czerwonego strumienia. Była to chwila stanowcza, stanowiąca o ich życiu lub śmierci.

Nawykły do walki z najgroźniejszemi niebezpieczeństwami, Cyrus Smith zrozumiał położenie i, wiedząc, że ma do czynienia z ludźmi, nie lękającymi się prawdy, choćby najgroźniejszej, rzekł do towarzyszy:

— Oto idzie zagłada, której się lękał kapitan Nemo.

— A więc — zawołał Penkroff, zakładając ręce i uderzając nogą w ziemię — nie warto pracować nad wykończeniem statku.

— Penkroffie! — rzekł surowo Cyrus Smith — zawsze i do ostatniej chwili życia należy spełniać swój obowiązek.

W tej chwili strumień lawy, przedarłszy się przez piękne drzewa lasu, które skazywał na zniszczenie, posunął się ku wybrzeżom jeziora. Tu grunt był nieco podwyższony i gdyby wyniosłość ta była znaczniejsza, zdołałby może powstrzymać pęd biegnących w tę stronę strumieni lawy.

— Do roboty! — zawołał inżynier.

Towarzysze zrozumieli myśl jego; należało urządzić tamę, nie pozwalającą strumieniom lawy posuwać się dalej, i tym sposobem zmusić ją do spadania w jezioro.

Koloniści pobiegli do warsztatu; przynieśli stamtąd łopaty, rydle, siekiery i z pomocą obalonych drzew zbudowali przeszkodę na trzy stopy wysoką i paręset długą. Pracy tej dokonali w kilka godzin, a zdawało im się, że trwała ledwie kilka minut, z takim pracowali zapałem.

Zaledwie tama stanęła, lawa dosięgła do jej stóp, wydęła się jak rzeka grożąca wylewem i groziła przekroczeniem jedynej powstrzymującej ją zapory, którą, przebywszy, zalałaby cały Daleki Zachód... Szczęściem świeżo usypana zapora zdołała ją powstrzymać, i po chwili strasznego wahania, chwili, która kolonistom wydała się wiekiem, lawa rzuciła się w jezioro Granta, spadając z wysokości dwudziestu stóp.

Koloniści stali niemi, jakby przykuci do miejsca, wpatrując się w walkę dwóch żywiołów.

A jakże to strasznie wspaniały był widok, ta walka wody z ogniem!... Jakież pióro, jakiż pendzel zdołałby odmalować tę podziwu godną, a przerażającą scenę!... Woda syczała, ulatniając się w zetknięciu z wrzącą lawą, para podnosiła się w powietrze do niezmierzonej wysokości, jakgdyby ktoś odkrył nagle pokrywę kotła. Lecz jakkolwiek jezioro zawierało ogromną ilość wody, jednak jej masa cała, jako niezasilana nową, musiała wkońcu być pochłonięta przez lawę, która, wypływając z nieprzebranego źródła, miotała coraz nowe strumienie ognistych materyj.

Pierwsze spadłe w jezioro strumienie lawy stwardniały niebawem i sterczały; po ich powierzchni toczyły się inne, także zkolei twardniejące i posuwające się ku środkowi. Tym sposobem utworzyła się jakby masa gruzu, grożąca zasypaniem jeziora, którego wody zamieniały się w parę. W powietrzu rozlegał się przerażający świst i syczenie. Gdzie pierwej była woda, teraz ukazywały się gromady skał dymiących, jakgdyby wydobywające się z łona ziemi.

Tym razem ogień zapanował nad wodą.

Szczęściem dla kolonistów strumienie lawy skierowały się do jeziora Granta, przez co uzyskiwali kilka dni zwłoki, a płaszczyzna Pięknego Widoku, Granitowy pałac i warsztaty choć na pewien czas były ocalone. Należało korzystać, aby wykończyć i opatrzyć starannie okręt; następnie spuścić go na morze i tam szukać schronienia; zaś w liny, żagle i inne przyrządy będzie można zaopatrzyć go później. Niepodobna było pozostać dłużej na lądzie, skoro co chwila wybuch zagrażał wyspie, a owe tak pewne dotychczas schronienie w Granitowym pałacu mogło niebawem zawrzeć przed nimi granitowe ściany.

Przez sześć dni następnych, od 25 do 30 stycznia, koloniści tak posunęli roboty około ukończenia okrętu, jakgdyby dwudziestu ludzi pracowało nad tem. Zaledwie kilka chwil wypoczywali; płomienie, buchające z krateru, świeciły tak jasno, iż w nocy pracować mogli. Wulkan wybuchał ciągle, ale mniej gwałtownie.

Zobaczmy, co się działo w zachodniej części wyspy.

Strumień lawy, spadający w szeroką dolinę rzeki Spadku, żadnej na swej drodze nie napotykał przeszkody, to też ogniste potoki zalały las Dalekiego Zachodu. W tej porze roku gwałtowne upały wysuszają sok drzew, więc też las zapalił się nagle, ogień objął drzewa od dołu do szczytu i zdawało się, że pożar szerzy się gwałtowniej w górze, niż pęd lawy, oblewającej stopy drzew.

Przerażone zwierzęta, jaguary, dziki, kabje, lisy i przerażone ptactwo uciekały w stronę Mercy i bagnisk Tadorna, ku drodze, wiodącej do portu Balonu. Koloniści tak byli zajęci pracą, że żadnej na te groźne zwierzęta nie zwracali uwagi; opuścili Granitowy pałac, a obozowali pod namiotem wpobliżu ujścia Mercy.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett wstępowali codziennie na płaszczyznę Pięknego Widoku. Harbert towarzyszył im niekiedy. Penkroff nigdy iść tam nie chciał, aby nie patrzeć na ogrom zniszczenia, jakiemu uległa ukochana jego wyspa.

W istocie smutny to był widok. Cała lesista część wyspy sterczała teraz naga; tylko na półwyspie Wężowatym utrzymała się kępka drzew zielonych. Tu i ówdzie sterczały okopcone i ogołocone z gałęzi szkielety. Lawa zniszczyła wszystko. Gdzie pierwej świeża roztaczała się zieloność, obecnie grunt pokryty był tufem wulkanicznym. Z dolin rzeki Spadku i Mercy nie spadała już do morza ani kropla wody słodkiej i, gdyby nie to, że jezioro Granta niezupełnie wyschło, koloniści nie mieliby czem ugasić pragnienia. Na szczęście, ocalał południowy skraj jeziora, i tu otworzył się jakby mały staw, w którym zebrała się cała ilość znajdującej się jeszcze na wyspie wody słodkiej.

Posępny to był i przejmujący widok! Jakże bolesne robił wrażenie na kolonistach!

— Serce pęka z boleści! — rzekł raz Gedeon Spilett.

— Masz słuszność — odpowiedział inżynier. — Oby tylko Bóg dozwolił nam skończyć na czas ten statek; jest on dziś jedyną naszą deską ocalenia.

— Czy uważałeś, Cyrusie, że wulkan zdaje się uspokajać? Wyrzuca jeszcze ławę, ale w mniejszej ilości.

— I cóż stąd, kiedy ogień zawsze równie gwałtownie wre we wnętrznościach góry, i woda morska lada chwila może się tam dostać! Jesteśmy w położeniu podróżnych, płynących na okręcie, który pożar ogarnął, i ugasić go nie mogą, a wiedzą, że czy prędzej, czy później dostanie się do składu prochu. Ale chodź, Gedeonie, nie traćmy chwili czasu!...

Jeszcze przez osiem dni, to jest do 7 lutego, ława nie przestawała płynąć, lecz wybuch utrzymywał się w dotychczasowych granicach. Cyrus obawiał się bardzo, aby ogniste strumienie nie dostały się na wybrzeże, bo w takim razie składy i warsztaty niewątpliwie uległyby zniszczeniu. W kilka dni później uczuwali wyraźnie drganie w łonie wyspy, co ich bardzo zaniepokoiło.

Było już 20 lutego, a należało popracować jeszcze z miesiąc, aby okręt mógł być spuszczony na morze — lecz czy wyspa dotrwa do tego czasu?... Cyrus Smith zamierzał spuścić statek na morze, jak tylko pudło zupełnie będzie ukończone; pomost, urządzenie wewnętrzne i przyrządy mogły być później wykończone; szło głównie o to, aby koloniści mieli jak najprędzej zapewnione schronienie poza wyspą. Może trzeba będzie doprowadzić statek do portu Balonu, to jest jak najdalej od punktu wybuchu, gdyż w razie rozstąpienia się wyspy, przy ujściu Mercy, między wysepką a murem granitowym, mógłby zostać zdruzgotany.

Nadszedł 3 marca. Koloniści obliczyli, że za dziesięć dni będą już mogli spuścić statek na morze.

Nadzieja zaczęła wstępować w serca pracowników, którzy w tym czwartym roku pobytu na wyspie tyle ciężkich przebyli prób. Nawet Penkroff zaczynał być mniej posępny i milczący, ochłonął nieco z utrapienia, w jakiem pogrążyła go obawa o ukochaną wyspę. Coprawda, teraz myślał tylko o okręcie, w którym ześrodkowały się wszystkie jego nadzieje.

— Skończymy go na czas, panie Cyrusie! No! w najgorszym razie przezimujemy na wyspie Tabor. Ależ, Boże mój drogi! cóżto za zamiana!... Z wyspy Lincolna na wyspę Tabor... pomieniał się stryjek, za siekierkę kijek!... Nigdym nie przypuszczał, że do tego przyjdzie!...

— Śpieszmy się! — powtarzał ciągle inżynier.

I pracowano bez wytchnienia.

— Panie mój — zapytał raz Nab inżyniera — powiedz mi, proszę, czy wszystko to działoby się, gdyby kapitan Nemo żył jeszcze?

— To nie ulega wątpliwości — odrzekł Smith.

— Daruj pan, ale ja pozwalam sobie wątpić o tem — odparł Nab.

— I ja to samo — rzekł mu do ucha Penkroff.

W pierwszym tygodniu marca góra Franklina stała się znów nader groźna, krater znowu zapełnił się lawą, staczającą się ze wszystkich stron wulkanu. Główny potok zwrócił się teraz ku południowo-wschodniemu wybrzeżu jeziora Granta, przepłynął strumień Glicerynowy i zalał płaszczyznę Pięknego Widoku.

Straszny to cios zadało kolonistom; nie pozostało ani śladu z młyna i zabudowań gospodarskich. Przerażony drób rozleciał się na wszystkie strony. Top i Jow okazywali największe przerażenie; przeczuwali instynktem zbliżanie się strasznej katastrofy. Znaczna liczba zwierząt, znajdujących się na wyspie, znalazła śmierć podczas pierwszego wybuchu; pozostałe schroniły się na bagna Tadorna i na płaszczyznę Pięknego Widoku. Teraz zamknięty miały dostęp do tego ostatniego schronienia; strumień lawy przepłynął mur granitowy i zaczął spływać na wybrzeże. Niema słów na opisanie wspaniałej okropności tego widoku.

Kolonistom zagrażało straszne niebezpieczeństwo; na całej wyspie nie było już bezpiecznego miejsca na schronienie, to też choć wyższe spojenia okrętu nie były jeszcze dostatecznie wykończone i opatrzone, postanowili puścić go na morze.

Penkroff i Ayrton zajęli się przygotowaniami do tej ważnej czynności, mającej nastąpić nazajutrz, dnia 9 marca.

Tymczasem w nocy z dnia 8 na 9 marca ogromny słup pary podniósł się z krateru wśród przerażającego huku i sięgnął trzech tysięcy stóp wysokości. Widać ściany pieczary Dakkara ustąpiły pod ciśnieniem gazu, i wody morza, wpadając nagle w ognistą przepaść głównym kominem, zamieniły się w parę, dla której krater dostatecznego nie przedstawiał ujścia. Wybuch tak głośny, że o sto mil możnaby go usłyszeć, wstrząsnął powietrzem, kawały góry spadły w ocean Spokojny, i w przeciągu kilku minut fale morskie zalały miejscowość, na której istniała wyspa Lincolna.

ROZDZIAŁ LXII.

Odosobniona skała na oceanie Spokojnym. — Ostatnie schronisko. — Śmierć niechybna. — Niespodziewana pomoc. — Dlaczego i skąd przybywa. — Ostatnie dobrodziejstwo. — Grób kapitana Nemo.

Odosobniona skała, mająca trzydzieści stóp długości a piętnaście szerokości, wystająca zaledwie na dziesięć stóp ponad morzem — oto jedyny punkt oparcia, nieopanowany przez fale oceanu Spokojnego — oto wszystko, co pozostało ze wspaniałego pałacu Granitowego. Ściany skał pochyliły się, a następnie rozpadły i niektóre skały dawnego salonu tak się nagromadziły i wytworzyły tę wyniosłość.



Cyrus postąpił parę kroków, potem głośno i dobitnie wyrzekł następujące słowa: — Kapitanie Nemo, wezwałeś nas, jesteśmy. (str. 306).

Wszystko wokoło zapadło się w otchłań; niższy stożek góry Franklina, rozdarty wybuchem, szczęki zatoki Rekina, płaszczyzna Pięknego Widoku, wysepka Ocalenia, granity portu Balonu, bazalty groty Dakkara, długi półwysep Wężowaty, chociaż tak oddalony od miejsca wybuchu. Słowem, z całej wyspy Lincolna pozostała tylko wspomniana mała skała, służąca teraz za miejsce schronienia sześciu kolonistom i ich wiernemu psu.

Wszystkie zwierzęta zginęły w tej strasznej katastrofie, tak ptaki, jak inni przedstawiciele fauny wyspy Lincolna, nawet biedny Jow znalazł śmierć w jakiejś rozpadlinie.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Penkroff, Nab i Ayrton temu tylko zawdzięczali ocalenie, iż zgromadzeni pod namiotem rzuceni zostali w morze w chwili, gdy szczątki wyspy rozpryskiwały się na wszystkie strony.

Gdy się dostali na powierzchnię fal, jak okiem dojrzeć można było, zobaczyli tylko to nagromadzenie skał i, popłynąwszy w tę stronę, na niem szukali schronienia.

Tu znajdowali się od dni dziewięciu, a jedynem ich pożywieniem były zapasy żywności, które przypadkiem zostały im w kieszeniach, przy przenosinach z Granitowego pałacu, i trochę wody słodkiej, nagromadzonej podczas deszczu w rozpadlinie skały. Okręt, ta ostatnia ich nadzieja, uległ roztrzaskaniu; pozbawieni więc byli wszelkiej możności opuszczenia skały; nie mieli ognia, nie posiadali nic, coby go rozniecić pozwalało — czekała ich nieuchronna śmierć.

Działo się to 18 marca. Choć jedli tylko tyle, aby nie umrzeć z głodu, jednak już zaledwie na trzy dni mieli cokolwiek żywności. Żadna nauka, największy rozum w tem położeniu nic zaradzić nie mogły, sam tylko Bóg mógł ich ocalić Swoją wszechmocnością.

Cyrus Smith był spokojny, Gedeon Spilett mocno rozdrażniony, a Penkroff zły i gniewny chodził po skale. Harbert nie odstępował inżyniera, wpatrywał się w niego nieustannie, jakby chcąc z twarzy jego wyczytać myśl zbawczą, jakby błagając o ratunek, którego Cyrus Smith dać już nie mógł. Nab i Ayrton spokojnie poddawali się losowi.

— Ach, to straszna rzecz! — wołał Penkroff — gdybyż mieć choć najnędzniejszą łódkę, któraby nas przewiozła na wyspę Tabor. Ale niema nic! nic! żadnej nadziei ratunku!

— Dobrze zrobił kapitan Nemo, że umarł! — rzekł raz Nab — nie doczekał tak ciężkiej doli!

Cztery dni upłynęły; Cyrus Smith i jego towarzysze nie mieli już żadnego pożywienia. Osłabienie wzmagało się z każdą chwilą; u Harberta i Naba zaczęły się już pokazywać objawy gorączki.

Czy mogli w takiem położeniu łudzić się najsłabszą iskierką nadziei?... Jakież pozostały im środki ocalenia?... Chyba gdyby okręt jaki przepływał wpobliżu skały, na której się znajdowali!... Ale wiedzieli dobrze, że okręty nie zapuszczają się w te strony, a czy można było przypuszczać, że szczególnem zrządzeniem Opatrzności jacht szkocki teraz właśnie nadpłynie, aby szukać Ayrtona na wyspie Tabor?... Było to prawie niepodobieństwem; a gdyby nawet tak się stało, to, ponieważ nie pozostawili tam dotąd zawiadomienia o zmianie, zaszłej w położeniu i postępowaniu Ayrtona, komendant

jachtu, po daremnem poszukiwaniu na wysepce, popłynąłby zpowrotem.

Nie, niepodobna było łudzić się nadzieją ocalenia, czekała ich na tej skale śmierć straszna, śmierć z głodu i pragnienia! Jakoż leżeli już na niej bezprzytomni i jakby martwi, nie wiedząc, co się wkoło nich dzieje. Jeden tylko Ayrton mógł jeszcze ostatnim wysiłkiem unosić niekiedy głowę i rozpaczliwem spojrzeniem ogarniał morze.

Aż oto 24 marca z rana Ayrton wyciągnął ręce ku jakiemuś punktowi w przestrzeni, uniósł się nieco, najpierw na kolana, a następnie stanął prosto, jakby znak jakiś dając ręką...

Wdali, wprost skały, ukazał się okręt i widać było, że nie przypadkiem zawinął w te strony, gdyż wyraźnie w prostej linji zmierzał ku rafie, będącej ostatniem schronieniem kolonistów. Płynął pośpiesznie, i gdyby nieszczęśliwi rozbitkowie mieli dość sił, aby rozglądać się po widnokręgu, dawno jużby go spostrzegli.

— *Duncan* — wyszeptał Ayrton i padł bez zmysłów.

. . . .

. . . .

Gdy nareszcie, dzięki troskliwym staraniom, Cyrus Smith i jego towarzysze odzyskali przytomność, nie mogli pojąć, jakim cudem uniknęli śmierci i znajdują się w pięknej i wygodnej kajucie statku!

Ayrton objaśnił ich jednem słowem:

— *Duncan!*

— *Duncan!* — powtórzył Cyrus Smith a, wznosząc ręce do nieba, zawołał: — O Boże miłosierdzia! dzięki Ci za to cudowne ocalenie!

Tak, był to rzeczywiście *Duncan*, jacht lorda Glenarvana, którego dowódcą był Robert, syn kapitana Granta. Wysłano go na wyspę Tabor w celu wyszukania i zabrania Ayrtona po dwunastu latach pokuty.

A więc koloniści byli ocaleni i nadspodziewanie wracali do ojczyzny!

— Kapitanie Robercie — zapytał Cyrus Smith — gdy nie znalazłeś Ayrtona na wyspie Tabor, skąd przyszła ci myśl płynąć o sto mil dalej w kierunku północno-zachodnim?

— Chciałem zabrać stamtąd nietylko Ayrtona, ale ciebie, panie Smith, i twoich towarzyszy — odpowiedział kapitan.

— Co? Mnie i moich towarzyszy?

— Tak jest, w tym celu płynąłem do wyspy Lincolna.

— Do wyspy Lincolna! — powtórzyli z niewymownem zadziwieniem Gedeon Spilett, Harbert, Nab i Penkroff.

Skądże mogłeś wiedzieć o istnieniu wyspy, skoro nie jest oznaczona na żadnej mapie? — zapytał inżynier.

— Dowiedziałem się o niej z notatki, którą pozostawiliście na wyspie Tabor — odrzekł kapitan.

— Z notatki? — zawołał z zadziwieniem reporter.

— Ano tak! — odpowiedział Robert Grant, pokazując im notatkę, określającą doskonale długość i szerokość geograficzną, oraz położenie wyspy Lincolna, na której zamieszkują obecnie Ayrton i pięciu kolonistów amerykańskich.

— To pisał kapitan Nemo!... — zawołał Cyrus Smith, przeczytawszy notatkę, pisaną tym samym charakterem, co kartka, znaleziona w owczarni.

— Aha! — krzyknął Penkroff — więc to on zabrał wtedy naszego *Bonawenturę* i nie wahał się sam jeden popłynąć aż na wyspę Tabor!...

— Aby tam zostawić to zawiadomienie — dorzucił Harbert.

— Miałem więc słuszność, utrzymując, że nawet po śmierci kapitan wyświadczy nam jeszcze ważną ostatnią przysługę — mówił dalej Penkroff.

— Przyjaciele! — rzekł Cyrus Smith głosem głęboko wzruszonym — módlmy się do Boga, aby przyjął do Swej chwały duszę kapitana Nemo!

W tej chwili Ayrton zbliżył się do inżyniera, zapytując z prostotą:

— Gdzie mam złożyć tę skrzyneczkę?

Była to szkatułka z kosztownościami, którą Ayrton ocalił z niebezpieczeństwem życia i teraz oddawał inżynierowi.

— Ayrtonie! poczciwy Ayrtonie! — zawołał, ściskając go, rozrzewniony Cyrus Smith a, zwracając się do Roberta Granta, dodał:

— Kapitanie, zamiast pozostawionego tu winowajcy znalazłeś poczciwego człowieka, który długoletnią pokutą i uczciwem postępowaniem zmazał popełnioną winę. Dumny jestem, mogąc uścisnąć dłoń jego.

Teraz opowiedzieli kapitanowi Grantowi osobliwą historję kapitana Nemo i kolonistów wyspy Lincolna, poczem kapitan wydał rozkazy i popłynął zpowrotem do zamieszkałego świata.

We dwa tygodnie później koloniści wylądowali w Ameryce. Po kilku latach oddalenia zastali ją uspokojoną i potężną; zabliźniły się już rany, zadane wojną domową; słuszność i sprawiedliwość zwyciężyły stanowczo.

Za część klejnotów, zawartych w szkatułce, przekazanej kolonistom przez kapitana Nemo, nabyto i urządzono znaczne posiadłości w stanie Jowa, a najpiękniejszą i najdrogocenniejszą perłę przesłano w darze lady Glenarvan, jako upominek od rozbitków, uratowanych i powróconych ojczyźnie przez *Duncana.*

Zająwszy swoje posiadłości, koloniści zawezwali do wspólnej pracy, a tem samem zapewnili szczęście i dobrobyt wszystkim tym, których pierwotnie zamierzali sprowadzić na wyspę Lincolna. Utworzyli rozległą kolonję i nadali jej nazwę ulubionej swojej wyspy, zaginionej w nurtach oceanu Spokojnego. Płynącą tam rzeczkę nazwano Mercy, górę sterczącą od południa — górą Franklina, małe jeziorko — jeziorem Granta, otaczające lasy — lasami Dalekiego Zachodu. Była to więc wyspa na kontynencie.

Dzięki rozumnemu kierunkowi inżyniera i gorliwej pracy jego towarzyszy, nowa kolonja rozwijała się nader pomyślnie. Dawni koloniści wyspy Lincolna przysięgli sobie, że się nigdy nie rozłączą — wszyscy więc byli razem. Nab chciał żyć i umierać tam, gdzie ukochany pan jego! Ayrton nie pomijał żadnej sposobności poświęcenia się dla towarzyszy. Penkroff zapomniał prawie o morzu i był doskonałym rolnikiem, Harbert wykształcił się wysoko w naukach pod kierunkiem Cyrusa Smitha, a Gedeon Spilett założył gazetę p. t. „New-Lincoln-Herald", najlepszą na świecie.

Ale zawsze żałowali zagłady wyspy Lincolna, której wspomnienie nigdy nie zatarło się w ich sercach. Czy mogli zapomnieć, jak wiele jej zawdzięczali?... Zostali tam rzuceni biedni i wszelkich pozbawieni zasobów, a jednak cztery lata przeżyli swobodnie, i nie brakowało im niczego; tam znaleźli opiekę kapitana Nemo, którego dar wszystkim im szczęśliwą zapewnił przyszłość; tam nauczyli się pracować i przekonali się, że praca i nauka w najtrudniejszych nawet położeniach mogą stać się arką wybawienia... A dziś z tej pięknej wyspy pozostał tylko odłam granitu, sterczący wśród fal oceanu Spokojnego, w którego otchłaniach znajduje się grób tego, który nosił miano kapitana Nemo.

KONIEC.

WYDAWNICTWA DLA MŁODZIEŻY

FIRMY GEBETHNER I WOLFF

Amicis E. Serce. Książka dla chłopców. Przekład M. Konopnickiej. Wyd. 11 . . . . zł. 7.—

Anczyc. Duch Puszczy. Opowiadanie z borów amerykańskich według dr. Birda. Z 6 rys. St. Sawiczewskiego. Wyd. 10. . . . . „ 6.—

— Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej. Z 8 rys. W. Gersona. Wyd. 8. . . . . „ 5.50

— Przypadki Robinsona Kruzoe. Z 10 rycinami i licznemi drzeworytami w tekście. Wyd. 15. . . . „ 8.—

Barszczewski St. Na szlaku sławy, krwi i złota. Szkice z dziejów odkrycia Ameryki. Z licznemi rysunkami w tekście. . . . . „ 6.50

— Przygody kapitana St. Claira. Z 10 ilustracjami i barwną okładką Kamila Mackiewicza . . . „ 5.50

— W 8 dni dokoła świata. Powieść z niedalekiej przyszłości. Z 10 ilustracjami i barwną okładką. Z. Grabowskiego. Wyd. II. . . . . „ 8.—

Beecher-Stowe. Chata wuja Toma. Z 4 rysunkami. Wyd. II. „ 6.—

Bukowiecka Z. Dzieci Warszawy. Z 8 rysunkami. Wyd. 3. „ 4.20

— Historja o Janku Górniku. Z 9 rysunkami. Wyd. V. „ 6.50

Burnett Fr. H. Mały lord. Przekład z angielskiego M. J. Zaleskiej. Z 16 ilustracjami i barwną okładką A. Rożankowskiego. . . . . „ 6.—

— Tajemniczy ogród. Przekład z angielskiego J. Włodarkiewiczowej. Z ilustracjami Z. Sołowijówny. . „ 7.50

Cooper. Mieszkanice puszczy. W opracowaniu M. J. Zaleskiej. Z 5 rysunkami C. Jankowskiego. Wyd. 8. . „ 7.—

Dąbrowska, Gerson M. Polscy artyści. Ich życie i dzieła. Ze 153 ilustracjami . . . . zł. 14.—
— Wielcy artyści. Ich życie i dzieła. Z 90 ilustracjami. „ 11.—

Dynowska M. Polska w zwyczaju i obyczaju. Z 10 ilustracjami Kamila Mackiewicza. . . . Brosz. „ 12.—
Kart. „ 14.—

Gomulicki W. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Z 6 rysunkami K. Gorskiego. Wyd. V. . . . . . „ 6.50

Grimm Powieści z 1001 nocy dla młodzieży. Z 7 kolorowemi rycinami i okładką K. Sopočki. . . . . . „ 7.50

Kingsley Ch. Heroje, czyli klechdy greckie o bohaterach. Przełożył Wacław Berent. Wyd. zwykłe z barwną ilustr. okładką W. Russell Flinta. . . Brosz. „ 5.—
W opr. płóc. „ 8.—

Toż, Wyd. z 11 barwnemi ilustracjami na oddzielnych tablicach i takąż ilustracją okładkową W. Russell Flinta.
Brosz. „ 10.—
W opr. płóc. „ 13.—

Makuszyński K. O dwóch takich, co ukradli księżyc. Z 8 ilustracjami K. Sopočki. . . . . „ 11.—

Mayne Reid. Dolina bez wyjścia. Przygody podróżników w Himalajach. Przekład M. J. Zaleskiej. Z 11 rycinami. Wyd. 7. . . . . „ 6.—
— Pobyt w pustyni. Przekład St. Rzętkowskiego. Z 7 rys. St. Sawiczewskiego. Wyd. 5. . . . . . . „ 6.—

Mossoczowa St. Za 1000 lat. Powieść fantastyczna. Z 15 rys. W. Szyndlera. . . . . „ 4.20

Przyborowski W. Bitwa pod Raszynem. Z 6 ilustracjami i okładką K. Gorskiego. Wyd. 6. . . . . . „ 3.—

Siedlecki M. Skarby wód. Obrazy z nadmorskich krain. Wyd. II., rozszerzone z licznemi ilustracjami. . . „ 12.—

Stevenson R. L. Skarby na wyspie. Z 6 rysunkami i okładką St. Sawiczewskiego. Wyd. III. . . . . . . „ 6.—

Swift J. Podróże Gulliwera. Przekład C. N. Z 7 rycinami T. Pruszkowskiego. Wyd. VI. . . . . . „ 5.60

Umiński Wł. Wybór powieści dla młodzieży. Wydanie jubileuszowe, z portretem autora. . . . . . .
— Tom. I. W puszczach Kanady. Przygody małego Australczyka. Z 8 rysunkami E. Bridge'a. Karton „ 6.—
— Tom II. Na drugą planetę. Z 6 rysunkami E. Bridge'a.
Karton „ 5.—
— Tom III—IV. Znojny chleb. Z 8 rys. E. Lindemana.
Karton. „ 10.—
— Tom V. W podobłocznych krainach. Z 8 rys. St. Sawiczewskiego. . . . . . . Karton „ 5.—

— Tom VI—VII. Zwycięzcy oceanu. Z 7 ilustr. E. Bridge'a. Wydanie 4. . . . . . Karton. zł. 7.50

— Tom VIII. Synowie puszczy. Z 5 ilustr. St. Bobińskiego. Wyd. 2. . . . . . . Karton „ 6.—

— Tom IX. Od Warszawy do Ojcowa. Przygody w podróży po kraju. Z 11 ilustr. Z. Grabowskiego. Wyd. 4. Karton „ 6.—

— Tom X. Na falach Atlantyku. Przygody rozbitków pośród oceanu. Z 6 ilustr. E. Bartłomiejczyka. Wyd. 2. Karton „ 5.—

— Tom XI. Balonem do bieguna. Przygody w podróży powietrznej ponad lodami. Z 6 ilustracjami W. Szyndlera. Wydanie 2. . . . . . . Karton „ 3.—

— Tom XII. W krainie wschodzącego słońca. Powieść z życia młodzieży japońskiej. Z 6 ilustr. St. Biedrzyckiego. Wydanie 2. . . . . . Karton „ 5.—

— Tom XIII. Biały mandaryn. Przygody rodziny polskiej na Dalekim Wschodzie. Z 6 ilustr. St. Biedrzyckiego. Wydanie 3. . . . . . Karton „ 6.—

— Tom XIV—XV. W głębinach oceanu. Z 6 ilustr. W. Hładkiego. Wydanie 3. . . . Karton „ 8.—

Urbanowska Z. Księżniczka. Powieść, uwieńczona nagrodą konkursową. Z 8 rysunkami Ksaw. Koźmińskiego. Wydanie 8. . . . . . . Karton „ 9.—

Verne J. Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi. Z 19 ilustracjami i okładką Hildebrandta. Wyd. IV. „ 9.—

— Dzieci Kapitana Granta. (Nowe wydanie w przygotowaniu, ukaże się w końcu r. 1929). . . . .

Zaleska M. J. Młody wygnaniec. Przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich. Z 8 rys. St. Wolskiego. Wydanie VI. . . . . „ 10.—